

Dalszy ciąg Trylogii Bourne'a

ROBERTA LUDLUMA

ZDRADA BOURNE'A



ERIC VAN LUSTBADER

ERIC VAN LUSTBADER
Zdrada Bourne`a

*Pamięci Adama Halla (Ellestona Trewra),
literackiego mentora;
róże są również dla Ciebie*

PROLOG

Chinook uniósł się z hałasem pod krwistoczerwone niebo, zadrżał w niebezpiecznych przeciwprądach i przechylił się w rozrzedzonym powietrzu. Pajęczyna chmur, podświetlona zachodzącym słońcem, przepływała obok jak dym z płonącego samolotu.

Martin Lindros uważnie obserwował otoczenie z wojskowego śmigłowca, który transportował go w najwyższe partie gór Semien. Nie był wprowadzie w terenie od czasu, gdy cztery lata temu Stary awansował go na wicedyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale nie chciał stracić swojego zwierzęcego instynktu. Trzy razy w tygodniu ćwiczył na torze przeszkód dla agentów terenowych pod Quantico i w każdy czwartek o dziesiątej wieczorem przez półtorej godziny uwalniał się od nudy przeglądania elektronicznych raportów wywiadowczych i podpisywania rozkazów operacyjnych na strzelnicy, gdzie zaznajamiał się znowu ze wszystkimi rodzajami broni palnej – starej, współczesnej i najnowszej. Działanie łagodziło jego frustrację, że nie jest bardziej aktywny. Ale wszystko się zmieniło, kiedy Stary przyjął jego propozycje operacyjne dla Tyfona.

Wnętrze zmodyfikowanego dla CIA chinooka przeszył ostry dźwięk. Anders, dowódca Skorpiona Jeden, pięcioosobowej drużyny terenowych agentów operacyjnych, szturchnął Lindrosa w bok. Martin się odwrócił. Spojrzał przez okno na poszarpane chmury i zobaczył smagane wiatrem północne zbocze Ras Daszanu. Szczyt o wysokości ponad czterech tysięcy sześciuset metrów, najwyższy w górach Semien, wydawał się złowieszczy. Może dlatego, że Lindros pamiętał miejscowe legendy o złych duchach, które podobno zamieszkiwały to miejsce.

Zawodzenie wiatru przerodziło się w wycie, jakby góra próbowała się oderwać od swoich korzeni.

Już czas.

Lindros skinął głową i poszedł do kokpitu, gdzie siedział pilot mocno przypięty do fotela. Wysoki, jasnowłosy wicedyrektor dobiegał czterdziestki. Był absolwentem Uniwersytetu Browna i został zwerbowany, gdy robił doktorat ze stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Georgetown. Dyrektor CIA nie mógł wybrać sobie bardziej bystrego i oddanego zastępcy. Lindros pochylił się nisko, żeby pilot usłyszał go w przeraźliwym hałasie, i podał mu końcowe współrzędne. Względy bezpieczeństwa nakazywały, by ujawnić je dopiero w ostatniej chwili.

Lindros był w terenie od przeszło trzech tygodni. W tym czasie stracił dwóch ludzi. Straszliwa cena. Akceptowalne straty, powiedziała by Stary. Lindros musiał się znów przyzwycząić do takiego sposobu myślenia, jeśli miał odnieść sukces. Ale jak wycenić ludzkie życie? On i Jason Bourne często o tym rozmawiali i nie znajdowali odpowiedzi. Prywatnie Lindros uważał, że na pewne pytania po prostu nie ma odpowiedzi.

Ale kiedy agenci są w terenie, to zupełnie inna sprawa. Trzeba się pogodzić z

„akceptowalnymi stratami”. Nie ma wyjścia. Więc owszem, śmierć tamtych dwóch była do przyjęcia, bo podczas operacji potwierdziła się prawdziwość raportu, że pewne ugrupowanie terrorystyczne ma gdzieś w Afryce trigatrony, układy sterowanej przerwy iskrowej, w skrócie TSG. Te małe, wysokonapięciowe przełączniki służyły jako zaawansowane technicznie „zawory bezpieczeństwa” do ochrony takich urządzeń elektronicznych, jak lampy mikrofalowe i diagnostyczna aparatura medyczna. Ale używano ich również do detonowania bomb jądrowych.

Lindros wyruszył z Kapsztadu i przebył kręty szlak z Botswany do Zambii i przez Ugandę do Ambikwy, małej rolniczej wioski – garstka domów, kościół i bar – wśród górskich pastwisk na zboczu Ras Daszanu. Tam zdobył jeden z TSG i natychmiast wysłał go kurierem do Starego.

Ale potem wydarzyło się coś niezwykłego i przerażającego. W walącym się barze z klepiskiem z nawozu i zaschłej krwi usłyszał, że organizacja terrorystyczna przerzuca przez Etiopię nie tylko TSG. Gdyby plotka okazała się prawdą, oznaczałoby to, że terroryści mogą zagrozić nie tylko Ameryce, lecz całemu światu, i zmienić życie na kuli ziemskiej w koszmar.

Siedem minut później chinook znalazł się w samym środku burzy piaskowej. Mały płaskowyż był zupełnie pusty. Na wprost wznosiła się kamienna ściana, wrota – jak mówiły legendy – do siedliska przerażających demonów. Lindros wiedział, że przez wyłom w pokruszonej ścianie biegnie niemal pionowa ścieżka, która prowadzi do gigantycznych skalnych skarp strzegących szczytu Ras Daszan.

Lindros i członkowie Skorpiona Jeden wylądowali w przysiadzie. Pilot został w fotelu, silnik helikoptera pracował, rotory wirowały. Mężczyźni nosili gogle chroniące przed pyłem i kamykami podrywanymi przez śmigłowiec. Mieli tu mikrofony bezprzewodowe ze słuchawkami w uszach, co umożliwiała porozumiewanie się w hałasie helikoptera. Byli uzbrojeni w lekkie karabiny szturmowe XM8, wystrzeliwujące siedemset pięćdziesiąt pocisków na minutę.

Lindros poprowadził ich przez nierówny płaskowyż. Naprzeciw kamiennej ściany wyrastał klif z czarną, ziejącą czeluścią jaskini. Wszystko inne miało barwy ciemnego brązu, ochry, matowej czerwieni. Krajobraz jak z innej planety, droga do piekła.

Anders jak zwykle najpierw kazał swoim ludziom sprawdzić ewentualne kryjówki, potem obstawić teren. Dwaj poszli zobaczyć, co jest za kamienną ścianą, dwaj inni obejrzeć jaskinię. Jeden stanął w wejściu, drugi wszedł do środka.

Wiatr hulał nad wysokim szczytem, smagał gołą ziemię, przenikał przez mundury. Tam, gdzie skalna ściana nie opadała stromo, górowała nad nimi złowroga, muskularna, jej naga czaszka powiększona w rozrzedzonym powietrzu. Lindros zatrzymał się przy śladach ogniska, potem skupił uwagę na czymś innym.

Obok niego Anders, jak każdy dobry dowódca, odbierał meldunki od swoich ludzi. Za kamienną ścianą nikt się nie czaił. Słuchał uważnie drugiej dwójki.

–W jaskini jest ciało – zameldował podwładny. – Facet dostał kulę w łeb. Sztywny. Poza tym czysto.

Lindros usłyszał w uchu głos Andersa.

–Zacniemy tutaj – wskazał. – To jedyna oznaka życia na tym zapomnianym przez

Boga pustkowiu.

Przykucnęli. Anders przegarnął popiół palcami w rękawicy.

–Tu jest płytki dół. – Odsunął spalone szczątki. – Widzi pan? Ziemia stwardniała od ognia. Ktoś często rozpalał tutaj ognisko przez ostatnie miesiące, może nawet przez rok.

Lindros przytaknął i uniósł kciuk.

–Wygląda na to, że jesteśmy we właściwym miejscu. – Ogarnął go niepokój. Coraz więcej wskazywało na to, że pogłoska, którą słyszał, jest prawdziwa. Wciąż się łudził, że to jednak plotka, że niczego tu nie znajdą. Bo inny wynik poszukiwań był nie do pomyślenia.

Odczepił od parcianego pasa dwa urządzenia, włączył je i przesunął nimi nad śladami ogniska. W jednej ręce trzymał detektor promieniowania alfa, w drugiej licznik Geigera. Szukał kombinacji promieniowania alfa i gamma. Miał nadzieję, że jej nie wykryje.

Żadne z urządzeń nie zareagowało.

Ruszył dalej, zataczając wokół ogniska koncentryczne kręgi. Nie odrywał wzroku od wskaźników. Robił trzecie okrążenie, ze sto metrów od dołu, gdy odezwał się detektor promieniowania alfa.

–Jasny gwint – zaklął pod nosem.

–Ma pan coś? – zapytał Anders.

Lindros oddalił się od osi poszukiwań – detektor zamilkł. Geiger nic nie sygnalizował. To już coś. Na tym poziomie źródłem promieniowania alfa mogło być cokolwiek, nawet sama góra.

Wrócił do miejsca, gdzie detektor zareagował. Podniósł wzrok – znajdował się dokładnie na wprost jaskini. Poszedł wolno w jej kierunku. Odczyt na detektorze był stały. Potem, z dwadzieścia metrów od groty, wartość nagle wzrosła. Lindros przystanął na chwilę, żeby wytrzeć krople potu nad górną wargą. Chryste, to jeszcze jeden gwóźdź do trumny ludzkości. Ale na razie nie ma promieniowania gamma, pocieszył się. Nie jest tak źle. Trzymał się tej nadziei przez następne dwanaście metrów. Wtedy ożył Geiger.

O Boże, promieniowanie gamma w połączeniu z alfa. Właśnie tego miał nadzieję nie znaleźć. Po plecach spłynęła mu strużka zimnego potu. Nie przeżywał czegoś takiego od czasu, kiedy po raz pierwszy musiał zabić w terenie. Walka wręcz, desperacja i determinacja na jego twarzy i przeciwnika, który robił wszystko, żeby go zlikwidować. Obrona konieczna.

–Światło. – Lindros z trudem wypowiedział to słowo przez ściśniętą strachem krtani. – Chcę zobaczyć te zwłoki.

Anders skinął głową i wydał rozkaz Brickowi, który pierwszy penetrował jaskinię. Brick zapalił latarkę ksenonową i trzech mężczyzn weszli w mrok.

W środku nie było suchych liści ani żadnej innej materii organicznej, która złagodziłaby ostry odór minerałów. Czuli ciężar masywu skalnego nad nimi. Lindros przypomniał sobie, jak po wejściu do grobowców faraonów w kairskich piramidach miał wrażenie, że się dusi.

Jasny snop ksenonowego światła płaszał po skalnych ścianach. W tym ponurym otoczeniu trup mężczyzny wydawał się nie na miejscu. Brick poruszył latarką i po zwłokach przemknęły cienie. Ksenonowe światło pozbawiało martwe ciało wszelkich barw, czyniło je mniej ludzkim, nadawało mu wygląd zombi z horroru. Zabity leżał jak ktoś, kto spokojnie odpoczywa. Na środku jego czoła widniał otwór po pocisku. Twarz miał odwróconą w bok, ukrytą w ciemności.

–To na pewno nie było samobójstwo – oznajmił Anders, jakby czytał w myślach Lindrosa. – Samobójcy wybierają łatwiejsze sposoby, najczęściej strzał w usta. Tego człowieka zabił zawodowiec.

–Ale dlaczego? – zapytał z roztargnieniem Lindros. Dowódca wzruszył ramionami.

–Powodów może być tysiąc...

–Cofnij się, do cholery! – Lindros tak ostro krzyknął do mikrofonu, że zbliżający się do zwłok Brick aż odskoczył do tyłu.

–Przepraszam – powiedział agent. – Chciałem tylko pokazać panu coś dziwnego.

–Weź latarkę – poinstruował go Lindros. Ale już wiedział, co nadchodzi. Kiedy tylko weszli do jaskini, detektor promieniowania i licznik Geigera oszalały.

Chryste, pomyślał. O Chryste.

Martwy mężczyzna był strasznie chudy i zadziwiająco młody – z pewnością zaledwie nastoletni. Czy miał semickie rysy Araba? Lindros uważał, że nie, ale nie mógł tego dokładnie stwierdzić, bo...

–Matko Boska!

Wtedy Anders to zobaczył. Trupowi brakowało nosa. Środek twarzy był wyjedzony. Z paskudnej, czarnej dziury wolno wyciekała piana zakrzepłej krwi, jakby mężczyzna jeszcze żył. Jakby coś pożerało go od środka.

Tak właśnie jest, pomyślał Lindros i dostał mdłości.

–Co to mogło być, do cholery? – zapytał ochryple Anders. – Toksyna? Wirus?

Lindros odwrócił się do Bricka.

–Dotykałeś zwłok? Mów!

–Nie, tylko... – wyjąkał zaskoczony agent. – Jestem skażony?

–Proszę wybaczyć, panie dyrektorze, ale w co pan nas wciągnął, do cholery? Jestem przyzwyczajony, że nic nie wiem w czasie tajnych operacji, ale to już przekracza wszelkie granice.

Lindros przyklęknął na jedno kolano, otworzył małą puszkę i zebrał palcem w rękawicy trochę brudu obok ciała. Zamknął szczelnie pojemnik i wstał.

–Musimy stąd zniknąć. – Spojrzał Andersowi prosto w oczy.

–Panie dyrektorze...

–Bez obaw, Brick. Nic ci nie będzie – oświadczył autorytatywnie. – Koniec gadania. Chodźmy.

Kiedy dotarli do wyjścia z jaskini i zobaczyli krwistoczerwony krajobraz, Lindros powiedział do mikrofonu:

–Anders, od tej chwili tobie i twoim ludziom nie wolno wchodzić do tej groty. Nawet, żeby się odlać. Jasne?

Dowódca wahał się przez chwilę. Jego twarz wyrażała gniew i troskę o swoich

ludzi. Potem jakby się otrząsnął.

–Tak jest.

Przez następne dziesięć minut Lindros badał płaskowyż detektorem promieniowania i licznikiem Geigera. Bardzo chciał wiedzieć, jak źródło skażenia dotarło ra górę – którzy dostali się tutaj ludzie, którzy je przynieśli? Me było sensu szukać drogi ich odwrotu. Mężczyzna bez nosa zginął od kuli – w ten sposób przekonali się, że mają wyciek. Na pewno go uszczelnili, zanim ruszyli dalej. Ale Lindros nie miał szczęścia. Z dala od jaskini promieniowanie alfa i gamma całkowicie zniknęło. Trop się urwał.

Lindros wrócił do Andersa.

–Zarządzam ewakuację.

–Słyszeliście dyrektora – zawołał Anders, gdy biegł do czekającego helikoptera. – Wskakujcie, chłopaki!

–*Wa 'i* – powiedział Fadi. On wie.

–Na pewno nie. – Abbud ibn Aziz zmienił pozycję obok Fadiego. Kucali za wysokim szczytem trzysta metrów nad płaskowyżem i byli czołówką około dwudziestoosobowego oddziału uzbrojonych ludzi, którzy leżeli na skalistym terenie za nimi.

–Przez to widzę wszystko. Był wyciek.

–Dlaczego nas nie poinformowano?

Nie padła żadna odpowiedź. Nie była potrzebna. Nikt ich nie powiadomił – ze strachu. Gdyby Fadi wiedział, zabiłby wszystkich – każdego z etiopskich kurierów. Taka była cena całkowitego zastraszenia.

Fadi patrzył przez mocną rosyjską lornetkę wojskową. Skierował ją w prawo na Martina Lindrosa. Soczewki ograniczały pole widzenia, ale tę wadę rekompensowało duże powiększenie. Widział wyraźnie każdy szczegół. Człowiek kierujący grupą – wicedyrektor CIA – używał detektora promieniowania i licznika Geigera. Znał się na rzeczy.

Fadi – wysoki, barczysty mężczyzna – miał charyzmę. Kiedy zaczynał mówić, wszyscy wokół milkli. Był przystojny, z wewnętrzną siłą i cerą pociemniałą z latami od pustynnego słońca i górskiego wiatru. Miał pełne, szerokie wargi, długie, kręcone włosy w atramentowym kolorze bezgwiezdneho nieba o północy i taką samą brodę. Gdy się uśmiechał, wydawało się, że słońce opuściło swoje miejsce w górze i zeszło na dół, by świecić wprost na jego zwolenników. Bo Fadi wyznaczył sobie mesjanistyczną misję: nieść nadzieję tam, gdzie jej nie ma, wymordować tysiące członków saudyjskiej rodziny królewskiej, zetrzeć tę zarazę z powierzchni ziemi, dać wolność swojemu ludowi, rozdzielić bogactwa despotów, przywrócić prawość w jego ukochanej Arabii. Wiedział, że na początek musi przeciąć symbiotyczną więź łączącą saudyjską rodzinę królewską i rząd Stanów Zjednoczonych. Aby tego dokonać, musi zadać Ameryce cios, który pozostawi trwałe ślady.

Ale nie mógł lekceważyć odporności Amerykanów na ból. Jego towarzysze ekstremiści często popełniali ten błąd. Dlatego mieli kłopoty z własnym ludem; właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, prowadziło do życia bez nadziei.

Fadi nie był głupi. Studiował historię świata. Co więcej, wyciągał z niej wnioski. Kiedyś Nikita Chruszczow powiedział Ameryce: „Pogrzebiemy cię!” Mówił poważnie, taki miał zamiar. Ale kogo pogrzebano? ZSRR.

Towarzysze ekstremiści zapewniali Fadię: „Mamy wiele żyć, by pogrzebać Amerykę”. Bo co roku przybywało młodych ludzi, gotowych zginąć w walce. Ale przywódców nie obchodziła śmierć młodocianych męczenników. Bo niby dlaczego miałyby ich obchodzić? Na ofiarnych chłopców czekał przecież raj. Tylko co naprawdę osiągnęli? Czy Ameryka żyje bez nadziei? Nie. Czy te akty popchnęły Amerykę ku życiu bez nadziei? Też nie. Więc jakie jest rozwiązanie?

Fadi wierzył całym sercem i duszą, że je znalazł, dzięki swojemu intelektowi.

Nadal śledził wicedyrektora przez lornetkę. Zauważył, że Lindros się ociąga. Kiedy patrzył na swój cel w dole, czuł się jak drapieżny ptak obserwujący ofiarę. Arogancy żołnierze amerykańscy wsiedli do helikoptera, ale ich dowódca – raport wywiadowczy Fadięgo nie wymieniał nazwiska – nie mógł pozwolić, żeby jego – szef został na płaskowyżu bez ochrony. Był ostrożny. Może wyczuwał coś, czego nie widział, a może po prostu trzymał się dobrze wyuczonego regulaminu. W każdym razie gdy dwaj mężczyźni stali obok siebie i rozmawiali, Fadi uznał, że nie będzie lepszej okazji.

–Zaczynamy – powiedział cicho do Abbuda ibn Aziza, nie odrywając oczu od lornetki.

Abbud ibn Aziz wziął radziecki granatnik przeciwpancerny RPG – 7. Był krępy męczyzną z twarzą jak księżyc w pełni i od urodzenia miał zezę w lewym oku. Szybko i sprawnie wsunął do wyrzutni stożkowy pocisk ze statecznikami, które zapewniały rotującej rakiecie stabilność i dużą celność. Po naciśnięciu spustu mechanizm wystrzeliwujący nadawał granatowi prędkość początkową sto siedemnaście metrów na sekundę. Potężny strumień energii powodował z kolei odpalenie silnika raketowego i pocisk przyspieszał do szybkości dwustu dziewięćdziesięciu czterech metrów na sekundę.

Abbud ibn Aziz przyłożył prawe oko do celownika optycznego tuż za spustem. Znalazł chinooka i pomyślał przelotnie, że szkoda niszczyć tak wspaniałą maszynę bojową. Ale cóż, ten przedmiot pożądania nie był dla niego. W każdym razie wszystko zostało starannie zaplanowane przez przyrodniego brata Fadięgo. Podsunął wicedyrektorowi CIA trop, który wyciągnął Lindrosa z biura w teren i doprowadził go krętą drogą do północno – zachodniej Etiopii – stąd wziął się tutaj, w górnych partiach Ras Daszanu.

Abbud ibn Aziz wycelował RPG – 7 w obudowę wału przedniego rotora helikoptera. Stopił się teraz w jedno z bronią i dążeniami swoich towarzyszy. Czuł ich siłę, przepływała przez niego jak fala, która za chwilę uderzy w wybrzeże wroga.

–Pamiętaj – powiedział Fadi.

Ale Abbud ibn Aziz, ekspert od uzbrojenia, wyszkolony przez błyskotliwego przyrodniego brata Fadięgo do prowadzenia nowoczesnej wojny, nie potrzebował przypomnienia. Wadą RPG było to, że miejsce wystrzelenia pocisku zdradzała smuga dymu. Przeciwnik natychmiast by ich zobaczył. To też wzięto pod uwagę.

Poczuł, że Fadi stuka go w ramię. To sygnał, że cel jest na pozycji. Zagiął palec na spuście. Zrobił głęboki wdech i powolny wydech.

Odrzut, huragan gorącego powietrza. Potem błysk i huk eksplozji, pióropusz dymu, pogięte łopaty rotora, unoszące się razem do góry. Zanim ucichły grzmiące echa i minął tępy ból w ramieniu Abbuda ibn Aziza, ludzie Fadiego poderwali się jak na komendę i pobiegli w stronę szczytu sto metrów na wschód od miejsca, z którego teraz wycofywali się Fadi i Abbud ibn Aziz. Bojówka, tak jak ją uczono, prowadziła zmasowany ogień, wyrażający wściekłość wiernych.

Al – Hamdu Lil – Allah! Niech będzie pochwalony Allah! Rozpoczął się atak.

W jednym momencie Lindros wyjaśniał Andersowi, dlaczego chce zostać na płaskowyżu jeszcze dwie minuty, w następnym czuł się tak, jakby kafar miażdżył mu czaszkę. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że leży plackiem na ziemi i ma w ustach pełno pyłu. Uniósł głowę. W zadymionym powietrzu szaleńczo wirowały płonące szczątki, ale wokół panowała zupełna cisza. Dziwne ciśnienie uciskało mu błony bębenkowe, słyszał wewnętrzny szum, jakby w jego głowie powiewał leniwy wiatr. Po policzkach spływała mu krew, gorąca jak łyż, nozdrza wypełniał ostry, duszący odór palącej się gumy i plastiku. I jeszcze coś: ciężka woń pieczonego mięsa.

Kiedy spróbował się przetoczyć, zorientował się, że leży na nim Anders. Dowódca przyjął na siebie siłę wybuchu, żeby go ochronić. Jego twarz i nagie ramiona, tam gdzie spalił się mundur, były poparzone i dymiły. Spłonęły mu wszystkie włosy na głowie, została naga czaszka. Lindros omal nie wymiotował, wzdrygnął się i rzucił z siebie zwłoki. Wstał i znów poczuł mdłości.

Dobiegł go jakiś terkot, dziwnie przytłumiony, jakby dochodził z bardzo daleka. Odwrócił się i zobaczył, że ludzie Skorpiona Jeden wyskakują z wraka chinooka i się ostrzeliwiają.

Jednego z nich skosiła seria z broni automatycznej. Lindros zareagował instynktownie. Podpełzł do zabitego, chwycił jego XM8 i otworzył ogień.

Komandosi Skorpiona Jeden byli odważni, dobrze wyszkoleni i doświadczeni. Wiedzieli, kiedy strzelać, a kiedy się kryć. Mimo to krzyżowy ogień zupełnie ich zaskoczył, bo koncentrowali się wyłącznie na przeciwniku przed sobą. Jeden po drugim dostawali postrzały, najczęściej wielokrotne.

Lindros podjął walkę, choć został już sam. O dziwo, nikt do niego nie strzelał, pociski omijały go z daleka. Zaczaj się nad tym zastanawiać, gdy w XM8 zabrakło amunicji. Stał z dymiącym karabinem szturmowym w ręku i patrzył, jak przeciwnicy schodzą ze szczytu.

Milczeli, byli chudzi jak tamten martwy w jaskini i mieli puste spojrzenia ludzi, którzy widzieli zbyt dużo przelanej krwi. Dwaj odłączyli się od reszty i wśliznęli do dymiącego kadłuba chinooka.

Lindros drgnął, kiedy usłyszał strzały. Jeden z przeciwników zatoczył się przez otwarte drzwi poczerńiałego helikoptera, ale po chwili drugi wyciągnął za kołnierz zakrwawionego pilota.

Nie żyje, czy tylko jest nieprzytomny? Lindros nie mógł tego sprawdzić, bo

pozostali otoczyli go ciasnym kręgiem. Zobaczył na ich twarzach osobliwy blask fanatyzmu, chorobliwie żółty płomień, który mogła zgasić tylko śmierć.

Rzucił beużyteczną broń. Chwycili go i wykręcili mu ręce do tyłu. Podnieśli z ziemi ofiary i władowali do chinooka. Podeszli dwaj z miotaczami ognia. Z przerażającą precyzją podpalili helikopter z martwymi i rannymi ludźmi w środku.

Oszołomiony Lindros, krwawiący z kilku powierzchownych ran, obserwował doskonale skoordynowane manewry. Był pod wrażeniem, imponowali mu. I wzbudzali strach. Ten, kto zaplanował tę sprytną zasadzkę i wyszkolił tych ludzi, nie był zwykłym terrorystą. Ukradkiem ściągnął z palca sygnet, upuścił na skalne osypisko i przykrył butem. Ktokolwiek rozpocznie poszukiwania, musi wiedzieć, że tu był i nie zginął wraz z innymi.

Nagle mężczyźni wokół niego się rozstąpili. W jego kierunku szedł wysoki, potężny Arab. Miał śmiałą minę, rysy człowieka pustyni i duże, świdrujące oczy. W przeciwieństwie do innych terrorystów, których przesłuchiwał Lindros, ten sprawiał wrażenie cywilizowanego. Obracał się w zachodnim świetle, korzystał z jego zdobyczy technicznych. Stali naprzeciwko siebie. Lindros patrzył w ciemne oczy Araba.

–Dzień dobry, panie Lindros – powiedział po arabsku przywódca terrorystów. Lindros wpatrywał się w niego bez mrugnięcia okiem.

–Gdzie się podział twój tupet, milczący Amerykaninie? – Arab się uśmiechnął. – Nie udawaj. Wiem, że znasz arabski. – Zabrał Lindrosowi detektor promieniowania i licznik Geigera. – Zakładam, że znalazłeś to, czego szukałeś. – Sprawdził kieszenie Lindrosa i wyjął metalowy pojemnik. – No tak. – Otworzył go i wysypał zawartość pod nogi Lindrosa. – Na twoje nieszczęście prawdziwy dowód dawno zniknął. Nie chciałbyś poznać jego miejsca przeznaczenia. – Ostatnie słowa nie były pytaniami, tylko drwiącym stwierdzeniem.

–Masz doskonały wywiad – odparł Lindros bezbłędnym arabskim, co wywołało poruszenie wśród terrorystów, ale nie zrobiło wrażenia na ich przywódcy i krępyim mężczyźnie, którego Lindros wziął za jego zastępcę.

Przywódca znów się uśmiechnął.

–Dziękuję za komplement. Ty też. Cisza.

Bez żadnego ostrzeżenia przywódca zdzielił Lindrosa w twarz tak mocno, że Amerykanin zaszczekał zębami.

–Nazywam się Fadi, Martin. Zbawiciel. Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym mówił ci po imieniu? Przez kilka następnych tygodni staniemy się sobie bliscy.

Lindros przeszedł na angielski.

–Nie zamierzam ci nic powiedzieć.

–To, co zamierzasz, i to, co zrobisz, to dwie różne rzeczy – odparł Fadi płynnie po angielsku. Schylił głowę.

Lindros skrzywił się, gdy poczuł na ramionach potworny ucisk, niemal miażdżący mu barki.

–Chciałeś zwyciężyć w tej rundzie. – Rozczarowanie Fadiego wydawało się prawdziwe. – Jakie to aroganckie z twojej strony, jakie nierozważne. Ale w końcu

jesteś Amerykaninem. Amerykanie muszą być aroganccy, bo inaczej są nikim, co, Martin? To naprawdę nierozważne.

Lindros znów pomyślał, że Fadi nie jest zwykłym terrorystą. Mimo narastającego bólu w ramionach, starał się zachować kamienną twarz. Dlaczego nie wyposażono go w kapsułkę z cyjankiem, ukrytą w ustach pod postacią zęba, jak agentów w powieściach szpiegowskich? Przypuszczał, że prędzej czy później, będzie żałował, że jej nie ma. Ale postara się wytrzymać jak najdłużej.

–Daruj sobie te stereotypy – powiedział. – Zarzucacie nam, że was nie rozumiemy, ale wy rozumiecie nas jeszcze mniej. Wcale mnie nie znasz.

–I tu się mylisz, Martin, jak w większości spraw. Znam cię całkiem dobrze. Przez jakiś czas byłeś moim... jak to mówią amerykańscy studenci?... a tak, przedmiotem kierunkowym. Studia antropologiczne czy politologia? – Poklepał go po ramieniu, jakby byli kolegami, którzy razem piją. – Kwestia semantyki. – Z szerokim uśmiechem ucałował Lindrosa w oba policzki. – Przechodzimy do drugiej rundy. – Kiedy się cofnął, miał na wargach krew. – Szukałeś mnie przez trzy tygodnie, a tymczasem ja znalazłem ciebie.

Nie starł z ust krwi Lindrosa. Zlizał ją.

CZĘŚĆ I

1

Kiedy zaczął się pojawiać ten konkretny przebłysk pamięci, panie Bourne? – zapytał doktor Sunderland.

Jason Bourne nie mógł usiedzieć na miejscu, więc spacerował po komfortowym, przytulnym pomieszczeniu, które wydawało się bardziej pokojem w prywatnym domu niż gabinetem lekarskim. Kremowe ściany, mahoniowa boazeria, solidne biurko z ciemnego drewna z nogami w kształcie pazurów, dwa fotele i mała kanapa. Na ścianie za biurkiem Sunderlanda wisiało mnóstwo dyplomów, na półkach stała imponująca liczba międzynarodowych nagród za przełomowe osiągnięcia terapeutyczne w dziedzinie psychiatrii i psychofarmakologii, w jego specjalności: leczeniu amnezji. Bourne przyjrzał się im uważnie, potem przeniósł wzrok na fotografię w srebrnej ramce stojącą na biurku.

–Jak ma na imię? – spytał. – Pańska żona.

–Katia – odparł Sunderland po chwili wahania.

Psychiatrzy nie chcą udzielać informacji o sobie i swoich rodzinach. Ale w tym wypadku... – pomyślał Bourne.

Katia miała na sobie kombinezon narciarski, na głowie wełnianą, pasiastą czapkę z pomponem. Była bardzo ładną blondynką. Wyglądało na to, że dobrze się czuje przed obiektywem. Uśmiechała się, stała pod słońce, więc przy przymrużonych oczach pojawiły się kurze łapki. Wydawała się dziwnie bezbronna.

Bourne poczuł łzy pod powiekami. Kiedyś powiedziałby, że to łzy Davida Webba. Ale dwie walczące ze sobą osobowości – David Webb i Jason Bourne, dzień i noc jego duszy – w końcu stopiły się ze sobą. Choć David Webb, były profesor lingwistyki na Uniwersytecie Georgetown, zapadał się coraz głębiej w mrok, to jednak złagodził najbardziej paranoiczne i antyspołeczne cechy Bourne'a. Bourne nie mógł żyć w normalnym świecie Webba, tak jak Webb nie mógł przetrwać w niebezpiecznym, mrocznym świecie Bourne'a.

Z rozmyślań wyrwał go głos doktora Sunderlanda.

–Proszę usiąść, panie Bourne.

Posłuchał. Z pewną ulgą przestał patrzeć na zdjęcie.

Na twarzy Sunderlanda pojawiło się szczere współczucie.

–Domyślam się, panie Bourne, że te przebłyski pamięci zaczęły się pojawiać po śmierci pańskiej żony. Taki wstrząs...

–Nie, nie wtedy – zaprzeczył szybko Jason Bourne. Skłamał. Okruchy pamięci wypłynęły na powierzchnię tamtej nocy, kiedy zobaczył Marie. Obudziły go ze snu; koszmary manifestowały swoją obecność nawet w jasnym świetle, które zapalił.

Krew. Na jego rękach, na piersi. Krew na twarzy kobiety, którą niesie. Marie! Nie, to nie Marie! Ktoś inny. Delikatna skóra na jej szyi, blada między strużkami krwi. Jej życie ścieka po nim, kapie na bruk, gdy biegnie ulicą. Dyszy w chłodzie nocy. Gdzie on jest? Dokąd biegnie? Dobry Boże, co to za kobieta?

Zerwał się wtedy, i choć był środek nocy, ubrał, wymknął na dwór i biegł przez kanadyjski krajobraz, dopóki nie dostał kolki. Kościstobiały księżyc podążał za nim

jak krwawe okruchy pamięci. Nie mógł uciec ani od jednego, ani od drugiego.

Teraz okłamywał lekarza. A czemu nie? Nie ufał mu, mimo że polecił go Martin Lindros – wicedyrektor CIA i przyjaciel – i pokazał imponujące referencje lekarza. Lindros wziął nazwisko Sunderlanda z listy dostarczonej przez Biuro dyrektora CIA. Bourne nie musiał o nic pytać przyjaciela; u dołu każdej strony dokumentu widział podpis Annę Held, asystentki dyrektora CIA, jego prawej ręki.

–Panie Bourne? – przynaglił go doktor Sunderland.

Nie, żeby to miało znaczenie. Widział twarz Marie, bladą i martwą, czuł przy sobie obecność Lindrosa, gdy słuchał słów kanadyjskiego koronera, mówiącego po angielsku z francuskim akcentem: „Wirusowe zapalenie płuc było zbyt rozległe, nie mogliśmy jej uratować. Może pocieszy pana to, że nie cierpiała. Zasnęła i już się nie obudziła”. Koroner przeniósł wzrok z martwej kobiety na jej zrozpaczonego męża i jego przyjaciela. „Gdyby wróciła wcześniej z nart...”

Bourne przygryzł wargę. „Zajmowała się naszymi dziećmi. Jamie skręcił sobie kostkę w czasie ostatniego zjazdu. Alison bardzo się tym przejęła”.

„Nie skontaktowała się z lekarzem? Kostka mogła być zwichnięta albo złamana”.

„Pan tego nie zrozumie. Moja żona, cała jej rodzina to ranczerzy, twardzi ludzie. Marie od najmłodszych lat uczono, jak ma sobie radzić z dala od cywilizacji. Niczego się nie bała”.

„Czasem trochę strachu nie zaszkodzi”, odparł koroner.

„Nie ma pan prawa jej osądzać!” – krzyknął Bourne w wielkiej złości i żalu.

„Spędza pan za dużo czasu z martwymi”, zgromił koronera Lindros. „Musi pan popracować nad swoim podejściem do ludzi”.

„Przepraszam”.

Bourne wstrzymał oddech i odwrócił się do Lindrosa.

„Dzwoniła do mnie. Myślała, że tylko się przeziębila”.

„Wcale się nie dziwię”, odparł jego przyjaciel. „Najwyraźniej najważniejsze były dla niej dzieci”.

–No więc, panie Bourne, kiedy zaczęły się te przebłyski pamięci?

Doktor Sunderland mówił po angielsku z lekkim rumuńskim akcentem. Miał wysokie czoło, mocno zarysowaną linię szczęki i wydatny nos. Jego twarz wzbudzała zaufanie, zachęcała do zwierzeń. Nosił okulary w stalowej oprawce, włosy zaczesywał gładko do tyłu w dziwnym, staromodnym stylu. Nie dla niego technologie mobilne i wiadomości tekstowe. A nade wszystko, nic wielofunkcyjnego. Był w trzyczęściowym garniturze z grubego tweedu i czerwonej muszce w białe grochy.

–Słucham. – Sunderland przechylił na bok dużą głowę, która nadawała mu wygląd sowy. – Pan wybacz, ale odnoszę wrażenie, że... jak by to powiedzieć... ukrywa pan prawdę.

Bourne natychmiast stał się czujny.

–Ukrywam...?

Lekarz wyjął piękny portfel z krokodylowej skóry. Wyciągnął studolarowy banknot i uniósł go wysoko.

–Założę się o to, że przebłyski pamięci zaczęły się tuż po tym, jak pochował pan

zonę. Ale ten zakład będzie nieważny, jeśli nie powie mi pan prawdy.

–Czy pan jest żywym wykrywaczem kłamstw? Doktor Sunderland przezornie nie odpowiedział.

–Niech pan schowa te pieniądze – odezwał się w końcu Bourne. Westchnął. – Ma pan oczywiście rację. Przebłyski pamięci zaczęły się tego dnia, kiedy ostatni raz widziałem Marie.

–Jaką formę przyjęły? Bourne się zawahał.

–Patrzyłem na nią... w domu pogrzebowym. Jej siostra i ojciec już ją zidentyfikowali i zabrali od koronera. Spojrzałem na Marie i... nie zobaczyłem jej...

–A co pan zobaczył, panie Bourne? – W cichym głosie Sunderlanda brzmiała obojętność.

–Krew. Zobaczyłem krew.

–I...?

–No... to było tylko wspomnienie. Pojawiło się nagle, bez...

–I zawsze tak jest, zgadza się? Bourne przytaknął.

–Świeża, lśniąca krew. W świetle ulicznych latarni miała niebieskawy odcień.

Pokrywała tę twarz...

–Czyją?

–Nie wiem... jakiejś kobiety... ale nie Marie. To był... ktoś inny.

–Może pan opisać tę kobietę? – zapytał doktor Sunderland.

–Właśnie o to chodzi. Nie mogę. Nie wiem... A jednak ją znam. Na pewno.

Po dłuższej chwili milczenia Sunderland zadał pytanie pozornie bez związku.

–Proszę mi powiedzieć, panie Bourne, jaka jest dzisiaj data?

–Nie mam tego rodzaju problemów z pamięcią. Sunderland pochylił głowę.

–Czekam.

–Trzeci lutego, wtorek.

–Cztery miesiące od pogrzebu, odkąd zaczęły się pańskie problemy z pamięcią.

Dlaczego tak długo nie zgłaszał się pan do specjalisty?

Znów chwila milczenia.

–W zeszłym tygodniu coś się wydarzyło – odparł w końcu Bourne. –

Zobaczyłem... swojego starego przyjaciela.

Aleks Conklin. Szedł ulicą Starego Miasta w Aleksandrii, gdzie Bourne zabrał Jamiego i Alison na ostatni spacer przed długą rozłąką. Wyszli właśnie z Baskin – Robbinsa, dzieci lodami, a tu Conklin we własnej osobie. Alex Conklin: jego mentor, twórca tożsamości Jasona Bourne'a. Nie potrafił sobie wyobrazić, gdzie byłby dzisiaj, gdyby nie Conklin.

Doktor Sunderland przechylił głowę.

–Nie rozumiem.

–Ten człowiek nie żyje od trzech lat.

–A jednak widział go pan. Bourne przytaknął.

–Zawołałem go, i kiedy się odwrócił, trzymał coś w ramionach... a właściwie kogoś. Kobietę. Zakrwawioną.

–Pańską zakrwawioną kobietę?

–Tak. Pomyślałem, że tracę rozum.

Właśnie wtedy postanowił rozstać się z synem i córką. Jamie i Alison zamieszkali u siostry i ojca Marie w Kanadzie. Rodzina prowadziła tam ogromne ranczo. Tak było lepiej dla dzieci, choć Bourne strasznie za nimi tęsknił. Ale wołał, żeby go teraz nie widziały.

Ileż to razy od tamtej pory śniły mu się chwile, których najbardziej się bał: widzi bladą twarz Marie; odbiera jej rzeczy ze szpitala; stoi w mrocznym pokoju w domu pogrzebowym obok kierownika i patrzy na ciało Marie i jej twarz, spokojną, woskową, z takim makijażem, jakiego nigdy by sobie nie zrobiła. Schylił się, wyciągnął rękę. Kierownik dał mu chusteczkę. Starł z twarzy Marie szminkę i róż. Potem ją pocałował. Zimno jej ust przepłynęło przez niego jak prąd elektryczny. Ona umarła, umarła. Moje życie z nią się skończyło. Z cichym stuknięciem opuścił wieko trumny. Potem odwrócił się do kierownika. „Zmieniłem zdanie. Trumna nie będzie otwarta. Nie chcę, żeby ktoś ją widział taką, jaka jest teraz, zwłaszcza dzieci”.

–A mimo to poszedł pan za nim – naciskał doktor Sunderland. – Fascynujące. Biorąc pod uwagę pańską historię, pańską amnezję, uraz psychiczny spowodowany przedwczesną śmiercią żony prawdopodobnie wywołał jakiś konkretny przebłysk pamięci. Domyśla się pan, jaki związek może mieć pański nieżyjący przyjaciel z tą zakrwawioną kobietą?

–Nie. – Znów skłamał. Podejrzewał, że jeszcze raz przeżywał pewną akcję, na którą Alex Conklin wysłał go lata temu.

Doktor Sunderland złączył koniuszki palców.

–Pańskie przebłyski pamięci może wywoływać cokolwiek, jeśli jest wystarczająco wyraźne: jakiś widok, zapach, dotyk, jak powracający sen. Tyle że dla pana te „sny” są jawą. To pańskie wspomnienia; prawdziwe zdarzenia. – Wziął złote pióro. – Nie ma wątpliwości, że na czele tej listy jest uraz psychiczny. A potem przekonanie, że widział pan kogoś, o kim pan wie, że nie żyje. Trudno się dziwić, że te przebłyski pamięci są coraz częstsze.

Owszem, ale ich eskalacja pogarszała jego stan psychiczny, była nie do zniesienia. Tamtego popołudnia w Georgetown zostawił dzieci same. Tylko na chwilę, ale... Przeraził się. Nadal się bał.

Marie odeszła w strasznym, bezsensownym momencie. I teraz prześladowały go nie tylko wspomnienia żony, ale też tamtych starych, cichych ulic, które drwiły z niego, wiedziały to, czego on nie wiedział, coś o nim, czego nawet się nie domyślał. Koszmar trwał: przebłyski pamięci wracały i oblewał się zimnym potem. Leżał w ciemności, absolutnie pewien, że nigdy nie zaśnie. Ale potem zapadał w ciężki, niemal narkotyczny sen. A kiedy wyłaniał się z tej otchłani, odwracał się – jeszcze we śnie – i szukał ciepłego, cudownego ciała Marie. Potem znów dostawał taki cios, jakby wpadł na niego pociąg towarowy.

Marie umarła. Odeszła na zawsze...

Suchy, rytmiczny odgłos pióra wiecznego, którym doktor Sunderland pisał w notesie, wyrwał Bourne'a z czarnej pustki.

–Te przebłyski pamięci doprowadzają mnie do szału.

–Trudno się dziwić. Trawi pana pragnienie poznania własnej przeszłości. Niektórzy mogliby nawet nazwać to obsesją... ja na pewno. Ludzie cierpiący z powodu obsesji często tracą zdolność prowadzenia... powiedzmy... normalnego życia. Nie lubię tego terminu i rzadko go używam. W każdym razie, uważam, że mogę panu pomóc. – Doktor rozłożył duże, spracowane dłonie. – Pozwoli pan, że zacznę od wyjaśnienia natury pańskiego problemu. Wspomnienia powstają wtedy, gdy impulsy elektryczne powodują, że synapsy w mózgu uwalniają neurotransmitery. Mówimy, że synapsy „odpalają”. To wywołuje jakieś chwilowe wspomnienie. Aby było stałe, musi nastąpić proces nazywany konsolidacją. Nie będę pana zanudzał szczegółami. Wystarczy powiedzieć, że konsolidacja wymaga syntezy nowych białek, stąd trwa to wiele godzin. Proces może zostać jednak zahamowany lub zmieniony przez szereg czynników... poważny uraz, na przykład, z utratą przytomności. Tak się stało w pańskim przypadku. Kiedy był pan nieprzytomny, nieprawidłowe funkcjonowanie mózgu doprowadziło do przekształcenia stałych wspomnień w chwilowe. Białka wytwarzające chwilowe wspomnienia bardzo szybko ulegają degradacji. W ciągu godzin, lub nawet minut, te wspomnienia znikają.

–Ale moje wspomnienia czasem wracają.

–Dlatego, że uraz, psychiczny, emocjonalny lub ich połączenie, może bardzo szybko zapewnić dopływ neurotransmiterów do pewnych synaps, a więc „wskrzesić” utracone wcześniej wspomnienia. – Sunderland się uśmiechnął. – Mówię to wszystko, żeby pana przygotować. Całkowite wymazanie wspomnień, choć bardziej realne niż kiedykolwiek przedtem, to nadal science fiction. Aczkolwiek mam do dyspozycji najnowsze środki i mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że jestem w stanie przywrócić panu pamięć. Ale musi pan mi dać dwa tygodnie.

–Daję panu dzisiejszy dzień, doktorze.

–Usilnie nalegam...

–Dzisiaj – powiedział z naciskiem Bourne.

Doktor Sunderland przyglądał mu się przez chwilę w zamyśleniu i stuknął złotym piórem w dolną wargę. – W tych okolicznościach... chyba mogę stłumić pańską pamięć. To nie to samo, co wymazanie wspomnień.

–Rozumiem.

–W porządku. – Doktor Sunderland klepnął się w uda. – W takim razie chodźmy do pokoju badań. Postaram się panu pomóc. – Ostrzegawczo uniósł długi palec wskazujący. – Chyba nie muszę przypominać, że manipulowanie pamięcią to bardzo ryzykowna sprawa.

–Nie musi pan – mruknął Bourne i znów ogarnęło go złe przecucie.

–Więc rozumie pan, że nie ma żadnej gwarancji. Są duże szanse, że procedura, którą zastosuję, będzie skuteczna, ale na jak długo... – Wzruszył ramionami.

Bourne skinął głową, wstał i przeszedł za lekarzem do sąsiedniego pokoju. Pomieszczenie było nieco większe od gabinetu przyjęć. Podłogę jak wszędzie pokrywało plamiste linoleum, wzdłuż ścian ciągnęły się sprzęty z nierdzewnej stali, kontuar i szafki. Jeden róg pokoju zajmowała mała umywalka, pod nią stał czerwony plastikowy pojemnik z dużą nalepką ostrzegającą o zagrożeniu dla życia. Na środku

dominował mebel o wyglądzie bardzo wygodnego, futurystycznego fotela dentystycznego. Wokół niego zwiisał z sufitu ciasny krąg kilku przegubowych ramion. Na wózkach z gumowymi kołami były dwa urządzenia o nieznanym przeznaczeniu. W sumie pokój przypominał sterylną salę operacyjną.

Bourne usiadł na fotelu i zaczekał, aż Sunderland odpowiednio ustawi wysokość siedziska i nachylenie oparcia. Lekarz sięgnął do jednego z wózków i przymocował do głowy Bourne'a osiem elektronicznych przewodów.

–Zamierzam przeprowadzić dwie serie testów pańskich fal mózgowych: jedną, kiedy będzie pan przytomny, drugą, kiedy będzie pan nieprzytomny. To bardzo ważne, żebym mógł ocenić oba stany aktywności mózgu.

–A co potem?

–To zależy, co znajdę – odpowiedział doktor Sunderland. – Ale terapia będzie polegała na stymulowaniu pewnych synaps określonymi białkami złożonymi. – Spojrzał w dół na Bourne'a. – Kluczem jest miniaturyzacja. To jedna z moich specjalności. Nie można się posługiwać białkami na mikroplaszczyźnie, nie będąc ekspertem od miniaturyzacji. Słyszał pan o nanotechnologii?

Bourne przytaknął.

–To tworzenie mikroskopijnych układów elektronicznych. W efekcie, maleńkich komputerów.

–Właśnie. – Lekarzowi rozbłysły oczy. Wydawał się bardzo zadowolony, że pacjent tyle wie. – Te białka złożone, neurotransmitery, działają jak nanoukłady. Będą wiązały i wzmacniały synapsy w tych ośrodkach mózgu, do których je skieruję, aby zablokować lub wywołać wspomnienia.

Bourne nagle zdarł z siebie przewody elektroniczne, zerwał się i bez słowa wypadł z pokoju. Niemal biegł marmurowym korytarzem. Co on robi? Pozwala, żeby ktoś majstrował mu w mózgu?

Po drodze były dwie toalety, jedna obok drugiej. Szarpnął drzwi męskiej, wtargnął do środka i oparł wyprostowane ręce na bocznych krawędziach białej porcelanowej umywalki. Spojrzał na swoją twarz w lustrze – bladą, upiorną. Popatrzył na odbicie glazury za sobą, takiej jak w domu pogrzebowym. Zobaczył Marie – leżała nieruchomo z rękami skrzyżowanymi na płaskim, umięśnionym brzuchu. Unosiła się, jakby spoczywała na barce, którą unosi wartka rzeka.

Przycisnął czoło do lustra. Natychmiast otworzyła się tama, oczy wypełniły się łzami. Przypomniawszy sobie Marie taką, jaka była, jej włosy rozwiane na wietrze, satynową skórę jej karku; ich spływ tratwą w dół Snake River, jej silne, opalone ramiona zanurzające wiosło w spienionej wodzie, bezkresne niebo Zachodu odbijające się w jej oczach; chwilę, kiedy się oświadczył w obojętnym granitowym otoczeniu Uniwersytetu Georgetown – miała na sobie czarną sukienkę na cienkich ramiączkach i wełniany płaszcz, trzymali się za ręce i śmiali w drodze na wydziałowe przyjęcie gwiazdkowe; chwilę, kiedy składali sobie przysięgę małżeńską, słońce chowające się za poszarpane, zaśnieżone szczyty kanadyjskich Gór Skalistych, ich splecione dłonie z obrączkami na palcach, usta złączone w pocałunku, serca bijące jak jedno. Przypomniawszy sobie, jak urodziła Alison. Dwa dni przed Halloween siedziała

przy maszynie do szycia i wykańczała kostium pirata – ducha dla Jamie'ego, gdy odeszły jej wody. Poród był ciężki i długi. Marie zaczęła krwawić. Omal jej wtedy nie stracił. Trzymał ją mocno i zmuszał siłą woli, by z nim została. Teraz opuściła go na zawsze...

Zdał sobie sprawę, że łka i nie może przestać.

I wtedy, jak prześladowający go upiór, z głębin pamięci znów wyłoniła się zakrwawiona twarz nieznanym kobiecie i przesłoniła jego ukochaną Marie. Kapłała krew. Niewidzące oczy patrzyły na niego. Czego ona chce? Dlaczego go nawiedza? Ścisnął skronie i jęknął. Rozpaczliwie chciał opuścić to piętro, ten budynek, ale wiedział, że nie może. Nie w takim stanie, nie teraz, gdy atakuje go własny umysł.

Doktor Sunderland czekał u siebie z zaciśniętymi wargami, cierpliwy jak głaz.

–Możemy?

Obraz zakrwawionej twarzy wciąż przytępił zmysły. Bourne wziął głęboki oddech i skinął głową.

–Zaczynajmy.

Usiadł w fotelu i doktor Sunderland znów przymocował przewody. Przesunął włącznik aparatury na wózku i zaczął obracać pokrętłami, jednymi szybko, innymi wolno, ostrożnie.

–Proszę się nie obawiać – powiedział łagodnie. – Nic pan nie poczuje. Bourne się nie obawiał.

Po chwili lekarz uruchomił inny włącznik i z aparatury wysunął się długi pas papieru podobny do elektrokardiogramu. Sunderland popatrzył na zapis przebiegu fal mózgowych Bourne'a.

Nie zrobił na wydruku żadnych notatek, tylko pokiwał głową, z czołem zachmurzonym jak niebo przed burzą. Bourne nie miał pojęcia, czy to dobry, czy zły znak.

–W porządku – odezwał się w końcu Sunderland. Wyłączył aparaturę, odsunął wózek i przysunął drugi.

Z tacy na lśniącym metalowym blacie wziął strzykawkę napełnioną przezroczystym płynem.

Lekarz odwrócił się do niego.

–Ten zastrzyk nie pozbawi pana całkowicie przytomności, tylko głęboko uśpi. Chodzi o fale delta, najwolniejsze z fal mózgowych. – Z wprawą nacisnął kciukiem tłok strzykawki i z końca igły wytrysnęło trochę płynu. – Muszę sprawdzić, czy w przebiegu fal delta są jakieś niezwykle załamania.

Bourne skinął głową i obudził się, jakby nie upłynęło ani trochę czasu.

–Jak się pan czuje? – zapytał Sunderland.

–Chyba lepiej.

–To dobrze. – Sunderland pokazał mu wydruk. – Tak jak podejrzewałem, w przebiegu pańskich fal delta była anomalia. Tutaj, widzi pan? I tutaj. – Wręczył Bourne'owi drugi wydruk. – A tu jest przebieg fal delta po kuracji. Anomalia bardzo się zmniejszyła. Na tej podstawie można przypuszczać, że przebłyski pamięci znikną całkowicie w ciągu następnych dziesięciu dni, może trochę później. Ale muszę pana

ostrzec, że przez najbliższe czterdzieści osiem godzin mogą się nasilić. Tyle czasu potrzeba, żeby synapsy przystosowały się do kuracji.

Krótki zimowy zmierzch zastępowała ciemność, gdy Bourne wyszedł po wizycie u lekarza z dużego klasycystycznego budynku z wapienia przy K Street. Poły płaszcz targane lodowatym wiatrem od Potomacu, cuchnącym fosforem i zgnilizną, smagały mu łydki.

Bourne odwrócił się od wirującego kurzu i ostrego pyłu i zobaczył w szybie kwiaciarni swoje odbicie. Na wystawie były takie same jasne kwiaty jak na pogrzebie Marie.

Z prawej strony, tuż obok niego, otworzyły się drzwi z mosiężnymi okuciami i ze sklepu wyszła kobieta z bukietem. Pociągnął nosem. Co to za zapach? Gardenie, tak. Starannie zapakowane, żeby nie zmarzły na zimnie.

W wyobraźni niósł teraz na rękach tamtą kobietę ze swojej nieznanej przeszłości, czuł na przedramionach jej ciepłą, pulsującą krew. Była młodsza, niż przypuszczał, miała dwadzieścia kilka lat. Poruszyła wargami. Przeszedł go dreszcz. Ona jeszcze żyje! Poszukała wzrokiem jego oczu. Z jej na wpół otwartych ust ciekła krew. Wymawiała jakieś słowa, niewyraźne, niezrozumiałe. Wytężył słuch. Co ona mówi? Próbuje mu coś powiedzieć? Kim jest ta kobieta?

Przy następnym podmuchu lodowatego wiatru wrócił do chłodnego waszyngtońskiego zmierchu. Straszny obraz zniknął. Czy to zapach gardenii przywołał wizerunek nieznajomej? Jest jakiś związek?

Obrócił się, gotów wrócić do doktora Sunderlanda, choć został ostrzeżony, że w najbliższym czasie nadal będzie cierpiał. Zadzwęczała komórka. Zastanawiał się przez moment, czy tego nie zignorować. Potem otworzył telefon i przyłożył do ucha.

Był zaskoczony, że dzwoni Annę Held, asystentka dyrektora CIA. Wyobraził sobie wysoką, szczupłą, trzydziestopięcioletnią brunetkę z klasycznymi rysami, ustami jak pąk róży i zimnymi szarymi oczami.

– Witam, panie Bourne. Dyrektor życzy sobie pana widzieć. – Mówiła ze środkowoatlantyckim akcentem typowym dla Brytyjczyków osiadłych w Stanach.

– Aleja nie życzę sobie widzieć jego – odparł lodowato Bourne. Annę Held westchnęła, najwyraźniej uzbierała się w cierpliwość.

– Panie Bourne, poza Martinem Lindrosem, nikt lepiej ode mnie nie wie o pańskim wrogim stosunku do Starego i całej agencji. Bóg świadkiem, że ma pan wystarczający powód: wykorzystywali pana niezliczoną ilość razy jako zasłonę, a potem robili z pana groźnego przestępcę. Ale naprawdę musi pan teraz przyjechać.

– Jest pani bardzo elokwentna. Ale nic z tego. Jeśli dyrektor ma mi coś do powiedzenia, może to zrobić przez Martina.

– Stary chce z panem porozmawiać właśnie o nim. Bourne zdał sobie sprawę, że niemal miażdży telefon.

– Co się stało z Martinem? – zapytał zimnym tonem.

– W tym rzecz. Nie wiem. Nikt tego nie wie, oprócz Starego. Przed lunchem zniknął w Wydziale Sygnałów i Kodów i jeszcze tam siedzi. Od tamtej pory nawet ja go nie widziałam. Trzy minuty temu zadzwonił do mnie i kazał mi pana sprowadzić.

–Tak się wyraził?

–Powiedział dokładnie tak: „Wiem, jak blisko są ze sobą Bourne i Lindros. Dlatego jest mi potrzebny”. Panie Bourne, błagam, niech pan przyjedzie. Mamy tu kod Mesa. W języku CIA znaczyło to alarm pierwszego stopnia.

Bourne wezwał taksówkę. Kiedy na nią czekał, myślał o Lindrosie.

Ileż to razy w ciągu ostatnich trzech lat rozmawiał z Martinem o swojej intymnej, często bolesnej sprawie utraty pamięci. Z wicedyrektorem CIA, najmniej prawdopodobnym powiernikiem! Kto by się spodziewał, że Lindros zostanie przyjacielem Jasona Bourne'a? Na pewno nie Bourne, który okazał swoją paranoiczną podejrzliwość i paranoję, kiedy Lindros zjawił się w uniwersyteckim biurze Webba niemal trzy lata temu. Oczywiście uważał, że Lindros przyszedł po to, żeby jeszcze raz spróbować go zwerbować do CIA. Nie byłoby to wcale takie dziwne. W końcu Lindros wykorzystywał swoją nowo uzyskaną władzę do reorganizacji CIA, do przekształcania jej w sprawniejszą jednostkę, zdolną stawić czoło zagrożeniom ze strony radykalnych islamskich fundamentalistów.

Takie zmiany byłyby nie do pomyślenia pięć lat temu, kiedy Stary rządził CIA żelazną ręką. Ale teraz dyrektor naprawdę był stary. Krążyły pogłoski, że mięknie, że czas, żeby się honorowo wycofał, zanim go wywalą. Bourne życzyłby sobie tego. Ale te plotki prawdopodobnie rozpuszczał sam Stary, żeby wyciągnąć z ukrycia swoich wrogów. Podstępny sukinsyn miał lepsze układy w środowisku wytrawnych graczy, które stanowiło fundament Waszyngtonu, niż ktokolwiek, kogo Bourne znał.

Przy krawężniku zatrzymała się czerwono – biała taksówka. Bourne podał kierowcy adres. Rozsiadł się wygodnie na tylnym siedzeniu i wrócił do rozmyślań.

Ku jego zaskoczeniu w rozmowie nie wypłynął temat werbunku. Przy kolacji Bourne zaczął poznawać Lindrosa z zupełnie innej strony niż podczas ich wspólnego pobytu w terenie. Zmiany, które Lindros przeprowadzał w CIA, spowodowały, że został sam. Stary bezgranicznie mu ufał i widział w nim swoje młodsze wcielenie, ale szefowie siedmiu wydziałów bali się go, bo od niego zależała ich przyszłość.

Lindros miał dziewczynę Moirę, ale poza nią nikogo bliskiego. I potrafił się wczuć w sytuację Bourne'a. „Ty nie możesz sobie przypomnieć swojego życia”, powiedział w czasie tamtej pierwszej z wielu kolacji, „a ja nie mam życia godnego zapamiętania”.

Być może podświadomie przyciągały ich do siebie głębokie, trwałe urazy, których obaj doznali. Z ich wspólnej ułomności narodziła się przyjaźń.

W końcu, tydzień temu, Bourne wziął urlop zdrowotny na Uniwersytecie Georgetown. Zadzwoił do Lindrosa, ale przyjaciel był nieosiągalny. Nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie jest wicedyrektor. Bourne'owi brakowało dokładnej, rzeczowej analizy jego coraz bardziej irracjonalnego stanu umysłu, jaką Lindros zwykle przeprowadzał. A teraz jego przyjaciela otaczała jakaś tajemnica, która wywołała alarm w CIA.

Kiedy tylko Costin Veintrop – człowiek podający się za doktora Sunderlanda – otrzymał potwierdzenie, że Jason Bourne istotnie opuścił budynek, starannie i szybko zapakował swój sprzęt do zewnętrznej kieszeni czarnej skórzanej teczki. Z jednej z dwóch głównych przegródek wyjął laptop i uruchomił system. To nie był

zwykły komputer; Veintrop, specjalista od miniaturyzacji – związanej nie tylko ludzką pamięcią – sam dostosował sprzęt do swoich potrzeb. Włączył do portu firewire cyfrowy aparat fotograficzny o wysokiej rozdzielczości i wyświetlił cztery powiększone zdjęcia pokoju badań lekarskich, zrobione pod różnymi kątami. Porównywał je z widokiem przed sobą, podchodził i poprawiał przedmioty w pomieszczeniu, żeby wyglądało dokładnie tak, jak je zastał, gdy tu wszedł piętnaście minut przed wizytą Bourne'a. Gdy skończył, zgasił światło i przeniósł się do gabinetu przyjęć.

Pozdejmował z biurka zdjęcia, zatrzymując dłużej wzrok na fotografii swojej żony Katii, jego Katii znad Bałtyku. Szczerłość była dobrym pomysłem; stał się bardziej wiarygodny w oczach Bourne'a. Dlatego użył zdjęcia swojej żony, a nie jakiejś nieznannej kobiety. Uważał, że w przykrywce – nowej tożsamości – koniecznie powinny być rzeczy, w które samemu się wierzy. Zwłaszcza jeśli ma się do czynienia z takim ekspertem, jak Jason Bourne. W każdym razie fotografia Katii podziałała na Bourne'a w pożądanym sposób. Niestety przypominała też Veintropowi, gdzie jest jego żona i dlaczego nie może się z nią zobaczyć. Na moment tak mocno zacisnął pięści, że zbieleły mu knykcie.

Nagle się otrząsnął. Dość tego użalania się nad sobą; ma robotę. Postawił laptop na rogu biurka prawdziwego doktora Sunderlanda i wyświetlił powiększone zdjęcia cyfrowe, które zrobił w tym pokoju. Podobnie jak poprzednio, skrupulatnie sprawdził, czy każdy drobiazg jest na swoim miejscu. Nie mógł tu pozostawić żadnego śladu swojej obecności.

Zadzwęczała komórka. Przyłożył ją do ucha.

–Załatwione – powiedział po rumuńsku. Mógłby mówić po arabsku, w ojczystym języku swojego pracodawcy, ale obie strony uznały, że rumuński będzie mniej kłopotliwy.

–I co? Zadowolony pan? – To nie był wzbudzający szacunek głos człowieka, który go zatrudnił. Ten brzmiał prostacko i szorstko. Należał do kogoś, kto miał zwyczaj przywoływać do porządku rozgorączkowanych zwolenników swojego szefa.

–Oczywiście. Wzmocniłem i udoskonaliłem to, co mi daliście do przetestowania. Wszystko jest tak, jak w umowie.

–To się niedługo okaże. – W dominującym tonie zniecierpliwienia zabrzmiała lekka nuta niepokoju.

–Więcej wiary, przyjacielu – odparł Veintrop i przerwał połączenie.

Spakował laptop, cyfrowy aparat fotograficzny i złącze firewire, potem włożył tweedowy płaszcz i pilśniowy kapelusz. Wziął teczkę i po raz ostatni rozejrzał się dookoła. W jego wysoko wyspecjalizowanej pracy nie było miejsca na błędy.

Zadowolony zgasił światło i w zupełnej ciemności wymknął się z gabinetu. Na korytarzu zerknął na zegarek – szesnastej czterdzieści sześć. Trzy minuty po czasie, ale jeszcze z dużym zapasem w granicach tolerancji, wyznaczonych przez pracodawcę. Był wtorek, dwudziestego trzeciego lutego, tak jak powiedział Bourne. Doktor Sunderland nie przyjmował we wtorki.

Kwatera główna CIA przy Dwudziestej Trzeciej ulicy w Northwest była oznaczona na planach miasta jako gmach Departamentu Rolnictwa. Tę iluzję pomagały stwarzać otaczające budynek wypielęgnowane trawniki, ozdobione tu i ówdzie rozłożystymi drzewami i poprzecinane krętymi, żwirowymi ścieżkami. Sam gmach wyglądał na tyle niepozornie, na ile to możliwe w mieście pełnym monumentalnej architektury. Na północ od niego wznosiły się wielkie siedziby Departamentu Stanu oraz Instytutu Medycyny i Chirurgii Marynarki Wojennej, na wschodzie Narodowej Akademii Nauk. Ze swojego biura dyrektor CIA miał trzeźwiący widok na Pomnik Weteranów Wojny Wietnamskiej i fragment białego, lśniącego Mauzoleum Lincolna.

Bourne musiał przejść przez trzy punkty kontrolne, zanim wpuszczono go do wewnętrznego holu. Stanowiska znajdowały się w ogólnie dostępnym, przeciwbombowym i przeciwpożarowym holu zewnętrznym, który był w efekcie bunkrem. Tworzyły go ukryte za ozdobnymi marmurowymi płytami i kolumnami betonowe ściany o grubości ponad pół metra, wzmocnione siatką ze stalowych prętów i warstwą kevlaru. Nie było tu szyb, które można by rozbić, a solidne osłony chroniły oświetlenie i obwody elektryczne. W pierwszym punkcie kontrolnym zażądano od Bourne'a powtórzenia hasła, zmienianego trzy razy dziennie, w drugim zeskanowano odcisk jego palca. Przy trzecim stanowisku kazano mu przyłożyć prawe oko do obiektywu groźnie wyglądającej, czarnej, matowej maszyny, która sfotografowała jego siatkówkę i porównała ją cyfrowo ze zdjęciem w archiwum. Te dodatkowe techniczne środki bezpieczeństwa były niezbędne przy istniejącej obecnie możliwości fałszowania odcisków palców za pomocą silikonowych nakładek na opuszki. Bourne wiedział coś o tym, robił to kilka razy.

Tuż przed windami znajdował się kolejny punkt kontrolny, i jeszcze jeden, tymczasowy – jak wymagał regulamin kodu Mesa – na zewnątrz wielopokojowego biura dyrektora CIA na piątym piętrze.

Za progiem grubych drzwi, pokrytych stalą i obłożonych drewnem różanym, Bourne zobaczył Annę Held. Wyjątkowo towarzyszył jej blady mężczyzna z mięśniami kulturysty.

Uśmiechnęła się słabo.

–Widziałam dyrektora kilka minut temu. Wygląda, jakby się postarzał o dziesięć lat.

–Nie przyszedłem tu z jego powodu – odparł Bourne. – Obchodzi mnie jedynie Martin Lindros. I tylko jemu ufam. Gdzie on jest?

–W terenie. Od trzech tygodni. Bóg jeden wie, co tam robi. – Annę była jak zwykle ubrana bez zarzutu w ciemnoszary kostium od Armaniego, czerwoną, jedwabną bluzkę i szpilki Manolo Blahnika na siedmiocentymetrowych obcasach. – Ale założę się o każde pieniądze, że to zamieszanie tutaj wywołały sygnały, które dyrektor dziś dostał.

Blady mężczyzna zaprowadził Bourne'a bez słowa korytarzami – celowo dezorientującym labiryntem, którym gości eskortowano za każdym razem inną drogą – do drzwi *sanctum sanctorum* dyrektora CIA. Tam odsunął się na bok, ale nie

odszedł. Jeszcze jedna oznaka kodu Mesa, pomyślał Bourne, i uśmiechnął się lekko do miniaturowego obiektywu kamery.

Chwilę później usłyszał dźwięk zdalnie sterowanego elektronicznego zamka.

Dyrektor CIA stał w przeciwległym końcu gabinetu wielkości boiska do futbolu amerykańskiego. W jednej ręce trzymał akta, w drugiej zapalonego papierosa, ignorując zakaz palenia w budynku, wprowadzony przez władze federalne. Kiedy on znów zaczął palić? – zastanawiał się Bourne. Dyrektorowi towarzyszył wysoki, muskularny mężczyzna z jasnymi włosami ostrzyżonymi na jeża i groźną miną na pociągłej twarzy. Był w nim jakiś złowieszczy spokój.

–A, jesteś wreszcie. – Stary ruszył w kierunku Bourne'a, obcasy jego półbutów robionych na zamówienie stuknęły o wypolerowaną drewnianą podłogę. Głowę wciskał w ramiona, zgarbiony jak podczas zawieruchy. Kiedy się zbliżał, oświetlały go reflektory na zewnątrz. Na jego twarzy wykwitwały białe łagodne rozbłyski.

Wyglądał na starego, zmęczonego człowieka. Policzki miał pobrużdżone jak górskie zbocze, oczy głęboko zapadnięte, skórę pod nimi zwiotczałą i pożółkłą. Świeca wypalona niemal do cna. Wetknął papierosa między wargi koloru wątroby, sygnalizując tym gestem, że nie poda Bourne'owi ręki. Dołączył do niego drugi mężczyzna.

–Bourne, to Matthew Lerner, mój nowy zastępca. Lerner, to Bourne. Uścisnęli sobie dłonie.

–Myślałem, że wicedyrektorem agencji nadal jest Martin – powiedział do Lenera zaskoczony Bourne.

–To skomplikowane. Otóż...

–Lerner wyjaśni ci to po naszej rozmowie – wtrącił się Stary.

–Jeśli się odbędzie po tym, co usłyszałem. – Bourne zmarszczył brwi, nagle zaniepokojony. – Co z Martinem?

Dyrektor się zawahał. Dawna antypatia pozostała – i że nigdy nie zniknie, Bourne przyjmował jako pewnik. Najwyraźniej obecna sytuacja okazała się na tyle trudna, by zmusić Starego do złamania własnej przysięgi, że nigdy nie poprosi Jasona Bourne'a o pomoc. Z drugiej strony, dyrektor był pragmatykiem. Musiał być, żeby utrzymać się na stanowisku, które tak długo piastował. Uodpornił się na przeciwności i często moralnie dwuznaczne kompromisy. Po prostu w takim świecie egzystował. Potrzebował teraz Bourne'a i był z tego powodu wściekły.

–Martin Lindros zaginął prawie tydzień temu. – Dyrektor od razu wydał się mniejszy, jakby miał na sobie za duży garnitur.

Bourne stał bez ruchu. Nic dziwnego, że Martin się nie odzywał.

–Co się, do cholery, stało?

Stary odpalił następnego papierosa od poprzedniego i zdusił niedopałek w popielniczce z rżniętego kryształu. Drżała mu lekko ręka.

–Martin kierował akcją w Etiopii.

–Co on robił w terenie? – zdziwił się Bourne.

–Zadałem to samo pytanie – powiedział Lerner. – Ale to była jego operacja.

–Ludzie Martina zauważyli nagle nasilenie rozmów na częstotliwościach

wykorzystywanych przez terrorystów. – Dyrektor wciągnął dym głęboko do płuc i wypuścił z cichym sykiem. – Jego analitycy to eksperci, którzy potrafią odróżnić prawdziwe informacje od fałszywych, czego nie można powiedzieć o ludziach z wydziałów antyterrorystycznych innych agencji. – Utkwił wzrok w Bourne. – Przedstawił nam wiarygodny dowód na to, że planowany jest atak na nasze trzy główne miasta: Waszyngton, Nowy Jork i Los Angeles. Co gorsza, jądrowy.

Dyrektor wziął z kredensu jakiś pakunek i wręczył Bourne'owi. W środku był mały, podłużny, metaliczny przedmiot.

–Wie pan, co to jest? – zagadnął Lerner, jakby rzucał mu wyzwanie.

–Trigatron, układ sterowanej przerwy iskrowej, w skrócie TSG. Używany w przemyśle do włączania silników o wielkiej mocy. – Bourne podniósł wzrok. – Służy też do detonowania głowic jądrowych.

–Zgadza się. Zwłaszcza ten. – Stary z ponurą miną podał Bourne'owi akta oznaczone jako DEO: tylko do wiadomości dyrektora. Zawierały bardzo szczegółowy opis tego konkretnego urządzenia. – Zwykle w układach sterowanej przerwy iskrowej do przewodzenia prądu używa się gazów: powietrza, argonu, tlenu, SF6 lub ich połączenia. Tutaj jest ciało stałe.

–Układ jednorazowego użytku.

–Właśnie. Co wyklucza wykorzystanie w przemyśle. Bourne obrócił TSG w palcach.

–Więc jedyne możliwe zastosowanie to broń jądrowa.

–W rękach terrorystów – uściślił Lerner z chmurną miną. Dyrektor wziął od Bourne'a TSG i postukał w urządzenie sękatym palcem.

–Martin szedł szlakiem nielegalnego przerzutu TSG. Trop zaprowadził go w góry w północno – wschodniej Etiopii. Uważał, że stamtąd terroryści przerzucają to dalej.

–Dokąd?

–Nie wiadomo – odparł dyrektor.

Bourne był mocno zaniepokojony, ale tego nie okazywał.

–W porządku. Posłuchajmy szczegółów.

–Sześć dni temu, o siedemnastej trzydzieści dwa czasu lokalnego, Martin i pięcioosobowa drużyna Skorpion Jeden wylądowali helikopterem w górnych partiach północnego zbocza Ras Daszanu. – Lerner podał mu kartkę. – Tu są dokładne współrzędne.

–Ras Daszan to najwyższy szczyt w górach Semien – zwrócił się dyrektor do Bourne'a. – Byłeś tam. Co więcej, znasz język miejscowego plemienia.

–O osiemnastej cztery czasu lokalnego – ciągnął Lerner – straciliśmy łączność radiową ze Skorpionem Jeden. O jedenastej sześć naszego czasu wschodniego wysłałem w tamto miejsce Skorpiona Dwa. – Wziął od Bourne'a kartkę ze współrzędnymi. – Dziś o dziesiątej czterdzieści sześć naszego czasu wschodniego dostaliśmy meldunek od Kena Jeffiiesa, dowódcy Skorpiona Dwa. Na małym płaskowyzu jego drużyna znalazła spalony wrak chinooka.

–To była ostatnia wiadomość od Skorpiona Dwa – dodał dyrektor. – Od tamtej pory nie odezwał się ani Lindros, ani nikt inny z grupy.

–W Dżibuti stacjonuje Skorpion Trzy i jest gotowy do startu – wtrącił Lerner, sprytnie unikając niezadowolonego spojrzenia Starego.

Bourne rozważał ewentualności, które mogłyby rozwiązać jego obawy o los przyjaciela.

–Stało się jedno z dwojga – powiedział z naciskiem. – Martin zginął albo wpadł w ręce wroga i jest przesłuchiwany. Akcja zespołowa to nie jest wyjście.

–W drużynach Skorpion służą niektórzy z naszych najlepszych i najbardziej bystrych agentów terenowych, doświadczeni uczestnicy walk w Somalii, Afganistanie i Iraku – zauważył Lerner. – Będzie panu potrzebna ich siła ognia, proszę mi wierzyć.

–Siła ognia dwóch drużyn Skorpion nie załatwiła problemu na Ras Daszanie. Wchodzę w to sam albo wcale.

Bourne wyraził się jasno, ale nowy wicedyrektor CIA nie kupował tego.

–To, co ty nazywasz „elastycznością”, Bourne, agencja uważa za nieodpowiedzialność, niedopuszczalne narażanie na niebezpieczeństwo ludzi wokół ciebie.

–Słuchaj, to wy mnie tu wezwaliście. Wy prosicie o przysługę.

–Dobra, zapomnijmy o Skorpionie Trzy – powiedział Stary. – Wiem, że pracujesz sam.

Lerner zamknął akta.

–Dostaniesz wszystkie informacje wywiadowcze, każdy transport i wsparcie, jakie będzie ci potrzebne.

Dyrektor zrobił krok w kierunku Bourne'a.

–Wiem, że nie zrezygnujesz z okazji, żeby poszukać swojego przyjaciela.

–Tu ma pan rację. – Bourne ruszył spokojnie do drzwi. – Róbcie sobie, do cholery, co chcecie, z ludźmi, którymi dowodzicie. Poszukam Martina bez waszej pomocy.

–Zaczekaj. – Głos Starego zabrzmiał w wielkim gabinecie jak gwizd pociągu jadącego przez ciemną i pustą okolicę. Przyprawiona jadem mieszanka smutku i cynizmu. – Zaczekaj, draniu.

Bourne odwrócił się wolno.

Dyrektor mიაždzył go wzrokiem pełnym gorzkiej nienawiści.

–Nie rozumiem, jak Martin potrafi się z tobą dogadać – Z rękami splecionymi za plecami podszedł wojskowym krokiem do okna i popatrzył na wypielęgnowany trawnik i Pomnik Weteranów Wojny Wietnamskiej. Odwrócił się i utkwiał w Bournie wrogie spojrzenie. – Twoja arogancja mnie oburza.

Bourne patrzył na niego bez słowa.

–Dobra, żadnej smyczy – warknął dyrektor. Trząsał się z ledwo hamowanego gniewu. – Lerner dopilnuje, żebyś dostał wszystko, czego będziesz potrzebował. Ale mówię ci: lepiej, do cholery, sprowadź Martina Lindrosa z powrotem.

Lerner zaprowadził Bourne'a korytarzem do swojego pokoju. Usiadł za biurkiem. Kiedy zorientował się, że Bourne woli stać, odchylił się do tyłu.

–To, co zamierzam ci powiedzieć, nie może w żadnym wypadku wyjść poza te cztery ściany. Stary mianował Martina szefem sekcji tajnych operacji o nazwie Tyfon, zajmującej się wyłącznie zwalczaniem ekstremistycznych muzułmańskich ugrupowań terrorystycznych.

Bourne przypomniał sobie, że Tyfon to przerażający potwór z mitologii greckiej: stugłowy ojciec zabójczej hydry lernejskiej.

–Mamy już Centrum Antyterrorystyczne, CTC.

–CTC nie wie o istnieniu Tyfona – wyjaśnił Lerner. – Nawet w naszej agencji wiedzą o nim tylko ci, którzy naprawdę muszą.

–Więc Tyfon to podwójnie tajne operacje. Lerner kiwnął głową.

–Tak, nie mieliśmy podobnej sekcji od czasów Treadstone. Ale są ważne powody. Sprawa Tyfona jest, można by rzec, mocno kontrowersyjna z punktu widzenia potężnych elementów reakcjonistycznych w administracji i Kongresie. – Zaciśnął wargi. – Przejdę do rzeczy. Lindros stworzył Tyfona od podstaw. Po pierwsze, to właściwie nie sekcja, tylko samodzielna agencja. Lindros nalegał, żeby uwolnić go od rządowej biurokracji. Poza tym jego organizacja ma z konieczności zasięg światowy; obsadził już placówki w Londynie, Paryżu, Stambule, Dubaju, Arabii Saudyjskiej i trzech miejscach w Afryce. Po drugie, Martin zamierza infiltrować komórki terrorystyczne, żeby zniszczyć siatki od wewnątrz.

–Infiltracja – wychwycił Bourne. Więc o to chodziło Martinowi, kiedy mu się zwierzył, że jeśli nie liczyć dyrektora, jest w agencji zupełnie sam. – To święty cel jednostek antyterrorystycznych, ale jak dotąd, żadnej nie udało się nawet do niego zbliżyć.

–Bo pracuje dla nich bardzo niewielu muzułmanów i jeszcze mniej arabistów. W całym FBI tylko trzydzieści trzy z dwunastu tysięcy osób znają jako tako arabski i żadna z nich nie pracuje w sekcjach biura zajmujących się terroryzmem w granicach naszego państwa. Nie bez powodu. Czołowi członkowie administracji wciąż niechętnie korzystają z usług muzułmanów i zachodnich arabistów. Po prostu im nie ufają.

–Głupota i krótkowzroczność – stwierdził Bourne.

–Ale są odpowiedni ludzie i Lindros po cichu ich werbował. – Lerner wstał. – To tyle, dla ogólnej orientacji. Twój następny postój, jak sądzę, będzie w Tyfonie.

Jak przystało na podwójnie tajną agencję antyterrorystyczną, Tyfon był głęboko ukryty. Podziemia gmachu CIA przerobiła firma budowlana, której wszyscy pracownicy zostali dokładnie sprawdzeni, zanim kazano im podpisać poufną umowę, gwarantującą im dwudziestoletni pobyt w specjalnie strzeżonym więzieniu federalnym, gdyby okazali się na tyle głupi lub chciwi, żeby przerwać milczenie. Dostawy wyposażenia dla podziemia trafiały do aneksu.

Przed wyjściem z biura dyrektora Bourne wstąpił na chwilę do Anne Held. Uzbrojony w nazwiska dwojga agentów specjalnych, którzy podsłuchali rozmowę

będącą powodem wyprawy Martina Lindrosa na drugi koniec świata tropem przerzutu TSG, wszedł do prywatnej windy, kursującej między piętrem dyrektorskim i podziemiem.

Kiedy kabina zatrzymała się z cichym syknięciem, ożył panel LCD na lewej połowie drzwi i elektroniczne oko popatrzyło na lśniący czarny ośmiokąt, który Annę przypięła do klapy marynarki Bourne'a – w oktagonie był zakodowany numer, widoczny tylko dla skanera. Dopiero wtedy rozsunęły się stalowe drzwi.

Martin Lindros kazał zrobić w podziemiu jedną ogromną halę z ruchomymi stanowiskami pracy. Do każdego prowadziły z sufitu wiązki przewodów elektronicznych. Kable tkwiły w szynach, więc mogły się przemieszczać, gdy personel zmieniał miejsce zależnie od wykonywanego zadania. W przeciwnym końcu Bourne zobaczył szereg sal konferencyjnych, oddzielonych od głównego pomieszczenia stalowymi panelami i szybami z mrożonego szkła.

Siedzibę agencji ochrzczonej imieniem potwora b dwustu oczach wypełniały monitory. Ściany były mozaiką płaskich ekranów plazmowych, na których wyświetlały się przyprawiające o zawrót głowy obrazy cyfrowe: mapy satelitarne, ujęcia z kamer w miejscach publicznych, widoki węzłów komunikacyjnych: portów lotniczych, dworców autobusowych, stacji kolejowych, skrzyżowań ulic i autostrad, rozjazdów podmiejskich linii kolejowych i stacji metra na świecie – Bourne rozpoznał metro w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu i Moskwie. Ludzie o różnej posturze, wszystkich wyznań i narodowości chodzili, kręcili się bezmyślnie, stali niezdecydowani, siedzieli rozwaleni na ławkach, palili, wsiadali i wysiadali z pojazdów, rozmawiali ze sobą, ignorowali się wzajemnie, używali iPodów, robili zakupy, jedli w biegu, całowali się, przytulali, wymieniali cierpkie słowa, byli obojętni, mieli komórki przy uszach, odbierali i wysyłali e – maile, oglądali filmy porno, kulili się, garbili, upijali, bili ze sobą, przeżywali zakłopotanie na pierwszych randkach, czaili się i mamrotali pod nosem. Natrętny chaos niezmontowanych przekazów wideo, w których analitycy musieli znajdować specyficzne wzorce, cyfrowe znaki, elektroniczne sygnały ostrzegawcze.

Lerner najwyraźniej uprzedził personel podziemia o wizycie Bourne'a, bo od ekranu oderwała się interesująca młoda kobieta około trzydziestu pięciu lat i ruszyła w kierunku gościa. Bourne od razu rozpoznał w niej byłą lub obecną agentkę terenową. Stawiała nie za długie i nie za krótkie kroki, nie szła ani za szybko, ani za wolno. Ponieważ sposób chodzenia wyróżnia człowieka tak jak linie papilarne, po chodzie można rozpoznać w tłumie przechodniów swojego przeciwnika, nawet jeśli jest doskonale zamaskowany.

Kobieta miała mocne rysy. Jej dumna twarz przypominała wyrzeźbiony dziób smukłego statku, tnącego fale, które przewróciłyby słabsze jednostki. Duże, ciemnoniebieskie oczy wyglądały jak klejnoty na cyfrowym tle arabskiej skóry.

–Soraja Moore, jak się domyślam – zaczął. – Starsza agentka specjalna.

Jej uśmiech trwał chwilę, potem szybko zniknął za chmurą zmieszania i nagłego chłodu.

–Zgadza się, panie Bourne. Tędy.

Poprowadziła go przez całą długość rozległego, tętniącego życiem pomieszczenia do sali konferencyjnej drugiej od lewej. Otworzyła szklane drzwi i obserwowała go z dziwną ciekawością, gdy przekraczał próg. Ale biorąc pod uwagę jego często wrogi stosunek do agencji, może ta ciekawość wcale nie była dziwna.

W środku zastali mężczyznę młodszego co najmniej o kilka lat od Sorai. Był średniego wzrostu, muskularny, miał blond włosy i jasną cerę. Siedział przy owalnym szklanym stole konferencyjnym i pracował na laptopie. Ekran wypełniało coś, co przypominało wyjątkowo trudną krzyżówkę.

Mężczyzna zerknął w górę dopiero wtedy, gdy Soraja odchrząknęła.

–Tim Hytner – przedstawił się, nie wstając.

Kiedy Bourne usiadł między dwójką agentów, zorientował się, że krzyżówka, którą próbuje rozwiązać Hytner, to szyfr – dość skomplikowany.

–Za pięć godzin mam samolot do Londynu – oznajmił Bourne. Chodzi mi o układy sterowanej przerwy iskrowej. Powiedzcie mi to, co muszę wiedzieć.

–Podobnie jak materiały rozszczepialne, TSG figurują w spisie pozycji objętych najbardziej ścisłymi ograniczeniami na świecie – zaczął Hytner. – A dokładniej, mają numer 2641 na rządowej liście kontrolnej.

–Więc informacja, która tak podnieciła Lindrosa, że nie mógł się powstrzymać od wyprawy w teren, dotyczyła przerzutu TSG.

Hytner wrócił do prób złamania szyfru, więc dalej mówiła Soraja.

–Cała sprawa zaczęła się w RPA, konkretnie w Kapsztadzie.

–Dlaczego tam? – zapytał Bourne.

–W okresie apartheidu ten kraj stał się rajem dla przemytników. – Mówiła szybko, rzeczowo, ale z wyraźną obojętnością. – Teraz, kiedy RPA jest na naszej „białej liście”, amerykańscy producenci mogą eksportować tam TSG.

–Które potem „giną” – wtrącił Hytner bez odrywania wzroku od liter na ekranie.

–Zgadza się – przytaknęła Soraja. – Przemytników trudniej wytępić niż karaluchy. Jak pewnie pan się domyśla, w Kapsztadzie nadal działa ich siatka i są bardzo wyrafinowani.

–A skąd pochodziła informacja? – spytał Bourne.

Nie patrząc na niego, Soraja podała mu wydruki komputerowe.

–Przemytnicy porozumiewają się przez komórki. Używają tanich telefonów na kartę, dostępnych w każdym supermarkecie. Korzystają z nich jeden dzień, czasem może tydzień, jeśli wpadnie im w ręce inna karta SIM. Potem je wyrzucają i kupują następne.

–Pozornie nie do wytropienia. – Hytner był spięty. Dawał z siebie wszystko, żeby złamać szyfr. – Ale jest sposób.

–Zawsze jest jakiś sposób – zauważył Bourne.

–Zwłaszcza jeśli ma się wujka w firmie telefonicznej. – Hytner posłał Sorai szybki uśmiech.

Nadal zachowywała się powściągliwie.

–Wujek Kingsley przeniósł się trzydzieści lat temu do Kapsztadu. Mówił, że Londyn jest dla niego zbyt ponury. Szukał miejsca, gdzie jeszcze są perspektywy. –

Wzruszyła ramionami. – W każdym razie, mieliśmy szczęście. Wyłapaliśmy rozmowę dotyczącą tego konkretnego transportu. Treść jest na drugiej stronie. Facet mówi jednemu ze swoich ludzi, że ładunek nie może pójść zwykłymi kanałami.

Bourne zauważył, że Hytner przygląda mu się z zaciekawieniem.

–A wyjątkowe w przetrzucie tego „zaginionego” transportu było to, że zbiegł się w czasie z określonym zagrożeniem dla Stanów Zjednoczonych – dodał Bourne.

–I to, że mamy przemytnika za kratkami – dodał Hytner. Bourne przesunął palcem w dół tekstu na drugiej stronie wydruku.

–Czy zatrzymanie go nie było ryzykowne? Możecie zaalarmować jego klienta.

Soraja pokręciła głową.

–Wątpię. Ci ludzie korzystają z jednego źródła tylko raz, potem je zmieniają.

–Więc wiecie, kto kupił TSG.

–Powiedzmy, że mamy mocne podejrzenia. Dlatego Lindros osobiście wyruszył w teren.

–Słyszał pan o Dudźdży? – zapytał Hytner. Bourne sięgnął do swojej pamięci.

–Przypisuje się jej co najmniej tuzin zamachów w Jordanii i Arabii Saudyjskiej.

Ostatni nastąpił w zeszłym miesiącu w Wielkim Meczezie w Chanakinie, sto czterdzieści pięć kilometrów na północny wschód od Bagdadu. Wybuch bomby zabił tam dziewięćdziesiąt pięć osób. O ile sobie przypominam, Dudźdża jest też podobno odpowiedzialna za zabójstwa dwóch członków saudyjskiej rodziny królewskiej, jordańskiego ministra spraw zagranicznych i szefa irackich sił bezpieczeństwa wewnętrznego.

Soraja wzięła z powrotem wydruki i odłożyła na bok.

–Wydaje się niewiarygodne, żeby jedno ugrupowanie dokonało tylu zamachów, prawda? A jednak. Wszystkie łączy jedno: Saudyjczycy. W tamtym meczecie odbywało się tajne spotkanie w interesach z udziałem saudyjskich emisariuszy wysokiego szczebla. Jordański minister spraw zagranicznych był osobistym przyjacielem rodziny królewskiej, a szef irackich sił bezpieczeństwa głośno popierał Stany Zjednoczone.

–Znam tajne materiały na ten temat – oznajmił Bourne. – Wszystkie zamachy były doskonale przygotowane i zorganizowane. W większości z nich nie uczestniczyli samobójcy i nie złapano nikogo ze sprawców. Kto stoi na czele Dudźdży?

Soraja schowała wydruki do teczki na akta.

–Fadi.

–Fadi to po arabsku zbawiciel – zauważył Bourne. – To musi być przybrane imię.

–Cóż, nie wiemy o nim nic więcej – powiedział kwaśno Hytner. – Nie znamy nawet jego prawdziwego nazwiska.

–Coś jednak wiemy – odparł Bourne. – Po pierwsze, zamachy Dudźdży są tak dobrze zorganizowane, że można śmiało przyjąć, iż Fadi albo jest wykształcony na Zachodzie, albo ma bliski kontakt z zachodnią cywilizacją. Po drugie, jego ludzie są doskonale uzbrojeni. Dysponują nowoczesną bronią która zwykle nie wchodzi w skład wyposażenia arabskich terrorystów czy też muzułmańskich fundamentalistów.

Soraja skinęła głową.

–Zgadza się. Dudźdża to jedno z ugrupowań nowej generacji; współpracuje z organizacjami przestępczymi: handlarzami narkotyków z południowej Azji i Ameryki Łacińskiej.

–Moim zdaniem – wtrącił się Hytner – dyrektor Lindros dostał tak szybko zgodę Starego na stworzenie Tyfona, bo przekonał go, że naszym najważniejszym zadaniem jest namierzenie i zlikwidowanie Fadiego. – Zerknął w górę. – Z każdym rokiem Dudźdża staje się silniejsza i ma coraz większe wpływy wśród muzułmańskich ekstremistów. Nasze informacje wywiadowcze wskazują, że do Fadiego dołącza mnóstwo ludzi.

–Mimo to, na razie żadnej agencji nie udało się go znaleźć, nawet nam – dodała Soraja.

–Ale w końcu my istniejemy dopiero od niedawna – zauważył Hytner.

–Kontaktowaliście się z saudyjską służbą bezpieczeństwa? – zapytał Bourne. Soraja zaśmiała się gorzko.

–Jeden z naszych informatorów przysięga, że ta służba jest na tropie Dudźdży. Ale Saudyjczycy zaprzeczają.

–Zaprzeczają też, że mają jeszcze duże złoża ropy – prychnął Hytner. Soraja zamknęła akta i ułożyła je porządnie.

–Wiem, że w terenie są ludzie, którzy nazywają pana Kameleonem z powodu pańskiej legendarnej umiejętności maskowania się. Ale Fadi, ktokolwiek to jest, to naprawdę kameleon. Choć dostaliśmy potwierdzone informacje wywiadowcze, że nie tylko planuje zamachy, ale również w wielu z nich bierze czynny udział, dotąd nie mamy jego zdjęcia.

–Nawet portretu pamięciowego – dodał z wyraźnym niezadowoleniem Hytner. Bourne zmarszczył brwi.

–Dlaczego myślicie, że Dudźdża kupiła TSG od tego dostawcy?

–Wiemy, że facet ukrywa ważne informacje. – Hytner wskazał ekran laptopa. – Znaleźliśmy ten szyfr na jednym z guzików jego koszuli. Z tego co wiemy, Dudźdża jest jedynym ugrupowaniem terrorystycznym, które używa tak skomplikowanych szyfrów.

–Chciałbym go przesłuchać.

–Soraja tu rządzi – mruknął Hytner. – Musi pan ją zapytać. Bourne odwrócił się do agentki.

Soraja wahała się tylko przez moment. Potem wstała i wskazała drzwi.

–Chodźmy. Bourne się podniósł.

–Tim, niech pan zrobi kopię tego szyfru, i za piętnaście minut przyjdzie po nas. Hytner zerknął w górę i zmrużył oczy, jakby Bourne stał w oślepiającym blasku.

–Nie skończę tego za piętnaście minut.

–Skończy pan. – Bourne otworzył drzwi. – A przynajmniej tak pan powie.

Do cel dla zatrzymanych prowadziły krótkie, strome schody z perforowanej stali. W przeciwieństwie do jasno oświetlonego centrum operacyjnego Tyfona, ta przestrzeń była mała, ciemna i ciasna.

Bourne przystanął u podnóża schodów.

–Czymś panią obraziłem?

Soraja przyglądała mu się przez chwilę, jakby nie wierzyła własnym oczom.

–Facet nazywa się Hiram Cevik. – Nie odpowiedziała na pytanie. – Pięćdziesiąt jeden lat, żonaty, troje dzieci. Z pochodzenia Turek. W wieku osiemnastu lat wyemigrował na Ukrainę. Ostatnie dwadzieścia trzy lata spędził w Kapsztadzie. Ma firmę importowo – eksportową. Większość jego interesów jest legalna, ale wygląda na to, że od czasu do czasu pan Cevik robi coś zupełnie innego. – Wzruszyła ramionami. – Może jego kochanka lubi diamenty, a może facet ma zamiłowanie do hazardu.

–W dzisiejszych czasach trudno związać koniec z końcem – zauważył Bourne.

Soraja miała taką minę, jakby z trudem powstrzymywała śmiech.

–Rzadko trzymam się reguł – uprzedził Bourne. – Ale cokolwiek mówię albo robię, tak ma być. Jasne?

Przez moment patrzyła mu głęboko w oczy. Czego ona szuka? – zastanawiał się Bourne. O co jej chodzi?

–Znam pańskie metody – oznajmiła lodowatym tonem.

Cevik opierał się o ścianę celi i palił papierosa. Na widok towarzyszącego Sorai Bourne'a wypuścił kłęb dymu.

–A to kto, kawaleria czy inkwizycja? – zapytał. Bourne obserwował go, kiedy Soraja otwierała drzwi.

–Więc inkwizycja. – Cevik rzucił niedopałek i rozgniół go butem. – Żona wie o moim zamiłowaniu do hazardu... i o kochance.

–Nie zamierzam pana szantażować. – Bourne wszedł do celi. Czuł za sobą Soraję. Zaczęła go swędzieć głowa. Soraja miała broń i była gotowa jej użyć przeciwko więźniowi, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Perfekcjonistka, Bourne to wyczuwał.

Cevik odszedł od ściany, stanął z rękami wzdłuż boków i lekko zgiętymi palcami. Był wysoki, barczysty jak rugbista i miał złociste oczy kota.

–Sądząc po pańskiej imponującej muskulaturze, zapowiada się przymus fizyczny. Bourne rozejrzał się po celi, żeby wczuć się w położenie więźnia. Błysk czegoś na wpół zapomnianego, uczucie mdłości.

–To by mi nic nie dało – odparł szybko, żeby się uwolnić od natrętnych odczuć.

–To prawda.

Nie zabrzmiało to jak przechwałka. Proste stwierdzenie faktu powiedziało Bourne'owi o Ceviku więcej niż wielogodzinne przesłuchanie. Znów utkwił wzrok w Turku z RPA.

–Jak rozwiążemy ten problem? – Bourne rozłożył ręce. – Pan chce stąd wyjść. Ja potrzebuję informacji. Proste.

Cevik zaśmiał się lekko.

–Gdyby to było takie proste, przyjacielu, już dawno opuściłbym tę cuchnącą celę.

–Nazywam się Jason Bourne. Nie jestem ani pańskim strażnikiem, ani przeciwnikiem. – Urwał. – Chyba że pan tego chce.

–Wątpię, żebyś kiedykolwiek miał na to ochotę – odparł Cevik. – Słyszałem o

panu.

Bourne wykonał szybki ruch głową.

–Chodźmy.

Soraja zagroziła im drogę.

–To nie jest dobry pomysł.

Bourne dał jej ręką znak, który zignorowała.

–To poważne naruszenie zasad bezpieczeństwa.

–Uprzedzałem panią... Proszę się odsunąć.

Kiedy Bourne i Cevik omijali ją, przyłożyła do ucha komórkę. Ale dzwoniła do Tima Hytnera, nie do Starego.

Choć była noc, reflektory tworzyły na trawniku i ścieżkach srebrzyste oazy pośród wieloramiennych cieni bezlistnych drzew. Bourne szedł obok Cevika. Soraja Moore trzymała się pięć kroków za nimi jak sumienna przyzwoitka, z wyrazem dezaprobaty na twarzy i ręką na kaburze pistoletu.

Gwałtowny przymus wewnętrzny – wywołany w celi strzępem wspomnienia – kazał Bourne'owi wykorzystać technikę przesłuchania stosowaną wobec więźniów szczególnie odpornych na tortury i deprywację sensoryczną. Nagle nabrał całkowitej pewności, że jeśli Cevik posmakuje świeżego powietrza, zobaczy otwartą przestrzeń po dniach zamknięcia w celi, dotrze do niego, co może zyskać, odpowiadając zgodnie z prawdą na pytania. I co może stracić.

–Komu pan sprzedał TSG? – zapytał Bourne.

–Już to mówiłem tej za nami. Nie wiem. To był tylko głos w telefonie.

Bourne odniósł się do tego sceptycznie.

–Sprzedaje pan TSG przez telefon?

–Za pięć milionów, owszem.

Wiarygodna odpowiedź, ale czy zgodna z prawdą?

–Rozmawiał pan z mężczyzną czy z kobietą?

–Z mężczyzną.

–Jaki miał akcent?

–Brytyjski, już im mówiłem.

–A dokładniej?

–Co, nie wierzy mi pan?

–Proszę się głębiej zastanowić i bardziej postarać. Niech pan chwilę pomyśli, a potem powie mi, co pamięta.

–Nic. Ja... – Cevik przystanął w krzyżujących się cieniach kwitnącej dzikiej jabłoni. – Zaraz. Być może... ale tylko być może... w tym głosie brzmiała egzotyczna nuta, jakby wschodnioeuropejska.

–Mieszkał pan wiele lat na Ukrainie, prawda?

–Przyłapał mnie pan. – Cevik się skrzywił. – To mógł być Słowianin. Słyszałem akcent... być może z południowej Ukrainy. W Odessie, na północnym wybrzeżu Morza Czarnego, gdzie mieszkałem, mówi się trochę innym dialektem, wie pan?

Bourne oczywiście wiedział, ale się nie odezwał. Odliczał w głowie czas do chwili, kiedy zjawi się Tim Hytner z „rozkodowanym” szyfrem.

–Nadal mnie pan okłamuje – stwierdził obojętnym tonem. – Musiał pan widzieć kupca, kiedy odbierał TSG.

–A jednak nie widziałem. Załatwiliśmy interes przez skrzynkę kontaktową.

–Z głosem w telefonie? Nie czaruj, Cevik.

–Naprawdę. Podał mi czas i miejsce. Zostawiłem połowę towaru i wróciłem godzinę później po część zapłaty. Następnego dnia dokończyliśmy transakcję. Nikogo nie widziałem i niech mi pan wierzy, że nie chciałem.

Bourne pomyślał, że to też możliwe – i sprytnie zorganizowane. Jeśli to prawda.

–Ludzie z natury są ciekawi.

–Może i tak – zgodził się Cevik. – Ale nie spieszyło mi się do piachu. Ten człowiek... jego ludzie obserwowali skrzynkę kontaktową. Zastrzeliliby mnie na miejscu. Wie pan o tym, Bourne. Zna pan takie sytuacje.

Cevik wytrząsnął z paczki papierosa, poczęstował Bourne'a, potem sam wziął jednego. Przypalił go zapalką z kartonika, który był już prawie pusty, i wychwycił baczne spojrzenie Bourne'a.

–W celi nic się nie zapali, więc pozwolili mi je zatrzymać.

Bourne usłyszał w głowie echo, jakby jakiś głos mówił do niego z bardzo daleka. Zabrał Cevikowi zapalki.

„W celi nic się nie zapali”. Te słowa odbijały się w głowie Bourne'a jak kulka w automacie do gry.

–Siedział pan kiedyś w więzieniu, panie Bourne?

„W celi nic się nie zapali”, rozbrzmiewało echo, jakby próbowało zaćmić umysł i rozum.

Z niemal bolesnym stęknieniem Bourne popchnął Cevika naprzód i ruszyli dalej; Bourne chciał go mieć w świetle. Kątem oka dostrzegł Tima Hytnera – szedł szybko w ich kierunku.

–Wie pan, co to znaczy stracić wolność? – Cevik usunął drobinę tytoniu z dolnej wargi. – Całe życie klepać biedę? Ubóstwo jest jak oglądanie pornografii; kiedy się zacznie, nie ma odwrotu. Życie bez nadziei...

Bourne'a bolała głowa, każde słowo było jak uderzenie młotkiem w czaszkę. Z ogromnym trudem zdał sobie sprawę, że Cevik stara się po prostu odzyskać grunt pod nogami. Przesłuchujący nigdy nie powinien odpowiadać na pytania. To podstawowa zasada. Jeśli ją złamie, straci absolutną władzę.

Zmarszczył czoło. Chciał coś powiedzieć; ale co?

–Nie łudź się. Mamy cię w garści.

–Mnie? – Cevik uniósł brwi. – Jestem nikim. Pośrednikiem, to wszystko. Musicie znaleźć mojego klienta. Czego ode mnie chcecie?

–Wiemy, że możesz nas doprowadzić do kupca.

–Nie, nie mogę. Już mówiłem...

Hytner zbliżał się przez atramentowy mrok i szkliste światło. Co on tu robi? Bourne'owi łupało w głowie, nie pamiętał. Wreszcie sobie przypomniał; umknęło mu to jak ryba, potem znów się pojawiło.

–Złamaliśmy szyfr, Cevik.

Hytner wręczył Bourne'owi kartkę. Ten omal jej nie upuścił, tak go zaprzętało dzwonięcie w mózgu.

–Nie było łatwo – wysapał Hytner. – Ale w końcu to rozgryzłem. Piętnasty algorytm, którego użyłem, okazał się...

Nie dokończył. Zaszokowany krzyknął z bólu, gdy Cevik nagle wetknął mu ognek papierosa w lewe oko, obrócił go przed sobą i opasał szyję lewym ramieniem.

–Zróbcie jeden krok w moim kierunku, a skrećę mu kark – ostrzegł cicho.

–Zaraz cię załatwimy. – Soraja zerknęła szybko na Bourne'a. Podchodziła z wycelowanym pistoletem w wyprostowanej ręce, drugą dłonią podpierała chwyt broni. Czekwała na ruch przeciwnika. – Ty nie chcesz umrzeć, Cevik. Pomyśl o swojej żonie i trójce dzieci.

Bourne stał jak skamieniały. Cevik wyszczerzył zęby.

–Pomyśl o pięciu milionach.

Na moment zerknął na nią złocistymi oczami. Ale już się cofał, przyciskając mocno do piersi krwawiącą ludzką tarczę.

–Nie masz dokąd uciec – stwierdziła sensownie Soraja. – Wokół jest pełno agentów, a zakładnik cię spowalnia.

–Myślę o pięciu milionach. – Oddalał się od nich i blasku lamp sodowych. Kierował się w stronę Dwudziestej Trzeciej, za którą wznosił się budynek Narodowej Akademii Nauk.

A tam było więcej ludzi – zwłaszcza turystów – utrudniających pościg.

–Koniec z więzzeniami. Nie będę siedział ani dnia dłużej.

„W celi nic się nie zapali”. Bourne miał ochotę wrzeszczeć. A potem nagła eksplozja pamięci wymazała nawet te słowa: biegł po starym bruku, nozdrza wypełniał mu ostry zapach minerałów niesiony wiatrem. Ciężar w jego ramionach wydał się nagle zbyt wielki, by go dźwigać. Spojrzał w dół i zobaczył Marie – nie, to była zakrwawiona twarz nieznanego! Wszędzie krew, wypływająca z kobiety, choć gorączkowo starał się zatamować strumień...

–Nie bądź idiotą – mówiła Soraja do Cevika. – Kapsztad? Nie ukryjesz się przed nami. Ani tam, ani nigdzie indziej.

Cevik przekrzywił głowę.

–Ale zobacz, co mu zrobiłem.

–Jest okaleczony, nie martwy – wycedziła. – Puść go.

–Jeśli dasz mi swoją broń. – Uśmiechnął się ironicznie. – Nie? A widzisz. W waszych oczach jestem już trupem, prawda, Bourne?

Bourne bardzo wolno otrząsał się z koszmaru. Zobaczył, że Cevik wchodzi na Dwudziestą Trzecią ulicę, ściągając Hytnera z krawężnika jak odporne dziecko.

Kiedy Bourne rzucił się ku niemu, Cevik pchnął Hytnera w ich kierunku.

Potem wszystko stało się jednocześnie. Hytner zatoczył się, zapiszczały opony nadjeżdżającego czarnego hummera, tuż za nim ciągnik siodłowy z naczepą pełną nowych motocykli Harley – Davidson skręcił ostro, żeby uniknąć kolizji. Przy dźwięku klaksonów omal nie uderzył w czerwonego lexusa. Przerażony kierowca Japończyka” wpadł na dwa inne samochody. W pierwszym ułamku sekundy

wyglądało na to, że Hytner potknął się o krawężnik, ale potem z jego piersi trysnęła krew i obrócił się od impetu pocisku.

–O Boże! – jęknęła Soraja.

Czarny hummer zahamował i zakołysał się na resorach. Przednie drzwi były częściowo otwarte, groźny błysk tłumika na lufie broni ledwo widoczny. Soraja dwukrotnie nacisnęła spust, zanim ogień przeciwnika zmusił ją i Bourne'a do ukrycia się. Tylne drzwi hummera otworzyły się gwałtownie i Cevik dał nura do środka. Jeszcze nie zatrzasnął za sobą drzwi, a samochód już ostro wystartował.

Soraja schowała broń, podbiegła do partnera i ułożyła jego głowę na swoich kolanach.

Bourne, słysząc w pamięci echo wystrzałów, poczuł się uwolniony z aksamitnego więzienia, gdzie wszystko wokół było przytłumione i przyciemnione. Przeskoczył obok Sorai i skulonego Hytnera, wypadł na Dwudziestą Trzecią. Zerkał to na hummera, to na ciągnik siodłowy. Kierowca już doszedł do siebie, zmieniał biegi i przyspieszał. Bourne puścił się sprintem za naczepą, chwycił się łańcucha zawieszzonego w poprzek podniesionej pochylni najazdowej i wciągnął na platformę.

Gorączkowo analizował sytuację, gdy gramolił się wyżej, gdzie w równych rzędach – jak żołnierze – stały przymocowane motocykle. Płomień w ciemności, blask zapałki: Cevik zapalił papierosa z dwóch powodów. Po pierwsze, oczywiście po to, żeby mieć broń. Po drugie, żeby dać sygnał. Czarny hummer czekał w pogotowiu. Ucieczka Cevika była starannie zaplanowana.

Przez kogo? I skąd mogli wiedzieć, gdzie i kiedy rozpocznie się akcja?

Nie czas na szukanie odpowiedzi. Bourne zobaczył hummera przed ciągnikiem siodłowym. Kierowca czarnej terenówki nie pędził i nie zmieniał pasów ruchu. Był przekonany, że on i jego pasażerowie są bezpieczni, że udało im się uciec.

Bourne odczepił motocykl stojący najbliżej końca naczepy i wsiadł na siodło. Gdzie kluczyki? Schylił się, zapalił zapałkę i osłonił ją od wiatru. Mimo to płomień po chwili zgasł, ale Bourne zdążył zauważyć kluczyki przyklejone do spodu lśniącego czarnego zbiornika paliwa.

Wetknął kluczyk do stacyjki i odpalił silnik twin cam 88B. Dodał gazu i przeniósł ciężar ciała do tyłu. Przód motocykla uniósł się, gdy maszyna wystrzeliła naprzód z tylnej krawędzi naczepy.

Kiedy Bourne jeszcze swobodnie opadał, kierowcy samochodów za ciągnikiem wdepnęli hamulce i przody aut uciekły niebezpiecznie w bok. Bourne wylądował na asfalcie, pochylił się do przodu, gdy harley odbił się raz od ziemi. W końcu złapał przyczepność dwoma kołami. Pisk opon, ślady gumy. Bourne wykonał ciasny nawrót i pomknął za czarnym hummerem... Po długiej, nerwowej chwili zauważył go na zakorkowanym placu, gdzie Dwudziesta Trzecia krzyżowała się z Constitution Avenue. Hummer miał charakterystyczną sylwetkę. Terenówka kierowała się na południe w stronę Mauzoleum Lincolna. Bourne wrzucił wyższy bieg, wpadł na skrzyżowanie na żółtym świetle i slalomem ominął hamujące z piskiem opon i wściekle trąbiące samochody.

Skręcił za hummerem w prawo i pokonał za nim ćwierć okrążenia wokół rzeźnicie

oświetlonego mauzoleum. Kierowca terenówki nie spieszył się, więc Bourne nadrobił większość dzielącego ich dystansu. Hummer jechał dalej łukiem w stronę wjazdu na most Arlington Memorial. Bourne dodał gazu i przykleił się do tylnego zderzaka czarnego samochodu. Hummer uwolnił się od motocykla jak słoń od muchy. Zanim Bourne zdążył zwolnić, kierowca terenówki wdepnął hamulec. Kolizja z masywnym tyłem samochodu odrzuciła harleya w kierunku bariery ochronnej i czarnego Potomacu poniżej. Prosto na Bourne'a pędził volkswagen i omal nie dokończył tego, co zaczął hummer. Ale w ostatniej chwili Bourne zdołał odzyskać kontrolę nad motocyklem. Ominął volkswagena, przedarł się przez ruch uliczny i pomknął za przyspieszającym hummerem.

Nad głową usłyszał charakterystyczny hałas, zerknął w górę i zobaczył czarnego owada z jasnymi oczami: helikopter CIA. Soraja znów dzwoniła z komórki.

Jakby ściągnął ją myślami, zadzwęczał jego telefon. Odebrał i usłyszał głęboki głos agentki.

–Lecę tuż nad tobą. Na wprost, na środku Columbia Island jest rondo. Lepiej dopilnuj, żeby hummer tam dotarł.

Bourne wyprzedził jakiegoś minivana.

–Hytner żyje?

–Zginął. Przez ciebie, sukinsynu.

Helikopter znalazł się nad wyspą i wylądował na rondzie. Piekielny hałas nagle przycichł, gdy pilot zmniejszył obroty silnika. Czarny hummer jechał dalej, jakby nigdy nic. Bourne zostawił z tyłu ostatnie pojazdy dzielące go od celu i znów zbliżył się do terenówki.

Zobaczył, że z helikoptera wyskakują Soraja i dwóch agentów CIA. Na głowach mieli policyjne hełmy używane podczas tłumienia rozruchów, w rękach gładkolufowe strzelby. Zrównał się z hummerem i roztrzaskał łokciem boczną szybę kierowcy.

–Zatrzymaj się! – krzyknął. – Stań na rondzie, bo cię zastrzelą! Nad Potomakiem pojawił się drugi helikopter. Leciał bardzo szybko w ich kierunku. Wsparcie z CIA.

Hummer nie zwalniał. Nie odrywając oczu od jezdni, Bourne sięgnął za siebie i otworzył sakwę z boku motocykla. Wymacał klucz francuski. Wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę. Obliczył wektory i prędkość, po czym cisnął narzędziem w hummera. Trafił we wnękę tylnego lewego błotnika. Tocząca się szybko opona najechała na klucz, poderwała go do góry i wrzuciła z ogromną siłą w mechanizm koła.

Hummer natychmiast zaczął dygotać, co tylko głębiej wbijało narzędzie. Potem coś trzasnęło – pewnie pół – i samochodem zarzuciło. Wpadł na krawężnik na środku ronda, podskoczył i się zatrzymał. Silnik tykał jak zegar.

Soraja i agenci rozdzielili się i podchodzili do hummera z bronią wycelowaną w kabinę. Kiedy Soraja była wystarczająco blisko, przestrelała przednie opony. Jeden z agentów zrobił to samo z tylnymi. Hummer został unieruchomiony do chwili przyjazdu holownika drogowego CIA, który zabierze uszkodzony wóz do kwatery głównej, gdzie zajmą się nim technicy dochodzeniowi.

–Wysiadać! – krzyknęła Soraja. – Wszyscy! Ale już!

Kiedy agenci zacieśnili krąg wokół hummera, Bourne zauważył, że mają na sobie opancerzenie osobiste. Po śmierci Hytnera Soraja wołała nie ryzykować.

Znajdowali się z dziesięć metrów od terenówki, gdy Bourne'a zaczęła swędzieć głowa. Coś było nie tak, ale nie wiedział co. Przyjrzał się jeszcze raz całej scenie. Wszystko wydawało się w porządku – cel otoczony, w górze wisi drugi helikopter, poziom hałasu rośnie...

Nagle zrozumiał.

O mój Boże, pomyślał i gwałtownie obrócił pokrętło gazu na kierownicy. Krzyknął do agentów, ale w hałasie dwóch helikopterów i jego motocykla nie było szans, żeby go usłyszeli. Soraja podchodziła do drzwi kierowcy. Inni trzymali się z tyłu w równych odstępach, żeby w razie potrzeby osłaniać ją krzyżowym ogniem.

Wszystko wyglądało świetnie, doskonale, ale tak nie było.

Bourne pochylił się do przodu, gdy przecinał motocyklem rondo. Miał do pokonania sto metrów. Kierował się w lewo od lśniącego boku hummera. Prawą ręką puścił kierownicę i zaczął szaleńczo machać do agentów, ale oczywiście byli zbyt skoncentrowani na celu, aby to dostrzec.

Dodał gazu. Głęboki ryk silnika przebił się w końcu przez warkot wiszącego w powietrzu helikoptera. Jeden z agentów zauważył gesty motocyklisty. Zawołał coś do kolegi, który zerknął na Bourne'a mijającego hummera.

Akcja wyglądała jak z podręcznika CIA, ale coś się nie zgadzało. Silnik hummera tykał – stygł – nadal jednak pracował. Niemożliwe.

Soraja była niecałe pięć metrów od celu, spięta, w półprzysiadzie. Na widok Bourne'a wytrzeszczyła oczy. Po chwili znalazł się przy niej.

Chwycił ją prawą ręką, poderwał i niemal wrzucił na siedzenie za sobą. Przyspieszył. Jeden z agentów, rozplaszczonych teraz na ziemi, najwyraźniej zaalarmował helikopter, bo maszyna uniosła się nagle w rozświetloną noc i odleciała.

Tykanie, które słyszał Bourne, nie pochodziło z silnika, lecz z zapalnika zegarowego.

Eksplozja rozerwała hummera na kawałki. Części samochodu zamieniły się w dymiące szrapnele, które szybowały z przeraźliwym gwizdem. Bourne jechał motocyklem z maksymalną szybkością, nisko pochylony nad kierownicą. Czuł w pasie ramiona Sorai, na plecach jej miękkie piersi. Wyjące powietrze było gorące jak piec hutniczy, niebo pomarańczowe, ale potem przesłonił je tłusty, czarny dym. Wszędzie wokół furkotały i świstały szczątki rozdartego metalu, orały ziemię, uderzały w asfalt, wpadały do rzeki i kurczyły się z sykiem w wodzie.

Bourne i trzymająca się go kurczowo Soraja pędzili w głąb blasku świateł przeładowanego pomnikami Waszyngtonu.

Jakob Silver i jego brat wyłonili się z mroku w porze kolacji, kiedy nawet takie miasta, jak Waszyngton wydają się opuszczone, a przynajmniej wyludnione, i jakaś nieokreślona melancholia pozbawia ulice życia. Gdy weszli do cichego, luksusowego holu hotelu Constitution na północno – wschodnim rogu ulic Dwudziestej i F, dyżurny recepcjonista Thomas opuścił swoje stanowisko i pospieszył obok żłobkowanych kolumn przez elegancki dywan, by ich powitać.

Miał powód do pośpiechu. On i każdy z jego kolegów dostawali od Lva Silvera, brata Jakoba, po nowiutkim studolarowym banknocie, za każdym razem, kiedy ten gość meldował się w hotelu. Wyglądało na to, że ci handlujący diamentami Żydzi z Amsterdamu są bogaczami. Silverów należało traktować z najwyższym szacunkiem, stosownie do ich wysokiego statusu społecznego.

Thomas – drobny, nieśmiały mężczyzna z wilgotnymi dłońmi – zauważył, że twarz Jakoba Silvera promienieje, jakby odniósł zwycięstwo. Zadaniem Thomasa było odgadywanie potrzeb klientów kategorii VIP.

–Panie Silver, mam na imię Thomas. Miło mi pana poznać – zaczął. – Czym mogę służyć?

–Butelką najlepszego szampana – odparł Jakob Silver.

–I niech ten Pakistańczyk... – dodał Lev Silver – jak on ma na imię?

–Omar, proszę pana.

–A tak, Omar. Lubię go. Niech on nam przyniesie szampana.

–Oczywiście. – Thomas skłonił się niemal do pasa. – Już to załatwiam.

Odszedł szybko, a bracia Silverowie wsiedli do luksusowej windy, która cicho uniosła ich na menedżerskie piąte piętro.

–Jak poszło? – zapytał Lev.

–Doskonale – odpowiedział Jakob.

W ich apartamencie zrzucił płaszcz i marynarkę, poszedł prosto do łazienki i zapalił wszystkie światła. Za sobą, w salonie, usłyszał telewizor. Zdjął przepoconą koszulę.

W łazience z różowego marmuru wszystko było przygotowane.

Nagi do pasa, pochylił się nad marmurową urny walką i wyjął złociste szkła kontaktowe. Wysoki, zbudowany jak rugbista, miał sylwetkę olimpijczyka: płaski brzuch, muskularne ramiona, silne nogi. Zatrzasnął plastikowe pudełeczko, w którym starannie ułożył szkła kontaktowe, i spojrzął w lustro. Za swoim odbiciem zobaczył duży fragment kremowo – srebrzystego apartamentu. Usłyszał stację CNN. Potem kanał został zmieniony na Fox News, wreszcie na MSNBC.

–Nigdzie nic nie ma – dobiegł z salonu dźwięczny tenor Muty ibn Aziza. Sam wybrał sobie fałszywe imię Lev. – W żadnych wiadomościach.

–I nie będzie – odparł Jakob. – CIA wyjątkowo skutecznie manipuluje mediami.

Teraz w lustrze pojawił się Muta ibn Aziz. Jedną ręką opierał się o framugę drzwi łazienki, drugą trzymał za sobą. Miał ciemne włosy i oczy, klasyczne semickie rysy, zapał i niezłomną stanowczość. Był młodszym bratem Abbuda ibn Aziza.

Muta przyciągnął za sobą krzesło i ustawił na wprost łazienki. Zerknął na siebie w

lustrze.

–Bez bród wyglądamy jak nadzy – stwierdził.

–To Ameryka – odparł Jakob i wskazał głową salon. – Wracaj do pokoju.

Kiedy znów został sam, pozwolił sobie myśleć jak Fadi. Przestał być Hiramem Cevikiem, gdy tylko on i Muta opuścili czarnego hummera. Zanim wyskoczyli na chodnik, Muta – zgodnie z wcześniejszą instrukcją zostawił na przednim siedzeniu samopowtarzalny pistolet Beretta z tłumikiem M9SD. Trafił w cel, ale w końcu Fadi nigdy nie wątpił w jego strzeleckie umiejętności.

Zniknęli biegiem z widoku, a hummer pomknął dalej. Skręcili za róg, doszli szybko Dwudziestą do F Street i rozplynęli się jak duchy w ciepło oświetlonym wnętrzu hotelu.

W tym samym czasie półtora kilometra dalej Ahmad z ładunkiem materiału wybuchowego C – 4, który wypełniał przestrzeń pod podłogą przedniej części kabiny hummera, jako męczennik, trafił już do raju. Dla rodziny i swojego narodu stał się bohaterem.

„Masz zabić tylu, ilu zdołasz”, powiedział do niego Fadi, kiedy Ahmad zgłosił się na ochotnika. Było ich mnóstwo i prawie nie różnili się od siebie. Na wszystkich Fadi mógł całkowicie polegać. Wybrał jednak Ahmada, swojego kuzyna. Jednego z wielu, ale chciał się w ten sposób odwdzińczyć wujowi za drobną przysługę.

Sięgnął do ust i wyjął porcelanowe nakładki na zęby, których użył do poszerzenia szczęki Hirama Cevika. Umył je mydłem i wodą, potem włożył do usztywnionej walizki, służącej jubilerom do przewozu klejnotów i biżuterii. Muta ustawił ją na szerokim obrzeżu wanny, żeby wszystko było pod ręką: zestaw małych pojemników z wszelkimi rodzajami kosmetyków do makijażu teatralnego, zmywacze, kleje do charakteryzacji, peruki, szkła kontaktowe w różnych kolorach, sztuczne nosy, szczęki, zęby i uszy.

Fadi wycisnął rozpuszczalnik na szeroki bawełniany tampon i zaczął metodycznie ścierać makijaż z twarzy, szyi i rąk. Odsłaniał pasma własnej, opalonej skóry, zniszczonej dobre dziesięć lat temu, dopóki nie wrócił do swojego naturalnego wyglądu. Cenna jak klejnot krótka chwila bycia sobą, w samym środku obozu wroga. Potem on i Muta ibn Aziz znikną, przeniosą się przez chmury do następnego miejsca przeznaczenia.

Osuszył ręcznikiem twarz i ręce, potem wszedł do salonu, gdzie stał Muta i oglądał na HBO *Rodzinę Soprano*.

–Ta Carmella, żona szefa, wzbudza we mnie wstręt – powiedział.

–I słusznie. Spójrz na jej nagie ramiona!

Carmella stała w otwartych drzwiach nieprzyzwoicie wielkiego domu i patrzyła, jak jej nieprzyzwoicie wielki mąż wsiada do nieprzyzwoicie wielkiego cadillaca escalade.

–A ich córka uprawia seks przedmałżeński. Dlaczego Tony jej nie zabije, jak nakazuje prawo? To sprawa honoru, żeby nikt nie szargał jego dobrego imienia i rodziny. – Muta ibn Aziz z obrzydzeniem wyłączył telewizor.

–My staramy się wpoić naszym kobietom mądrość Mahometa, Koranu, prawdziwą wiarę, której są przewodnikami – skomentował Fadi. – Ta Amerykanka to niewierna.

Nic nie ma, jest nikim.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

–To Omar. Ja to załatwię – zaoferował Muta.

Fadi w milczeniu skinął głową i zniknął z powrotem w łazience.

Muta przeszedł po miękkim dywanie, otworzył drzwi i wpuścił Omara.

Pakistańczyk był wysokim, barczystym, pogodnym mężczyzną. Miał nie więcej niż czterdzieści lat, ogoloną głowę i skłonność do opowiadania niezrozumiałych dowcipów. Trzymał srebrną tacę z butelką szampana w ogromnym wiaderku z lodem, dwoma kieliszkami i talerzem świeżo pokrojonych owoców. Muta pomyślał, że Omar wypełnia sobą całe wejście, jak Fadi, bo obaj byli mniej więcej tej samej budowy.

–Szampan – oznajmił zbytecznie Omar i postawił tacę na szklanym blacie stolika koktajlowego. Gdy wyjął szampana z wiaderka, rozległ się chrzęst lodu wywołujący dreszcze.

–Ja otworzę. – Muta wziął od kelnera ciężką butelkę.

Kiedy Omar dał mu do podpisania rachunek w skórzanej okładce, Muta zawołał:

–Jakob, jest szampan. Musisz podpisać.

–Przyślij Omara do łazienki. Pakistańczyk spojrzał pytająco na Mutę.

–Idź. – Muta ibn Aziz uśmiechnął się uspokajająco. – Zapewniam, że cię nie ugryzie.

Trzymając przed sobą skórzaną okładkę jak prezent, Omar ruszył w kierunku głosu Fadiego.

Muta z powrotem włożył butelkę do lodu. Nie miał pojęcia, jak smakuje szampan, i zupełnie go to nie interesowało. Kiedy z łazienki dobiegł nagły hałas, włączył pilotem telewizor i podgłośnił. Zaczął zmieniać kanały, bo *Rodzina Soprano* już się skończyła. Zatrzymał się; gdy rozpoznał twarz Jacka Nicholsona. W pokoju rozległ się głos aktora.

„Tu jest Johnny!” – wykrzyknął Nicholson przez dziurę w drzwiach łazienki, którą wyrąbał siekierą.

Omar, z rękami skrępowanymi za plecami, siedział przywiązany do krzesła w wannie. Patrzył wielkimi piwnymi oczami w górę na Fadiego. Jego szczeka z dużym siniakiem właśnie zaczynała puchnąć.

–Pan nie jest Żydem – powiedział w języku urdu. – Jest pan muzułmaninem.

Fadi zignorował go i wziął się do pracy, która teraz polegała na uśmierceniu kelnera.

–Jest pan muzułmaninem – powtórzył Omar. – Tak jak ja. – Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu wcale się nie bał. Wydawało mu się, że śni. Czuł się tak, jakby od chwili narodzin było mu pisane to spotkanie. – Jak pan może to robić?

–Zaraz umrzesz męczeńską śmiercią za sprawę – odparł Fadi również w języku urdu, którego nauczył się z woli ojca jako dziecko. – Na co się skarżysz?

–Ta sprawa jest pańską sprawą. Nie moją – wyjaśnił spokojnie, choć musiał zebrać się na odwagę i pokonać wszystkie opory wewnętrzne, bo z natury był nieśmiały. Teraz uświadomił sobie, że ma słuchacza swoich marzeń. – Islam to religia pokoju, ale wy prowadzicie straszliwą, krwawą wojnę, w której giną rodziny, całe

pokolenia.

–Amerykańscy terroryści nie dają nam wyboru. Są nasz roponośny cycek, ale to im nie wystarcza. Chcą zagarnąć nasze dobra na własność. Więc wymyślają kłamstwa i wykorzystują je do inwazji na naszą ziemię. Amerykański prezydent twierdzi, że przemówił do niego Bóg, co oczywiście nie jest prawdą. Amerykanie wskrzesili epokę wypraw krzyżowych. Przewodzą niewiernym tego świata, prowadzą za sobą Europę, która podąża za nimi z własnej woli lub nie. Ameryka jest jak ogromny walec, który toczy się przez świat i miażdży wszystko, co napotyka na drodze, żeby wszędzie było tak samo. Jeśli ich nie powstrzymamy, wykończą nas. Tylko tego chcą. Jesteśmy przyparci do muru. Zostaliśmy wciągnięci do tej wojny o przetrwanie wbrew naszej woli. Systematycznie pozbawiają nas władzy, godności. Chcą teraz okupować cały Bliski Wschód.

–Przemawia przez pana straszna nienawiść. Ona pana zżera.

–Dar od Amerykanów. Trzeba się uwolnić od całego zachodniego zepsucia.

–To zgubna, zaślepiająca nienawiść. Nie widzi pan żadnej innej możliwości poza tą, którą pan sobie wymyślił.

Fadi zatrzęsł się z ledwo hamowanej wściekłości.

–Niczego sobie nie wymyśliłem! Bronię tego, czego trzeba bronić. Nie rozumiesz, że ważą się nasze losy?

–To pan nie rozumie. Jest inna droga.

Fadi odrzucił głowę do tyłu i odezwał się z ironią:

–Teraz otworzyłeś mi oczy, Omarze. Powinienem się wyprzeć swojego narodu, dziedzictwa. Stać się taki jak ty. Być służącym, który na zawołanie spełnia zachcianki znudzonych, tłustych Amerykanów i żywi się okruchami z ich stołu.

–Widzi pan tylko to, co chce widzieć. – Omar miał smutną minę. – Gdyby przyjrzał się pan Izraelczykom, zobaczyłby pan, co można osiągnąć ciężką pracą i...

–Izraelczycy mają za sobą potęgę militarną Ameryki, jej pieniądze... i bombę atomową – wycedził mu w twarz Fadi.

–Pan oczywiście dostrzega tylko to. Ale Izraelczycy są noblistami w zakresie fizyki, ekonomii, chemii i literatury; zdobywcami nagród w dziedzinie elektroniki kwantowej, termodynamiki czarnych dziur i teorii strun. Założycielami Packard Bell, Oracle, ScanDisk, Akamai, Mercury Interactive, Check Point, Amdocs, ICQ.

–Głupie gadanie – prychnął lekceważąco Fadi.

–Dla pana, tak. Bo pan umie tylko niszczyć. Ci ludzie stworzyli warunki do życia dla siebie, swoich dzieci i wnuków. Powinien pan ich naśladować. Pomóc swoim rodakom, wykształcić ich, umożliwić rozwój.

–Oszalałeś?! – wściekł się Fadi. – Nigdy. Koniec.

Jego ręka płasko przecięła powietrze. Lśniące ostrze, które trzymał w dłoni, rozplątało gardło Omara od ucha do ucha.

Muta ibn Aziz spojrzął po raz ostatni na wykrzywioną w maniakałnym uśmiechu twarz Nicholsona i wszedł do groteskowo różowej marmurowej łazienki. Przypominała mu ciało obdarte ze skóry. Fadi pochylał się nad Omarem i przyglądał jego twarzy, jakby chciał ją zapamiętać. Walizka z przyborami do charakteryzacji

przewróciła się, kiedy Pakistańczyk kopnął ją w śmiertelnych drgawkach. Wszędzie wały się słoiczki, rozbite butelki i protezy. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie.

–Smutno wygląda – stwierdził Muta.

–Już nie czuje smutku – mruknął Fadi. – Żadnego bólu, ani przyjemności.

Muta popatrzył w szkliste oczy Omara z nieruchomymi, rozszerzonymi źrenicami.

–Przetrąciłeś mu kark. Co za precyzja.

Fadi przysiadł na brzegu wanny. Po chwili wahania Muta podniósł z terakotowej podłogi elektryczną maszynkę do strzyżenia włosów. Do ściany nad wanną przymocował lustro na przyssawki. Patrzył w nie i śledził każdy ruch Fadiego, gdy ten golił sobie głowę.

Kiedy Fadi skończył, wstał i spojrzał w lustro nad umywalką, a potem na Omara. Odwrócił się w bok i Muta przekręcił głowę Omara w tę samą stronę. Później w drugą.

–Jeszcze trochę tutaj... – Fadi wskazał czubek swojej głowy...gdzie Omar już wyłysiał.

Kiedy był zadowolony z efektu, zaczął sobie przyklejać nos, lekko wysuniętą górną wargę i wydłużone płatki uszne jak u Omara.

Obaj zdjęli Pakistańczykowi uniform, buty i skarpetki. Fadi nie zapomniał o jego bieliźnie, którą włożył w pierwszej kolejności. Musiał być identyczny.

–*La ilaha Ul allah.* – Muta uśmiechnął się szeroko. – Wyglądasz w każdym calu jak ten pakistański służący.

Fadi skinął głową.

–Więc już czas.

Kiedy przechodził przez pokój, wziął tacę, którą przyniósł Omar. Na korytarzu wsiadł do służbowej windy i zjechał do podziemia. Wyjął mały odtwarzacz plików multimedialnych i wyświetlił schemat instalacji technicznych hotelu. Znalezienie pomieszczenia z panelami elektronicznymi klimatyzacji, elektryki i systemu tryskaczy zajęło mu niecałe trzy minuty. W środku zdjął pokrywę panela tryskaczy i zamienił przewody dla piątego piętra. Nie różniły się kolorami, więc gdyby ktoś sprawdził połączenia, zobaczyłby, że wszystko jest w porządku. Ale w obwodzie było teraz zwarcie i tryskacze nie mogły zadziałać.

Wrócił na piąte piętro tak samo, jak dostał się na dół. Na drugim piętrze do służbowej windy weszła pokojówka, więc miał okazję sprawdzić, czy dobrze naśladuje głos Omara. Wysiadła na czwartym piętrze, niczego nie podejrzewając.

Po powrocie do apartamentu Silverów wszedł do łazienki. Z dolnej szufladki walizki wyjął małą puszkę spreju i dwa metalowe pojemniki z dwusiarczkiem węgla. Ciecz z jednego wylał na nogi Omara. Rozszedł się odór zgniłych jaj. Zawartość drugiego opakowania zużył w salonie tuż pod oknem, gdzie opadała krawędź grubej kotary. Potem spryskał zasłony substancją, która zmieniła niepalną tkaninę w łatwo palną.

–Masz wszystko? – zapytał Mutę.

–O niczym nie zapomniałem.

Fadi z powrotem dał nura do łazienki i zapalił akcelerant na kolanach Omara.

Piekielny żar wytworzony przez płonący środek chemiczny miał zniszczyć tkankę i kości do tego stopnia, że nie będzie można zidentyfikować ciała. Muta podpalił dół kotary, potem wyszli z Fadim z apartamentu. Za progiem prawie natychmiast się rozstali. Muta ibn Aziz ruszył do schodów, Fadi znów do służbowej windy. Dwie minuty później wyszedł bocznymi drzwiami, jako Omar, na papierosa. Po czterdziestu czterech sekundach dołączył do niego Muta.

Ledwo skręcili z Dwudziestej ulicy w H Street i zasłonił ich jeden z budynków Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona, z okna na piątym piętrze hotelu buchnął z potężnym hukiem ogień, by całkowicie strawić wszystkie trzy pokoje apartamentu Silverów.

Szli ulicą wśród krzyków, wrzasków i narastającego wycia syren. Ku nocnemu niebu wznosiła się czerwona luna, przerażający blask zniszczenia i śmierci.

Fadi i Muta ibn Aziz nieraz już to widzieli.

Daleko od luksusu i międzynarodowego terroryzmu, w kwadrancie Northeast, północno – wschodniej części Waszyngtonu, mnożyły się lokalne tragedie, których przyczynami były bieda, gniew i brak perspektyw – toksyczne elementy egzystencji, dobrze znane Fadiemu i Mucie ibn Azizowi.

Większość tego terenu należała do gangów. Handel narkotykami i hazard przynosił zyski silnym i amoralnym. Nocami toczyły się wojny o strefy wpływów, padały strzały z przejeżdżających samochodów, szalały pożary. Żaden pieszy gliniarz z Policji Metropolitalnej Dystryktu Kolumbia nie odważyłby się patrolować tych ulic bez uzbrojonego wsparcia. Wszystkimi radiowozami bez wyjątku jeździły dwuosobowe załogi; czasem, w szczególnie krwawe noce lub przy pełni Księżyca, nawet trzy – lub czteroosobowe.

Bourne i Soraja pędzili tymi ulicami nędzy przez noc, gdy Bourne po raz drugi zauważył za nimi czarne camaro.

–Mamy ogon – rzucił przez ramię. Soraja nawet się nie obejrzała.

–Z Tyfona.

–Skąd wiesz?

Przez szum wiatru usłyszał charakterystyczny metaliczny szczęk otwieranego noża sprężynowego. Po chwili poczuł na gardle krawędź ostrza.

–Zjedź na bok i zatrzymaj się – powiedziała mu do ucha.

–Oszalałaś? Zabierz ten nóż. Mocniej przycisnęła ostrze.

–Rób, co mówię.

–Zastanów się, Soraja.

–To ty powinieneś się zastanowić nad tym, co zrobiłeś.

–Nie wiem, o co... Popchnęła go naprzód.

–Zjedź na bok, do cholery!

Zwolnił posłusznie. Czarne camaro dogoniło go z rykiem z lewej strony i uwięziło między sobą a krawężnikiem. Soraja z satysfakcją spojrzała na tę akcję. Wtedy Bourne wbił jej kciuk w nerw po wewnętrznej stronie nadgarstka. Mimowolnie otworzyła dłoń i wypuściła nóż. Bourne złapał go w powietrzu za rękojeść, zamknął i schował do kieszeni.

Kierowca camaro, trzymając się ściśle procedury, skręcił prostopadle do krawężnika tuż przed motocyklem. Kiedy hamujący samochód zakołysał się na resorach i stanął, drzwi pasażera otworzyły się gwałtownie. Wskoczył z nich uzbrojony agent. Bourne szarpnął kierownicę w prawo, dodał gazu, przeciął wypalony trawnik i wpadł w alejkę między dwoma domami.

Usłyszał za sobą krzyki, trzask drzwi i wściekły ryk silnika camaro. Nic z tego – uliczka była za wąska dla samochodu. Ludzie z Tyfona mogli próbować dopaść Bourne'a u wylotu alejki, ale miał na to sposób. Znał tę część Waszyngtonu jak własną kieszeń, a tamci na pewno nie.

Z drugiej strony, miał na karku Soraję. Co prawda zabrał jej nóż, ale mogła używać jako broni niemal każdej części ciała. Robiła to oszczędnymi ruchami i skutecznie. Najpierw wbiła mu knykcie w nerki, potem kilkakrotnie łokieć w żebra. Próbowała nawet wydłubać mu kciukiem oko, najwyraźniej w odwecie za to, co spotkało biednego Tima Hytnera.

Bourne znosił te ataki ze stoickim spokojem, opędzał się tylko od niej, gdy motocykl mknął wąską uliczką między poplamionymi ścianami budynków. Wśród wielu przeszkód najczęściej musiał omijać śmietniki i nieprzytomnych pijaków.

Nagle na końcu alejki pojawiło się trzech nastolatków. Dwaj groźnie wymachiwali kijami baseballowymi, trzeci zza ich pleców wycelował w motocykl tani, lichey pistolet.

–Trzymaj się! – krzyknął Bourne i poczuł, jak Soraja obejmuje go mocniej w pasie. Odchylił się, by przesunąć w tył ich środek ciężkości, i przyparował. Przednie koło Harleya oderwało się od ziemi. Pędzili dęba na małałatów jak atakujący lew. Bourne usłyszał strzał, ale osłaniał ich spód motocykla. Wpadli między nastolatków. Bourne wyrwał temu z lewej bejsbola, zdzielił nim w nadgarstek trzeciego chłopaka i wytrącił mu broń.

Wydostali się z alejki, Bourne pochylił się nad kierownicą – przednie koło motocykla opadło na jezdnię tuż przed ostrym skrętem w prawo. Pojechali ulicą pełną śmieci i bezdomnych psów, które ujadły na pędzącego z rykiem harleya.

–Teraz możemy sobie wyjaśnić... – zaczął Bourne.

Nie miał szansy dokończyć. Soraja nagle opasała mu szyję ramieniem i zgmiotła tchawicę w zabójczym uścisku.

Niech cię szlag, niech cię szlag, niech cię szlag!

Soraja zawodziła jak egzorcystka.

Bourne ledwo ją słyszał. Był zbyt zajęty walką o życie. Motocykl pędził ulicą pod prąd z szybkością stu kilometrów na godzinę. Bourne zdołał ominąć starego forda, którego kierowca trąbił i miotał sprośne wyzwiska, ale uderzył bokiem w lincolna stojącego z uruchomionym silnikiem przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Motocykl odbił się od continentala i zostawił długie wgniecenie w jego przednim błotniku. Soraja wciąż dusiła Bourne'a. Miał niemal całkowicie zablokowaną tchawicę i prawie nie mógł oddychać. Chwilami widział gwiazdy i na ułamek sekundy ciemniało mu w oczach.

Mimo to zobaczył, że lincoln ostro zawraca i rusza w pościg za piratem drogowym. Z przodu zbliżała się ciężarówka. Zajmowała większość jezdni.

Continental zadziwiająco szybko przyspieszył i zrównał się z harleyem. Przyciemniona szyba opuściła się i czarna, puciołowata twarz wykrzywiona w grymasie wściekłości wyrzuciła z siebie litanię przekleństw. Potem wyłoniła się lufa obrzyna.

–To cię nauczy, popaprańcu!

Zanim puciołowaty zdążył nacisnąć spust, Soraja kopnęła w górę lewą nogą. Krawędź jej buta podbiła lufę i strzelba wypaliła w korony drzew wzdłuż ulicy. Bourne to wykorzystał, odkręcił gaz do oporu i wyrwał w kierunku ciężarówki. Kierowca zobaczył jego samobójczy manewr i spanikował. Mocno obrócił kierownicę, zredukował bieg i wdepnął hamulec. Ciężarówka zawyla w proteście i zaczęła sunąć bokiem.

Soraja, widząc szybko nadciągającą śmierć, wrzasnęła po arabsku i puściła szyję Bourne'a, żeby jeszcze raz otoczyć go ramionami w pasie.

Zakaszła, wciągnął powietrze do bolących płuc, mocno przechylił się w prawo i wyłączył silnik tuż przed nieuchronnym, wydawałoby się, uderzeniem w ciężarówkę.

Krzyk Sorai zamarł, gdy motocykl runął na bok. Wśród snopu iskier i rozbryzgów krwi ze zranionej prawej nogi Bourne'a prześlizgnęli się między szaleńczo wirującymi osiami ciężarówki.

Po drugiej stronie Bourne uruchomił silnik – wykorzystał rozpęd i połączony ciężar ich ciał do ponownego ustawienia motocykla w pionie.

Soraja, zbyt oszołomiona, by natychmiast wznowić atak, powiedziała:

–Teraz się zatrzymaj, proszę cię.

Bourne ją zignorował. Wiedział, dokąd jedzie.

Matthew Lerner wprowadzał dyrektora CIA w szczegóły ucieczki Hiram Cevika i jej następstw.

–Pomijając śmierć Hytnera, straty są niewielkie. Dwaj agenci mają rozcięcia i otarcia naskórka, jeden z nich doznał też wstrząsu od wybuchu. Zaginęła agentka. Helikopter na ziemi został lekko uszkodzony. Drugi, w powietrzu, nie ucierpiał.

–To było w miejscu publicznym – warknął Stary. – Pieprzona amatorszczyzna. – Co ten Bourne sobie myślał, do cholery, wyprowadzając Cevika na dwór? – Podniósł

wzrok na portret prezydenta na ścianie sali konferencyjnej. Na drugiej ścianie wisiała podobizna poprzedniego dyrektora. Malują twój portret dopiero wtedy, jak idziesz w odstawkę, pomyślał kwaśno. Przygniatał go wiek, ale czasami, tak jak dziś, czuł każde ziarnko piasku w klepsydrze, grzebiące go wolno, nieubłaganie. Atlas ze zgarbionymi ramionami. Przerzucił papiery i uniósł jeden do światła. – Dzwonił szef policji. I pieprzone FBI. – Utkwił spojrzenie w Lernerze. – Wiesz, czego chcieli, Matthew? Dowiedzieć się, czy mogliby pomóc. Uwierzysz? Bo mnie to nie dziwi. Telefonował prezydent, żeby zapytać, co się, do cholery, dzieje, i czy ma się ewakuować do Oz. – Tak brzmiała jedna z nazw Ukrytej Siedziby Władzy, tajnego ośrodka, skąd prezydent i jego sztab mogli kierować państwem w sytuacji poważnego zagrożenia. – Powiedziałem mu, że wszystko jest pod kontrolą. Teraz pytam o to ciebie i lepiej, na Boga, żebym usłyszał to, co chcę.

–W końcu wracamy do Bourne'a – odparł Lerner, czytając przygotowane pospiesznie notatki, które jego szef sztabu wetknął mu w dłoń tuż przed tym spotkaniem. – Ale ostatecznie najnowsza historia agencji jest pełna zawirowań i niepowodzeń, których sprawcą jakoś zawsze okazuje się Jason Bourne.

–Już ci to mówiłem, że tego całego bajzlu można byłoby uniknąć, gdybyś zatrzymał Lindrosa tutaj, w centrali. Wiem, że kiedyś działał w terenie, ale od tamtej pory minęło trochę czasu. Praca biurowa szybko przytępia zwierzęcy instynkt. Lindros ma swoją działkę do obrobienia. Kto się nią zajmie, jeśli on zginie? Wpadka z Cevikiem była bezpośrednim skutkiem tego, że Tyfon został bez szefa.

–To prawda, nie powinienem ulegać Martinowi. Operacja na Ras Daszanie zakończyła się klęską. Ale przynajmniej tym razem Bourne nie zniknie nam z widoku. – Lerner pokręcił głową. – Choć zastanawiam się, czy to wystarczy.

–Nie rozumiem...

–Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że Bourne maczał palce w ucieczce Cevika.

Stary zmarszczył brwi.

–Masz dowód?

–Pracuję nad tym – odparł Lerner. – Ale wszystko na to wskazuje. Ucieczka była z góry zaplanowana. Ludzie Cevika musieli wyciągnąć go z celi i Bourne to załatwił. Wiemy, co potrafi.

Stary walnął pięścią w stół.

–Jeśli on za tym stoi, to przysięgam, że obedrę go żywcem ze skóry.

–Ja się nim zajmę.

–Cierpliwości, Matthew. Na razie jest nam potrzebny. Musimy znaleźć Martina Lindrosa i Bourne jest teraz naszą jedyną nadzieją. Po wnikliwej analizie sytuacji Wydział Operacyjny wysłał drugą drużynę Skorpion w ślad za pierwszą i straciliśmy obie.

–Mam swoje kontakty i już wspominałem, że mogę zorganizować mały oddział...

–Wolnych strzelców, dawnych agentów terenowych NSA, pracujących teraz w sektorze prywatnym. – Dyrektor pokręcił głową. – Poroniony pomysł. Nigdy bym się nie zgodził, żeby przeprowadzenie takiej ważnej operacji zlecić bandzie najemników,

nieznanym ludziom, którzy nie są pod moim dowództwem.

–Ale Bourne... cholera, zna pan jego przeszłość i teraz historia się powtarza. Robi, co chce, i ma wszystkich gdzieś.

–To prawda. Osobiście nie cierpię Bourne'a. Reprezentuje sobą wszystko, co jest groźne dla takiej organizacji, jak nasza agencja. Ale wiem jedno: pozostaje lojalny wobec przyjaciół. A jednym z nich jest Martin. Jeśli ktoś może znaleźć Lindrosa i sprowadzić z powrotem, to tylko Bourne.

Otworzyły się drzwi i do sali zajrzała Annę Held.

–Mamy wewnętrzny problem, panie dyrektorze. Straciłam swoją kategorię wtajemniczenia. Dzwoniłam do Wydziału Bezpieczeństwa Elektronicznego i powiedzieli, że to nie pomyłka.

–Zgadza się, Annę. To część planu reorganizacji autorstwa Lenera. Uważa, że nie potrzebujesz mieć najwyższej kategorii wtajemniczenia, żeby wykonywać prace, które ci zlecam.

–Ale, panie dyrektorze...

–Urzednicy mają swoje kategorie wtajemniczenia, personel operacyjny inne – wyjaśnił Lerner. – Proste i jasne, żadnych dwuznaczności. – Popatrzył na kobietę. – Jeszcze jakiś problem, panno Held?

Annę była wściekła. Spojrzała na Starego, ale od razu się zorientowała, że jej nie pomoże. Uznała jego milczenie za zdradę ich wzajemnego stosunku do siebie, wszystkiego, na co tak długo i ciężko pracowała. Czowała, że powinna się bronić, ale wiedziała, że to nie jest odpowiednia chwila i miejsce.

Już miała zamknąć drzwi, gdy za nią pojawił się łącznik z Wydziału Operacyjnego. Odwróciła się i wzięła od niego dokument.

–Właśnie dostaliśmy wiadomość o zaginionej agentce – powiedziała. Dyrektorowi w ciągu ostatnich kilku minut znacznie pogorszył się humor.

–Kto to jest? – warknął.

–Soraja Moore – poinformowała Annę.

–Widzi pan? – odezwał się gniewnie Lerner. – Wymknęła mi się jeszcze jedna osoba z personelu. Jak ja mam pracować, skoro ludzie, nad którymi nie mam kontroli, znikają z widoku? Gdyby powierzył mi pan kierowanie Tyfonem przynajmniej do czasu powrotu Lindrosa lub potwierdzenia jego śmierci...

–Soraja jest z Bourne'em – zwróciła się Annę Held do swojego szefa, zanim Lerner zdążył dokończyć.

–Niech to szlag trafi! – wybuchnął dyrektor. – Jak to się stało?

–Wygląda na to, że nikt nie wie. – Annę wzruszyła ramionami. Stary stał purpurowy z wściekłości.

–Matthew, uważam, że w Tyfonie potrzebny jest ktoś pełniący obowiązki dyrektora. Od tej chwili ty nim jesteś. Bierz się do roboty.

–Zatrzymaj motor – powiedziała mu do ucha Soraja. Bourne pokręcił głową.

–Jesteśmy jeszcze za blisko...

–Już. – Soraja przystawiła mu do gardła ostrze noża. – Ja nie żartuję. Bourne skręcił w boczną ulicę, zatrzymał harleya przy krawężniku i wysunął podpórkę. Kiedy

oboje zsiadli, odwrócił się do Sorai.

–O co ci właściwie chodzi, do diabła?

W jej oczach błyszczała niepohamowana furia.

–Zabiłeś Tima, sukinsynu.

–Co?! Jak możesz w ogóle myśleć...?

–Dałeś cynk ludziom Cevika, gdzie będzie.

–Ty chyba oszalałeś.

–Czyżby? To był twój pomysł, żeby wyprowadzić go z celi. Próbowалаm cię powstrzymać, ale...

–Nie kazałem zabić Hytnera.

–Więc dlaczego stałeś jak słup, kiedy go zastrzelono?

Bourne milczał. Potarł czoło. Pamiętał, że przeszkadzał mu wtedy paraliżujący ból głowy. Soraja miała rację. Jak mógł pozwolić, żeby do tego doszło?

–Ucieczka Cevika była starannie zaplanowana i skoordynowana. Ale jakim cudem? – mówiła Soraja. – Skąd jego ludzie mogli wiedzieć, gdzie on jest? Tylko od ciebie. – Pokręciła głową. – Powinam uważniej słuchać opowieści o tobie. W całej agencji byli tylko dwaj ludzie, których zdołałeś omotać: jeden nie żyje, drugi zaginął. Najwyraźniej nie można ci ufać.

Bourne z trudem zmusił się do jasnego myślenia.

–Jest inna możliwość.

–A to dobre.

–Do nikogo przecież nie dzwoniłem...

–Mogłeś dawać znaki.

–Masz rację co do metody, mylisz się co do osoby. Pamiętasz, jak Cevik zapalił zapałkę?

–Jak mogłabym zapomnieć? – zapytała cierpko.

–To był ostatni sygnał dla ludzi czekających w hummerze.

–Właśnie że hummer już czekał. Wiedziałaś o tym, bo ty to zorganizowałaś.

–Zastanów się, Sorajo! Zadzwońska do Hytnera, żeby mu powiedzieć, że wychodzimy na dwór. To on zawiadomił ludzi Cevika.

Roześmiała się szorstko i drwiąco.

–A potem oni kropnęli Tima, tak? Dlaczego, na Boga, mieliby to zrobić?

–Żeby zatrzeć za sobą ślady. Wykluczyć ryzyko, że Hytner zostanie zdemaskowany i zacznie sypać.

Pokręciła z uporem głową.

–Znałam Tima od dawna; nie był zdrajcą.

–Tacy zwykle są winni, Sorajo.

–Zamknij się!

–Może nie był dobrowolnym zdrajcą. Może go zmusili.

–Ani słowa więcej przeciwko Timowi. – Machnęła nożem. – Próbujesz po prostu ratować własną skórę.

–Posłuchaj, masz absolutną rację, że ucieczka Cevika była z góry zaplanowana. Ale ja nie wiedziałem, gdzie go trzymacie... ba, że w ogóle kogoś trzymacie, dopóki

mi tego nie powiedziałaś niecałe dziesięć minut przed naszą wizytą w celi.

To ją przystopowało. Spojrzała na niego dziwnie – tak samo jak w chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyli się w centrum operacyjnym Tyfona.

–Gdybym był twoim wrogiem, po co ratowałbym cię z eksplozji? Wzdrygnęła się lekko.

–Nie udaję, że znam wszystkie odpowiedzi... Bourne wzruszył ramionami.

–Jeśli wiesz swoje, może nie powinienem mieszać ci w głowie mówieniem prawdy.

Wzięła głęboki wdech, aż nozdrza mocno jej się rozszerzyły.

–Nie wiem, w co wierzyć. Odkąd zjawileś się w Tyfonie... Wykonał błyskawiczny ruch i rozbroił agentkę. Wytrzeszczyła oczy, gdy odwrócił nóż i wręczył jej z powrotem rękojeścią do przodu.

–Gdybym był twoim wrogiem...

Długo patrzyła na broń, potem podniosła wzrok na Bourne'a. Wzięła nóż i wsunęła z powrotem do neoprenowej pochwy u dołu pleców.

–No dobra, więc nie jesteś wrogiem. Ale Tim też nie był. Musi być inne wyjaśnienie.

–Więc poszukajmy go razem – zaproponował. – Ja muszę oczyścić siebie, ty Hytnera.

–Daj mi prawą rękę – poleciała. Chwyciła Bourne'a za nadgarstek i odwróciła jego dłoń wewnętrzną stroną do góry. Drugą ręką przytknęła płasko ostrze noża do czubka palca wskazującego Bourne'a. – Nie ruszaj się. – Zręcznie przesunęła ostrzem po skórze do przodu. Zamiast upuścić krew, oderwała miniaturowy, owalny kawałek przezroczystego materiału, tak cienki, że Bourne wcześniej go nie czuł ani nie zauważył. – Proszę. – Uniosła zdjęty kawałek do światła latarni, żeby Bourne zobaczył. – To tak zwany NET. „Nanoelektroniczna etykieta”, jak mówią chłopcy z działu technicznego DARPA. – Miała na myśli Agencję Zaawansowanych Projektów Obronnych, wydział Departamentu Obrony. – Nadajnik naprowadzający. Wykorzystuje nanotechnologię, mikroskopijne serwery. Dlatego tak szybko cię wytropiłam helikopterem.

Bourne był zdziwiony, że śmigłowiec CIA błyskawicznie go znalazł, ale myślał, że agenci zauważyli charakterystyczną sylwetkę hummera. Zastanowił się i przypomniał sobie wyraźnie, że Tim Hytner przyglądał mu się z zaciekawieniem, kiedy trzymał wydruk z tekstem rozmowy telefonicznej Cevika: to tak mu przykleili NET!

–A to drań! – Obserwował, jak Soraja wsuwa NET do owalnego plastikowego pudełeczka i zakręca pokrywkę. – Chcieli mnie monitorować przez całą drogę do Ras Daszanu, tak?

Przytaknęła.

–Polecenie dyrektora.

–To tyle, jeśli chodzi o obietnicę, że spuszczą mnie ze smyczy – stwierdził cierpko.

–Teraz jesteś wolny.

–Dzięki.

–Oczekuję rewanżu za tę przysługę.

-To znaczy?

-Zgodzisz się, żebym ci pomogła. Pokręcił głową.

-Gdybyś mnie lepiej znała, wiedziałabyś, że pracuję solo. Soraja najwyraźniej chciała coś odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie.

-Posłuchaj, jak sam mówiłeś, masz już na pieńku ze Starym. Będziesz potrzebował kogoś wewnątrz. Kogoś zaufanego. – Zrobiła krok z powrotem w kierunku motocykla. – Bo doskonale wiesz, że Stary zamierza znaleźć sposób, żeby cię załatwić.

Kim Lovett była zmęczona. Chciała iść do domu do męża, którego miała od sześciu miesięcy. Za mało znał Waszyngton i za krótko byli małżeństwem, żeby jeszcze musiał znosić samotność z powodu absorbującej pracy żony.

Kim zawsze czuła się zmęczona. W waszyngtońskim FIU, Urzędzie Śledczym Pożarnictwa, nie wiadomo, co to są normalne godziny pracy tylko w dni robocze. W konsekwencji tacy agenci, jak Kim – bystrzy, doświadczeni i znający się na rzeczy – musieli być dyspozycyjni bez względu na porę, jak chirurdzy w strefie działań wojennych.

Kim odebrała telefon ze Straży Pożarnej Dystryktu Kolumbia podczas krótkiej przerwy w otępiającym wypełnianiu papierków dotyczących śledztw w sprawach podpaień, jednej z niewielu chwil w czasie ostatnich tygodni, kiedy pozwalała sobie na myślenie o mężu – szerokich barkach, silnych ramionach, zapachu jego nagiego ciała. Zaduma nie trwała długo. Kim wzięła swój sprzęt i pojechała do hotelu Constitution.

Po drodze włączyła syrenę. Jazda od zbiegu Vermont Avenue i Jedenastej na północno – wschodni róg ulic Dwudziestej i F trwała niecałe siedem minut. Hotel otaczały samochody policyjne i wozy strażackie, ale pożar już ugaszono. Z dziury na końcu piątego piętra, przypominającej otwartą ranę, spływała po fasadzie woda. Przyjechały i odjechały karetki pogotowia, miejsce zdarzenia pokrywały kruche, denerwujące pozostałości popiołu. Czuło się już odpływ adrenaliny, co tak dobrze potrafił opisać Kim jej ojciec.

Czekał na nią komendant O'Grady. Wsiadła z samochodu, pokazała legitymację służbową i przeszła przez policyjny kordon.

–Lovett – burknął O'Grady. Był wielkim, muskularnym mężczyzną z krótkimi, ale niesfornymi siwymi włosami i uszami wielkości i kształtu grubych plastrów polędwicy wieprzowej. Obserwował Kim nieufnie smutnymi, wodnistymi oczami. Należał do większości, która uważała, że waszyngtońska straż pożarna to nie miejsce dla kobiet.

–Co tu mamy?

–Eksplozję i pożar. – O'Grady uniósł podbródek w kierunku ziejącej dziury.

–Ktoś z naszych zginął lub został ranny?

–Nie, ale dzięki, że pytasz. – O'Grady wytarł czoło brudnym papierowym ręcznikiem. – Choć jest ofiara śmiertelna. Prawdopodobnie gość zamieszkujący apartament. Tyle że na podstawie maleńkich szczątków, które znalazłem, nie sposób będzie go zidentyfikować. Gliny mówią też, że zaginął jeden pracownik. To cholerny fart przy takich fajerwerkach.

–Powiedziałeś „prawdopodobnie” gość hotelowy.

–Zgadza się. Ogień wytwarzał nienaturalny żar i było go piekielnie trudno ugasić. Dlatego zadzwoniliśmy do FIU.

–Orientujesz się, co spowodowało eksplozję?

–Na pewno nie jakiś pieprzony bojler – odparł krótko O'Grady. Podeszedł do Kim bliżej, krzywiąc się od swądu spalonej gumy i popiołu. – Masz godzinę, zanim policja

przekaże wszystko DHS – powiedział cicho i przynaglająco, mając na myśli Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego. – A wiesz, co się stanie, jak tamte palanty zaczną zadeptywać miejsce przestępstwa.

–Jasne – przytaknęła Kim.

–Dobra. Idź na górę. Czeka tam detektyw Overton. Krzywonogi O'Grady odszedł swoim typowym, lekko chwiejnym krokiem.

W holu roilo się od policjantów i strażaków. Gliniarze uspokajali personel i gości, stłoczonych w oddzielnych kątach niczym spiskujące frakcje. Strażacy byli zajęci ciągnięciem swojego sprzętu po poczerńiałym dywanie i marmurowej podłodze. W holu unosił się zapach niepokoju i frustracji jak w dusznym wagonie metra w godzinach szczytu.

Kim wjechała windą na zrujnowane i zwęglone, zupełnie puste piąte piętro. Tuż za progiem apartamentu zastała Overtona. Przygarbiony detektyw z ponurą pociągłą twarzą patrzył zmrużonymi oczami na swoje notatki.

–Co tu się stało? – zapytała, kiedy się przedstawiła. – Orientuje się pan?

–Możliwe – odparł Overton beznamiętnie. – Ten narożny apartament zajmowali Jakob i Lev Silverowie. Bracia. Handlarze diamentami z Amsterdamu. Przyszli około dziewiętnastej czterdzieści pięć. Wiemy, bo rozmawiali krótko z recepcjonistą... – odwrócił kartkę notesu – imieniem Thomas. Silver zamówił butelkę szampana, żeby coś uczcić. Potem Thomas już ich nie widział. Przysięga, że nie opuszczali hotelu.

Weszli głębiej do apartamentu.

–Może mi pani zdradzić w tajemnicy, co spowodowało eksplozję?

–Po to tu jestem. – Wciągnęła lateksowe rękawiczki i wzięła się do pracy. Przez dwadzieścia minut badała centralne miejsce wybuchu i oddalała się na zewnątrz. W innych okolicznościach pobrałaby próbki dywanu, bo gdyby użyto akceleratoru, byłyby to najprawdopodobniej łatwo palna ciecz na bazie węglowodorów, na przykład terpentyna, aceton, nafta i tym podobne. Dwie wskazówki: ciecz wsiąkłaby w dywan, nawet w spodnią warstwę. Istniałaby również przestrzeń, gdzie pozostałyby ślady gazów uwolnionych po zapłonie akceleratoru. Ponieważ każdy związek chemiczny ma swoje charakterystyczne cechy, można byłoby wówczas ustalić metodą chromatografii gazowej nie tylko to, czy został użyty akcelerator, lecz również jaki.

Ale tutaj ogień płonął tak intensywnie, że strawił cały dywan. Nic dziwnego, że O'Grady i jego ludzie mieli trudności z ugaszeniem pożaru.

Kim uważnie oglądała każdy skrawek metalu, drewnianą drzazgę, włókno tkaniny i kupkę popiołu. Otworzyła swój zestaw i poddała część tych szczątków różnym testom. Resztę ostrożnie zebrała do szklanych pojemniczków, zamknęła je szczelnie i umieściła każdy na swoim miejscu w walizce wyłożonej pianką.

–Z całą pewnością użyto akceleratoru – zwróciła się do Overtona, kontynuując gromadzenie dowodów. – Choć jeszcze nie wiem jakiego. Ale się dowiem, jak tylko przeprowadzę analizy w laboratorium. Ale to nie był zwykły akcelerator. Ten żar, te zniszczenia...

–A eksplozja? – przerwał jej detektyw.

–Nie ma śladów materiału wybuchowego – odparła. – Akceleratorzy mają taki punkt

zapłonu, że często same powodują eksplozję. Ale jak powiedziałam, muszę nad tym popracować w laboratorium. – Zataczała coraz szerszy krąg wokół miejsca wybuchu. Nagle przykucnęła. – Sprawdził pan, dlaczego nie zadziałały tryskacze?

Overton przejrzał swoje notatki.

–Włączyły się na wszystkich piętrach z wyjątkiem tego. W podziemiach odkryliśmy, że ktoś majstrował przy systemie. Wezwałem elektryka. Stwierdził, że tryskacze na tym piętrze zostały uszkodzone.

–Więc to celowa robota.

–Jakob i Lev Silverowie byli Żydami. Kelner, który przyniósł im szampana, ten zaginiony pracownik, jest Pakistańczykiem. Dlatego mam obowiązek przekazać sprawę Departamentowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Podniosła wzrok znad swoich próbek.

–Myśli pan, że ten kelner to terrorysta? Overton wzruszył ramionami.

–Stawiam na zemstę konkurencji na Silverach, ale cholernie bym chciał ubiec DHS.

Pokręciła głową.

–To jest zbyt wyrafinowane na zamach terrorystyczny.

–Diamenty są wieczne. Wstała.

–Chodźmy obejrzyć ciało.

–A raczej to, co z niego zostało.

Zaprowadził Kim do łazienki. Popatrzyli na zwęglone kawałki kości walające się w porcelanowej wannie.

–To nawet nie szkielet. – Kim pokiwała głową i obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni. – Tutaj leży albo Jakob, albo Lev Silver. W porządku. Ale gdzie drugi brat?

–Mógł się spalić na popiół. Nie?

–Całkiem możliwe – przyznała Kim. – Ale przesianie tych szczątków w poszukiwaniu ludzkich prochów zajmie mi dni, jeśli nie tygodnie. I mogę niczego nie znaleźć.

Wiedziała, że Overton już przetrząsnął cały apartament, ale sama zajrzała w każdy kąt i zakamarek.

Kiedy wrócili do łazienki, Overton nerwowo zerknął na zegarek.

–Długo to jeszcze potrwa? Kończy mi się czas.

Kim weszła do wanny ze zwęglonymi kawałkami kości.

–Nie lubi pan DHS?

–Nie, ja tylko... – Wzruszył ramionami. – Pięć razy próbowałem się u nich załapać na agenta. I pięć razy mnie odrzucili. Ta sprawa to moja szansa. Jeśli pokażę, co potrafię, będą musieli mnie przyjąć, jak znów się do nich zgłoszę.

Kim przykucnęła ze swoim sprzętem.

–Tu też był akcelerant. Tak jak w pokoju. Porcelana, którą wypala się w niezwykle wysokiej temperaturze, jest bardziej odporna na żar niż niejedyn metal. – Przesunęła się dalej. – Akceleranty są ciężkie, więc mają tendencję do wsiąkania. Dlatego szukamy ich w spodnich warstwach dywanów albo szparach drewnianych podłóg. Tutaj akcelerant spłynąłby do najniższej położonego punktu wanny, czyli do odpływu.

Zacząła wycierać odpływ wacikami z zestawu, za każdym razem sięgając coraz głębiej. Nagle przerwała. Wyjęła wacik z otworu, schowała do plastikowej torebki i odłożyła na bok. Potem poświeciła w głąb odpływu olówkową latarką ksenonową.

–Co my tu mamy?

Opuściła do otworu wąskie szczypce. Po chwili wyciągnęła stalowymi końcami narzędzia coś, co wyglądało całkiem znajomo. Overton pochylił się nad wanną.

–Para zębów jednego z braci Silverów. Kim obracała je i oglądała w świetle latarki.

–Może. – Zmarszczyła czoło. A może nie, pomyślała.

Oliwkowy dom w bok od Siódmej ulicy w Northeast wyglądał podobnie jak sąsiednie – był stary i obskurny, frontowy ganek pilnie wymagał remontu. Szkielet budynku na prawo jeszcze jakoś stał, ale wewnątrz dawno strawił pożar. Ruinę okupowała banda kłótliwych nastolatków, słuchających głośnej muzyki hip – hopowej z wielkiego podniszczonego radiomagnetofonu. Oświetlała ich bucząca latarnia, która kwalifikowała się do natychmiastowej naprawy.

Cała grupa wyszła na dwór, kiedy harley zatrzymał się przy krawężniku przed oliwkowym domem, ale Bourne odprawił ich machnięciem ręki, gdy razem z Sorają wolno zsiadali z motocykla.

Nie zwracał uwagi na rozdartą prawą nogawkę spodni i przesiąkającą przez nią krew. Przywitał się stuknięciem pięści z najwyższym z nastolatków.

–Jak leci, Tyrone?

–Jakoś – mruknął chłopak. – No wiesz.

–To Soraja Moore.

Tyrone obrzucił kobietę spojrzeniem dużych czarnych oczu.

–Deron się wpieni. Tylko ty możesz tu być.

–Zostaw to mnie – powiedział Bourne. – Załatwię to z Deronem.

W tym momencie otworzyły się frontowe drzwi oliwkowego domu. Na ganek wyszedł wysoki, szczupły, przystojny mężczyzna ze skórą koloru jasnego kakao.

–Jason, co jest, do cholery? – Deron zmarszczył brwi i zszedł z ganku. Był w dżinsach i roboczej koszuli z rękawami podwiniętymi do łokci. Wydawał się nieczuły na zimno. – Znasz zasady. Sam je ustaliłeś z moim starym. Przyjeżdżasz tu solo.

Bourne wkroczył między Derona a Soraję.

–Za dwie godziny mam samolot do Londynu – wytłumaczył cicho. – Spieszę się. Potrzebuję jej pomocy tak samo jak twojej.

Deron podchodził długimi, powolnymi krokami. Był już na tyle blisko, że Soraja zauważyła w jego dłoni rewolwer. I to nie było jakieś Magnum 357.

Kiedy zaczęła się mimowolnie cofać, Deron przemówił z doskonałym brytyjskim akcentem:

–"Ach, któż to nadchodzi? Zbliź się do mnie, czyś ty przyjaciel, czy wróg. I powiedz mi, kto jest zwycięzcą, York czy Warwick? Czemu o to pytam? Moje pogruchotane ciało to zdradza. Moja krew, mój brak siły, moje zrozpaczone serce to zdradza. Że muszę oddać moje ciało ziemi i przez mój upadek zostawić zdobycz wrogowi".

–„Zobacz, kto to jest” – podjęła Soraja. – „I teraz, gdy bitwa skończona, czy to

przyjaciel, czy wróg, pozwól być mu szlachetnie użytecznym”.

–Widzę, że znasz Szekspira – powiedział Deron.

–*Henryk VI*, część III, jedna z moich ulubionych lektur w szkole.

–Ale czy bitwa naprawdę się skończyła?

–Pokaż mu NET – polecił Bourne. Soraja wyjęła owalne pudełko.

Deron wetknął magnum za pasek dżinsów i wyciągnął delikatną rękę z długimi palcami chirurga lub kieszonkowca. Wziął pudełeczko i otworzył.

–Aha. – Zablęsty mu oczy, gdy wyjął nadajnik, żeby go obejrzeć.

–Najnowsza smycz CIA – poinformował Bourne. – Ona zdjęła ze mnie to małe paskudztwo.

–Konstrukcja DARPA – stwierdził Deron. Omal nie cmoknął z zachwytu. Uwielbiał nowe technologie.

Kiedy szli za Deronem do oliwkowego domu, Bourne wyjaśnił Sorai, że ich gospodarz nie jest ani chirurgiem, ani kieszonkowcem, lecz jednym z najlepszych fałszerzy na świecie. Specjalizuje się w kopiowaniu obrazów Vermeera, bo ma smykałkę do operowania światłem, ale praktycznie może wykonać reprodukcję wszystkiego i często to robi za astronomicznie wysokie sumy. Klienci uważają, że jego praca jest warta takich pieniędzy. Deron szczyli się tym, że ma zadowolonych odbiorców.

Chłopak wprowadził gości za próg i zamknął frontowe drzwi. Niespodziewany szcęk przestraszył Soraję. To nie były zwykłe drzwi, choć z zewnątrz tak wyglądały. Po tej stronie ciepłe światło lampy odbijało się w ich metalowej powierzchni.

Soraja rozejrzała się zdumiona. Na wprost biegły łukiem dębowe schody, na lewo ciągnął się korytarz. Na prawo był duży salon. Na wypolerowanych drewnianych podłogach leżały kosztowne perskie dywany, na ścianach wisiały wspaniałe dzieła, tworzące historię malarstwa – płótna Rembrandta, Vermeera, van Gogha, Moneta, Degasa i wielu innych. Oczywiście same falsyfikaty. Soraja przyglądała się im uważnie i choć niezbyt dobrze znała się na malarstwie, wydawały jej się znakomite. Była pewna, że gdyby zobaczyła te obrazy w muzeum lub na aukcji, wzięłaby je za autentyki. Zmrużyła oczy. Chyba że... niektóre są oryginałami.

Odwróciła się i zobaczyła, że Deron trzyma Bourne'a w serdecznym uścisku.

–Jeszcze nie miałem okazji ci podziękować, że byłeś na pogrzebie – powiedział Bourne. – To dla mnie wiele znaczyło. Wiem, jaki jesteś zajęty.

–Mój drogi przyjacielu, w życiu są sprawy ważniejsze od interesów. – Deron uśmiechnął się smutno. – Nawet tych najpilniejszych i najbardziej opłacalnych. – Odsunął Bourne'a od siebie. – Najpierw zajmijmy się twoją nogą. Na górze, pierwsze drzwi na prawo. Znasz drogę. Umyj się. Są tam też nowe łachy dla ciebie. – Wyszczrzył zęby. – Najlepszy towar zawsze u Derona.

Soraja poszła za gospodarzem wzdłuż żółtego korytarza, a potem przez dużą kuchnię do pomieszczenia, które kiedyś prawdopodobnie było domową pralnią i spiżarnią. Stały tu wysokie do pasa szafki, przykryte blatami obitymi blachą ocynkowaną. Leżały na nich części baterii komputerów i tajemnicze przyrządy elektroniczne.

–Wiem, czego on szuka – powiedział Deron, jakby sam do siebie. Zaczął metodycznie otwierać szafki i wysuwać szuflady. Stąd wyjął kilka przedmiotów, stamtąd garść innych.

Soraja zaglądała mu przez ramię i przeraziła się na widok nosów, uszu i zębów. Ostrożnie wzięła jeden nos i obróciła go w palcach.

–Bez obaw – uspokoił ją Deron. – Są zrobione z lateksu i porcelany. – Uniósł coś, co przypominało mostek dentystyczny. – Ale jak żywe, co nie? Ta protezka niewiele się różni od prawdziwej, z wyjątkiem tego miejsca. – Pokazał wewnętrzną stronę, tuż przy krawędzi. – Prawdziwa miałaby tu małe wgłębienie, żeby pasowała na zeszlifowany ząb. Natomiast ta, jak widzisz, to tylko porcelanowa skorupa do wkładania na całe zęby.

Soraja nie mogła się powstrzymać i przymierzyła lateksowy nos. Deron wybuchnął śmiechem. Pogrzebał w innej szufladzie i wręczył agentce dużo mniejszy. Ten pasował lepiej. Chłopak przykleił go na próbę klejem do charakteryzacji.

–Rzecz jasna, w prawdziwej potrzebie użyłabyś innego kleju i oczywiście zrobiłabyś makijaż, żeby zamaskować krawędzie protezy.

–Nie ma z tym problemu, kiedy się pocisz, czy... bo ja wiem, na przykład pływasz?

–To nie jest makijaż od Chanel. – Deron się roześmiał. – Musisz użyć specjalnego rozpuszczalnika, żeby go usunąć.

Bourne wrócił w chwili, kiedy Soraja odrywała sztuczny nos. Ranę na nodze miał oczyszczoną i zabandażowaną, był w nowych spodniach i świeżej koszuli.

–Musimy porozmawiać, Sorajo – powiedział.

Poszła za nim do kuchni, gdzie stanęli przy wielkiej lodówce z nierdzewnej stali pod ścianą najdalszą od pracowni.

–Przyjemnie spędziłaś czas z Deronem, kiedy mnie nie było? – zapytał Bourne.

–Chodzi ci o to, czy próbował ciągnąć mnie za język?

–Myślisz, że go o to prosiłem?

–Zgadza się.

–Nie prosiłem. Pokręciła głową.

–Nie próbował. – Czekwała.

–Trudno mi zacząć. – Bourne przyjrzał się jej twarzy. – Byłaś blisko z Timem?

Odwróciła głowę i przygryzła wargę.

–Co cię to obchodzi? Uważasz go za zdrajcę.

–Sorajo, posłuchaj. To mógł być tylko Tim Hytner albo ja. Wiem, że ja nie zdradziłem.

Zrobiła wyzywającą minę.

–Więc mi wyjaśnij, dlaczego zabrałeś Cevika na dwór?

–Chciałem, żeby poczuł smak wolności, którą stracił.

–O to chodziło? Nie wierzę.

Bourne zmarszczył brwi. Nie po raz pierwszy od śmierci Marie zastanawiał się, czy cierpienie nie utrudnia mu oceny sytuacji.

–Ale to prawda.

–Ja tego nie kupuję – warknęła. – Myślisz, że przekonasz Starego?

–A jakie to ma znaczenie? On nienawidzi wolnych strzelców. Popatrzyła na swoje buty i pokręciła głową. Wzięła głęboki wdech i wolno wypuściła powietrze.

–Poleciłam Tima do Tyfona, a teraz nie żyje.

Bourne milczał. Był wojownikiem, czego się spodziewała? Łez i żalu? Nie, ale czy okazanie odrobiny uczucia zabiłoby go? Wspomniała o niedawnej śmierci jego żony i natychmiast się zawstydzila.

Odchrząknęła, ale nie zapanowała nad emocjami.

–Chodziliśmy razem do szkoły. Dziewczyny ciągle robiły sobie z niego żarty.

–Ale nie ty?

–Różniłam się od koleżanek. Uważałam, że jest miły i wrażliwy. – Wzruszyła ramionami. – Lubił opowiadać o swoim dzieciństwie na wsi w Nebrasce. Słuchałam tego jak opowieści o innym kraju.

–Nie nadawał się do Tyfona – powiedział bez ogródek Bourne.

–Nie nadawał się do pracy w terenie, taka jest prawda – odparła równie szczerze. Bourne włożył ręce do kieszeni.

–Więc na czym stoimy?

Spojrzała na niego, jakby ukłuł ją czubkiem noża sprężynowego.

–Nie rozumiem.

–Uratowaliśmy sobie nawzajem życie, ty dwa razy próbowałaś mnie zabić. W sumie nie darzymy się zaufaniem.

Utkwiła w nim duże, załzawione oczy.

–Ja zdjęłam ci NET, ty przywiozłeś mnie tutaj, do Derona. Co nazywasz zaufaniem?

–Zrobiliście Cevikowi zdjęcia, kiedy został zatrzymany – stwierdził Bourne.

Skinęła głową. Czekala, aż spadnie topór. Czego teraz od niej zażąda? A czego ona właściwie od niego chce? Oczywiście wiedziała, ale było to zbyt bolesne, żeby mogła się do tego przyznać samej sobie, a co dopiero jemu.

–Dobra, zadzwoń do Tyfona. Poproś, żeby przysłali zdjęcia na twój telefon. – Ruszył korytarzem; dotrzymała mu kroku. – A potem szyfr, który Hytner zabrał Cevikowi.

–Zapominasz, że w agencji nadal na wszystko jest blokada. Łącznie z transferami danych.

–Potrafisz zdobyć dla mnie to, czego potrzebuję, Sorajo. Wierzę w ciebie.

W jej oczach na moment znów pojawił się dziwny wyraz, potem zniknął bez śladu. Połączyła się z Tyfonem, zanim weszli do pracowni Derona – pomieszczenia w kształcie litery L, zrobionego z dawnej pralni i spiżarni. Atelier mieściło się na górze, w pokoju gdzie było najwięcej dziennego światła. Deron pochylał się teraz nad stołem roboczym i oglądał NET.

W czasie blokady tylko dyrektor Tyfona mógł przesyłać istotne dane. Soraja wiedziała, że będzie musiała zwrócić się do kogoś innego, żeby zdobyć to, czego chciał Bourne.

Usłyszała głos Annę Held i się przedstawiła.

–Posłuchaj, Annę, potrzebuję twojej pomocy.

–Czyżby? I nawet mi nie powiesz, gdzie jesteś?

–To nieważne. Nic mi nie grozi.

–Co za ulga. Dlaczego NET przestał nadawać?

–Nie wiem. – Soraja starała się nie zmieniać tonu głosu. – Może ma defekt.

–Skoro nadal jesteś z Bourne'em, sprawdź, co się stało.

–Oszalałaś? Nie mogę się do niego aż tak zbliżyć.

–Ale chcesz, żebym ci wyświadczyła przysługę. Mów. Soraja powiedziała.
Cisza.

–Dlaczego ty nigdy nie prosisz mnie o załatwienie czegoś łatwego?

–Bo w prostych sprawach mogę się zwrócić do kogoś innego.

–Fakt. – Po chwili dodała: – Jak mnie przyłapią...

–Annę, prawdopodobnie jesteśmy na tropie Cevika, ale potrzebujemy informacji.

–Dobra. Ale w zamian ustalisz, co się stało z nadajnikiem. Muszę powiedzieć

Staremu coś, co go zadowoli. Żąda krwi, i chcę mieć pewność, że to nie będzie moja.

Soraja zastanowiła się szybko, ale nie znalazła alternatywy. Po prostu później oddzwoni do Annę i poda jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

–W porządku. Coś wymyślę.

–Świetnie. A przy okazji, Sorajo, jeśli chodzi o nowego wicedyrektora, to na twoim miejscu oglądałabym się cały czas za siebie. Nie jest przyjacielem Lindrosa ani Tyfona.

–Dzięki, Annę.

–Załatwione – oznajmiła Soraja. – Dane już są.

Bourne wziął jej komórkę i dał Deronowi, który oderwał się od swojej nowej zabawki, żeby połączyć telefon z komputerem i ściągnąć pliki. Na jednym z wielu monitorów pojawiła się twarz Cevika.

–Miłej zabawy. – Deron wrócił do oglądania NET.

Bourne usiadł i długo przyglądał się zdjęciom. Czuł Soraję, która pochylała się nad jego prawym ramieniem. Zobaczył – co? – widmo wspomnienia. Pomasaował skronie, żeby się na tym skoncentrować, ale promyk światła zniknął w ciemności. Z pewnym niepokojem znów zajął się studiowaniem twarzy Cevika.

Było w niej coś... Nie chodziło o pojedynczy rys, lecz ogólne wrażenie, które pojawiło się w jego pamięci jak cień ryby pływającej pod powierzchnią jeziora. Zaczął powiększać kolejno części twarzy Cevika – usta, nos, czoło, skronie, uszy. Ale to tylko spychało impresjonistyczne obrazy w jego pamięci głębiej do nieznanых zakamarków umysłu. Przeszedł do złocistych oczu. W lewym coś było. Powiększył je jeszcze bardziej. Na zewnętrznym obwodzie tęczówki dostrzegł maleńki półokrąg światła. Zrobił maksymalne zbliżenie, ale wtedy stracił dobrą rozdzielczość i obraz się rozmył. Z powrotem wyostrzył mikroskopijny półokrąg światła. To mogło być odbicie blasku lampy w celi. Ale dlaczego na obwodzie tęczówki? Gdyby to było odbicie od tęczówki, świetlna plamka znajdowałaby się bliżej środka, tam gdzie gałka oczna najbardziej się uwypukla, więc jest największe prawdopodobieństwo wychwycenia światła. A to widniało na obwodzie, gdzie...

Bourne roześmiał się w duchu.

Zadzwęczała komórka. Soraja odebrała i przez chwilę słuchała rozmówcy, potem powiedziała:

–Ekipa dochodzeniowa wstępnie ustaliła, że hummer był wyładowany C – 4.

Odwrócił się do niej.

–Dlatego nie odpowiadali.

–Cevik i jego ludzie byli zamachowcami samobójcami.

–Może nie. – Bourne przeniósł wzrok na zdjęcie i wskazał maleńki półokrąg światła. – Widzisz to? Blask odbija się tu od krawędzi szkła kontaktowego, bo ono jest nieco wyżej niż powierzchnia tęczy i wychwytuje światło. Teraz spójrz na źrenicę. Widzisz tę maleńką złocistą plamkę na lewym obrzeżu? Cevik nosił kolorowe szkła kontaktowe. – Popatrzył na Soraję. – A dlaczego? Bo wcale nie był tym, za kogo się podawał, prawda? – Czekał na reakcję. – Sorajo?

–Myślę.

–Charakteryzacja, staranny plan, zamach bombowy.

–W dżungli tylko kameleon potrafi dostrzec innego kameleona – wymamrotała.

–Owszem – przytaknął Bourne, przyglądając się zdjęciu. – Chyba mieliśmy w rękach Fadięgo.

Znow chwila milczenia, tym razem krótsza. Umysł Sorai pracował gorączkowo.

–Więc możliwe, że „Cevik” wcale nie zginął w eksplozji – odezwała się w końcu.

–Właśnie. – Bourne zastanawiał się przez chwila. – Miałby niewiele czasu na opuszczenie hummera. Terenówka zniknęła mi z widoku tylko raz, na krótko, kiedy uruchamiałem motocykl przed skrzyżowaniem Dwudziestej Trzeciej z Constitution.

–Mógł na niego czekać inny samochód.

–Sprawdź to, ale szczerze mówiąc, wątpię. Teraz Bourne rozumiał, dlaczego Fadi użył rzucającego się w oczy hummera. Chciał, żeby ścigano i w końcu otoczono terenówkę. Samochód. Zamierzał spowodować jak największe straty wśród personelu CIA. – Nie ma mowy, żeby przewidział, gdzie wyskoczy.

Soraja skinęła głową.

–Każę przeszukać teren od miejsca, gdzie hummer zabrał Fadięgo. – Wybrała numer Tyfona. – Zaraz wyślę na miasto kilka zespołów. – Wydała polecenia, słuchała przez kilka minut z poważną miną, potem się wyłączyła. – W agencji jest coraz większe piekło. Stary szaleje z powodu ucieczki Cevika. Wini ciebie.

–To oczywiste – odparł Bourne. – Gdyby nie chodziło o Martina, nie miałbym już nic wspólnego z CIA i Tyfonem. Ale jest moim przyjacielem, uwierzył mi, walczył o mnie, kiedy agencja żądała mojej krwi. Nie odwrócę się od niego. Ale przysięgam, że to ostatnia robota dla CIA.

Cienie zamieniły się w chmury i odbijały w spokojnych wodach jeziora. Martin Lindros odczuwał lekki ból, jak podczas borowania częściowo znieczulonego zęba. Ale był zbyt zajęty wyciąganiem pstrąga na końcu żyłki, żeby mu to przeszkadzało. Zakręcił kołowrotkiem, uniósł wędkę, aż wygięła się w łuk, i nawinał więcej żyłki. Tak jak uczył go ojciec. To sposób na zmęczenie ryby, nawet najbardziej walecznej. Zdyscyplinowanie i cierpliwość pozwalały wyciągnąć każdą rybę na haczyku.

Chmury zebrały się dokładnie nad nim i przesłoniły słońce. Coraz większy chłód

sprawił, że Lindros jeszcze bardziej skoncentrował się na rybie.

Oprócz wędkowania ojciec nauczył go wielu innych rzeczy. Oscar Lindros miał różne uzdolnienia. Założył firmę Vaultline i uczynił z niej najlepszą prywatną agencję ochrony na świecie. Klientami Vaultline były superkorporacje, których personel często przebywał służbowo w niebezpiecznych częściach świata. Biznesmenów chronił tam Oscar Lindros lub ktoś z wyszkolonych osobiście przez niego pracowników operacyjnych.

Martin Lindros wychylił się za burtę łodzi i przyjrzał błyszczącemu, tęczowo – srebrzystemu pstrągowi. Ryba była duża. Największa, jaką dotąd złowił. Choć się miotła, widział jej trójkątną głowę. Ościsty pysk otwierał się i zamykał. Lindros uniósł wędkę, pstrąg wynurzył się do połowy i opryskał go kropelkami wody.

Martin Lindros wcześniej postanowił zostać szpiegiem. Ojciec oczywiście się ucieszył. Zaczął uczyć syna wszystkiego, co wiedział o tej branży. Najważniejsze było to, jak przeżyć w niewoli i przetrwać tortury. Wszystko jest w głowie, mówił. Musisz tak wyćwiczyć umysł, żeby się odciąć od świata zewnętrznego, a potem od ośrodków bólu w mózgu. Aby to osiągnąć, trzeba sobie wymyślić jakiś czas i miejsce i uczynić to rzeczywistym, odczuwalnym pięcioma zmysłami. Musisz wejść do tego świata i zostać. Inaczej w końcu cię złamią albo zwariujesz.

Właśnie tam był Martin Lindros. Cały czas od chwili, gdy wpadł w ręce Dudźdzy i został przywieziony tutaj, gdzie leżał teraz skurczony i zakrwawiony.

Na jeziorze w końcu wyciągnął rybę. Rzuciła się i rozpaczliwie łapała powietrze na dnie łodzi. Patrzyła na niego, nawet kiedy zsiniała. Schylił się i wyjął haczyk z twardej chrząstki wokół pyska. Ile ryb złowił, odkąd wypłynął na jezioro? Nie potrafił powiedzieć, bo szybko się ich pozbywał. Przystawały mu być potrzebne po zdjęciu z haczyka.

Założył przynętę i zarzucił wędkę. Musiał nadal łowić. Inaczej ból, ciemny wał chmur na horyzoncie, zaatakowałby go z siłą huraganu.

Siedząc w kabinie business – class nocnego samolotu do Londynu, Bourne wyświetlił napis „Nie przeszkadzać” i wyjął konsolę Sony PSP3 z rozszerzoną pamięcią i ekranem o bardzo wysokiej rozdzielczości, którą dał mu Deron. Na twardym dysku były różne nowości wymyślone przez przyjaciela. Z fałszowania obrazów Deron mógł spokojnie żyć, ale najbardziej fascynowało go wymyślanie nowych zminiaturyzowanych gadżetów – dlatego tak go zainteresował NET, który teraz znów tkwił bezpiecznie w pudełeczku.

Zaopatrzył Bourne'a w trzy różne paszporty, poza jego dyplomatycznym z CIA. Na każdym zdjęciu z kartoteki Derona Bourne wyglądał zupełnie inaczej. Miał ze sobą zestaw do makijażu, kolorowe szkła kontaktowe oraz jeden z nowej generacji pistoletów, zrobiony z plastiku pokrytego gumą. Według Derona gumowe pociski pokryte kevlarem mogły powalić szarżującego słonia, jeśli trafiło się zwierzę w odpowiednie miejsce.

Bourne wyświetlił zdjęcie „Hirama Cevika”. Fadi. Ile innych wcieleń miał przez lata ten mózg operacji terrorystycznych? Możliwe, że kamery systemów bezpieczeństwa w miejscach publicznych niejednokrotnie zarejestrowały jego wygląd, ale bez

wątpienia za każdym razem inny. Bourne doradził Sorai, żeby przejrzała wszystkie dostępne kasety wideo i zdjęcia statyczne z miejsc, gdzie Dudźdża przeprowadziła zamachy, a potem żeby porównała widoczne twarze z tą fotografią Cevika. Mimo to wątpił, że Soraja coś znajdzie. Jego samego też nieraz zarejestrowały kamery. Nie obawiał się tego, bo zmieniał wygląd jak kameleon. Nikt nie zauważyłby żadnego podobieństwa; bardzo się o to starał. Fadi, inny kameleon, również.

Długo przyglądał się twarzy na monitorze. Walczył z ogarniającym go zmęczeniem, ale w końcu zasnął...

...Marie przychodzi do niego w mieście drzew akacjowych i brukowanych ulic. W powietrzu unosi się ostry zapach minerałów, woń niespokojnego morza. Wilgotna bryza zwiewa jej włosy, trzepoczą z tyłu jak flaga.

Mówi do niej: „Potrafisz zdobyć dla mnie to, czego potrzebuję. Wierzę w ciebie”.

W jej oczach jest strach, ale również odwaga i determinacja. Zrobi to, o co ją prosi, bez względu na niebezpieczeństwo. On to wie. Kiwa głową na pożegnanie i Marie znika...

Znów jest na tej samej ulicy obsadzonej akacjami. Przed sobą widzi czarną wodę. A potem opada, szybuje w powietrzu jak na spadochronie.

Pędzi nocą przez plażę. Na lewo jest ciemny rząd kiosków. Niesie... trzyma coś w ramionach. Nie, nie coś. Kogoś. Wszędzie krew, pulsuje mu w żyłach. Błada twarz, zamknięte oczy, policzek na jego lewym bicepsie. Biegnie sprintem przez plażę, czuje się strasznie, nic go nie osłania. Nie dotrzymał umowy, którą zawarł z samym sobą, i przez to wszyscy zginą: on, postać w jego ramionach... młoda zakrwawiona kobieta. Mówi coś do niego, ale on nie słyszy ani słowa. Biegające kroki za nim i myśl jasna jak księżyc nisko na niebie: zostaliśmy zdradzeni...

Kiedy Matthew Lerner wszedł do pierwszego z pokoi biurowych dyrektora CIA, Annę Held nie od razu podniosła wzrok. Nie była zajęta niczym, co wymagałoby szczególnej uwagi. Ale zależało jej na tym, żeby Lerner odniósł inne wrażenie. Prywatnie Annę porównywała ten pokój do fosy wokół warownego zamku Starego, a siebie do pływającego w niej drapieźnika z wielkimi kłami.

Gdy uznała, że Lerner czeka już wystarczająco długo, spojrzała w górę i uśmiechnęła się chłodno.

–Powiedziała pani, że dyrektor chce się ze mną widzieć.

–Szczerze mówiąc, to ja chciałam się z panem zobaczyć. – Wstała i przesunęła dłońmi w dół ud, żeby wygładzić zmarszczki, które mogły powstać na jej spódnicy, kiedy siedziała. Perłowe światło odbiło się w jej wypielęgnowanych paznokciach.

–Napije się pan kawy? – zapytała, idąc przez pokój. Lerner uniósł brwi.

–Myślałem, że wy, Brytyjczycy, lubicie herbatę. Przytrzymała otwarte drzwi, żeby mógł przejść.

–To tylko jeden z wielu przykładów, że ma pan o mnie błędne mniemanie.

W metalowej windzie zjeżdżającej do kantyny CIA milczeli. Annę patrzyła przed siebie, Lerner bez wątpienia zastanawiał się, o co chodzi.

Kantyna nie przypominała żadnej innej w rządowych agencjach. Panowała tu niezwykła cisza, podłogę pokrywały grube dywany w kolorze prezydenckiego

granatu. Ściany były białe, skórzane kanapy i fotele czerwone. Przegrody akustyczne w suficie tłumiły wszelkie dźwięki, zwłaszcza głosy. Szerokimi przejściami między stolikami bezszelestnie kursowali kelnerzy w kamizelkach. W sumie jadalnia CIA wyglądała bardziej jak sala w klubie dżentelmenów niż kantyna.

Kierownik natychmiast rozpoznał Annę i zaprowadził gości do okrągłego narożnego stolika dyrektora CIA, który niemal całkowicie otaczała kanapa z wysokim oparciem. Annę i Lerner usiedli, podano zamówione napoje i zostawiono ich samych.

Lerner przez chwilę mieszał osłodzoną kawę.

–Więc o co chodzi?

Annę upiła łyk swojej bez cukru, rozprowadziła ją w ustach jak dobre wino, zadowolona przełknęła i odstawiła filiżankę.

–Niech pan pije, Matthew. To etiopska. Mocna i aromatyczna.

–Wprowadziłem jeszcze jedną nową zasadę, panno Held. Nie zwracamy się do siebie po imieniu.

Zignorowała tę uwagę.

–Problem z mocną kawą jest taki, że bywa kwaśna. A zbyt dużo kwasu szkodzi na cały układ trawienny. Może nawet wypalić dziurę w żołądku. Wtedy kawę trzeba odstawić.

Lerner odchylił się do tyłu.

–To znaczy? – Wiedział, że Annę tylko w przenośni mówi o kawie. Przyglądała mu się przez chwilę.

–Został pan wicedyrektorem... kiedy?... pół roku temu? Zmiany są trudne dla wszystkich. Ale pewnych zasad nie można...

–Dorzeczy. Wypiła następny łyk.

–Obgadywanie Martina Lindrosa to niezbyt dobry pomysł, panie Matthew.

–Tak? A co w nim jest takiego wyjątkowego?

–Gdyby był pan dłużej na tym szczepku, nie musiałby pan pytać.

–Dlaczego rozmawiamy o Lindrosie? Może już nie żyć.

–Tego nie wiemy – odparła krótko Annę.

–. W każdym razie, tak naprawdę wcale nie chodzi o terytorium Lindrosa, zgadza się, panno Held? Mimowolnie się zaczerwieniła.

–Nie miał pan powodu obniżyć mi kategorii wtajemniczenia.

–Pani stanowisko nie daje pani takich uprawnień, jak pani sobie wyobraża. Należy pani do personelu pomocniczego.

–Jestem prawą ręką dyrektora CIA. Jeśli potrzebuje informacji, zdobywam je dla niego.

–Przenoszę do was O'Reilly'ego z Wydziału Operacyjnego. Od teraz on będzie załatwiał Staremu te sprawy. – Westchnął. – Niech pani nie robi takiej miny i nie bierze tych zmian do siebie. To standardowa procedura operacyjna. Poza tym gdyby była pani traktowana wyjątkowo, inni członkowie personelu pomocniczego czuliby się urażeni. Uraza rodzi nieufność, a do tego nie możemy dopuścić. – Odsunął filiżankę. – Może pani w to wierzyć lub nie, panno Held, ale agencja jest w stanie agonii. Od lat. Potrzebuje uzdrowiciela. Ja nim jestem.

–Do ratowania agencji został wyznaczony Martin Lindros – odparła lodowato.

–Bo Stary ma do niego słabość. Ale Lindros nie idzie właściwą drogą. Ja tak. –

Wstał i się uśmiechnął. – Aha, jeszcze jedno. Niech pani mnie nigdy więcej nie wprowadza w błąd. Personel pomocniczy nie może zawracać wicedyrektorowi głowy kawą i swoimi opiniami.

Kim Lovett siedziała w laboratorium w centrali FIU przy Vermont Avenue. Zaczynała najważniejszą część testów. Musiała przenieść materiał, który zebrała w apartamencie na piątym piętrze hotelu Constitution, z hermetycznych pojemników do chromatografu gazowego. Teoria mówiła tak: wszystkie znane akceleranty procesu spalania to bardzo lotne węglowodory w stanie ciekłym, więc gazy wydzielane przez te związki chemiczne często pozostają na miejscu pożaru przez godziny. Należało wychwycić gazy w przestrzeni nad materiałem nasączonym akcelerantami: kawałkami zwęglonego drewna, włóknami dywanu i drobinami cementu, które wydłubała narzędziem dentystycznym. Potem otrzymałaby chromatogramy wszystkich gazów, powstałe na podstawie ich indywidualnych punktów wrzenia. W ten sposób ujawniłaby się charakterystyczna cecha akcelerantu, umożliwiająca jego identyfikację.

Kim wbiła długą igłę w pokrywkę każdego pojemnika, pobrała gazy, które wytworzyły się nad materiałem w stanie stałym, i wprowadziła je do cylindra chromatografu gazowego, chroniąc przed kontaktem z powietrzem. Sprawdziła nastawy urządzenia i uruchomiła włącznikiem proces oddzielania składników i analizy.

Zapisywała datę, czas, numery próbek, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi laboratorium. Odwróciła się i zobaczyła detektywa Overtona. Był w szarym płaszczu i trzymał w rękach dwa papierowe kubki kawy. Postawił jeden przed Kim. Podziękowała.

Wydawał się bardziej markotny niż przedtem.

–Jakie wieści?

Kim przez chwilę delektowała się gorącą, słodką kawą.

–Zaraz będziemy wiedzieli, jakiego akcelerantu użyto.

–Co mi to da?

–Myślałam, że chce się pan wykazać przed DHS.

–Cholerne dranie. Dziś rano w biurze szefa byli dwaj agenci. Zażądali moich notatek. Spodziewałem się tego, więc zrobiłem kopię. Zamierzam rozgryźć tę sprawę i rzucić im gotowe wyniki w twarz.

Rozległ się brzęczyk.

–Już mam. – Kim obróciła się na krześle. Popatrzyła na odczyt chromatografu. – Dwusiarczek węgla. – Skinęła głową. – Ciekawe. Podpalacze zwykle nie używają tego akcelerantu.

–Więc dlaczego ci go wybrali?

–Dobre pytanie. Moim zdaniem dlatego, że przy spalaniu wytwarza wyższą temperaturę i ma dolną granicę wybuchowości gazu na poziomie pięćdziesięciu procent, dużo wyżej niż inne akceleranty. – Znów się obróciła. – Pamięta pan,

znalazłam akceleranty w dwóch miejscach: w łazience i w pokoju pod oknami. To mnie zaintrygowało. Teraz wiem dlaczego. Na chromatografie mam dwa oddzielne odczyty. W łazience użyto tylko dwusiarczku węgla. Ale w salonie odkryłam inny związek chemiczny, niezwykle złożony i dziwny.

–Jaki?

–Nie materiał wybuchowy. Coś bardziej interesującego. Musiałam trochę posprawdzać, ale ustaliłam, że to związek węglowodorowy, który można by nazwać przeciwśrodkiem na niepalność. To wyjaśnia, dlaczego zajęły się kotary i od eksplozji wyleciały szyby w oknach. Dopływ tlenu podtrzymał proces spalania, tryskacze nie zadziałały i w bardzo krótkim czasie powstały duże zniszczenia.

–Dlatego nie zostało nic, co umożliwiłoby identyfikację zwłok, ani szkielet, ani nawet zęby. – Overton potarł ciemny zarost na podbródku. – Sprawcy pomyśleli o wszystkim.

–Może nie o wszystkim. – Kim uniosła dwa porcelanowe zęby, które wyciągnęła z otworu odpływowego w wannie. Oczyszczyła je z popiołu, więc miały teraz barwę kości słoniowej i połysk.

–Próbujemy się dowiedzieć kanałami w Amsterdamie, czy Jakob lub Lev Silver nosił mostek dentystyczny. Wtedy moglibyśmy zidentyfikować ciało.

–Rzecz w tym, że wcale nie mam pewności, że to jest mostek dentystyczny – odparła Kim.

Overton wyjął jej z ręki porcelanowe zęby i obejrzał pod silną lampą. Nie zauważył niczego niezwykłego.

–A co to może być innego?

–Zadzwońię do przyjaciółki. Ona nam powie.

–Czyżby? A kim jest? Kim spojrzała na niego.

–Szpiegiem.

Bourne poleciał z Londynu do Addis Abeby, a stamtąd do Dżibuti. Odpoczywał bardzo mało, spał jeszcze mniej. Był zbyt zajęty zgłębianiem informacji o znanych ruchach Lindrosa, które dostarczyła mu Soraja. Niestety w wielu z nich brakowało szczegółów. Nic dziwnego. Lindros tropił najgroźniejsze na świecie ugrupowanie terrorystyczne. Utrzymywanie jakiegokolwiek łączności byłoby bardzo trudne i niebezpieczne.

Kiedy Bourne nie utrzymywał sobie w pamięci danych, przeglądał materiał wideo przesłany przez Annę Held na komórkę Sorai, który potem przerzucił na PSP3 – zwłaszcza próby złamania przez Tima Hytnera szyfru znalezione przy „Ceviku”. Ale teraz musiał się zastanowić nad samym szyfrem: czy to autentyczna wiadomość Dudźdzy, czy dezinformacja, celowo podsunięta Tyfonowi? Otwierał się przed nim labirynt pełen tajemnic. Odtąd każdy krok był bardzo ryzykowny. Jedno fałszywe założenie mogło go wciągnąć jak ruchome piaski.

Bourne uświadomił sobie, że ma do czynienia z przeciwnikiem niezwykle inteligentnym, o ogromnej sile woli, mistrzem potajemnych działań, który mógłby rywalizować z jego dawnym nemezis, Carlosem.

Zamknął na chwilę oczy i natychmiast zobaczył Marie. To ona była jego opoką

pomogła mu przetrwać tortury przeszłości. Ale Marie odeszła. Z każdym mijającym dniem oddalała się coraz bardziej. Starał się nie poddawać, lecz tożsamość Bourne'a była nieustępliwa, nie pozwalała mu na sentymenty, żal i rozpacz. Te uczucia tkwiły w nim, ale pozostawały cieniami trzymanymi na dystans przez wyjątkową koncentrację Bourne'a i jego wewnętrzny przymus rozwiązywania zabójczych zagadek, których nikt inny nie potrafiłby rozwikłać. Oczywiście wiedział, skąd się bierze ta szczególna zdolność; znał jej źródło, zanim tak zwięźle podsumował to doktor Sunderland: napędzała go paląca potrzeba wyjaśnienia tajemnicy, kim jest.

W Dżibuti czekał na niego zatankowany i gotowy do startu helikopter CIA. Bourne przebiegł po mokrym asfalcie pod groźnym niebem pełnym burzowych chmur i w wilgotnym, wirującym wietrze wspiał się do środka maszyny. Był ranek trzeciego dnia jego podróży z Waszyngtonu. Miał zdrętwiałe kończyny i skurczone mięśnie. Tęsknił za działaniem i nie uśmiechał mu się godzinny lot do Ras Daszanu.

Podano śniadanie na metalowej tacy i helikopter uniósł się w powietrze. Bourne wziął się do jedzenia, ale nie czuł żadnego smaku; był całkowicie pochłonięty myślami. Po raz tysięczny analizował szyfr Fadiego, patrzył na to jak na całość, bo algorytm wybrany przez Tima Hytnera zaprowadził go donikąd. Jeśli Fadi rzeczywiście odwrócił Hytnera – a Bourne'owi nie nasuwał się inny racjonalny wniosek – to Tim nie miał powodu łamać szyfru. Bourne jednak pilnie analizował pracę agenta, bo gdyby zauważył, że starania Hytnera to oszustwo, zyskałby dowód jego winy. Ale to oczywiście nie dałoby odpowiedzi na pytanie, czy szyfr zawiera prawdziwą wiadomość, czy tylko błędne dane przeznaczone do i wyprowadzenia Tyfona w pole.

Niestety Bourne'owi nie udało się rozpracować algorytmu szyfru ani nawet ustalić, czy Hytner szedł właściwym tropem. Spędził dwie niespokojne noce, wypełnione nie snami, lecz strzępami wspomnień. Był zawiedziony, że kuracja doktora Sunderlanda miała taki krótkotrwały efekt, ale przecież lekarz go uprzedził. Dużo gorsze było przeczucie zbliżającego się nieszczęścia, zawsze związane z wysokimi drzewami, zapachem minerałów w wodzie, desperacką ucieczką przez piasek. Desperacką nie tylko dla niego, lecz dla kogoś jeszcze. Złamał jedną ze swoich kardynalnych zasad i teraz miał za to zapłacić. Coś wywołało te przebliski wspomnień, i Bourne podejrzewał, że to źródło jest kluczem do zrozumienia, co się z nim przedtem działo. To irytujące, nie znać swojej przeszłości albo co najwyżej znać ją częściowo. Jego życie było białą plamą, jak dzień narodzin. Brakowało mu istotnej wiedzy. Jak mógł poznać siebie, skoro zabrano mu przeszłość?

Helikopter, lecąc poniżej grubej warstwy chmur, skręcił na północny wschód w kierunku gór Semien. Kiedy Bourne skończył śniadanie, włożył ciepły kombinezon i specjalne śniegowe buty z grubymi podeszwami, z których wystawały metalowe ostrza, ułatwiające chodzenie po lodzie i skałach.

Wyjrzał przez szybę i znów pograżył się w myślach, tym razem o swoim przyjacielu Martinie. Poznał Lindrosa, kiedy został zamordowany jego dawny mentor Alex Conklin. Lindros stanął po stronie Bourne'a, wierzył w niego, gdy Stary już wydał wyrok. Od tamtej pory Lindros był jego wsparciem w CIA. Bourne się

przygotował. Cokolwiek stało się z Lindrosem – bez względu na to, czy żył, czy nie – Bourne był zdecydowany zabrać go do domu.

Niewiele ponad godzinę później dotarł od północy do Ras Daszanu. Oślepiające słońce wyostrzało cienie na zboczu góry, szczyt wyrastał ze skłębionego morza chmur, przez które tu i tam widać było sępy szybujące we wznoszących prądach ciepłego powietrza.

Młody pilot, Davis, wskazał w dół. W świeżym śniegu tkwiły poczerwiałe wraki obu chinooków, porozrywane i poskręcane, jakby jakiś szalony demon użył gigantycznego otwieracza do konserw.

–Zostały trafione rakietami ziemia – powietrze – poinformował Davis.

Więc Soraja miała rację. Takie uzbrojenie było drogie, środki na jego zakup mógł zapewnić tylko sojusz ze zorganizowaną przestępczością. Bourne przyjrzał się dokładniej, kiedy zniżyli lot.

–Ale jest różnica. Ten z lewej...

–Pozostałości oznakowania wskazują, że leciał nim Skorpion Jeden.

–Spójrz na rotory. Helikopter został zniszczony tuż przed startem. Drugi uderzył w ziemię z dużą siłą. Musieli go zestrzelić, kiedy schodził do lądowania.

Davis skinął głową.

–Zgadza się. Przeciwnik był dobrze uzbrojony. Dziwne, na takim pustkowiu...

Bourne musiał przyznać pilotowi rację.

Wziął lornetkę polową i kazał Davisowi zatoczyć krąg. Kiedy tylko wyraźnie zobaczył teren, doznał déjà vu. Był już w tej części Ras Daszanu. Na pewno. Ale kiedy? I dlaczego? Natychmiast się zorientował, gdzie szukać ukrytego wroga. Wskazując pilotowi kierunek, przepatrywał wszystkie zakamarki, szczeliny i zacienione miejsca wokół lądowiska.

Wiedział, że Ras Daszan, najwyższy szczyt w górach Semien, leży w Amharze, jednym z dziewięciu regionów etnicznych Etiopii. Amharowie stanowią jedną trzecią ludności kraju i językiem urzędowym w Etiopii jest amharski, drugi po arabskim najbardziej rozpowszechniony język semicki na świecie.

Bourne znał górskie plemiona Amhary. Żadne z nich nie miałyby środków finansowych ani technicznych, żeby dokonać takich zniszczeń.

–Ktokolwiek to był, już go tu nie ma. Lądujemy.

Davis posadził helikopter tuż na północ od wraków. Maszyna ześlizgnęła się trochę w bok na lodzie pod warstwą świeżego śniegu, ale nie stracił nad nią kontroli. Kiedy tylko znaleźli się na twardym gruncie, wręczył Bourne'owi telefon satelitarny Thuraya. Aparat był trochę większy od zwykłej komórki, ale tylko taki działał w górzystym terenie, gdzie nie docierały zwykłe sygnały GSM.

–Zostań tu – polecił Bourne, kiedy pilot zaczął odpinać pasy. – Czekaj na mnie, żeby nie wiem co. Będę się meldował co dwie godziny. Jeśli nie odezwę się przez sześć godzin, startuj.

–Nie mogę pana zostawić. Jeszcze nigdy tak nie zrobiłem.

–Tym razem jest inaczej. – Bourne ścisnął go za ramię. – Cokolwiek by się działo, nie wolno ci pójść za mną jasne?

Davis wyglądał na nieszczęśliwego.

–Tak jest. – Wziął karabin szturmowy i otworzył drzwi helikoptera. Do środka wdarł się zimny wiatr.

–Chcesz mieć coś do roboty? Trzymaj na celowniku wejście do jaskini. Jeśli pojawi się coś dziwnego, najpierw strzelaj; pytania będziemy zadawali potem.

Bourne wyskoczył na zewnątrz. Było strasznie zimno. Wyższe partie Ras Daszanu to nie miejsce na zimową wyprawę. Ciągły wiatr rozwiewał suchy śnieg, aż tworzyły się zasy wielkości wydm na Saharze. W innych miejscach ostre podmuchy wymiatały płaskowyż do czysta, odsłaniając plamy wypalanej trawy i kamienie wystające tu i ówdzie jak zepsute zęby starego człowieka.

Mimo że Bourne zrobił rozpoznanie z powietrza, posuwał się bardzo ostrożnie w kierunku wraków dwóch chinooków. Najbardziej niepokoiła go jaskinia. Mogła tam być dobra wiadomość – ranni członkowie załogi którejś ze zniszczonych maszyn, albo zła – terroryści, którzy zabili dwie drużyny Skorpion.

Kiedy zrównał się z chinookami, zobaczył w środku ciała – niewiele więcej niż zwęglone szkielety i kępki osmalonych włosów. Oparł się pokusie sprawdzenia, czy w zgliszczach nie ma Lindrosa. Najpierw trzeba zabezpieczyć teren.

Dotarł do jaskini bez przygód. Wiatr przeciskający się między skałami zawodził upiornie, wycie brzmiało jak krzyk torturowanego człowieka. Otwór pieczary łytał na niego pożądliwie, podstępnie zachęcał do wejścia. Bourne stał przez chwilę pod złowrogą skalną ścianą i oddychał równo, głęboko. Potem skoczył i przetoczył się w ciemność.

Zapalił mocną latarkę i oświetlił zakamarki, gdzie mógł się ukrywać wróg w zasadzce. Ale nikt się tam nie czaił. Bourne wstał, dał krok naprzód, wydał nozdrza i nagle się zatrzymał.

Kiedyś w Egipcie miejscowy przewodnik prowadził go przez podziemny labirynt. Bourne czuł wtedy dziwny zapach, słodki i jednocześnie ostry, zupełnie mu nieznany. Kiedy zapytał, co to jest, przewodnik włączył latarkę – może na dziesięć sekund – i Bourne zobaczył ciała z ciemną naciągniętą skórą, wysychające w oczekiwaniu na pogrzeb.

„To zapach ludzkich zwłok, w których nie ma już płynów ustrojowych”, wyjaśnił przewodnik, gdy zgasił latarkę.

Bourne czuł to samo teraz w jaskini pod północnym zboczem Ras Daszanu. Zapach wysuszonych zwłok i jeszcze coś: przyprawiający o mdłości odór rozkładu, uwięziony w głębi pieczary jak gaz błotny.

Omiatając snopem światła drogę przed sobą, ruszył naprzód. Pod jego stopami coś zachrząściło. Skierował tam latarkę i zobaczył, że podłoże jest zasłane kośćmi – zwierzęcymi, ptasimi i ludzkimi. Poszedł dalej. Pod tylną ścianą siedziała postać.

Przykucnął, żeby mieć na wysokości wzroku jej głowę. A raczej to, co zostało. Jama rozrastała się od środka twarzy. Wyrzucała z siebie truciznę jak wulkan lawę. Najpierw pochłonęła nos, potem oczy i policzki.

Unicestwiła skórę i mięśnie. Teraz nawet kości czaszki były przeżarte przez tę samą zachłanną siłę, która żywiła się miękką tkanką ludzką.

Bourne'owi serce waliło jak młotem. Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Widział już ten szczególny rodzaj nekrozy. Mogło ją spowodować tylko jedno: promieniowanie.

To wiele wyjaśniało: co skłoniło Martina Lindrosa do tak naglej wyprawy w teren i dlaczego to miejsce było tak ważne, że strzegły go rakiety ziemia – powietrze i Bóg wie jaka jeszcze broń. Bourne upadł na duchu. Wszyscy członkowie Skorpiona Jeden i Dwa – łącznie z Martinem – musieli zostać zabici, żeby tajemnica nie wyszła na jaw. Ktoś przerzucał tym szlakiem nie tylko układy sterowanej przerwy iskrowej; miał też rudę uranu. Skulona pod ścianą osoba umarła na skutek napromieniowania, bo transportowała nieszczelny pojemnik z uranem. Sama ruda była tania, łatwo dostępna, ale przetworzenie jej w wysoko wzbogacony uran wymagało odpowiednich warunków: potężnego ośrodka jądrowego o powierzchni ponad kilometra kwadratowego i wysokości czterech pięter, oraz nieograniczonych funduszy.

Poza tym ruda uranu nie pozostawiłaby takiego śladu promieniowania. Nie, Dudźdża bez wątpienia zdobyła sproszkowany dwutlenek uranu, a stąd był już tylko jeden łatwy krok do otrzymania wysoko wzbogaconego uranu, używanego do produkcji broni jądrowej. Bourne zadawał sobie teraz to samo pytanie, które musiało tak gwałtownie popchnąć Lindrosa ku niebezpieczeństwu: do czego byłyby terrorystom potrzebne układy sterowanej przerwy iskrowej i dwutlenek uranu, gdyby nie mieli gdzieś ośrodka jądrowego z wykwalifikowanym personelem i możliwości wyprodukowania bomby atomowej?

A zatem: Dudźdża jest o wiele większym zagrożeniem, niż ktokolwiek w Tyfonie sobie wyobraża. Należy do tajnej międzynarodowej organizacji nuklearnej. Taką sieć zlikwidowano w roku 2004, gdy pakistański naukowiec Abdul Kadir Chan przyznał się do sprzedaży technologii wzbogacania uranu Iranowi, Korei Północnej i Libii. Teraz przerażające widmo odżyło.

Oszołomiony tym odkryciem Bourne podniósł się i wycofał z jaskini. Odwrócił się, wziął kilka głębokich oddechów, choć ostry wiatr kłuł go w płuca. Wzdrygnął się. Dał Davisowi znak, że wszędzie jest czysto, i ruszył z powrotem do wraków. Nie mógł przestać myśleć o zagrożeniu dla Ameryki, na którego trop wpadł Tyfon. Było nie tylko realne; jego skala i ewentualne skutki wręcz porażały.

Przypomniął sobie układ sterowanej przerwy iskrowej jednorazowego użytku – dowód rzeczowy w śledztwie Martina. Jeśli nie zdoła przeszkodzić Fadiemu, jedno z głównych amerykańskich miast padnie ofiarą ataku jądrowego.

Kiedy tylko Soraja wróciła do kwatery głównej CIA, natychmiast przechwyciła ją Annę Held.

–Do damskiej – rzuciła pod nosem. – Już.

Gdy weszły do toalety w holu, Annę zajrzała do każdej kabiny, żeby mieć pewność, że nikt nie podsłucha rozmowy.

–Moja część umowy – zaczęła Soraja. – NET zetknął się z ogniem, co zniszczyło połowę obwodów.

–To już jest coś – odparła Annę. – Stary żąda krwi Bourne'a. Lerner też.

–Z powodu ucieczki Cevika. – Soraja zmarszczyła brwi. – Ale co ma do tego Lerner?

–Właśnie dlatego cię tu zabrałam – syknęła Annę. – Kiedy byłeś z Bourne'em, Lerner dokonał przewrotu.

–Czego?

–Przekonał Starego, żeby mianował go p.o. dyrektora Tyfona.

–O Jezu – jęknęła Soraja. – Jakby nie wystarczył ten syf, który już jest.

–Lerner chce zreorganizować całą agencję. Jak teraz dostał w łapy Tyfona, nim też zdrowo potrząśnie.

Ktoś chciał wejść, ale Annę zablokowała drzwi.

–Tu jest powódź – oznajmiła autorytatywnie. – Proszę iść na górę. – Kiedy znów zostały same, powiedziała: – Lerner zamierza się dobrać do każdego, komu nie ufa. A ponieważ trzymasz z Bourne'em, założę się o mój dom, że jesteś na samej górze jego listy. – Podeszła do drzwi. – Pilnuj się, mała.

Bourne siedział z głową w dłoniach i starał się wymyślić wyjście z tego narastającego koszmaru. Problem polegał na tym, że miał za mało informacji. Nie mógł zrobić nic innego, jak tylko iść naprzód i próbować znaleźć Lindrosa, a gdyby się okazało, że przyjaciel już nie żyje, kontynuować misję, by wytropić Fadięgo i Dudźdę i powstrzymać ich, zanim zrealizują swoją groźbę.

W końcu wstał. Obejrzał chinooki z zewnątrz, potem ominął wrak bliżej jaskini i wdrapał się do helikoptera, którym przyleciał Lindros.

Wnętrze wyglądało surrealistycznie jak obraz Salvadora Dali: plastik rozlany w kałuże, metal stopiony z metalem. Wręcz niewyobrażalne zniszczenia. To go zaintrygowało. Na tej wysokości nie było tyle tlenu, żeby tak intensywny ogień mógł długo płonąć. Musiał pochodzić z innego źródła – miotacza ognia.

Bourne zobaczył w wyobraźni twarz „Hirama Cevika”. To Fadi zorganizował tę zasadzkę. Zaawansowane technicznie uzbrojenie, precyzyjna koordynacja ataków i doskonała taktyka przeciwnika spowodowały śmierć członków dwóch z pierwszorzędných zespołów terenowych CIA – wszystko na to wskazywało.

Ale dręczyło go inne pytanie. Dlaczego Fadi dał się złapać CIA? Było na to kilka odpowiedzi. Najbardziej prawdopodobne wydawało się to, że chciał przekazać agencji wiadomość: myślicie, że trzymacie mnie na celowniku, ale nie wiecie, z kim macie do czynienia. I do pewnego stopnia miał rację: prawie nic o nim nie wiedzą. Ale ten akt brawury mógł być dokładnie tym, czego potrzebował Bourne, żeby ruszyć z

miejsca. Odnosił sukcesy dzięki temu, że potrafił wniknąć do umysłu przeciwnika. Doświadczenie nauczyło go, że nie jest to możliwe w wypadku tego, kto pozostaje w ukryciu. Ale teraz Fadi pojawił się w polu widzenia. Pokazał swoją twarz. Bourne po raz pierwszy dostał wskazówkę – choć niedokładną – skąd zacząć pościg.

Znów skoncentrował się na wnętrzu chinooka. Naliczył cztery szkielety. Bardzo ciekawe. Wśród ofiar brakowało dwóch ludzi. Żyją? Czy jednym z nich jest Martin?

Drużyny Skorpion były pododdziałami w wojskowym stylu. Ich członkowie nosili blaszki identyfikacyjne z nazwą jednostki komandosów, która w rzeczywistości nie istniała. Bourne szybko zebrał cztery identyfikatory. Oczyszczył je ze śniegu, popiołu i sadzy, by przeczytać nazwiska, które pamiętał z pakietu informacji dostarczonego mu przez Tyfona. Wśród zabitych nie było Martina! Brakowało również pilota Jamiego Cowella.

Bourne przeniósł się do miejsca ostatniego spoczynku Skorpiona Dwa. Został tam sześć szkieletów: pięciu członków drużyny i pilota. Sądząc po ilości walających się kości kończyn, w momencie katastrofy chinooka żaden z nich nie był w gotowości operacyjnej. Zostali wybici jak kaczki. Bourne zebrał ich identyfikatory.

Nagle w mrocznym wnętrzu dostrzegł ruch, potem krótki błysk oczu, zanim głowa odwróciła się w drugą stronę. Sięgnął w głąb przestrzeni pod tablicą przyrządów. Poczul ostry ból w ręce, potem runął na niego jakiś cień i przewrócił go do tyłu.

Bourne zerwał się na nogi i wypadł za wątlą postacią z wraka chinooka. Cały czas pokazywał w biegu Davisowi, żeby nie strzelał. Na wierzchu dłoni zauważył krwawy, półkolisty ślad zębów. Napastnik dał nura za niski kamienny mur na północno – wschodnim krańcu lądowiska.

Bourne wybił się w powietrze, wylądował stopami na murze, rozejrzał się i skoczył nieznanemu na plecy.

Przewrócili się i przetoczyli, ale Bourne mocno trzymał napastnika za włosy i szarpnął jego głowę do tyłu, żeby zobaczyć twarz. Miał przed sobą najwyżej jedenastoletniego chłopca.

–Kim jesteś? – zapytał w miejscowym dialekcie amharskim. – Co tu robisz?

Dzieciak plunął mu w twarz, odepchnął go i spróbował uciec. Bourne skrzyżował mu nadgarstki za plecami i posadził go za murem, gdzie nie docierał wyjący wiatr. Chłopiec był chudy jak szczapa, miał kościste policzki, ramiona i biodra.

–Kiedy ostatni raz jadłeś?

Dzieciak milczał. Ale przynajmniej nie opluł go drugi raz, choć pewnie dlatego, że zabrakło mu śliny – był wysuszony jak śnieg chrzęszczący pod stopami. Bourne odpiął wolną ręką manierkę i otworzył ją zębami.

–Nie bój się, puszcę cię. Nie zrobię ci krzywdy. Chcesz trochę wody?

Chłopiec rozdziawił szeroko usta jak pisklę w gnieździe.

–Więc musisz obiecać, że odpowiesz mi na kilka pytań. Zgoda?

Dzieciak patrzył na niego przez chwilę czarnymi oczami, potem skinął głową. Bourne uwolnił mu nadgarstki. Chłopiec sięgnął po manierkę i łapczywie wypił kilka dużych łyków wody.

Kiedy zaspokajał pragnienie, Bourne zbudował po obu ich stronach śnieżne

ściany, żeby zatrzymać odrobinę ciepła. Potem wziął manierkę.

–Pierwsze pytanie: wiesz, co się tutaj stało? Chłopiec pokręcił głową.

–Musiałeś widzieć błyski z broni, kłęby dymu nad górami... Lekkie wahanie.

–Tak, widziałem. – Miał wysoki, dziewczęcy głos.

–I na pewno byłeś ciekaw, co się dzieje. To zrozumiałe. Wspiąłeś się tutaj, prawda?

Chłopiec odwrócił wzrok i przygryzł wargę.

Nic z tego, pomyślał Bourne. Trzeba znaleźć inny sposób, żeby chłopiec się otworzył.

–Mam na imię Jason – odezwał się po chwili. – A ty? Znow wahanie.

–Alem.

–Straciłeś kiedyś kogoś, Alemie? Kto był dla ciebie bardzo ważny?

–A co? – spytał podejrzliwie Alem.

–Bo ja straciłem. Najlepszego przyjaciela. Dlatego tu jestem. Był w jednym z tych spalonych helikopterów. Muszę wiedzieć, czy go widziałeś lub...

Alem już kręcił głową.

–Nazywa się Martin Lindros. Słyszałeś może, jak ktoś mówił to nazwisko?

Chłopiec znow przygryzł wargę, która zaczęła lekko drżeć, ale – zdaniem Bourne'a – nie z zimna. Pokręcił głową.

Bourne obłożył śniegiem wierzch dłoni w miejscu, gdzie został ugryziony. Zauważył, że chłopiec śledzi każdy jego ruch.

–Mój starszy brat umarł pół roku temu – odezwał się Alem po jakimś czasie.

Bourne nadal obkładał rękę śniegiem. Uznał, że najlepiej zachowywać się obojętnie.

–Co mu się stało?

Alem podciągnął kolana pod brodę i skrzyżował na nich ręce.

–Przygniotło go osuwisko skalne, a mój ojciec został kaleką.

–Przykro mi – powiedział szczerze Bourne. – Posłuchaj, jeśli mój przyjaciel żyje, czy chciałbyś, żeby umarł?

Dzieciak przesuwiał palcami po oblodzonych kamieniach u podnóża muru.

–Zbijesz mnie – mruknął.

–Dlaczego?

–Bo coś zabrałem. – Wskazał głową w kierunku wraków. – Stamtąd.

–Alemie, obiecuję, że nie. Zależy mi tylko na znalezieniu przyjaciela. Nie patrząc na Bourne'a, chłopiec wyjął sygnet. Bourne wziął go i uniósł do słońca. Rozpoznał tarczę z otwartą książką w każdym kwadrancie: herb Uniwersytetu Browna.

–To sygnet mojego przyjaciela. – Oddał go Alemowi. – Pokażesz mi, gdzie go znalazłeś?

Chłopiec zabrał Bourne'a za mur i zaprowadził po śniegu do miejsca oddalonego o kilkaset metrów od wraków. Przyklęknął. Bourne obok niego.

–Tu?

Alem skinął głową.

–Leżał w śniegu, do połowy zagrzebany.

- Jakby ktoś wdeptał go w ziemię – dokończył Bourne. – A jednak go znalazłeś.
- Byłem tu z ojcem. – Alem oparł ręce na kościstych kolanach. – Myszkowaliśmy.
- Co znalazł twój ojciec? Dzieciak wrzucił ramionami.
- Zaprowadzisz mnie do niego?

Alem popatrzył na sygnet w swojej brudnej dłoni. Zaciśnął na nim palce i schował go z powrotem do kieszeni. Spojrzał na Bourne'a.

- Nie powiem mu – uspokoił go Bourne. – Obiecuję.

Alem skinął głową i obaj wstali. Bourne wziął od Davisa bandaż i antyseptyk, żeby opatrzyć rękę. Potem chłopiec poprowadził w dół przez małą górską łąkę i dalej niebezpiecznie stromą ścieżką, która wiała się po oblodzonym skalnym zboczu Ras Daszanu.

Annę nie żartowała – Lerner żądał krwi. Kiedy Soraja wyszła z windy na poziomie zajmowanym przez Tyfona, czekali na nią dwaj agenci z groźnymi minami. Wiedziała, że skoro tu są, muszą mieć legitymacje służbowe wystawione przez Tyfona. Niedobrze. Z każdą chwilą coraz gorzej.

- Dyrektor Lerner prosi na słowo – oznajmił ten z lewej.
- Powiedział, że ma pani pójść z nami – dodał ten z prawej.
- Mogę się najpierw trochę odświeżyć, chłopcy? – zapytała lekkim, zalotnym tonem.

–„Jak najszybciej”, tak się wyraził – ciągnął mężczyzna z lewej.

Stoicy, eunuchy, albo jedno i drugie. Soraja wrzuciła ramionami i poszła z nimi. Nie miała wielkiego wyboru. Kiedy maszerowała korytarzami między dwoma żywymi filarami, starała się wyluzować. Najważniejsze, żeby nie stracić głowy, jak inni dookoła. Lerner bez wątplenia będzie chciał ją przygwoździć, przyprzeć do muru. Słyszała już o nim różne rzeczy, a pracował w agencji dopiero od... sześciu miesięcy? Na pewno wie, że nie cieszy się jej sympatią, i będzie się nad nią znęcał jak sadystyczny dentysta.

Doszli do narożnego biura na końcu korytarza. Wyższy agent wystukał na drzwiach krótki wojskowy sygnał kostkami palców spracowanej ręki. Potem otworzył pokój i odsunął się na bok, żeby przepuścić Soraję. Ale on i jego sobowtór nie odeszli. Wkroczyli za agentką do środka, zamknęli drzwi i cofnęli się pod ścianę, jakby mieli podtrzymywać ją swoimi muskularnymi barkami.

Soraja prawie się załamała. Lerner w mgnieniu oka zawładnął gabinetem Lindrosa i usunął Bóg wie gdzie wszystkie rzeczy osobiste poprzednika. Zdjęcia zostały odwrócone przodem do ściany, jakby już były na wygnaniu.

Pełniący obowiązki dyrektora siedział za biurkiem Lindrosa, swoim tłustym tyłkiem w jego fotelu, przeglądał jasnozieloną teczkę z sygnaturą CAD – akta bieżącej sprawy – i używał telefonów Lindrosa, jakby były jego. One są jego, przypomniała sobie Soraja i natychmiast wpadła w przygnębienie. Bardzo chciała, żeby wrócił Lindros. Modliła się, żeby Bourne znalazł przyjaciela żywego i przywiózł z powrotem. Na co innego mogła mieć nadzieję?

–A, panna Moore. – Lerner odłożył słuchawkę telefonu. – Miło, że przyłączyła się pani do nas. – Uśmiechnął się, ale nie poprosił, żeby usiadła. Najwyraźniej chciał,

żeby stała jak uczennica przed dyrektorem szkoły w oczekiwaniu na karę. – Gdzie pani była?

Doskonale to wiedział, bo meldowała się przez swoją komórkę. Ale najwidoczniej pragnął to usłyszeć od niej osobiście. Zrozumiała, że jego świat to szereg szuflad, w których umieszcza wszystko i wszystkich, wkłada na właściwe miejsca w osobnych przegródkach, i w ten sposób oszukuje samego siebie, że panuje nad chaosem rzeczywistości.

–W Marylandzie. Pocieszałam matkę i siostrę Tima Hytnera.

–Są określone procedury – oznajmił sztywno. – Istnieją z jakiejś przyczyny. A może nie przyszło to pani do głowy?

–Tim był moim przyjacielem.

–Założenie, że agencja nie potrafi zrobić tego, co należy, było z pani strony arogancją.

–Znam jego rodzinę. Uważałam, że lepiej, jeśli usłyszą ode mnie, co się stało. Ułatwiłam im przyjęcie tragicznej wiadomości.

–Kłamiąc, że Hytner zginął jak bohater, choć tak naprawdę był zwykłym partaczem, który dał się wykorzystać wrogowi?

Soraja rozpaczliwie starała się zachować spokój. Nienawidziła siebie za to, że czuje się zastraszona przez tego człowieka.

–Tim nie był terenowym pracownikiem operacyjnym. – Natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd taktyczny.

Lerner wziął akta sprawy.

–A jednak w raporcie sama pani stwierdza, że Hytner został wyciągnięty w teren bezpośrednio przez Jasona Bourne'a.

–Tim pracował nad złamaniem szyfru, który znaleźliśmy przy Ceviku, człowieku będącym, według naszej obecnej wiedzy, Fadim. Bourne chciał to wykorzystać, by skłonić więźnia do mówienia.

Rysy Lenera stwardniały, skóra twarzy naciągnęła się jak na bębnie. Jego oczy przypominały Sorai otwory luf – czarne, zabójcze, gotowe eksplodować. Ale poza tym wydawał się jej całkiem zwyczajnym facetem w średnim wieku. Mógłby uchodzić za sprzedawcę butów albo urzędnika.

Przypuszczała, że właśnie o to chodzi. Dobry agent terenowy musi wyglądać tak, żeby go nie zapamiętano.

–Pozwoli pani, że zapytam wprost, panno Moore: broni pani Jasona Bourne'a?

–To Bourne zidentyfikował Fadiego. Dał nam punkt wyjścia do...

–Ciekawe, że dokonał tej tak zwanej identyfikacji dopiero po tym, jak został zabity Hytner, i jak pozwolił uciec Cevikowi.

Soraja nie wierzyła własnym uszom.

–Chce pan powiedzieć, że pańskim zdaniem Cevik to nie Fadi?

–Chcę powiedzieć, że uwierzyła pani na słowo zbuntowanemu agentowi, któremu tak daleko do wyroczeni, jak to tylko możliwe. Kierowanie się osobistymi odczuciami wtedy, gdy powinna się liczyć tylko profesjonalna ocena sytuacji, jest cholernie niebezpieczne.

–Na pewno nie...

–Z kim pani uzgodniła tę wycieczkę do rodziny Hytnera?

Soraja starała się zachować równowagę przy jego nagłych zmianach tematu.

–Nie było nikogo takiego, z kim mogłabym to uzgodnić.

–Teraz już jest. – Lerner zamaszyście zamknął akta. – Dam pani drobną radę, panno Moore: niech pani nie chodzi własnymi drogami. Rozumiemy się?

–Oczywiście – odparła krótko.

–Tak się zastanawiam... Nie było pani kilka dni, a właśnie wtedy odbyło się ważne zebranie personelu. Mam powtórzyć główną treść?

–Bardzo proszę – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

–W największym skrócie chodzi o to, że zmieniam cel istnienia Tyfona – oznajmił przyjaźnie Lerner.

–Słucham?!

–Widzi pani, panno Moore, ta agencja nie może dalej gapić się na własny pępek i tylko terroryzować. Nie ma żadnego znaczenia, co myślą lub czują islamscy ekstremiści. Chcą nas zniszczyć. Dlatego musimy się ruszyć i kopniakami w tyłki wrzucić ich do Morza Czerwonego. Proste.

–Panie dyrektorze, jeśli wolno, ta wojna wcale nie jest prosta. W niczym nie przypomina innych...

–Dość dyskusji, panno Moore – przerwał jej ostro Lerner.

Sorai zaczęło się przewracać w żołądku. Nie, to niemożliwe. Wszystkie plany Lindrosa upadną, cała ich ciężka praca pójdzie na marne. Gdzie jest Lindros, kiedy wszyscy go potrzebują? Czy w ogóle jeszcze żyje? Musiała wierzyć, że tak. Ale teraz, przynajmniej chwilowo, decyzje podejmuje ten potwór z terenu. Dobrze, że chociaż to przesłuchanie już się skończyło.

Lerner oparł łokcie na biurku i złączył końce palców.

–Jestem ciekaw – zaczął, znów zmieniając temat – czy mogłaby mi pani coś wyjaśnić. – Pomachał teczką z aktami sprawy, jakby groził jej palcem. – Jakim cudem pani aż tak to spieprzyła?

Stała bez ruchu, choć wewnątrz trzęsła się z wściekłości. Zmylił ją – była przekonana, że już po rozmowie. A tymczasem to dopiero początek. Teraz zrozumiała, że Lerner po prostu krążył wokół prawdziwej przyczyny wezwania jej tutaj.

–Pozwoliła pani Bourne'owi wyprowadzić Hirma Cevika z celi. Była pani na miejscu w momencie ucieczki więźnia. Na pani rozkaz do akcji ruszyły helikoptery. – Upuścił akta na blat biurka. – Niczego nie pominąłem?

Soraja zastanawiała się przez krótką chwilę, czy nie skwitować tego milczeniem, ale nie chciała dać draniowi tej satysfakcji.

–Nie – odparła tępo.

–Kierowała pani tą sprawą. Odpowiadała za to, co się dzieje. Nic dodać, nic ująć. Wyprostowała się.

–Tak.

–Są podstawy do zwolnienia pani z pracy, panno Moore?

–Nie wiem.

–W tym problem. Powinna pani wiedzieć. Tak jak i to, że nie należy wypuszczać Cevika z celi.

Nieważne, co mówiła, zawsze znajdował sposób, żeby to wykorzystać przeciwko niej.

–Bardzo przepraszam, ale dostałam z biura dyrektora polecenie, żeby we wszystkim iść Bourne'owi na rękę.

Lerner patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Potem wykonał niemal dobrotliwy gest.

–Dlaczego pani stoi? – zapytał. Usiadła na krześle naprzeciwko niego.

–Wróćmy do tematu Bourne'a. – Utkwił w niej wzrok. – Wygląda na to, że jest pani ekspertem w tej dziedzinie.

–Nie powiedziałabym.

–Z akt wynika, że pracowała pani z nim w Odessie.

–Przypuszczam, że po prostu znam Jasona Bourne'a lepiej niż większość agentów.

Lerner odchylił się do tyłu.

–Chyba nie uważa pani, że nauczyła się już wszystkiego, co trzeba wiedzieć w pani zawodzie?

–Nie.

–Więc jestem całkowicie przekonany, że się dogadamy, i będzie pani tak lojalna wobec mnie, jak dawniej wobec Martina Lindrosa.

–Dlaczego mówi pan tak, jakby Lindros nie żył? Lerner puścił pytanie mimo uszu.

–W tej chwili muszę zareagować na zaistniałą sytuację. Jako agentka kierująca sprawą Cevika, jest pani odpowiedzialna za jej fiasko. Nie mam innego wyjścia, jak tylko poprosić panią o złożenie rezygnacji.

Serce podeszło Sorai do gardła.

–Rezygnacji? – wykrztusiła. Lerner świdrował ją wzrokiem.

–Rezygnacja zawsze lepiej wygląda w aktach personalnych. Nawet pani powinna to rozumieć.

Soraja zerwała się z miejsca. Załatwił ją zręcznie i okrutnie, co ją tym bardziej rozwścieczyło. Nienawidziła go i chciała, żeby to wiedział. Inaczej straciłaby poczucie własnej godności.

–A kim pan jest, do cholery, że przyłazi pan tutaj i się panoszy?

–Rozmowa skończona, panno Moore. Proszę zabrać swoje rzeczy. Jest pani zwolniona.

a, niebezpiecznie śliska ścieżka, którą Alem prowadził Bourne'a w dół, wydawała się bez końca. Nagle jednak się urwała. Skręciła wreszcie z górskiego zbocza na łąkę, dużo większą niż tamta, gdzie rozbiły się chinooki, i na mniejszej przestrzeni pokrytą śniegiem.

Wioskę tworzyło skupisko małych, walących się domów. Nawierzchnię sieci ulic zrobiono z ubitego łąjna. Kiedy się zbliżyli, stado brązowych kóz podniosło trójkątne głowy, ale najwyraźniej rozpoznało Alema, bo szybko wróciło do skubania kęp kruchej, brunatnej trawy. Trochę dalej zarżały konie i potrzęsły grzywami, gdy dotarł do nich zapach ludzi.

–Gdzie twój ojciec? – zapytał Bourne.

–W barze, jak zwykle. – Alem podniósł na niego wzrok. – Ale nie zaprowadzę cię do niego. Musisz iść sam. I nie wydaj mnie. Nie może się dowiedzieć, że ci mówiłem o naszym myszkowaniu.

Bourne skinął głową.

–Obiecałem ci to, Alemie.

–Ani nawet o tym, że się znamy.

–Jak go rozpoznam?

–Po lewej nodze. Jest cieńsza i krótsza niż prawa. Ojciec ma na imię Zaim.

Bourne już zamierzał się odwrócić, gdy Alem wcisnął mu w dłoń sygnet Lindrosa.

–Znalazłeś to...

–Należy do twojego przyjaciela – odparł chłopiec. – Jeśli ci zwrócę, może on nie umrze.

Czas posiłku. Znowu. „Bez względu na to, w jakiej formie stawiasz opór – mówił synowi Oscar Lindros – nie możesz odmawiać przyjmowania jedzenia. Musisz zachować siły. Prześladowcy mogą cię oczywiście głodzić, ale tylko wówczas, jeśli będą chcieli cię zabić” – czego Dudźdza najwyraźniej nie chciała. „Mogą, rzecz jasna, faszerować ci jedzenie narkotykami” – i kiedy tortury okazały się nieskuteczne, oprawcy właśnie tak robili. Na darmo. To samo z deprywacją sensoryczną. Jego umysł był zamknięty w bunkrze; ojciec zadbał o to. Po tiopentalu Lindros paplał jak dziecko, ale o niczym ważnym. Wszystko, co chcieli wiedzieć, było dla nich niedostępne.

Działali według harmonogramu. Teraz zostawiali Lindrosa w spokoju. Karmili go regularnie, choć czasem strażnicy pluli mu do jedzenia. Żaden z nich nie chciał myć więźnia, kiedy ten się zapaskudził. Gdy smród stawał się nie do wytrzymania, brali szlauch. Silny strumień lodowatej wody podrywał Lindrosa na nogi, rzucał pod skalną ścianę. Leżał tam potem godzinami, krew zmieszana z wodą płynęła różowymi strużkami, kiedy wyciągał kolejne pstrągi ze spokojnego jeziora.

Ale to było tygodnie temu – przynajmniej tak mu się zdawało. Teraz czuł się lepiej. Nawet obejrzał go lekarz, pozszywał najgorsze rozcięcia, opatrzył, dał antybiotyki na obniżenie gorączki.

Lindros już coraz dłużej obywatel się bez jeziora. Zorientował się, że jest w jaskini. Sądząc po chłodzie i wyciu wiatru w wejściu, był wysoko, może nadal gdzieś na Ras

Daszanie. Nie widywał Fadiego, ale od czasu do czasu miał kontakt z jego najważniejszym podwładnym Abbudem ibn Azizem. To ten człowiek go przesłuchiwał po tym, jak Fadiemu nie udało się złamać więźnia w ciągu pierwszych kilku dni niewoli.

Lindros znał takich ludzi jak Abbud ibn Aziz. Wiedział, że to dzikus, któremu cywilizacja jest obca, a najlepiej czuje się na bezkresnej pustyni, gdzie się urodził i wychował. I taki pozostanie. Lindros domyślał się tego po jego arabskim dialekcie – Abbud ibn Aziz był beduinem. Widział świat w czarno – białych kolorach. Idealnie rozgraniczał, co dobre, a co złe. Trzymał się zasad wyrytych w kamieniu. Pod tym względem nie różnił się od Oscara Lindrosa.

Wyglądało na to, że Abbud ibn Aziz lubi pogawędki z więźniem. Może rozkoszował się bezradnością pojmanego Amerykanina. Albo uważał, że jeśli będą długo rozmawiali, Lindros zacznie w nim widzieć przyjaciela – że zaistnieje syndrom sztokholmski i ofiara w końcu się utożsami ze swoim oprawcą. A może był po prostu „dobrym gliniarzem”, bo to on zawsze wycierał półprzytomnego Lindrosa ręcznikiem po wodnych torturach pod szlauchem i zmieniał mu ubranie.

Ale Lindros nigdy się łatwo nie zaprzyjaźniał; sądził, że dużo łatwiej być samotnikiem. Tak go uczył ojciec. „Bycie samotnikiem jest zaletą, jeśli masz ambicję zostać szpiegiem”, mówił. Ta skłonność została zresztą odnotowana w aktach personalnych Lindrosa, kiedy tuż przed przyjęciem go do agencji przebrnął przez wyczerpujące, wielomiesięczne testy, które wymyślili sadystyczni psycholodzy CIA.

Teraz doskonale wiedział, czego Abbud ibn Aziz od niego chce. Wcześniej było dla niego zagadką, dlaczego terrorysta wypytuje o operację CIA sprzed lat, wymierzoną przeciwko Hamidowi ibn Aszefowi. Co to miało ze sobą wspólnego?

Oczywiście, chciał z niego wydobyć więcej. Dużo więcej. I Lindros zauważył z zainteresowaniem, że przesłuchania dotyczące operacji CIA przeciwko Hamidowi ibn Aszefowi odbywają się tylko wtedy, gdy Abbud jest z nim sam na sam.

Wysnuł z tego wniosek, że to jakaś prywatna sprawa, bez związku z obecną sytuacją.

–Jak się dziś czujesz?

Abbud ibn Aziz stanął pod nim z dwoma identycznymi talerzami. Jeden włożył mu do raje. Lindros wiedział, co mówi Koran o jedzeniu. Należało do dwóch kategorii: *haram* i *halal*, zabronione i dozwolone. Tutaj było, rzecz jasna, wyłącznie *halal*.

–Niestety nie ma dziś kawy – odezwał się znowu Abbud. – Ale daktyle i maślanka są doskonałe.

Daktyle już trochę wyschły, maślanka miała dziwny smak. To były drobiazgi, ale w świecie Lindrosa ważne. Daktyle wysychają, maślanka kwaśnieje i skończyła się kawa. Nie ma dostaw zaopatrzenia. Dlaczego?

Obaj jedli prawymi rękami i wgrzali się w ciemny miąższ daktyli. Lindros gorączkowo myślał.

–Jaka pogoda? – zapytał w końcu.

–Zimno, a przez ciągły wiatr jest jeszcze zimniej. Abbud ibn Aziz się wzdrygnął. – Zbliża się kolejny front atmosferyczny.

Lindros wiedział, że Abbud jest przyzwyczajony do temperatury powyżej trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza, piasku pod stopami, prażącego słońca i przynoszącego ulgę chłodu pod rozgwieżdżonym nocnym niebem. Ciągły mróz był dla niego nie do zniesienia, nie mówiąc o wysokości. Jego kości i płuca na pewno protestowały jak u starego człowieka podczas forsownego marszu. Lindros patrzył, jak Abbud poprawia samopowtarzalnego rugera w zgięciu lewego ramienia.

–Pobyt tutaj pewnie jest dla ciebie uciążliwy. – Stwierdzenie Lindrosa nie było zwykłą kpina.

Abbud wzruszył ramionami i znów się wzdrygnął.

–Brakuje ci nie tylko pustyni. – Lindros odstawił talerz na bok. Nie miał apetytu. – Tęsknisz za światem swoich przodków, co?

–Zachodnia cywilizacja to zaraza – odparł Abbud. – Atakuje nasze społeczeństwo jak choroba zakaźna, którą trzeba zniszczyć.

–Boicie się zachodniej cywilizacji, bo jej nie rozumiecie. Abbud wypluł pestkę daktyla, białą jak śniegowa kulka.

–Mógłbym powiedzieć to samo o Amerykanach. Lindros skinął głową.

–I miałbyś rację. Ale co z tego wynika?

–Skaczymy sobie do gardeł.

Bourne przyjrzał się wnętrzu baru. Lokal wyglądał w środku podobnie jak na zewnątrz: gołe ściany z kamienia i drewna spojone gliną; podłoga zrobiona z twardego gnoju. Cuchnęło fermentem, alkoholowym i ludzkim. W kamiennym palenisku buzował ogień. Płonące łajno wydzielalo ciepło i charakterystyczny smród. Kilku Amharów było w różnych stadiach upojenia alkoholowego; inaczej pojawienie się Bourne'a w drzwiach wywołałoby większe poruszenie. A tak, ledwo zwrócono na niego uwagę.

Podszedł do kontuaru, zostawiając za sobą ślady ze śniegu i drobin lodu. Zamówił piwo, które – obiecująco – było w butelce. Kiedy pił dziwnie słonawy cienkusz, rozglądał się po barze. Prawdę mówiąc, nie bardzo miał na co patrzeć. W prostokątnej sali stały tylko prymitywne stoliki i stołki. Mimo to zapamiętał wszystko i stworzył sobie w głowie plan pomieszczenia, na wypadek gdyby musiał szybko uciekać. Wkrótce potem zlokalizował mężczyznę z okaleczoną nogą. Zaim siedział sam w rogu, z butelką w jednej ręce i brudną szklanką w drugiej. Miał krzaczaste brwi i opaloną, suchą skórę górala. Spojrzał na Bourne'a nieprzytomnie, kiedy ten podszedł do jego stolika.

Bourne butem odciągnął stół i usiadł na wprost ojca Alema.

–Spadaj, zaszary turysto – wymamrotał Zaim.

–Nie jestem turystą – wyjaśnił Bourne w tym samym dialekcie. Ojciec Alema otworzył szeroko oczy, odwrócił głowę i splunął na podłogę.

–Ale czegoś chcesz. Nikt nie jest taki odważny, żeby wspiąć się w zimie na szczyt Ras Daszanu.

Bourne pociągnął długi łyk piwa.

–Jasne, masz rację. – Zauważył, że butelka Zaima jest prawie pusta: – Co pijesz? – zapytał.

–Bimber. Tylko to można tutaj dostać.

Bourne wstał, przyniósł mu następną butelkę i postawił na stoliku. Kiedy zamierzał napełnić szklankę, Zaim zatrzymał jego rękę.

–Nie będzie czasu – mruknął pod nosem. – Przyprowadziłeś ze sobą swojego wroga.

–Nie wiedziałem, że mam wroga – skłamał gładko.

–Przyszedłeś z Pola Śmierci, zgadza się? – Zaim patrzył groźnie na Bourne'a szklistymi oczami. – Wlazłeś do metalowego ścierwa ptaków wojny, przetrząsnąłeś kości wojowników w środku. Nie zaprzeczaj. Każdy, kto to robi, przyciąga wrogów jak gnijący trup muchy. – Machnął wolną ręką. Na spracowanych dłoniach miał głęboko wryty brud, już nie do zmycia. – Czuję od ciebie ten zapach.

–W tej chwili nie znam tego wroga – odparł Bourne.

Zaim uśmiechnął się szeroko, pokazując mnóstwo ciemnych szczerb między resztkami zębów. Z ust cuchnęło mu jak z grobu.

–Więc jestem dla ciebie coś wart. Na pewno dużo więcej niż flaszkę bimbru.

–Moi wrogowie obserwowali Pole Śmierci z ukrycia?

–Jak bardzo chcesz, żebym ci pokazał twarz twojego wroga? Bourne podsunął mu przez stół pieniądze.

Zaim zgarnął je z wprawą szponiastymi palcami.

–Twój wróg obserwuje Pole dzień i noc. To miejsce jest dla niego jak pajęcza sieć. Chce wiedzieć, jakie owady przyciąga.

–Co mu to daje?

Zaim wzruszył ramionami.

–Bardzo mało.

–Więc jest jeszcze ktoś. Zaim nachylił się bliżej.

–Jesteśmy pionkami, rozumiesz? Rodzimy się pionkami. Bo do czego innego się nadajemy? Jak inaczej możemy żyć? – Znów wzruszył ramionami. – A mimo to nie udaje się długo unikać złych czasów. Prędzej czy później przychodzi nieszczęście w najbardziej bolesnej postaci.

Bourne pomyślał o synu Zaima, żywcem pogrzebanym pod osuwiskiem skalnym. Ale nie mógł nic powiedzieć; obiecał to Alemowi.

–Szukam przyjaciela – odezwał się cicho. – Przyniósł go na Ras Daszan pierwszy ptak wojny. Na Polu Śmierci nie ma jego ciała. Dlatego uważam, że on żyje. Co o tym wiesz?

–Ja? Nic nie wiem. Tylko to, co podsłuchałem tu i tam. – Zaim podrapał się w brodę czarnymi, zniszczonymi paznokciami. – Ale być może jest ktoś, kto zdołałby pomóc.

–Zaprowadzisz mnie do niego? Zaim się uśmiechnął.

–To zależy wyłącznie od ciebie.

Bourne podsunął mu przez poplamiony stół następną zwitek banknotów. Zaim chrząknął i schował pieniądze.

–Ale z drugiej strony, nie możemy nic zrobić, kiedy twój wróg patrzy. – Wydał w zamyśleniu wargi. – Oko twojego wroga siedzi z rozkraczonymi nogami za twoim

lewym ramieniem... pieszy żołnierz, nikt wyżej.

Bourne wskazał głową miejsce, gdzie Zaim schował pieniądze.

–Teraz już nie możesz się wycofać. Ojciec Alema wzruszył ramionami.

–Nie boję się. Znam tego człowieka i jego ludzi. Nic złego mnie nie spotka dlatego, że z tobą rozmawiam.

–Chcę, żeby się ode mnie odczepił – powiedział Bourne. – Żeby oko spało.

Zaim potarł podbródek.

–Jasne. Wszystko da się załatwić, nawet tak trudną sprawę.

Bourne podsunął mu kolejny plik pieniędzy. Zaim skinął głową, najwyraźniej zadowolony. Przypominał Bourne'owi jednorękiego bandytę w Las Vegas, który nie przestaje brać pieniędzy, dopóki się od niego nie odejdzie.

–Zaczekaj dokładnie trzy minuty, ani więcej, ani mniej. Potem wyjdź za mną frontowymi drzwiami. – Zaim wstał. – Przejdź sto kroków główną ulicą, skręć w lewo w zaułek, a później w pierwszy w prawo. Nie mogę ryzykować, że ktoś zobaczy, jak ci pomagam. Mam nadzieję, że w razie czego będziesz wiedział, co zrobić. Już po wszystkim odejdziesz sto kroków, ale nie po swoich śladach. Znajdę cię.

–Jest wiadomość dla ciebie – powiedział Peter Marks, kiedy Soraja wróciła do Tyfona, żeby uprzątnąć swoje biurko.

–Ty się tym zajmij, Pete – mruknęła ponuro. – Wywalili mnie.

–Co się stało, do cholery?

–Decyzja p.o. dyrektora.

–On zniszczy wszystko, co zrobił dla Tyfona Lindros.

–Na to wygląda.

Właśnie miała się odwrócić, gdy przytrzymał ją za ramię. Był młodym, muskularnym blondynem z głęboko osadzonymi oczami i mówił z lekkim akcentem z Nebraski.

–Sorajo, chcę ci powiedzieć od siebie... właściwie w imieniu nas wszystkich, że nikt cię nie wini za to, co się stało z Timem. Takie rzeczy niestety się zdarzają w tej branży.

Soraja wzięła wdech i wolno wypuściła powietrze.

–Dzięki, Pete.

–Na pewno nie możesz sobie darować, że pozwoliłaś Bourne'owi wciągnąć w to wszystko ciebie i Tima.

Milczała przez chwilę; nie była pewna, co czuje.

–To nie Wina Bourne'a – odparła w końcu. – Ani moja. Po prostu stało się, i już.

–Jasne. Chodziło mi tylko o to, że Bourne to kolejny facet z zewnątrz, którego szef nam wepchnął. Jak ten sukinsyn Lerner. Stary najwyraźniej mięknie.

–To już nie moje zmartwienie. – Soraja ruszyła do swojego biura.

–A ta wiadomość?

–Daj spokój, Pete. Załatw to sam.

–Ale jest oznaczona jako pilna. – Uniósł ją wysoko. – Od Kim Lovett.

Po wyjściu Zaima Bourne poszedł do toalety, gdzie śmierdziało jak w zoo. Wyjął telefon Thuraya i zameldował się Davisowi.

–Mam nową informację: miejsce katastrofy jest obserwowane – powiedział. –

Bądź czujny.

–Pan też niech na siebie uważa – odparł Davis. – Zbliża się front atmosferyczny.

–Wiem. Czy nasza strategia odwrotu nie zostanie rozszyfrowana?

–Bez obaw – uspokoił go Davis. – Zajmę się sprawami po tej stronie. Bourne wyszedł z cuchnącego kibla. Kiedy płacił przy barze, zerknął na „oko wroga”. Od razu rozpoznał, że to Amhar. Tamten nie odwrócił wzroku. Patrzył na Bourne'a z jawną wrogością. W końcu był u siebie. Czuł się pewnie na swoim terytorium i w innych okolicznościach miałby do tego wszelkie prawo.

Od chwili wyjścia Zaima Bourne odliczał w głowie czas. Trzy minuty minęły, pora iść. Wybrał drogę bezpośrednio obok Oka. Zauważył z zadowoleniem, że tamten wyraźnie się spał. Amhar sięgnął lewą ręką do prawego biodra, gdzie pewnie miał ukrytą broń. Teraz Bourne już wiedział, jakie zadanie dostał Oko.

Wyszedł z baru. Kiedy po cichu odliczył sto kroków, zorientował się, że Amhar go śledzi. Przyspieszył tak, że prześladowca musiałby biec, żeby go dogonić. Dotarł do rogu i skręcił w lewo w wąską, zaśnieżoną uliczkę. Niemal natychmiast zobaczył z prawej następną i dał tam nura.

Po dwóch krokach odwrócił się, przywarł do lodowatej ściany i zaczekał, aż w polu widzenia pojawi się Oko. Złapał go i walnął nim o narożnik budynku, aż facet zaszczekał zębami. Cios w skroń pozbawił Amhara przytomności.

Moment później w zaułek wpadł koślawo Zaim.

–Szybko! – wysapał. – Jest jeszcze dwóch, o których nie wiedziałem.

Poprowadził Bourne'a do najbliższego skrzyżowania uliczek i skręcił w lewo. Niemal natychmiast znaleźli się na obrzeżach wioski. Wszędzie leżała gruba warstwa zmrożonego śniegu. Zaim poruszał się z trudem, zwłaszcza w tempie, które sam narzucił. Ale wkrótce dobrnęli do walącej się szopy. Z tyłu pasły się trzy konie.

–Jak u ciebie z jazdą na oklep? – zapytał Zaim.

–Poradzę sobie.

Bourne położył rękę na pysku siwka, popatrzył mu w oczy, potem go dosiadł. Schylił się, chwycił Zaima za ramię i pomógł mu wsiąść na kasztana. Pocwałowali przed siebie.

Wiało coraz mocniej. Bourne nie musiał być tubylcem, żeby wiedzieć, że z północnego zachodu nadciąga zamieć. Nie zazdrościł Davisowi odkopywania helikoptera. Ale sam nie był w lepszej sytuacji.

Ojciec Alema pędził prosto ku linii drzew, za późno – kiedy Bourne zerknął za siebie, zobaczył dwóch jeźdźców, bez wątplenia Amharów, których obawiał się Zaim. Galopowali za nimi i się zbliżali.

Bourne szybko obliczył, że Amharowie dogonią ich kilkaset metrów przed lasem, gdzie on i Zaim mogliby zgubić pościg. Przywarł głową do grzywy siwka i kopnął go mocno piętami w boki. Koń wyrwał naprzód jak strzała. Zaim na moment się przestraszył, potem też popędził swojego wierzchowca za Bourne'em.

W połowie drogi Bourne zdał sobie sprawę, że nie uciekną. Bez namysłu ścisnął siwka kolanami i szarpnął go za grzywę w prawo. Koń, nie zwalniając, zawrócił, i

zanim ścigający zdążyli zareagować, Bourne pogalopował prosto na nich.

Rozdzielili się, tak jak przewidział. Przechylił się w prawo i kopnął lewą nogą. Gruba podeszwa buta trafiła Amhara w pierś; uderzenie zrzuciło go z konia. Jego towarzysz obrócił się w miejscu, wyciągnął pistolet – starego, ale zabójczego makarowa kaliber 9 – i wycelował w Bourne'a.

Huknął strzał, który poderwał Amhara z derki na końskim grzbiecie. Bourne obejrzał się i zobaczył, że Zaim unosi się na kasztanie z bronią w dłoni. Pomachał wolną ręką i szybko ruszyli w stronę kępy jodeł.

Kiedy wpadli do lasu, pocisk odłamał gałęzie nad ich głowami. Amhar, którego Bourne zwał kopniakiem z konia, znów dosiadł wierzchowca i kontynuował pościg.

Zaim prowadził między drzewami. Robiło się coraz zimniej i coraz bardziej mokro. Nawet tu, w lesie, przez ubrania przenikał lodowaty wiatr, zwiewał śnieg z wyższych gałęzi. Bourne myślał o ścigającym ich Amharze i czuł mrowienie wzdłuż kręgosłupa, ale podążał za kasztanem.

Teren zaczął opadać, najpierw łagodnie, potem bardziej stromo. Konie, parskając, spuściły łby, jakby chciały lepiej widzieć przysypane śniegiem obłe kamienie – oblodzone i niebezpiecznie śliskie.

Bourne usłyszał za sobą trzask i popędził siwka. Chciał zapytać Zaima, dokąd jadą i jak daleko są od celu, ale gdyby się odezwał, zdradziłby ich pozycję w leśnym labiryncie. Nagle dostrzegł między drzewami wolną przestrzeń, potem błysk grubej powłoki lodowej. Zbliżyli się do rzeki, która spływała stromo z krawędzi jednej górskiej łajki na drugą, położoną niżej.

Rozległ się strzał i chwilę później kasztan padł. Zaim przeokoziłkował. Bourne popędził siwka, sięgnął w dół i dźwignął Zaima na swojego konia.

Byli już prawie na brzegu zamarzniętej rzeki. Następny pocisk odłamał pobliskie gałęzie.

–Masz pistolet! – przypomniał Bourne.

–Zgubiłem go, jak spadłem z konia – odpowiedział żałośnie Zaim.

–Tamten wystrzelał nas jak kaczkę.

Bourne pomógł Zaimowi zsiąść na śnieg i zsunął się z siwka. Klepnął go mocno w zad i koń pogalopował przez las, mniej więcej równoległe do rzeki.

–Co dalej? – Zaim potupał krótszą nogą. – Z tym daleko nie ucieknę.

–Chodźmy. – Bourne złapał go za grubą wełnianą kurtkę i pociągnął w dół ku rzece.

Zaim wytrzeszczył ze strachu oczy.

–Co ty wyrabiasz?

Bourne uniósł go i wbiegł na lód. Równoważąc ciężar Zaima, zaczął stawiać długie łyżwiarskie kroki. Dzięki ostrzom w podeszwach butów nabrał szybkości, wykorzystując spadek zamarzniętej rzeki.

Skręcał zwinnie, ale prawie nie panował nad prędkością i niekontrolowanie rozpędział się na coraz bardziej stromej pochyłości.

Pokonali kolejny zakręt, Zaim krzyknął. Chwilę później Bourne zrozumiał dlaczego. Niecały kilometr przed nimi rzeka opadała nagle wodospadem, teraz zamarzniętym i

nieruchomym jak zatrzymanym w kadrze.

–Jaka to wysokość? – zawołał Bourne przez wycie wiatru wiejącego mu w twarz.

–Duża – jęknął z przerażeniem Zaim. – O wiele za duża!

Bourne usiłował skrócić w lewo lub w prawo, ale nie mógł. Pędził w lodowej rynnicy, która uniemożliwiała mu zmianę kierunku. Tak czy owak, było już za późno. Pofalowany próg wodospadu był tuż przed nimi, więc Bourne zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu na myśl: przemieścił się na sam środek, gdzie woda powinna być najgłębsza, a lód najcieńszy.

Uderzyli z impetem. Rozpędzony ciężar ich ciał roztrzaskał cienką warstwę kruchego lodu. Zanurzyli się w wodospadzie i zaczęli koziółkować w dół. Zimno zaparło im dech i przeniknęło do kości.

Spadając, Bourne starał się utrzymać orientację. Uważał to za najważniejsze. Gdyby stracił poczucie kierunku, zamarzyłby na śmierć lub utonął, zanim zdążyłby przebić lód u podnóża wodospadu. Miał jeszcze inne zmartwienie: na dole nie mógł się za bardzo oddalić od wodospadu, bo szybko znalazłby się pod grubym lodem, którego prawdopodobnie nie zdołałby rozbić.

Spieniona woda obracała nim i miotała, wokół wirowały różne barwy, światło i cień, błękit i czerń, szarość i opal. Raz uderzył ramieniem w występ skalny. Ból przeszył go jak prąd elektryczny. Potem pęd w dół nagle osłabł. Bourne poszukał w ciemności światła i... nie znalazł go! Kręciło mu się w głowie, ręce miał niemal całkowicie zdrętwiałe. Serce waliło mu z wysiłku i braku tlenu.

Rozpostarł ramiona. Natychmiast natrafił na Zaima, który był tuż przy nim. Odciągnął go w bok i zobaczył w górze światło. Zaim wydawał się nieprzytomny. Miał zakrwawioną skroń – pewnie też uderzył w skałę.

Bourne otoczył ramieniem bezwładne ciało, wierzgnął mocno nogami i uniósł się ku powierzchni. Walnął czubkiem głowy w lód wcześniej, niż się spodziewał. Gruba pokrywa nie ustąpiła.

Łupało mu pod czaszką, strużki krwi z rany Zaima przesłaniały widok. Naparł na lód, ale nie miał podparcia. Przesunął się pod spodem w poszukiwaniu szczeliny lub choćby rysy, którą mógłby wykorzystać. Ale warstwa lodu była grubsza, niż sobie wyobrażał – nawet tutaj, u podnóża wodospadu. Paliło go w płucach, ból głowy z braku tlenu stawał się nie do zniesienia. Zaim mógł już nie żyć. Bourne wiedział, że on też zginie, jeśli nie przebije się przez lód.

Porwał go silny wir. Gdyby prąd zniósł ich tam, gdzie pokrywa lodowa była najgrubsza, groziła im pewna śmierć w ciemności. Kiedy Bourne walczył z nurtem rzeki, przypadkiem wbił palce w pęknięcie, które powstało od naprężenia lodu. Z jednej strony rysy dostrzegł więcej światła, skoncentrował się na tym miejscu. Ale zdrętwiałymi pięściami bez czucia nie mógł nic zrobić.

Pozostała mu jedna szansa. Puścił Zaima i zanurkował w ciemność do dna rzeki. Kiedy tam dotarł, odwrócił się, ugiął nogi i wybił się w linii prostej. Trafiał czubkiem głowy w pęknięcie, usłyszał trzask i wśród odłamków lodu wydostał się aż do ramion na błogosławione powietrze. Wziął trzy głębokie wdechy i wrócił pod wodę. Zaima nie było tam, gdzie go zostawił. Mężczyzna dostał się w potężny wir i odpływał teraz w ciemność.

Bourne zaczął mocno wierzgać i zмагаć się z prądem. Wyciągnął się na całą

długość i zdołał chwycić Zaima za kostkę. Przyholował go wolno z powrotem do światła i wypchnął przez poszarpany przerębel na zewnątrz. Położył nieprzytomnego pomocnika na zamrożonej powierzchni rzeki, potem sam podciągnął się i wyszedł z wody.

Przebili się przez lód kawałek na wschód od wodospadu, na skraju gęstego jodłowego lasu, który rozpościerał się nieprzerwanie na północ i wschód.

Bourne jedynie przez krótką chwilę siedział przykucnięty w cieniu drzew. Ale tylko tyle czasu mógł poświęcić na odpoczynek. Sprawdził oznaki życia Zaima – tętno, oddech, źrenice. Mężczyzna żył. Rana okazała się powierzchowna. Twarda czaszka Zaima uchroniła go przed poważnymi obrażeniami.

Bourne musiał teraz zatamować krwawienie z jego skroni i wysuszyć go, żeby nie zamarł na śmierć. Bourne'a częściowo ochronił przed przemoczeniem zimowy kombinezon, choć w czasie gwałtownego koziółkowania z wodospadu mocno przetarł się w kilku miejscach. Woda na ciele już zamarzała. Rozpiął kombinezon, oderwał rękaw koszuli i owinał nim krwawiącą głowę Zaima; przedtem jednak obłożył ranę śniegiem. Zrzucił sobie nieprzytomnego mężczyznę na zdrowe ramię i wspiął się po zdradliwym brzegu rzeki do lasu. Czuł, jak łokieć i bark powoli drętwieją mu z zimna, dostającego się przez przetartą wierzchnią warstwę kombinezonu.

Zaim wydawał się coraz cięższy, ale Bourne parł naprzód. Kierował się na północny wschód i oddalał od rzeki. Pojawił się przebłysk pamięci, podobny do tego, który miał po wylądowaniu na szczycie Ras Daszanu, ale bardziej szczegółowy. Jeśli się nie mylił, kilka kilometrów przed nim była druga wioska, większa niż tamta, gdzie poznał Zaima.

Nagle zatrzymał go znajomy odgłos: parsknięcie konia. Delikatnie położył Zaima pod drzewem i ostrożnie ruszył w stronę dźwięku. Po około pięciuset metrach doszedł do małej polany. Stał tam siwek i szukał pyskiem w śniegu czegoś do jedzenia. Najwyraźniej znalazł ten kawałek otwartej przestrzeni, galopując wzdłuż rzeki. Tak, właśnie konia potrzebował Bourne, żeby dotrzeć z Zaimem w bezpieczne miejsce.

Już miał wejść na polanę, gdy siwek uniósł łeb i wydał nozdrza. Co zwęszył? Wiatr musiał przynieść zapach niebezpieczeństwa.

Bourne zrozumiał i podziękował w duchu siwkowi. Cofnął się między jodły i zaczął zataczać krąg w lewo, idąc tak, żeby wiatr stale wiał mu w twarz. Pokonał może ćwierć drogi wokół polany, której nie tracił z oczu, kiedy dostrzegł coś kolorowego, a potem lekki ruch. Poszedł na skos w tamtym kierunku i zobaczył Amhara, którego wcześniej zrzucił kopnięciem z konia. To on przyprowadził tu siwka na przynętę, żeby zwabić uciekinierów, gdyby cudem przeżyli upadek z wodospadu.

Trzymając się nisko, Bourne podbiegł szybko i powalił go na ziemię. Amhar stęknął, gdy upadł na śnieg. Kiedy Bourne okładał go pięściami, tamten oswobodził lewą rękę i wydobył zakrzywiony nóż. Zamachnął się w dół, celując w odsłonięty bok Bourne'a tuż powyżej nerki. Bourne przetoczył się poza zasięg ostrza i błyskawicznie ścisnął kostkami nóg szyję tubylca. Szybkim, gwałtownym obrotem złamał Amharowi kark.

Wstał, zabrał zabitemu nóż, pochwę i dziewięciomilimetrowego makarowa. Potem wbiegł susami na polanę i poprowadził siwka do miejsca, gdzie zostawił Zaima. Przewiesił go przez koński grzbiet i pojechał między jodłami w dół górskiego zbocza, kierując się na pamięć do wioski.

Kiedy Soraja Moore wkroczyła do laboratorium FIU, Kim Lovett nadal rozmawiała z detektywem Overtonem o materiale dowodowym.

Kim dokonała prezentacji i przeszła od razu do rzeczy. Wprowadziła Soraję w sprawę, potem wręczyła jej dwa porcelanowe zęby.

–Znalazłam je w odpływie wanny w apartamencie – powiedziała. – Na pierwszy rzut oka wyglądają jak mostek dentystyczny, ale to chyba coś innego.

Soraja popatrzyła na wydrążenia wewnątrz i natychmiast sobie przypomniała, że widziała coś takiego w pracowni Derona. Dokładniej obejrzała mostek – doskonale wykonany. Bez wątpliwości pochodzi z arsenału kameleona światowej klasy. Nie miała więc wątpliwości, co trzyma w ręku, i do kogo to należało. Kiedy Lerner wykopał ją z Tyfona, myślała, że sprawę Fadiego ma już za sobą. Teraz wiedziała, że nie. Być może wiedziała to cały czas. Jeszcze z nim nie skończyła.

–Zgadza się – mruknęła. – To proteza.

–Proteza? – powtórzył Overton. – Nie nadążam.

–Pusta skorupa, którą wsuwa się na własne, zupełnie zdrowe zęby – wyjaśniła mu Soraja. – Nie zastępuje się nią ubytków. Służy tylko do zmiany kształtu ust i linii policzków. – Założyła protezę. Choć „mostek” był dla niej za duży, Kim i Overtona zaskoczyła zmiana wyglądu jej twarzy. Wyjęła zęby. – Co oznacza, że Jakob Silver i jego brat nie byli tymi, za których się podawali. Mogę to pożyczyć? – zwróciła się do Kim.

–Jasne. Ale będę musiała to zarejestrować. Overton pokręcił głową.

–To nie ma sensu.

–Ma, jeśli zna się wszystkie fakty. – Soraja opowiedziała im o zdarzeniu przed kwaterą główną CIA. – Ten facet, udający biznesmena z Kapsztadu, Hiram Cevik, jest w rzeczywistości Saudyjczykiem nazywanym Fadi, przywódcą terrorystów z dostępem do ogromnych pieniędzy. Nie mamy pojęcia, jak się naprawdę nazywa. Zniknął kilka przecznic od miejsca, gdzie zabrał go hummer. – Uniosła protezę. – Teraz wiemy, dokąd uciekł.

Kim zastanowiła się nad tym, co usłyszeli od Sorai.

–Więc ludzkie szczątki, które znaleźliśmy, to nie jest żaden z braci.

–Tak sądzę. Ten pożar wygląda mi na dywersję, zorganizowaną po to, żeby Fadi mógł się wymknąć z Waszyngtonu. Albo w ogóle z kraju. – Soraja podeszła do metalowej kuwety, gdzie Kim umieściła kości znalezione w wannie. – Uważam, że to szczątki Omara, pakistańskiego kelnera.

–Jezu Chryste! – Nareszcie do czegoś dochodzimy, pomyślał Overton. – Więc którym z braci był Fadi?

Soraja odwróciła się do niego.

–Bez wątpliwości Jakobem. W apartamencie zameldował się Lev. Fadi był w Kapsztadzie, a potem w naszym więzieniu.

Overton promieniał. Los w końcu się do niego uśmiechnął. Z tymi dwiema kobietami trafił na żyłę złota. Wkrótce będzie miał wystarczająco dużo dowodów, żeby pójść z nimi do Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Za jednym zamachem zostanie ich nowym rekrutem i bohaterem.

Soraja odwróciła się z powrotem do Kim.

–Co jeszcze znalazłaś?

–Bardzo niewiele. Tylko akcelerant. – Kim wzięła wydruk komputerowy. – Dwusiarczek węgla. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się z tym spotkałam. Podpalacze zwykle używają acetonu, nafty, po prostu czegoś łatwo dostępnego. – Wzruszyła ramionami. – Z drugiej strony, w tym wypadku użycie dwusiarczku węgla miało sens. Ten akcelerant jest bardziej niebezpieczny niż inne, bo bardzo łatwo palny i wybuchowy. Fadi chciał, żeby wyleciały szyby i dodatkowa ilość tlenu podtrzymała proces spalania. Ale trzeba być prawdziwym profesjonalistą, żeby wiedzieć, jakiego związku chemicznego użyć i samemu nie wysadzić się w powietrze.

Soraja spojrzała na wydruk, który wręczyła jej Kim.

–Cały Fadi. Jak można zdobyć ten środek?

–Trzeba mieć dostęp do wytwórni albo do jednego z jej źródeł – wyjaśniła Kim. – Używa się tego do produkcji celulozy, czterochlorku węgla i organicznych związków siarkowych.

–Mogę skorzystać z twojego komputera?

–Proszę bardzo.

Soraja usiadła przy stanowisku pracy przyjaciółki i weszła do Internetu. Wyświetliła stronę wyszukiwarki Google i wpisała „dwusiarczek węgla”.

–Celuloza jest używana do produkcji sztucznego jedwabiu i celofanu – przeczytała na głos. – Czterochlorek węgla był głównym związkiem chemicznym w gaśnicach tetrowych i urządzeniach chłodniczych, dopóki nie przestano go stosować z powodu toksyczności. Ksantogeniany są czynnikami flotacyjnymi w przetwarzaniu minerałów. Tego też używa się do wyrobu fumigantów.

–Jedno jest pewne – podsumowała Kim. – Nie kupisz dwusiarczku węgla w najbliższym sklepie z chemią gospodarczą. Musisz dobrze poszukać.

Soraja skinęła głową.

–I wcześniej trzeba dobrze znać specyficzne cechy tego związku chemicznego. – Zrobiła kilka szybkich notatek w swoim PDA i wstała. – Dobra, lecę.

–Moglibyśmy połączyć siły? – zapytał Overton. – Zanim się pani zjawiała, tkwiłem w miejscu z tą sprawą.

–Nie sądzę. – Soraja zerknęła na Kim. – Miałam ci powiedzieć, jak tylko przyszłam. Wywalili mnie.

–Co?! – wykrzyknęła Kim. – Dlaczego?

–Nowemu p.o. dyrektora nie pasuje moja buntownicza natura. Chyba chce pokazać swoją władzę. Dzisiaj postanowił udupić mnie.

Kim podeszła i przytuliła ją współczująco.

–Jeśli mogłabym jakoś pomóc, to...

–Wiem, do kogo zadzwonić. – Soraja się uśmiechnęła. – Dzięki.

Była zbyt zaprzętnięta czym innym, żeby zauważyć grymas niezadowolenia na twarzy Overtona. Nie zamierzał ponieść porażki, kiedy był już tak blisko celu.

Zanim Bourne i Zaim dojechali do wioski, zaczął padać śnieg. Osada leżała w wąskiej dolinie niczym piłka w dłoni, tak jak ją zapamiętał Bourne. Niskie, ciężkie chmury sprawiały, że ta przestrzeń między górami i niebem wydawała się mała i nic nieznacząca, jakby za chwilę miała zostać zmiażdżona w starciu tytanów. Bourne nie przypominał sobie wieży kościelnej, ale ta budowla najbardziej rzucała się w oczy, więc kierował się w jej stronę.

Zaim poruszył się i jęknął. Ocknął się jakiś czas temu i Bourne zdjął go z konia w samą porę, by Amhar obficie zwymiotował wśród szumiących jodeł. Bourne kazał mu zjeść trochę śniegu, żeby się nie odwodnił. Zaimowi kręciło się w głowie i był słaby, ale rozumiał wszystko, kiedy Bourne opowiadał mu, co się wydarzyło. Poinformował, że celem ich podróży jest obóz tuż obok wioski, którą pamiętał Bourne.

Teraz wjechali do osady. Bourne chciał oczywiście jak najszybciej skontaktować się z osobą, która – według Zaima – mogła go zaprowadzić do Lindrosa, ale ubranie Amhara już zamarzło. Jeśli facet zaraz się nie ogrzeje, ubranie przy zdejmowaniu zejdzie razem ze skórą.

Siwek, którego Bourne zmuszał do pełnego galopu przez śnieg do kolan, omal nie padł, gdy dotarli na obrzeża obozu. Jakby nikąd wyłoniło się trzech Amharów, wymachujących zakrzywionymi nożami, podobnymi do tego, który miał przeciwnik w lesie.

Bourne spodziewał się ich. Każdy obóz jest strzeżony. Siedział bez ruchu na dyszącym i parskającym koniu, gdy Amharowie ścigali Zaima. Kiedy zobaczyli, kto to jest, jeden z nich pobiegł do namiotu na środku obozu. Wrócił po kilku minutach z Amharem, niewątpliwie wodzem plemienia, nagusem.

–Zaim, co ci się stało? – zapytał.

–On uratował mi życie – wymamrotał Zaim.

–A on mnie. – Bourne zsiadł z konia. – Zostaliśmy zaatakowani w drodze tutaj. Jeśli nagus był zaskoczony, że Bourne mówi po amharsku, to nie dał tego po sobie poznać.

–Jak wszyscy ludzie z Zachodu, przyprowadziłeś ze sobą swoich wrogów.

Bourne wzdrygnął się z zimna.

–Masz rację tylko w połowie, wodzu. Zaatakowali nas trzej amharscy żołnierze.

–Wiesz, kto im płaci – odezwał się słabym głosem Zaim. Nagus skinął głową.

–Weźcie ich obu do mojej chaty, tam jest ciepło. Zaraz jeszcze dorzucimy do ognia.

Abbud ibn Aziz stał i patrzył zmrużonymi oczami na skłębione chmury nad północnym zboczem Ras Daszanu. Nasłuchiwał odgłosu rotorów w rozrzedzonym powietrzu.

Gdzie Fadi? Jego helikopter się spóźnia. Abbud ibn Aziz przez cały ranek obserwował pogodę. Zdawał sobie sprawę, że z powodu nadciągającego frontu atmosferycznego pilot będzie miał bardzo mało czasu na wylądowanie.

Choć tak naprawdę wcale nie przeklinał w duchu zimna ani rozrzedzonego

powietrza, tylko to, że on i Fadi w ogóle tu są. Plan. Wiedział, kto za tym stoi. Tylko jeden człowiek mógł wymyślić coś tak ryzykownego, niebezpiecznego: brat Fadiego, Karim al – Dżamil. Owszem, Fadi był oficjalnym przywódcą Dudźdży, ale Abbud ibn Aziz, jako jedyny spośród wielu zwolenników Fadiego, wiedział, że mózgiem organizacji jest Karim al – Dżamil. Mistrz szachowy, cierpliwy pajak, który przedzie sieć. Na samą myśl, co może planować Karim al – Dżamil, Abbudowi ibn Azizowi kręciło się w głowie. Podobnie jak Fadi i Karim al – Dżamil kształcił się na Zachodzie. Znał historię, politykę i ekonomię niearabskiego świata, co według Fadiego i Karima al – Dżamila było wstępnym warunkiem zrobienia dowódczej kariery.

Problem Abbuda ibn Aziza polegał na tym, że zupełnie nie ufał Karimowi al – Dżamilowi. Po pierwsze, tamten był samotnikiem. Po drugie, o ile Abbud się orientował, Karim al – Dżamil rozmawiał tylko z Fadim. A najbardziej niepokoiło go to, że może wie o Karimie al – Dżamilu mniej, niż podejrzewa.

Miał pretensje, że on, zastępca Fadiego, jego najbardziej zaufany towarzysz, jest wyłączony z potajemnych działań Dudźdży. Wydawało mu się to rażąco niesprawiedliwe, i choć był całkowicie lojalny wobec Fadiego, drażniło go, że jest trzymany z boku. Oczywiście – jak każdy beduin – rozumiał, że bliższa koszula ciału, ale Fadi i Karim al – Dżamil byli tylko pół – Arabami. Ich matka pochodziła z Anglii. Obaj urodzili się w Londynie, dokąd ich ojciec przeniósł wcześniej z Arabii Saudyjskiej centralę swojej firmy.

Abbuda ibn Aziza nurtowało kilka pytań, na które część jego „ja” nie chciała znać odpowiedzi. Dlaczego Abu Sarif Hamid ibn Aszef al – Wahhib opuścił Arabię Saudyjską? Dlaczego związał się z niewierną? Dlaczego popełnił jeszcze większy błąd i ożenił się z nią? Abbud ibn Aziz nie znajdował przyczyny, dla której Saudyjczyk miałby zrobić coś takiego. Tak więc ani Fadi, ani Karim al – Dżamil nie byli ludźmi pustyni, jak on. Wychowywali się na Zachodzie, chodzili do szkół w brytyjskiej metropolii, nieustannie pulsującej wielkomięskim rytmem. Co oni wiedzą o głębokiej ciszy, surowym pięknie, czystych zapachach pustyni? Miejscu, gdzie łaskę i mądrość Allaha widać we wszystkim.

Fadi, jak przystało na rodzonego brata, chronił Karima al – Dżamila. Przynajmniej to rozumiał Abbud ibn Aziz. Sam przecież też czuwał nad swoim młodszym bratem. Ale od jakiegoś czasu zadawał sobie pytanie, czy Karim al – Dżamil nie prowadzi Dudźdży w złym kierunku. Czy on, Abbud ibn Aziz, chce tam iść? Dotąd nie podnosił głosu, bo był lojalny wobec swojego towarzysza. To Fadi go indoktrynował, przekonywał do wojny terrorystycznej, koniecznej wobec inwazji Zachodu na ich ziemię. To Fadi wysłał go do Europy, żeby zdobył tam wykształcenie. Abbud ibn Aziz nie cierpiał tego okresu swojego życia, ale uważał go za pożyteczny. Fadi powtarzał mu wiele razy, że trzeba poznać wroga, żeby go pokonać.

Wszystko zawdzięczał Fadiemu. Poszedłby za nim w ogień. Ale z drugiej strony, nie był tępy, ślepy i głuchy. Postanowił, że jeśli w przyszłości, gdy zyska więcej informacji i uzna, że Karim al – Dżamil prowadzi Dudźdżę – a zatem i Fadiego – ku katastrofie, odezwie się bez względu na konsekwencje.

Poczuł na twarzy silny, suchy wiatr. Usłyszał warkot helikoptera jak we śnie.

Musiał się uwolnić od rozmyślań. Spojrzał w górę. Na policzkach i rzęsach osiadły mu pierwsze płatki śniegu.

Na tle szarego nieba dostrzegł czarny punkt, który szybko rósł. Zaczął machać rękami nad głową i cofnął się z lądowiska. Trzy minuty później helikopter wylądował. Drzwi otworzyły się gwałtownie i na oblodzony śnieg zeskoczył Muta ibn Aziz.

Abbud ibn Aziz czekał poza zasięgiem podmuchu od rotorów, aż pojawi się Fadi, ale podszedł do niego tylko jego brat.

–Wszystko poszło dobrze? – Uściskał Mutę sztywno, oficjalnie.

–Dokładnie według planu.

Przez jakiś czas trwał między nimi spór. Różnica zdań dzieliła ich jak szczelina powstała na skutek trzęsienia ziemi, bardziej niż byli gotowi przyznać. Teraz, po latach, ropiejąca rana zamieniła się w stwardniałą bliznę.

Muta spojrział zmrużonymi oczami pod wiatr.

–Gdzie Fadi, bracie?

Abbud nie potrafił stłumić tonu wyższości w swoim głosie.

–Ma coś do załatwienia gdzie indziej.

Muta chrząknął. Poczuł w ustach znajomy gorzki smak. Jest tak jak zawsze.

Abbud wykorzystuje swoją władzę, żeby trzymać mnie z daleka od Fadiego i Karima al – Dżamila, ośrodków naszego wszechświata, pomyślał. Pomiata mną. Nie pozwala mi wyjawić naszej tajemnicy. Jest moim starszym bratem. Jak mogę się sprzeciwić? Zacisnął zęby. Jak zwykle, muszę być mu we wszystkim posłuszny.

Muta wzdrygnął się z zimna i schronił przed wiatrem za formacją skalną.

–Opowiedz mi, bracie, co tu się dzieło?

–Dziś rano na Ras Daszan przyleciał Bourne. Robi postępy.

–Więc musimy przenieść Lindrosa w bezpieczne miejsce – stwierdził Muta ibn Aziz.

–To już załatwione – odparł lodowato Abbud. Muta, z sercem przepelnionym goryczą, skinął głową.

–Jest już prawie po wszystkim. Za kilka dni Jason Bourne przestanie nam być potrzebny. – Uśmiechnął się szeroko, ale sztucznie. – Jak mawia Fadi, zemsta jest słodka. Jaką przyjemność sprawi mu widok martwego Jasona Bourne'a!

Chata nagusa okazała się zaskakująco przestronna i wygodna, zwłaszcza jak na przenośny dom. Podłogę pokrywały dywany. Na ścianach wisiały skóry zatrzymujące w środku ciepło, dawane przez płonące brykiety z suszonego łąjna.

Bourne owinięty szorstkim wełnianym kocem siedział po turecku przy ogniu, podczas gdy ludzie nagusa wolno i ostrożnie rozbierali Zaima. Kiedy skończyli, jego też opatulili i posadzili obok Bourne'a. Potem dali obu parujące kubki gorącej, mocnej herbaty.

Inni mężczyźni zajęli się raną Zaima – oczyścili ją, przyłożyli okład z ziół i znów zabandażowali głowę. Kiedy to robili, obok Bourne'a usiadł nagus. Był drobny, nieciekawym, z wyjątkiem czarnych oczu, które błyszczały jak dwie latarnie na ogorzałej brązowej twarzy. Miał chude, żylaste ciało, ale Bourne nie dał się zwieść. Ten człowiek musiał znać wiele sposobów ataku i obrony, żeby utrzymać przy życiu

siebie i swoich ludzi.

–Jestem Kabur – przedstawił się nagus. – Zaim powiedział, że nazywasz się Bourne. – Wymówił to w dwóch sylabach: Bo – orn.

Bourne przytaknął.

–Przyleciałem na Ras Daszan, żeby odszukać przyjaciela, który był w jednym z helikopterów zestrzelonych mniej więcej tydzień temu. Wiesz coś o tym?

–Wiem. – Sięgnął do piersi i pokazał Bourne'owi srebrzyste blaszki identyfikacyjne pilota.

–Już ich nie potrzebuje – powiedział po prostu. Bourne upadł na duchu.

–Nie żyje?

–Jest umierający.

–A co z moim przyjacielem?

–Zabrali go razem z tym człowiekiem. – Nagus wręczył Bourne'owi drewnianą miskę z mocno przyprawionym gulaszem i nierówną, półokrągłą pajdą przaśnego chleba na wierzchu. Kiedy gość jadł, używając chleba jako łyżki, Kabur mówił dalej. – Ale nie nasi, rozumiesz? My nic do tego nie mamy, choć jak widziałeś, niektórzy z naszych biorą od tamtych pieniądze w zamian za swoje usługi. – Pokręcił głową. – Ale to jest złe, to forma niewolnictwa, za które liczni płacą najwyższą cenę.

–A tamci? Kim oni właściwie są? – Bourne skończył jeść i odstawił miskę na bok. Kabur przechylił głowę.

–Jestem zaskoczony. Myślałem, że wiesz o nich dużo więcej niż ja. Przybyli tu zza Zatoki Adeńskiej. Chyba z Jemenu. Ale to nie Jemeńczycy, nie, nie. Bóg jeden wie, gdzie założyli bazę. Niektórzy są Egipcjanami, inni Saudyjczykami, jeszcze inni Afgańczykami.

–A ich przywódca?

–A, Fadi. To Saudyjczyk. – Płonące czarne oczy nagusa przygasły. – Wszyscy się go boimy.

–Dlaczego?

–Bo jest potężny i niewyobrażalnie okrutny. Nosi w dłoni śmierć. Bourne pomyślał o transporcie uranu.

–Widziałeś świadectwo tej śmierci. Nagus przytaknął.

–Na własne oczy. Jeden z synów Zaima...

–Chłopak w jaskini?

Kabur obrócił się w stronę drugiego gościa. Zaim miał w oczach ból.

–Krnąbrny syn, który nie słuchał dobrych rad. Teraz nie możemy dotknąć zwłok, nawet żeby je pochować.

–Ja mogę to zrobić – zaferował Bourne. Teraz rozumiał, dlaczego Alem ukrywał się w chinooku stojącym tuż przy jaskini: chciał być blisko brata. – Mogę go pochować na górze, blisko szczytu.

Nagus milczał. Ale oczy Zaima zwilgotniały, gdy spojrzał na Bourne'a.

–To byłoby prawdziwe błogosławieństwo... dla niego, dla mnie, dla rodziny.

–Zrobię to, przysięgam. – Bourne odwrócił się z powrotem do Kabura. –

Pomożecie mi znaleźć przyjaciela?

Nagus zawahał się na moment, gdy patrzył uważnie na Zaima. W końcu westchnął.

–Czy odnalezienie twojego przyjaciela zaszkodzi Fadiemu?

–Tak – odparł Bourne. – Bardzo.

–Prosisz nas o wyruszenie z tobą w bardzo trudną podróż. Ale przez wzgląd na mojego przyjaciela, na jego przywiązanie do ciebie, twoją obietnicę, którą mu złożyłeś, jestem zobowiązany spełnić twoją prośbę. Tak mi nakazuje honor.

Uniósł prawą rękę i jeden z mężczyzn przyniósł nargile.

–Wypalimy to razem, żeby przypieczętować naszą umowę.

Soraja miała szczerzy zamiar pojechać do domu, ale jakimś cudem znalazła się w północno – wschodnim kwadrancie Waszyngtonu. Dopiero kiedy skręciła w Siódmą, uświadomiła sobie, dlaczego jest w Northeast. Pokonała jeszcze jeden zakręt i zatrzymała się przed domem Derona.

Siedziała przez chwilę i słuchała tykania silnika. Zrujnowany budynek na lewo okupowało pięciu czy sześciu twardzieli. Świdrowali ją oczami, ale nawet nie drgnęli, gdy wysiadła z samochodu i wspięła się po schodach do frontowych drzwi Derona.

Zapukała kilka razy. Poczekala i znów zapukała. Nikt nie otworzył. Usłyszała kroki na chodniku i odwróciła głowę, spodziewając się Derona. Zamiast niego zobaczyła wysokiego, szczupłego młodego faceta z grupy urzędującej obok.

–Ty, Panna Szpieg, Tyrone jestem. O co biega?

–Wiesz, gdzie jest Deron?

Tyrone zachował nieprzeniknioną minę.

–Możesz gadać ze mną, Panno Szpieg.

–Mogę, Tyrone – odpowiedziała ostrożnie. – Jeśli potrafisz mi wytłumaczyć, do czego się używa dwusiarczku węgla.

–Myślisz, że jestem tępym czarnuchem, co?

–Szczerze mówiąc, nic o tobie nie wiem. Nie zmieniając wyrazu twarzy, powiedział:

–Chodź.

Soraja skinęła głową. Instynkt ostrzegł ją, że nie powinna się wahać. Poszli chodnikiem, skręcili w prawo i minęli ruderę, którą członkowie grupy obsiedli jak stado wron.

–Deron jest u swojego staruszka. Wraca za kilka dni.

–Nie ściemniasz?

–Mówię, jak jest. – Tyrone zacisnął wargi. – Więc co chcesz o mnie wiedzieć? Interesuje cię moja zaćpana mamuśka? A może stary, co gnije w pudle? Albo młodsza siora, która niańczy dziecko, zamiast być w szkole średniej? Albo starszy brat? Za główniane pieniądze zapieprzą jako motorniczy w metrze. Na pewno już nieraz słyszałaś takie teksty. Po co ci to jeszcze raz?

–Bo to jest twoje życie – odpowiedziała Soraja. – To je odróżnia od tego, co dotąd słyszałam.

Tyrone parsknął, ale poznała po jego minie, że sprawiła mu przyjemność.

–Wychowałem się na ulicy, ale urodziłem się z inżynierską głową. I co z tego

mam? – Wzruszył ramionami. – Na końcu Florydy stawiają zarąbiste wieżowce. Łażę tam, jak tylko mam okazję, i patrzę, jak to wszystko idzie.

Ich oczy na moment się spotkały.

–Pewnie pomyślisz, że jestem głupia, jeśli ci powiem, że są sposoby, żebyś wykorzystał swoje zdolności.

–Może dla ciebie. – Na jego twarzy pojawił się wolno uśmiech, z którym wyglądał na więcej lat, niż miał. – Jesteśmy w moim więzieniu, dziewczyno.

Soraja zastanawiała się, co odpowiedzieć, ale uznała, że na razie lepiej go nie prowokować.

–Muszę iść. Tyrone zacisnął wargi.

–Więc kumasz. Biega o tę brykę, co tu za tobą przyjechała. Soraja przystanęła.

–Powiedz, że żartujesz.

Pokręcił głową i popatrzył na nią jak kobra na swoją ofiarę.

–Zero ścierny.

Soraja była na siebie wściekła. Tak ją zaprzętały jej osobiste problemy, że nawet przez chwilę nie pomyślała, że może mieć ogon. A przecież zawsze to sprawdzała. Najwyraźniej ten sukinsyn Lemer wkurzył ją bardziej, niż sobie uświadamiała. Teraz zapłaciła za swój brak czujności.

–Tyrone, jestem ci coś winna. Wzruszył ramionami.

–Za to mi Deron płaci. Ochrona nie jest tania, ale lojalność nie ma ceny.

Popatrzyła na niego tak, jakby dopiero teraz go zobaczyła.

–Gdzie on jest? Ten samochód, który mnie śledził. Poszli dalej.

–Przed nami, na rogu Ósmej – powiedział Tyrone. – Gościu tak się ustawił, żeby dobrze widzieć, co kombinujesz. – Wzruszył ramionami. – Moi się nim zajmą.

Spojrzała na niego z poważną miną.

–Dzięki, Tyrone, doceniam, ale ja go tu za sobą przywlokłam, więc ja to załatwię.

–To mi się podoba. – Zatrzymał się i przyglądał jej przez chwilę. Miał taką samą poważną minę, jak ona. W jego wyrazie twarzy była ponura determinacja. – Trzeba go spławić, zanim coś wyniucha o Deronie, kumasz? Bo potem Deron będzie miał przesrane. Wtedy nawet ty mu nie pomożesz.

–Zaraz się tym zajmę. – Spuściła głowę, nagle zawstydzona. – Jeszcze raz dzięki.

Tyrone skinął głową i zawrócił do swojej grupy. Soraja wzięła głęboki oddech, ruszyła dalej i doszła do rogu Ósmej. Tam w samochodzie siedział detektyw Overton i bazgrał na kawałku liniowanego papieru.

Zastukała w okno. Podniósł wzrok i pospiesznie wepchnął kartkę do kieszeni koszuli.

Kiedy opuścił szybę, Soraja zapytała:

–Co pan, do cholery, wyrabia? Odłożył długopis.

–Pilnuję, żeby nic się pani nie stało. To cholernie niebezpieczna dzielnica.

–Bardzo dziękuję, ale sama potrafię o siebie zadbać.

–Proszę posłuchać. Wiem, że jest pani na jakimś ważnym tropie, o którym DHS nie ma pojęcia. Potrzebuję informacji.

Zmiażdżyła go wzrokiem.

–Niech pan stąd zjeżdża, ale już.

Jego twarz natychmiast zamieniła się w granitową maskę.

–Chcę wiedzieć, co jest grane.

Soraja poczuła na policzkach ogień walki.

–Bo inaczej?

Bez ostrzeżenia pchnął drzwi. Dostała w brzuch i osunęła się bez tchu na kolana.

Overton wolno wysiadł z samochodu i stanął nad Soraja.

–Nie leć ze mną w kulki. Jestem starszy od ciebie. Nie trzymam się reguł.

Zapomniałem już więcej sztuczek, niż ty kiedykolwiek się nauczysz.

Soraja zamknęła na moment oczy, żeby mu pokazać, że próbuje się pozbierać po ciosie. Jednocześnie sięgnęła lewą ręką do płaskiej kabury na plecach. Wyszarpnęła kompaktowy pistolet ASP i wycelowała w Overtona.

–Ta zabawka jest załadowana amunicją 9 mm na 19 parabellum – wycodziła przez zęby. – Z tej odległości taki pocisk rozerwie cię na pół. – Wzięła dwa głębokie wdechy. Trzymała broń pewną ręką. – Spadaj stąd, natychmiast.

Cofnął się ostrożnie i wszedł za kierownicę, nie odrywając wzroku od Sorai. Wytrząsnął z paczki papierosa, wetknął między zbiegające wargi, zapalił go płynnym ruchem i się zaciągnął.

–W porządku. – Jego głos brzmiał neutralnie, cały jad był w oczach. Zatrzasnął drzwi.

Popatrzył, jak Soraja wstaje, odpalił silnik i odjechał. Zerknął w lusterko wsteczne – Soraja celowała z ASP w jego tylną szybę. Włączył się do ruchu i stracił ją z oczu.

Kiedy zniknęła mu z widoku, wyjął komórkę i wcisnął przycisk szybkiego wybierania numeru. Gdy usłyszał głos Matthew Lenera, powiedział:

–Miał pan rację. Soraja Moore nadal węszy, i prawdę mówiąc, stała się bardzo niebezpieczna.

Kabur zaprowadził ich do wiejskiego kościoła, którego wieża wcześniej wskazała Bourne'owi kierunek do wioski. Jak wszystkie świątynie w kraju, ta również należała do Tewahido, etiopskiego wschodniego Kościoła chrześcijańskiego – liczył ponad trzydzieści sześć milionów wiernych i był największym na świecie wschodnim Kościołem chrześcijańskim, a zarazem jedynym przedkolonialnym w tej części Afryki.

W mglistym półmroku Bourne myślał przez chwilę, że Kabur go oszukał i wciągnął w zasadzkę – że on też, tak jak uśmiercony przez promieniowanie syn Zaima, jest na usługach Fadiego. Wyjął makarowa. Ale cienie i plamy światła rozmyły się i zobaczył postać, która w milczeniu przywoływała go gestem.

–To ojciec Mihret – szepnął Zaim. – Znam go.

Zaim, mimo świeżej rany, uparł się, że też przyjdzie. Był teraz związany z Bourne'em. Uratowali sobie nawzajem życie.

–Moi synowie, obawiam się, że przyszlście za późno – wyszeptał ojciec Mihret.

–Proszę mnie zaprowadzić do pilota – powiedział Bourne. Kiedy szli szybko przez kościół, zapytał: – Jeszcze żyje?

–Umiera. – Ksiądz był wysoki i chudy jak tyczka. Miał wygląd zabiedzonego ascety. – Zrobiliśmy dla niego, co mogliśmy.

–Jak on tu trafił, ojciec? – spytał Zaim.

–Pasterze znaleźli go na obrzeżach wioski w kępie jodeł niedaleko rzeki. Kazałem im przynieść go tu na noszach, ale niestety, chyba niewiele mu to pomogło.

–Mam helikopter – powiedział Bourne. – Mogę stąd zabrać rannego. Ojciec Mihret pokręcił głową.

–Ma złamany kark i uszkodzony rdzeń kręgowy. Nie przeżyłby następnego transportu.

Pilot Jaime Cowell leżał w łóżku ojca Mihreta. Zajmowały się nim dwie kobiety – jedna nacierała maścią zdartą skórę, druga wyciskała wodę ze ściereczki do półotwartych ust rannego. W oczach Cowella pojawił się błysk, gdy Bourne znalazł się w jego polu widzenia.

Bourne na chwilę odwrócił się do pilota plecami.

–Może mówić? – zapytał księdza.

–Ledwo. Przy każdym ruchu czuje potworny ból.

Bourne stanął przy łóżku tak, żeby mieć twarz na linii wzroku Cowella.

–Przyszedłem zabrać cię do domu, Jaime. Rozumiesz mnie? Cowell poruszył ustami. Spomiędzy jego warg wydobył się cichy syk.

–Posłuchaj, będę się streszczał – ciągnął Bourne. – Muszę znaleźć Martina Lindrosa. Tylko wy dwaj ocaleliście z ataku. Czy Lindros żyje?

Bourne musiał się schylić tak nisko, że prawie dotykał uchem warg Cowella.

–Żył, kiedy... go widziałem ostatni raz. – Głos Cowella brzmiał jak szmer piasku osypującego się z wydmy.

Bourne'owi szybciej zabiło serce, ale przeraził go odór. Ksiądz miał rację, w pokoju już była śmierć, jej fetor zatruwał powietrze.

–Jaime, to bardzo ważne. Wiesz, gdzie jest Lindros? Znow ten straszny smród, kiedy Bourne się pochylił.

–Trzy kilometry na... zachód – południowy – zachód... za rzeką. – Cowell pocił się z wysiłku i bólu. – Silnie... strzeżony obóz.

Bourne już miał się odsunąć, gdy Cowell znow zaczął rzeźzić. Jego pierś unosiła się i opadała nienaturalnie szybko, dostał skurczów mięśni i zaczął się trząść. Zamknął oczy, spod powiek pociekły mu łzy.

–Spokojnie – powiedział łagodnie Bourne. – Odpocznij.

–Nie! O Boże!

Cowell gwałtownie otworzył oczy. Była w nich ciemna otchłań. Utkwił wzrok w Bournie.

–Ten człowiek... przywódca...

–Fadi – odpowiedział Bourne.

–On tortur... torturuje Lindrosa.

Bourne poczuł ucisk w żołądku.

–Czy Lindros się trzyma? Cowell! Możesz odpowiedzieć?

–Już nie słyszy. – Ojciec Mihret podszedł do łóżka i położył dłoń na spoconym czole pilota. – Bóg zesłał mu błogosławioną ulgę w cierpieniu.

Przenoszą go. Martin Lindros wiedział to, bo słyszał, jak Abbud ibn Aziz wydaje

rozkazy opuszczenia jaskini. Kroki, szcęk broni, stęknięcia mężczyzn dźwigających ciężary. Potem z zewnątrz dobiegł warkot ciężarówki, która podjechała tyłem do otworu grotu.

Chwilę później przyszedł Abbud ibn Aziz, żeby osobiście zasłonić Lindrosowi oczy.

Ukucnął obok niego.

–Bez obaw.

–Niczego się nie obawiam – wychrypiął Lindros. Ledwo rozpoznał własny głos.

Abbud ibn Aziz zaczął miętosić w palcach czarny kaptur bez otworów na oczy.

–Jeśli wiesz cokolwiek o zadaniu zlikwidowania Hamida ibn Aszefa, to teraz jest najlepszy moment, żebyś mi to powiedział.

–Mówiłem ci sto razy, że nic nie wiem, a ty ciągle mi nie wierzysz.

–Nie. – Abbud ibn Aziz założył mu na głowę kaptur. – Nie wierzę. Potem nagle ścisnął go za ramię.

Co to miało być, oznaka empatii? – zastanawiał się Lindros. Zabawne, ale już go to nie obchodziło. Mógł to teraz obserwować, jak wszystko inne, zza kuloodpornej szyby własnej produkcji. Niemniej skutecznej niż prawdziwa. Odkąd wrócił ze swojego prywatnego bunkra, czuł się tak, jakby opuścił własne ciało. Miał wrażenie, że to, co robi – je, śpi, wydała, spaceruje, okazjonalnie rozmawia z Abbudem ibn Azizem – wykonuje ktoś inny. Ledwo mógł uwierzyć, że jest w niewoli. To, że ten stan oderwania od rzeczywistości jest po prostu nieuniknionym skutkiem wielotygodniowego zamknięcia w umysłowym bunkrze i że będzie powoli ustępował, aż w końcu całkiem zniknie, było dla niego czystą fantazją. Wydawało mu się, że pozostanie w tej otchłani aż do śmierci – żywy, ale wyłączony z rzeczywistości.

Kiedy postawiono go brutalnie na nogi, miał wrażenie, że śni, śpiąc na spokojnym jeziorze. Dlaczego zmieniają kryjówkę w takim pośpiechu? Ktoś chce go odbić? Wątpił, żeby to chodziło o CIA, bo podsłuchał, że Dudźdża zestrzeliła drugi helikopter z agentami wysłanymi na poszukiwania. Nie. Tylko jeden człowiek miał taką wiedzę i umiejętności, i był tak nieustępliwy, że mógł dotrzeć na szczyt Ras Daszan i nie dać się zabić: Jason Bourne! Przybył Jason, żeby go odnaleźć i zabrać do domu!

Matthew Lerner siedział w Złotej Kaczce. Choć ta mała restauracja znajdowała się w chińskiej dzielnicy, figurowała w wielu przewodnikach po Waszyngtonie, więc była często odwiedzana przez turystów i omijana przez miejscowych, łącznie z członkami osobliwego tajnego bractwa szpiegów i agentów rządowych, do którego należał Lerner. To mu oczywiście odpowiadało. Odkrył w Dystrykcie kilka miejsc, gdzie w razie potrzeby spotykał się ze swoimi kontaktami i osobnikami świadczącymi mu różne usługi.

W ciemnym i obskurnym lokalu pachniało olejem sezamowym, przyprawami i skwierczącą zawartością brytfanny, skąd co jakiś czas wyjmowano paszteciki jajeczne i panierowane kawałki kurczaka.

Lerner trzymał w ręku piwo Tsing Tsao. Pił je z butelki, bo na szklankach zauważył tłuste smugi. Prawdę mówiąc, dużo bardziej wolałby pociągać whisky Johnny Walker Black, ale nie teraz. Nie przed tym szczególnym spotkaniem.

Zadzwęczała komórka. Otworzył ją i zobaczył wiadomość tekstową:

Z TYŁU 7 UL. 5 MIN.

Natychmiast usunął tekst, schował telefon do kieszeni i wrócił do picia piwa. Kiedy skończył, położył na stoliku kilka banknotów, wziął płaszcz i poszedł do męskiej toalety. Oczywiście znał rozkład lokalu, tak jak wszystkich swoich miejsc spotkań. Wysikał się, skręcił z toalety w prawo i minął kuchnię, gdzie kłębiła się para, rozbrzmiewały okrzyki po kantońsku i groźnie syczały kotły na ogniu.

Pociągnął tylne drzwi i wymknął się na Siódmą ulicę. Nowy model forda w ogóle nie zwracał na siebie uwagi – w Waszyngtonie wszystkie agencje rządowe miały obowiązek używać amerykańskich samochodów. Lerner rozejrzał się szybko, otworzył tylne drzwi i wśliznął się do środka. Ford wolno ruszył.

Lerner rozsiadł się wygodnie na siedzeniu.

–Cześć, Frank.

–Witam, panie Lerner – odpowiedział kierowca. – Jak sprawy?

–Są komplikacje – odparł sucho Lerner. – Jak zwykle.

–Słyszę. – Frank skinął głową. Był potężnym facetem z byczym karkiem. Wyglądał na takiego, co niewolniczo haruje w siłowni.

–W jakim nastroju jest dziś sekretarz?

–Wie pan... – Frank strzelił palcami. – Brakuje mi słowa.

–Jest zły? Wkurzony? Wściekły?

Frank zerknął na Lenera w lusterku wstecznym.

–Coś w tym rodzaju.

Przejechali przez most George Mason Memoriał i skręcili na południowy wschód w aleję Washington Memoriał. Lerner pomyślał, że w Waszyngtonie chyba wszystko ma w nazwie *memoriał*. Na tę bzdurną pomnikowość idą ciężkie pieniądze z państwowej kasy, a pomysłodawcy zyskują popularność. To może wkurzać sekretarza.

Długa limuzyna czekała na niego na obrzeżach terminalu towarowego Narodowego Portu Lotniczego. Jej potężny silnik mruczał jak samolot tuż przed startem. Kiedy Frank zatrzymał forda, Lerner się przesiadł.

Wewnątrz auto nie przypominało żadnego znanego mu środka transportu, z wyjątkiem Air Force One, samolotu prezydenckiego. W razie potrzeby okna były zasłaniane lśniącymi drewnianymi żaluzjami – tak jak teraz. Poza orzechowym biurkiem, w środku znajdowała się supernowoczesna centrala telekomunikacyjna, rozkładana kanapa, para wygodnych foteli obrotowych i lodówka o połowę mniejsza od domowej.

Za biurkiem siedział dystyngowany mężczyzna około siedemdziesiątki z aureolą krótko ostrzyżonych siwych włosów i przebiegał palcami po klawiaturze laptopa. Jego duże, lekko wylupiate oczy patrzyły tak czujnie i intensywnie jak w młodości. Ozdabiały bladą twarz z zapadniętymi policzkami i obwisłą skórą poniżej podbródka.

–Panie sekretarzu... – odezwał się Lerner z szacunkiem, ale i ze strachem.

–Klappnij sobie, Matthew – przerwał mu sekretarz obrony Halliday. Po teksaskim akcencie można było poznać, że urodził się i wychowywał w miejskiej dżungli Dallas.
– Zaraz się tobą zajmę.

Lerner spoczął na fotelu, limuzyna ruszyła. Bud Halliday niecierpliwił się, kiedy pozostawał zbyt długo w jednym miejscu. Lernerowi najbardziej podobało się w sekretarzu to, że w przeciwieństwie do wielu ludzi, których poznał w Waszyngtonie, Halliday dorastał z dala od wiejskich pól naftowych i do wszystkiego doszedł sam. Zarobił swoje miliony w staromodny sposób i nikomu nie był nic winien, nawet prezydentowi. Zawierał tak sprytne i zręczne politycznie układy, że nieodmiennie zwiększały jego wpływy, rzadko stawiając go w pozycji dłużnika któregoś z kolegów.

Sekretarz Halliday skończył pracę, podniósł wzrok i niezdarnie się uśmiechnął. Jedyną oznaką lekkiego udaru, którego doznał dziesięć lat temu, był częściowy niedowład lewego kącika ust.

–Jak na razie, wszystko gra, Matthew. Kiedy mnie zawiadomiłeś, że twój dyrektor zaproponował ci przeniesienie, wprost nie mogłem uwierzyć w to szczęśliwe zrządzenie losu. Od kilku lat próbuję różnymi sposobami, od zakrystii, przejąć kontrolę nad CIA. Dyrektor agencji to dinozaur, ostatni stary gracz na służbie. Ale ma już swoje lata i z każdą chwilą starzeje się coraz bardziej. Dochodzą mnie słuchy, że zaczyna mięknąć. Chcę uderzyć teraz, kiedy jest osaczony ze wszystkich stron. Publicznie nie mogę go tknąć; w Waszyngtonie są jeszcze inne dinozaury, wprawdzie już emerytowane, ale nadal bardzo silne. Dlatego zaangażowałem w to ciebie i Muellera. Ja muszę się trzymać od tego z daleka, żeby móc wszystkiemu wiarygodnie zaprzeczyć, gdyby sprawa się rozeszła. – Zrobił krótką przerwę. – Ale tak czy inaczej, Stary musi odejść; w agencji trzeba zrobić gruntowne porządki. Oni zawsze przodowali w tak zwanym wywiadzie ludzkim, co w stołecznej mowie oznacza po prostu szpiegostwo. Pentagon, który kontroluję ja, i NSA, którą kontroluje Pentagon, od niepamiętnych czasów pozostawały z tyłu. Odpowiadaliśmy za zwiad satelitarny, podsłuchy... przygotowanie pola bitwy, jak lubi mawiać Luther LaValle, moja prawa ręka w Pentagonie. – Zamyślił się na chwilę. – Ale teraz jesteśmy w stanie wojny i zdecydowanie uważam, że Pentagon musi przejąć kontrolę również nad wywiadem ludzkim. Chcę sterować całością, żebyśmy stali się bardziej skuteczną maszyną do niszczenia wszystkich cholernych siatek i komórek terrorystycznych, działających przeciwko nam wewnątrz naszych granic i poza nimi.

Lerner obserwował twarz sekretarza, choć znali się na tyle długo, że potrafił wyczuć, co nadchodzi. Każda inna osoba byłaby zadowolona z jego postępów, ale nie Halliday. Lerner przygotował się psychicznie, bo po pochwałach z ust sekretarza padało żądanie zrobienia rzeczy prawie niemożliwej. Ale Halliday miał to gdzieś. Był klonem Lyndona Johnsona twardym sukinsynem.

–Mógłby mi pan zdradzić, co pan przez to rozumie? Halliday patrzył przez chwilę na Lenera.

–Skoro potwierdziłeś moje podejrzenia, że w CIA roi się teraz od Arabów i muzułmanów, twoim następnym zadaniem po tym, jak zajmiemy się starym, będzie ich usunięcie.

–Konkretnie których? – zapytał Lerner. – Ma pan listę?

–Nie potrzebuję żadnej pieprzonej listy – odparł ostro Halliday. – Jeśli mówię „usunięcie”, to chodzi mi o totalną czystkę. Trzeba się pozbyć ich wszystkich.

Lerner omal się nie skrzywił.

–To trochę potrwa, panie sekretarzu. Czy nam się to podoba, czy nie, żyjemy w czasach „drażliwości religijnej”.

–Nie chcę słuchać tych bzdur, Matthew. Od prawie dziesięciu lat mam wrzód na prawym półdupku. Wiesz, od czego?

–Tak, panie sekretarzu. Od drażliwości religijnej.

–Właśnie. Jesteśmy w stanie wojny z tymi cholernymi muzułmanami. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek z nich podkopywał od wewnątrz którąś z naszych agencji bezpieczeństwa, jasne?

–Oczywiście, panie sekretarzu.

To był stały punkt programu ich spotkań, choć Lerner wątpił, żeby sekretarz się z tym zgodził. Jeśli miał poczucie humoru, to ukryte tak głęboko, jak kości neandertalczyka.

–A skoro już mowa o wrzodach na dupie, to jest sprawa Annę Held. Lerner przeczuwał, że prawdziwa zabawa dopiero się zacznie. Wszystko dotąd było tylko pierwszym tańcem sekretarza.

–A co z nią jest?

Halliday wziął z biurka akta i wetknął mu do rąk. Lerner otworzył teczkę i szybko przerzucił kartki. Potem podniósł wzrok. Sekretarz skinął głową.

–Zgadza się, przyjacielu. Annę Held rozpoczęła prywatne śledztwo w celu zbadania twojej przeszłości.

–A to suka. Myślałem, że mam ją pod kontrolą.

–To duża cwaniara, Matthew, i jest bardzo lojalna wobec dyrektora. Co oznacza, że nigdy nie dopuści do tego, żebyś wspiął się na szczyt drabiny CIA. Stała się dla nas poważnym zagrożeniem. To pewne.

–Nie mogę jej po prostu zlikwidować. Nawet gdyby to wyglądało na włamanie lub wypadek...

–Zapomnij o tym. Okoliczności wypadku zostałyby zbadane tak dokładnie, że w końcu by cię namierzono. – Halliday postukał skuwką pióra wiecznego w wargi. – Dlatego proponuję, żebyś załatwił ją w najbardziej żenujący i bolesny sposób... dla niej i dla niego. Kolejna afera wśród wielu innych. Wymyśl coś. Pozbawiony swojej lojalnej pracownicy, dyrektor stanie się jeszcze bardziej bezbronny. Twoja gwiazda wszędzie szybciej, co przyspieszy upadek dinozaura. Dopilnuję tego.

Kiedy przekroczyli zamarznąłą rzekę, kierując się na południe – południowy zachód, znaleźli się w cieniu stromej góry. Bourne'owi i Zaimowi towarzyszyli trzej piesi żołnierze Kabura, znający teren lepiej niż Zaim.

Bourne czuł się niepewnie w dużej – według jego kryteriów – grupie. Zawsze starał się być niesłyszalny i niewidzialny, co teraz «wydawało się niezmiernie trudne. Ale gdy posuwali się szybko naprzód, musiał przyznać, że ludzie Kabura zachowują się cicho i są skoncentrowani na swoim zadaniu – bezpiecznym doprowadzeniu jego i Zaima do obozu Fadiego.

Na wschodnim brzegu rzeki teren najpierw się wznosił, potem biegł poziomo, co wskazywało, że wspięli się na zalesiony płaskowyż. Góra wyglądała groźnie: niemal pionowa trzydziestometrowa ściana kończyła się masywnym nawisem.

Śnieg, który rozpadał się na dobre na początku ich wędrówki, teraz tylko prószył, więc nie zwalniali tempa marszu. Pierwsze dwa i pół kilometra pokonali bez przygód. Potem jeden z ludzi Kabura dał znak, żeby się zatrzymali i wysłał swojego towarzysza na zwiady. Czekali przycupnięci wśród szumiących jodeł, wiatr zwiewał na nich z góry śnieg. Nadejście zamieci, która teraz rozpętała się wokół, poprzedziła straszna cisza, jakby skalny nawis stłumił wszystkie dźwięki na górskim zboczu.

Wrócił zwiadowca i pokazał, że przed nimi jest czysto. Ruszyli dalej, brnąc przez śnieg. Rozglądali się czujnie i nasłuchiwali. Bliżej nawisu płaskowyż zaczął się wznosić, teren stał się bardziej kamienisty i gęściej zalesiony. Bourne nie dziwił się, że Fadi założył obóz na tej wysokości.

Kiedy przebyli następne pół kilometra, dowódca ludzi Kabura znów zarządził postój i wysłał naprzód zwiadowcę. Tym razem jego podwładny zniknął na dłużej. Po powrocie odbył z przełożonym ożywioną naradę na uboczu. Dowódca podszedł do Bourne'a i Zaima.

–Mamy potwierdzenie obecności wroga przed nami na górze. Na wschód od nas są dwaj ludzie.

–Musimy być już blisko ich obozu – zauważył Bourne.

–To nie wartownicy. Dokładnie przeszukują las i zbliżają się do nas. – Amhar zmarszczył brwi. – Ciekawe, czy jakoś się nie dowiedzieli, że nadchodzimy.

–Nie wiadomo – odparł Zaim. – Tak czy owak, musimy ich zabić. Dowódca jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

–To ludzie Fadiego. On nie puści tego płazem.

–Nie ma sprawy – powiedział szorstko Bourne. – Zaim i ja pójdziemy dalej sami.

–Uważasz mnie za tchórza? – Amhar pokręcił głową. – Mamy zadanie doprowadzić was do obozu Fadiego i to zrobimy.

Dał znak swoim ludziom, którzy ruszyli na wschód.

–My trzej pójdziemy w innym kierunku. Niech moi bracia załatwią tamtą sprawę.

Teraz wspinaczka zaczęła się na dobre. Zbocze wznosiło się tak, jakby chciało osiągnąć masywnego nawisu. Na chwilę przestało padać i zza płynących po niebie chmur wyjrzało słońce.

Nagle rozległy się strzały. Trzej mężczyźni zatrzymali się i przykucnęli za

drzewami. Znów wybuchła strzelanina, potem zapadła cisza.

–Teraz musimy się pospieszyć – przynaglił dowódca, gdy wstali i podjęli dalszą wędrówkę na wschód – południowy wschód.

Po chwili usłyszeli śpiew ptaka. Krótco potem dołączyli do nich dwaj podwładni dowódcy. Jeden był ranny, ale lekko. Poszli dalej zwartą grupą, prowadzeni przez zwiadowcę.

Niemal natychmiast strome zbocze przeszło w poziomy teren i ubyło drzew. Kiedy zwiadowca opadł na kolana, wyglądało to tak, jakby się potknął o kamień lub korzeń drzewa. Potem krew obryzgała śnieg, gdy drugi Amhar został trafiony w głowę. Reszta grupy się ukryła. Strzały padły z zachodu. A więc wystawienie dwóch zwiadowców na wschodzie to był podstęp, część manewru oskrzydającego grupę od wschodu i zachodu. Bourne dowiedział się teraz o przeciwniku czegoś nowego: Fadi naraził dwóch ludzi na ryzyko i poświęcił ich, żeby wciągnąć wroga w zasadzkę.

Rozpoczęła się taka kanonada, że nie sposób było określić, ilu ludzi Fadiego mają przeciwko sobie. Bourne odłączył się od Zaima i dowódcy, którzy odpowiadali ogniem z za każdej osłony, jaką udało im się znaleźć. Skierował się w prawo i wdrapał na stromą, nierówną pochyłość. Wiedział, że zgoda na udział w tej akcji ludzi Kabura była błędem – nie chciał zabrać ze sobą nawet Zaima, ale w tej kulturze nie odmawiało się przyjęcia pomocy.

Na górze podczołgał się do przeciwległego krańca wzniesienia, które kończyło się urwiskiem. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział teraz czterech mężczyzn z karabinami i pistoletami. Nawet z tej odległości nie można było ich pomylić z Amharami. To terroryści Fadiego.

Problem polegał teraz na tym, że przeciwnicy z karabinami mieli przewagę nad Bourne'em uzbrojonym tylko w pistolet. Szanse mogła wyrównać jedynie walka z bliska. Plan był ryzykowny – trudno.

Bourne okrążył ich i zaszedł z tyłu. Szybko zdał sobie sprawę, że zwykły atak z tej pozycji nie wchodzi w rachubę. Terroryści wystawili wartownika. Siedział na głazie oczyszczonym ze śniegu. Trzymał niemiecki karabin snajperski Mauser SP66. Broń strzelała amunicją 7,62 mm 51 i była wyposażona w precyzyjną lunetę Zeiss – Diavari. Te szczegóły miały dla Bourne'a decydujące znaczenie. Choć mauser sprawdzał się doskonale jako karabin do likwidowania celów z dużej odległości, był ciężki i wymagał ręcznego przeładowywania. Nie nadawał się do strzelania w pośpiechu.

Bourne podkradł się do wartownika na odległość piętnastu metrów i wyciągnął zakrzywiony nóż. Wyszedł z ukrycia i wyrósł przed terrorystą. Tamten zerwał się z głazu i stał się doskonałym celem. Jeszcze próbował strzelić, gdy nóż rzucony przez Bourne'a poszybował w powietrzu.

Zakrzywione ostrze ugodziło wartownika poniżej mostka i wbiło się po rękojęść. Terrorysta zaczął zalewać się krwią, zanim runął na ziemię.

Bourne przeszedł nad zwłokami, wyszarpnął z ciała nóż, wytarł o śnieg i wsunął do pochwy. Potem wziął mausera i ruszył na poszukiwania kryjówek.

Słyszał krótkie i długie serie, które brzmiały jak alfabet Morse'a, zwiastując śmierć walczących. Pobiegnął w kierunku pozycji terrorystów, ale zaczęli się przemieszczać.

Rzucił mausera i wydobył makarowa.

Gdy posuwał się wzdłuż wysokiego górskiego grzbietu, zobaczył tuż pod sobą amharskiego dowódcę, rozkrzyżowanego na śniegu w kałuży krwi. Kiedy ruszył ostrożnie dalej, w polu widzenia pojawili się dwaj terroryści. Strzelił jednemu w plecy. Drugi się odwrócił i odpowiedział ogniem. Bourne dał nura za skałę.

Rozległo się więcej strzałów. Odgłosy urywanych serii odbijały się od skalnego nawisu w górze i wracały do uszu Bourne'a. Podniósł się na kolana – trzy pociski trafiły w pobliski głaz, krzesząc iskry.

Przemieścił się w prawo, żeby zmylić przeciwnika, ściągnął na siebie ogień, później przeczołgał się w lewo i dostrzegł ramię terrorysty. Nacisnął dwa razy spust i usłyszał jęk bólu. Wstał, żeby zamarkować, że rusza naprzód. Kiedy zza osłony wyskoczył terrorysta, zobaczył wycelowanego w siebie makarowa. Bourne wpakował mu kulę między oczy.

Zaczął szukać trzeciego terrorysty. Znalazł go wijącego się na śniegu i przyciskającego jedną rękę do brzucha. Oczy tamtego zabłysły na widok Bourne'a, na jego twarzy pojawił się, o dziwo, cień uśmiechu. Potem wstrząsnął nim ostatni spazm, z ust buchnęła krew i oczy zaszły mgłą.

Bourne pobiegł dalej. Po trzydziestu metrach zobaczył Zaima. Amhar klęczał. Dostał dwa razy w pierś. W oczach miał ból. Mimo to, gdy Bourne zbliżył się, Zaim powiedział:

–Nie, zostaw mnie. Nic mi już nie pomoże.

–Zaim...

–Ruszaj. Znajdź przyjaciela. Zabierz go do domu.

–Nie mogę cię zostawić. Zaim uśmiechnął się lekko.

–Wciąż nie rozumiesz. Niczego nie żałuję. Dzięki tobie mój syn zostanie pochowany. Tylko o to proszę.

Wydał z siebie długie, chrapliwe westchnienie, przewrócił się na bok i już się nie poruszył.

Bourne przyklęknął i zamknął mu oczy. Potem ruszył dalej w stronę bazy Fadiego. Piętnaście minut później, po przedarciu się przez gęstniejący las jodłowy, zobaczył obóz: namioty ustawione po wojskowemu na kawałku płaskiego terenu, który został wykarczowany już jakiś czas temu, sądząc po zagojonych pniakach.

Przycupnął za drzewem i uważnie popatrzył na obóz: dziewięć namiotów, trzy ogniska, latryna. Problem polegał na tym, że nie było tam żywej duszy. Obóz wyglądał na opuszczony.

Bourne wstał, żeby okrążyć siedlisko i zrobić rozpoznanie. Ledwo wyszedł spod osłony niskich gałęzi, śnieg wokół niego podziurawiły pociski. Dostrzegł co najmniej sześciu mężczyzn.

Zaczął biec.

–Na górę! Tędy! Szybko!

Bourne podniósł wzrok i zobaczył Alema. Chłopiec leżał płasko na zaśnieżonej półce skalnej. Bourne znalazł oparcie dla nogi i wdrapał się tam. Alem cofnął się od krawędzi, żeby zrobić mu miejsce. Bourne położył się na brzuchu i patrzył przez

chwile, jak ludzie Fadiego rozdzielają się i zaczynają go szukać.

Potem, tak jak Alem, odsunął się w głąb półki. Kiedy byli wystarczająco daleko od krawędzi, zęby bezpiecznie wstać, chłopiec powiedział:

–Przenieśli twojego przyjaciela. Pod nawisem są jaskinie. Tam go zabrali.

–Co tu robisz? – zapytał Bourne, gdy zaczęli się wspinać wyżej.

–Gdzie mój ojciec? Dlaczego nie jest z tobą?

–Przykro mi, Alemie. Zastrzelili go. – Sięgnął po chłopca, ale ten się uchylił; stał z pustym wzrokiem. Bourne przykucnął obok niego. – Jeśli to cię pocieszy, nie pozostał nikomu dłużny. Umarł spokojny. Obiecałem mu, że pochowam twojego brata.

–Możesz to zrobić?

–Myślę, że tak.

Alem przyjrzał mu się ciemnymi oczami, potem skinął głową i obaj w milczeniu ruszyli dalej. Znow zaczął padać gęsty śnieg i odgradził ich grubą białą zasłoną od reszty świata. Tłumił też dźwięki, co miało dobrą i złą stronę – przeciwnicy ich nie słyszeli, ale też na odwrót.

Mimo to Alem szedł odważnie naprzód. Wybrał drogę ukośnie przecinającą wybrzuszenie nawisu. Pewnie stawiał kroki i nie potykał się. W ciągu piętnastu minut dotarli do szczytu.

–Tuż przed nami są kominy prowadzące w dół do jaskiń – wyjaśnił, kiedy wspięli się na nierówną powierzchnię. – Często bawiłem się tu z bratem w chowanego. Wiem, którym kominem dojść do twojego przyjaciela.

Nawet przez śnieg Bourne widział wyloty pionowych tuneli, wyłobionych niegdyś w granicie przez lodowiec.

Pochylił się nad jednym z otworów, odgarnął nagromadzony śnieg i zajrzał do środka. Światło nie dochodziło na samo dno; szyb miał z kilkaset metrów głębokości.

–Wrogowie cię obserwowali – odezwał się Alem.

–Zaim mi powiedział.

Chłopiec skinął głową. Najwyraźniej nie był zaskoczony.

–Potem przenieśli twojego przyjaciela z obozu tutaj, żebyś go nie znalazł.

Bourne usiadł i popatrzył uważnie na Alema.

–Dlaczego mówisz mi to teraz? Zakładając, że to prawda.

–Zabili mojego ojca. Chyba zawsze mieli taki zamiar. Nic ich nie obchodzimy.

Nieważne, ilu z nas zginie lub zostanie kalekami, byle dostali, co chcą. Ale zapewniali mnie, że ojciec będzie bezpieczny, a ja, głupi, im wierzyłem. To teraz ich pieprzę. Chcę ci pomóc.

Bourne nie powiedział ani słowa, nie wykonał żadnego ruchu.

–Wiem, że muszę ci udowodnić, że nie kłamię, więc pierwszy zejdzę kominem. Jeśli to pułapka, zastrzelą mnie, a ty będziesz bezpieczny.

–Bez względu na to, co zrobiłeś, Alemie, nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

Chłopiec lekko się zmieszał. Najwyraźniej po raz pierwszy kogoś obcego obchodził jego los.

–Mówię prawdę. Terrorysty nie wiedzą o tych kominach. Po chwili wahania

Bourne powiedział:

–Możesz udowodnić swoją lojalność wobec mnie i ojca, ale nie w ten sposób. – Sięgnął do kieszeni i wyjął mały ośmiokątny przedmiot z ciemnoszarego tworzywa sztucznego, podobnego do gumy. Na środku były dwa przyciski: czarny i czerwony. Włożył go Alemowi do ręki. – Chcę, żebyś zszedł z powrotem z tej góry na południe. Na pewno natkniesz się na ludzi Fadiego. Jak tylko ich zobaczysz, wciśnij czarny przycisk. Kiedy będziesz sto metrów od nich, wciśnij czerwony, a potem rzuć to najdalej, jak możesz. Rozumiesz?

Chłopiec spojrzał na ośmiokąt.

–To ładunek wybuchowy?

–Wiesz, że tak.

–Możesz na mnie liczyć – zapewnił uroczyście Alem.

–Świetnie. Nie ruszę się, dopóki nie usłyszę eksplozji. Potem zejść kominem. Alem wstał, żeby odejść.

–Wybuch ich odciągnie. W dwóch trzecich drogi na dół komin się rozwidla. Idź w prawo. Kiedy dojdiesz do końca, znów skręć w prawo.

Będziesz pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie trzymają twojego przyjaciela.

Bourne patrzył, jak chłopiec brnie przez szczyt nawisu i znika w śnieżnej zamieci po południowej stronie. Natychmiast połączył się przez telefon satelitarny Thuraya z Davisem.

–Znają twoją pozycję – ostrzegł. – Widzisz jakiś ruch? Coś się dzieje?

–Spokojnie jak w grobie – zameldował pilot. – Kiedy pan wraca? Na północnym zachodzie tworzy się cholernie silny front atmosferyczny.

–Wiem. Posłuchaj, chcę, żebyś się stamtąd ruszył. Trzydzieście czy czterdzieście kilometrów na północny zachód od twojej obecnej pozycji jest górską łąka – Poleć tam. Ale najpierw pochowaj ciało, które jest w grocie. Nie uda ci się znaleźć kawałka ziemi, więc użyj kamieni. Zrób kopiec. Odmów nad nim modlitwę. Aha, jeszcze jedno, włóż skafander antyradiacyjny, który widziałem w kokpicie.

Bourne wrócił do swojego zadania. Chciał wierzyć, że Alem mówił prawdę. Ale musiał zachować ostrożność, na wypadek gdyby się mylił. Zamiast czekać na detonację, tak jak powiedział Alemowi, opuścił się od razu do komina. W tym momencie chłopiec mógł wręczać granat jednemu z ludzi Fadiego. Ale przynajmniej Bourne'a już nie będzie tam, gdzie Alem go zostawił.

Zsuwając się skalnym kominem, Bourne zapierał się kolanami i łokciami. Tylko tak mógł się chronić przed upadkiem na dno pionowego szybu.

Dokładnie jak powiedział Alem, komin rozwidlał się mniej więcej w dwóch trzecich drogi na dół. Bourne zawisnął na moment nad tym miejscem. Albo uwierzy Alemowi, albo nie. Niby proste. Ale tak naprawdę, gdy chodzi o ludzkie motywacje i impulsy, nic nie jest proste.

Skierował się w prawo. Po chwili trasa zwężyła się lekko i momentami musiał się przeciskać, a raz nawet obrócić o czterdzieści pięć stopni, by przepchnąć ramiona dalej. Ale w końcu dotarł do jaskini. Z makarowem w dłoni spojrzał w prawo i w lewo. Żaden terrorysta nie czaił się w zasadzce. Ale z dna groty wyrastał półtorametrowy

stalagmit, kalcytowy naciek, utworzony przez skapującą kominem wodę bogatą w minerały.

Bourne kopniakiem złamał stalagmit metr nad podstawą. Podniósł go wolną ręką i poszedł wzdłuż jaskini w prawo. Korytarz skręcił wkrótce w lewo. Bourne zwolnił, potem przykucnął.

Kiedy wyrzął zza rogu, zobaczył jednego z ludzi Fadiego – stał z karabinem samoczynnym Ruger na biodrze. Bourne czekał, oddychając wolno i głęboko. Terrorysta się przesunął i odsłonił Martina Lindrosa, który był związany, zakneblowany i oparty o brezentowy plecak. Bourne'owi zaczęło walić serce. Martin żyje!

Bourne nie miał jednak czasu ocenić, w jakim stanie jest przyjaciel, bo rozległ się huk eksplozji. Alem się sprawdził; rzucił granat Derona, tak jak obiecał.

Terrorysta znów się ruszył i zasłonił Lindrosa. Pojawili się dwaj inni mężczyźni. Stłoczyli się razem z pierwszym, który mówił szybko po arabsku do telefonu komórkowego, i uzgadniali sposób działania. Więc Fadi zostawił trzech ludzi do pilnowania więźnia. To cenna informacja.

Trzej terroryści podjęli decyzję i utworzyli trójkątną formację obronną: jeden człowiek z przodu, przy wejściu do jaskini, dwaj rozstawieni za Lindrosem, blisko miejsca, gdzie kucał Bourne.

Odłożył makarowa. Nie mógł sobie pozwolić na użycie broni palnej. Hałas z pewnością zwabiłby do jaskini resztę ludzi Fadiego. Podniósł się i stanął mocno na nogach. Trzymając stalagmit w jednej ręce, wyciągnął zakrzywiony nóż. Zamachnął się, rzucił i ostrze noża weszło po rękoność w plecy terrorysty z lewej strony. Kiedy drugi się odwrócił, Bourne cisnął stalagmitem jak włócznią – szpic przebił gardło terrorysty. Arab na moment zacisnął palce na skamielinie, potem zgiął się w pół i upadł na swojego towarzysza.

Terrorysta przy wejściu do jaskini obrócił się gwałtownie i wycelował w intruza karabin. Bourne natychmiast podniósł ręce i ruszył naprzód.

–Stój! – krzyknął po arabsku strażnik.

Ale Bourne już wystartował sprintem prosto na niego. Dopadł terrorystę, gdy ten jeszcze wytrzeszczał oczy w szoku. Odtrącił w bok lufę rugera i uderzył Araba otwartą dłonią w nos. Rozprysła się krew zmieszana z kawałkami chrząstki. Bourne walnął przeciwnika w obojczyk i złamał kość. Terrorysta opadł na kolana i zachwiał się jak pijany. Bourne wyrwał mu z rąk karabin i zdzielił go kolbą w skroń. Arab się przewrócił i znieruchomiał.

Bourne podszedł szybko do Lindrosa, przeciął linę krępującą nadgarstki i kostki, postawił przyjaciela na nogi i wyjął mu knebel z ust.

–Spokojnie – wyszeptał. – Nic ci nie jest? Lindros pokręcił głową.

–Dobra. Wynosimy się stąd w cholerę.

Skierował Lindrosa tam, skąd przyszedł. Martin miał bladą, nabrzmiałą twarz, co było najbardziej widocznym skutkiem jego cierpienia. Jakim torturom psychicznym i fizycznym poddał go Fadi? Bourne był nieraz torturowany. Wiedział, że niektórzy ludzie znoszą to lepiej niż inni.

Ominęli kikut stalagmitu, który złamał Bourne, i dotarli do komina.

–Musimy się wspiąć – wyjaśnił Bourne. – To jedyne wyjście na zewnątrz.

–Zrobię, co będę musiał.

–Bez obaw, pomogę ci – odparł Bourne.

Kiedy już miał się podciągnąć do środka komina, Lindros położył mu rękę na ramieniu.

–Jason, ani na chwilę nie straciłem nadziei. Wiedziałem, że mnie znajdziesz. Mam wobec ciebie dług wdzięczności, którego nigdy nie spłacę.

Bourne ścisnął go krótko za ramię.

–Na razie chodźmy. Trzymaj się za mną.

Wspinaczka trwała dłużej niż zejście. Po pierwsze, była dużo trudniejsza i bardziej męcząca. Po drugie, z powodu Lindrosa. Bourne kilka razy się zatrzymał i cofnął metr czy dwa, żeby pomóc przyjacielowi pokonać jakiś szczególnie trudny odcinek. Przez jedno z najwęższych miejsc musiał go wręcz przeciągnąć.

Ale w końcu, po męczących trzydziestu minutach, wyłonili się na szczycie nawisu. Kiedy Martin łapał oddech, Bourne orientował się w warunkach. Wiatr wiał teraz z południa. Śnieg tylko lekko prószył. Pradawne demony Ras Daszanu okazały się tym razem łaskawe; front atmosferyczny się odsunął.

Bourne podniósł Lindrosa i rozpoczęli wędrówkę do helikoptera.

Anne Held mieszkała w piętrowym domu z czerwonej cegły rzut kamieniem od Dumbarton Oaks w Georgetown. Budynek miał czarne okiennice i był kryty dachówką. Od frontu ciągnął się wypielęgnowany ligustrowy żywopłot. Dom należał wcześniej do jej siostry Joyce, która wraz ze swoim mężem Peterem zginęła trzy lata temu w katastrofie lotniczej. Mały samolot rozbił się we mgle, kiedy lecieli do Martha's Vineyard. Annę odziedziczyła dom, na który nigdy nie byłoby jej stać.

Przez większość nocy, po powrocie z pracy, nie tęskniła za swoim Kochankiem. Po pierwsze, dyrektor CIA zwykle trzymał ją w biurze do późna. Zawsze długo tam siedział, ale odkąd dwa lata temu odeszła od niego żona, w ogóle nie spieszyło mu się do domu. Po drugie, po przyjściu z pracy Annę była cały czas zajęta. Dopóki nie wzięła środka nasennego, nie wsunęła się pod kołdrę i nie zgasiła nocnej lampy przy łóżku, nie usnęła.

Ale bywały inne noce – takie jak ta – kiedy nie potrafiła przestać myśleć o swoim Kochanku. Brakowało jej jego zapachu, dotyku muskularnego ciała, uczucia rozkoszy, gdy się kochali. Wewnętrzna pustka z powodu jego nieobecności powodowała fizyczny ból, który mógł być uśmierzony tylko większą ilością pracy lub narkotycznym snem.

Jej Kochanek. Oczywiście miał imię i nazwisko. I tysiąc czułych przezwisk, którymi nazywała go przez lata. Ale w myślach, marzeniach Annę był jej Kochankiem. Poznała go w Londynie na przyjęciu dyplomatycznym – jakiś ambasador świętował swoje siedemdziesiąte piąte urodziny i zaprosił około sześciuset zaprzyjaźnionych osób, między innymi Annę. Pracowała wtedy w biurze dyrektora MI – 6, starego i zaufanego przyjaciela dyrektora CIA.

Była oszołomiona i trochę przestraszona. Oszołomiona bliskością jej Kochanka i przestraszona ogromnym wpływem, jaki na nią wywierał. Miała dwadzieścia lat i jako takie doświadczenie w sprawach męsko – damskich. Ale z młodymi chłopcami. Jej Kochanek był mężczyzną. Teraz tęskniła za nim tak, że czuła ból w piersi.

Wyszło jej w gardle. Od drzwi ruszyła prosto do kuchni. Przecięła hol i weszła do biblioteki, za którą biegł korytarz. Kilka kroków za progiem pokoju stanęła jak wryta.

Wszystko było inaczej niż przed jej wyjściem z domu. Natychmiast otrząsnęła się z emocjonalnego dołka. Nie odrywając wzroku od sceny, jaką miała przed sobą, sięgnęła do torebki i wyjęła berettę 84. Dobrze strzelała; dwa razy w miesiącu ćwiczyła na strzelnicy CIA. Nie, żeby była wielką miłośniczką broni, ale personel biurowy miał obowiązek ćwiczyć strzelanie.

Uzbrojona w pistolet rozejrzała się uważniej. Nie wyglądało to tak, jakby włamał się tu złodziej i przetrząsnął pokój. Robotę wykonano czysto i starannie. Gdyby nie miała dużej zdolności zapamiętywania szczegółów, mogłaby w ogóle nie zauważyć zmian, bo były minimalne. Papiery na jej biurku nie leżały dokładnie tak, jak je zostawiła; staromodny chromowany zszywacz był pod trochę innym kątem niż przedtem; ułożenie kolorowych ołówków różniło się nieco od poprzedniego, książki na półkach nie stały już tak równo.

Najpierw zajrzała do każdego pomieszczenia i każdej szafy, żeby się upewnić, że

jest sama. Potem sprawdziła wszystkie drzwi i okna. Nie znalazła żadnych zniszczeń ani uszkodzeń. A więc ktoś miał komplet kluczy albo wytrychów. To drugie wydawało się dużo bardziej prawdopodobne.

Wróciła do biblioteki, gdzie wolno i dokładnie obejrzała każdy przedmiot. Chciała się zorientować, kto był w domu. Kiedy posuwała się od półki do półki, wyobrażała sobie, jak intruz zakrada się tutaj, węszy, grzebie, próbuje poznać najskrytsze tajemnice.

Swoją drogą, w jej branży wydawało się to nieuniknione. Ale ta refleksja nie uwolniła Annę od strachu, który czuła po tym wtargnięciu do jej prywatnego świata. Oczywiście była bardzo ostrożna. Tutaj pilnowała się tak samo, jak w pracy. Ktokolwiek się włamał, na pewno nie znalazł niczego podejrzanego. Ale gnębił ją sam fakt, że została zaatakowana. Dlaczego? Przez kogo? Pytania bez natychmiastowej odpowiedzi.

Zamiast wody naląła sobie solidną porcję szkockiej. Sącząc alkohol, poszła na górę do sypialni. Usiadła na łóżku i zrzuciła pantofle. Ale przyływ adrenaliny nie pozwalał jej się odprężyć. Wstała, poczłapała do toaletki i postawiła na niej staromodną szklankę. Stojąc przed lustrem, rozpięła i zdjęła bluzkę. Podeszła do szafy i odsunęła rząd ubrań, żeby wziąć wolny wieszak. Sięgnęła po niego i zamarła. Poczowała gwałtowne bicie serca i mdłości.

Na chromowanym drążku kołysał się miniaturowy stryczek. W pętli, zaciśniętej jak na szyi wisielca, tkwiły jej majtki.

–Chcieli ze mnie wyciągnąć, co wiem. Dlaczego ich tropię. – Martin Lindros siedział w fotelu lotniczym z głową na odpowiednio ustawionym oparciu. Miał przymknięte oczy. – Powinienem sobie dokopać. Prowadzący przesłuchanie powiedział, że rozpracowali mnie w Zambii. Nie zorientowałem się.

–Nie rób sobie wyrzutów – powiedział Bourne. – Nie jesteś przyzwyczajony do pracy w terenie.

–To żadne usprawiedliwienie – wychrypiał Lindros.

–Martinie, co się stało z twoim głosem? Lindros się skrzywił.

–Chyba wrzeszczałem całymi dniami. Nie pamiętam. – Spróbował się uwolnić od tego wspomnienia. – Nie wiem, co się działo.

Dla Bourne'a było jasne, że przyjaciel jest jeszcze w szoku. Lindros zapytał dwa razy o los pilota, Jaime'ego Cowella, jakby za pierwszym razem nie usłyszał odpowiedzi albo nie był w stanie przyjąć jej do wiadomości. Bourne postanowił nie mówić mu na razie o drugim helikopterze. Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie, że przedtem nie mieli okazji porozmawiać. Kiedy tylko wystartowali z Ras Daszanu, Davis zawiadomił przez radio międzynarodowy port lotniczy Ambuli w Dżibuti, że będą potrzebowali lekarza z CIA. W helikopterze Lindros leżał na noszach i co jakiś czas zapadał w niespokojny sen. Strasznie schudł, miał wymizerowaną i poszarzałą twarz. Broda niepokojąco zmieniała jego wygląd: upodobniła go do porywaczy.

Davis, narwany pilot, jeśli tacy w ogóle są, uniósł helikopter w powietrze i przemknął przez ucho igielne: dziurę w wyjąłym wietrze na bocznym krańcu frontu atmosferycznego. Opadł nią umiejętnie w dół góry i znalazł się w strefie dobrej

pogody. Obok niego leżał Lindros, blady, z maską tlenową na twarzy.

Podczas tego denerwującego lotu Bourne starał się wyrzucić z pamięci straszliwie wyżartą twarz brata Alema. Żałował, że nie mógł osobiście pochować chłopca. Okazało się to niemożliwe, więc zrobił najlepszą rzecz w tych okolicznościach. Wyobraził sobie kamienny kopiec usypany przez Davisa i odmówił cichą modlitwę za zmarłego, tak jak kilka miesięcy temu nad grobem Marie.

W Dżibuti lekarz z CIA wszedł na pokład helikoptera, gdy tylko wylądowali. Był młody, miał surową minę i przedwcześnie zaczynał siwieć. Badał Lindrosa prawie godzinę, potem wyszedł na zewnątrz, żeby porozmawiać z Bourne'em.

–Był brutalnie traktowany, to jasne – oznajmił. – Ma siniaki, kontuzje, pęknięte żebro. I oczywiście jest odwodniony. Teraz dobra wiadomość: nie ma oznak wewnętrznego krwawienia. Dałem mu w kroplówkach sól fizjologiczną i antybiotyk. Przez godzinę nie można go ruszać. Niech pan się umyje i zje coś bogatego w białko. – Uśmiechnął się blado do Bourne'a. – Fizycznie nic mu nie będzie. Ale nie wiem, jak oddziaływali na jego psychikę. Na oficjalne orzeczenie lekarskie trzeba poczekać, aż wrócicie do Waszyngtonu, ale do tego czasu może pan coś zrobić. Zdaje się, że jesteście bliskimi przyjaciółmi. Niech pan z nim porozmawia w podróży, wspomina chwile, które razem spędziliście, i spróbuje się zorientować, czy zaszły w nim jakieś zmiany.

–Kto cię przesłuchiwał? – zapytał teraz Bourne Lindrosa, gdy siedzieli obok siebie w odrzutowcu CIA.

Lindros zamknął na chwilę oczy.

–Ich przywódca, Fadi.

–Więc tam, na Ras Daszanie, był sam Fadi.

–Tak. – Lindros wzdrygnął się jak w podmuchu zimnego wiatru. – Nie chciał zostawiać tak ważnego transportu w rękach zastępcy.

–Więc wykryłeś to, zanim cię złapali. Skinięcie głową.

–To uran. Wziąłem ze sobą detektory promieniowania. – Lindros odwrócił wzrok i spojrzał w ciemność za oknem samolotu. – Wyszedłem z założenia, że Dudźdza chce zdobyć TSG. Ale to nie miało sensu. Do czego byłyby im potrzebne układy sterowanej przerwy iskrowej, gdyby... – Jego ciałem znów wstrząsnął lekki dreszcz. – Musimy zakładać, że mają wszystko, Jasonie. TSG i, co gorsza, środki do wzbogacania uranu. Trzeba przyjąć, że konstruują bombę jądrową.

–Ja też doszedłem do tego wniosku.

–I nie chodzi o jakąś tam „brudną bombę”, która zadziała w promieniu kilku przecznic. To prawdziwa broń nuklearna, wystarczająco potężna, by zniszczyć duże miasto i napromieniować okoliczne rejony. Na litość boską, gra się toczy o życie milionów ludzi!

Lindros miał rację. W Dżibuti, kiedy badał go lekarz, Bourne zadzwonił do Starego i poinformował, co się dzieje z Lindrosem, jaka jest ich obecna sytuacja, czego się dowiedzieli o zagrożeniu ze strony Dudźdzy i na ile jest ono realne. Ale na razie mógł tylko spróbować ocenić stan umysłu przyjaciela.

–Opowiedz mi o swojej niewoli.

–Właściwie niewiele jest do opowiadania. Przez większość czasu miałem na głowie kaptur. Możesz mi wierzyć lub nie, ale szybko zacząłem się bać chwil, kiedy mi go zdejmowali, bo to oznaczało, że będzie mnie przesłuchiwał Fadi.

Bourne zdawał sobie sprawę, że stąpa teraz po cienkim lodzie. Ale musiał dotrzeć do prawdy, nawet gdyby miała się okazać inna niż to, co chciał usłyszeć.

–Wiedział, że jesteś z CIA?

–Nie.

–Powiedziałeś mu?

–Skłamałem, że jestem z NSA, ale mi uwierzył. Nie miał powodu nie wierzyć. Dla tych ludzi wszystkie amerykańskie agencje szpiegowskie są takie same.

–Żądał od ciebie informacji o rozmieszczeniu personelu NSA lub jego zadaniach? Lindros pokręcił głową.

–Interesowało go tylko to, jak wpadłem na jego trop i ile wiem. Bourne wahał się przez moment.

–I co?

–Wiem, do czego zmierzasz, Jasonie. Byłem absolutnie przekonany, że jeśli pękne, zabije mnie.

Bourne milczał przez chwilę. Lindros oddychał gwałtownie, na czoło wystąpił mu zimny pot. Lekarz ostrzegł, że jeśli Bourne posunie się za daleko – zbyt szybko – może być taka reakcja.

–Wezwać lekarza?

–To zaraz przejdzie. Daj mi minutę.

Bourne poszedł do kuchni i przygotował dwa talerze jedzenia. Na pokładzie nie było stewardes, tylko lekarz, pilot CIA i jego uzbrojony kolega. Bourne wrócił na miejsce, wręczył jeden talerz przyjacielowi i usiadł z drugim w swoim fotelu. Przez jakiś czas jadł w milczeniu. Zobaczył, że Lindros uspokoił się na tyle, że zaczął skubać jedzenie.

–Opowiedz mi, co się działo, kiedy mnie nie było – zaczął Martin po chwili.

–Niestety nie mam dobrych wiadomości. Ale twoi ludzie złapali handlarza z Kapsztadu, który sprzedał Dudźdży TSG.

–Tak, Hirama Cevika.

Bourne wyjął PSP3, wyświetlił zdjęcie więźnia i pokazał Lindrosowi.

–To on?

–Nie – zaprzeczył Lindros. – A co?

–Bo tego człowieka zgarnęli w Kapsztadzie i przywieźli do Waszyngtonu. On uciekł, ale przedtem jeden z jego ludzi zastrzelił Tima Hytnera.

–Niech to szlag. Hytner był porządnym facetem. – Lindros postukał w ekran PSP3. – Więc kto to jest?

–Uważam, że Fadi.

Lindros nie wierzył własnym uszom.

–Mieliśmy go i wymknął się nam?

–Niestety. Ale z drugiej strony, to nasza pierwsza wskazówka, jak naprawdę może wyglądać Fadi.

–Niech mu się przyjrzę. – Lindros wpatrzył się w zdjęcie. Po dłuższej chwili wykrzyknął: – Chryste, to Fadi!

–Jesteś pewien? Przytaknął.

–Był tam, kiedy nas pokonali. Mocno ucharakteryzowany, ale poznaję kształt twarzy. I te oczy. – Skinął głową i oddał Bourne'owi PSP3. – To na pewno Fadi.

–Mógłbyś mi go narysować?

–Tak.

Bourne wstał i wrócił po chwili z papierem, podkładką i garścią ołówków, które wziął od drugiego pilota.

Kiedy Lindros zabrał się do pracy, Bourne zagadnął go o coś innego, co w nim zauważył.

–Martinie, mam wrażenie, że jest jeszcze coś, co chcesz mi powiedzieć.

Lindros podniósł wzrok znad rysunku.

–To pewnie nic takiego, ale... – Pokręcił głową. – Ilekroć byłem sam z człowiekiem, który też mnie przesłuchiwał, niejakim Abbudem ibn Azizem, nawiasem mówiąc, prawą ręką Fadiego, padało nazwisko Hamid ibn Aszef.

–Nie znam go.

–Naprawdę? Wydawało mi się, że widziałem jego nazwisko w twoich aktach.

–Więc musiała to być operacja zorganizowana przez Aleksa Conklina. Ale jeśli nawet brałem w niej udział, nie pamiętam tego.

–Zastanawiałem się po prostu, dlaczego ibn Aziza interesowała akurat ta akcja. Chyba już się nie dowiem. – Lindros wypił duży łyk wody. Stosował się do zaleceń lekarza, żeby odpoczywać i nawadniać organizm. – Jasonie, mogę być jeszcze trochę wyłączony, ale już nie jestem w szoku. Wiem, że zrobią mi wiele testów, żeby ustalić, w jakiej jestem formie.

–Wrócisz do służby, Martinie.

–Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż odegrasz główną rolę w podjęciu tej decyzji. W końcu znasz mnie najlepiej. Agencja będzie musiała polegać na twojej opinii.

Bourne nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

–A to dopiero! Nareszcie coś nowego.

Lindros wziął głęboki oddech i syknął cicho z bólu.

–Chciałbym, żebyś mi coś obiecał.

Bourne przyjrzał się zmęczonej twarzy przyjaciela w poszukiwaniu odpowiedzi, którą – o czym dobrze wiedział – będą się starali znaleźć specjaliści: czy zrobiono mu pranie mózgu, przekształcono go w tykającą bombę zegarową, broń w ludzkiej postaci, która może być użyta przeciwko CIA? To pytanie cały czas tkwiło na dnie umysłu Bourne'a, gdy szukał Martina. Zastanawiał się, co byłoby gorszym koszmarem: znaleźć go martwego czy odkryć, że stał się wrogiem?

–Dudźdża jest dobrze zorganizowana, niemal jak firma. Wydaje się, że ma nieograniczony dostęp do nowoczesnego uzbrojenia. Fadi jest najwyraźniej wykształcony na Zachodzie – ciągnął Lindros. – Wszystko razem sprawia, że to ugrupowanie jest zupełnie inne niż siatki terrorystyczne, z którymi dotąd mieliśmy do

czynienia. Budowa ośrodka wzbogacającego uran to ogromny koszt. Kogo na to stać? Przypuszczam, że kartel narkotykowy. Mogą na to iść pieniądze z upraw w Afganistanie czy Kolumbii. Zakręć Dudźdży ten kurek, odetnij od źródła finansowania, a pozbawisz ją możliwości wzbogacania uranu, zdobycia bardziej współczesnej broni. Nie ma lepszego sposobu na cofnięcie ich do epoki kamiennej. – Zniżył głos. – W Botswanie odkryłem pewien ślad, który moim zdaniem wskazuje, skąd pochodzą pieniądze Dudźdży. Trop prowadzi do Odessy. Mam nawet nazwisko: Lemontow. Edor Władowicz Lemontow. W Ugandzie zdobyłem informację, że rezyduje w Odessie. – Błyszczały mu oczy, wróciło dawne podniecenie. – Pomyśl, Jasonie! Jak dotąd, jedynym realnym sposobem zniszczenia islamskiej siatki terrorystycznej było przeniknięcie w jej szeregi. Ta taktyka jest tak trudna, że nigdy nie udało się tego zrealizować. Teraz po raz pierwszy mamy inną opcję. Konkretnie środki, żeby rozmontować najgroźniejszą na świecie siatkę terrorystyczną od zewnątrz. Mogę się tym zająć. Ale co do tego człowieka od pieniędzy, to nikomu nie ufam tak jak tobie. Musisz jak najszybciej polecieć do Odessy, wytropić i zlikwidować Lemontowa.

Pelen zakamarków dom z kamienia polnego zbudowano ponad sto lat temu. Od tamtej pory zdążył się wtopić w pagórkowaty krajobraz Wirginii. Miał mansardowe okna, był kryty dachówką i otoczony wysokim kamiennym murem z żelaznymi, otwieranymi elektronicznie bramami. Sąsiedzi twierdzili, że posiadłość należy do starego pisarza samotnika, który – gdyby ktoś chciał się pofatygować i zobaczyć akt własności w urzędzie miejskim odległym o pięćdziesiąt kilometrów – kupił ją dwadzieścia dwa lata temu za sumę dwustu czterdziestu tysięcy dolarów, kiedy władze hrabstwa zamknęły zakład dla umysłowo chorych. Mówiono, że pisarz to paranoik. Bo dlaczego ma ogrodzenie pod napięciem? Dlaczego po terenie stale krąży para wychudzonych i wiecznie głodnych dobermanów, które wciąż węszą i warczą?

W rzeczywistości posiadłość należała do CIA. Wtajemniczeni agenci weterani nazywali ją Ponurym Domem, bo tutaj odbywały się oficjalne przesłuchania. Opowiadali o tym miejscu makabryczne dowcipy, bo samo jego istnienie napawało ich lękiem. To tutaj w mroźny zimowy poranek przywieziono Bourne'a i Lindrosa, kiedy wylądowali w porcie lotniczym Dulles.

– Proszę umieścić głowę tutaj. Tak jest. – Agent CIA przytrzymał dłonią potylicę Martina Lindrosa, tak jak chwilę wcześniej Jasona Bourne'a. – Proszę patrzeć na wprost – ciągnął agent. – I nie mrugać.

– Robiłem to tysiąc razy – warknął Lindros.

Agent nie zareagował na cierpką uwagę, włączył czytnik siatkówki i śledził przez chwilę wynik, gdy urządzenie badało środek prawego oka Lindrosa. Po zrobieniu zdjęcia czytnik automatycznie porównał obraz ze wzorcem w archiwum. Idealna zgodność.

– Witamy wśród swoich, panie dyrektorze. – Agent uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę. – Ma pan wstęp do Ponurego Domu. Drugie drzwi na lewo. Panie Bourne, pan trzecie drzwi na prawo.

Wskazał im głową windę, którą zainstalowano, kiedy CIA kupiła posiadłość. Ponieważ on ją obsługiwał, kabina czekała na nich cierpliwie z otwartymi drzwiami. W lśniącym wnętrzu z nierdzewnej stali niepotrzebne były przyciski i numery pięter. Winda kursowała tylko do podziemia, gdzie betonowe korytarze, tajemnicze laboratoria i klaustrofobiczne pokoje bez okien, zajmowane przez lekarzy różnych specjalności i psychologów, przypominały średniowieczne lochy.

Wszyscy w CIA obawiali się przymusowej wizyty w Ponurym Domu, bo oznaczała, że coś poszło nie tak. Przebywali tu czasowo uciekinierzy, podwójni agenci, partacze i zdrajcy. Potem giną! po nich wszelki ślad, a ich los był tematem niekończących się makabrycznych plotek w agencji.

Bourne i Lindros zjechali do podium i wyszli z windy na korytarz, gdzie lekko pachniało środkami czyszczącymi. Przez chwilę stali na wprost siebie, ale nie mieli nic więcej do powiedzenia. Uścisnęli sobie dłonie jak gladiatorzy przed wyjściem na arenę i się rozstali.

W pokoju za trzecimi drzwiami na prawo Bourne siedział na metalowym krześle przyśrubowanym do betonowej podłogi. Długie jarzeniówki pod sufitem, osłonięte stalową siatką, buczały jak giez za okienną szybą. Oświetlały drugie metalowe krzesło i metalowy stół, również przyśrubowane do podłogi. W rogu był sedes z nierdzewnej stali, jak w więzieniu, i małe umywalka. Oprócz tego, w pokoju nie było nic więcej poza lustrem na ścianie, przez które ktoś wyznaczony do prowadzenia przesłuchania mógł go obserwować.

Czekał dwie godziny. Towarzyszyło mu tylko wściekle buczenie jarzeniówek. Potem drzwi nagle się otworzyły. Do pokoju wszedł jakiś agent i usiadł po drugiej stronie stołu. Wyjął i włączył mały dyktafon, otworzył akta na blacie i zaczął przesłuchanie.

–Niech pan mi opowie ze wszystkimi szczegółami, co się wydarzyło od chwili pańskiego lądowania na północnym zboczu Ras Daszanu do momentu startu stamtąd z uratowanym na pokładzie.

Gdy Bourne mówił, przesłuchujący nie odrywał wzroku od jego twarzy. Był w średnim wieku, średniego wzrostu, miał wysokie czoło, mocno przerzedzone włosy i cofnięty podbródek, ale oczy lisa. Nie patrzył prosto na Bourne'a, lecz przyglądał mu się kątem oka, jakby w ten sposób mógł go przejrzeć na wylot lub przynajmniej zastraszyć.

–W jakim stanie był uratowany, kiedy go pan znalazł?

Agent pytał o to, co Bourne już mówił. Standardowa procedura operacyjna, metoda na oddzielenie kłamstw od prawdy. Gdyby przesłuchiwany kłamał, jego opowieść prędzej czy później brzmiałaby inaczej niż poprzednio.

–Był związany, zakneblowany i strasznie wychudzony. Wyglądał prawie jak teraz, tak jakby porywacze dawali mu minimalne porcje jedzenia.

–Wyobrażam sobie, że miał duże kłopoty ze wspinaczką do helikoptera.

–Najtrudniejszy był dla niego początek drogi. Myślałem, że będę musiał go nieść. Miał skurcz mięśni i niemal zerową wytrzymałość. Dałem mu kilka batonów proteinowych i to pomogło. Po godzinie szedł pewniej.

–Jakie były jego pierwsze słowa? – zapytał przesłuchujący z udawanym brakiem zainteresowania.

Bourne wiedział, że im bardziej obojętnym tonem zadane jest pytanie, tym ważniejsza jest dla przesłuchującego odpowiedź.

–"Zrobię, co będę musiał". Agent pokręcił głową.

–Chodzi mi o to, co powiedział na pański widok. Kiedy wyjął mu pan knebel z ust.

–Zapytałem, czy nic mu nie jest...

Przesłuchujący leniwie popatrzył na sufit, jakby był znudzony.

–I?

Bourne zachował kamienną twarz.

–Nic. Pokręcił głową.

Agent wyglądał na zaskoczonego, próbował zbić Bourne'a z tropu.

–Nie odezwał się? Po przeszło tygodniu w niewoli?

–Mówienie było niebezpieczne. Wiedział, że im mniej rozmawiamy w tamtym momencie, tym lepiej.

Przesłuchujący znów spojrzał na Bourne'a kątem oka.

–Więc jego pierwsze słowa skierowane do pana brzmiały...

–Powiedziałem mu, że musimy się wspiąć skalnym kominem, żeby uciec, a on na to: „Zrobię, co będę musiał”.

Przesłuchujący nie wydawał się przekonany.

–Dobrze, zostawmy to. Jak oceniliby pan jego stan psychiczny w momencie spotkania?

–Jako dobry. Wyraźnie mu ulżyło. Chciał się stamtąd wydostać.

–Nie był zdezorientowany, nie miał chwilowych luk w pamięci? Nie powiedział czegoś dziwnego, nie na miejscu?

–Nie.

–Wydaje się pan tego bardzo pewny, panie Bourne. Czy pan sam nie ma problemu z pamięcią?

Bourne wiedział, że to pułapka, i trochę się odprężył. Zastawianie pułapki było ostatecznością, kiedy wszystkie inne sposoby podważenia czyjejś prawdomówności okazywały się nieskuteczne.

–Nie pamiętam zdarzeń z dalszej przeszłości, nie z wczoraj, z ostatniego tygodnia lub miesiąca.

Przesłuchujący bez chwili wahania zapytał:

–Czy uratowany przeszedł pranie mózgu, został odwrócony?

–Człowiek po drugiej stronie korytarza to Martin Lindros, taki jak zawsze. W samolocie rozmawialiśmy o rzeczach, o których wiemy tylko my dwaj.

–Proszę ściślej.

–Potwierdził tożsamość terrorysty Fadiego. Narysował portret pamięciowy. To wielki przełom. Przedtem Fadi był tylko szyfrem. Martin podał mi również nazwisko prawej ręki Fadiego, Abbuda ibn Aziza.

Przesłuchujący zadał Bourne'owi kilkanaście następnych pytań, wśród nich wiele tych samych, co wcześniej, tylko inaczej sformułowanych. Bourne cierpliwie

odpowiedział na wszystkie. Nic nie mogło zburzyć jego spokoju.

Rozmowa skończyła się tak nagle, jak się zaczęła. Bez żadnego uprzedzenia ani wyjaśnienia przesłuchujący wyłączył dyktafon, wziął swoje notatki i wyszedł z pokoju.

Po następnym okresie oczekiwania zjawił się inny agent, młodszy, z tacą jedzenia. Zniknął za progiem bez słowa.

Zegarek Bourne'a wskazywał szóstą wieczorem – przesłuchanie trwało cały dzień – gdy drzwi znów się otworzyły.

Bourne myślał, że jest przygotowany na wszystko, a jednak... był całkowicie zaskoczony widokiem dyrektora CIA. Stary stał i długo mu się przyglądał. Bourne widział na jego twarzy sprzeczne uczucia. Wizyta tutaj musiała starego sporo kosztować, i teraz to, co zamierzał powiedzieć, stało mu ością w gardle.

–Dotrzymałeś obietnicy – odezwał się w końcu. – Przywiozłeś Martina do domu.

–To mój przyjaciel. Nie mogłem go zawieść.

–Jak dobrze wiesz, wolałbym cię nigdy nie spotkać, Bourne. – Stary pokręcił głową. – Ale jesteś dla mnie pieprzoną zagadką.

–Dla siebie też.

Dyrektor zamrugał kilka razy. Potem odwrócił się na pięcie, wyszedł i zostawił otwarte drzwi. Bourne wstał. Przypuszczał, że jest wolny, Martin też. Tylko to się liczyło. Martin przeszedł serię wyczerpujących testów fizycznych i psychologicznych. Obaj przeżyli wizytę w Ponurym Domu.

Matthew Lerner siedział w fotelu dyrektora Tyfona, za biurkiem, i opracowywał nowy system katalogowania elektronicznych danych sekcji. Zorientował się, że coś jest nie tak, gdy tylko usłyszał aplauz. Odwrócił się od komputera, wstał, przeciął dyrektorski gabinet i otworzył drzwi.

Zobaczył Lindrosa w otoczeniu pracowników Tyfona. Wszyscy się uśmiechali, śmiali i energicznie potrząsali dłońią szefa, jeśli akurat nie klaskali.

Lerner ledwo mógł uwierzyć własnym oczom. Oto nadchodzi Cezar, pomyślał cierpko. Dlaczego Stary nie uznał za stosowne powiedzieć mi, że Lindros wrócił? Z niechęcią i zazdrością patrzył, jak syn marnotrawny kroczy wolno, tryumfalnie w jego kierunku. Dlaczego tu jesteś? Dlaczego nie zginąłeś?! – wrzeszczał w duchu.

Z trudem zdobył się na uśmiech i wyciągnął rękę.

–Witaj, bohaterze.

Lindros odwzajemnił uśmiech, w którym była jawna ironia.

–Dzięki, że grzałeś mi miejsce, Matthew.

Minął Lenera i wszedł do pokoju. Zatrzymał się i rozejrzał.

–Co, nieodmalowane ściany? – Kiedy następca dołączył do niego, dodał: – Ustne sprawozdanie wystarczy, zanim pójdziesz na górę.

Lerner zrobił to, o co został poproszony, potem zaczął zbierać swoje rzeczy osobiste. Kiedy skończył to nużące zajęcie, Lindros powiedział:

–Doceniam, że odzyskuję gabinet w takim stanie, w jakim go zostawiłem, Matthew.

Lerner przez ułamek sekundy miażdżył go wzrokiem, potem starannie umieścił

zdjęcia, ryciny i pamiątki tam, gdzie były, zanim je usunął w nadziei, że nigdy więcej ich nie zobaczy. Jako doświadczony dowódca wiedział, kiedy opuścić pole bitwy. Ale ta wojna dopiero się zaczynała.

Trzy minuty po wyjściu Lenera w gabinecie Lindrosa zadzwieczył telefon. Dzwonił Stary.

–Założę się, że to przyjemne uczucie, znów siedzieć za tamtym biurkiem.

–Nie ma pan pojęcia, jak bardzo – odparł Lindros.

–Witaj w domu, Martinie. Naprawdę się cieszę, że wróciłeś. Potwierdzenie zamiarów Dudźdży, które zdobyłeś, jest bezcenne.

–Dziękuję. Opracowałem już plan, jak krok po kroku uniemożliwić ich realizację.

–Brawo – zawołał dyrektor. – Zbierz swój zespół i działaj. Dopóki nie uporamy się z tym kryzysem, masz nieograniczony dostęp do wszystkich naszych środków.

–Wykonam zadanie.

–Liczę na ciebie, Martinie. Wprowadzisz mnie w sprawę dziś przy kolacji. Punkt ósma.

–Już nie mogę się doczekać spotkania.

Dyrektor odchrząknął.

–Co proponujesz zrobić z Bourne'em?

–Nie rozumiem.

–Nie pogrywaj ze mną. On stanowi zagrożenie, obaj to wiemy.

–Uratował mnie, panie dyrektorze. Wątpię, żeby udało się to komuś innemu.

Stary nie skomentował tych słów.

–Jesteśmy w samym środku kryzysu na bezprecedensową skalę. Wolny strzelec to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujemy. Chcę, żebyś się go pozbył.

Lindros poprawił się w fotelu i spojrzał przez okno na srebrzyste krople marznącego deszczu. Zanotował sobie w pamięci, żeby sprawdzić, czy samolot Bourne'a nie będzie opóźniony. W końcu przerwał narastającą ciszę:

–Chciałbym dostać uzasadnienie.

–O, nie, nie, nic z tych rzeczy. Tak czy owak, on ma na sumieniu życie dziewięciu osób. – Dyrektor urwał na moment. – Wiem, że was dwóch łączy jakaś więź, ale to niezdrowe. Wierz mi, wiem coś o tym. Nie zapominaj, że trzy lata temu pochowaliśmy Aleksa Conklina. Każdemu, kto się za bardzo zbliży do Bourne'a, grozi niebezpieczeństwo.

–Ale, panie dyrektorze...

–Jeśli to ci pomoże, Martinie, to będzie ostatni sprawdzian lojalności. Od tego zależy twoja dalsza kariera w Tyfonie. Chyba nie muszę przypominać, że ktoś cię obszczekuje? Od dziś masz zerwać wszelkie kontakty z Jasonem Bourne'em. Twoje biuro i wszystkie inne w budynku obowiązuje zakaz udzielania mu jakichkolwiek informacji, jasne?

–Tak jest. – Lindros się wyłączył.

Wstał z telefonem bezprzewodowym w ręku, podszedł do okna, przywarł policzkiem do szyby i poczuł, jak robi mu się zimno. Ból w kościach i głowie nie ustępował. Nie powiedział o tym lekarzom z CIA. Nie opuszczały go żywe

wspomnienia tego, przez co przeszedł.

Wybrał numer i przyłożył telefon do ucha.

–Samolot Bourne'a odleciał o czasie? – Skinął głową gdy usłyszał odpowiedź. – Dobra. Był na Narodowym? Widziałeś go? Doskonale, wracaj do domu. Tak jest. – Wyłączył się. Cokolwiek by się tu wydarzyło, Bourne był w drodze do Odessy.

Wrócił za biurko i polecił przez interkom sekretarce, żeby natychmiast zorganizowała telekonferencję ze wszystkimi zagranicznymi agentami Tyfona. Kiedy zostało to załatwione, włączył telefon głośnomówiący w sali konferencyjnej, gdzie zwołał pilne zebranie całego waszyngtońskiego personelu Tyfona. Wprowadził ich w szczegóły zagrożenia i przedstawił swój plan. Podzielił ludzi na czteroosobowe zespoły, wyznaczył zadania i kazał natychmiast przystąpić do dzieła.

–Od tej chwili wszystkie inne operacje są zawieszane – oznajmił. – Naszym najważniejszym i jedynym priorytetem jest rozbicie Dudźdży. Do zakończenia tej sprawy wszystkie urlopy są wstrzymane. Przyzwyczajcie się do tych ścian, bo będziemy tu pracowali według harmonogramu alarmowego dzień i noc.

Kiedy zobaczył z zadowoleniem, że jego podwładni wzięli się do roboty, wyszedł i pojechał do mieszkania Sorai Moore, żeby wyprostować to, co spieprzył Matthew Lerner. W samochodzie wyjął komórkę i wybrał numer w Odessie. Gdy usłyszał znajomy męski głos, powiedział:

–Załatwione. Bourne przylatuje jutro o szesnastej czterdzieści czasu lokalnego z Monachium. – Wjechał na skrzyżowanie przy czerwonym świetle i skręcił w prawo. Apartamentowiec Sorai był na wprost, trzy przecznice dalej. – Trzymaj go na krótkiej smyczy, tak jak uzgodniliśmy... Nie, chcę mieć po prostu pewność, że nagle nie zmienisz planu. No to w porządku. Znajdzie drogę do kiosku, bo będzie myślał, że zastanie tam Lemontowa. Zanim odkryje prawdę, zabijesz go.

CZEŚĆ II

12

W Odessie na plaży nad Morzem Czarnym jest kiosk, jeden z wielu. Zniszczony i szary jak fale rozbijające się o brzeg. Bourne otwiera wytrychem boczne drzwi i wślizguje się do środka. Gdzie jest osoba, którą niósł? Nie pamięta, ale widzi, że ma ręce we krwi. Czuje na sobie zapach gwałtownej śmierci. Co się stało? – zastanawia się. Nie ma czasu, nie ma czasu. Gdzieś tyka zegar; trzeba się pośpieszyć.

W kiosku, gdzie powinno tętnić życie, jest cicho jak na cmentarzu. Kuchnię na zapleczu, za drzwiami z oknem, jasno oświetlają jarzeniówki. Za szybą dostrzega ruch i skrada się w półprzysiadzie między wysokimi jak filary w katedrze stosami skrzynek z piwem i napojami gazowanymi. Widzi sylwetkę mężczyzny, którego ma zabić; po to go tu przysłano. Tamten robił wszystko, żeby go zmylić i się wymknąć.

Na próżno.

Już ma pokonać ostatni odcinek do celu, gdy ruch z lewej strony zmusza go do odwrócenia głowy. Z mroku wychodzi ku niemu kobieta – Marie! Co ona robi w Odessie? Skąd wiedziała, gdzie on jest?

–Kochanie – mówi Marie. – Chodź ze mną, odejdź stąd.

–Marie. – Czuje, jak strach ściska go za gardło. – Nie możesz tu być. To zbyt niebezpieczne.

–Małżeństwo z tobą też było niebezpieczne, najdroższy. Jednak to mnie nie powstrzymało.

Rozlega się żałobna pieśń, w pustej przestrzeni jego wnętrza.

–Ale teraz nie żyjesz.

–Nie żyję? No tak, chyba tak. – Zmarszczenie brwi mężczyzny na moment piękno jej twarzy. – Dlaczego nie chroniłeś mnie i dzieci? Żyłabym teraz, gdybyś nie był wtedy na drugim końcu świata, gdybyś nie był z nią.

–Z nią? – Bourne'owi serce wali jak młotem, wpada w panikę.

–Potrafisz okłamać każdego z wyjątkiem mnie, mój drogi.

–O czym ty mówisz?

–Spójrz na swoje ręce.

Patrzy w dół na krew zasychającą na dłoniach.

–Czyja to krew?

Chce – musi – znać odpowiedź i podnosi wzrok. Ale Marie zniknęła. Nie ma nic, tylko jaskrawe światło sączy się na podłogę jak krew z rany.

–Marie – woła cicho. – Marie, nie opuszczaj mnie!

Martin Lindros i jego porywacze od dłuższego czasu byli w podróży. Najpierw leciał helikopterem, potem – po krótkim oczekiwaniu – małym odrzutowcem, który co najmniej raz wylądował, żeby wziąć paliwo. Lindros nie był tego pewien, bo albo zasnął, albo dali mu coś na sen. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Wiedział, że opuścił Ras Daszan, północno – zachodnią Etiopię i w ogóle kontynent afrykański.

Jason. Co się stało z Jasonem? Zginął czy żyje? Jasonowi najwyraźniej nie udało się odnaleźć go w porę. Nie chciał myśleć, że przyjaciel nie żyje. Nie uwierzyłby w to, nawet gdyby usłyszał tę wiadomość od samego Fadięgo. Za dobrze znał Bourne'a.

On zawsze potrafił wydostać się ze swojego grobu. Jason żyje, Lindros to wiedział.

Ale zastanawiał się, czy to w ogóle ma znaczenie. Czy Bourne podejrzewa, że Karim al – Dżamil zajął miejsce Lindrosa? Jeśli dał się oszukać, to zaniechał dalszych poszukiwań. Lindros wyobraził sobie jeszcze gorszy scenariusz i oblał się zimnym potem. A jeśli Jason znalazł Karima al – Dżamila i zabrał go z powrotem do kwatery głównej CIA? Wielki Boże, czy Fadi od początku tak to zaplanował?

Zakołysał się i zatrząsł, gdy samolot wpadł w turbulencję. Żeby powstrzymać drżenie, oparł się o chłodną przegrodę kabiny. Po chwili dotknął ręką bandaża, który zasłaniał mu pół twarzy. Pod spodem była dziura po prawym oku. Weszło mu to w zwyczaj. Potwornie bolała go głowa. Miał wrażenie, że jego oko płonie – tyle że oka już nie było. Należało teraz do brata Fadiego, Karima al – Dżamila ibn Hamida ibn Aszefa al – Wahhiba. Najpierw ta myśl przyprawiała go o mdłości; wymiotował często i gwałtownie jak ćpun na głodzie. Teraz czuł po prostu rozpacz.

Akt okrutnej przemocy, wyrwanie mu narządu za życia, było koszmarem, z którego nigdy się nie otrząśnie. Kilka razy, kiedy łowił tęczowe pstrągi na srebrzystym jeziorze, przemknęła mu przez głowę myśl o samobójstwie, ale tak naprawdę nigdy nie brał tego pod uwagę. Takie wyjście jest dobre dla tchórze.

Poza tym bardzo chciał żyć, choćby tylko po to, żeby dokonać zemsty na Fadim i Karimie al – Dżamilu.

Bourne obudził się z gwałtownym drgnięciem. Rozejrzył się, chwilowo dezorientowany. Gdzie on jest? Zobaczył biurko, stolik nocny, zaciągnięte zasłony. Nieznane meble, ciężkie, zużyte. Pokój hotelowy. Gdzie?

Wstał z łóżka, poczłapał po wzorzystym dywanie do okna i odsunął grube kotary. Nagły blask poraził go jak celny cios w twarz. Zmrużył oczy w złocistym blasku, który odbijał się w szarej wodzie. Morze Czarne. Odessa.

Śniło mu się to miasto czy przypominał je sobie?

Odwrócił się i przeciągnął. W głowie miał jeszcze dziwny sen. Marie w Odessie? Nigdy! Więc co robiła w strzępie jego wspomnień...

Odessa!

To w tym mieście nastąpił przebłysk pamięci. Już tu był. Wysłano go tutaj, żeby kogoś zabił. Kogo? Nie miał pojęcia.

Usiadł z powrotem na łóżku i przetarł oczy. Wciąż słyszał głos Marie.

„Żyłabym teraz, gdybyś nie był wtedy na drugim końcu świata, gdybyś nie był z nią”. Nie oskarżycielski. Smutny.

Jakie to ma znaczenie, gdzie się podziewał i co robił? Nie był z Marie. Zadzwoiła do niego. Myślała, że się przeziębila, to wszystko. Potem drugi telefon, po którym odchodził od zmysłów z rozpacz. I poczucia winy.

Powinien tam być, żeby chronić rodzinę, tak jak kiedyś powinien być gdzie indziej, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojej pierwszej rodzinie. Historia się powtórzyła, jeśli nie dokładnie, to przerażająco podobnie. Jak na ironię, duża odległość w kilometrach od miejsca tragedii zbliżyła go do samej krawędzi wewnętrznej czarnej pustki. Gdy patrzył w nią, ogarnęła go dawna bezgraniczna rozpacz – potrzeba ukarania siebie lub kogoś innego.

Czuł się całkowicie samotny. To był dla niego głęboko niepokojący stan, miał wrażenie, że wyszedł z siebie, jak to się zdarza we śnie. Tyle że wszystko działa się na jawie. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy obecny zamęt w głowie nie utrudnia mu oceny sytuacji. Nie potrafił znaleźć innego logicznego wytłumaczenia tego, co się z nim dzieje – wyprowadził „Hirama Cevika” z celi w CIA, obudził się tutaj i nie wiedział, gdzie jest. Przez moment rozważał z lękiem, czy śmierć Marie nie rozdarła go na części, czy nie pękły delikatne nici łączące jego różne osobowości. Innymi słowy, czy nie zaczyna wariować.

Zadzwęczała komórka.

–Jasonie, gdzie jesteś? – zapytała Soraja.

–W Odessie – odpowiedział niewyraźnie, jakby miał w ustach watę. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

–Co tam robisz, na litość boską?

–Lindros mnie tu wysłał. Idę tropem, który mi wskazał. Uważa, że Dudźdźę finansuje niejaki Lemontow. Edor Władowicz Lemontow. Najprawdopodobniej boss kartelu narkotykowego. Mówi ci coś to nazwisko?

–Nie. Ale sprawdzę w bazie danych agencji. – Opowiedziała mu krótko o pożarze w hotelu Constitution. – Najdziwniejsze jest to, że wykorzystano bardzo nietypowy akcelerator: dwusiarczek węgla. Moja przyjaciółka twierdzi, że nigdy się z tym nie spotkała.

–Do czego się tego używa?

–Głównie do produkcji celulozy, tetry i wszystkich rodzajów związków siarkowych. Ale jest to również w fumigantach i służy jako czynnik flotacyjny przy przetwarzaniu minerałów. W przeszłości dwusiarczek węgla stosowano też w urządzeniach chłodniczych i gaśnicach, co potem zostało zakazane. Moja przyjaciółka uważa, że użyto go ze względu na niski punkt zapłonu.

Bourne skinął głową. Patrzył na pusty tankowiec płynący ze Stambułu.

–Co czyni z niego materiał wybuchowy.

–Bardzo skuteczny. Eksplozja zniszczyła cały apartament. Wszystko spłonęło. Mieliśmy szczęście, że ocalała ta proteza. Tylko dlatego, że utkwiała w odpływie wanny. Nie zostało nic innego, co mogłoby mieć wartość dochodzeniową. Nawet zwłoki nie nadają się do identyfikacji.

–Wygląda na to, że od Fadiego odpływa szczęście – zadrwił Bourne. Soraja się roześmiała.

–Ten Lemontow mnie interesuje, bo urządzenia chłodnicze i gaśnice, już wycofane w Stanach, być może są jeszcze używane w Europie Wschodniej, na Ukrainie, w Odessie.

–To myśl warta zapamiętania – skwitował Bourne i się wyłączył.

Choć minęła już północ, Martin Lindros siedział przy komputerze i wprowadzał informacje. W CIA nadal obowiązywał kod Mesa. Trwał kryzys i odwołano wszystkie urlopy. Sen był luksusem, na który nikt nie mógł sobie pozwolić.

Rozległo się ciche pukanie, potem do pokoju zajrzała Soraja i popatrzyła na niego pytająco. Przywołał ją gestem. Weszła i zamknęła za sobą drzwi. Usiadła po drugiej

stronie biurka i położyła coś na blacie.

–Co to jest? – zapytał Lindros.

–Proteza. Zadzwoniła do mnie przyjaciółka, specjalistka od podpaleń z Urzędu Śledczego Pożarnictwa, bo w apartamencie Silverów w hotelu Constitution znalazła coś ciekawego. Właśnie to. Takiej protezy używa się do wyrafinowanej charakteryzacji.

–Tak, Jason kiedyś pokazał mi coś podobnego. To zmienia wygląd twarzy. Soraja przytaknęła.

–Są wystarczające dowody, że Jakob Silver to Fadi, a jego brat to drugi terrorysta, i że to oni wzniecili pożar.

–Czy w apartamencie nie znaleziono ciała? To nie był Silver?

–Tak i nie. Jest więcej niż prawdopodobne, że to zwłoki pakistańskiego kelnera. Silverowie nie istnieli.

–Pomysłowe – mruknął Lindros, obracając w palcach protezę. – Ale teraz na niewiele nam się przyda.

Soraja wzięła ją z powrotem.

–Wręcz przeciwnie. Spróbuję się dowiedzieć, kto ją wykonał. Lindros zamyślił się na chwilę.

–Niecałą godzinę temu dzwonił do mnie Bourne – ciągnęła Soraja.

–Tak?

–Chciał, żebym wygrzebała wszystko na temat barona narkotykowego Edora Władowicza Lemontowa.

Lindros oparł łokcie na biurku i złączył końce palców. Sytuacja mogła się szybko wymknąć spod kontroli, gdyby na to pozwolił.

–I co odkryłaś? – zapytał obojętnym tonem.

–Jeszcze nic. Chciałam najpierw pokazać panu tę protezę.

–Dobrze zrobiłaś.

–Dzięki, szefie. – Wstała. – Teraz czeka mnie wielogodzinne wyężdżanie wzroku.

–Daj sobie z tym spokój. Ja nie mogłem nic znaleźć o tym sukinsynu. Ktokolwiek to jest, dobrze się zabezpieczył. Właśnie kogoś takiego potrzebowałaby Dudźdza do finansowania swoich przedsięwzięć. – Lindros już odwrócił się z powrotem do monitora komputera. – Polecisz najbliższym samolotem do Odessy. Jako wsparcie Bourne'a.

Soraja była wyraźnie zaskoczona.

–To mu się nie spodoba.

–Nie musi – odparł krótko Lindros. Sięgnęła po protezę, ale ją ubiegł.

–Sam się tym zajmę.

–Jeśli wolno, szefie, i bez tego ma pan wystarczająco dużo pracy. Przyjrzał się jej twarzy.

–Chcę, żebyś dowiedziała się tego ode mnie: mieliśmy w Tyfonie kreta. – Usłyszał, jak zrobiła gwałtowny wdech i był zadowolony. Wysunął szufladę i wręczył agentce akta, które spreparował.

Otworzyła ciekawą teczkę. Kiedy tylko zaczęła czytać zawartość, do oczu napłynęły

jej gorące łyzy. Bourne jednak miał rację. Hytner pracował dla Dudźdży.

Spojrzała na Lindrosa.

–Ale dlaczego? Wzruszył ramionami.

–Dla pieniędzy. Wszystko tam jest. Elektroniczny trop prowadzi do konta bankowego na Kajmanach. Hytner pochodził z bardzo biednej rodziny, prawda? Jego ojciec jest w ośrodku długotrwałej opieki medycznej, czego nie pokryje ubezpieczenie, prawda? Jego matce ciągle brakuje pieniędzy. Każdy ma słaby punkt, Sorajo. Nawet twój najlepszy przyjaciel. – Wziął od niej akta. – Zapomnij o Hytnerze, to już przeszłość. Masz robotę. Chcę, żebyś jak najszybciej znalazła się w Odessie. – Kiedy usłyszał odgłos zamykanych drzwi, popatrzył za nią, jakby mógł wzrokiem przenikać ściany. W Odessie zginiesz, zanim zdążysz się dowiedzieć, kto zrobił tę protezę, pomyślał.

Bourne mieszkał w hotelu Samarin, wielkim, zaniedbanym budynku na terenie portu, na wprost terminalu pasażerskiego, skąd regularnie odpływały promy. Kiedy był tu ostatni raz, nie istniał jeszcze ultranowoczesny, smukły hotel Odessa, który wznosił się teraz na rozległym nabrzeżu. Pasował do tego miejsca tak, jak garnitur Dolce Gabbana do bezdomnego.

Ogolony, wykąpany i ubrany zszedł do przestronnego sennego holu, przystrojonego jak XIX – wieczny damski kapelusz. Wszystko w hotelu miało starodawny wygląd, od masywnych, podniszczonych mebli obitych pluszem do tapet w kwiaty.

Zjadł śniadanie wśród rumianych biznesmenów w słonecznej jadalni z widokiem na port. W sali lekko pachniało przypalonym tłuszczem i piwem. Kiedy kelner przyniósł rachunek, Bourne zapytał:

–Gdzie tu się można zabawić o tej porze roku? – Mówił po rosyjsku, bo na Ukrainie ten język pozostał jako urzędowy.

–Ibica jest zamknięta jak wszystkie kluby w Arkadii. – Kelner miał na myśli dzielnicę, gdzie latem na plażach roiło się od młodych, bogatych Rosjanek i turystów płci męskiej szukających damskiego towarzystwa. – Ale to zależy. Co pan woli, mężczyzn czy kobiety?

–Ani jedno, ani drugie. – Bourne przyłożył palec do nosa i głośno wciągnął powietrze.

–A, ten towar można dostać cały czas – wyjaśnił kelner. Był chudy, przygarbiony, przedwcześnie postarzały. – Ile pan potrzebuje?

–Więcej niż może mi pan załatwić. Robię w hurcie.

–To zupełnie inna sprawa – odpowiedział ostrożnie kelner.

–Tu jest wszystko, co musi pan wiedzieć. – Bourne podsunął mu rulon dolarów. Kelner bez wahania schował pieniądze.

–Orientuje się pan, gdzie jest targ Priwoz?

–Znajdę.

–Rząd z nabiałem, trzeci stragan od wschodniego końca, Jewgienij Fejodowicz. Niech pan mu powie, że chce pan kupić brązowe jajka, tylko brązowe.

Samarin, jak całą starą Odessę, zbudowano w stylu neoklasycyzmu, czyli na francuską modłę. Nic dziwnego, skoro jednym z ojców założycieli Odessy był książę Richelieu, przez jedenaście lat na początku XIX wieku burmistrz, główny architekt i projektant miasta. Rosyjski poeta Aleksander Puszkina, żyjący tu na zesłaniu, powiedział kiedyś, że w sklepach i kawiarniach Odessy czuje zapach Europy.

Na zacienionej, obsadzonej lipami ulicy Primorskaja Bourne'a natychmiast owiał chłodny, wilgotny wiatr, który smagał mu twarz i zaczerwienił skórę. Na południu, daleko nad wodą, wisiały nisko gęste, ciemne chmury. Na rozfalowane morze siępił drobny deszcz.

Słony zapach wywołał wspomnienia z zapierającą dech brutalnością. Noc w Odessie, krew na jego rękach, czyjeś życie wiszące na włosku, desperackie poszukiwania człowieka, który był jego celem, droga do kiosku, gdzie go znalazł.

Spojrzał w głąb łądu, w kierunku tarasowych zbcoczy wzgórz, strzegących portu w kształcie bułatu. Popatrzył na plan miasta, który dostał w hotelu od wiekowego recepcjonisty, i wskoczył do zwalniającego tramwaju, by dojechać do dworca kolejowego na bulwarze Italijskim.

Targ Priwoz, rzut kamieniem od dworca, był ogromnym terenem, gdzie pod dachem z blachy falistej sprzedawano wiejską żywność. Stragany stały za pionowymi betonowymi płytami do pasa, które przypominały Bourne'owi zapory antyterrorystyczne w Waszyngtonie. Targ otaczały prowizoryczne budki i śpiwory. Rolnicy przyjeżdżali z bliska i daleka. Ci, którzy mieli do pokonania duże odległości, nocowali tutaj.

W środku mieszały się dźwięki, zapachy i okrzyki w różnych językach – rosyjskim, ukraińskim, rumuńskim, jidysz, gruzińskim, armeńskim i tureckim. W powietrzu unosiła się woń sera, świeżego mięsa, warzyw, ziół i skubanego drobiu. Na straganach w rzędzie tureckim Bourne widział wielkie kobiety, przywodzące na myśl obrońców liniowych w futbolu amerykańskim, w swetrach wyjedzonych przez mole i chustach na głowach. Na niewtajemniczonym targ robił wrażenie oszałamiającego labiryntu stoisk, którym przeciskały się tłumy brzuchatych klientów.

Bourne zapytał kilka osób o drogę i przedarł się przez zgiełk i tłok do rzędu z nabiałem. Podszedł do obleganego przez kupujących trzeciego straganu od wschodniego końca. Czerwona na twarzy kobieta i krzepki mężczyzna – przypuszczalnie Jewgienij Fejodowicz – byli zajęci wymianą jajek na gotówkę. Bourne ustawił się w ogonku do sprzedawcy i kiedy przyszła jego kolej, zapytał:

–Jewgienij Fejodowicz? Mężczyzna zmrużył oczy.

–A kto chce wiedzieć?

–Szukam brązowych jajek, tylko brązowych. Powiedziano mi, żebym przyszedł tutaj i zapytał o Jewgienija Fejodowicza.

Mężczyzna chrząknął, nachylił się do współpracownicy i coś mruknął. Skinęła głową, nie gubiąc wypraktykowanego rytmu pakowania jajek i wpychania pieniędzy do przepastnych kieszeni spłowiałego fartucha.

–Tędy. – Jewgienij wskazał głową kierunek. Włożył złachaną dwurzędową kurtkę marynarską, wyszedł zza betonowej bariery i wyprowadził Bourne'a ze wschodniej części targu.

Przecięli ulicę Sriedniefontanskaja i weszli na plac Kulikowe Polje. Niebo było teraz białe, jakby z góry spłynęła ogromna chmura, żeby przykryć miasto. Światło bez barwy i cienia – marzenie fotografa – ujawniało wszystko.

–Jak pan widzi, ten plac jest bardzo radziecki i bardzo brzydki; retro, ale w złym stylu – powiedział z ironią Jewgienij Fejodowicz. – A jednak czemuś służy. Przypomina nam o przeszłości... o głodzie i masakrach. – Szedł dalej, dopóki nie dotarli do dziesięciometrowego posągu. – Mój ulubiony punkt załatwiania interesów: u stóp Lenina. W dawnych czasach zbierali się tutaj komuniści. – Wzruszył barczystymi ramionami. – Czy może być lepsze miejsce? Teraz Lenin czuwa nade mną jak jakiś pieprzony święty patron. Mam nadzieję, że jest w najgłębszej ognistej otchłani piekła. – Znów zmrużył oczy. Pachniał jak niemowlę, mlekiem w proszku i

cukrem. Miał krzaczaste brwi i aureolę kręconych kasztanowych włosów, które sterczały na wszystkie strony jak zużyta wełna stalowa. – Więc życzy pan sobie brązowe jajka.

–Dużą ilość – dodał Bourne. – I ciągle dostawy.

–Aż tak? – Jewgienij usiadł na wapiennym postumencie pomnika Lenina i wytrząsnął z paczki czarnego tureckiego papierosa. Zapalił go wolno, jakby to był rytuał religijny, i zaciągnął się głęboko. Trzymał go w ustach niczym hipis rozkoszujący się skrętem. – A skąd mam wiedzieć, że nie jest pan agentem Interpolu? – zapytał, wypuszczając dym z cichym poświstem. – Albo tajniakiem z SBU? – Miał na myśli Ukraińską Służbę Bezpieczeństwa.

–Boja panu tak mówię. Jewgienij się roześmiał.

–Wie pan, jaka jest ironia losu w tym mieście? Leży nad morzem, a zawsze brakowało tu wody do picia. Niby nic interesującego, ale właśnie od tego pochodzi nazwa. Na dworze carycy Katarzyny mówiono po francusku i jakiś dowcipniś zaproponował, żeby nazwać to miasto Odessa, bo tak brzmią czytane wspak słowa *assez d'eau*, czyli „dość wody”, rozumie pan? Taki pieprzony kawał zrobili nam Francuzi.

–Jeśli to już koniec lekcji historii, to chciałbym się zobaczyć z Lemontowem.

Jewgienij zmrużył oczy i popatrzył na niego przez dym.

–Z kim?

–Z Edorem Władowiczem Lemontowem. On tu rządzi handlem. Ukrainiec poruszył się, wstał z postumentu i spojrzał w dal za Bourne'em. Potem poprowadził go wokół pomnika.

Nie odwracając głowy, Bourne dostrzegł kątem oka mężczyznę z dobermanem. Pies obrócił długi, wąski pysk i utkwiał żółte oczy w Jewgieniju, jakby wyczuwał jego strach.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie pomnika, Jewgienij zapytał:

–Na czym stanęliśmy?

–Na Lemontowie – przypomniał Bourne. – Pańskim szefie.

–Uważa pan, że on nim jest?

–Jeśli pracuje pan dla kogoś innego, niech pan mi to powie teraz. Chcę zrobić interes z Lemontowem. – Wyczuł za sobą obecność innego mężczyzny, ale nie dał tego po sobie poznać, dopóki nie poczuł tuż za prawym uchem nacisku zimnego wylotu lufy pistoletu.

–Przedstawiam Bogdana Iljanowicza. – Ukrainiec zrobił krok naprzód i rozpiął Bourne'owi płaszcz. – Zaraz dowiemy się prawdy, *towariszcz*. – Z wprawą wyciągnął z wewnętrznej kieszeni portfel i paszport. – Cofnął się i najpierw otworzył dokument. – Mołdawianin, tak? Ilias Voda.

–Przyjrzał się uważnie zdjęciu. – To pan, w porządku. – Odwrócił kartkę.

–Przyleciał pan tutaj prosto z Bukaresztu.

–Ludzie, których reprezentuję, są Rumunami – wyjaśnił Bourne.

Obserwował, jak Jewgienij Fejodowicz przeszukuje portfel, ogląda trzy różne dowody tożsamości, łącznie z prawem jazdy, i licencję importowo – eksportową. Ta

ostatnia była fałszerskim majstersztykiem. Bourne pomyślał, że po powrocie będzie musiał podziękować Deronowi.

W końcu Jewgienij oddał portfel i paszport. Nie spuszczał Bourne'a z oka, wyjął komórkę i wybrał miejscowy numer.

– Jest interes – oznajmił lakonicznie. – Ilias Voda. Mówi, że reprezentuje Rumunów. – Na moment odsunął telefon od ucha. – Ile? – zapytał Bourne'a.

– To Lemontow?

– Ile? – powtórzył Jewgienij z groźną miną.

– Teraz sto kilo.

Jewgienij gapił się na niego jak urzeczony.

– W przyszłym miesiącu dwa razy tyle, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Jewgienij odszedł kawalek na bok i odwrócił się tyłem do Bourne'a, gdy mówił do telefonu. Po chwili wrócił. Komórkę miał już w kieszeni.

Ruchem głowy pokazał swojemu towarzyszowi, żeby przestał trzymać Bourne'a pod lufą. Bogdan Iljanowicz schował pistolet pod wełniany płaszcz, długi do kostek. Miał byczy kark i wypomadowane kruczoczarne włosy, zaczesane z prawej do lewej podobnie jak Hitler. Jego ciemne oczy błyszczały jak agaty na dnie studni.

– Jutro w nocy.

Bourne patrzył na niego bez mrugnięcia okiem. Chciał działać, miał mało czasu. Każdy dzień, każda godzina przybliżała Fadięgo i jego ludzi do momentu zdetonowania bomby jądrowej. Ale widział na twarzy Jewgienija minę doświadczonego zawodowca. Nie byłoby dobrze nalegać na wcześniejsze spotkanie z Lemontowem. Tamci go sprawdzali, zamierzali się przekonać, czy jest równie twardy jak oni. Bourne wiedział, że Lemontow chce mieć czas do jutra, żeby się przyjrzeć klientowi, zanim go do siebie dopuści. Protest byłby więcej niż głupotą; Bourne wyszedłby na mięczaka.

– Gdzie i o której? – zapytał.

– Po kolacji. Ktoś zadzwoni do pańskiego pokoju. Hotel Samarin, tak?

Bourne pomyślał, że na pewno zatelefonuje do niego kelner, który dał mu nazwisko Jewgienija.

– Więc nie muszę podawać numeru pokoju.

– Istotnie, nie. – Jewgienij Fejodowicz wyciągnął rękę, a Bourne ją uścisnął. – *Gospodin Voda*, życzę powodzenia w poszukiwaniach. – Nie od razu uwolnił dłoń Bourne'a z żelaznego uścisku. – Wsiadł pan na naszą orbitę. Teraz jest pan albo przyjacielem, albo wrogiem. Proszę pamiętać, że jeśli spróbuje się pan skontaktować z kimkolwiek w jakikolwiek sposób i z jakiegokolwiek przyczyny, jest pan wrogiem. Nie będzie drugiej szansy. – Odsłonił żółte zęby. – Za taką zdradę nie opuści pan Odessy żywy, zapewniam.

Martin Lindros, z dwoma dossier w ręku, był w drodze do biura Starego na pospiesznie zwołane zebranie, gdy zadzwęczała komórka. Dzwoniła Annę Held.

–Dzień dobry, panie Lindros. Zmiana planu. Dyrektor czeka na pana w Tunelu.

–Dziękuję, Annę.

Lindros się wyłączył i wcisnął przycisk „dół”. Tunelem nazywano podziemny parking, gdzie trzymano i obsługiwano flotę samochodów agencji. Wpuszczano tam tylko serwisantów figurujących na liście zaaprobowanej przez CIA. Pilnowali ich uzbrojeni agenci w opancerzeniu osobistym.

Lindros zjechał windą do Tunelu i pokazał jednemu z dyżurnych agentów swój identyfikator. Miejsce było ogromnym przeciwbombowym i przeciwpożarowym bunkrem ze zbrojonego betonu. Na ulicę prowadził tylko jeden wyjazd, który mógł być w każdej chwili zablokowany z obu stron. Opancerzony lincoln Starego stał na asfalcie z pracującym silnikiem i otwartymi tylnymi drzwiami. Lindros schylił głowę, wsiadł i usadowił się obok dyrektora na miękkim skórzanym siedzeniu limuzyny. Drzwi same zamknęły się i elektronicznie zarygłowały. Kierowca i goryl skinęli mu głowami, potem zasunęła się ścianka odgradzająca ich od przestronnego przedziału pasażerskiego. Szyby z tyłu były przyciemnione, ale pasażerowie widzieli wszystko na zewnątrz.

–Przyniosłeś oba dossier?

–Tak, panie dyrektorze. – Lindros wręczył Staremu teczeki.

–Dobra robota, Martinie. – Stary się skrzywił. – POTUS mnie wezwał. – Użył skrótu, którym ludzie z sił bezpieczeństwa w Waszyngtonie określali prezydenta Stanów Zjednoczonych. – Biorąc pod uwagę obecny kryzys, zewnętrzny i wewnętrzny, spotkanie pewnie nie będzie przyjemne.

Spotkanie okazało się bardzo nieprzyjemne. Po pierwsze, Starego nie skierowano do Gabinetu Ovalnego, lecz do Sali Wojennej trzy kondygnacje pod ziemią. Po drugie, prezydent nie był sam. Wokół stołu na środku pomieszczenia ze zbrojonego betonu siedziało sześciu mężczyzn. Salę oświetlały tylko ekrany na ścianach, pokazujące różne bazy wojskowe, lotnicze misje zwiadowcze i cyfrowe symulacje wojenne. Zmieniające się obrazy przyprawiały o zawrót głowy.

Stary znał niektórych graczy na wprost siebie; pozostałych przedstawił mu prezydent. Od lewej do prawej, galerię zebranych otwierał Luther LaValle, władca wywiadu wojskowego, wielki, kwadratowy facet z wypukłym, pomarszczonym czołem i przerzedzoną szczeciną siwych włosów. Prezydent przedstawił jego sąsiada z lewej strony, Jona Muellera, wysokiego rangą urzędnika z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Następnego gościa z lewej gospodarz nie musiał przedstawiać; był nim sekretarz obrony Bud Halliday. Dalej siedział sam prezydent – szczupły, elegancki, ze srebrzystymi włosami, szczerą twarzą i bystrym umysłem. Miejsce na lewo od niego zajmował doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego: ciemnowłosey, przygarbiony, z rozbieganymi, bardzo błyszczącymi oczami, który zawsze przypominał Staremu wielkiego gryzonia. Ostatnią osobą z prawej był mężczyzna w okularach nazwiskiem Gundarsson, pracujący w Międzynarodowej

Agencji Energii Atomowej.

–Skoro są już wszyscy – zaczął prezydent bez zwykłej protokolarnej przemowy wstępnej – przejdźmy od razu do rzeczy. – Jego wzrok spoczął na dyrektorze CIA. – Jesteśmy w samym środku kryzysu na bezprecedensową skalę. Wszyscy znamy sytuację, ale ona dynamicznie się zmieniała, więc wprowadź nas w ostatnie szczegóły, Kurt.

Stary skinął głową i otworzył teczkę Dudźdży.

–Dzięki temu, że wrócił do nas wicedyrektor Lindros, uzyskaliśmy dodatkowe informacje o posunięciach Dudźdży i znacząco wzrosło morale w agencji. Mamy teraz potwierdzenie, że terroryści z tego ugrupowania byli w górach Semien w północno – wschodniej Etiopii i transportowali uran oraz układy TSG, używane do detonowania głowic jądrowych. Na podstawie analiz przekładów ich ostatnich rozmów telefonicznych zaczynamy uściślać namiary miejsca, gdzie naszym zdaniem wzbogacają uran.

–Doskonale – powiedział LaValle. – Jak tylko potwierdzicie właściwe współrzędne, wydamy rozkaz precyzyjnego uderzenia z powietrza i zbombardowania tych drani tak, że nie zostanie kamień na kamieniu.

–Panie dyrektorze – wtrącił się Gundarsson – na ile jesteśmy pewni, że Dudźdża ma możliwość wzbogacania uranu? Do otrzymywania wzbogaconego uranu w takiej postaci, żeby można było zbudować choćby jedną sztukę broni nuklearnej, potrzebna jest nie tylko specjalistyczna wiedza, ale również doskonale wyposażony ośrodek, między innymi w tysiące wirówek.

–Wcale nie jesteśmy pewni – odparł lakonicznie Stary. – Ale mamy teraz informacje dwóch naocznych świadków: wicedyrektora Lindrosa i agenta, który go uratował, że Dudźdża kupuje uran i TSG.

–Wszystko pięknie – odezwał się znów LaValle – ale jak wszyscy wiemy, rudy uranu nie brakuje i nie jest droga. I bardzo jej daleko do składnika broni jądrowej.

–Oczywiście – zgodził się dyrektor CIA. – Ale jest jeden problem. Ślady wskazują, że Dudźdża przerzuca sproszkowany dwutlenek uranu. A tej substancji nie jest już tak daleko do wzbogaconego uranu. Można ją przetworzyć na metal w każdym porządnym laboratorium. Dlatego musimy traktować bardzo poważnie każdy ruch Dudźdży.

–Chyba że to wszystko dezinformacja – nie ustępował LaValle. Często wykorzystywał swoją niezaprzeczalnie silną pozycję do deptania ludziom po odciskach. Co gorsza, to go najwyraźniej bawiło.

Gundarsson odchrząknął groźnie.

–Zgadza się z dyrektorem. Wizja siatki terrorystycznej przetwarzającej dwutlenek uranu jest przerażająca. Gdy chodzi o zagrożenie nuklearne, nie możemy sobie pozwolić na lekceważenie go jako dezinformacji. – Sięgnął do nesesera, wyjął kilka kartek i rozdał zebrany. – Broń jądrowa, czy jest to tak zwana „brudna bomba”, czy nie, ma określone wymiary, charakterystyczną budowę i niezmiennie komponenty. Pozwoliłem sobie zrobić ich listę i szczegółowe rysunki, pokazujące wielkość, konstrukcję i możliwości detekcji. Proponuję wyposażyć w te materiały

wszystkie organy ścigania w każdym dużym mieście amerykańskim.

Prezydent skinął głową.

–Kurt, chciałbym, żebyś koordynował dystrybucję.

–Naturalnie, zaraz się tym zajmę.

–Chwileczkę, dyrektorze – odezwał się LaValle. – Chciałbym wrócić do tego agenta, o którym pan wspomniał. To Jason Bourne, prawda? Jest zamieszany w sprawę ucieczki terrorysty. Wyprowadził waszego więźnia z celi bez upoważnienia, zgadza się?

–To jest wewnętrzna sprawa agencji, panie LaValle.

–Myślę, że przynajmniej w tej sali szczerść powinna być ważniejsza od rywalizacji międzyagencyjnej – odparł władca wywiadu wojskowego. – Mam poważne wątpliwości, czy można wierzyć w cokolwiek, co mówi Bourne.

–Stwarzał już panu problemy, prawda, dyrektorze? – zagadnął sekretarz Halliday.

Stary wyglądał tak, jakby przysypiał. W rzeczywistości jego umysł pracował na pełnych obrotach. Wiedział, że nadejdzie ta chwila. Stał się obiektem starannie skoordynowanego ataku.

–I co z tego?

Halliday uśmiechnął się blado.

–Z całym szacunkiem, dyrektorze, ten człowiek jest kłopotliwy dla pańskiej agencji, dla administracji, dla nas wszystkich. Pozwolił uciec z więzienia CIA bardzo ważnemu podejrzanemu i naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo Bóg wie ilu niewinnych obywateli. Trzeba z nim coś zrobić. Im szybciej się to załatwi, tym lepiej.

Stary zbył słowa sekretarza machnięciem ręki.

–Możemy wrócić do sprawy, panie prezydencie? Dudźdza...

–Sekretarz Halliday ma rację – naciskał LaValle. – Prowadzimy wojnę z Dudźdzą. Nie możemy sobie pozwolić na utratę kontroli nad jednym z jej elementów. Proszę nam uprzejmie powiedzieć, jakie działania poczyniła pańska agencja przeciwko Jasonowi Bourne'owi.

–Uwaga pana LaValle'a jest bardzo słuszna, dyrektorze – przytaknął sekretarz Halliday w swojej najlepszej teksaskiej imitacji Lyndona Johnsona. – Z tego bajzlu na moście Arlington Memoriał wyszliśmy z podbitym okiem, a nasz przeciwnik podbudował się moralnie w najbardziej niekorzystnym dla nas momencie. W dodatku zginął jeden z pańskich ludzi... – strzelił palcami – jak on się nazywał?

–Timothy Hytner – odpowiedział Stary.

–Zgadza się, Hytner – ciągnął sekretarz, jakby potwierdzał odpowiedź. – Z całym szacunkiem, dyrektorze, na pańskim miejscu bardziej dbałbym o wasze bezpieczeństwo wewnętrzne.

Stary tylko na to czekał. Otworzył cieńszą z dwóch teczek, które dał mu w Tunelu Martin Lindros.

–Tak się składa, że właśnie zakończyliśmy wewnętrzne śledztwo w sprawach, które pan przed chwilą poruszył, panie sekretarzu. Tutaj są nasze wnioski. – Podał mu przez stół pierwszą stronę i patrzył, jak Halliday ostrożnie bierze ją do ręki. – Kiedy sekretarz obrony będzie czytał, wyjaśnię panom, o co chodzi. – Stary splótł

palce i pochylił się do przodu jak profesor zwracający się do studentów. – Odkryliśmy, że mieliśmy u nas kreta. Kto to? Timothy Hytner. Dostał od Sorai Moore telefoniczną wiadomość, że więzień jest wyprowadzany z celi. Zadzwoił po współników więźnia, żeby pomogli mu w ucieczce. Na swoje nieszczęście został trafiony pociskiem przeznaczonym dla agentki Moore. – Dyrektor CIA popatrzył na twarze mężczyzn wokół stołu. – Jak powiedziałem, nasze bezpieczeństwo wewnętrzne jest pod kontrolą. Teraz możemy się skoncentrować na powstrzymaniu Dudźdzy i postawieniu jej członków przed sądem.

Spojrzał znacząco na sekretarza Hallidaya i zatrzymał na nim wzrok. Był pewien, że to jest inicjator ataku. Ostrzegano go, że Halliday i LaValle chcą wkroczyć w sferę tradycyjnie kontrolowaną przez CIA, dlatego sam rozpuszczał plotki o sobie. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy podczas spotkań na Kapitolu, lunchów i kolacji z dwoma kolegami i rywalami, mozolnie budował swój fałszywy wizerunek, udając roztargnionego, przygnębionego, chwilami zdezorientowanego. Chciał wywołać wrażenie, że jego zaawansowany wiek robi swoje, że jest już innym człowiekiem, że stał się bezbronny wobec politycznych ataków.

W odpowiedzi, tak jak miał nadzieję, klika wyszła w końcu z ukrycia. Ale jedno go niepokoiło: dlaczego prezydent nie interweniował, nie przerwał ataku? Zbyt dobrą robotę wykonał? Klika przekonała prezydenta, że przestał się nadawać na dyrektora CIA?

Telefon zadzwonił dokładnie dwanaście minut po północy. Bourne podniósł słuchawkę i męski głos podał mu miejsce spotkania: róg ulicy trzy przecznice od hotelu. Miał pół godziny na przygotowania. Chwycił płaszcz i wyszedł.

Noc była dość ciepła i niemal bezwietrzna. Od czasu do czasu pasmo chmur przesłaniało częściowo księżyc w trzeciej kwadrze – piękny, biały, bardzo wyraźny, jakby widziany przez teleskop.

Stał na rogu z rękami opuszczonymi luźno wzdłuż boków. Od spotkania z Jewgienijem przez półtora dnia nie robił nic poza zwiedzaniem miasta. Wędrował bez końca, spacerowały umożliwiały mu sprawdzenie, kto go śledzi, ilu ich jest, jak często się zmieniają. Zapamiętywał ich twarze i w razie potrzeby mógłby ich wyłowić z tłumu stu lub tysiąca osób. Miał też mnóstwo czasu na obserwowanie metod działania i zwyczajów przeciwników. Potrafiłby ich naśladować. Z inną twarzą mógłby być jednym z tego grona. Ale na to potrzebowałyby kilku dni. Niepokoiło go jedno: chwilami był pewien, że tamci go nie śledzą – mieli przerwy między zmianami albo dla rozrywki pozwalali mu się wymknąć. Podczas tych przerw wyostrzony przez lata zwierzęcy instynkt podpowiadał mu, że obserwuje go ktoś inny. Jeden z goryli Lemontowa? Nie wiedział, bo nigdy nie mógł go dostrzec.

Usłyszał za sobą narastający gardłowy warkot diesla. Nie odwrócił się. Z potwornym zgrzytem skrzyni biegów zatrzymała się przed nim marszrutka – mikrobus turystyczny. Otworzyły się drzwi. Wsiadł i spojrzał prosto w agatowe oczy Bogdana Iljanowicza. Wolał nie pytać, dokąd jadą.

Marszrutka dowiozła ich do Bulwaru Francuskiego. Przecięli brukowaną ulicę z wysokimi akacjami, które Bourne tak dobrze znał z własnych wspomnień. Na końcu

ulicy wznosiła się stacja kolejki linowej kursującej w dół na plażę. Już tu był. Z całą pewnością.

Bogdan skierował się w stronę stacji. Bourne już miał pójść za nim, gdy nagle szósty zmysł kazał mu się odwrócić. Zobaczył, że ich kierowca nie odjechał. Siedział rozwalony na siedzeniu z komórką przy uchu. Strzelał oczami na prawo i lewo, ale omijał wzrokiem Bogdana i Bourne'a.

Kolejka linowa, podobnie jak w parku rozrywki, miała dwuosobowe gondole w cukierkowych kolorach, zwisające pionowo ze skrzypiącej stalowej liny w górze. Lina biegła wysoko nad strefą zieleni, drzewami i gęstymi zaroślami. Wśród nich wiły się wąskie ścieżki i strome schody. Dochodziły do plaży Otrada. W środku lata roilo się tam od opalonych amatorów kąpeli morskich i słonecznych, ale o tej porze roku, gdy wiatr podrywał wilgotny piasek, było prawie pusto. Bourne wyciągnął szyję i spojrzał ponad żelazną barierką. W bladozielonej pianie harcował duży, cętkowany bokser. Jego pan – szczupły mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem i rękami w przepastnych kieszeniach obszernego tweedowego płaszcza – wolno kroczył plażą. Z dwóch blaszanych głośników ryknęła rosyjska muzyka pop, potem nagle ucichła.

–Odwróć się. Ręce na wysokości ramion.

Bourne wykonał polecenie Bogdana. Czuł, jak tamten klepie go wielkimi dłońmi w poszukiwaniu broni lub podsłuchu. Bogdan chrząknął i się cofnął. Zapalił papierosa i jego oczy przygasły.

Kiedy weszli na stację kolejki linowej, Bourne zobaczył zatrzymujący się czarny samochód. Wysiedli z niego czterej mężczyźni, biznesmeni w tanich wschodnioeuropejskich garniturach. Tyle że czuli się w nich wyraźnie nieswojo. Rozejrzeli się, przeciągnęli i ziewnęli, potem znów popatrzyli dookoła i wszyscy utkwili wzrok w Bournie. Wtedy znów coś sobie przypomniał: To też już się działo.

Jeden z biznesmenów wyjął cyfrowy aparat fotograficzny i zaczął robić zdjęcia pozostałym. Towarzyszyły temu wybuchy śmiechu i męskie przechwałki.

Podczas gdy żartowali i zachowywali się jak turyści, Bourne i Bogdan czekali, aż gondola w cukierkowym jabłkowoczerwonym kolorze dotrze do betonowego peronu. Bourne stał tyłem do grupki mężczyzn.

–Bogdanie Iljanowiczu, śledzą nas.

–Jasne, że nas śledzą. Jestem tylko zaskoczony, że o tym mówisz.

–Dlaczego?

–Masz mnie za głupka? – Bogdan wyciągnął mausera i niebale wycelował w Bourne'a – To twoi ludzie. Zostałeś ostrzeżony, że nie będzie drugiej szansy. Włóż do gondoli, *towariszcz*. Po drodze cię rozwalę.

Dokładnie o siedemnastej trzydzieści trzy Lerner znalazł dyrektora CIA na górze w Bibliotece. Ale w wielkiej, prawie kwadratowej sali z bardzo wysokim sufitem nie trzymano książek. Ani jednego tomu. Wszystkie dane, komentarze, materiały historyczne, strategiczne i taktyczne – słowem, całą mądrość zgromadzoną dotąd przez dawnych i obecnych dyrektorów i agentów CIA zarchiwizowano w technice cyfrowej i przechowywano na ogromnych twardych dyskach specjalnego serwera. W sali rozmieszczono szesnaście terminali komputerowych.

Stary studiował akta Abu Sarifa Hamida ibn Aszefa al – Wahhiba. Operacja zorganizowana przeciwko niemu przez Aleksa Conklina była, według wiedzy dyrektora, jedynym zadaniem, którego nie wykonał Bourne. Hamid, jako właściciel, zarządzał międzynarodowym konglomeratem przetwarzającym ropę i produkującym chemikalia, żelazo, stal, miedź, srebro i tym podobne. Firma Integrated Vertical Technologies miała siedzibę w Londynie, dokąd Saudyjczyk wyemigrował po ślubie ze swoją drugą żoną, Brytyjką z wyższych sfer, Holly Cargill, która urodziła mu dwóch synów i córkę.

CIA wzięła Hamida ibn Aszefa na celownik – konkretnie Conklin. We właściwym czasie wysłał Bourne'a, żeby go zlikwidował. Bourne wytropił Hamida w Odessie, ale były komplikacje. Tylko postrzelił Saudyjczka. Potentat naftowy miał do dyspozycji rozległą siatkę operacyjną i zapadł się pod ziemię, a Bourne ledwo uszedł z życiem z Odessy.

Lerner odchrząknął i Stary się odwrócił.

–A, Matthew. Siadaj.

Lerner przyciągnął sobie krzesło i usiadł.

–Rozdrapuje pan stare rany?

–Sprawę Hamida ibn Aszefa? Próbowałem ustalić, co się stało z tą rodziną. Czy stary żyje, czy nie. A jeśli tak, to gdzie jest. Wkrótce po Odessie firmę przejął jego starszy syn, Karim al – Dżamuh. Jakiś czas potem młodszy syn, Abu Gazi Nadir al – Dżamuh. On też zniknął z horyzontu, być może dlatego, żeby zaopiekować się Hamidem ibn Aszefem, zgodnie z saudyjską tradycją.

–A co z córką? – zapytał Lerner.

–Sarą ibn Aszef. Jest najmłodsza z rodzeństwa. Świecka jak jej matka, o ile nam wiadomo. Z oczywistych przyczyn nigdy nie mieliśmy jej na radarze.

Lerner przysunął się bliżej.

–Dlaczego zainteresował się pan tą rodziną właśnie teraz?

–To niedokończona sprawa, która stoi mi ością w gardle. Jedyna porażka Bourne'a, a w świetle ostatnich wydarzeń dużo myślę o klęskach. – Dyrektor siedział przez chwilę zadumany ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni. – Kazałem Lindrosowi zerwać wszelkie kontakty z Bourne'em.

–Mądra decyzja – pochwalił Lerner.

–Tak uważasz? – Spojrzał na niego ponuro. – Popełniłem błąd. I chcę, żebyś go naprawił. Martin pracuje dzień i noc, mobilizując Tyfona do tropienia Fadiego. Ty będziesz miał inne zadanie. Znajdziesz i zlikwidujesz Bourne'a.

–Słucham?

–Nie udawaj przede mną naiwniaka – odparł ostro Stary. – Obserwowałem, jak pnie się w górę w agencji. Wiem, jaki byłeś dobry w terenie. Wykonywałeś mokrą robotę. Co ważniejsze, potrafisz wycisnąć informacje nawet z kamienia.

Lerner milczał, co na swój sposób było potwierdzeniem tych słów, ale umysł pracował na pełnych obrotach. Więc to jest prawdziwa przyczyna, dla której mnie awansował, pomyślał. Stary ma gdzieś reorganizację agencji. Są mu potrzebne moje szczególne umiejętności. Chce, żeby ktoś z zewnątrz wykonał dla niego mokrą

robotę, której nie może powierzyć nikomu ze swoich.

–Zatem idźmy dalej. – Dyrektor uniósł palec wskazujący. – Mam już powyżej uszu tego bezczelnego sukinsyna. Robi wszystko po swojemu od chwili, kiedy do nas przyszedł. Czasem mi się zdaje, że pracujemy dla niego. Weźmy to wyprowadzenie Cevika z celi. Miał swoje powody, to jasne, ale nigdy ich nam nie ujawni z własnej woli. Nie znamy ich, tak jak nie wiemy, co się stało w Odessie.

Lerner był zaskoczony. Zastanawiał się, czy nie za nisko oceniał Starego.

–Chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że Bourne nie został dokładnie przesłuchany?

Dyrektor wyglądał na urażonego.

–Oczywiście, że został, jak wszyscy zaangażowani w tamtą sprawę. Ale twierdził, że nic nie pamięta, ani jednej rzeczy. Martin mu wierzył, ja nigdy.

–Jedno pańskie słowo i wydobędę z niego prawdę.

–Nie oszukuj się, Lerner. Bourne prędzej się zabije, niż coś zdradzi.

–W terenie nauczyłem się, że każdego można złamać.

–Nie Bourne'a. Wierz mi. Wolę, żeby był martwy. To mi wystarczy.

–Tak jest.

–Tylko ani słowa nikomu, zwłaszcza Martinowi. Uratował Bourne'a od egzekucji więcej razy, niż potrafię zliczyć. Ale nie tym Tazem, do cholery. Znajdź Bourne'a.

–Rozumiem. – Lerner wstał energicznie. Dyrektor podniósł głowę.

–I dla własnego dobra, Matthew, nie wracaj bez wiadomej informacji.

Lerner wytrzymał jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

–Bo inaczej?

Stary podjął wyzwanie. Odchylił się do tyłu, złączył dłonie i postukał palcami, jakby w głębokim zamyśleniu.

–Możesz nie dostać tego, czego chcesz, tylko to, na co zasłużysz.

Bourne wspiął się do wąskiej kabiny, Bogdan tuż za nim. Gondola ruszyła i zakołysała się nad stromo opadającym wapiennym urwiskiem.

–Myślałem, że to wasi ludzie, Bogdanie Iljanowiczu – odezwał się Bourne.

–Nie rozśmieszaj mnie.

–Jestem tu sam. Chcę tylko zrobić interes z Lemontowem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Ich wzajemna niechęć była niemal namacalna. Wełniany płaszcz Bogdana cuchnął stęchlizną i dymem papierosowym. Na klapach bieleł się łupież.

Lina skrzypiała, gdy toczyły się po niej stalowe koła nad gondolą. W ostatniej chwili czterej mężczyźni wskoczyli do dwóch następnych wagoników. Nadal hałasowali, jakby byli pijani.

–Nie przeżyłbyś upadku z tej wysokości – zauważył łagodnie Bogdan. – Nikt by nie przeżył.

Bourne obserwował mężczyzn z tyłu.

Morze było niespokojne. Przez port sunęły tankowce, ale promy, podobnie jak mewy, odpoczywały. Dalej od lądu światło księżyca srebrzyło grzbiety fal.

Przez plażę dreptał bokser. Kiedy szedł wzdłuż brzegu, uniósł głowę. Na

kwadratowym pysku miał morską pianę i kawałki wodorostów. Szczeknął raz, potem pan go uciszył i poklepał po boku, gdy przechodzili pod drewnianym moło. Zielonkawe pale skrzypiały pod naporem przyływu. Na lewo konstrukcja z drewnianych belek podtrzymywała część zielonego terenu, który kiedyś podmyło morze. Dalej ciągnął się rząd ciemnych kiosków, barów i restauracji, obsługujących latem tłumy ludzi. W łagodnej krzywiznie plaży, jakiś kilometr na południe, był jachtklub, rzęście oświetlony jak małe miasto.

Czterej mężczyźni z kolejki linowej dotarli na plażę.

–Coś trzeba zrobić – odezwał się Bogdan.

Bourne od razu wiedział, że to następny sprawdzian. Zauważył, że mężczyźni zniknęli. Ale oczywiście musieli być gdzieś na plaży. Może między belkami drewnianej konstrukcji podtrzymującej część zbocza lub w którymś kiosku z napojami.

Wyciągnął rękę.

–Daj mi mausera, poszukam ich.

–Naprawdę myślisz, że oddam ci broń? – prychnął Bogdan. – I uwierzę, że ich zastrzelisz? Jeśli mamy zapolować, pójdziemy razem.

Bourne skinął głową.

–Już tu byłem, znam ten teren. Trzymaj się za mną.

Ruszyli przez plażę, ukośnie oddalając się od wody. Bourne dał nura pod konstrukcję z belek, podniósł kawałek drewna i uderzył nim w podporę, żeby sprawdzić, czy drąg jest mocny. Spojrzał na Bogdana, ale tamten nie zaprotestował, tylko wzruszył ramionami. W końcu miał mausera.

Posuwali się przez mrok w drewnianym labiryncie i schylali od czasu do czasu, żeby nie zawadzić głową o niską belkę.

–Jak daleko jesteśmy od miejsca spotkania z Lemontowem? – szepnął Bourne.

Bogdan roześmiał się cicho. W oczach wciąż miał nieufność.

Bourne czuł, że Lemontow będzie na jednej z łodzi zakotwiczonych w jachtklubie. Znów skoncentrował się na obserwacji terenu. Wiedział, że przed nim jest pierwszy z kiosków, w którym już kiedyś był.

Skradali się naprzód, Bourne jeden krok przed Bogdanem. Światło księżyca, odbite od piasku, sięgało bladymi smugami do podziemnego świata solidnych dźwigarów, masywnych kratownic i poprzecznie. Posuwali się mniej więcej równoległe do moła. Bourne wiedział, że są już bardzo blisko jego znajomego kiosku.

Kątem oka dostrzegł ruch, ukradkowy i niewyraźny. Nie zmienił kierunku i nie odwrócił głowy, poruszał tylko oczami. Najpierw widział jedynie gmatwaninę krzyżujących się cieni. Potem za prostymi elementami konstrukcji zobaczył łuk – krzywiznę, która mogła być tylko konturem ludzkiej postaci. Jedną, drugą, trzecią. Rozpoznał wszystkie. Mężczyźni z kolejki linowej czekali na nich, rozciągnięci w mroku jak pajęcza sieć, doskonale rozstawieni.

Wiedzieli, że on tu będzie, jakby czytali w jego myślach. Ale jak? Czyżby zaczynał wariować? Miał wrażenie, że jego wspomnienia skłaniają go do dokonywania złych wyborów, które prowadzą do błędów i grożą niebezpieczeństwem.

Co mógł teraz zrobić? Zatrzymał się i zaczął cofać, ale natychmiast poczuł przy

boku lufę broni Bogdana. Ukraińiec popychał go naprzód. Czy jest z nimi w zмовie? Należy do spisku i wciąga go w zasadzkę?

Bourne wystartował nagle w lewo ku plaży. Obrócił się w biegu i rzucił kawałkiem drewna w głowę Bogdana. Ukraińiec łatwo zrobił unik, ale przez to spóźnił się z oddaniem strzału. Bourne zdążył wpaść za podporę sekundę przed tym, jak pocisk z mausera odłupał narożnik.

Bourne zamarkował bieg w prawo i puścił się sprintem w lewo. Stawiał kroki nierównej długości, żeby Bogdan nie mógł przewidzieć jego tempa. Padł drugi strzał, tym razem kawałek dalej od celu.

Trzeci pocisk przedziurawił mu płaszcz, wydęty z tyłu od szybkiego biegu. Ale Bourne już dotarł do pierwszych pali molo i dał nura w mrok.

Bogdan Iljanowicz pędził za człowiekiem podającym się za Iliasa Vodę i oddychał szybko. Miał rozchylone wargi i zaciskał zęby z wysiłku – piasek blisko molo stawał się coraz bardziej grząski, oblepiał mu buty i poły wełnianego płaszcza do kostek.

Morze było lodowate. Nie miał ochoty się zanurzać, ale nagle dostrzegł swoją ofiarę i nie zaprzestał pościgu. Woda sięgnęła mu do kolan, potem do ud. Spowalniał go przyływ.

Nagle usłyszał ostry dźwięk na lewo. Gwałtownie odwrócił głowę i w nadciągającej fali stracił równowagę. Zatoczył się. Już zrozumiał, dlaczego Voda pobiegł w tę stronę. Zwabił go do morza, bo długi płaszcz bardzo utrudnia poruszanie się.

Zaczął kląć, ale zamilkł, gdy w świetle księżyca zobaczył, że trzech biznesmeni pędzą z wyciągniętymi pistoletami w jego kierunku.

Mężczyzna na czele wycelował w biegu i strzelił.

Bourne zobaczył zbliżających się napastników wcześniej niż Bogdan. Był już prawie przy Ukraińcu, kiedy pierwszy pocisk odłupał kawałek najbliższego pala. Bogdan nagle się poślizgnął. Bourne pociągnął go do tyłu, obrócił i użył jako tarczy.

Teraz inny mężczyzna wycelował i strzelił. Pocisk utkwiał w lewym barku Bogdana i szarpnął jego ciałem do tyłu w lewo. Bourne zdążył się przygotować i stał już w postawie bojowej: stopy rozstawione na szerokość bioder, kolana lekko ugięte, tułów rozluźniony. Był gotowy do następnego ruchu. Czuł w podbrzuszu przyływ siły. Znów zasłonił się Bogdanem. Trzej mężczyźni byli już całkiem blisko, prawie w wodzie, rozciągnięci w trójkąt. Widział ich bardzo wyraźnie w chłodnym blasku księżyca.

Padł następny strzał. Ukraińiec dostał w brzuch i zgiął się prawie wpół. Bourne wyprostował go i wycelował jego ręką z mausera. Nacisnął spust swoim palcem wskazującym na palcu Bogdana. Mężczyzna z prawej strony, który był najbliżej, zarył twarzą w piasek. Trzeci pocisk trafił Ukraińca w udo, ale Bourne zdążył już strzelić drugi raz. Napastnik w środku rozrzucił ramiona i runął na plecy.

Bourne powlókł swoją żywą tarczę w prawo. Dwa kolejne pociski minęły głowę Ukraińca o centymetry. Bourne odpowiedział ogniem, ale chybił. Trzeci mężczyzna nadbiegał zygzakiem i się ostrzeliwał. Ale fale wysokiego przyływu pozbawiły go równowagi. Nie mógł dokładnie wycelować. Bourne strzelił przeciwnikowi między oczy.

Jeszcze dzwoniło mu w uszach, gdy nagle zarejestrował zwierzęcy, wężowy ruch. Bogdan wydobył spod płaszcza drugi pistolet. Pierwszy zgubił gdzieś w czarnej wodzie, pełnej smug jego krwi. Bourne uderzył kantem dłoni, broń wypadła Ukraińcowi z ręki i zniknęła w niespokojnym morzu.

Bogdan sięgnął w górę i z potworną siłą zacisnął palce na szyi Bourne'a. Nadpływająca fala przewróciła Bourne'a na kolana. Gdy Ukrainiec zaczął zgniatać Bourne'owi krtań, ten wbił mu pięść w jedną z ran postrzałowych. Mężczyzna z wrzaskiem odrzucił głowę do tyłu i Bourne wstał chwiejnie i jednym ciosem zwałił Bogdana z nóg. Ukrainiec poleciał do tyłu, uderzył skronią w pał; i z ust buchnęła mu krew.

Spojrzał na Bourne'a i uśmiechnął się lekko.

–Lemontow – powiedział.

Na plaży słyhać było teraz tylko odgłosy fal rozbijających się o pale. Nie hałasował ani jeden silnik okrętowy, nie rozbrzmiewał żaden inny dźwięk. Dopiero po chwili żałośnie zawył bokser, jakby w rozpacz.

Bogdan wybuchnął gardłowym śmiechem.

Bourne chwycił go za klapy.

–Co cię tak cholernie bawi?

–Lemontow. – Głos Ukraińca przypominał syk powietrza uchodzącego z balonu. Przewrócił oczami, ale starał się – za wszelką cenę dokończyć. – Nie ma żadnego Lemontowa.

Bourne opuścił jego zwłoki do wody. Nagle wyczuł, że w mroku ktoś się do niego szybko zbliża. Obrócił się w lewo. Czwartry mężczyzna z kolejki linowej!

Za późno. Poczuł piekący ból w boku i eksplozję ciepła. Napastnik zaczął obracać nóż. Bourne odepchnął go obiema rękami, ostrze wysunęło się z rany i pociekła z niej krew.

–On mówił prawdę – oznajmił mężczyzna. – Lemontow to duch, wymyślony przez nas po to, żebyś go ścigał.

–Przez was?

Napastnik ruszył naprzód. Blask księżyca sączący się między deskami molo oświetlił dziwnie znajomą twarz.

–Nie poznajesz mnie, Bourne. – Szeroki uśmiech był okrutny i jadowity.

I wtedy Bourne przypomniał sobie portret pamięciowy narysowany przez Martina Lindrosa.

–Fadi – powiedział.

Długo czekałem na tę chwilę. – Fadi w jednej ręce trzymał makarowa, w drugiej zakrwawiony nóż z wężowatym ostrzem. – Na to, żeby znów spojrzeć ci w twarz.

Bourne czuł ruch wody wokół swoich ud. Lewe ramię przyciskał mocno do boku, żeby zatamować krwawienie.

–Na to, żeby dokonać zemsty.

–Zemsty? – powtórzył jak echo Bourne. Poczł w ustach metaliczny smak i natychmiast zachciało mu się pić. – Za co?

–Nie udawaj, że nie wiesz. Tego nie mogłeś zapomnieć. Przyływ przybierał na sile, fale przynosiły coraz większe skupiska wodorostów. Nie odrywając wzroku od Fadiego, Bourne sięgnął prawą ręką pod wodę i chwycił garść pływającego zielska. Bez żadnego ostrzeżenia cisnął mokrą pecyną prosto w głowę Araba. Fadi strzelił na ślepo niemal w tym samym momencie, gdy masa wodorostów trafiła go w twarz.

Bourne już wystartował, ale przyływ, który był jego sprzymierzeńcem przeciwko Bogdanowi i trzem napastnikom, teraz go zdradził – uderzył ukośnie silną falą. Bourne się zachwiał, przeszył go ból. Oderwał lewe ramię od rany w boku i krew znów zaczęła płynąć.

Przez ten czas Fadi zdążył się otrząsnąć. Ruszył ku swojej ofierze przez fale, wymachując nożem.

Bourne starał się pozbierać i oddalić w prawo, ale następna fala uderzyła go w plecy i popchnęła prosto na nóż.

W tym momencie usłyszał w pobliżu gardłowe zwierzęce warczenie. Muskularny bokser pokonał susami wodę i rzucił się z prawej strony na Fadiego. Zupełnie zaskoczony Fadi upadł. Pies był na nim, kłapał zębami i trzymał go przednimi łapami.

–Chodź, szybko! – Przynaglający szept dobiegł z ciemności pod moło.

Bourne poczuł, jak opasuje go szczupłe, ale silne ramię i ciągnie w lewo krętą mroczną ścieżką między omszałymi palami poza zasięg blasku księżyca.

–Muszę wrócić i... – wy sapał.

–Nie teraz. – Cichy głos brzmiał zdecydowanie. Należał do szczupłego mężczyzny w kapeluszu z szerokim rondem, którego Bourne widział wcześniej na plaży, właściciela boksera. Mężczyzna gwizdnął i pies wyłonił się spod moło, brnąc przez wodę w ich kierunku.

Bourne usłyszał wycie syren. Ludzie z pobliskiego jachtklubu pewnie wezwali policję.

Posuwał się naprzód, opasany pomocnym ramieniem. Każdy krok sprawiał mu potworny ból, jakby w jego wnętrzu obracało się ostrze noża. I z każdym uderzeniem serca tracił coraz więcej krwi.

Kiedy Fadi, krztusząc się i plując, przebił powierzchnię wody, zobaczył zaczerwienionymi oczami Abbuda ibn Aziza, wychylonego poza niski reling żaglówki, która płynęła bez świateł. Łódź sunęła w lekkim przechyle, wykorzystując bryzę od morza, by podejść do brzegu bliżej, niż zdołałaby jakakolwiek motorówka.

Abbud ibn Aziz wyciągnął silne, brązowe ramię. Miał zmarszczone czoło i zaniepokojoną minę. Kiedy Fadi wdrapał się na pokład, Abbud ibn Aziz wydał rozkaz

odwrotu. Załoga wybrała szoty, zrobiła zwrot i żaglówka zaczęła się oddalać od brzegu.

W samą porę. Gdy zawrócili, na północ od nich trzy policyjne motorówki pruły w kierunku moło.

–Zdążymy dopłynąć do jachtklubu – powiedział Fadiemu do ucha Abbud ibn Aziz. – Zanim zbliżą się na tyle, żeby zbadać teren, będziemy bezpieczni. – Nie wspomniał ani słowem o trzech mężczyznach. Było jasne, że skoro ich nie ma, to nie żyją. – Co z Bourne'em?

–Jest ranny, ale żyje.

–Mocno oberwał?

Fadi położył się na plecach i starł krew z twarzy. Cholerny pies ugryzł go w trzy miejsca, między innymi w prawy biceps, w którym teraz tętnił piekielny ból. Oczy przywódcy błyszczały w blasku księżycyca niczym ślepie wilka.

–Być może tak mocno, że skończy jak mój ojciec.

–Sprawiedliwy los.

Od dziobu zbliżały się szybko światła jachtklubu.

–Dokumenty.

Abbud ibn Aziz wręczył Fadiemu papiery w wodoszczelnym opakowaniu.

Fadi wziął je, odwrócił się na bok i splunął za burtę.

–Ale czy to jest wystarczająca zemsta? – Pokręcił głową, jakby sam sobie odpowiadał na to pytanie. – Nie sądzę. Jeszcze nie.

–Tędy, tędy! – powiedział Bourne'owi do ucha przynaglający głos. – Nie zwalniasz, już niedaleko.

Niedaleko? – pomyślał. Po każdym trzech krokach wydawało mu się, że przebył kilometr. Oddychał z trudem, miał wrażenie, że jego nogi to kamienne kolumny. Poruszał nimi z coraz większym wysiłkiem. Ogarniały go fale zmęczenia, od czasu do czasu tracił równowagę i przewracał się do przodu. Pierwszy upadek zaskoczył jego towarzysza. Bourne leżał twarzą w wodzie, dopóki nie został podniesiony i pociągnięty dalej w wilgotną odeską noc. Potem znów to samo.

Próbował unieść głowę, żeby zobaczyć, gdzie są, dokąd idą. Ale wystarczająco trudno było mu brnąć przez wodę. Czuł obecność swojego towarzysza – mężczyzna wydawał się dziwnie znajomy. Ta świadomość rozprzestrzeniała się w jego umyśle jak ropa na wodzie. Ale podobnie jak przez tłustą plamę, nie mógł dostrzec głębi, zorientować się, kim jest ta osoba. Kimś z jego przeszłości. Kimś...

–Kim jesteś? – wysapał.

–Chodźmy, chodźmy! Musimy się pospieszyć. Policja nas ściga. Bourne natychmiast zobaczył światła płaszące w wodzie. Zamrugał.

Nie, nie w wodzie, na wodzie. Rozmywane przez fale odbicia światła elektrycznych. Gdzieś na dnie jego umysłu zadźwięczał dzwonek. Jachtklub, pomyślał.

Ale jego dziwnie znajomy towarzysz skierował ich w bok, zanim dotarli do stanowisk cumowniczych i pomostów z desek. Zaczęli się przedzierać z wysiłkiem przez fale przyboju. Bourne osunął się raz na kolana. Wściekły, już miał się

podnieść, gdy jego wybawca przytrzymał go w tej pozycji. Bourne poczuł, że coś miękkiego opasało mu tors tak mocno, że niemal przestał oddychać. Potem jeszcze raz, i jeszcze raz, aż stracił rachubę. Ucisk pomógł – rana przestała krwawić. Ale gdy tylko wstał, ruszyli dalej do brzegu i wyszli na piasek, na tkaninie pojawiła się mała plama, która wolno rosła. Mimo to, nie zostawiał na suchym lądzie krwawego śladu. Kimkolwiek był sprzymierzeniec, okazał się bystry i odważny.

Na plaży Bourne zdał sobie sprawę z obecności wielkiego boksera o królewskim majestacie. Minęli rząd kiosków. Po lądowej stronie plaży wznosiła się naga skała, milcząca i groźna. Przed nimi Bourne zobaczył drewnianą ciemnozieloną skrzynię zamkniętą na kłódkę. Trzymano w niej parasole plażowe.

Bokser warknął krótko, ostro. Zaczął mu niecierpliwie drzeć zad.

–Teraz szybko! Szybko!

Pobiegli schyleni naprzód. Na wodzie narastał ryk potężnych silników, i nagle plażę na prawo od nich zalał jasny blask reflektorów policyjnych motorówek. Snopy światła omiatały piasek i przesunęły się w ich kierunku. Lada chwila mogły objąć swoim zasięgiem dwóch uciekinierów.

Wpadli za ciemnozieloną skrzynię od strony lądu, przykucnęli i przywarli do niej. Snopy światła się zbliżały. W końcu wyłowiły z ciemności skrzynię. Znieruchomiały na krótką nerwową chwilę, potem przesunęły się dalej.

Ale na policyjnych motorówkach rozległy się krzyki. Bourne zobaczył, że drugi oddział zaczyna przeszukiwać jachtklub. Policjanci byli w stalowych hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Mieli karabiny samoczynne.

Towarzysz Bourne'a pociągnął go przynaglająco i pobiegli w kierunku podnóża klifu. Bourne czuł się nagi i bezbronny, gdy przecinali górną część plaży. Wiedział, że jest zbyt słaby, żeby walczyć w swojej obronie, a co dopiero chronić ich dwóch.

Nagle pchnięcie w plecy zważyło go z nóg. Leżąc twarzą w piasku, ze swoim wybawcą obok, zobaczył inne snopy światła, prostopadłe do tamtych zmorzą. Kilku policjantów w jachtklubie omiatało plażę latarkami. Jasna smuga przesunęła się ledwie dwadzieścia centymetrów od dwóch leżących postaci. Bourne dostrzegł kątem oka ruch. Policjanci zeskakiwali z nabrzeża na piasek. Kierowali się w ich stronę.

Na niemy sygnał swojego towarzysza Bourne wczuł się w cień ściany klifu, gdzie czekał przycupnięty pies. Obejrzał się i zobaczył, że mężczyzna zdjął płaszcz i zaciera nim ślady na piasku.

Wstał. Dyszał ciężko i chwiał się na nogach jak zapaśnik, który ma za sobą zbyt wiele rund z trudnym przeciwnikiem.

Towarzysz klęczał i ciągnął grube żelazne pręty w wylocie kanału ściekowego. Krzyki narastały. Policjanci byli coraz bliżej.

Bourne schylił się, żeby pomóc, i obaj usunęli kratę. Zauważył, że ktoś już odkręcił śruby.

Jego towarzysz wepchnął go do środka, podniecony pies skakał obok. Bourne obserwował, jak mężczyzna idzie w jego ślady. Kiedy dawał nura do kanału, spadł mu kapelusz z szerokim rondem. Odwrócił się, żeby go podnieść i wtedy blask księżyca

oświetlił mu twarz.

Bourne wciągnął gwałtownie powietrze, przeszył go ból.

-To ty!

Osoba, która go uratowała, i wydawała mu się znajoma, nie była mężczyzną.

Miał przed sobą Soraję Moore.

U osiemnastej czterdzieści sześć zaczął wibrować komputer kieszonkowy Annę Held. To był jej prywatny PDA, prezent od Kochanka, nie służbowy notes elektroniczny wydany przez CIA. Kiedy go chwyciła, czarna obudowa była ciepła – nosiła urządzenie przy udzie. Na ekranie widniała wiadomość: ZA 20 MINUT W JEGO MIESZKANIU.

Serce zaczęło jej bić mocniej, krew krążyć szybciej, bo wiadomość przysłał Kochanek. Wrócił.

Powiedziała Staremu, że ma umówioną wizytę u ginekologa, i roześmiała się w duchu. W każdym razie nie przejął się tym. Kwatera główna CIA przypominała szpitalną izbę przyjęć: wszyscy pracowali non stop przez wiele godzin, odkąd Lindros ogłosił alarm.

Wyszła z budynku, wezwała taksówkę i dojechała do miejsca sześć przecznic od Dupont Circle. Dalej poszła pieszo. Niebo było pogodne, bez jednej chmurki, wiatr potęgował uczucie zimna. Mimo to Annę z rękami w kieszeniach czuła wewnętrzne ciepło.

Mieszkanie przy Dwudziestej mieściło się w trzypiętrowym XIX – wiecznym budynku w stylu neokolonialnym, zaprojektowanym przez Stanforda White'a. Weszła drewnianymi, fasetowo przeszklonymi drzwiami z domofonem. Za progiem ciągnął się korytarz wyłożony boazerią. Biegł przez sam środek parteru i kończył się drewniano – szklanymi drzwiami, które wychodziły na wąską przestrzeń między budynkami, wykorzystywaną jako prywatny parking.

Zatrzymała się przy skrzynkach pocztowych i przesunęła palcami po mosiężnych drzwiczkach z napisem: 401 – Martin Lindros.

Przystanąła na czwartym podejściu przed kremowymi drzwiami i oparła rękę na grubym drewnie. Wydawało jej się, że czuje lekkie wibracje, jakby mieszkanie, które tak długo było puste, tętniło nowym życiem. Pomieszczenia wypełniała energia jej Kochanka, ciepła i elektryzująca, bijąca żarem jak słońce.

Pomyślała o ich ostatnim rozstaniu. Było bolesne jak głęboki oddech w mroźną noc, przeszło jej pierś i zadało kolejną ranę w serce. A jednak tym razem inaczej odczuwała ból, bo sądziła, że nie zobaczy go co najmniej dziewięć miesięcy. Tymczasem jutro minęłoby jedenaście. Nie chodziło tylko o rozłąkę, samą w sobie wystarczająco przykrą, lecz również o świadomość zmian, jakie ten czas przyniesie.

Oczywiście odsuwała ten strach w najdalsze zakamarki umysłu, ale teraz, tutaj, przed drzwiami mieszkania zrozumiała, że nosiła w sobie to brzemień przez te wszystkie miesiące jak niechciane dziecko.

Pochyliła się do przodu i przycisnęła czoło do malowanego drewna, wspominając ich rozstanie.

„Wyglądasz na przybitą”, powiedział. „Mówiłem ci, żebyś się nie martwiła”.

„Jak mogę się nie martwić?”, odparła. „Tak jeszcze nigdy nie było”.

„Zawsze uważałem się za pioniera”. Uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy. Potem, widząc, że mu się nie udało, wziął ją w ramiona. „Ekstremalne sytuacje wymagają nadzwyczajnych środków. Nikt nie rozumie tego lepiej niż ty”.

„Tak, tak. Oczywiście”. Wzdrygnęła się. „Mimo to, nie mogę przestać się zastanawiać, co się z nami stanie po... drugiej stronie”.

„Dlaczego miałoby się cokolwiek zmienić?”

Odsunęła się od niego na tyle, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

„Wiesz, dlaczego”, szepnęła.

„Nie, nie wiem. Zawsze pozostanę taki sam, wewnątrz. Musisz mi zaufać, Annę”.

I teraz była tutaj – oboje byli. Nadeszła chwila prawdy. Miała się przekonać, jakie zmiany zaszły w nim przez te jedenaście miesięcy. Oczywiście, że mu ufała. Ale strach, w którym dotąd żyła, teraz się wyzwolił, uciskał ją w żołądku. Miała właśnie poznać wielką niewiadomą. Przerazało ją to, że zastanie go tak odmienionego, że to już nie będzie jej Kochanek.

Z cichym pomrukiem niechęci do samej siebie obróciła mosiężną gałkę i otworzyła drzwi. Zostawił je dla niej niezaryglowane. Weszła do środka i poczuła się tak, jakby kroczyła już dawno wyznaczoną ścieżką, bezwolna w rękach przeznaczenia. Jak daleko odeszła od uprzywilejowanej pozycji, którą zapewnili jej rodzice. Zawdzięczała to swojemu Kochankowi. Wprawdzie przebyła tylko część drogi, ale jej bunt był brawurowy. Okiełznała to, przekształciła w skupiony promień światła. Nie miała się czego bać.

Zamierzała go zawołać, gdy usłyszała śpiewne zawrodożenie, które tak dobrze znała, płynące ku niej, jakby niesione osobistym prądem powietrza. Zastała go w głównej sypialni na jednym z dywanów Lindrosa, bo oczywiście nie mógł zabrać ze sobą własnego.

Kłęczał boso w białej mycce na głowie, pochylony tak nisko, że dotykał czołem dywanu. Modlił się w kierunku Mekki.

Zatrzymała się, jakby każdy ruch miał mu przeszkodzić, i pozwoliła, by arabskie słowa spływały po niej niczym łagodny deszcz. Znała biegle ten język w różnych dialektach. Kiedy się poznali, bardzo go to zaintrygowało.

Modlitwa wreszcie dobiegła końca. Wstał, zobaczył ją i uśmiechnął się twarzą Martina Lindrosa.

–Wiem, co chcesz najpierw zobaczyć – powiedział cicho po arabsku i ściągnął przez głowę koszulę.

–Tak, pokaż mi wszystko – mruknęła w tym samym języku.

To było ciało, które tak dobrze znała. Popatrzyła na podbrzusze, pierś. Podniosła wzrok wyżej i ich oczy się spotkały – on miał w prawym nową siatkówkę. Martina Lindrosa. I całą jego twarz. To ona dostarczyła mu fotografie, zdjęcia z czytnika siatkówki, które umożliwiły transformację. Teraz przyjrzała się uważnie jego twarzy, czego nie mogła zrobić w pracy przy dwóch okazjach, gdy ją mijał w drodze do i z biura Starego. Wtedy tylko skinęli sobie lekko głowami i wymienili powitania, tak jak zachowaliby się Annę Held i prawdziwy Martin Lindros.

Była pełna podziwu. Twarz wyglądała doskonale – doktor Andursky wykonał wspaniałą robotę. Zrobił to, co obiecał, a nawet więcej.

Jej Kochanek roześmiał się cicho, kiedy dotknął siniaków, otarć i skaleczeń. Był z siebie bardzo zadowolony.

–„Brutalne traktowanie” mojej osoby przez „porywaczy” miało na celu ukrycie ewentualnych drobnych blizn po skalpelu Andursky'ego.

–Dżamil – szepnęła.

Nazywał się Karim al – Dżamil ibn Hamid ibn Aszef al – Wahhib. Karim al – Dżamil znaczyło Karim piękny. Pozwolił Annę zwracać się do siebie Dżamil, bo sprawiało jej to wielką przyjemność. Nikomu innemu nie przyszłoby to nawet do głowy, nie mówiąc o tym, że nikt inny nie śmiałyby tak się do niego odezwać.

Nie odrywając oczu od jego twarzy, zrzuciła płaszcz i żakiet, rozpięła bluzkę i suwak spódnicy. Takim samym wolnym ruchem zdjęła stanik i zsunęła majtki. Stała na wysokich obcasach w lśniących pończochach i koronkowym pasie i patrzyła, jak Kochanek pożera ją wzrokiem.

Uwolniła nogi z ubrania u swoich stóp i podeszła do Dżamila.

–Tęskniłem za tobą – powiedział.

Padła mu w ramiona i jęknęła gardłowo, gdy jej nagie piersi zetknęły się z jego torse. Przesuwała dłońmi po jego pięknie rzeźbionych mięśniach i odnajdywała palcami małe wypukłości i zagłębienia, zapamiętane pierwszej nocy, którą spędzili ze sobą w Londynie. Robiła to długo. A on jej nie ponaglał. Wiedział, że Annę jest jak niewidoma, która się upewnia, że weszła na znajomy teren.

–Opowiedz mi, jak było. Co przeżyłeś? Karim al – Dżamil zaniknął oczy.

–Przez sześć tygodni potwornie bolało. Doktor Andursky najbardziej obawiał się infekcji podczas gojenia się przeszczepionej skóry i mięśni. Nikt nie mógł mnie widywać, tylko on i jego zespół. Nosili gumowe rękawiczki i maski na twarzach. Karmili mnie antybiotykami. – Po zamianie siatkówki przez wiele dni nie mogłem otwierać prawego oka. Na powiece miałem przyklejony opatrunek, a na nim opaskę. Byłem unieruchomiony przez jeden dzień, potem przez dziesięć dni mogłem wykonywać bardzo ograniczone ruchy. Cierpiałem na bezsenność, więc musieli mnie usypiać. Straciłem poczucie czasu. Bez względu na to, co mi wstrzykiwali, ból nie ustępował. Czuję się tak, jakby biło we mnie drugie serce. Miałem wrażenie, że płonie mi twarz. Wydawało mi się, że za prawym okiem mam szpikulec do lodu, którego nie mogę usunąć. – Zamilkł na chwilę, potem dodał: – Tak to było. To przeżyłem.

Wspinała się już na niego jak na drzewo. Sięgnął w dół, chwycił ją za pośladki i przycisnął do ściany. Mocno opasała jego biodra nogami. Rozpiął pasek i ściągnął spodnie. Był taki twardy, że aż bolało. Krzyknęła raz, kiedy ją ugryzł, potem drugi raz, gdy pchnął w górę.

W kuchni naga Annę z przyjemną gęsią skórką nalala szampana do dwóch kryształowych kieliszków. Potem do każdego wrzuciła truskawkę i obserwowała mżawkę bąbelków w zachodzącym zimowym słońcu. Kuchnia była po zachodniej stronie budynku. Okna wychodziły na podwórze między domami.

Wręczyła mu jeden kieliszek.

–Kolor skóry masz po matce.

–Chwała Allahowi. Gdyby nie jej angielska krew, nie mógłbym udawać Martina Lindrosa. Jego pradziadek pochodził z miasta w Konwalii oddalonego o niecałe

osiemdziesiąt kilometrów od posiadłości mojej matki.

Annę się roześmiała.

–Co za ironia losu. – Miała wrażenie, że po tak długiej rozłące, mogłaby pieścić swojego Kochanka całą wieczność. Postawiła kieliszek na granitowym kontuarze, chwyciła Dżamila i zaczęła go żartobliwie popychać, aż oparł się plecami o okno. – Aż trudno mi uwierzyć, że znów jesteśmy razem. I że jesteś bezpieczny.

Pocałował ją w czoło.

–Miałaś wątpliwości, czy mój plan się powiedzie?

–Bałam się. Wydawał się bardzo ryzykowny i trudny do zrealizowania.

–To wszystko kwestia percepcji. Wyobraź sobie zegar. To urządzenie wykonuje nieskomplikowaną funkcję, odmierza sekundy i minuty. A kiedy wybija godzina, rozlega się kurant. Proste, a jednak niezawodne. Dlatego, że w środku jest zespół starannie zaprojektowanych części, wykonanych i dopasowanych tak, że kiedy puści się w ruch, idealnie się zazębiają.

Nagle zauważył, że Annę patrzy w przestrzeń za nim. W jej oczach pojawił się dziwny błysk.

Odwrócił się. Na parkingu między budynkami stały obok siebie dwa nowe modele amerykańskich samochodów, każdy zwrócony przodem w przeciwną stronę. W samochodzie skierowanym na północ pracował silnik. Szyby obu kierowców były opuszczone. Mężczyźni najwyraźniej rozmawiali ze sobą.

–O co chodzi?

–O te dwa samochody – szepnęła. – To gliniarze.

–Albo po prostu dwaj faceci, którzy chcą pogadać.

–Nie, coś jest... – Urwała, bo jeden z mężczyzn wychylił się na tyle, że go poznała.

– Matthew Lerner. Niech to szlag! – Wzdrygnęła się. – Jeszcze nie zdażyłam ci powiedzieć, że włamał się do mojego domu, przeszukał go i zostawił mi w szafie stryczek zaciśnięty na majtkach.

–Coś podejrzewa?

–Na pewno nie, inaczej poszedłby z tym do dyrektora. Moim zdaniem chce mnie usunąć z drogi, żeby bez przeszkód zająć miejsce Starego.

W dole na parkingu dwaj mężczyźni skończyli rozmowę. Lerner, w samochodzie skierowanym na północ, odjechał. Drugi został za kierownicą swojego auta. Nie wyłączył silnika. Zapalił papierosa.

–W każdym razie, kazał cię śledzić – powiedział Karim al – Dżamil. – Jesteśmy spaleni. – Odwrócił się od okna. – Ubieraj się. Mamy robotę.

Gdy tylko żaglówka zawinęła do jachtklubu, na pokład wskoczyli policjanci – cały tłum, typowe. Kapitan i załoga, łącznie z Abbudem ibn Azizem, odpowiednio do sytuacji wyglądali na przestraszonych i pokazali nadgorliwemu porucznikowi dokumenty. Oficer odwrócił się do Fadięgo, a ten bez słowa i cienia zdenerwowania wręczył mu papiery, które dostał od Abbuda ibn Aziza. Wynikało z nich, że nazywa się Wiktor Leonidowicz Romanczenko i jest generałem majorem kontrwywiadu SBU. Na jego rozkazach, w załączeniu, widniał podpis generała pułkownika Igora P. Śmieszki, szefa SBU.

Fadi patrzył z rozbawieniem, jak pewny siebie porucznik policji błędnie i pręży się na baczność. Nastąpiła natychmiastowa transformacja: władca stał się sługą.

–Ścigam tutaj zbiegłego z więzienia zabójcę – wyjaśnił Fadi i zabrał z powrotem swoje fałszywe dokumenty. – Zabił czterech ludzi, więc sami widzicie, jaki jest niebezpieczny.

–Porucznik Kowe. Jesteśmy do pańskiej dyspozycji, generale.

Fadi szybkim krokiem poprowadził porucznika i jego ludzi z żaglówki na brzeg.

–Ostrzegam – rzucił przez ramię – osobiście rozstrzelam tego, kto zabije zbiega. Poinformujcie wszystkich swoich podwładnych. Ten przestępca jest mój.

Detektyw Bill Overton siedział zrelaksowany w swoim samochodzie i palił. Od roku nie był taki szczęśliwy. Nieoficjalna robota, którą wykonywał dla Lenera, spadła mu jak z nieba. Lerner zagwarantował, że kiedy ta sprawa się skończy, detektyw zostanie przyjęty do DHS, na czym mu tak bardzo zależało. Overton wiedział, że Lerner nie oszukuje. Ten człowiek miał wielką władzę. Jeśli coś mówił, to nie żartował. Detektyw musiał tylko słuchać jego poleceń i nie zadawać pytań. Nic prostszego; srał na to, co kombinuje Lerner. Najważniejsze, że facet jest biletem do DHS.

Overton zaciągnął się papierosem. DHS znaczył dla niego wszystko. Co miał innego? Żonę, która go nie obchodziła, matkę z alzheimerem, znieawidzoną byłą żonę i dwójkę zbuntowanych dzieciaków. Gdyby nie praca, nie pozostawałoby mu nic cennego.

Przypuszczał, że tak jest najlepiej w organach ścigania.

Mógł sobie palić i dumać, ale nie zapominał o swoim wyszkoleniu. Sprawdzał otoczenie co piętnaście sekund, jak w zegarku. Zaparkował tak, że widział przez tylne przeszklone drzwi cały korytarz budynku aż do frontowego wejścia. Doskonała pozycja. Wykorzystywał ją do maksimum.

Zobaczył, że z windy wysiada Annę Held. Skręciła w stronę tylnych drzwi. Spieszyła się, miała zmarszczone czoło i nieszczęśliwą minę. Obserwował, jak kobieta wychodzi na zewnątrz. Wyglądała, jakby płakała. Miała zaczerwienioną i opuchniętą twarz. Co jej się stało?

Nie, żeby go to interesowało. On musiał tylko ją śledzić i w pewnym momencie nastraszyć – zajechać jej drogę samochodem lub napaść ją na pustej ulicy. Żeby nieprędko to zapomniała, jak powiedział Lerner. Zimny sukinsyn, pomyślał Overton. Podziwiał to.

Kiedy Annę minęła jego samochód, wysiadł, wyrzucił papierosa, wetknął rękę do kieszeni płaszczka i ruszył za nią w bezpiecznej odległości.

Między budynkami nikogo nie było. Tylko ta kobieta i on. Nie mógł jej zgubić.

Doszła do końca przestrzeni między domami i skręciła za róg w Massachusetts Avenue. Overton przyspieszył kroku, żeby mu nie uciekła.

Nagle coś uderzyło go z boku tak mocno, że stracił równowagę. Trafił głową w ceglaną ścianę sąsiedniego budynku i zobaczył wszystkie gwiazdy. Mimo to, instynktownie sięgnął po rewolwer. Ale zainkasował drugi cios, w prawy nadgarstek – ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Miał zakrwawiony bok twarzy i naderwane ucho.

Odwrócił się i zobaczył nad sobą mężczyznę. Spróbował na czworakach wyciągnąć broń. Ale potężne kopnięcie w żebra przewróciło go jak żółwia.

–Co... co...?

Wszystko było niewyraźne. Napastnik wycelował w niego pistolet z tłumikiem.

–Nie. – Overton zamrugął i spojrział w bezlitosną twarz zabójcy. Odkrył ze wstydem, że jest gotów błagać o życie. – Nie, proszę.

Huk wypełnił mu uszy, jakby detektyw zanurzył głowę w wodzie. W rzeczywistości cichy odgłos zabrzmiał jak dyskretne kasznięcie. Ale Overtonowi wydał się tak głośny, jakby zawałił się cały świat. Potem pocisk zagłębił się w jego mózgu i zapadła straszliwa cisza.

–Teraz mamy problem, jak cię dostarczyć do lekarza – powiedziała Soraja, kiedy razem z Bourne'em obsadzili kratę z powrotem na miejscu.

Na plaży rozlegały się krzyki. Ciągłe ich przybywało. Może policyjne motorówki zacumowały w jachtklubie i ich załogi przyłączyły się do obławy. Na terenie widocznym przez kratę krzyżowały się snopy światła mocnych szperaczy. W słabym blasku Soraja obejrzała ranę.

–Jest głęboka, ale wydaje się dość czysta – oznajmiła. – Najwyraźniej nie został uszkodzony żaden narząd. Inaczej byłoby już po tobie.

Nurtowało ją pytanie, na które nie знаła odpowiedzi: ile krwi stracił Bourne i jak to wpłynie na jego wytrzymałość? Z drugiej strony, kiedyś widziała, jak przez trzydzieści sześć godzin działał na pełnych obrotach z pociskiem w ramieniu.

–To był Fadi – wymamrotał.

–Co?! Jest tutaj?

–To on mnie dźgnął. Bokser...

–Oleksandr – sprecyzowała, a pies na dźwięk swojego imienia nastawił uszu.

–Poszczułaś nim Fadięgo.

Soraja pomyślała, że są sami, odizolowani w nieprzyjaznym otoczeniu. Nie dość, że na plaży roi się od ukraińskich policjantów, to jeszcze poluje na nich Fadi.

–Co on tu robi?

–Mówił coś o zemście. Ale nie wiem, za co. Nie uwierzył, że nic nie pamiętam.

Bourne był blady i się pocił. Ale Soraja знаła pokłady jego wewnętrznej siły, determinację, by nie tylko przeżyć, lecz również za wszelką cenę zwyciężyć. Zacerpnęła od niego siłę i odprowadziła go od kraty. Mając za przewodnika tylko szybko malejący stożek bladej poświaty księżycowej, pospieszyli, potykając się, w głąb tunelu.

Powietrze było zapyłone. Pachniało martwo jak skóra zrzucona przez węża. Wszędzie wokół rozlegały się ciche trzaski i jęki podobne do nawoływania cierpiących duchów. Ubita ziemia wypełniała miejsca, gdzie piaskowiec częściowo się wykruszył lub popękał. W pewnych odstępach wznosiły się masywne, grubo ciosane podpory, połączone żelaznymi wiązaniami, przyśrubowane do belek stropowych i legarów podłogowych, poczerniałe od próchna, tu i tam pokryte ciemnoczerwoną skorupą. W przejściach cuchnęło zgnilizną i rozkładem, jakby ziemia, w której wydrążono korytarze, powoli konała.

Soraja czuła w żołądku bolesny ucisk. Co znaleźli policjanci? O czym zapomniała? Dobry Boże, oby o niczym. Kiedyś w Odessie popełniła swój najgorszy błąd, tamten koszmar prześladował ją dniami i nocami. Teraz los znów połączył tutaj ją i Bourne'a. Była zdecydowana naprawić to, co się” kiedyś stało.

Oleksandr biegł przed nimi z pyskiem przy ziemi, jakby podążał za własnym nosem. Bourne na nic się nie skarżył, choć miał wrażenie, że cały jego tułów płonie. Musiał wykorzystywać swoje wyszkolenie, oddychać wolno i głęboko, mimo że wydawało się to najbardziej bolesne. Wcześniej przypuszczał, że Soraja odkryła wylot miejskiego kanału ściekowego, ale nie było tu ani charakterystycznego dla takich miejsc odoru, ani nic tędy nie odpływało. Poza tym, posuwali się stromo w dół. Potem sobie przypomniał, że duża część Odessy została zbudowana z bloków piaskowca, stanowiącego jej podłoże, i w ten sposób powstała rozległa sieć katakumb. W czasie II wojny światowej partyzanci wykorzystywali je do przeprowadzania ataków na oddziały niemieckie i rumuńskie.

Soraja dobrze się przygotowała do akcji. Włączyła teraz silną latarkę ksenonową przypasaną do nadgarstka. Widok nie dodał Bourne'owi otuchy. Katakumby były bardzo stare. Co gorsza, zaniedbane. Stropy pilnie wymagały podparcia. Tu i tam wyrastały skalne rumowiska i sterty szczątków; Soraja i Bourne musieli się po nich wspinać, co znacznie spowalniało ich marsz.

Usłyszeli za sobą zgrzyt metalu o metal, jakby ktoś na siłę obracał ogromne zardzewiałe koło. Zatrzymali się i obejrzel.

–Znaleźli kratę – szepnęła Soraja. – Nie było sposobu na przyśrubowanie jej z powrotem. Policja jest już w tunelu.

–To gliniarz. – Karim al – Dżamil trzymał w ręku otwarty portfel Overtona. – Detektyw z waszyngtońskiej policji.

Annę podjechała samochodem Overtona do miejsca, gdzie ofiara leżała pod ścianą budynku. Na jasnych ceglach widniała krew.

–Najwyraźniej był na liście płac Lerner – powiedziała. – To on mógł się włamać do mojego domu. – Popatrzyła na jego prostą, końską twarz. – Założę się, że to go kręciło.

Karim al – Dżamil wstał.

–Musimy się dowiedzieć, ilu jeszcze takich osobników ma w swoim spisie Matthew Lerner. – Wykonał ruch głową i Annę otworzyła bagażnik. Karim al – Dżamil schylił się, dźwignął Overtona i stęknął. – Żarł za dużo ciastek i big maców.

–Jak wszyscy Amerykanie – skomentowała Annę.

Obserwowała, jak Dżamil ładuje ciało do bagażnika i zatrzaskuje pokrywę. Potem wysunęła się z za kierownicy i podeszła do węża ogrodowego na bębnie przymocowanym do muru. Otworzyła zawór, skierowała strumień wody na ścianę i splukała świeżą krew Overtona. Nie miała wyrzutów sumienia z powodu jego śmierci. Wręcz odwrotnie. Czuła w piersi bicie swojego drugiego serca, przepełnionego nienawiścią do zachodniego społeczeństwa, marnotrawstwa i egoizmu bogatych, uprzywilejowanych Amerykanów, tak pochłoniętych rozmnażaniem się, że ślepych i głuchych na potrzeby najbiedniejszych tego świata. Przypuszczała, że zawsze to

czuła. W końcu jej matka była najpierw modelką, a potem redaktor naczelną „Town Country”. Ojciec, arystokrata, od urodzenia miał pieniądze. Nic dziwnego, że Annę żyła w otoczeniu szoferów, lokajów i osobistych asystentów, latała prywatnymi odrzutowcami, jeździła na nartach w Chamonix i bawiła się w klubach na Ibizie, a wszystko to w granicach wyznaczonych przez ochroniarzy rodziców. Ktoś robił za nią to, co powinna robić sama. Wszystko było takie sztuczne, oderwane od rzeczywistości. Żyła jak w więzieniu i nie mogła się doczekać ucieczki. Jej bunt był sposobem wyrażania nienawiści. Ale dopiero przy Dżamilu zrozumiała, co dyktują jej uczucia. Drogie i modne ubrania, które tu nosiła, były częścią kamuflażu. Pod tymi strojami skóra swędziała ją tak, jakby chodziły po niej mrówki.

Wieczorem rozbierała się najszybciej, jak tylko mogła, i nigdy nie patrzyła na swoje ciuchy, aż do rana, gdy znów je wkładała.

Z tymi myślami kłębiącymi się w głowie wsiadła z powrotem do samochodu. Karim al – Dżamil wsunął się na siedzenie obok. Bez wahania wyjechała na Massachusetts Avenue.

–Dokąd? – zapytała.

–Powinnaś wrócić do agencji.

–Ty też – zauważyła. Potem spojrzała mu w oczy. – Dżamilu, kiedy mnie zwerbowałeś, nie byłem idealistką z głową w chmurach, która chciała walczyć z niesprawiedliwością. Na początku właśnie za taką mnie uważałeś. Wątpię, żebyś wtedy zdawał sobie sprawę, że potrafię samodzielnie myśleć. Mam nadzieję, że teraz to wiesz.

–Ogarniają cię wątpliwości.

–Dżamilu, ortodoksyjny islam jest przeciwko kobietom. Mężczyzn takich jak ty wychowuje się w przekonaniu, że powinny zasłaniać głowy i twarze. Że nie mogą być wykształcone, podejmować samodzielnych decyzji, i niech Allah ma je w opiece, jeśli zaczną się uważać za niezależne.

–Mnie tak nie wychowano.

–To zasługa twojej matki. Mówię poważnie. Tylko dzięki niej nie uważasz, że ukamienowanie kobiety za wymaginowane grzechy to słuszna kara.

–Grzech cudzołóstwa nie jest wymaginowany.

–Dla mężczyzn jest.

Milczał. Roześmiała się cicho. Ale w jej śmiechu zabrzmiał smutek zabarwiony rozczarowaniem.

–Dzieli nas nie tylko kontynent, Dżamilu. Czy to dziwne, że się boję, kiedy nie jesteśmy razem?

Karim al – Dżamil popatrzył na Annę. Nie potrafił być na nią zły.

–Nie pierwszy raz prowadzimy taką dyskusję.

–I nie ostatni.

–A jednak mówisz, że mnie kochasz.

–Bo cię Kocham.

–Mimo moich grzechów.

–Nie grzechów. Wszyscy mamy słabe punkty. Nawet ty.

–Jesteś niebezpieczna – powiedział. Nie żartował. Annę wzruszyła ramionami.

–Nie różnię się od muzułmanek, z wyjątkiem tego, że znam swoją wewnętrzną siłę.

–Właśnie dlatego jesteś niebezpieczna.

Przez chwilę panowało milczenie. Prowokowała go tak, jak nikt inny nigdy by się nie ośmielił. I dobrze. Nigdy nie wciskała mu kitu, jak większość otaczających go ludzi, żeby skorzystać z jego wpływów i władzy. W takich momentach jak ten żałowała, że nie może się wkraść do umysłu Kochanka, bo nigdy nie wyjawiłby jej dobrowolnie, co naprawdę myśli. Nie zdradzała tego nawet jego mina lub mowa ciała. Był zagadką i po części dlatego tak ją pociągał. Zwykle mężczyźni łatwo udaje się rozszyfrować. Ale nie Dżamila.

W końcu lekko położyła dłoń na jego rękę.

–Widzisz, jak bardzo przypomina to małżeństwo? Jesteśmy razem na dobre i na złe. Na zawsze.

Przyglądał się jej przez chwilę.

–Jedź na wschód – południowy wschód. Ósma ulica w Northeast między L Street i West Virginia Avenue.

Fadi najchętniej wpakowałby porucznikowi Kowemu kulę w łeb, ale spowodowałoby to wiele komplikacji, na co nie mógł sobie pozwolić. Zamiast tego, zadowolił się graniem swojej roli.

Nie miał z tym trudności; był urodzonym aktorem. Matka wyczuła swoim nieomylnym instynktem talent syna, i kiedy miał siedem lat, zapisała go do Królewskiej Akademii Teatralnej. W wieku dziewięciu lat doskonale radził sobie na scenie, co bardzo mu się przydało, gdy stał się radykałem.

Podstawą pozyskiwania zwolenników – zdobywania serc i umysłów biednych, poniewieranych, lekceważonych, zdesperowanych – była charyzma. Fadi rozumiał istotę bycia skutecznym przywódcą: nieważne, jaka jest twoja filozofia; musisz tylko ją dobrze sprzedać. Co nie znaczyło, że był cynikiem – nie może nim być żaden radykał z prawdziwego zdarzenia. Fadi po prostu dostał niezwykle ważną lekcję manipulowania rynkiem.

Te myśli wywołały cień uśmiechu na jego pełnych wargach, gdy podążał za ruchomymi snopami światła policyjnych latarek.

–Katakumby mają łącznie dwa tysiące kilometrów długości – poinformował porucznik Kowe, starając się być pomocny. – Prowadzą między innymi do miasteczka Nerubajskoje, pół godziny jazdy stąd.

–Na pewno nie wszystkimi drogami można przejść. – Fadi popatrzył na spękane i spróchniałe drewniane belki, ściany alarmująco wybrzuszone w niektórych miejscach, odnogi zablokowane osuwiskami.

–Nie, panie generale – odparł porucznik Kowe. – Muzeum w Nerubajskim organizuje krótkie wycieczki po katakumbach, ale ci, którzy zapuszczają się tutaj na własną rękę, zwykle stąd nie wracają.

Fadi wyczuł, że trzech policjanci, których porucznik Kowe wziął ze sobą, są coraz bardziej niespokojni. Zdał sobie sprawę, że Kowe ciągle gada, żeby ukryć własną nerwowość.

Każdemu innemu człowiekowi udzieliby się niepokój jego towarzyszy, ale Fadi nie znał uczucia strachu. Podchodził do nowych i niebezpiecznych sytuacji z niezachwianą pewnością siebie doświadczonego alpinisty. Nigdy nie brał pod uwagę możliwości porażki. Nie dlatego, że nie cenił życia; po prostu nie bał się śmierci. By czuć, że żyje, musiał się posuwać do ekstremów.

–Jeśli zbieg jest ranny, tak jak pan mówił, to nie ucieknie daleko – odezwał się znów porucznik Kowe, choć nie wiadomo, czy powiedział to na użytek Fadiego, czy swoich spiętych podwładnych. – Znam trochę ten teren. Tak blisko wody w tych katakumbach często zdarzają się osunięcia i zapadnięcia ziemi. Musimy też uważać na doły. W niektórych miejscach przecieki są tak duże, że podmywają podłoże. Te doły są szczególnie niebezpieczne, bo przypominają lotne piaski. Mogą wessać człowieka w niecałą minutę. – Porucznik nagle urwał.

Wszyscy zamarli w bezruchu. Policjant na czele grupy był na wpół odwrócony w ich kierunku. Pokazał, że coś usłyszał. Czekali i pocili się.

Odgłos się powtórzył: cichy zgrzyt, jakby twardej skóry o kamień. Podeszwa buta?

Wyraz twarzy porucznika się zmienił. Kowe przypominał teraz psa myśliwskiego, który wywęszył ofiarę. Skinął głową i ruszyli cicho naprzód.

Annę jechała samochodem detektywa Overtona przez coraz bardziej zaniedbane dzielnice. Przecinała skrzyżowania z przepalonymi światłami i wulgarnie pomazanymi znakami drogowymi. Było już zupełnie ciemno, szary zimowy zmierzch został z tyłu wraz z rzędami dobrze utrzymanych domów, czystymi ulicami, muzeami i pomnikami. To było inne miasto na innej planecie, ale Karim al – Dżamil świetnie je znał i dobrze się tu czuł.

Jechali Ósmą, dopóki Karim nie wskazał szerokiego betonowego budynku z wyblakłym szyldem Karoserie MN. Według jego wskazówek, Annę skręciła na popękane płyty parkingu i zatrzymała się przed metalowymi drzwiami.

Wyskoczył z auta. Kiedy podchodził do budynku, obrzucił okolicę długim, uważnym spojrzeniem. Uchowało się tutaj zaledwie kilka latarni ulicznych, więc w wielu miejscach panował głęboki mrok. Teren oświetlały co jakiś czas reflektory samochodów przejeżdżających L Street na północy i West Virginia Avenue na południu. Między dwiema najbliższymi przecznicami parkowały tytko dwa czy trzy auta, wszystkie daleko od punktu, gdzie stali. Na chodnikach było pusto, w oknach domów ciemno.

Otworzył dużą kłódkę kluczem, który wyjął spod małego kawałka pękniętego betonu. Uniósł drwi i dał Annę znak.

Wrzuciła bieg. Kiedy zrównała się z Dżamilem, opuściła szybę.

–To ostatnia szansa – powiedział. – Możesz się jeszcze wycofać. Nie odezwała się, nie ruszyła z za kierownicy.

Popatrzył jej w oczy w przelotnym blasku świateł przejeżdżających samochodów, szukając prawdy. Potem pokazał jej, żeby wjechała do opuszczonego warsztatu karoseryjnego.

–W takim razie, zakasaj rękawy. Bierzemy się do roboty.

–Słyszę ich – szepnęła Soraja. – Ale jeszcze nie widzę latarek. To dobry znak.

–Fadi wie, że jestem ranny i nie mogę daleko uciec – wysapał Bourne.

–Ale nie wie o mnie – odparowała Soraja.

–Co zamierzasz?

Pogłaskała Oleksandra. Trącił nosem jej kolano. Doszli do rozwidlenia w kształcie litery Y. Bez wahania wprowadziła ich do lewego tunelu.

–Jak mnie znalazłaś?

–Tak samo jak każdy cel.

Więc to Soraja go śledziła, to jej obecność wyczuwał, kiedy ludzie Jewgienija Fejodowicza nie dyżurowali w pobliżu.

–Poza tym – ciągnęła – dobrze znam to miasto.

–Skąd?

–Byłam tu szefową placówki, kiedy przyjechałeś.

–Kiedy ja...?

Natychmiast napłynęły wspomnienia...

...Marie przychodzi do niego w mieście drzew akacjowych i brukowanych ulic. W powietrzu unosi się ostry zapach minerałów, woń niespokojnego morza. Wilgotna bryza zwiewa jej włosy, trzepoczą z tyłu jak flaga.

Mówi do niej: „Potrafisz zdobyć dla mnie to, czego potrzebuję. Wierzę w ciebie”.

W jej oczach jest strach, ale również odwaga i determinacja. „Niedługo wrócę”, odpowiada. „Nie opuszczę cię”...

Bourne zatoczył się pod naporem wspomnień. Drzewa akacjowe, brukowana ulica... To droga do stacji kolejki linowej. Twarz, głos... To nie z Marie rozmawiał. To była...

–Soraja!

Chwyciła go w obawie, że stracił zbyt wiele krwi, by iść dalej.

–To ty! Spotkaliśmy się, tu, w Odessie, lata temu!

–Byłam agentką na miejscu. Wolaleś trzymać się ode mnie z daleka, ale w końcu nie miałeś wyboru. To mój kontakt dostarczał informacji, których potrzebowałeś, żeby dopaść cel.

–Pamiętam, że rozmawiałem z tobą pod akacjami na Bulwarze Francuskim. Po co tu przyjechałem? Co się, do cholery, wydarzyło? Dostaję od tego obłędu.

–Wypełnię luki w twojej pamięci. Potknął się. Podciągnęła go silną ręką.

–Dlaczego mi nie powiedziałaś, że pracowaliśmy razem, kiedy tylko wszedłem do centrum operacyjnego Tyfona?

–Chciałam...

–Dlatego twoja twarz wydawała mi się...

–Już prawie jesteśmy – przerwała Soraja.

–Gdzie?

–W miejscu, gdzie ty i ja już się kiedyś ukrywaliśmy.

Przeszli już około kilometra lewą odnogą korytarza. Otoczenie wyglądało tutaj wyjątkowo kiepsko. Wszystkie belki były popękane, wszędzie sączyła się woda. Katakumba straszliwie Jęczała”, jakby groziło jej rozerwanie przez jakieś siły.

Bourne zorientował się, że Soraja prowadzi go do otworu w lewej ścianie. Nie była to odnoga tunelu, lecz zagłębienie wyplukane przez wodę, podobnie jak zatoka utworzona przez przyływ morza. Ale szybko się okazało, że przestrzeń niemal do samej góry jest wypełniona rumowiskiem.

Bourne obserwował, jak Soraja wspina się na stertę i przeczołguje na brzuchu między szczytem i sklepieniem. Poszedł w jej ślady. Każdy krok, każde sięgnięcie w górę powodowało przeszywający ból w boku. Zanim przedostał się na drugą stronę, miał wrażenie, że całe ciało pulsuje mu w rytmie bicia serca.

Poprowadziła go dalej w prawo do pomieszczenia z podwyższoną drewnianą platformą przykrytą cienkim kocem, która służyła za łóżko. Naprzeciwko pościania były trzy deski, przybite poziomo między dwoma słupami. Na tych prowizorycznych półkach stało kilka butelek wody i konserw.

–Zostały z poprzedniego razu – wyjaśniła, gdy pomogła Bourne'owi ulokować się na łóżku.

–Nie mogę tu zostać – zaprotestował.

–Owszem, możesz. Nie mamy żadnych antybiotyków, a ty potrzebujesz pełnej dawki. Im prędzej ją dostaniesz, tym lepiej. Pójdę do lekarki z CIA. Znam ją, jest godna zaufania.

–Nie spodziewaj się, że będę tu po prostu leżał.

–Oleksandr zostanie z tobą. – Pogłaskała boksera po lśniącym pysku. – Będzie cię bronił, odda nawet za ciebie życie, prawda, mały? Pies najwyraźniej zrozumiał, bo podszedł do Bourne'a i usiadł przy nim, z koniuszkiem różowego języka między siekaczami.

–To szaleństwo. – Bourne przerzucił nogi ponad krawędzią prowizorycznego łóżka. – Pójdziemy razem.

Patrzyła na niego przez chwilę.

–Dobrze. Chodźmy.

Odepchnął się od desek i wstał. A raczej spróbował. Kiedy tylko puścił się łóżka, ugięły się pod nim kolana. Soraja złapała go i posadziła z powrotem.

–Zapomnijmy o tym pomysle, zgoda? – Bezwiednie przesunęła knykциями między trójkątnymi uszami Oleksandra. – Wrócę do rozwidlenia korytarza. Do lekarki muszę skręcić w prawo. Ale zrobię to tak głośno, że pójda za mną w przekonaniu, że jest nas dwoje. Odciągnę ich od ciebie.

–To zbyt niebezpieczne. Odczekała chwilę.

–Masz lepszy pomysł? Pokręcił głową.

–Dobra, niedługo wrócę, obiecuję. Nie zostawię cię tutaj.

–Sorajo?

Spojrzała na niego z ukosa, już na wpół odwrócona do odejścia.

–Dlaczego mi nie powiedziałaś? Zawahała się na ułamek sekundy.

–Wolałam, żebyś nie pamiętał, jak cholernie spieprzyłam sprawę. Patrzył za nią, jej słowa odbijały się echem w jego głowie.

Po piętnastu minutach forsownego marszu dotarli do rozdroża.

–Jesteśmy przy głównym rozwidleniu – poinformował porucznik Kowe, gdy

oświetlili latarkami podstawę litery Y.

Fadi nie lubił wahania. Niezdecydowanie było dla niego oznaką słabości.

–Więc musimy zgadnąć, Kowe, w którą stronę poszedł. – Świdrował policjanta wzrokiem. – Wy jesteście ekspertem. Wy mi powiedzcie.

W obecności Fadiego było niemal niemożliwe nie zgodzić się lub pozostać biernym.

–W prawo. Tak bym zrobił na jego miejscu.

–Doskonale – odparł Fadi.

Weszli w prawą odnogę. Wtedy znów usłyszeli zgrzyt twardej skóry o kamień. Tym razem był wyraźniejszy i powtarzał się w regularnych odstępach. Nie mieli wątpliwości, że to kroki odbijają się echem w tunelu. Zbliźali się do swojej ofiary.

Kowe z ponurą determinacją popędził swoich ludzi.

–Szybciej! Zaraz go dogonimy.

–Chwilę.

Zatrzymał ich zimny, władczy ton.

–Tak, panie generale?

Fadi zastanawiał się przez kilka sekund.

–Będzie mi potrzebna latarka. Idźcie dalej. Ja sprawdzę lewą odnogę.

–Uważam, że to zbyt duże ryzyko, panie generale. Jak mówiłem...

–Nie trzeba mi niczego powtarzać dwa razy – uciął dyskusję Fadi. – Ten przestępca jest diabelnie sprytny. Odgłosy przed nami mogą być zmyłką, żebyśmy zgubili jego trop. Stracił tyle krwi, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zaraz go dogonicie w prawym tunelu. Ale nie mogę zlekceważyć tej drugiej ewentualności.

Wziął od jednego z policjantów latarkę, cofnął się kilka kroków do rozwidlenia i skręcił w lewo. Po chwili wyciągnął nóż z wężowatym ostrzem.

Karim al – Dżamil, w ciężkim gumowym fartuchu i grubych rękawicach roboczych, pociągnął linkę rozruchową piły łańcuchowej.

–Nasz plan zdetonowania bomby jądrowej w jakimś dużym amerykańskim mieście powstał dziesięć lat temu – powiedział w przeraźliwym hałasie. Nie podejrzewał, że w pobliżu jest podsłuch, ale nie mógł zlekceważyć zasad bezpieczeństwa.

Podszedł do zwłok detektywa Overtona, które leżały na obitym blachą ocynkowaną blacie stołu w upiornie pustym wnętrzu warsztatu karoseryjnego MN. Nad ich głowami paliły się trzy jarzeniówki.

–Ale żebyśmy odnieśli sukces, potrzebowaleś Jasona Bourne'a – zauważyła Annę Held. – Musiał potwierdzić twoją tożsamość, kiedy stałeś się Martinem Lindrosem. Oczywiście nigdy by tego nie zrobił z własnej woli, więc trzeba było nim manipulować. Ponieważ miałam dostęp do jego akt, mogliśmy wykorzystać jego jedyny słaby punkt: amnezję, i wiele zalet, takich jak: lojalność, nieustępliwość, wysoka inteligencja i umysł paranoika.

Annę też była w fartuchu i rękawicach. Wzięła młotek i szerokie dłuto. Kiedy Karim al – Dżamil przystąpił do pracy nad stopami i nogami Overtona, umieściła dłuto w zgięciu lewego łokcia trupa, uniosła młotek i energicznie uderzyła w rękojeść ostrego narzędzia. W warsztacie karoseryjnym znów wracała praca, jak za starych dobrych czasów.

–Ale co ci umożliwiło wykorzystanie słabości Bourne'a? – zapytała. Uśmiechnął się do niej blado, skoncentrowany na swoim makabrycznym zajęciu.

–Moje badania w dziedzinie amnezji. Ludzie dotknięci utratą pamięci najsilniej reagują na sytuacje pełne emocji. Musieliśmy wywołać u Bourne'a szok, który spowoduje przyływ wspomnień.

–Właśnie to zrobiłeś, kiedy ci powiedziałam, że żona Bourne'a zmarła nagle i niespodziewanie?

Karim al – Dżamil starł przedramieniem krew z twarzy.

–My, beduini, mawiamy, że życie jest tylko wolą Allaha. – Skinął głową. – Bourne był pogrążony w żalu i groziło mu to, że amnezja go przygniecie. Więc poleciłem ci podsunąć mu środek zaradczy.

–Teraz rozumiem. – Odwróciła się na chwilę od erupcji gazu. – Naturalnie musiało to wyjść od jego przyjaciela Martina Lindrosa. Dałam Lindrosowi nazwisko i adres doktora Allena Sunderlanda.

–Ale w rzeczywistości telefon zadzwonił u nas – wyjaśnił Karim. – Wyznaczyliśmy Bourne'owi wizytę na wtorek, kiedy Sunderlanda i jego personelu nie ma w przychodni. Podstawiliśmy naszego lekarza, doktora Costina Veintropa.

–Genialne, kochanie! – W oczach Annę błyszczał podziw.

W warsztacie stała duża owalna balia z ocynkowanej stali, gdzie wrzucali pojedynczo części ciała, jakby rozpoczynali eksperyment w pracowni doktora Frankensteina. Karim al – Dżamil obserwował Annę z ukosa, ale ani razu się nie wzdrygnęła, ani nie zbladła przy swoim zajęciu. Zaskakiwała go, ale był też pod wrażeniem, że Anna potrafi zachować zimną krew. Co do jednego miała rację: nie

doceniał jej. Nie przypuszczał, że zobaczy ukobiety męskie cechy. Przywykł do zachowania swojej siostry, potulnej i uległej. Sara – dobra dziewczyna, chluba rodziny; uosobienie ich honoru. Nie zasłużyła na śmierć w młodym wieku. Teraz tylko zemsta mogła przywrócić rodzinie godność pogrzebaną razem z Sarą.

W kulturze jego ojca kobiety były wykluczone ze wszystkich męskich spraw. Oczywiście nie dotyczyło to matki Karima al – Dżamila. Ale nie przeszła na islam. Karim nie miał pojęcia, dlaczego ojcu na tym nie zależało i nigdy jej do tego nie zmuszał. Uwielbiał swoją świecką żonę, choć przysporzyła mu bardzo wielu wrogów wśród imamów i wiernych.

Ale zupełnie się tym nie przejmował, co było dla Karima al – Dżamila jeszcze większą zagadką. Matka opłakiwała nieżyjącą córkę, a ojciec, kaleka, któremu co dzień towarzyszył smutek żony, też musiał być w żałobie.

–Co Veintrop właściwie zrobił z Bourne'em? – zapytała Annę. Karim z zadowoleniem przepołowił staw kolanowy.

–Veintrop to cichy geniusz, specjalista od amnezji. To z nim się konsultowałem w sprawie Bourne'a. Dał mu zastrzyk ze spreparowanych chemicznie protein. Skomponował je tak, żeby stymulowały synapsy w pewnych częściach mózgu Bourne'a, subtelnie zmieniając ich budowę i funkcję. Ta stymulacja działa jak uraz psychiczny i może zmieniać wspomnienia. Tak wykazały badania Veintropa. Jego proteinowy zastrzyk oddziałuje na określone synapsy, więc tworzy nowe wspomnienia. Każdy przebłysk pamięci Bourne'a jest wywoływany przez jakiś bodziec zewnętrzny.

–Nazwałabym to praniem mózgu – skomentowała Annę. Karim skinął głową.

–W pewnym sensie tak jest. Ale w całkiem nowym wydaniu. Bez przymusu fizycznego, tygodni deprywacji sensorycznej i wymyślnych tortur.

Balia była prawie pełna. Karim dał Annę znak. Oboje położyli narzędzia na piersi Overtona. Oprócz głowy, tylko to z niego pozostało w całości.

–Daj mi jakiś przykład – poprosiła.

Chwycili razem balię za wielkie ucha i zanieśli do dużej suchej studni, gdzie kiedyś nielegalnie spuszczano zużyty olej silnikowy.

–Widok „Hirama Cevika” wywołał u Bourne'a „dodane” wspomnienie taktyki pokazania więźniowi utraconej wolności, żeby skłonić go do mówienia. Inaczej nigdy nie wyprowadziłby Fadiego z celi. Jego działanie załatwiło jednocześnie dwie sprawy: umożliwiło Fadiemu ucieczkę i skierowało na Bourne' a podejrzenia agencji.

Przechylili balię. Zawartość wysypała się i zniknęła w studni.

–Ale uważałem, że samo dodane wspomnienie nie wystarczy, by spowolnić Bourne'a – ciągnął Karim. – Kazałem więc Veintropowi dorzucić element dyskomfortu fizycznego, czyli uporczywego bólu głowy, ilekroć pojawi się wymuszone wspomnienie.

Wrócili z balią do stołu.

–To jest dla mnie jasne – powiedziała Annę. – Ale czy Fadi zbyt nie ryzykował, pozwalając się złapać w Kapsztadzie?

–Wszystko, co planuję i robię, jest ryzykowne – odparł Karim al – Dżamil. – Ale

toczymy wojnę o serca, umysły i przyszłość naszego narodu. Nie ma dla nas zbyt niebezpiecznego działania. A co do Fadiego, to, po pierwsze, udawał handlarza bronią, Hirama Cevika. Po drugie, wiedział, że wszystko zorganizowaliśmy tak, że Bourne nieświadomie go uwolni.

–A gdyby metoda doktora Veintropa zawiodła albo nie do końca się sprawdziła?

–Zawsze mieliśmy ciebie, kochanie. Dostarczyłbym ci instrukcję, jak wydostać mojego brata z więzienia. – Znów włączył piłę łańcuchową i szybko uporał się z resztą ludzkich szczątków. Wylądowały w suchej studni. – Na szczęście nie musieliśmy realizować tego planu.

–Przypuszczaliśmy, że Soraja Moore zadzwoni do dyrektora CIA, żeby uzyskać dla Bourne'a zgodę na wyprowadzenie Fadiego z celi – przypomniała Annę. – Ale zamiast tego, zatelefonowała do Tima Hytnera, i poinformowała chłopaka, że ma się z nią spotkać na zewnątrz. Powiedziała mu, gdzie dokładnie będzie Fadi. Monitorowałam wszystkie jej rozmowy telefoniczne, więc mogłeś wprowadzić w życie plan ucieczki.

Karim otworzył kanister z benzyną i wlał jedną trzecią zawartości do suchej studni.

–Allah zapewnił nam nawet doskonałego kozła ofiarnego: Hytnera.

Otworzył wlew paliwa w samochodzie i oblał wnętrze auta większością tego, co zostało w kanistrze. Żadna ekipa dochodzeniowa nic tu nie znajdzie, pomyślał. Cofnął się w kierunku tylnych drzwi warsztatu,, wylewając benzynę na podłogę.

Oboje podeszli do dużego steatytowego zlewu, zdjęli rękawice i zmyli krew z ramion i twarzy. Potem rozwiązali fartuchy i rzucili je na podłogę. Kiedy byli przy drzwiach, Annę zauważyła:

–Jest jeszcze Lerner.

Karim al – Dżamil pokiwał głową.

–Będziesz musiała oglądać się za siebie, dopóki nie zdecyduję, co z nim zrobić. Nie możemy się go pozbyć tak jak Overtona.

Rzucił przed siebie zapaloną zapalniczkę. Niebieski płomień buchnął z szumem i pomknął w kierunku samochodu.

Annę otworzyła drzwi i wyszli w ciemność getta.

Kiedy warsztat karoseryjny MN stanął w płomieniach, Tyrone już od dłuższego czasu miał na celowniku mężczyznę i kobietę. Kuczał na kamiennym murze w głębokim cieniu starego rozłożystego dębu, który rozpościerał swoje sękaty gałęzie jak kopułę gniazda Meduzy. Tyrone był w czarnym dresie i kapturze na głowie. Czekał, aż DJ Tank przyniesie mu rękawiczki, bo cholerne zimno dawało się we znaki.

Chuchał w dłonie, gdy przed zrujnowanym warsztatem zatrzymał się samochód. Tyrone obserwował to miejsce od miesięcy w nadziei, że jest opuszczone i będzie mógł je zająć na bazę dla swojej grupy. Ale sześć tygodni temu dowiedział się, że coś się tu dzieje późną nocą, kiedy każda legalna firma jest już zamknięta, więc wziął ze sobą DJ Tankę na zwiady.

Okazało się, że w środku są ludzie. Dwaj brodac faceci. Co ciekawsze, na

zewnątrz stał trzeci brodacz. Kiedy facet się odwrócił, Tyrone wyraźnie zobaczył błysk broni za jego paskiem. Wiedział, kto nosi takie brody: albo ortodoksyjni Żydzi, albo arabscy ekstremiści.

Razem z DJ Tankiem zakradł się za róg budynku i zajrzał przez brudne boczne okno. Brodacze ustawiali jakieś pojemniki, skrzynki z narzędziami i urządzenia. Choć z powrotem włączono dopływ prądu, nie wyglądało na to, żeby planowano remont. Kiedy brodacze wyszli, zamknęli drzwi frontowe na wielką kłódkę. Tyrone ocenił okiem fachowca, że nie da się jej rozwalić.

Ale z drugiej strony były jeszcze tylne drzwi, ukryte w wąskim zaułku. Tyrone doskonale o nich wiedział. Znał ten teren jak własną kieszeń.

Kiedy brodacze się wynieśli, otworzył wytrychem zamek tylnych drzwi i wszedł do środka. Co tam zastał? Masę elektronarzędzi – nie miał pojęcia, do czego służą. Co innego pojemniki. Sprawdził po kolei, co w nich jest: trinitrotoluen, pentryt, dwusiarczek węgla, oktogen. Oczywiście wiedział, co to jest TNT, czyli trotyl, ale nigdy nie słyszał o reszcie. Zadzwoił do Derona, który mu wyjaśnił, że oprócz dwusiarczku węgla, wszystkie te substancje są silnymi materiałami wybuchowymi. Pentrytu, znanego również jako PETN, używa się do produkcji detonatorów. Oktogen, nazywany też HMX, materiał wybuchowy o wiązaniach polimerowych, jest ciałem stałym, tak jak C – 4, i w przeciwieństwie do TNT niewrażliwym na wstrząsy i wibracje.

Od tamtej nocy to zdarzenie nie dawało Tyrone'owi spokoju jak wrzeszczące niemowlę. Chciał zrozumieć, o co chodzi, więc obserwował warsztat MN, i dziś jego czujność została wynagrodzona.

No bo proszę: na blacie stołu obitym blachą ocynkowaną leżały zwłoki. Mężczyzna i kobieta w fartuchach i rękawicach roboczych ćwiartowali ciało jak tuszę wołową. Czego to ludzie nie robią!? Tyrone pokręcił głową, gdy on i DJ Tank zaglądali do środka przez brudną szybę bocznego okna. A potem doznał lekkiego szoku. Rozpoznał twarz trupa! To był gość, który kilka dni temu śledził Pannę S. Powiedziała wtedy, że się nim zajmie.

Obserwował mężczyznę i kobietę przy pracy, ale po tym, co odkrył, nie zwracał uwagi na ich brudną robotę. Zamiast tego, zapamiętywał twarze. Miał przeczucie, że Pannę S bardzo zainteresuje to, co tych dwoje tu nakombinowało.

Potem noc rozświetlił blask, poczuł na policzku gorąco i z budynku wystrzeliły płomienie.

Pożar – czy bardziej dokładnie, podpalenie – to dla Tyrone'a nie pierwszyna, więc nie był zbyt zszokowany; raczej wydawał się zmartwiony. Stracił bazę. Ale potem przyszła mu do głowy pewna myśl i szepnął coś do DJ Tanku.

Kiedy zakradli się tu pierwszy raz, zastali w środku pełno materiałów wybuchowych i akceleratorów. Gdyby te chemikalia nadal tutaj były, eksplozja zmiotłaby cały kwartał budynków, a przy okazji również jego i DJ Tanku.

Więc teraz zadał sobie pytanie: skoro materiałów wybuchowych już tu nie ma, to gdzie się, do diabła, podziały?

Sekretarz obrony E.R. Bud Halliday nie jadał posiłków o stałych porach dnia czy

nocy. Ale kiedy nie uczestniczył w naradzie politycznej u prezydenta, nie badał nastrojów w Senacie lub nie wywierał nacisku na wiceprezydenta albo na Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, pożywiał się w swojej limuzynie. Poza koniecznymi postojami z różnych powodów, jego auto, podobnie jak rekin, nigdy nie odpoczywało, lecz spokojnie krążyło po ulicach i alejach Waszyngtonu.

Matthew Lernet lubił pewne przywileje – w towarzystwie sekretarza, między innymi ich wspólne posiłki, jak tego wieczoru. Na zewnątrz, za przyciemnionymi szybami, było jeszcze za wcześnie na kolację. Ale tutaj, w świecie sekretarza, to nie miało znaczenia.

Po krótkiej modlitwie wzięli się do jedzenia. Na talerzach lśniły solidne porcje czerwonych żeberek z grilla po teksasku, z duszoną fasolą z chili i frytkami. Wszystko popijali piwem Shiner Blonde, warzonym z dumą, jak powiedziała by Bud, w Fort Worth.

Sekretarz skończył, wytarł ręce i usta, wziął następną butelkę blonde'a i rozparł się wygodnie.

–Więc dyrektor CIA wynajął cię jako swojego prywatnego zabójcę.

–Na to wygląda – przyznał Lerner.

Sekretarz miał zaczerwienione policzki, lśniące od tłuszczu.

–I co ty na to?

–Nigdy się nie uchylam od żadnej roboty ani ryzyka.

Bud spojrział na kartkę, którą wręczył mu Lerner, kiedy wsiadł do limuzyny. Oczywiście sekretarz już ją przeczytał; teraz przebiegł wzrokiem tekst tylko dla efektu, w czym był bardzo dobry.

–Miałem z tym trochę zachodu, ale ustaliłem, gdzie jest Bourne. Jego twarz zauważono na kasetach wideo z kamer systemu bezpieczeństwa na lotnisku Kennedy'ego. – Bud podniósł wzrok i wysał włókno mięsa pomiędzy zębów trzonowych. – Ten przydział rzuci cię do Odessy. To kawałek drogi od kwatery głównej CIA.

Lerner wiedział, co sekretarz ma na myśli: wyjazd oderwie go od zadania, które dostał wcześniej od Buda.

–Niekoniecznie – odparł. – Zrobię to dla Starego i będzie mi coś winien. Potrafię to wykorzystać.

–Co z Held?

–Zajmuje się nią mój zaufany człowiek. – Lerner wytarł kromką chleba resztkę gęstego, ostrego sosu. – To twardy sukinsyn. Trzeba by zabić drania, żeby się go pozbyć.

Bourne znów śnił. Tylko tym razem wiedział, że to nie sen. Przeżywał ponownie strzęp wspomnień, następny kawałek układanki trafiał na swoje miejsce:

Soraja klęczy nad nim w brudnym odeskim zaułku. Słyszy w jej głosie gorycz. „Ten pieprzony Tarik ibn Sajd od początku mnie kołował. Był synem Hamida ibn Aszefa. Naprawdę nazywał się Nadir al – Dżamuh. Dał mi informację, przez którą wpadliśmy w zasadzkę, Jasonie. Schrzaniałam sprawę”.

Bourne siada prosto. Hamid ibn Aszef. To jego cel. Miał go znaleźć i zastrzelić. Z

rozkazu Conklina.

„Wiesz, gdzie jest teraz Hamid ibn Aszef?”

„Tak, i tym razem informacja jest prawdziwa – odpowiada Soraja. – Znajdziesz go na plaży Otrada”.

Oleksandr się poruszył, szturchnął Bourne'a w udo tępym czarnym pyskiem. Bourne zamrugał, pozbył się wspomnień i skoncentrował na terażniejszości. Pewnie zasnął, choć miał być czujny. Oleksandr trzymał wartę.

Bourne podniósł się na deskach w maleńkiej podziemnej celi i zobaczył w ciemności złowieszczą poświatę. Bokserowi zjeżyła się sierść na karku. Ktoś nadchodził!

Nie zwracając uwagi na ból, Bourne przerzucił nogi nad krawędzią łóżka. Było za wcześnie na powrót Sorai. Oparł się o ścianę i wstał. Czuł na sobie ciepło muskularnego ciała boksera. Był jeszcze słaby, ale użytecznie spędził czas: oddawał się pobudzającym medytacjom i oddychał głęboko. Mogło mu ubyc sił z powodu utraty krwi, potrafił się jednak zmobilizować.

Zmiana w oświetleniu była jeszcze niewielka, ale już wiedział, że światło nie pochodzi z nieruchomego źródła. Podskakiwało – niósł je ktoś idący tunelem w jego kierunku.

Oleksandr ze zjeżoną na karku sierścią oblizywał się w niecierpliwym oczekiwaniu. Bourne pogłaskał psa między uszami. Podpatrzył to u Sorai.

Kim ona naprawdę jest? Jakie ma zamiary wobec niego? Jej brak reakcji, kiedy wszedł do biur Tyfona, wydawał się wtedy dziwny, ale teraz miał sens. Spodziewała się, że ją pamięta, i to, że byli tu razem. Co zrobili? Dlaczego została ona wycofana z terenu?

Światło stawało się coraz wyraźniejsze. Nie miał już czasu na rozmyślenia o lukach w swojej pamięci. Musiał działać. Ale kiedy ruszył naprzód, dostał zawrotu głowy i się zachwiał. Przytrzymał się kamiennej ściany, gdy ugięły się pod nim kolana. Jasna smuga wdarła się w pobliską przestrzeń, już nic nie mógł zrobić.

Fadi szedł lewą odnogą korytarza i wyęczał słuch. Ilekroć coś usłyszał, świecił latarką w tamtym kierunku. Ale widział tylko czerwonookie szczury, które uciekały. Miał dotkliwe poczucie niedokończonych sprawy. Myśl o ojcu – kiedyś błyskotliwym, energicznym, silnym – teraz zaślinionym kalece, przywiązanym do wózka inwalidzkiego, wpatrzonym w siną dal – trawiła mu wnętrzności niczym ogień. Bourne to zrobił; on i ta kobieta. Niedaleko stąd. I omal tam nie zginął z jego ręki. Fadi nie miał złudzeń co do Jasona Bourne'a. Ten człowiek był magikiem – zmieniał wygląd, pojawiał się jakby znikąd, tajemniczo zniknął. To Bourne zainspirował go do tego, by stać się kameleonem.

Fadi zmienił swój życiowy cel, gdy pocisk wystrzelony przez Bourne'a utkwiał w kręgosłupie ojca. Nastąpił natychmiastowy paraliż. Co gorsza, uraz spowodował udar. Ojciec stracił mowę i zdolność spójnego myślenia.

Fadi uwewnętrznił swoją radykalną filozofię. Dla jego zwolenników nic nie uległo zmianie. Ale dla niego tak. Odkąd ojciec został kaleką z winy Bourne'a, Fadi przede wszystkim skoncentrował się na jednym – zadać możliwie najwięcej cierpień

Bourne'owi i Sorai Moore, zanim oboje zabije. Ich szybka śmierć była dla niego nie do przyjęcia. Dla jego brata, Karima al – Dżamila, też nie. Tragedia ojca związała ich ze sobą silniej, niż mogłoby to zrobić cokolwiek innego. Stali się jednym umysłem w dwóch ciałach. Poświęcili się dokonaniu zemsty. Zaangażowali się w to całym sercem i umysłem.

Fadi – urodzony jako Abu Gazi Nadir al – Dżamuh ibn Hamid ibn Aszef al – Wahhib – minął otwór w korytarzu na lewo od Bourne'a. Światło latarki wyłowiło z ciemności na wprost tunele po prawej i lewej stronie. Przeszedł kilka metrów każdym z nich, ale nikogo nie znalazł.

Uznał, że jednak się mylił, i zawrócił w kierunku rozdroża. Spieszył się teraz, żeby dogonić porucznika Kowego i jego ludzi. Musiał być przy złapaniu zbiega. Zawsze istniała możliwość, że w ogniu walki jego rozkaz, żeby zostawić Bourne'a przy życiu, zostanie zapomniany.

Minął właśnie otwór w korytarzu, gdy nagle przystanął. Odwrócił się i skierował światło latarki w gęsty mrok. Nie zauważył niczego niezwykłego, mimo to poszedł w tamtą stronę. Wkrótce dotarł do osuwiska. Zobaczył wybrzuszone ściany, szerokie szczeliny w skale, spróchniałe drewniane belki. Miejsce bez wątpienia było niebezpieczne.

Oświetlił rumowisko i dostrzegł wąską przestrzeń między jego szczytem i sklepieniem tunelu. Zastanawiał się, czy jest wystarczająco szeroka, by mógł się tamtędy przecisnąć człowiek, kiedy usłyszał echo wystrzałów w katakumbach.

Znaleźli go! – pomyślał. Odwrócił się na pięcie, wpadł do głównego korytarza i pobiegł do rozwidlenia.

Soraja pędziła korytarzem. Wokół niej latały odłamki skalne odłupywane przez rykoszety. Jeden trafił ją w ramię. Omal nie krzyknęła. W biegu wyciągnęła go z ciała i rzuciła na ziemię, żeby go znaleźli jej prześladowcy. Była zdecydowana chronić Bourne'a, by odpokutować za straszliwy błąd w ocenie sytuacji, który popełniła ostatnim razem w Odessie.

Zgasiła latarkę i biegła na pamięć – niezbyt dobry sposób, żeby przebyć katakumby. Trudno, nie ma wyboru. Liczyła kroki. Na oko była pięć kilometrów od rozwidlenia. Do wyjścia najbliższej domu doktor Pawłyny zostały jeszcze dwa.

Ale najpierw musiała pokonać trzy zakręty i następne rozgałęzienie korytarza. Coś usłyszała. Chwilę później w katakumbach, z tyłu rozbłysło na krótko słabe światło. Ktoś wpadł na jej trop! Wykorzystała jasność, żeby się zorientować w terenie i skręciła w prawy tunel. Zapadła ciemność. Odgłosy pościgu przycichły.

Nagle zawadziła o coś czubkiem prawego buta, potknęła się i wylądowała na czworakach. Wyczuła, że podłoże tuż przed nią wznosi się nierówno; zakłęta w duchu. To mogło być tylko nowe osuwisko. Ale jak duże? Musiała zaryzykować i zapalić latarkę, choćby tylko na sekundę lub dwie.

Zrobiła to, wdrapała się na rumowisko, przedostała na drugą stronę i ruszyła dalej. Nie słyszała już pościgu. Było całkiem prawdopodobne, że zmyliła policję, ale nie mogła na to liczyć.

Biegła z wysiłkiem. Drugi zakręt w lewo, później trzeci. Wiedziała, że mniej więcej kilometr przed nią jest kolejne rozgałęzienie. A potem będzie już w domu.

Fadi dowiedział się, że policja nie tylko dostrzegła Bourne'a, lecz również go ostrzelała. Nie pytając Kowego o pozwolenie, wymierzył winnemu funkcjonariuszowi tak potężny cios, że tamtemu omal nie pękła czaszka. Porucznik stał czerwony na twarzy i zagryzał wargi. Nie odezwał się, nawet kiedy Fadi kazał im iść dalej. Po kilkuset metrach Fadi dostrzegł w świetle latarek skalny odłamek lśniący od krwi. Podniósł go i zacisnął na nim dłoń. Nareszcie coś!

Ale wiedział, że teraz, tak daleko w głębi katakumb, pościg grupowy stracił sens. Odwrócił się do Kowego.

–Im dłużej zbieg jest tutaj, tym większe ma szanse ucieczki. Rozdzielcie się i szukajcie go pojedynczo, tak jak w lesie na terytorium wroga. – Zauważył, że ludzie Kowego szybko tracą odwagę i udziela się to ich dowódcy. Musiał ich zmobilizować, zanim będzie za późno. Przysunął się blisko do porucznika i szepnął mu do ucha: – Tracimy czas. Wydajcie rozkaz albo ja to zrobię.

Kowe drgnął jak oparzony. Cofnął się i obliznął wargi. Przez chwilę wydawał się zhipnotyzowany przez Fadięgo. Potem się otrząsnął, odwrócił do swoich ludzi i kazał każdemu iść inną drogą.

Soraja wyczuła przed sobą rozgałęzienie. Powiew świeżego powietrza na policzku był jak pieścizna kochanka: wyjście. Z tyłu ciemność. Dużo wilgoci. Docierał do niej zapach zgnilizny. Podskórna woda powodowała powolny rozkład ziemi i drewna. Soraja zaryzykowała i znów włączyła latarkę. Nie zwracała uwagi na mokre ściany, bo zobaczyła rozwidlenie niecałe dwadzieścia metrów na wprost. Musiała tam skręcić w

lewo.

W tym momencie w tunelu za nią pojawiło się światło. Natychmiast zgasła latarkę. Pulsowały jej skronie, waliło serce. Czy ścigający zauważył przed sobą blask? Choć musiała iść dalej, nie mogła pozwolić, by doktor Pawłyna została zdemaskowana. Lekarka była głęboko zakonspirowaną agentką CIA.

Stała bez ruchu, odwrócona tak, że widziała korytarz za sobą. Światło zniknęło. Nie, znów się pojawiło – maleńki promyk w czarnej jak smoła ciemności, teraz mniej rozproszony. Ktoś istotnie szedł do tej części katakumb.

Zaczęła się wolno cofać, oddalać od ścigającego i ostrożnie zbliżać do rozwidlenia. Ani na sekundę nie odrywała wzroku od ruchomego snopa światła. Zastanawiała się, co robić. Ale po chwili było już za późno na decyzję.

Jej tylna stopa przebiła miękką powierzchnię podłoża. Soraja starała się przenieść ciężar ciała do przodu, ale dziura wsysała ją, ciągnęła do tyłu i w dół. Wyrzuciła przed siebie ramiona, żeby złapać równowagę, ale to nie wystarczyło. Była już zanurzona w mule po uda. Zaczęła się szarpać.

Nagle ostry blask rozświetlił korytarz. Czarna plama przybrała znajomy kształt. Ukraiński policjant wyglądał potężnie w ciasnej przestrzeni.

Zobaczył ją, wytrzeszczył oczy i sięgnął do kabury.

Dokładnie o dwudziestej drugiej czterdzieści pięć komputer Karima al – Dżamila zadzwieczał cicho, żeby przypomnieć, że za piętnaście minut odbędzie się drugie z dwóch codziennych spotkań z dyrektorem CIA. Karima obchodziło to dużo mniej niż tajemnicze zniknięcie Matthew Lenera. Zapytał o to Starego, ale sukinsyn powiedział tylko, że Lerner dostał „pewien przydział”. To mogło oznaczać wszystko. Jak każdy spiskowiec, Karim al – Dżamil nie cierpiał niewiadomych, a właśnie tym stał się Matthew Lerner. O dziwo, nawet Annę nie wiedziała, gdzie on jest. A przecież zawsze układała agentom plan podróży. Dyrektor CIA coś kombinował. Karim al – Dżamil nie mógł wykluczyć ewentualności, że nagle zniknięcie Lenera ma coś wspólnego z Anną. Musiał się jak najszybciej dowiedzieć, czy tak jest. Co oznaczało bezpośredni kontakt z dyrektorem.

Komputer znów zadzwieczał: czas iść. Karim zebrał przekłady ostatnich rozmów telefonicznych Dudźdży, które podsłuchał Tyfon. Przeczytał je w drodze na górę do gabinetu Starego.

Annę czekała na niego. Siedziała za biurkiem w swojej zwykłej urzędowej pozie. Kiedy się zjawił, na ułamek sekundy zabłysły jej oczy. Potem powiedziała:

–Jest u siebie.

Karim al – Dżamil skinął głową i minął asystentkę. Otworzyła przyciskiem drzwi z elektronicznym zamkiem i wpuściła gościa do ogromnego gabinetu. Dyrektor wisiał na telefonie, ale gestem przywołał Karima al – Dżamila.

–Tak jest. Wszystkie placówki mają pozostać w stanie najwyższego pogotowia. – Rozmawia z szefem Wydziału Operacyjnego. – Wczoraj rano porozumieliśmy się z dyrektorem MAEA – ciągnął po wysłuchaniu krótkiej odpowiedzi rozmówcy. – Ich personel został już zmobilizowany i jest czasowo pod naszą egidą. Tak. Teraz trzeba pilnować, żeby DHS nie spieprzył sprawy. To jest w tej chwili główny problem. Nie,

na razie utrzymujemy pełną blokadę informacyjną. Tylko tego by brakowało, żeby media zasiały panikę wśród ludności cywilnej. – Skinął głową. – Dobra. Informuj mnie na bieżąco, bez względu na porę. – Odłożył słuchawkę i pokazał Karimowi al – Dżamilowi, żeby usiadł. – Co masz dla mnie?

–W końcu przełom. – Karim al – Dżamil wręczył mu papiery, które dostał, gdy wychodził z biura. – Rejestrujemy niezwykle aktywność Dudźdży w eterze na terenie Jemenu.

Dyrektor popatrzył na informacje.

–Widzę, że zwłaszcza w prowincji Shabwah na południu.

–To górzysty, słabo zaludniony rejon – dodał Karim al – Dżamil. – Doskonale miejsce do budowy podziemnego ośrodka jądrowego.

–Zgadza się – powiedział Stary. – Wyślij tam jak najszybciej drużyny Skorpion. Ale chcę, żeby tym razem miały wsparcie lądowe. – Chwycił słuchawkę telefonu. – W Dżibuti stacjonują dwa bataliony marines. Każę im wysłać pełną kompanię do pomocy naszym. – Błyszczały mu oczy. – Dobra robota, Martinie. Być może twoi ludzie umożliwili nam zduszenie zagrożenia w zarodku.

–Dziękuję, panie dyrektorze.

Karim al – Dżamil się uśmiechnął. Stary miałby rację, gdyby raport nie zawierał fałszywych danych, które Dudźdża wysyłała w eter. Choć odludny obszar Shabwah rzeczywiście doskonale nadawał się na kryjówkę – on i jego brat rozważali kiedyś ten wariant – to w rzeczywistości podziemny ośrodek jądrowy organizacji znajdował się daleko od Jemenu Południowego.

Soraja pod jednym względem miała szczęście, choć początkowo ten uśmiech losu nie zrobił na niej wrażenia: żyły rud metali w ścianach katakumb uniemożliwiały policjantowi kontakt radiowy z resztą grupy. Był zdany na siebie.

Odzyskała zimną krew i przestała się ruszać. Szarpanie się tylko pogarszało sytuację, bo zanurzała się coraz głębiej w dole ściekowym. Tkwiła w mule do krocza, a ukraiński policjant szedł w jej kierunku.

Dopiero kiedy się zbliżył, zobaczyła, jaki jest przerażony. Kto wie, może stracił w katakumbach brata albo córkę? W każdym razie, było jasne, że doskonale zdaje sobie sprawę z wielu niebezpieczeństw czyhających w każdym kącie tuneli. Widział ją teraz w miejscu, w którym sam mógł się znaleźć w każdej chwili, odkąd kazano mu wejść do katakumb.

–Na litość boską, proszę mi pomóc!

Policjant podszedł do krawędzi dołu i oświetlił latarką. Jedno ramię trzymała przed sobą, drugie za plecami.

–Co pani tu robi?

–Jestem turystką. Zgubiłam się. – Zaczęła płakać. – Boję się, że utonę.

–Turystką? Na pewno nie. – Pokręcił głową. – Wiem, kim jesteś. Dla ciebie i twojego przyjaciela jest już za późno. – Wyjął pistolet i wycelował w Soraję. – Oboje dziś zginiecie.

–Nie bądź taki pewien – odparła i strzeliła mu w serce z walthera P99 compact.

Policjant wybałuszył oczy i upadł do tyłu jak tekturowy cel na strzelnicy. Upuścił

latarkę, która natychmiast zgasła.

–Niech to szlag – zaklęła pod nosem Soraja.

Wsunęła walthera do kabury pod pachą. Wyciągnęła go, gdy tylko odzyskała równowagę, i trzymała za plecami, kiedy nadchodził policjant. Teraz musiała dosięgnąć jego stóp. Opuściła górną połowę ciała w muł i spróbowała przyjąć pozycję poziomą. Manewr przybliżył ją do celu.

Unoś się, pomyślała. Unoś się, do cholery!

Rozluźniła mięśnie nóg, wykorzystwała tylko siłę tułowia, by przesunąć się do przodu, i maksymalnie wyciągnęła ręce przed siebie. Czuła, jak wsysa ją muł. Nogi i biodra ani drgnęły. Przewyciężyła kolejny przyływ paniki i skoncentrowała się na wolnym ruchu naprzód. W ciemności nie było to łatwe. Przez sekundę myślała, że jest już pod powierzchnią, że już po niej.

Potem natrafiła palcami na gumę. Podeszwy butów! Pokonała jeszcze centymetr, dwa i chwyciła policjanta za kostki. Wzięła głęboki oddech i spróbowała się podciągnąć. Nie przesunęła się nawet odrobinę, ale on tak. Jego nogi opadły do dołu. To wszystko. Reszta wielkiego ciała pozostawała na twardym podłożu.

Ale to wystarczyło. Wykorzystała jego zwłoki jako prowizoryczną pochylnię, wspięła się wolno, lecz pewnie, ręka za ręką po jego nogach i w końcu zacisnęła obie dłonie na szerokim skórzanym pasie policjanta. Powoli wydostała się z dołu.

Leżała przez chwilę na trupie, czuła gwałtowne bicie własnego serca i słyszała swój szybki oddech. Wreszcie stoczyła się na mokry grunt i wstała.

Tak jak się obawiała, jego latarka wysiadła. Wytarła swoją, modląc się, żeby sprzęt zadziałał. Rozbłysnął słaby promień światła, zgasł i znów rozbłysnął. Teraz, kiedy miała dobre oparcie dla nóg, zdołała wepchnąć policjanta do dołu. Potem zatarła butami ślady krwi.

Wiedząc, że kończą się baterie, pobiegła lewą odnogą korytarza w kierunku wyjścia najbliższej domu doktor Pawłyny.

Podczas drugiego postoju na tankowanie samolot z Martinem Lindrosem na pokładzie zabrał nowego pasażera. Osobnik usiadł obok Lindrosa i powiedział coś po arabsku z beduińskim akcentem Abbuda ibn Aziza.

Lindros odwrócił się do niego jak niewidomy. Wciąż miał na głowie czarny kaptur.

–Abbud ibn Aziz? Chyba nie.

–Jestem jego bratem. Nazywam się Muta ibn Aziz.

–Równie dobrze potrafisz okaleczać ludzi jak twój brat?

–Zostawiam to jemu – odparł ostro Muta ibn Aziz.

W ciemności Lindrosowi wyczuł słuch. Martin złowił uchem irytację w głosie rozmówcy i pomyślał, że mógłby ją wykorzystać.

–Więc masz czyste ręce, jak się domyślam. – Instynktownie wiedział, że Muta przygląda mu się tak, jakby właśnie zobaczył nowy gatunek ssaka.

–Mam czyste sumienie. Lindros wzruszył ramionami.

–Kłamiesz.

Muta ibn Aziz uderzył go w twarz.

Lindros poczuł smak własnej krwi. Zastanowił się przelomie, czy to możliwe, żeby

jeszcze bardziej spuchła mu warga.

–Masz więcej wspólnego ze swoim bratem, niż ci się wydaje – powiedział niewyraźnie.

–Mój brat i ja bardzo się różnimy.

Zapadła krępująca cisza. Lindros zorientował się, że Muta wyjawiał mu coś, czego żałuje. Był ciekaw, co dzieli Abbuda i Mutę, i jak to wykorzystać.

–Spędziłem kilka tygodni z Abbudem ibn Azizem. Torturował mnie, a kiedy to nic nie dało, próbował się ze mną zaprzyjaźnić.

–Ha!

–Ja też tak zareagowałem – odparł Lindros. – Chciał ze mnie tylko wydobyć to, co wiem o postrzeleniu Hamida ibn Aszefa.

Usłyszał, że Muta przysuwa się bliżej. Kiedy beduin znów się odezwał, jego głos był ledwo słyszalny przez warkot silników.

–Dlaczego to go interesowało? Powiedział?

–To byłaby głupota. – Lindros skierował wewnętrzną antenę na to, co się właśnie stało. Okoliczności postrzelenia Hamida ibn Aszefa miały najwyraźniej duże znaczenie dla obu braci. Dlaczego? – Abbud ibn Aziz może mieć różne wady, ale na pewno nie jest głupi.

–To prawda. – Głos Muty stwardniał. – Ale kłamca i oszust to zupełnie co innego niż głupiec.

Karim al – Dżamil ibn Hamid ibn Aszef al – Wahhib – człowiek, który od kilku dni uchodził za Martina Lindrosa – włamywał się właśnie do głównego komputera CIA. Problem polegał na tym, że nie znał kodu dostępu otwierającego cyfrowe wrota. Prawdziwy Martin Lindros nie wykrztusił tego z siebie. Do przewidzenia. Karim znalazł inny sposób, równie zgrabny i skuteczny. W wypadku głównego komputera CIA zabawa w hakera nie miała sensu. Lepszy od niego próbowali i odpadali. Firewall CIA, znany jako Wartownik, służył z tego, że był nie do przejścia jak ściana bunkra.

Karim wiedział jednak, że gdyby udało mu się całkowicie wyłączyć system, informatycy CIA przydzieliliby każdemu – jemu również – nowy kod dostępu. Sprawę mógł załatwić tylko wirus komputerowy. Ponieważ nie można było wpuścić go do systemu z zewnątrz – z powodu Wartownika – należało to zrobić od wewnątrz.

Karim musiał ściągnąć wirus do budynku CIA. Tylko jak? Próba przemycenia byłaby zbyt ryzykowna. Żaden agent CIA nie zdołałby ominąć zabezpieczeń. Karim i Fadi spędzili miesiące na rozwiązywaniu tego problemu.

I znaleźli wyjście. Szyfr na guziku koszuli Fadiego, odkryty przez agentów CIA, nie był wcale szyfrem, i dlatego Tim Hytner nie mógł go złamać. Był instrukcją, jak krok po kroku zrekonstruować wirusa przy użyciu zwykłego kodu binarnego – szeregiem poleceń na poziomie bazowym, realizowanych w tle i zupełnie niewidocznych. Po zrekonstruowaniu w komputerze CIA wirus miał zaatakować system operacyjny, zniekształcając podstawowe polecenia. Proces spowodowałby totalny chaos. W ciągu sześciu minut wszystkie terminale stałyby się bezużyteczne.

Wirus miał zabezpieczenie, więc nawet gdyby jakimś cudem Hytner się zorientował, że to nie szyfr, nie mógłby nieumyślnie uruchomić łańcucha instrukcji,

bo były odwrócone.

Karim otworzył plik, w którym pracował Hytner, wpisał odwrotnie łańcuch binarny i zachował. Potem wyszedł z systemu operacyjnego Linux i wszedł do języka programowania C++. Wprowadzenie do niego łańcucha instrukcji stworzyło stopnie, których potrzebował, by zbudować wirusa w C++.

Karim al – Dżamil patrzył w monitor. Musiał nacisnąć tylko jeden klawisz, by uaktywnić wirusa. W ciągu jednej dziesiątej sekundy sypnąłby się cały system operacyjny – nie tylko jego główne ścieżki, lecz także uszkodziłby połączenia krzyżowe i te z urządzeniami peryferyjnymi. Innymi słowy, zablokowałby, a potem zniekształcił wszystkie przychodzące i wychodzące dane, całkowicie omijając Wartownika. Można było to osiągnąć tylko przy użyciu komputera w wewnętrznej sieci CIA. Wartownik natychmiast zastopowałby każdy atak z sieci zewnętrznej, nawet najbardziej wyrafinowany.

Ale najpierw Karim musiał się zająć jeszcze jedną sprawą. Na innym ekranie wyświetlił pewne akta personalne i zaczął do nich wklejać nieprawdziwe, obciążające fakty, łącznie z szyfrem, który wykorzystał do stworzenia wirusa.

Kiedy skończył, wydrukował plik, umieścił strony w dossier CIA i zamknął całość pod kluczem. Jednym ruchem palca usunął zapis z ekranu i wyświetlił program, który cierpliwie czekał na uruchomienie. Westchnął lekko z satysfakcją i nacisnął klawisz.

Wirus został uaktywniony.

Abbud ibn Aziz, pozostawiony sam z falami i swoimi czarnymi myślami, pierwszy zobaczył Fadięgo – wyłaniał się z otworu, gdzie wcześniej była krata. Minęły trzy godziny, odkąd zniknęli w katakumbach. Znając miny i mowę ciała swojego przywódcy, od razu się zorientował, że nie udało się znaleźć Bourne'a. Bardzo niedobrze dla Fadięgo, a tym samym dla niego, Abbuda. Potem z dziury wygramolili się zdyszani policjanci.

–Straciłem w tej akcji człowieka, panie generale – rozległ się żałosny głos Kowego.

–Ja straciłem o wiele więcej, poruczniku – warknął Fadi. – Wasz człowiek nie potrafił zatrzymać zbiega. Zginął przez – własną nieudolność. Powiedziałbym, że spotkała go zasłużona kara. Zamiast mi się żalić, powinniście potraktować to zdarzenie jako nauczkę. Wasi ludzie nie są wystarczająco twardzi na dłuższą metę.

Zanim Kowe zdążył odpowiedzieć, Fadi odwrócił się na pięcie i pomaszerował przez plażę w kierunku moła, gdzie czekała przycumowana żaglówka.

–Ruszamy – rozkazał, gdy wszedł na pokład.

Był w podłym nastroju. W takich momentach stawał się najbardziej wybuchowy. Abbud ibn Aziz wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny, może z wyjątkiem Karima al – Dżamila. Właśnie o nim musiał teraz porozmawiać ze swoim przywódcą.

Zaczekał, aż odbiją od brzegu i załoga wytrzyma żagle. Stopniowo zostawiali policjantów za sobą. Płynęli wśród nocy przez Morze Czarne do miejsca, gdzie Abbud ibn Aziz kazał czekać kierowcy samochodu, który miał ich zawieźć na lotnisko. Siedząc z Fadim na dziobie, z dala od dwuosobowej załogi, poczęstował go jedzeniem i piciem. Przez jakiś czas posilali się w milczeniu i szumie wody wypiętrzającej się w symetryczną falę dziobową. Od czasu do czasu rozlegał się dźwięk syreny okrętowej jakiegoś statku, żałosny jak płacz dziecka, które się zgubiło.

–Kiedy cię nie było, dostałem niepokojącą wiadomość od doktora Senarza – zaczął Abbud ibn Aziz. – Twierdzi, że Veintrop jest już gotowy do ukończenia urządzenia jądrowego, ale ten zaprzecza.

–Veintrop gra na zwłokę – odrzekł Fadi. Abbud ibn Aziz przytaknął.

–Tak uważa Senarz, i ja mu wierzę. Jest doskonałym fizykiem jądrowym. Cóż, nie pierwszy raz mielibyśmy problem z Veintropem.

Fadi rozważał to przez chwilę.

–Dobra. Zadzwoń do brata. Niech się wybierze po Katię Veintrop i sprowadzi ją do Miram Shah. Tam się z nim spotkamy. Myślę, że kiedy doktor Veintrop zobaczy, co możemy zrobić z jego żoną, przestanie kombinować.

Abbud ibn Aziz spojrzał znacząco na zegarek.

–Ostatni samolot odleciał godzinę temu. Następny jest dopiero rano. Fadi siedział sztywno z nieruchomym wzrokiem. Abbud ibn Aziz wiedział, że jest nieobecny duchem, znów myśli o kalekim ojcu i czuje się winny. Abbud ibn Aziz wielokrotnie próbował przekonać przywódcę i przyjaciela, że powinien się koncentrować na teraźniejszości. Ale tamtą sprawę skomplikował głęboki ból, spowodowany zdradą,

zabójstwem. Matka Fadiego nigdy mu nie wybaczyła śmierci jej jedynej córki. Matka Abbuda ibn Aziza nigdy by go nie obarczyła takim straszliwym brzemieniem. Ale była muzułmanką, a matka Fadiego chrześcijanką. Na tym polegała różnica. On sam spotkał Sarę ibn Aszef mnóstwo razy, ale ani przez chwilę nie zaprzętał sobie nią głowy, aż do tamtej nocy w Odessie. Natomiast Fadi był pół – Anglikiem; kto zdołałby pojąć, co myśli o swojej siostrze, co czuje i dlaczego?

Abbudowi ibn Azizowi napięły się mięśnie brzucha. Oblizwał wargi i zaczął przemowę, którą sobie przećwiczył.

–Fadi, plan Karima al – Dżamila zaczyna mnie niepokoić. – Fadi wciąż milczał; nawet nie mrugnął okiem. Czy w ogóle usłyszał te słowa? Abbud ibn Aziz miał nadzieję, że tak. Ciągnął dalej:

–Po pierwsze, ta tajemniczość. Zadaję wam pytania, wy nie odpowiadacie. Próbuje sprawdzić bezpieczeństwo, ale ty i twój brat to blokujecie. Po drugie, ponosimy ogromne ryzyko. Jeśli wpadniemy, cała siatka Dudźdży będzie zagrożona. Wyjdzie na jaw główne źródło naszych funduszy.

–Dlaczego mówisz o tym akurat teraz? – Fadi się nie poruszył, nie wrócił z przeszłości. Odezwał się jak duch.

Abbud ibn Aziz aż się wzdrygnął.

–Siedzi mi to w głowie od początku. Ale właśnie ustaliłem tożsamość kobiety, z którą spotyka się Karim al – Dżamil.

–Jego kochanki – powiedział Fadi. – I...?

–Wasz ojciec wybrał sobie niewierną. Została jego żoną.

Fadi gwałtownie odwrócił głowę. Jego oczy przypominały ślepiea mangusty, która wzięła na celownik kobrę.

–Za daleko się posuwasz. Mówisz o mojej matce. Abbud ibn Aziz znów się wzdrygnął.

–Mówię o islamie i chrześcijaństwie. Fadi, mój przyjacielu, żyjemy pod chrześcijańską okupacją. To zagrożenie dla naszego sposobu życia. Toczymy wojnę. Przysięgliśmy, że będziemy walczyć i zwyciężymy. Na szali jest nasza tożsamość kulturowa, całe istnienie. – Zamilkł na chwilę. – Teraz Karim al – Dżamil sypia z niewierną, zasiewa w niej swoje nasienie, zwierza się jej... kto wie? Jeśli dowiedzą się o tym nasi, wpadną w gniew, zażądają śmierci niewiernej.

Fadi spochmurniał.

–Czyżbym słyszał z twoich ust groźby?

–Jak możesz tak myśleć? Nie powiem nikomu ani słowa.

Fadi wstał, rozstawił szeroko nogi, żeby nie stracić równowagi na kołyszącej się łodzi, i spojrzał z góry na swojego zastępcę.

–Ale wiesz, szpiegujesz mojego brata. Mówisz mi to i trzymasz mnie w garści.

–Przyjacielu, ja tylko próbuję cię chronić przed wpływem niewiernych. I wiem, choć inni tego nie wiedzą że ten plan ułożył Karim al – Dżamil. Twój brat zadaje się z wrogiem. Kiedyś sam mnie umieściłeś w twierdzy wroga, więc widziałem na własne oczy, ile zepsucia i szaleństwa jest w zachodniej kulturze. Odór jej zgnilizny moralnej przygotowuje mnie o mdłości. Ale może innych nie.

–Mojego brata?

–Możliwe, Fadi. Trudno mi jednak to stwierdzić, bo między nim a mną jest nieprzenikalny mur.

Fadi potrząsnął pięściami.

–Aha, teraz prawda wychodzi na jaw. Nie podoba ci się, że jesteś trzymany w niewiedzy, mimo że takie jest życzenie mojego brata. – Schylił się i rąbnął zastępcę w twarz. – Wiem, o co chodzi. Chcesz być wyniesiony ponad innych. Żądasz wiedzy, bo wiedza to władza, a ty pragniesz mieć jej więcej.

Abbud ibn Aziz trząsał się wewnątrz ze strachu. Nie ruszał się, nie śmiał podnieść ręki do piekącego policzka. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Fadi jest zdolny do tego, by bez krzty wyrzutów sumienia wykopać go za burtę i pozwolić mu utonąć. Mimo to trzymał obrany kurs. Gdyby się poddał, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

–Fadi, gdy pokazuję ci garść piasku, co widzisz?

–Teraz dajesz mi zagadki?

–Ja widzę świat. Rękę Allaha. – Abbud ibn Aziz szybko mówił dalej. – Jestem Arabem, człowiekiem z pustyni. Czystej i wspaniałej. Ty i Karim al – Dżamil urodziliście się i dorastaliście w zachodnich metropoliach. Owszem, trzeba poznać swojego wroga, by go pokonać, jak słusznie mówiłeś. Ale odpowiedz: co się dzieje, gdy zaczynasz się utożsamiać z wrogiem? Nie jest tak, że sam się nim stajesz?

Fadi kołysał się z boku na bok. Był bliski wybuchu.

–Śmiesz sugerować...

–Niczego nie sugeruję, Fadi. Wierz mi. To kwestia zaufania... wiary. Jeśli mi nie ufasz, nie pokładasz we mnie wiary, pozbądź się mnie. Odejdę bez słowa. Ale znamy się całe życie. Wszystko zawdzięczam tobie. Podobnie jak ty starasz się chronić Karima al – Dżamila, ja pragnę osłaniać ciebie przed niebezpieczeństwami wewnątrz i na zewnątrz Dudźdży.

–Więc ta obsesja doprowadziła cię do szaleństwa.

–Bardzo możliwe. – Abbud ibn Aziz siedział tak jak przedtem. Nie kulił się i nie krzywił, bo to z pewnością sprowokowałoby Fadiego do wyrzucenia go za burtę. – Mówię tylko, że dobrowolne odosobnienie Karima al – Dżamila czyni z niego siłę samą dla siebie. Nie możesz zaprzeczyć. Może to jest dla was wyłącznie korzystne, jak obaj uważacie. Ale wasz wzajemny stosunek ma poważną wadę. Brakuje kogoś, kto zapewniałby równowagę między wami a Dżudżą. – Abbud ibn Aziz zaryzykował. Wstał wolno i ostrożnie. – Dam ci przykład. Błagam, żebyś zadał sobie takie pytanie: czy ty i Karim al – Dżamil działacie z czystych pobudek? Znasz odpowiedź: nie. Motywy waszego działania są skażone obsesją na punkcie zemsty. Musicie zapomnieć o Jasonie Bournie i o tym, co spotkało waszego ojca. Był bez wątplenia wielkim człowiekiem. Ale jego czas minął; nadszedł twój. Taka jest kolej rzeczy. Próba jej zmiany to czysta arogancja prowadzi do zagłady. Musisz się teraz skoncentrować na przyszłości, nie na przeszłości. Myśleć o swoich ludziach. Jako ojciec, obrońca, wybawca. Bez ciebie nic nie znaczymy, jesteśmy niczym. Jesteś naszą świecą gwiazdą. Ale tylko wówczas, gdy motywy twojego działania są czyste.

Zapadło długie milczenie. Abbud ibn Aziz czuł się tak, jakby zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. Wierzył w swoje argumenty, w każde słowo.

Jeśli to ma być jego koniec, niech będzie. Umrze, wiedząc, że spełnił swój obowiązek wobec przywódcy i przyjaciela.

Ale Fadi przestał miażdżyć go wzrokiem, nie widział już morza ani świateł Odessy mrugających w ciemności. Znów wrócił w głąb siebie, gdzie, jak podejrzewał Abbud ibn Aziz – nie, miał wielką nadzieję – nawet Karim al – Dżamil nie miał wstępu.

Kiedy padły wszystkie komputery CIA, w kompleksie kwatery głównej rozpętało się piekło. Każdy osiągalny pracownik Wydziału Sygnałów i Kodów dostał polecenie, żeby zająć się problemem wirusa. Jedna trzecia tego personelu przełączyła Wartownika – firewalla CIA – na tryb pracy off – line, żeby przeprowadzić diagnostykę na trzecim poziomie. Reszta agentów przy użyciu oprogramowania antywirusowego sprawdzała cały intranet. Oprogramowanie „znajdź i zniszcz”, napisane dla CIA przez DARPA, wykorzystywało zaawansowany algorytm heurystyczny. Było narzędziem do rozwiązywania problemów systemowych, które stale się zmieniało i adaptowało w zależności od formy napotkanego wirusa.

Kompleks całkowicie zamknięto – nikogo nie wpuszczano i nie wypuszczano. W dźwiękoszczelnej, owalnej sali konferencyjnej naprzeciwko pokoi biurowych Starego, przy lśniącem, drewnianym stole siedziało dziewięciu mężczyzn. Każdy miał przed sobą terminal komputerowy, wpuszczony w blat stołu, i butelki schłodzonej wody mineralnej. Miejsce na lewo od dyrektora CIA zajmował szef Wydziału Sygnałów i Kodów, nazywanego w skrócie SC. Był stale informowany o postępach swoich podwładnych. Wiadomości wyświetlały się na jego monitorze były „czyszczone” – stawały się zrozumiałe dla niewtajemniczonych w sali – i ukazywały się na jednym z sześciu płaskich ekranów, zamontowanych na ścianach pokrytych czarnym, matowym filcem.

–Nic nie może stąd przeciec – powiedział dyrektor CIA. Dziś czuł swoje sześćdziesiąt osiem lat. – Wszystko musi pozostać w tej sali. – Przeszłość przygniatała go jak ciężar na barkach Atlasa. Wiedział, że któregoś z takich dni to brzemień złamie mu kark. Ale nie dziś, do cholery!

–Nic nie jest zagrożone – odezwał się szef Wydziału Sygnałów i Kodów, patrząc na rzędy danych na swoim monitorze. – Wirus nie pochodził z zewnątrz. Diagnozowanie Wartownika zostało zakończone. Firewall cały czas spełniał swoje zadanie, działał tak, jak go zaprogramowano. Nie zawiódł.

–Więc co się, do cholery, stało? – warknął dyrektor CIA. Dziękował już swojej szczęśliwej gwiazdzie za to, że sekretarz obrony nie dowie się o tej katastrofie.

Szef SC podniósł lśniąca, łysą głowę.

–O ile możemy coś stwierdzić na obecnym etapie, zaatakowano nas od wewnątrz.

–Od wewnątrz? – powtórzył z niedowierzaniem Karim al – Dżamil. Siedział na prawo od Starego. – Chcesz powiedzieć, że mamy w agencji zdrajcę?

–Na to by wyglądało – wtrącił się Rob Batt, szef Wydziału Operacyjnego, najbardziej wpływowego z Siódemki, jak wewnętrznie nazywano zarząd CIA, składający się z szefów wydziałów.

–Rob, zajmijcie się tym wszyscy jak najszybciej – polecił Stary. – Potwierdźcie to albo zapewnijcie nas, że jesteśmy czysti.

–Ja mogę to zrobić – wyrwał się Karim i natychmiast tego pożałował.

Wężowe oczy Roba Barta zwróciły się w jego kierunku.

–Nie masz bez tego dość roboty, Martinie? – zapytał cicho. Dyrektor CIA odchrząknął.

–Martinie, musisz skoncentrować wszystkie swoje środki na powstrzymaniu Dudźdży. – Ostatnia rzecz, jakiej teraz trzeba, to wojna kompetencyjna między szefami wydziałów, pomyślał kwaśno. Odwrócił się do szefa SC. – Kiedy znów będą działały komputery?

–Najpewniej jutro.

–Nie ma mowy – warknął Stary. – Daję ci dwie godziny. Szef SC podrapał się w łysą czaszkę.

–Moglibyśmy się przełączyć na sieć rezerwową. Ale wtedy musielibyśmy przydzielić wszystkim w budynku nowe kody dost...

–Zróbcie to! – rozkazał Stary. Uderzył otwartą dłońią w stół. – Dobra, panowie. Do roboty. Zetrzyjmy z butów to gówno, zanim zacznie śmierdzieć!

Bourne, na przemian tracąc i odzyskując przytomność, na nowo przeżywał wydarzenia z przeszłości, które przesładowały go od śmierci Marie.

...Jest w Odessie, biegnie brukowaną ulicą. Noc; czuje od Morza Czarnego powiew chłodnego wiatru, przesyconego zapachem minerałów. Niesie na rękach młodą kobietę, która przeraźliwie szybko się wykrwawia. Widzi jej ranę postrzałową; wie, że ona umrze. Kiedy ta myśl przychodzi mu do głowy, kobieta otwiera oczy. Ma rozszerzone z bólu źrenice. Próbuje go zobaczyć w ciemności w ostatnich sekundach życia.

Nic nie jest w stanie zrobić, oprócz tego, że wyniesie ją z placu, gdzie została postrzelona. Kobieta porusza wargami. Nie może wydobyć z siebie głosu. Na jego uchu pojawia się krew, gdy przyciska je do otwartych ust rannej.

Słaby głos kobiety rozbrzmiewa na jego błonie bębenkowej, ale on słyszy tylko szum morza. Nieznajoma traci oddech. Pozostaje jedynie odgłos nierównych uderzeń jego butów o bruk...

Słania się na nogach, przewraca. Czołga się, opiera plecami o śliską, ceglana ścianę. Nie może uwolnić kobiety ze swojego uścisku. Kim ona jest? Patrzy w dół na jej twarz, próbuje się skoncentrować. Gdyby zdołał ją przywrócić do życia, zapytałby, jak ona się nazywa. Mogłem ją uratować, myśli z rozpaczą.

I teraz, przez moment, trzyma w ramionach Marie. Krwi już nie ma, ale życie nie wróciło. Marie nie żyje. Mogłem ją uratować, myśli z rozpaczą...

Ocknął się, płacząc za swoją straconą miłością, za straconym życiem.

–Powinienem być ratować! – I nagle zrozumiał, dlaczego fragmenty jego przeszłości wróciły w momencie śmierci Marie.

Przygniatało go poczucie winy. Więc musiało ono wynikać z tego, że miał szansę uratować tamtą zakrwawioną kobietę, ale tego nie zrobił.

–Martinie, na słówko.

Karim al – Dżamil odwrócił się i zobaczył, że patrzy na niego Rob Batt – nie wstał jak inni w sali konferencyjnej. Teraz w zaciemnionym pomieszczeniu pozostali tylko oni dwaj.

Spojrzał na Szefa Wydziału Operacyjnego z obojętną miną.

–Jak sam zauważyłeś, Rob, mam masę roboty. '

Dłonie Butta przypominały tasaki do mięsa. Były nienaturalnie ciemne, jakby stale plamiła je krew. Rozłożył je teraz w pojednawczym geście, ale wyglądało to groźnie, jak pokaz brutalnej zwierzęcej siły goryla szykującego się do ataku.

–To zajmie tylko minutkę.

Karim zawrócił i usiadł przy stole na wprost niego. Batt należał do ludzi, którzy ledwo wytrzymują w biurowym otoczeniu. Garnitur ciągle go uwierał. Opaleniznę na głęboko pobrużdżonej twarzy mógł równie dobrze zawdzięczać jeździe na nartach w Gstaad, jak krwawym polowaniom na ludzi w górach Afganistanu. Karim uważał, że to wszystko jest interesujące, bo spędził tyle czasu w eleganckich salonach krawieckich, przymierzając zachodnie ubrania, że w garniturze z Savile Row czuł się tak naturalnie jak w burnusie.

Złączył końce palców i uśmiechnął się lekko.

–Czym mogę służyć, Rob?

–Szczerze mówiąc, jestem trochę zaniepokojony. – Najwyraźniej nie zamierzał owijać niczego w bawełnę, a może sztuka konwersacji nie była jego mocną stroną.

Karim poczuł przyspieszone bicie serca.

–Czym? – zapytał uprzejmym tonem.

–Masz za sobą cholernie ciężkie przeżycia. Uważam, że powinieneś wziąć kilka tygodni urlopu, zrelaksować się, pójść do innych lekarzy.

–Mówisz o psychiatrach?

Batt ciągnął dalej, jakby nie usłyszał pytania.

–Stary mnie zbył. Powiedział, że twoja praca jest zbyt ważna, zwłaszcza w czasie tego kryzysu. – Wykrzywił wargi tak, że u kogoś innego mogłoby to uchodzić za uśmiech. – Ale przecież właśnie teraz chciałeś się włączyć do mojego śledztwa w sprawie wirusa. – Wężowe oczy, czarne jak wulkaniczna gleba, badawczo przesunęły się po Karimie. – Nigdy przedtem nie wkraczałeś na mój teren. Zawarliśmy umowę, że nie będziemy sobie tego robili.

Karim milczał. A jeśli to pułapka? A jeśli Lindros i Batt nigdy nie zawarli takiej umowy?

–Nie rozumiem, dlaczego nie dotrzymałeś słowa – kontynuował Batt. – Dlaczego w obecnej sytuacji chciałeś wziąć sobie na głowę jeszcze więcej pracy? – Zniżył głos i jednocześnie zwolnił jak gęstniejący miód. Gdyby był zwierzęciem, okrężałby teraz Karima i czekał na dogodny moment, żeby zaatakować.

–Przepraszam, Rob. Zamierzałem pomóc, to wszystko. Nie...

Batt wysunął przed siebie głowę tak gwałtownie, że Karim musiał nad sobą zapanować, żeby się nie odchylić do tyłu.

–Martwię się o ciebie, Martinie. – Wąskie wargi Batta zacisnęły się w cienką linię. – Ale w przeciwieństwie do naszego nieźrównanego wodza, który kocha cię jak syna,

i wszystko ci wybacza, ja niepokoję się o ciebie raczej jak starszy brat o młodszego. – Rozłożył wielkie jak maczugi łapska na stole między nimi. – Byłeś w rękach wroga. Próbowali cię zgnoić. Wiesz o tym. I ja też. A skąd?

–Na pewno z wyników moich testów...

–Pieprzyć wyniki testów – odparł krótko Batt. – Są dla naukowców, którymi na pewno nie jesteśmy. Oni wciąż omawiają te wyniki i będą nad nimi siedzieli do usranej śmierci. Na dodatek musieliśmy zasięgnąć opinii Jasona Bourne'a, gościa, który w najlepszym wypadku jest niezrównoważony, a w najgorszym stanowi zagrożenie dla CIA. Ale to właśnie on cię najlepiej zna. Ironia losu, co? – Przechylił głowę. – Po cholere utrzymujesz z nim kontakt?

–Zajrzyj do jego akt – odparł Karim. – Bourne jest dla mnie cenniejszy... dla nas cenniejszy niż gromada twoich agentów. – Ja chwałę Bourne'a, pomyślał. To dopiero jest ironia losu.

Batt nie dał się zniechęcić.

–Niepokoi mnie twoje zachowanie, Martinie. Pod pewnymi względami wszystko jest w porządku, jak zawsze. Ale w innych, drobniejszych, bardziej subtelnych sprawach... – Pokręcił głową. – Coś się zmieniło. Zawsze byłeś odludkiem, stary sukinsynu. Szefowie innych wydziałów mówili, że uważasz się za lepszego od nas. Ja nie. Rozgryzłem cię, jesteś mózgowcem. Nie nawiązujesz powierzchownych znajomości, które w tym budynku uchodzą za przyjaźń.

Karim zastanawiał się, czy właśnie nadeszła chwila – z czym oczywiście się liczył – kiedy jeden z kolegów Lindrosa stał się podejrzliwy. Ale wykalkulował sobie, że taka ewentualność jest mało prawdopodobna – jego obecność w kwaterze głównej CIA miała być kwestią kilku dni. I jak powiedział Batt, Lindros zawsze był samotnikiem. Mimo to musiał zdecydować, jak zneutralizować szefa wydziału.

–Jeśli zauważyłeś w moim zachowaniu jakąś niekonsekwencję, to jest ona na pewno wynikiem stresu spowodowanego obecną sytuacją. Jestem mistrzem w oddzielaniu różnych spraw w swoim życiu. Mogę cię uspokoić, że przeszłość nie ma tu nic do rzeczy.

Przez chwilę panowało milczenie. Karim odnosił wrażenie, że przesuwają się obok niego bardzo niebezpieczna bestia – tak blisko, że czuje obrzydliwy odór jej piżma.

Batt skinął głową.

–W takim razie, to wszystko, Martinie. – Wstał i wyciągnął rękę. – Cieszę się, że mogliśmy szczerze pogadać.

Kiedy Karim wychodził, był szczęśliwy, że podłożył przekonujące dowody, które wskazywały tożsamość „zdrajcy”. Inaczej Batt zatopiłby zęby w jego karku.

–Cześć, Oleksandr. Dobry pies.

Soraja, z ciężką torbą na ramieniu, wróciła do kryjówki, gdzie zostawiła Bourne'a, ze strasznym przecuciem nieszczęścia. Ale w świetle lampy naftowej, którą przyniosła, zobaczyła, że Bourne żyje, tylko jest nieprzytomny z powodu upływu krwi. Bokser siedział twardo przy jego boku. Poszukał brązowymi oczami jej wzroku, jakby błagał o pomoc.

–Spokojnie – mruknęła do Bourne'a i psa. – Już jestem. Wyładowała z torby

plastikowe worki z różnymi płynami od doktor Pawłyny. Dotknęła czoła Bourne'a i powtórzyła w pamięci instrukcje lekarki.

Rozdarła foliowe opakowanie, wyjęła igłę i wkuła w żyłę po wewnętrznej stronie lewej ręki Bourne'a. Umocowała do igły końcówkę i połączyła ją z rurką biegnącą do pierwszego worka z płynem, dwoma antybiotykami o szerokim zakresie działania. Kiedy Bourne był już pod kroplówką, zdjęła mu prowizoryczny bandaż przesiąknięty krwią i polała ranę dużą ilością sterylnego roztworu soli. Lekarka powiedziała, że antyseptyk tylko opóźniłby proces gojenia.

Przysunęła lampę bliżej i poszukała obcych ciał – nitek, skrawków ubrania, czegokolwiek. Ku swej wielkiej uldze niczego nie znalazła; rana była czysta. Ale na krawędziach zobaczyła martwą tkankę, którą musiała usunąć nożyczkami chirurgicznymi.

Wzięła za uchwyt maleńką, zakrzywioną igłę, przekłuła skórę i przewlekła nylonową nić. Bardzo ostrożnie ściągnęła dwa brzegi rany i założyła prostokątny szew, tak jak pokazała doktor Pawłyna. Zrobiła to bardzo delikatnie, żeby za bardzo nie naciągnąć skóry, co zwiększyłoby ryzyko infekcji. Potem związała koniec szwu i ucięła resztę nici przymocowaną do igły. Następnie umieściła na zszytej ranie sterylną gazę i obandażowała Bourne'a w pasie.

Przez ten czas kroplówka z antybiotykami zrobiła się pusta. Soraja odłączyła ją i zastąpiła inną, z płynami nawadniającymi i odżywczymi.

Bourne spał przez godzinę. Później zaczął się budzić.

Otworzył oczy.

Soraja uśmiechnęła się do niego.

–Wiesz, gdzie jesteś?

–Wróciłaś – szepnął.

–Przecież obiecywałem.

–Co z Fadim?

–Nie wiem. Zastrzeliłam jednego policjanta, ale nie widziałam nikogo więcej. Chyba sobie odpuścili.

Zamknął na chwilę oczy.

–Pamiętam, Sorajo. Przypomniałem sobie. Pokręciła głową.

–Odpoczywaj. Potem porozmawiamy.

–Nie. Teraz. – Na jego twarzy pojawił się wyraz ponurej koncentracji. Co się z nim stało? Ocknął się i natychmiast poczuł inaczej, jakby jego umysł został uwolniony z imadła. Miał wrażenie, że wreszcie wyszedł z niekończącego się wąwozu, w którym egzystował. Dokuczliwy ból głowy zniknął, grzebiące obrazy rozwiały się jak dym, uporczywe głosy zamilkły. Pamiętał teraz bardzo dokładnie to, co doktor Sunderland mówił o tworzeniu się wspomnień, o tym, jak nienormalna aktywność mózgu spowodowana urazem lub ekstremalnymi sytuacjami może wpływać na ich powstawanie i powracanie.

–Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jaki byłem głupi, skoro w ogóle pomyślałem o wyprowadzeniu Cevika z celi Tyfona – zaczął. – Działy się też inne dziwne rzeczy. Na przykład, w czasie ucieczki Fadiego sparaliżował mnie potworny

ból głowy.

–Kiedy został zastrzelony Tim.

–Tak. – Spróbował usiąść i skrzywił się z bólu. Soraja natychmiast znalazła się przy nim.

–Nie wstawaj.

Nie dał się zniechęcić.

–Pomóż mi usiąść.

–Jasonie...

–Rób, co mówię – odparł ostro.

Objęła go, dźwignęła i usadowiła tak, że oparł się plecami o ścianę.

–Te dziwne przymusy wewnętrzne stawiały mnie w niebezpiecznych sytuacjach – ciągnął. – Za każdym razem zachowywałem się tak, że Fadi na tym korzystał.

–Zbieg okoliczności – powiedziała. Jego uśmiech był niemal bolesny.

–Sorajo, jeśli życie czegoś mnie nauczyło, to tego, że zbieg okoliczności jest najczęściej oznaką istnienia spisku.

Roześmiała się cicho.

–Mówisz jak prawdziwy paranoik.

–Dzięki mojej paranoi jeszcze żyję. – Bourne się poruszył. – A jeśli jestem na jakimś tropie?

Skrzyżowała ręce na piersi.

–Na tropie czego?

–Dobra, na początek wyjdźmy z założenia, że te zbiegi okoliczności, miały swoje korzenie w spisku. Jak wspomniałem, wszystkie były korzystne dla Fadiego.

–Mów dalej.

–Bóle głowy zaczęły się po mojej wizycie u doktora Sunderlanda, specjalisty od leczenia amnezji, poleconego mi przez Martina.

Soraja zmarszczyła brwi. Nagle to, co mówił Bourne, przestało być śmieszne.

–Dlaczego do niego poszedłeś? – zapytała.

–Bo fragmenty wspomnień mojego pierwszego pobytu tutaj, w Odessie, doprowadzały mnie do oblędu. Ale wtedy nawet nie wiedziałem, że chodzi o Odessę.

–Ale jak te wspomnienia mogły być częścią spisku, który wężysz?

–Nie wiem – przyznał Bourne.

–Nie mogły. – Soraja uświadomiła sobie, że zwraca się przeciwko niemu.

Bourne machnął ręką.

–Zostawmy to na chwilę. Kiedy transportowałem Martina do domu, powiedział mi, że muszę tu przyjechać, bez względu na wszystko, żeby znaleźć Lemontowa, który podobno był bankierem Dudźdży. Uważał, że jeśli dopadnę Lemontowa, źródło finansowania terrorystów wyschnie.

Soraja skinęła głową.

–Słuszne rozumowanie.

–Owszem, gdyby Lemontow istniał. Ale nie istnieje. – Bourne miał nieprzeniknioną minę. – Mało tego, Fadi wiedział o „Lemontowie”. Doskonale się orientował, że to fikcja!

–No i...?

Bourne odepchnął się od ściany i zbliżył twarz do Sorai.

–A skąd mógł mieć takie informacje?

–Zapominasz, że Lindros był przesłuchiwany przez Dudźdżę. Może zrobili mu pranie mózgu.

–To by sugerowało, że wiedzieli, iż zostanie uwolniony. Soraja rozważała to przez chwilę.

–Interesujące. Mnie Lindros też mówił o Lemontowie. Dlatego tu jestem. Ale po co? Dlaczego wysłał do Odessy nas oboje?

–Żebyśmy ścigali ducha – wyjaśnił Bourne. – To był po prostu podstęp. Fadi, zamierzał mnie zabić! Widziałem to w jego oczach, słyszałem w głosie. Długo czekał na spotkanie ze mną.

Soraja wyglądała na wstrząśniętą.

–I jeszcze jedno – ciągnął Bourne. – Kiedy lecieliśmy z Martinem do domu, wyznał, że przesłuchujący stale go pytali o akcję przeciwko Hamidowi ibn Aszefowi. To była moja misja. Pytał, czy ją pamiętam.

–Jasonie, dlaczego Lindrosa miałyby interesować operacja zaplanowana przez Aleksa Conklina?

–Wiesz dlaczego – odparł Bourne. – Fadiego i Martina coś łączy.

–Co?!

–I doktora Sunderlanda. – W jego teorii była żelazna logika. – Kuracja Sunderlanda wpłynęła na mnie tak, że w decydujących momentach popełniałem błędy.

–Jak to możliwe?

–Technika prania mózgu polega na użyciu koloru, dźwięku, kluczowego słowa lub zdania, które potem wywołuje określoną reakcję obiektu.

„W celi nic się nie zapali”. Te słowa tłukły się Bourne'owi po głowie, aż myślał, że oszaleje.

Powtórzył to zdanie Sorai.

–Fadi tak do mnie powiedział. Właśnie to zdanie wywołało u mnie ból głowy. Fadi uruchomił mechanizm. Znał słowa, które wprowadził do mojego mózgu Sunderland.

–Pamiętam wtedy twój wyraz twarzy – odparła Soraja. – Ale czy przypominasz sobie, żeby coś mówił o Odessie?

–Tu został zaatakowany Hamid ibn Aszef, Sorajo. Wszystko się sprowadza do tej sprawy. – Miał niezdrową cerę; wydał się nagle zmęczony. – W tym tkwi sedno spisku. Ale co jest jego ostatecznym celem?

–I jak nakłonili Lindrosa, żeby im pomógł?

–Wcale go nie nakłonili. Znam Martina lepiej niż ktokolwiek inny. Nie dopuściłby się zdrady.

Rozłożyła ręce.

–Więc jak to inaczej wyjaśnić?

–A jeśli człowiek, którego uratowałem przed Dudźdżą, sprowadziłem do CIA i poręczyłem za niego, nie jest Martinem Lindrosem?

Uniosła otwarte dłonie.

–Dobra, wystarczy, bo już przekraczasz granicę między paranoją a pełną psychozą!

Zignorował jej wybuch.

–A jeśli ten człowiek, który teraz kieruje Tyfonem, to oszust?

–Jasonie, to niemożliwe. On wygląda jak Lindros, mówi jak Lindros... Przeszedł test siatkówki oka, na litość boską!

–Skaner siatkówki można oszukać – zauważył Bourne. – To wyjątkowo rzadka i trudna sprawa, potrzebny jest implant siatkówki lub całego oka. Ale jeśli ten oszust poddał się zabiegowi zmiany twarzy, to wszczepienie siatkówki było dla niego drobiazgiem.

Soraja pokręciła głową.

–Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Oszust w kwaterze głównej CIA, kierujący ponad tysiącem agentów na całym świecie? Powtarzam: niemożliwe, to zupełne szaleństwo.

–Właśnie dlatego się udało. Ty, ja, wszyscy w Tyfonie i całej agencji jesteście manipulowani, kierowani na fałszywe tropy. Od początku był taki plan. Kiedy uganiamy się po całym świecie, Fadi przemyca do Stanów swoich ludzi i po kawałku transportuje bombę jądrową do miejsca, gdzie ma być zdetonowana.

Soraja była zaszokowana.

–To potworne, co mówisz. Nikt ci nie uwierzy. Nawet nie potrafię tego ogarnąć. – Usiadła na brzegu łóżka z desek. – Posłuchaj, straciłeś dużo krwi. Jesteś wykończony, nie myślisz jasno. Musisz się wyspać, a potem...

–Jest jeden pewny sposób na sprawdzenie, czy Martin Lindros, którego sprowadziłem, to rzeczywiście on, czy oszust – ciągnął uparcie Bourne. – Muszę znaleźć prawdziwego Martina Lindrosa. Jeśli mam rację, to znaczy, że on żyje. Jest potrzebny oszustowi. – Zaczął się zsuwać z łóżka. – Musimy...

Powstrzymał go silny zawrót głowy. Oparł się z powrotem o ścianę. Soraja pociągnęła go w dół do pozycji leżącej. Ze zmęczenia zaciążyły mu powieki.

–Potem coś postanowimy, na razie potrzebujesz snu – oznajmiła z determinacją. – Oboje jesteście wykończeni, a ty musisz wydobrzeć.

Po chwili zapadł w sen. Soraja wstała i usadowiła się na podłodze obok desek. Rozpostarła ramiona; Oleksandr zwinął się w kłębek przy jej piersi. Była pełna złych przeczuc. A jeśli Bourne ma rację? Gdyby jego teoria okazała się prawdziwa, skutki byłyby trudne do wyobrażenia. A jednak nie mogła przestać o tym myśleć.

–Och, Oleksandr – szepnęła. – Co my mamy robić? Bokser polizał jej twarz.

Zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać. Stopniowo, czując uspokajające bicie serca Oleksandra, zapadła w sen.

Matthew Lerner i Jon Mueller poznali się dziesięć lat temu szczęśliwym zbiegiem okoliczności w burdelu w Bangkoku. Mieli wiele wspólnego poza chodzeniem na dziwki, pić i zabijaniem. Podobnie jak Lerner, Mueller był samotnikiem, samoukiem geniuszem w dziedzinie operacji taktycznych i analiz strategicznych. Natychmiast dostrzegli w sobie nawzajem coś, co ich do siebie przyciągnęło, mimo że Lerner pracował w CIA, a Mueller, w owym czasie, w NSA.

Lerner, idąc teraz przez terminal pasażerski na lotnisku w Odessie i zbliżając się do swojego celu, miał powód, by pomyśleć o Muellerze i o wszystkim, czego się od niego nauczył. Zadzwęczała komórka. Dzwonił Weller z Policji Metropolitalnej Dystryktu Kolumbia. Lerner opłacał kilku ludzi z komendy.

–Co się urodziło? – zapytał, gdy tylko rozpoznał głos sierżanta.

–Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć. Overton zniknął. Lerner przystanął, potrącony przez innych pasażerów, którzy go mijali.

–Co?!

–Nie przyszedł na swoją zmianę. Jego komórka nie odpowiada. W domu go nie ma. Przepadł, Matt.

Lerner miał zamęt w głowie. Patrzył na dwóch przechodzących policjantów. Zatrzymali się na chwilę, by zamienić kilka słów z kolegą idącym w przeciwnym kierunku, potem poszli dalej, rozglądając się czujnie.

Wobec wymownej ciszy Weller zaryzykował pytanie:

–Overton rozpracowywał dla ciebie jakąś sprawę, nie?

–Jakiś czas temu – skłamał Lerner. Nie twój zasrany interes, pomyślał. – Ale dzięki za cynk.

–Za to mi płacisz. – Weller się wyłączył.

Lerner chwycił swoją małą walizkę i odszedł na bok. Instynkt mówił mu, że Overton nie żyje. Zadawał sobie pytanie, jak Annę Held go zabiła. Bo był pewien, że za śmiercią Overtona stała Held.

Może nie docenił tej sukki. Najwyraźniej włamanie Overtona do domu nie wystarczyło, żeby ją zastraszyć. Postanowiła walczyć. Lerner żałował, że jest tak daleko. Chętnie by się do niej dobrał. Ale na razie miał do załatwienia ważniejszą sprawę.

Otworzył komórkę i wybrał zastrzeżony numer w Waszyngtonie. Zaczekał, aż sygnał przejdzie jak zwykle przez system bezpieczeństwa. Potem rozległ się znajomy głos.

–Cześć, Matt.

–Cześć, Jon. Mam dla ciebie coś ciekawego. Mueller się roześmiał.

–Każda robota dla ciebie jest ciekawa.

Lerner opisał mu krótko Annę Held i przedstawił sytuację.

–Zaskoczyła cię, co?

–Zlekceważyłem ją – przyznał Lerner. On i Jon nie mieli przed sobą tajemnic. – Nie popełnij tego samego błędu.

–Bez obaw. Zdejmę paniusię.

–Mówię poważnie, Jon. To cwana suka. Do głowy by mi nie przyszło, że może załatwić Overtona. Ale nic nie rób, dopóki nie porozmawiasz z sekretarzem. To jego rozgrywka, on decyduje, czy rzucić kości.

Doktor Pawłyna czekała na niego tuż za rzędem stanowisk kontroli celnej i paszportowej. Lerner nie zastanawiał się nad tym, ale powinien się zorientować po nazwisku, że to będzie kobieta. Obecna szefowa placówki CIA w Odessie. Baba. Lerner zanotował sobie w pamięci, żeby coś z tym zrobić, jak tylko wróci do Waszyngtonu.

Doktor Pawłyna była wysoka i postawna. Miała duży biust i gęste, ciemne, ale już siwiejące włosy, choć wyglądała najwyżej na czterdzieści lat.

Wyszli z terminalu. Popołudnie okazało się cieplejsze, niż Lerner się spodziewał. Pierwszy raz był w Odessie. Wyobrażał sobie bardziej moskiewską pogodę, która kilka razy dała mu się we znaki.

–Los się do pana uśmiechnął, panie Lerner – powiedziała doktor Pawłyna, kiedy przecinali jezdnię w drodze na parking. – Mam kontakt z tym człowiekiem, którego musi pan znaleźć. Choć nie bezpośredni. Wygląda na to, że jest ranny. Dźgnięcie nożem w bok. Głębokie, ale żaden narząd wewnętrzny nie został uszkodzony; Bourne stracił mnóstwo krwi.

–Skąd pani to wszystko wie, skoro nie ma pani z nim bezpośredniego kontaktu?

–Na szczęście nie jest sam. Towarzyszy mu ktoś od nas. Soraja Moore. Była u mnie dzisiejszej nocy. Powiedziała, że Bourne jest w takim stanie, że nie mógł z nią przyjść. Dałam jej antybiotyki, nici chirurgiczne i inne specyfiki.

–Gdzie oni są?

–Nie powiedziała, a ja nie pytałam. Standardowa procedura operacyjna.

–Szkoda – odparł z prawdziwym żalem Lerner. Zastanawiał się, co tu, do cholery, robi Soraja? Skąd wiedziała, że Bourne jest w Odessie? Musiał ją przysłać Martin Lindros. Ale po co? Bourne zawsze pracuje sam... Ten przydział wydawał się bez sensu. Lerner chętnie by zadzwonił do Lindrosa i zapytał, co jest grane, ale oczywiście nie mógł. Jego pobyt tutaj był tajemnicą, Stary powiedział to jasno doktor Pawłynie, kiedy do niej telefonował.

Zatrzymali się przy nowej, srebrnej skodzie octavii RS, niedużym, ale porządnym, podrasowanym kombi. Doktor Pawłyna otworzyła drzwi i wsiedli.

–Dyrektor osobiście polecił mi udzielić panu wszelkiej pomocy, jaką tylko będę mogła zorganizować. – Doktor Pawłyna zapłaciła za parking. – Zaistniały nowe okoliczności. Wygląda na to, że Bourne jest poszukiwany przez policję za cztery zabójstwa.

–To znaczy, że będzie musiał wynieść się z Odessy jak najszybciej i jak najciszej.

–Tak bym zrobiła na jego miejscu. – Zaczekała na lukę między samochodami i włączyła się do ruchu.

Lerner obserwował wprawnym okiem wszystko wokół siebie.

–To stosunkowo duże miasto. Na pewno jest mnóstwo sposobów, żeby się stąd wydostać.

–Oczywiście – przytaknęła Pawłyna. – Ale Bourne będzie miał bardzo niewielki

wybór. Lotnisko odpada. Jest tam teraz masa policjantów. Tamtędy się nie wymknie.

–Niech pani nie będzie taka pewna. Ten facet to kameleon. Doktor Pawłyna przeskoczyła na lewy pas i przyspieszyła.

–Zapomina pan, że Bourne jest ciężko ranny. Policja skądś to wie. To byłoby dla niego zbyt ryzykowne.

–Więc jakie ma wyjście? – zapytał Lerner, – Pociąg, samochód?

–Nic z tego. Kolej nie wywiezie go poza Ukrainę, a jazda samochodem byłaby zbyt długa i niebezpieczna: blokady drogowe, i patrole.

–Pozostaje statek. Skinęła głową.

–Z Odessy odpływa prom pasażerski do Stambułu, ale tylko raz w tygodniu. Bourne musiałby się gdzieś zaszyć na cztery dni. – Zastanowiła się i zwiększyła szybkość. – To miasto żyje z handlu. Promy towarowe i kolejowe kursują kilka razy dziennie między tutejszym portem i różnymi miejscami w Bułgarii, Gruzji, Turcji, Egipcie i na Cyprze. Ochrona jest dość luźna. Moim zdaniem to byłby dla niego najlepszy wybór.

–Więc lepiej od razu pojedźmy do portu – zdecydował Lerner – bo inaczej na pewno go zgubimy.

Jewgienij Fejodowicz wmaszerował na targ Priwoz. Nie zatrzymał się swoim zwyczajem przy kumplach, żeby z nimi zapalić i pogadać, tylko od razu skierował się do rzędu straganów z nabiałem. Tego ranka nie miał czasu dla kolegów – musiał się wynieść w cholerę z Odessy.

Magda, jego współpracownica, z którą prowadził kiosk, już była na miejscu. Jajka pochodziły z jej kurzej fermy. On wyłożył kapitał.

Wszedł za ladę.

–Nikt o mnie nie pytał?

Wyjmowała jajka ze skrzynek i układała według kolorów i wielkości.

–Nie. Cisza jak na cmentarzu.

–Dlaczego tak powiedziałaś?

Coś w tonie jego głosu kazało jej przerwać pracę i podnieść wzrok.

–O co ci chodzi?

–O nic. – Zaczął zbierać swoje rzeczy.

–Akurat. Wyglądasz, jakbyś zobaczył słońce o północy. – Oparła pięści na szerokich biodrach. – I dokąd się wybierasz? Będziemy dziś mieli ruch od rana do wieczora.

–Muszę coś załatwić – odparł szybko. Zastąpiła mu drogę.

–Nie myśl, że zostanę tu sama.

–Niech brat ci pomoże. Magda wyprężyła pierś.

–Mój brat to kretyn.

–Więc idealnie się nadaje do tej roboty.

Poczerwieniała. Przepchnął się brutalnie obok niej i odszedł szybko, nie zwracając uwagi na jej wściekłe wrzaski za plecami i spojrzenia właścicieli sąsiednich straganów.

Tego ranka, w drodze na targ, dostał telefon z przerażającą wiadomością, że

Bogdan Iljanowicz zginął od kul, kiedy prowadził Mołdawianina Iliasa Vody prosto w pułapkę zastawioną przez terrorystę Fadięgo. Jewgienij był dobrze opłacanym pośrednikiem, brał duże pieniądze za doprowadzenie celu – w tym wypadku Vody – do umówionego punktu. Dopóki nie dostał telefonu od jednego ze swoich przyjaciół w policji, nie miał pojęcia, czego Fadi chciał od Iliasa Vody, i że będą trupy. Teraz Bogdan Iljanowicz nie żył, a wraz z nim trzech ludzi Fadięgo i, co gorsza, policjant.

Jewgienij wiedział, że jeśli kogoś złapią, natychmiast wypłynie jego nazwisko. Był bodaj ostatnim człowiekiem w Odessie, który mógł sobie pozwolić na to, żeby w jego sprawie prowadzono śledztwo. Żeby przeżyć, musiał pozostać anonimowy, trzymać się w cieniu. Gdyby tylko znalazł się w blasku reflektorów, już by nie żył.

Dlatego uciekał. Musiał natychmiast zostawić za sobą swoją przeszłość i przenieść się gdzieś, najlepiej poza Ukrainę. Oczywiście myślał o Stambule. Tam był facet, który go wynajął do tej cholernej roboty. Ponieważ z Ukraińców tylko Jewgienij uszedł z życiem, być może ten człowiek dałby mu jakąś robotę. Jewgienij nie mógł uciec do żadnego ze swoich obecnych dostawców narkotyków. Cała siatka była teraz w niebezpieczeństwie. Najlepiej zerwać dotychczasowe kontakty i zacząć wszystko od nowa. Stambuł wydawał się bardziej gościnnym miejscem niż wiele innych, które przyszły mu do głowy, zwłaszcza tych bliższych.

Szedł szybko przez tłum, który zaczynał blokować wejścia. Czuł nieprzyjemne mrowienie na karku, jakby już był na celowniku nieznanego zabójcy.

Mijał właśnie klatki z kurczakami bez dziobów, miotającymi się tak, jakby potraciły głowy, gdy zobaczył wśród pieszych dwóch policjantów. Nie musiał nikogo pytać, co tu robią.

Kiedy się wycofywał, pomiędzy dwóch stosów klatek wyszła kobieta. Był tak spięty, że mimowolnie dał krok do tyłu i zacisnął palce na rękojeści pistoletu.

–Policja zastawiła pułapkę – ostrzegła kobieta.

Przypominała mu trochę Arabkę, ale co z tego. Połowę jego świata stanowili pół – Arabowie.

Wykonała przynaglający gest.

–Chodź ze mną. Wyprowadzę cię stąd.

–Nie rozśmieszaj mnie. Skąd mam wiedzieć, że nie pracujesz dla SBU?

Zaczął się oddalać od niej i dwóch policjantów. Soraja pokręciła głową.

–Nie idź w tamtą stronę. Czeka ją tam na ciebie. Nie zatrzymał się.

–Nie wierzę ci.

Poszła za nim, przepychając się przez wartki potok ludzi. W końcu wyprzedziła Jewgienija, przystanęła i wskazała głową kierunek. Poczłł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

–Mówiłam ci, że to pułapka, Jewgienij.

–Skąd znasz moje imię? Skąd wiesz, że szuka mnie policja?

–Proszę cię. Nie ma czasu. – Pociągnęła go za rękaw. – Tędy, szybko! To twoja jedyna szansa, żeby się wymknąć.

Zgodził się. Co innego mógł zrobić? Poprowadziła go z powrotem między klatkami z kurczakami. Musieli iść bokiem, żeby się zmieścić w wąskich przejściach. Ale

przynajmniej wysokie stopy klatek zasłaniały ich przed wzrokiem policjantów krążących po targowisku.

W końcu wydostali się na ulicę i przecięli jezdnię, lawirując między krążącymi samochodami. Zorientował się, że biegną do starej, zdezelowanej skody.

–Wskakuj z tyłu – poleciała kobieta i wsunęła się za kierownicę.

W ślepej panice Jewgienij Fejodowicz zrobił, co mu kazała. Kiedy zatrzasnął drzwi, kobieta ruszyła. Wtedy zdał sobie sprawę, że obok niego ktoś siedzi.

–Ilias Voda! – wykrztusił.

–Tym razem wpadłeś. – Jason Bourne zabrał mu pistolet i nóż.

–Co jest? – Jewgienij Fejodowicz był zaszokowany nagłą utratą broni, a jeszcze bardziej widokiem bladego, wycieńzonego Vody.

Bourne odwrócił się do niego.

–W tym mieście masz przesrane, *towariszcz*.

Deron często mówił, że Tyrone jest jak pies ogryzający kość – nie zostawia niedokończonych spraw. Tak było z dwojgiem ludzi, którzy ćwiartowali zwłoki gliniarza, a potem podpalali warsztat karoseryjny MN. Tyrone śledził nieuniknione następstwa niczym najbardziej zagorzały fan kolejnej edycji *Idola*. Przyjechali strażacy, potem gliniarze. Ale w betonowym budynku nie znaleźli niczego poza popiołem. Co więcej, to była dzielnica Northeast, co oznaczało, że tak naprawdę mają to w dupie. Po godzinie dali sobie spokój i ze zbiorowym westchnieniem ulgi odjechali do bezpiecznych białych części miasta.

Ale Tyrone wiedział, co się wydarzyło. Nikt go jednak o nic nie pytał. Nie powiedział tego nawet Deronowi, kiedy przyjaciel wrócił z Florydy.

W tym świecie odbierałeś swojemu wrogowi nóż, kiedy w bójce robiłeś z niego miazgę za to, że obraził ciebie lub twoją siostrę albo dziewczynę, wszystko jedno. Więc w wieku dziesięciu czy jedenastu lat zyskiwałeś pewien szacunek, który znacznie wzrastał, gdy szef gangu dawał ci tanią spluwę z chwytem owiniętym taśmą samoprzylepną i spiłowanym numerem seryjnym.

Potem oczywiście musiałeś jej użyć, bo nie chciałeś zostać sam, być szpanerem, z którym nikt nie gada, albo, co gorsza, wyjść na kiepasa. To nie było znów takie trudne, bo miałeś już doświadczenie w rozwalaniu ludziom głów, dzięki różnym grom komputerowym. Przekonywałeś się, że rzeczywistość niewiele się od tego różni. Trzeba było tylko potem uważać, żeby zabójstwo nie stało się końcem twojej kariery.

A jednak coś mu mówiło, że to nie jedyna droga, że nie musi tak być. Oczywiście, Deron też się urodził i wychował w tej dzielnicy. Ale on miał normalną mamuszkę i kochającego ojca. Tyrone nie potrafił ogarnąć, a co dopiero wyrazić, swoich przypuszczeń, że takie rzeczy mają znaczenie. Potem Deron zniknął, żeby się kształcić w świecie białych, i wszyscy w dzielnicy – łącznie z Tyrone'em – natychmiast go znienawidzili. Ale kiedy wrócił, wszystko mu wybaczyli, bo się przekonali, że ich nie porzucił. Pokochali go za to jeszcze bardziej i skupili się wokół niego, żeby chronić chłopaka.

Teraz Tyrone siedział pod drzewem naprzeciwko wypalonych ruin warsztatu karoseryjnego MN. Jego marzenie, by uczynić z tego miejsca bazę dla swojej grupy,

legło w gruzach. Ale doznawał strasznego uczucia, że jednak nie o tym marzył. Patrzył na ślepą, poczerniałą ścianę z pustaków – przypominała jego życie.

Wyjął komórkę. Nie znał numeru telefonu Panny S. Jak się z nią skontaktować, jak zawiadomić, że ma dla niej... Jak to nazywa Deron? A, tak – info. On i tylko on. Może znów się z nim spotka, przespaceruje? Wmawiał sobie na siłę, że tylko o to mu chodzi. Nie mógł jeszcze spojrzeć prawdzie w oczy.

Zadzwoił pod 411, do informacji. Pomyślał, że to dobry żart: dzwonić do informacji, żeby móc przekazać informację. Podano mu jedyny dostępny numer CIA – do specjalisty od public relations. Tyrone kolejny raz w życiu nie miał wyboru.

–Tak? Czym mogę służyć? – zapytał młody głos białego mężczyzny.

–Szukam takiej jednej agentki, co z nią rozmawiałem kilka dni temu. – Tyrone natychmiast zdał sobie sprawę, że jego wymowa i akcent zdradzają mieszkańca getta.

–Jak się nazywa?

–Soraja Moore.

–Proszę poczekać.

Tyrone usłyszał jakieś dźwięki centrali telefonicznej i od razu spanikował.

–Proszę podać swoje nazwisko i numer telefonu.

Paranoja. Przyspieszył kroku, jakby w ten sposób mógł uciec od pytania.

–Chcę tylko rozmawiać z...

–Jeśli poda mi pan swoje dane, dopilnuję, żeby agentka Moore dostała wiadomość.

Tyrone poczuł się całkowicie osaczony przez świat, o którym nic nie wiedział.

–Niech pan jej tylko powie, że wiem, kto jej nasypał soli na ogon.

–Przepraszam, co?

Tyrone miał wrażenie, że jego własna ignorancja została użyta jako broń, wobec której jest bezsilny. Jego mały świat był celowo ukryty w większym. Kiedyś uważał to za powód do dumy. Teraz nagle zrozumiał, że to błąd.

Powtórzył wiadomość, i wyłączył się. Zdegustowany, wrzucił komórkę do ścieku i zanotował sobie w pamięci, że musi pogadać z TJ Tankiem, żeby skombinował mu następną, jednorazówkę”. Ta właśnie zrobiła się trefna.

–Kim ty naprawdę jesteś? – zapytał ze znużeniem Jewgienij Fejodowicz.

–Czy to ważne? – odparł Bourne.

–Chyba nie. – Ukraińiec patrzył przez okno na miasto. Ilekroć mijali radiowóz lub pieszego policjanta, tężyły mu mięśnie. – Nie jesteś nawet Mołdawianinem, zgadza się?

–Twój kumpel, Bogdan Iljanowicz, próbował mnie zabić. – Bourne uważnie obserwował jego twarz. – Zaskoczony?

–Dzisiaj nic mnie nie zaskakuje.

–Kto cię wynajął? – zapytał ostro Bourne. Jewgienij odwrócił się do niego.

–Chyba nie myślisz, że ci powiem?

–Saudyjczyk, Fadi?

–Nie znam żadnego Fadiego.

–Ale znalazłeś Edora Włodowicza Lemontowa, fikcyjnego barona narkotykowego.

–Nigdy tego nie powiedziałem. – Jewgienij się rozejrzał. Sądząc po słońcu, kierowali się na południowy zachód. – Dokąd jedziemy?

–Na miejsce egzekucji.

–Więc powinienem odmówić modlitwę – stwierdził Jewgienij z udawaną nonszalancją.

–Słusznie.

Soraja prowadziła samochód pewnie i szybko, ale nie przekraczała dozwolonej prędkości. Tylko tego by brakowało, żeby zwrócili na siebie uwagę załogi jakiegoś radiowozu. W końcu zostawili za sobą Odessę i wjechali między wielkie fabryki, magazyny i bocznicę kolejową.

Nieco dalej na przestrzeni trzech czy czterech kilometrów ciągnęło się miasteczko. Domy i sklepy wydawały się maleńkie i nie na miejscu wśród ogromnych budynków po obu stronach. Na przeciwległym końcu Soraja skręciła w boczną ulicę. Wkrótce pojawiła się roślinność, naturalna i sztuczna.

Oleksandr czekał na nich na podwórzu swojego właściciela i tresera – przyjaciela Sorai – którego w tej chwili nie było w polu widzenia. Bokser podniósł głowę, gdy sfatygowana skoda wtoczyła się na wjazd. Średniej wielkości dacha stała w płytkim zagłębieniu terenu, odgradzona od sąsiadów gęstymi kępami jodeł i cyprysów.

Kiedy Soraja zatrzymała samochód, Oleksandr wstał i podbiegł do nich truchtem. Na widok wysiadającej Sorai zaszczekał radośnie.

–Mój Boże, ależ wielka ta bestia – mruknął pod nosem Jewgienij Fejodowicz.

Bourne uśmiechnął się do niego.

–Witamy na miejscu egzekucji. – Złapał Ukraińca za kołnierz i wywłókł z tylnego siedzenia na podwórze.

Oleksandr, widząc obcą twarz, nastawił uszu, przysiadł na zadzie, warknął i odsłonił zęby.

–Pozwól, że cię przedstawię twojemu egzekutorowi. – Bourne popchnął Jewgienija w kierunku boksera.

Ukraińiec wyglądał jak rażony gromem.

–Psu?

–Oleksandr wygryzł Fadiemu twarz – wyjaśnił Bourne. – I od tamtej pory nic nie jadł.

Jewgienij Fejodowicz wzdrygnął się i zamknął oczy.

–Chciałbym być gdzie indziej.

–Jak my wszyscy – odparł zupełnie serio Bourne. – Mów, kto cię wynajął.

Ukraińiec otarł pot z czoła.

–Zabije mnie, bez dwóch zdań. Bourne wskazał boksera.

–Wolisz taki rodzaj śmierci?

W tym momencie, tak jak zaplanowali, Soraja dała Oleksandrowi znak ręką. Pies skoczył naprzód do Jewgienija, który wydał wysoki, niemal komiczny okrzyk.

Bourne w ostatniej chwili sięgnął w dół, chwycił boksera za obrozę i przytrzymał. Manewr kosztował go więcej, niż się spodziewał – ból z rany w boku był niemal nie

do wytrzymania. Nie dał po sobie nic poznać, ale zorientował się, że Soraja wyczytała z jego twarzy cierpienie.

Wyprostował się.

–Jak sam widzisz, Jewgienij, Oleksandr jest duży i silny. Zaczyna mnie boleć ręka. Masz pięć sekund, potem go puszczę.

Jewgienij działał pod wpływem adrenaliny i przerażenia. Zdecydował się po trzech sekundach.

–Dobra, tylko trzymaj to psisko z daleka ode mnie.

Bourne ruszył w jego kierunku ofiary, prowadząc za sobą Oleksandra. Jewgienijowi oczy niemal wychodziły z orbit.

–Kto cię wynajął?

–Nesim Hatun. – Nie mógł oderwać wzroku od boksera. – Działa w Stambule; dzielnica Sultanahmet.

–Gdzie w Sultanahmecie? – zapytał Bourne.

Jewgienij skulił się i odsunął od Oleksandra, któremu Bourne pozwolił stanąć na tylnych łapach. Teraz pies był niemal na wysokości twarzy Ukraińca.

–Nie wiem. Przysięgam. Powiedziałem ci już wszystko.

Gdy Bourne puścił obrożę, bokser wystrzelił naprzód jak strzała z łuku. Jewgienij Fejodowicz wrzasnął i upadł na plecy. W kroku jego spodni pojawiła się plama.

Po chwili Oleksandr siedział mu na piersi i lizał go po twarzy.

–Jeśli chodzi o porty towarowe, to są w zasadzie dwie możliwości – wyjaśniła doktor Pawłyna. – Odessa i Iljiczewsk, z siedem kilometrów na południowy zachód.

–Na co pani stawia? – zapytał Matthew Lerner. Jechali jej samochodem w kierunku północnego krańca Odessy, gdzie znajdowały się stocznie.

–Odessa oczywiście jest bliżej. Ale port na pewno obserwuje policja. Iljiczewsk może być dobrym rozwiązaniem po prostu dlatego, że leży dalej od centrum obławy; tam z pewnością jest mniej policji... albo wcale jej nie ma. Poza tym to większy i bardziej ruchliwy port, skąd częściej odpływają promy.

–Więc Iljiczewsk.

Zmieniła pas ruchu i przygotowała się do skrętu na południe.

–Jedynym problemem będą dla nich blokady drogowe.

Soraja jechała bocznymi ulicami, a nawet niektórymi zaułkami, gdzie mogła się precyzyjnie skoda.

–Mimo takiej trasy nie wykluczałbym możliwości napotkania blokady przed Iljiczewskiem – powiedział Bourne.

Zostawili Jewgienija Fejodowicza na podwórzu przyjaciela Sorai pod strażą Oleksandra. Po trzech godzinach, kiedy uwolnienie Ukraińca byłoby dla nich bez znaczenia, przyjaciel Sorai miał go wypuścić.

–Jak się czujesz? – Soraja jechała wąskimi uliczkami między magazynami. Tu i tam widzieli w oddali pływające żurawie w porcie w Iljiczewsku. Przypominały uniesione szyje dinozaurów. Podróż tą trasą zajmowała więcej czasu, ale tu było bezpieczniej niż na głównej drodze.

–Dobrze – odparł Bourne, ale Soraja wiedziała, że skłamał. Wciąż był blady, twarz

miał ściągniętą bólem, oddychał nierówno i płytko.

–Miło to słyszeć – odparła ironicznym tonem. – Bo czy nam się to podoba czy nie, za około trzy minuty dojedziemy do blokady drogowej.

Spojrzał na wprost. Przed nimi stał rząd kilku samochodów osobowych i ciężarowych. Czekwały na przepuszczenie między dwoma policyjnymi transporterami opancerzonymi, które były zaparkowane prostopadle do jezdni. Dwaj policjanci w oporządzeniu bojowym przepytывali pasażerów pojazdów i kontrolowali bagażniki lub – w wypadku ciężarówek – zagląдали do przestrzeni ładunkowych i pod podwozia. Mieli skupione miny, pracowali wolno, metodycznie, dokładnie. Niczego nie zostawiali przypadkowi.

Soraja pokręciła głową.

–Nie ominiemy ich, tu nie ma innej drogi. Na prawo od nas jest woda, na lewo główna szosa. – Zerknęła w boczne lusterko. Z tyłu przybywało pojazdów, pojawił się jeszcze jeden wóz policyjny. – Nie mogę nawet zawrócić bez ryzyka, że mnie zatrzymają.

–Czas na plan B – powiedział ponuro Bourne. – Ty obserwuj gliniarzy za nami, ja będę miał na oku tych z przodu.

Walerij Pietrowicz opróżnił pęcherz pod ceglana ścianą budynku i wrócił na swoje stanowisko. On i jego kolega mieli pilnować, żeby żaden z pojazdów w kolejce do punktu kontrolnego nie próbował zawrócić. Walerij z pewną niechęcią myślał o tym mało ambitnym zadaniu. Obawiał się, że dostał je dlatego, iż wkurzył sierżanta, bo ograł go w kości i w karty na tysiąc dwieście rubli. Ale poza tym facet był skończonym draniem. Wystarczyło spojrzeć, co zrobił biednemu Michaiłowi Arkanowiczowi za to, że ten zjadł mu przez pomyłkę pierogi, zresztą ohydne, jak skarżył się rozżalony „przestępca”.

Pietrowicz zastanawiał się, jak poprawić swoją pogarszającą się sytuację, gdy nagle zobaczył, że ktoś chyłkiem wysiada z poobijanej skody siedem samochodów od czoła kolejki. Poszedł z ciekawością wzdłuż magazynów, nie spuszczać postaci z oka. Właśnie rozpoznał, że to mężczyzna, kiedy tamten dał nura w zaśmiecony zaułek między budynkami. Policjant rozejrzał się i zorientował, że nikt inny nie zauważył mężczyzny.

Przez pół sekundy rozważał, czy zawiadomić przez radio kolegę o podejrzanym zachowaniu pasażera skody. Tylko tyle czasu potrzebował, żeby zdać sobie sprawę, że to jest jego szansa na powrót do łask sierżanta. Nie zamierzał zmarnować okazji, pozwalając, by ktoś inny złapał faceta, który mógł być poszukiwanym zbiegiem. Nie chciał być następnym Michaiłem Arkanowiczem, więc wyciągnął pistolet, oblizał się jak wilk na widok niespodziewającej się niczego ofiary i ruszył w pościg.

Bourne szybko zbadał wzrokiem teren za rzędem magazynów i natychmiast znalazł najlepszy sposób na ominięcie blokady. W zwykłych okolicznościach nie miałby z tym żadnego problemu. Kłopot polegał na tym, że te okoliczności były dla niego niezwykle. Oczywiście bywał już ranny, nawet wiele razy, ale rzadko tak poważnie. Podczas jazdy samochodem z domu właściciela boksera dostał gorączki. Teraz miał dreszcze, rozpalone czoło i sucho w ustach. Potrzebował nie tylko

odpoczynku, lecz również następnej dawki antybiotyków, by pokonać osłabienie.

Odpoczynek nie wchodził oczywiście w rachubę. Zdobycie antybiotyków nastroczało trudności. Gdyby nie musiał natychmiast zniknąć z Odessy, mógłby pójść do lekarki z CIA. Ale to też stało się już nierealne.

Był na otwartej przestrzeni za magazynami. Do ramp towarowych prowadziła szeroka utwardzona droga. Tu i tam stały samochody – chłodnie i ciągniki siodłowe z naczepami, jedne tyłem przy rampach, inne zaparkowane na końcu drogi.

Posuwał się w kierunku terenu położonego równolegle do blokady, mijając lub okrążając wózki widłowe załadowane wielkimi skrzyniami.

W nadwoziu jednego z wózków zobaczył odbicie ścigającego go policjanta. Nie zwalniając kroku, wdrapał się mimo bólu na rampę i wszedł między dwoma stosami skrzyń do magazynu. Zauważył, że wszyscy noszą identyfikatory.

Znalazł drogę do szatni. Nowa zmiana już zaczęła pracę i w wyłożonym glazurą i terakotą pomieszczeniu nie było nikogo. Ruszył wzdłuż rzędu szafek, otwierając wytrychem zamki na chybił trafił. W trzeciej wisiało to, czego szukał: kombinezon technika. Włożył go, nie bez kilku ukłuć bólu promieniującego z rany w boku. Dokładnie przeszukał kieszenie – nie znalazł identyfikatora. Wiedział, jak sobie z tym poradzić. Gdy wychodził z szatni, otarł się o mijanego mężczyznę i wymamrotał przeprosiny. W drodze powrotnej na rampę przypiął zabraną tamtemu plaketkę.

Kiedy opuścił magazyn, rozejrzał się. Policjant zniknął bez śladu. Bourne poszedł wzdłuż pustych kabin rozładowywanych ciężarówek. Sprawdzano, czy każda skrzynia, beczka lub kontener figuruje w liście przewozowym.

–Stać! – usłyszał nagle za sobą. – Zatrzymać się! – Policjant siedział za kierownicą jednego z pustych wózków widłowych. Wrzucił bieg i ruszył prosto na Bourne'a.

Pojazd nie był szybki, mimo to zdołał uwięzić Bourne'a w stosunkowo wąskiej przestrzeni między zaparkowanymi ciężarówkami z jednej strony rzędem przypominających bunkry betonowych budynków biurowych z drugiej.

Na razie panował duży ruch. Wszyscy byli zbyt zajęci pracą, by zauważyć zabłąkany wózek widłowy i jego ofiarę. Ale w każdej chwili mogło się to zmienić.

Bourne się odwrócił i zaczął uciekać. Pojazd jednak szybko zmniejszał dzielący ich dystans. Nie tylko dlatego, że jechał na wysokich obrotach, lecz też dlatego, że ranny, obolały Bourne nie mógł prędko biec. Zrobił jeden unik przed wózkiem, po chwili drugi; spod wideł ocierających się o betonową ścianę tryskały snopy iskier.

Był już niedaleko końca rampy w pobliżu blokady drogowej. Stał tam ogromny ciągnik siodłowy z naczepą. Bourne miał tylko jedną szansę – pędzić dalej, prosto na kabinę i w ostatniej chwili dać pod nią nura. Udałoby mu się, gdyby nie to, że potknął się tuż przed ciężarówką.

Wpadł bokiem na kabinę. Jedno uderzenie serca później końce wideł wózka przebiły polakierowaną stal po obu stronach Bourne'a i przygwoździły go do ciągnika siodłowego. Próbował się schylić, ale nie mógł; był unieruchomiony.

Starał się dojść do siebie, odciąć od bólu, który utrudniał mu myślenie. Policjant znów wrzucił bieg i wózek ruszył „naprzód. Widły jeszcze bardziej zagłębiły się w bok

kabiny i przycisnęły Bourne'a do ciężarówki.

Jeszcze chwila i zostanie zmiażdżony między wózkiem a ciągnikiem.

Bourne wypuścił powietrze z płuc i się obrócił. Jednocześnie oparł ręce na poziomych widłach i podciągnął tułów, potem nogi. Rozstawił stopy, stanął na poprzecznej belce przed kabiną wózka i przysunął się do przedniej szyby.

Policjant wrzucił wsteczny, żeby się pozbyć Bourne'a, ale widły tkwiły tak mocno w kabinie ciężarówki, że ani drgnęły.

Bourne wykorzystał szansę i przemieścił się do otwartego boku wózka. Policjant wyciągnął pistolet i wycelował, ale zanim zdążył nacisnąć spust, Bourne kopnął go czubkiem buta w twarz i złamał mu szczękę.

Chwycił broń i wymierzył policjantowi drugą pięścią cios w splot słoneczny. Mężczyzna zgiął się wpół. Bourne zeskokczył na ziemię. Poczul w lewym boku taki ból, jakby utkwiała tam włócznia.

Wystartował biegiem przez plac. Minął blokadę drogową, wpadł do lasku i wyłonił się po drugiej stronie. Kiedy wreszcie znalazł się kilka kilometrów za punktem kontrolnym, był wykończony. Ale na poboczu czekała już na niego zdezelowana skoda z otwartymi drzwiami pasażera. Soraja z zaniepokojoną miną obserwowała zza kierownicy, jak Bourne wsiada do samochodu. Kiedy zatrzasnął drzwi, wrzuciła bieg i ostro ruszyła.

–Wszystko w porządku? – zapytała, patrząc to na niego, to na drogę. – Co się, do cholery, stało?

–Musiałem przejść do planu C – wysapał Bourne. – A potem do planu D.

–Nie było planów C i D. Bourne położył głowę na oparciu.

–Właśnie to mam na myśli.

Gdy dotarli do Iljiczewska, nad miastem zbierały się chmury.

–Niech pani mnie zawiezie tam, skąd odchodzą promy – polecił Lerner. – Chcę sprawdzić, kiedy odpływa pierwszy. Bourne na pewno kieruje się na przystań.

–Nie zgadzam się z tym. – Doktor Pawłyna jechała bocznymi ulicami wokół portu z pewnością kogoś, kto robił to już wiele razy. – Port ma swoją poliklinikę. Może mi pan wierzyć, że Bourne najbardziej potrzebuje teraz tego, co może dostać tylko tam.

Lerner, który jeszcze nigdy w życiu nie posłuchał rozkazu kobiety, z niechęcią pomyślał o skorzystaniu z sugestii doktor Pawłyny. Nie podobało mu się to, że musi z nią jeździć. Ale na razie była mu potrzebna. Co nie znaczyło, że jej znajomość rzeczy nie psuje mu humoru.

Miejski pejzaż rozległego Iljiczewska tworzyły niskie, płaskie, brzydkie budynki, wielkie magazyny i silosy, chłodnie, terminale kontenerowe i monstrualnie wysokie pływające żurawie. Na zachodzie cumowały kutry rybackie. Część z nich rozładowywano, inne remontowano. Port tworzył łuk wokół naturalnej zatoki Morza Czarnego i składał się z siedmiu kompleksów towarowych. Sześć służyło do przeładunku stali, surówki, ropy, tarcicy, warzyw, olejów jadalnych i nawozów sztucznych. Jeden był ogromnym silosem zbożowym. Siódmy obsługiwał promy i rorowce. Na statkach ro – ro większość przestrzeni zajmowała przepastna ładownia, gdzie wjeżdżały wagony kolejowe i ciągniki siodłowe. Powyżej były pomieszczenia dla pasażerów, kapitana i załogi. Główną wadę rorowców stanowił brak stabilności.

Pokłady towarowe znajdowały się tylko centymetr czy dwa poniżej poziomu wody, co groziło przewróceniem się i zatonięciem statku. Mimo to, jednostki pływającej tego typu nie mogła skutecznie zastąpić żadna inna, dlatego rorowców wciąż używano w całej Azji i na Bliskim Wschodzie.

Poliklinika leżała mniej więcej w połowie drogi między terminalem trzecim i szóstym. Dwupiętrowy budynek miał nijaki wygląd. Doktor Pawłyna zaparkowała z boku polikliniki i wyłączyła silnik.

Odwróciła się do Lenera.

–Wejdę tam sama, żeby ochrona nie zadawała pytań. Kiedy sięgnęła do klamki drzwi, Lerner złapał ją za ramię.

–Lepiej, jak pójdziemy razem. Zerknęła na jego rękę.

–Utrudnia pan tylko sprawę. Ja wszystkim pokieruję, znam tu ludzi. Lerner mocniej zacisnął dłoń i odsonił w uśmiechu duże zęby.

–Jeśli zna pani tutaj ludzi, pani doktor, to ochrona nie będzie zadawała żadnych pytań, prawda?

Zmierzyła go zdumionym wzrokiem.

–Jest jakiś problem?

–Nie z mojej strony.

Doktor Pawłyna wyszarpnęła ramię z żelaznego uścisku.

–A może wyjaśnijmy sobie wszystko teraz. Jesteśmy w terenie...

–Wiem dokładnie, gdzie jesteśmy, pani doktor.

–...gdzie mylne wyobrażenia i nieporozumienia mogą prowadzić do fatalnych błędów – dokończyła.

Lerner wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku frontowych drzwi polikliniki. Po chwili usłyszał za sobą chrzęst butów doktor Pawłyny na żwirze. Dogoniła go na asfalcie.

–Wprawdzie przysłał pana dyrektor, ale ja jestem szefową tutejszej placówki.

–Na razie – odparł niefrasobliwie.

–To groźba? – odpaliła bez wahania. Od dzieciństwa próbowali ją zastraszyć różni mężczyźni. Przyjmowała ciosy, dopóki nie nauczyła się ich oddawać. – Ja tu dowodzę. Rozumie pan?

Zatrzymał się przed drzwiami.

–Rozumiem, że tutaj jestem na panią skazany.

–Był pan kiedyś żonaty?

–Owszem, ale na szczęście się rozwiódłem.

–Nic dziwnego. – Kiedy próbowała go wyminąć, znów ją złapał. – Nie lubi pan kobiet, prawda?

–Tylko tych, którym się wydaje, że są mężczyznami. – Puścił jej ramię.

Otworzyła drzwi, ale przez chwilę blokowała sobą wejście.

–Na litość boską, niech pan się nie odzywa, bo zostanę zdemaskowana. – Odsunęła się na bok. – To chyba jest w stanie zrozumieć nawet ktoś tak nieokrzesany jak pan.

Pod pretekstem, że chciałby przekazać nowe informacje o pewnej operacji, Karim

al – Dżamil wręcił się do Starego na śniadanie. Nie, żeby nie posiadał żadnych nowych wiadomości, ale operacja była bzdurą, więc wszystko, co miał o niej do powiedzenia, też było bzdurą. Z drugiej strony, fajnie serwować dyrektorowi CIA bzdury na śniadanie. Tak czy inaczej, musiał przetrwać własne informacje. Wspomnienia wszczepione przez doktora Veintropa wprowadziły Bourne'a w zasadzkę. Bourne jakimś cudem zdołał zastrzelić czterech ludzi i uciec Fadiemu. Ale Fadi zdążył dźgnąć go nożem w bok. Czy Bourne zginął, czy przeżył? Gdyby Karim al – Dżamil mógł się zakładać, postawiłby duże pieniądze na to drugie.

Ale teraz, kiedy dotarł na ostatnie piętro kwatery głównej CIA, zmusił się, by wrócić do roli Martina Lindrosa.

Nawet w czasie kryzysu Stary jadał posiłki tam, gdzie zawsze.

–Można oszaleć od tego ciągłego siedzenia za biurkiem i patrzenia w monitor – powiedział, gdy Karim al – Dżamil zajął miejsce naprzeciwko niego. Piętro było podzielone na dwie części. Zachodnie skrzydło zajmował światowej klasy kompleks sportowy: siłownia i basen pływacki o wymiarach olimpijskich. Do oddzielonego ścianą wschodniego skrzydła, gdzie teraz siedzieli, miał wstęp tylko Stary.

Od czasu do czasu zapraszał tutaj szefów siedmiu wydziałów. Pomieszczenie wyglądało jak cieplarnia, i taka panowała tu atmosfera. Na podłodze leżała gruba terakota, duża wilgotność dobrze służyła wielu tropikalnym roślinom i orchideom. Nikt nie wiedział, kto się nimi zajmuje. Na ten temat snuto różne domysły i opowiadano sobie niestworzone historie. Nikt nie miał też pojęcia, kto – jeśli w ogóle – urzęduje w dziesięciu czy dwunastu szczelnie zamkniętych pokojach biurowych we wschodnim skrzydle.

Karim al – Dżamil był oczywiście pierwszy raz w Hali Myszokoczków, jak nazywali to pomieszczenie wtajemniczeni. Dlaczego? Ponieważ dyrektor trzymał tu trzy myszokoczki. Mieszkały w ustawionych obok siebie klatkach. Każde stworzonko miało kołowrotek, po którym bez przerwy biegało. Podobnie jak agenci CIA.

Ci spośród szefów wydziałów, którzy opowiadali o swoich śniadaniach ze Starym, twierdzili, że uważa on obserwowanie myszokoczków za relaksujące, tak jak przyglądanie się rybkom w akwarium. Ale agenci podejrzewali, że dyrektor perwersyjnie lubi, gdy coś mu stale przypomina, że praca CIA, podobnie jak Syzyfa, nigdy się nie kończy i nie jest chwalona.

–Z drugiej strony – ciągnął teraz Stary – sama ta robota może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Na stole przykrytym białym, wykrochmalonym obrusem stały dwa porcelanowe komplety śniadaniowe, koszyczek z croissantami i okrągłymi bułeczkami oraz dwa dzbanki, jeden z mocną, świeżo zaparzoną kawą, drugi z herbatą Earl Grey, którą Stary najbardziej lubił.

Karim al – Dżamil poczęstował się kawą. Pił ją bez dodatków. Dyrektor dolał do herbaty mleka i wrzucił dwie kostki cukru. Nikt nie obsługiwał, ale obok stołu był wózek do podgrzewania potraw.

Karim al – Dżamil wyjął dokumenty.

–Mogę mówić, czy zaczekamy na Lenera?

–Lenera nie będzie – odparł enigmatycznie dyrektor. Karim al – Dżamil zaczął relacjonować.

–Drużyny Skorpion pokonały już trzy czwarte drogi do miejsca ich przeznaczenia w regionie Shabwah w Jemenie Południowym. Marines wysłani z Dżibuti są od... – zerknął na zegarek – dwudziestu minut w Shabwah i czekają na rozkazy naszych dowódców Skorpiona.

–Doskonale. – Dyrektor dolał sobie herbaty, znów dodał mleka i cukru, zamieszał.

– Jaki jest postęp w namierzaniu punktu transmisji?

–Przydzieliłem dwa oddzielne zespoły Tyfona do analizowania różnych pakietów danych. Sądzymy, że ośrodek jądrowy Dudźdży znajduje się gdzieś w strefie docelowej o promieniu osiemdziesięciu kilometrów.

Dyrektor patrzył na biegające myszokoczki.

–Możemy bardziej uściślić lokalizację?

–Głównym problemem są góry. Odbijają i zniekształcają sygnały. Ale pracujemy nad tym.

Stary skinął w zamyśleniu głową.

–Jeśli wolno spytać, panie dyrektorze, coś jest nie tak?

Przez moment wydawało się, że Stary nie usłyszał. Potem odwrócił głowę i utkwiał w Karimie al – Dżamilu chytre oczy.

–Nie wiem, ale mam wrażenie, że czegoś nie dostrzegam. Czegoś ważnego.

Karim al – Dżamil utrzymał równy oddech. Zrobił lekko zaniepokojoną minę.

–Mógłbym jakoś pomóc? Może to Lerner...

–Dlaczego wspomniałeś właśnie o nim? – zapytał trochę za ostro dyrektor.

–Jeszcze nie rozmawialiśmy o tym, że zajął moje stanowisko w Tytonie.

–Nie było cię; Tyfon został bez szefa.

–I mianował pan nim człowieka z zewnątrz? Dyrektor odstawił z hałasem filiżankę.

–Kwestionujesz moją decyzję, Martinie?

–Oczywiście, że nie. – Bądź ostrożny, upomniał się Karim al – Dżamil. – Ale poczułem się cholernie dziwnie, kiedy po powrocie zobaczyłem go w moim fotelu.

Stary zmarszczył brwi.

–Wyobrażam sobie.

–A teraz, w samym środku bardzo poważnego kryzysu, nagle gdzieś zniknął.

–Dawaj śniadanie, Martinie. – Dyrektor zmienił temat. – Jestem głodny. Karim al –

Dżamil otworzył wózek do podgrzewania potraw i wyjął dwa talerze z jajkami sadzonymi i bekonem. Omal się nie zakrztusił. Nigdy się nie przyzwyczał do wieprzowiny ani do jajek smażonych na maśle. Postawił jeden talerz przed dyrektorem.

–Rozumiem, że po tym, co przeszedłem, istnieje pewien brak zaufania do mnie...

–Nie o to chodzi – przerwał mu Stary, znów trochę za ostro. Karim al – Dżamil postawił swój talerz.

–Więc o co? Chciałbym wiedzieć. Przez te tajemnice wokół Matthew Lenera czuję się odsunięty.

–Widzę, jak to cię gnębi. Coś ci zaproponuję.

Stary zamilkł, żeby przeżuć jajka i bekon, przełknął i wytarł lśniąco wargi, dobrze naśladowując dżentelmeński styl.

Karim al – Dżamil niemal współczuł prawdziwemu Martinowi Lindrosowi, który musiał znosić to obraźliwe zachowanie. I oni nazywają nas barbarzyńcami, pomyślał.

–Wiem, że masz teraz masę roboty – dokończył wreszcie dyrektor. – Ale gdybyś znalazł trochę czasu, żeby dyskretnie wybadać dla mnie...

–Kogoś czy coś?

Dyrektor ukroił jajko i zgrabnie ułożył na wierzchu jedną trzecią plasterka bekonu.

–Dowiedziałem się ostatnio nieoficjalnymi kanałami, że mam w Waszyngtonie wroga.

–Po tylu latach pańskiego urzędowania musi ich być cała lista – zauważył Karim al – Dżamil.

–Oczywiście, ale ten jest wyjątkowy. Ostrzegam, działaj bardzo, ale to bardzo ostrożnie; to ktoś potężny.

–Mam nadzieję, że nie prezydent – zażartował Karim al – Dżamil.

–Nie, ale cholernie blisko. – Stary mówił absolutnie serio. – Sekretarz obrony Ervin Reynolds Halliday, znany jako Bud każdemu, kto wchodzi mu w dupę. Bardzo wątpię, żeby miał prawdziwych przyjaciół.

–A kto ich ma w tym mieście?

Dyrektor roześmiał się na głos, co rzadko się zdarzało.

–Otóż to. – Włożył do ust widelec pełen jedzenia i przesunął je w bok, żeby móc kontynuować. – Ale ty i ja, Martinie, jesteśmy przyjaciółmi. W każdym razie, blisko tego. Więc ta mała umowa jest tylko między nami.

–Może pan na mnie liczyć.

–Wiem. Najlepszą rzeczą, jaką zrobiłem w ciągu ostatnich dziesięciu lat, było wywindowanie cię na szczyt drabiny agencji.

–Doceniam to, że pan we mnie wierzy.

Dyrektor nie dał po sobie poznać, że usłyszał tę uwagę.

–Po tym, jak Halliday i jego wierny piesek LaValle próbowali mnie wciągnąć w zasadzkę na spotkaniu u prezydenta, zrobiłem rozpoznanie. Odkryłem, że ci dwaj utworzyli po cichu równoległe jednostki wywiadowcze. Wkraczają na nasz teren.

–A zatem musimy ich powstrzymać. Stary zmrużył oczy.

–Właśnie, Martinie. Niestety robią ten potajemny ruch w najgorszym z możliwych momentów: kiedy Dudźdża przygotowuje groźny atak.

–Może to celowe.

Dyrektor pomyślał o zasadzce w Sali Wojennej. Nie miał wątpliwości, że Halliday i LaValle próbowali go skompromitować w oczach głowy państwa. A prezydent tylko obserwował wymianę ciosów. Był już po stronie sekretarza obrony? Chciał, żeby Pentagon wchłonął CIA? Stary wzdrygnął się na myśl o kontrolowaniu przez wojskowych wywiadu ludzkiego. Nie wiadomo, jak LaValle i Halliday wykorzystaliby nowo zdobytą władzę. CIA i Pentagon nie bez powodu funkcjonowały oddzielnie. Inaczej powstałoby państwo policyjne.

–Czego mam szukać?

–Brudów. – Dyrektor przełknął. – Im więcej ich wygrzebiesz, tym lepiej. Karim al – Dżamil skinął głową.

–Będę potrzebował kogoś...

–Proszę bardzo. Wymień tylko nazwisko.

–Anne Held. Dyrektor był zaskoczony.

–Moja Anne Held? – Pokręcił głową. – Wskaż kogoś innego.

–Mówił pan o dyskrecji. Nie mogę wykorzystać do tego zadania agenta. Anne albo nikt.

Dyrektor przyjrzał mu się w poszukiwaniu oznak blefu. Nie zauważył żadnych. Poddał się.

–W porządku.

–Proszę mi teraz powiedzieć, co jest z Lernerem. Stary popatrzył mu w oczy.

–Chodzi o Bourne'a.

Zapadła długa krępująca cisza, jeśli nie liczyć terkotu kołowrotek napędzanych przez dwanaście łapek myszokoczków. W końcu Karim al – Dżamil zapytał półgłosem:

–Co Jason Bourne ma wspólnego z Matthew Lernerem? Dyrektor odłożył nóż i widelec.

–Wiem, ile Bourne dla ciebie znaczy, Martinie. Z niewiadomych przyczyn pozostajesz z nim w bliskich stosunkach. Ale ten człowiek jest dla agencji najgorszym rodzajem trucizny. Dlatego wysłałem Matthew Lenera w teren, żeby go wyeliminował.

Karim al – Dżamil przez chwilę nie wierzył własnym uszom. Dyrektor CIA wysłał zabójcę, żeby zlikwidował Bourne'a? Chce odebrać jemu i jego bratu satysfakcję dokonania długo oczekiwanej i starannie zaplanowanej zemsty? Nigdy.

Zawładnęła nim żądza mordy, którą ojciec nazywał Pustynnym Wiatrem. Rozpaliła go do białości, ukuła w sercu ostrze miecza. Ale oznaką tego wewnętrznego żaru było tylko krótkie wydęcie nozdrzy. Dyrektor, który właśnie brał sztucce, nawet tego nie zauważył.

Karim al – Dżamil przekroił jajka i patrzył, jak rozlewają się żółtka. Jedno z nich miało na szklistej powierzchni krwistą plamkę.

–To radykalny krok – powiedział, gdy odzyskał pełną kontrolę nad emocjami. – Mówiłem panu, że zerwałem z nim wszelkie kontakty.

–Myślałem o tym, ale uznałem, że to nie jest wyjście.

–Powinien pan najpierw zwrócić się z tym do mnie.

–Usiłowałeś tylko odwieść mnie od tego planu – odparł dyrektor. Był najwyraźniej zadowolony ze sposobu, w jaki rozwiązał trudny problem. – Teraz już za późno. Nie możesz temu zapobiec, Martinie, więc nawet nie próbuj. – Wytarł usta. – Dobro ogółu jest ważniejsze od pragnień jednostki. Wiesz to równie dobrze jak każdy.

Karim al – Dżamil rozważał ogromne niebezpieczeństwo tajnej akcji dyrektora. Nie dość, że stanowiła zagrożenie dla ich planu dokonania zemsty, to jeszcze obecność

Lerner w terenie była niewiadomą której on i Fadi nie brali pod uwagę. Zmieniony scenariusz mógł im pokrzyżować szyki. Fadi zawiadomił go – na zakodowanym kanale włączonym do systemu zamorskiej telekomunikacji CIA – że dźgnął Bourne'a nożem. Musieli się zająć Lernerem, bo mógł się o tym dowiedzieć, a wtedy byłby oczywiście zainteresowany znalezieniem tego, kto to zrobił. Gdyby z kolei odkrył, że Bourne już został zlikwidowany, chciałby z pewnością ustalić, przez kogo. Tak czy inaczej, spowodowałoby to ogromne komplikacje.

Karim al – Dżamil odsunął się od stołu.

–Brał pan pod uwagę możliwość, że Bourne zabije Lernerą?

–Ściągnąłem Lernerą do nas ze względu na jego reputację. – Stary uniósł filiżankę, zorientował się, że herbata wystygła i odstawił ją z powrotem. – Teraz już takich nie robią – zażartował. – To urodzony morderca.

Bourne też, pomyślał Karim al – Dżamil z goryczą, która paliła go jak kwas.

Soraja zobaczyła na siedzeniu samochodu świeżą krew.

–Chyba zerwałś szew. Musimy natychmiast znaleźć lekarza.

–Nic z tego – odparł Bourne. – Trzeba się stąd jak najszybciej wydostać. Policja na pewno już zaciska pętlę. – Rozejrzał się po okolicy. – Poza tym, gdzie miałbym tutaj skorzystać z pomocy lekarskiej?

–Port ma poliklinikę.

Soraja przejechała przez Iliczewsk i zaparkowała przy dwupiętrowym budynku obok nowej skody octavii RS. Zauważyła, że Bourne skrzywił się z bólu, kiedy wysiadał z samochodu.

–Lepiej wejdźmy bocznymi drzwiami.

–To nie rozwiąże problemu z ochroną – powiedział Bourne. Odpiął podszewkę płaszcza i wyjął mały plastikowy pakunek. Rozerwał go i wyciągnął nowy komplet dokumentów. Przejrzał je pobieżnie, choć w samolocie zapamiętał dane sfalszowane przez Derona. – Nazywam się teraz Mykoła Petrowicz Tuz. Jestem generałem porucznikiem SBU. Pracuję w DZND, wydziale do spraw ochrony państwowości i walki z terroryzmem. – Podeszedł do Sorai i wziął ją za ramię. – Zrobimy tak. Będziesz moją aresztantką. Czeczeńską terrorystką.

–W takim razie owinę głowę chustą.

–Nikt nawet na ciebie nie spojrzy, a tym bardziej o nic nie zapyta – zapewnił Bourne. – Będą się ciebie panicznie bali.

Otworzył drzwi i popchnął ją brutalnie przed sobą. Niemal natychmiast jakiś sanitariusz zadzwonił po ochroniarza.

Bourne wyciągnął przed siebie rękę z legitymacją DZND.

–Generał porucznik Tuz – oznajmił szorstko. – Zostałem zraniony nożem i jest mi potrzebny lekarz. – Zobaczył, że ochroniarz zerka na Soraję. – To moja aresztantka – wyjaśnił. – Czeczeńska żywa bomba.

Ochroniarz zbladł.

–Tędy, panie generale – wymamrotał. Potem powiedział coś przez krótkofalówkę i poprowadził ich korytarzami do wolnego pokoju badań, typowego dla szpitalnego oddziału pomocy doraźnej. Wskazał kozetkę. – Proszę się rozgościć. Zawiadomiłem

dyrektora kliniki. – Wyraźnie zdenerwowany obecnością ważnej osoby wyjął pistolet i wycelował w Soraję. – Stań tam. Trzeba opatrzyć pana generała.

Bourne puścił ramię Sorai i niemal niedostrzegalnie skinął jej głową. Poszła w róg pokoju i usiadła na krześle z metalowymi nogami. Ochroniarz starał się dyskretnie mieć ją na oku.

–Jakiś generał porucznik z SBU – powiedział zza biurka dyrektor polikliniki. – To nie może być wasz człowiek.

–My to ocenimy – odparł Matthew Lemer znośnym rosyjskim. Doktor Pawłyna rzuciła mu gniewne spojrzenie, potem odwróciła się do dyrektora.

–Mówił pan, że został zraniony nożem. Dyrektor skinął głową.

–Tak mnie poinformowano. Doktor Pawłyna wstała.

–Więc chyba powinnam go zobaczyć.

–Pójdziemy oboje – zarządził Lemer. Stał przy drzwiach niecierpliwym jak koń wyścigowy tuż przed startem.

–To nie byłoby mądre – odparła wolno doktor Pawłyna z wyraźnym naciskiem skierowanym pod adresem Lemera.

–Zgadza się z panią. – Dyrektor wstał i wyszedł zza biurka. – Jeśli pacjent rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, dostanie mi się za naruszenie regulaminu.

–Mimo to zamierzam towarzyszyć pani doktor – upierał się Lemer.

–Zmusi mnie pan do wezwania ochrony – ostrzegł groźnie dyrektor. – Generał nie będzie wiedział, kim pan jest i co pan tu robi. Mógłby kazać pana zatrzymać albo nawet zastrzelić. Nie chcę mieć takich incydentów w swojej placówce.

–Niech pan tu zostanie – zwróciła się doktor Pawłyna do Lemera. – Wezwę pana, jak tylko ustalimy tożsamość pacjenta.

Lemer nie odezwał się, kiedy doktor Pawłyna i dyrektor wychodzili z gabinetu, ale nie zamierzał czekać, aż lekarka weźmie sprawę w swoje ręce. Nie miała pojęcia, dlaczego przyleciał do Odessy i szuka Jasona Bourne'a. Generał porucznik ukraińskiej tajnej policji tutaj, z raną od noża w boku? Bardzo ciekawe.

Nie mógł pozwolić, żeby doktor Pawłyna spieprzyła mu robotę. Od razu powiedziała by Bourne'owi, że przysłano Lemera z Waszyngtonu. W głowie Bourne'a zadźwięczałby dzwonek alarmowy. Drań natychmiast by zniknął. I tym razem byłoby dużo nudniej go znaleźć.

Problem polegał na tym, że Lemer nie wiedział, gdzie znajduje się pacjent. Wyszedł za próg i zapytał pierwszą napotkaną osobę o opatrywanego generała porucznika. Młoda kobieta wskazała drogę. Podziękował jej i poszedł korytarzem tak skoncentrowany, że nie zauważył, iż podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu na ścianie. Poprosiła do aparatu dyrektora.

–Dzień dobry, panie generale. Doktor Pawłyna – przedstawiła się lekarka, gdy tylko weszła do pokoju badań. Na użytek dyrektora dodała: – To nie jest nasz człowiek.

Bourne siedział na kozetce. Nie dostrzegł w oczach kobiety żadnej oznaki kłamstwa, ale kiedy zobaczył, jak zerknęła na Soraję, powiedział:

–Niech pani się nie zbliża do mojej aresztantki, pani doktor. Jest niebezpieczna.

–Proszę się położyć, panie generale. – Doktor Pawłyna założyła rękawiczki chirurgiczne, potem rozpięła mu zakrwawioną koszulę i zaczęła zdejmować przesiąkniętą krwią opatrunek. – To ona zraniła pana nożem?

–Tak – potwierdził Bourne.

Pomacała okolice rany, żeby ocenić, jak silny ból odczuwa Bourne.

–Ktokolwiek pana zszywał, zrobił to pierwszorzędnie. – Spojrzała Bourne'owi w oczy. – Niestety był pan trochę za ruchliwy. Trzeba założyć nowe szwy na otwartą część rany.

Dyrektor pokazał jej, gdzie są potrzebne rzeczy i otworzył zamkniętą na klucz szafkę z lekami. Wzięła z drugiej półki pudełko, odliczyła czternaście tabletek i zawinęła w mocny papier. – I chcę, żeby pan brał to. Dwa razy dziennie przez tydzień. To bardzo silny antybiotyk o szerokim zakresie działania. Proszę zużyć wszystkie.

Bourne wziął paczuszkę i schował.

Doktor Pawłyna przyniosła do stołu butelkę z płynem dezynfekującym, tampony z gazy, igłę i nici chirurgiczne. Potem napełniła strzykawkę.

–Co to jest? – zapytał nieufnie Bourne.

–Znieczulenie. – Wkłuła mu igłę w bok i nacisnęła tłok strzykawki. Ich oczy znów się spotkały. – Bez obaw, panie generale, tylko miejscowe. Nawet w najmniejszym stopniu nie wpłynie na pańską sprawność fizyczną i umysłową.

Kiedy przystąpiła do zabiegu, cicho zadzwieczał telefon na ścianie. Dyrektor odebrał i słuchał przez chwilę.

–W porządku, rozumiem. Dziękuję, siostró. – Wyłączył się. – Pani doktor, wygląda na to, że pani towarzysz się zniecierpliwił. Idzie tutaj. – Podszedł do drzwi. – Zajmę się nim. – Zniknął za progiem.

–Jaki towarzysz? – zainteresował się Bourne.

–Nie ma się czym przejmować, panie generale – odparła doktor Pawłyna. Posłała mu kolejne znaczące spojrzenie. – Pański znajomy z kwatery głównej.

W drodze do pokoju, gdzie opatrywano pacjenta, Lemer minął trzy inne pomieszczenia. Zajrzał do każdego, zorientował się, że są identyczne, i zapamiętał rozkład: kozetka, krzesła, szafki, umywalka... Nie sądził, by miał więcej niż jedną szansę, żeby zlikwidować Bourne'a. Dobrze znał Bourne'a.

Wyjął glocka. Chwilę później przykręcił tłumik do lufy. Wolałby go nie używać, bo zmniejszyła zasięg i celność broni. Ale nie miał wyboru. Jeśli chciał wykonać zadanie i wydostać się z budynku żywy, musiał zabić Bourne'a możliwie jak najciszej. Od chwili, kiedy dyrektor CIA zlecił mu tę robotę, wiedział, że nie zdoła wydusić z Bourne'a informacji – nie we wrogim otoczeniu i zapewne nigdzie. Poza tym najlepszym sposobem pozbycia się Bourne'a było zabicie go tak szybko, jak to tylko możliwe, żeby nie zdążył przejść do kontrataku.

W tym momencie zza rogu na wprost wyłonił się dyrektor polikliniki z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

–Proszę wybaczyć, ale miał pan zostać w moim gabinecie, dopóki pana nie wezwiemy – powiedział, gdy podszedł do Lernerera. – Niech pan wróci do...

Potężny cios zadany końcem tłumika trafił go w lewą skroń. Dyrektor runął bez

czucia na podłogę. Lerner złapał go z tyłu za kołnierz, zaciągnął wstecz do jednego z pustych pokoi badań i zostawił za drzwiami.

Wrócił bez namysłu na korytarz i pokonał resztę drogi do celu bez dalszych przygód. Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami i skoncentrował na zadaniu. Ujął wolną ręką gałkę u drzwi, obrócił ją powoli do oporu i przytrzymał. Wprowadził się w stan gotowości do wykonania egzekucji.

Jednocześnie puścił gałkę, kopnął drzwi, dał długi krok przez próg i wpakował trzy kule w postać na kozetce.

Do umysłu Lenera dopiero po chwili dotarło to, co zobaczył. Gdy rozpoznał zwoje materiału na kozetce, zaczął się odwracać.

Ale ta zwłoka między akcją a reakcją wystarczyła Bourne'owi, który stał z boku. Wbił Lernerowi w szyję strzykawkę ze środkiem znieczulającym. Jednak do wykończenia go było jeszcze daleko. Lerner miał budowę byka i determinację szaleńca. Zmiażdżył strzykawkę, zanim Bourne zdążył ją całkowicie opróżnić, i rzucił się na niego.

Kiedy Bourne zadał mu dwa ciosy, Lerner nacisnął spust i pocisk utkwiał w piersi ochroniarza.

–Co pan wyrabia?! – wrzasnęła doktor Pawłyna. – Mówił pan...

Lerner wbił łokieć w krwawiącą ranę Bourne'a i strzelił lekarce w głowę. Jej ciało zostało odrzucone do tyłu prosto w ramiona Sorai.

Bourne opadł na kolana. Ból osłabiał każdy mięsień, podrażniał każdy nerw. Gdy Lerner złapał go za szyję, Soraja cisnęła napastnikowi w twarz krzesło. Rozluźnił chwyt, zatoczył się w tył i na ślepo oddał kilka strzałów. Soraja zobaczyła w drugim końcu pokoju pistolet ochroniarza i natychmiast pomyślała, żeby po niego pobic, ale Lerner dochodził do siebie przerażająco szybko.

Przypadła więc do Bourne'a, postawiła go na nogi i wyprowadziła z pokoju. Usłyszała dwa kasznięcie broni z tłumikiem – pociski odłupały kawałki ściany obok jej łokcia. Skręcili biegiem za róg i popędzili korytarzem do bocznych drzwi tą samą drogą, którą przyszli.

Na zewnątrz na wpół wrzuciła, na wpół wepchnęła Bourne'a na siedzenie pasażera sfatygowanej skody, wskoczyła za kierownicę, odpaliła silnik i z piskiem opon, wśród żwiru przyskającego spod kół, wycofała auto z parkingu.

Lerner przytrzymał się kozetki i wstał chwiejnie. Potrząsnął głową dla rozjaśnienia umysłu, ale bez skutku. Sięgnął w górę i wyciągnął z szyi igłę roztrzaskanej strzykawki. Co Bourne mu zaaplikował, co cholery?

Przez chwilę zataczał się jak szczur lądowy na statku przy dużej fali. Chwycił się kontuaru, żeby nie stracić równowagi. Podszedł półprzytomnie do umywalki i opryskał twarz zimną wodą. Ale zaczął widzieć jeszcze mniej wyraźnie niż przedtem. Miał trudności z oddychaniem.

Przesunął ręką po kontuarze i natrafił na szklaną buteleczkę z gumowym zamknięciem. Podniósł ją do oczu. Dopiero po chwili zdołał rozczytać napis drobnym drukiem. Midazolam. Środek znieczulający o krótkotrwałym działaniu. Teraz już wiedział, jakie antidotum zastosować. Wyjął z szafki fiolkę epinefryny, głównego składnika adrenaliny. Znalazł strzykawkę, napełnił jedną, wypuścił końcem igły trochę płynu, żeby usunąć ewentualne pęcherzyki powietrza, i zrobił sobie zastrzyk.

Midazolam wywołujący senność przestał działać. Mgła się podniosła w blasku ognia, który zapłonął w głowie Lenera. Znow mógł oddychać. Przyklęknął obok zwłok nieopłakiwanej doktor Pawłyny i zabrał jej kluczyki od samochodu.

Kilka minut później wyszedł z polikliniki bocznymi drzwiami. Kiedy podszedł do skody doktor Pawłyny, zobaczył na żwirze świeże ślady ostrego startu auta

zaparkowanego obok. Kierowca się spieszył. Lerner wszedł do octavii. Ślady opon prowadziły w kierunku terminalu promowego.

Doktor Pawłyna zaznajomiła go dokładnie z Iliczewskim, więc dobrze wiedział, dokąd pojechał Bourne. Przed sobą zobaczył wielki rorowiec. Trwał załadunek. Lerner zmrużył oczy. Jak się nazywa ten statek? „Itkursk”.

Uśmiechnął się szeroko z zawziętą miną. Wyglądało na to, że jednak ma drugą szansę sprzątnięcia Bourne'a.

Kapitan rorowca „Itkursk” był niezwykle zadowolony, że ma okazję gościć na swoim statku generała porucznika M.P. Tuza z DZND i jego asystentkę. Dał im kajutę dla VIP – ów z oknami i własną łazienką. Białe ściany wyginały się do środka zgodnie z krzywizną kadłuba. Podłoga z desek była mocno porysowana. Stały tu łóżko, małe biurko z dwoma krzesłami. Za wewnętrznymi drzwiami znajdowały się wąska szafa na ubrania i łazienka.

Bourne zdjął płaszcz i usiadł na łóżku.

–Wszystko w porządku?

–Połóż się. – Soraja rzuciła swoje okrycie na krzesło, wzięła zakrzywioną igłę i nici chirurgiczne. – Mam robotę.

Bourne, wdzięczny, wykonał polecenie. Miał wrażenie, że całe jego ciało płonie. Lerner zadał mu cios w bok z wprawą doświadczonego sadysty, żeby wywołać jak największy ból. Bourne wstrzymał oddech, gdy Soraja zaczęła znów zszywać ranę.

–Zdrowo ci przyłożył – powiedziała. – Co on tu robi? I co ma do ciebie?

Bourne wpatrzył się w niski sufit. Zdążył się przyzwyczaić do zdrad CIA. Nawet trochę zobojeźniał na wykalkulowane okrucieństwo agencji. Ale trudno mu było pojąć tę hipokryzję. Dyrektor CIA bardzo chętnie korzystał z jego usług, kiedy nie miał innego wyjścia, a jednocześnie stale uważał go za wroga.

–Lerner to osobisty pitbul Starego – wycedził Bourne przez zaciśnięte zęby. – Założę się, że dostał rozkaz wykonania egzekucji.

Soraja spojrzała na niego ze zdumieniem.

–I mówisz o tym tak spokojnie?

Bourne się skrzywił, gdy igła weszła w ciało, a za nią nic chirurgiczna.

–W tej sytuacji nic innego nie pozostaje, jak tylko zachować spokój.

–Ale twoja własna agencja...

–Sorajo, zrozum, CIA nigdy nie była moją agencją. Wciągnięto mnie do niej przez pewną grupę do tajnych zadań specjalnych. Pracowałem ze swoim kontrolerem, nie ze Starym czy kimkolwiek innym w CIA. To samo odnosi się do Martina. Według surowego kodeksu agencji, jestem pracownikiem niezależnym, wolnym strzelcem.

Zostawiła go na moment i weszła do łazienki. Wróciła chwilę później ze ściereczką namoczoną w gorącej wodzie. Przycisnęła ją do świeżo zszytej rany i trzymała, czekając, aż ustanie krwawienie.

–Jasonie, spójrz na mnie. Dlaczego na mnie nie patrzysz? Spojrzał w jej piękne oczy.

–Bo wtedy nie widzę ciebie, tylko Marie. Soraja, nagle przybita, usiadła na brzegu łóżka.

–Jesteśmy takie podobne? Wrócił do studiowania sufitu kajuty.

–Wręcz przeciwnie. Całkowicie się różnicie.

–Więc dlaczego...?

Kajutę wypełniło głębokie buczenie syreny okrętowej rorowca. Moment później poczuli lekkie szarpnięcie, potem łagodne kołysanie. Wyłączyli z portu, rozpoczęli podróż przez Morze Czarne do Stambułu.

–Uważam, że jesteś mi winien wyjaśnienie – powiedziała cicho.

–Czy my...? To znaczy, przedtem.

–Nie. Nigdy bym cię o to nie poprosiła.

–A ja? Prosiłem?

–Oj, Jasonie, chyba znasz siebie trochę lepiej.

–Fadiego też bym nie zabrał z celi. I nie dałbym się wciągnąć w pułapkę na plaży.

–Przeniósł wzrok na jej twarz pełną cierpliwego oczekiwania. – Samo to, że nie mogę sobie wielu rzeczy przypomnieć, jest wystarczająco przygnębiające. – Miał tylko strzępy wspomnień... własnych i... kogoś jeszcze. – Ale fakt, że przez to popełniam błędy...

–Ale dlaczego?

–Doktor Sunderland wprowadził do synaps mojego mózgu pewne proteiny. – Starał się usiąść i zbył machnięciem ręki jej chęć pomocy. – Sunderland i Fadi to spółka. Ta terapia była częścią planu Fadiego.

–Jasonie, już o tym rozmawialiśmy. To szaleństwo. Po pierwsze, skąd Fadi by wiedział, że potrzebujesz specjalisty od leczenia amnezji? Po drugie, do którego pójdziesz?

–Dobre pytania. Niestety wciąż nie znam odpowiedzi. Ale pomyśl: Fadi miał dość informacji o CIA, Lindrosie, Tyfonie. Znał tyle szczegółów, że mógł stworzyć oszusta, który nabrał wszystkich, nawet mnie, nie mówiąc już o wysokiej klasy skanerze siatkówki w agencji.

–Czy ten ktoś może należeć do spisku Fadiego? – zapytała.

–To brzmi jak brednie paranoika. Ale zaczynam wierzyć, że te wszystkie zdarzenia: terapia Sunderlanda, porwanie i zastąpienie kimś Martina, zemsta Fadiego na mnie, wiążą się ze sobą, są częściami genialnego planu unicestwienia mnie, a wraz ze mną całej CIA.

–Jak się przekonamy, czy masz rację? Jak odnajdziemy sens tych działań?

Bourne przez chwilę przyglądał się Sorai.

–Trzeba wrócić do początku. Do mojego pierwszego pobytu w Odessie, kiedy byłaś szefową placówki. Ale żebyśmy mogli to zrobić, musisz wypełnić luki w mojej pamięci.

Soraja wstała, podeszła do okna i popatrzyła na coraz szerszy pas wody i zamgloną krzywizną linii brzegowej, która zostawiali za sobą.

Bourne wolno przerzucił nogi nad krawędzią łóżka i podniósł się ostrożnie. Znieczulenie przestawało działać; silny ból w boku, gdzie Lerner zadał mu dobrze wymierzony cios, uderzył jak pociąg towarowy. Bourne zachwiał się i omal nie upadł z powrotem na łóżko, ale utrzymał równowagę. Oddychał głębiej i wolniej, aż ból

stopniowo zelżał. Przeszedł przez kajutę i stanął obok Sorai.

–Powinieneś leżeć w łóżku – odezwała się nieobecny głosem.

–Sorajo, dlaczego tak ci trudno powiedzieć, co się wydarzyło? Milczała przez chwilę.

–Myślałam, że mam to wszystko za sobą. Że nigdy nie będę musiała do tego wracać.

Chwytał ją za ramię i obrócił.

–Na miłość boską, co się stało?

Jej ciemne, błyszczące oczy wypełniły się łzami.

–Zabiliśmy kogoś, Jasonie. Ty i ja. Niewinną cywilną osobę. Młodą kobietę, prawie nastolatkę.

Biegnie ulicą i niesie kogoś na rękach. Jest na nich krew. Jej krew...

–Kogo? – zapytał ostro. – Kogo zabiliśmy? Soraja drżała, jakby było jej strasznie zimno.

–Miała na imię Sara.

–A nazwisko?

–Tylko tyle wiem. – Z oczu popłynęły jej łzy. – Od ciebie. Powiedziałeś mi, że jej ostatnie słowa brzmiały: „Mam na imię Sara. Pamiętaj o mnie”.

Gdzie ja jestem? – zastanawiał się Martin Lindros. Gdy wyprowadzono go z samolotu, wciąż w kapturze na głowie, poczuł upał i pył na skórze. Ale nie był na powietrzu zbyt długo. Jakiś pojazd – dżip lub lekka ciężarówka – zwiózł go w dół po dziwnie gładkiej pochyłości. Otoczył go chłód. Przeszedł z tysiąc metrów. Usłyszał odgłos odsuwanego rygla, otworzyły się drzwi i wepchnięto go do środka. Drzwi się zatrzasnęły i zostały zaryglowane. Nie ruszał się przez chwilę, tylko oddychał równo i głęboko. Potem sięgnął w górę i zerwał z głowy kaptur.

Stał mniej więcej na środku pomieszczenia o wymiarach może pięć na pięć metrów i solidnych, ale niewykończonych ścianach ze zbrojonego betonu. Stary stół do badań lekarskich, mała umywalka z nierdzewnej stali, rząd niskich szafek, a w nich pudełka z lateksowymi rękawiczkami i bawełnianymi tamponami, butelki ze środkami dezynfekującymi i różnymi innymi płynami. Obok leżały narzędzia chirurgiczne.

Izba chorych nie miała okien. Nic dziwnego. Domyślał się, że są pod ziemią. Ale gdzie? Klimat wydawał się pustynny, ale to nie mogła być pustynia – budowa czegokolwiek pod ziemią byłaby niemożliwa. Więc to gorący, górzysty kraj. Echa docierające do niego, kiedy szedł tutaj pod strażą, wskazywały, że kompleks jest duży. Musiał zatem znajdować się w miejscu ukrytym przed wzrokiem ciekawskich. Martinowi przyszło do głowy kilka takich rejonów – na przykład Somalia – ale większość z nich odrzucił jako położone zbyt blisko Ras Daszanu. Zaczął okrążyć pomieszczenie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, żeby lepiej widzieć lewym okiem. Gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że jest gdzieś w pasie nierównego terenu na granicy między Afganistanem i Pakistanem, na ziemi całkowitego bezprawia, będącej pod kontrolą plemion etnicznych wspieranych przez najbardziej niebezpieczne ugrupowania terrorystyczne na świecie.

Chętnie zapytałby o to Mutę ibn Aziza, ale brat Abbuda wysiadł z samolotu kilka godzin przed lądowaniem tutaj.

Usłyszał, że ktoś odsuwa rygiel i otwiera drzwi. Odwrócił się i zobaczył drobnego mężczyznę w okularach. Przybysz miał niezdrową cerę i wysoką szopę jasnych włosów. Lindros ruszył na niego z gardłowym pomrukiem. Obcy usunął się zgrabnie na bok i odsłonił dwóch strażników za jego plecami. Ich obecność nie powstrzymała rozwścieczonego Lindrosa, ale ciosy kolbami karabinów samoczynnych powaliły go na ziemię.

–Nie dziwię się, że chciał mi pan zrobić krzywdę – powiedział doktor Andursky, stojąc w bezpiecznej odległości od leżącego Lindrosa. – Gdybym był na pana miejscu, pewnie zachowałbym się tak samo.

–Oby pan był.

Doktor Andursky uśmiechnął się nieszczerze.

–Przyszedłem zająć się pańskim zdrowiem.

–To pan robił, kiedy wyjmował mi pan prawe oko?! – krzyknął Lindros.

Jeden ze strażników przycisnął mu do piersi lufę karabinu. Doktor Andursky wydawał się niezrażony.

–Jak pan dobrze wie, pańskie oko było mi potrzebne; musiałem przeszczepić siatkówkę Karimowi al – Dżamilowi. Bez tego nie oszukałby skanera siatkówki w CIA. Nie mógłby uchodzić za pana, bez względu na to, jak dobrze zmieniłbym mu twarz.

Lindros odtrącił lufę broni i usiadł.

–Co za rutyna!

–Nauka jest rutyną – zauważył doktor Andursky. – Niech pan teraz położy się na stole. Chcę sprawdzić, jak się goi pański oczodół.

Lindros wykonał polecenie. Doktor Andursky, w asyście strażników, przeciął nożyczkami chirurgicznymi brudny opatrunek na prawym oczodole Lindrosa. Zajrzał do świeżej jeszcze rany i cmoknął z niezadowoleniem.

–Mogli się bardziej postarać. – Był wyraźnie urażony. – Cała moja dobra robota...

Umył ręce, włożył lateksowe rękawiczki i zaczął czyścić oczodół. Lindros czuł tylko tępy ból, do którego zdążył się przyzwyczaić. Przypominał mu gościa, który pewnej nocy zjawia się nieoczekiwanie w czyimś domu i zostaje na zawsze. Teraz, czy mu się to podobało, czy nie, ból już go nie opuszczał.

–Wyobrażam sobie, że już nauczył się pan oglądać świat jednym okiem.

Doktor Andursky, jak to on, pracował szybko i sprawnie.

–Mam pomysł – odezwał się Lindros. – Niech pan wyjmie Fadiemu prawe oko i da mnie.

–Jak w Starym Testamencie. – Doktor Andursky założył nowy opatrunek. – Ale jest pan sam, Lindros. Nikt tu panu nie pomoże. – Skończył i zdjął rękawiczki. – Nie ucieknie pan z tego piekła.

Jon Mueller złapał sekretarza obrony, kiedy ten wychodził z Pentagonu. Hallidayowi towarzyszyli dwaj asystenci, goryl i kilku generałów broni, chcących się przypochlebić wielkiemu człowiekowi.

Halliday dostrzegł kątem oka Muellera i wykonał ręką gest, który ten dobrze znał.

Został z tyłu, u podnóża schodów, i dołączył do świty sekretarza w ostatniej chwili, gdy Halliday wsiadał do limuzyny. Nie odzywali się do siebie, dopóki dwaj asystenci nie wysiedli w pobliżu biura sekretarza. Potem zasunęła się ścianka odgradzająca pasażerów z tyłu od kierowcy i goryla z przodu. Mueller złożył Hallidayowi raport.

Sekretarz się nachmurzył, przez jego szerokie czoło przemknął cień niezadowolenia.

–Lerner zapewniał mnie, że wszystko jest pod kontrolą.

–Matt niepotrzebnie zlecił komuś tę robotę. Sam się zajmę Annę Held.

Sekretarz skinął głową.

–W porządku. Ale uważaj, Jon. Żaden trop nie może prowadzić do mnie, rozumiesz? Jeśli coś pójdzie źle, nie kiwnę palcem. Może być nawet tak, że to ja wniosę oskarżenie przeciwko tobie. Od tej chwili jesteś zdany na siebie.

Mueller wyszczerzył zęby.

–Bez obaw, panie sekretarzu. Jestem zdany na siebie, odkąd pamiętam.

Samodzielność mam we krwi.

–Sara? Tylko tyle? Nigdy nie poszłaś tym tropem?

–Nie było żadnego tropu. Nawet nie zapamiętałam dobrze jej twarzy. To się stało w nocy, bardzo szybko. A potem dostałam postrzał. Uciekaliśmy, ścigano nas. Ukryliśmy się w katakumbach, potem wyszliśmy. Miałam tylko to imię. Nie było żadnej oficjalnej informacji o jej śmierci, tak jakbyśmy nigdy nie byli w Odessie. – Soraja spuściła głowę. – Ale nawet gdybym znalazła jakiś sposób... Nie, nie mogłabym. Chciałam zapomnieć o niej i o tym, że zginęła.

–Pamiętam, że biegłem brukowaną ulicą i niosłem dziewczynę na rękach, wszędzie była jej krew.

Soraja przytaknęła. Na twarzy miała wyraz głębokiego smutku.

–Zobaczyłeś, że się rusza. Podniosłeś ją. Wtedy dostałeś postrzał.

Odpowiedziałam ogniem i nagle rozpętało się piekło. Rozdzieliliśmy się. Wymknąłeś się, żeby poszukać swojego celu, Hamida ibn Aszefa. Kiedy potem spotkaliśmy się w katakumbach, powiedziałeś, że go znalazłeś i strzeliłeś, ale nie jesteś pewien, czy go zabiłeś.

–A Sara?

–Już nie żyła. Zostawiłeś ją w drodze do Hamida ibn Aszefa.

W kajucie zapanowało długie milczenie. Bourne się odwrócił, podszedł do dzbanka z wodą i nalał sobie pół szklanki. Rozwinął kawałek papieru i wziął jedną tabletkę antybiotyku od doktor Pawłyny. Woda miała stęchły, trochę gorzki smak.

–Jak to się stało? – Stał odwrócony tyłem do Sorai. Nie chciał widzieć jej twarzy, kiedy będzie mu to mówiła.

–Pojawiła się w miejscu naszego spotkania z moim informatorem. Powiedział nam, gdzie jest Hamid ibn Aszef. W zamian daliśmy mu pieniądze, których żądał. Zobaczyliśmy dziewczynę, kiedy finalizowaliśmy transakcję. Biegła. Nie wiem dlaczego. I miała otwarte usta, jakby coś krzyczała. Ale mój informator też krzyczał. Pomyśleliśmy, że nas zdradził... co okazało się prawdą. Strzeliliśmy do niej. Oboje. Upadła.

Bourne, nagle potwornie wyczerpany, usiadł na łóżku.

Soraja zrobiła krok w jego kierunku.

–W porządku?

Przytaknął i wziął głęboki oddech.

–To była pomyłka.

–Myślisz, że dla niej to ma jakieś znaczenie?

–Mogłaś jej nawet nie trafić.

–Ale równie dobrze mogło być odwrotnie. W każdym razie, czy to by mnie rozgrzeszyło?

–Toniesz w poczuciu winy. Roześmiała się smutno.

–Chyba my oboje.

Patrzyli na siebie przez małą przestrzeń kajuty. Syrena okrętowa „Itkurska” znów się odezwała. Dźwięk był przytłumiony, smętny. Rorowiec kołysał ich w drodze na południe przez Morze Czarne. W kajucie panowała taka cisza, że Soraja niemal słyszała, jak umysł Bourne'a pracuje nad rozwikłaniem jakiejś skomplikowanej zagadki.

–Posłuchaj, Sorajo. Uważam, że śmierć Sary jest kluczem do wyjaśnienia wszystkiego, co się wydarzyło i co się dzieje teraz.

–Chyba żartujesz. – Ale zobaczyła jego śmiertelnie poważną minę i pożałowała swojej reakcji. – Mów.

–Myślę, że Sara jest centralną postacią. I że jej śmierć wprowadziła wszystko w ruch.

–Chodzi ci o plan zdetonowania przez Dudźdżę bomby jądrowej w dużym amerykańskim mieście? To już przesada.

–Nie o sam plan. Na pewno powstał już wcześniej – odparł Bourne. – Ale przypuszczam, że zmienił się termin. Śmierć Sary spowodowała, że podpalono lont.

–To by znaczyło, że osoba Sary wiąże się z twoim zadaniem zlikwidowania Hamida ibn Aszefa.

Bourne skinął głową.

–Tak podejrzewam. Nie sądzę, żeby znalazła się w miejscu spotkania przez przypadek.

–Po co miałyby tam być? Skąd by wiedziała?

–Mogła się dowiedzieć od twojego informatora. Wydał nas ludziom Hamida ibn Aszefa – ciągnął Bourne. – Natomiast, co tam robiła, nie mam pojęcia.

Soraja zmarszczyła brwi.

–Ale jaki jest związek między Hamidem ibn Aszefem i Fadim?

–Myślałem o tej informacji, którą dostałaś od przyjaciółki z Urzędu Śledczego Pożarnictwa.

–O dwusiarczku węgla, akcelerancie, którego Fadi użył w hotelu Constitution.

–Zgadza się. Powiedziałaś, że dwusiarczek węgla jest używany między innymi do flotacji, rozdzielania kopalin. Flotacja rozwinęła się w końcu XX wieku na skalę przemysłową głównie jako metoda przetwarzania srebra.

Soraję olśniło.

–Integrated Vertical Technologies zajmuje się przetwarzaniem srebra.

Właścicielem IVT jest Hamid ibn Aszef.

Bourne przytaknął.

–Myślę, że IVT to legalna firma finansująca Dudźdżę.

–Ale Sara...

–Nie ruszymy z miejsca, dopóki nie dotrzemy do Stambułu i nie wejdziemy do Internetu. W tej chwili nasze telefony są bezużyteczne.

Soraja wstała.

–W takim razie pójdę zdobyć coś do jedzenia. Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

–Pójdziemy razem.

Bourne zaczął się podnosić, ale popchnęła go z powrotem na łóżko.

–Musisz wypoczywać, Jasonie. Przyniosę jedzenia dla nas obojga. Uśmiechnęła się do niego, odwróciła i wyszła.

Bourne leżał przez chwilę i próbował sobie przypomnieć coś więcej o nieudanej operacji zlikwidowania Hamida ibn Aszefa. Widział w wyobraźni młodą kobietę, wbiegającą na plac z otwartymi ustami. Co krzyczała? Do kogo? Czuł ją na swoich rękach i wyteżał słuch, żeby zrozumieć jej słowa.

Ale słyszał tylko głos Fadiego, odbijający się echem pod moło w Odessie.

„Długo czekałem na tę chwilę. Na to, żeby znów spojrzeć ci w twarz. Żeby dokonać zemsty”.

W planie Fadiego był zatem ważny motyw osobisty. Terrorysta ścigał swoją ofiarę, przebiegle pchał prosto w sieć spisku na niespotykaną skalę. Wmanewrował go w poszukiwania człowieka udającego Lindrosa; w to, że poświadczył za oszusta w Ponurym Domu. To też było częścią planu. Fadi wykorzystał go do tego, by zinfiltrować CIA na najwyższym szczeblu.

Bourne nie potrafił uleżeć dłużej bez ruchu. Wstał z łóżka, nie bez bólu i wysiłku. Przeciągnął się, na ile mógł, i poczłapał do łazienki z metalową kabiną prysznicową, umywalką, porcelanowym sedesem i sześciokątnym lustrem. Na suszarce wisiały dwa cienkie, prawie przetarte ręczniki, na półce leżały dwie duże, podłużne kostki mydła, zapewne głównie z ługu.

Sięgnął w górę, puścił wodę, zaczekał, aż będzie gorąca, i wszedł pod prysznic.

Popołudnie przechodziło w zmierzch, zrobiło się szaro. Słońce zeszło poniżej ciemnych chmur, które zapowiadały ulewę. W przedwczesnym mroku zerwał się wilgotny, południowo – zachodni wiatr. Przynosił z tureckiego wybrzeża ostre zapachy sumaku i oregano.

Matthew Lerner stał w śródkręciu „Itkurska” przy relingu z prawej burty i palił papierosa, gdy zobaczył, że z jednej z dwóch kajut dla VIP – ów na górnym pokładzie statku wychodzi Soraja Moore.

Obserwował, jak kobieta się oddala i schodzi po metalowych schodach na dolny pokład. Poczul nagłą chęć, żeby pójść za nią i wbić jej w kark szpikulec do lodu, który miał przy sobie. Sprawiałaby mu to osobistą satysfakcję, ale zawodowo byłoby samobójstwem – podobnie jak użycie pistoletu w zamkniętej przestrzeni rorowca. Ścigał Bourne'a. Zabicie Sorai Moore skomplikowałoby sytuację, która już wymknęła

się spod kontroli. Musiał teraz improwizować, co nie było najlepszym scenariuszem, choć w terenie niemal nieuniknionym.

Przezornie odwrócił się twarzą do fal, kiedy Soraja przez chwilę szła na wprost po dolnym pokładzie. Zaciągnął się mocnym tureckim papierosem i wyrzucił niedopałek za burtę.

Obejrzał się. Agentka zniknęła. Nie widział wokół żadnych kolorów. Morze miało barwę ołowiu, statek był czarno – biały. Przeciął szybko środkowy pokład, wspiął się po schodach na górny i ruszył do drzwi kajuty dla VIP – ów.

Bourne namydlił się, uważając na ranę. Razem z potem i brudem zniknęły bóle i napięcie mięśni. Żałował, że nie może zostać pod gorącym prysznicem, ale to był statek towarowy, nie luksusowy liniowiec pasażerski. Woda szybko zrobiła się zimna, potem w ogóle przestała lecieć; nawet nie zdążył porządnie splukać ciała.

Niemal w tym samym momencie dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Odwrócił się w półprzysiadzie. Refleks i śliskość skóry uratowały go przed dźgnięciem w szyję szpikulcem do lodu, którym zamachnął się Lerner. Bourne wpadł na tylną ścianę kabiny prysznicowej, napastnik rzucił się na niego.

Wymierzył mu kantem wielkiej, spracowanej dłoni dwa szybkie ciosy w splot słoneczny. Miały go unieszkodliwić na tyle, żeby Lerner znów mógł zaatakować szpikulcem. Uderzenia były silne, ale niewystarczająco. Bourne skontrował trzeci cios i wykorzystał tylną ścianę kabiny jako oparcie, by kopnąć Lenera lewą piętą w pierś, gdy ten dawał krok pod prysznic. Zamiast dosięgnąć Bourne'a, Lerner poleciał do tyłu i poślizgnął się na mokrej terakotowej podłodze łazienki.

Bourne natychmiast wyskoczył z kabiny. Chwycił świeże mydło i mocno zakręcił je w ręcznik. Rozmachał prowizoryczną broń. Zablokował lewym przedramieniem kolejny cios, odbijając prawe ramię Lenera do góry i w bok, żeby odsłonić jego tułów.

Uderzenie mydłem zawiniętym w ręcznik okazało się zadziwiająco silne i zaskoczyło Lenera. Zatoczył się w tył do kajuty. Ale był w doskonałej formie fizycznej, więc kontratak spowolnił go tylko na chwilę. Zatrzymał się w oczekiwaniu na próbę przełamania jego obrony. Zamiast tego, Bourne posłał swoją broń nisko, zmuszając przeciwnika, by zamachnął się na nią szpikulcem.

Natychmiast nadepnął lewą nogą na prawy nadgarstek Lenera. Ale był bosy; co więcej, miał jeszcze mokrą i trochę śliską stopę – Lerner zdołał uwolnić dłoń. Dźgnął w górę i omal nie przebił Bourne'owi nogi. Zamarkował manewr w prawo i walnął Bourne'a prawym kolaniem w lewy bok klatki piersiowej.

Bourne odsłonił zęby w grymasie bólu. Twarde jak stal knykcie Lenera ugodziły go w ramię z drugiej strony. Zachwiał się. Lerner błyskawicznie zahaczył czubek buta za kostkę przeciwnika, szarpnął i zwałił go z nóg.

Runął na niego. Bourne zadał cios w górę. Trafił Lenera w twarz i złamał mu nos. Obu opryskała krew. Kiedy Lerner ścierał ją z oczu, Bourne zrzucił go z siebie i wbił mu palce w miękkie miejsce tuż poniżej żeber. Lerner stęknął z zaskoczenia i bólu.

Ryknął i zaatakował taką serią potężnych ciosów, że nawet mając dwie ręce wolne, Bourne nie był w stanie sparować wszystkich. Zainkasował tylko jedną

trzecią, ale tyle wystarczyło, by poważnie zmniejszyć jego i tak nadwerżoną wytrzymałość.

Poczuł na gardle wielką jak szynka dłoń Lenera. Przygwożdżony do podłogi, zobaczył, że do jego prawego oka zbliża się ostrze szpikulca do lodu.

Miał już tylko jedną szansę. Bourne zdał się całkowicie na zabójczy instynkt swojej osobowości. Żadnych myśli, żadnego strachu. Trzasnął Lenera otwartymi dłońmi w uszy. Podwójne uderzenie nie tylko zdezorientowało napastnika, lecz również wywołało efekt niemal hermetycznego uszczelnienia, dlatego gdy Bourne cofnął ręce, powstałe ciśnienie rozerwało Lenerowi błony bębenkowe.

Szpikulec do lodu zawisnął w drżącej nagle dłoni. Bourne odbił ją w bok, złapał Lenera za koszulę, szarpnął go w dół i walnął bykiem. Trafił czołem w nasadę jego nosa.

Lerner wygiął się w tył i przewrócił oczami. Ale wciąż trzymał szpikulec. Choć był półprzytomny, zadziałał instynkt samozachowawczy. Zamachnął się prawą ręką do tyłu i szpikulec przebił skórę po zewnętrznej stronie prawego ramienia Bourne'a, mimo że ten zrobił błyskawiczny unik.

Bourne oburącz zadał cios w tętnicę szyjną. Klęczący Lerner poleciał do tyłu i się zachwiał. Bourne złączył ciasno palce i wbił je pod szczękę Lenera. Poczuł, jak pękają skóra, mięśnie i wnętrzności.

W kajucie zrobiło się czerwono.

Bourne'owi nagle pociemniało w oczach. Natychmiast opuściły go siły. Zatrząśnięty, przewrócił i stracił przytomność.

Muta ibn Aziz, z palcami zaciśniętymi na kształtnym ramieniu Katii Veintrop, zjechał windą z nierdzewnej stali do ośrodka jądrowego Dudzdży w Miram Shah.

–Zobaczę teraz swojego męża? – zapytała Katia.

–Tak – odparł Muta ibn Aziz. – Ale zapewniam, że nie uszczęśliwi was to spotkanie.

Drzwi windy się rozsunęły. Katia wysiadła i się wzdrygnęła.

–Czuję się tutaj jak w czeluściach piekła. – Popatrzyła wokół na nagie betonowe ściany korytarza.

Upiorne oświetlenie nie umniejszało jej urody, na którą Muta ibn Aziz, jak każdy dobry Arab, starał się nie reagować. Katia była wysoką, szczupłą blondynką z pełnym biustem i jasnymi oczami. Jej nieskazitelna cera lśniła jak wypolerowana, grzbiet nosa zdobiły drobne piegi. Muta ibn Aziz ignorował to z całkowitą obojętnością, zrodzoną na pustyni.

Podczas monotonnej, ośmiogodzinnej jazdy land roverem w kurzu do Miram Shah myślał o innych sprawach. Był tutaj tylko raz, trzy lata temu. Towarzyszył wtedy swojemu bratu Abbudowi ibn Azizowi. Przywieźli błyskotliwego i opornego doktora Costina Veintropa. Fadi kazał im eskortować go z laboratorium w Bukareszcie do Miram Shah, ponieważ okazało się, że pocziwy doktor jest niezdolny do odbycia tej podróży samodzielnie.

Veintrop był przybity i rozgoryczony, bo zwolniono go z Integrated Vertical Technologies za przestępstwa, których – jak twierdził – nie popełnił. Miał rację, ale to się nie liczyło. Same zarzuty wystarczyły, by go szantażować, że jeśli będzie się starał o pracę w jakiejś legalnej firmie, na uniwersytecie, przy jakimś projekcie, to zostaną ujawnione.

Wtedy zjawił się Fadi i złożył mu kuszącą propozycję. Nie zawracał sobie głowy ukrywaniem prawdy, bo po co? Doktor wkrótce by ją poznał. Veintropa oczywiście oszołomiły wielkie pieniądze, ale oprócz geniuszu miał skrupuły. Więc Fadi zamienił marchewkę na kij. Dość szybko się przekonał, że Veintrop zrobiłby praktycznie wszystko, żeby zapewnić Katu bezpieczeństwo.

„U mnie pańskiej żonie nic nie grozi, doktorze”, powiedział, kiedy Muta ibn Aziz i jego brat przywieźli Veintropa do Miram Shah. „Nigdzie nie byłaby bardziej bezpieczna”. Na dowód tego pokazał mu nagranie wideo sprzed kilku dni. Katia płakała i błagała męża, żeby ją zabrał. Veintrop też się rozplakał. Potem otarł łzy i przyjął ofertę Fadiego. Ale w jego oczach wszyscy dostrzegli cień przyszłych kłopotów.

Kiedy doktor Senarz zabrał Veintropa, żeby rozpoczął pracę w laboratorium w Miram Shah, Fadi odwrócił się do Muty ibn Aziza i Abbuda ibn Aziza. „Zrobi to, co chcemy? Jak uważacie?”

Opinia dwóch braci była zgodna. „Dopóki mamy na niego kij, będzie posłusznie wykonywał zadania”.

Ale tylko co do tego się zgodzili podczas czterodniowego pobytu w betonowym mieście głęboko pod dzikimi, nieprzyjaznymi górami na granicy zachodniego

Pakistanu i Afganistanu. Pakistańskie władze i wojsko bały się zapuszczać w ten niebezpieczny rejon. Talibowie, al – Kaida, Światowy Dżihad, muzułmańscy fundamentaliści wszelkiej maści – roilo się tutaj od terrorystów. Wielu z nich zwalczało się nawzajem, wbrew jednemu z bardziej udanych amerykańskich kłamstw, że wszystkie ugrupowania terrorystyczne są dowodzone przez jednego czy dwóch ludzi, najwyżej garstkę. To było niedorzeczne. Istniało tyle dawnych antagonizmów między sektami, tyle kolidujących ze sobą celów... Ale mit pozostał. Fadi, wykształcony na Zachodzie, mistrz w dziedzinie komunikacji masowej, wykorzystał kłamstwo Amerykanów przeciwko nim, by zbudować potęgę Dudźdży i własną.

Kiedy Muta ibn Aziz prowadził Katię korytarzami na spotkanie z Fadim i jej mężem, nie mógł się powstrzymać od rozmyślań o tym, co podzieliło jego i brata. Poróżnili się trzy lata temu, a czas tylko umocnił odmienne przekonania każdego z nich. Przyczyną sporu była Sara ibn Aszef, jedyna siostra Fadiego i Karima al – Dżamila. Jej zabójstwo zmieniło życie ich wszystkich. Pojawiły się tajemnice, kłamstwa i wrogość, co przedtem nie istniało. Jej śmierć zniszczyła dwie rodziny, widocznie i niewidocznie. Po tamtej nocy w Odessie, kiedy Sara rozrzuciła ramiona i upadła na bruk placu, Muta ibn Aziz i jego brat byli dla siebie straceni. Zachowywali się tak, jakby nic nie zaszło, ale ich myśli już nigdy nie pobięły równolegle.

Muta ibn Aziz skreślił za róg. Zobaczył, że z otwartych drzwi wychodzi jego brat i przywołuje go gestem. Muta tego nie cierpiał. Takim ruchem nauczyciel wzywa ucznia, który zasłużył na reprimendę.

–A, jesteś – powiedział Abbud ibn Aziz, jakby brat się spóźnił. Muta ibn Aziz zignorował Abbuda ibn Aziza, precyzyjnie się obok niego i pociągnął Katię za próg.

Pomieszczenie było przestronne, choć z konieczności niskie, umeblowane w typowo użytkowy sposób: sześć plastikowych krzeseł, stół z blatem obitym blachą ocynkowaną, szafki wzdłuż lewej ściany, umywalka i jeden grzejnik elektryczny.

Fadi stał przodem do nich. Ręce trzymał na ramionach doktora Veintropa, który siedział, najwyraźniej nie z własnej woli, na jednym z krzeseł.

–Katiu! – zawołał na widok żony. Rozpromienił się, ale iskry w jego oczach szybko zgasły, gdy bezskutecznie spróbował do niej podejść.

Fadi unieruchomił doktora i skinął głową Mucie ibn Azizowi, który puścił młodą kobietę. Z nieartykułowanym okrzykiem podbiegła do męża i przyklękła przed nim.

Veintrop pogładził ją czule po włosach i twarzy, jakby musiał się upewnić, że to nie miraż i nie sobowtór. Widział efekty pracy doktora Andursky'ego nad wyglądem Karima al – Dżamila. Co by go powstrzymało przed zrobieniem tego samego z jakąś inną Rosjanką, która udawałaby Katię i okłamywała go na ich polecenie?

Odkąd został „zwerbowany” przez Fadiego zaczął popadać w paranoję. Wszystko kręciło się wokół zmywy, żeby uczynić z niego niewolnika. Niewiele się mylił.

–Zobaczyliście się – powiedział do niego Fadi. – A teraz chciałbym, żeby przestał się pan ociągać. Mamy harmonogram. Przez pańską opieszałość jesteśmy spóźnieni.

–Nie ociągam się – zaprotestował Veintrop. – Mikroobwody...Urwał i skrzywił się, gdy Fadi mocniej nacisnął jego ramiona.

Przywódca skinął głową Abbudowi ibn Azizowi, który wyszedł z pokoju. Wrócił z

doktorem Senarzem, fizykiem jądrowym.

–Doktorze Senarz – zwrócił się do niego Fadi – proszę mi wyjaśnić, dlaczego urządzenie jądrowe, które poleciłem panu skonstruować, nie jest jeszcze gotowe.

Fizyk popatrzył na Veintropa. Praktykował u okrytego złą sławą pakistańskiego naukowca atomisty Abdula Kadira Chana.

–Ja skończyłem swoją część pracy – odparł. – Sproszkowany dwutlenek uranu, który mi pan dostarczył, został przetworzony na wysoko wzbogacony uran w postaci metalu, potrzebny do głowicy jądrowej. Innymi słowy, mamy materiał rozszczepialny. Obudowa też już jest. Czekamy teraz tylko na doktora Veintropa. Jak pan wie, jego praca ma decydujące znaczenie. Jeśli jej nie wykona, nie będzie pan miał takiego urządzenia, jakie pan chce.

–A zatem, Costinie, doszliśmy do sedna sprawy. – Fadi mówił spokojnie, cicho, neutralnym tonem. – Z twoją pomocą mój plan się powiedzie, bez niej nie. Równanie jest wyjątkowo proste. Dlaczego więc mi nie pomagasz?

–Proces okazał się bardziej skomplikowany, niż się spodziewałem. – Veintrop nie mógł oderwać wzroku od żony.

–Doktorze Senarz? – zagadnął Fadi.

–Doktor Veintrop skończył miniaturyzację kilka dni temu.

–A co on wie o miniaturyzacji? – parsknął Veintrop. – To nieprawda.

–Nie pytałem cię o opinię, Veintrop – zareagował równie ostro Fadi. Kiedy Senarz wyjął mały notes oprawiony w ciemnoczerwoną skórę.

Veintrop jęknął mimowolnie.

Fizyk wyciągnął rękę z notesem.

–Tu są prywatne zapiski doktora Veintropa.

–Nie masz prawa! – krzyknął Veintrop.

–Ależ ma wszelkie prawo. – Fadi wziął notes. – Należysz do mnie, Veintrop.

Wszystko, co robisz, myślisz, pisziesz, o czym marzysz, jest moje.

Katia głęboko westchnęła.

–Coś ty zrobił, Costinie?

–Sprzedałem duszę diabłu – mruknął Veintrop.

Abbud ibn Aziz musiał dostać niemy sygnał od Fadiego, bo klepnął doktora Senarza w ramię i wyprowadził go z pokoju. Na odgłos zamykających się za nimi drzwi Veintrop aż podskoczył.

–Wszystko w porządku – uspokoił go Fadi swoim najłagodniejszym tonem.

Muta ibn Aziz natychmiast chwycił Katię za ubranie na karku i odciągnął ją od męża. Veintrop spróbował zerwać się z miejsca, ale Fadi nadal trzymał go mocno za ramiona i przywoździł z powrotem do krzesła.

–Więcej nie będę cię prosił – powiedział Fadi tym samym łagodnym tonem, jak ojciec do ukochanego dziecka, które źle się zachowuje.

Muta ibn Aziz wymierzył Katii straszliwy cios w tył głowy.

–Nie! – wrzasnął Veintrop, gdy rozciągnęła się twarzą w dół na podłodze.

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Muta ibn Aziz podciągnął ją do pozycji siedzącej, okrążył i potężnym uderzeniem złamał zgrabny nos. Trysnęła krew

i opryskała oboje.

–Nie! – wrzasnął znów Veintrop.

Muta ibn Aziz złapał Katię za blond włosy i z impetem wbił jej knykcie w piękny lewy policzek. Zaszlochała; po nabrzmiałej twarzy spłynęły łzy.

–Dość! – krzyknął Veintrop. – Na miłość boską, przestań! Błagam! Muta ibn Aziz cofnął zakrwawioną pięść.

–Nie każ mi prosić cię jeszcze raz – szepnął Fadi doktorowi do ucha. – Nie doprowadzaj do tego, że przestanę ci ufać, Costinie.

–Dobrze, nie. – Veintrop też szlochał. Serce mu się krajało. Wiedział, że już nigdy nie będzie tak jak przedtem. – Zrobię, co pan chce. Skończę miniaturyzację za dwa dni.

–Dwa dni, Costinie. – Fadi chwycił go za włosy i szarpnął mu głowę to tyłu, żeby Veintrop spojrział na niego. – Ani chwili dłużej.

–Jasne.

–Bo inaczej urządzimy Katię tak, że nawet doktor Andursky nie będzie w stanie tego naprawić.

Muta ibn Aziz znalazł swojego brata w sali operacyjnej doktora Andursky'ego. To tutaj Karim al – Dżamil dostał twarz Martina Lindrosa; nową tęczówkę, źrenicę i – co najważniejsze – siatkówkę oka, która miała być dla skanerów CIA dowodem, że Karim al – Dżamil to Lindros.

Muta ibn Aziz odetchnął z ulgą. W sali operacyjnej nie było nikogo poza jego bratem.

–Teraz na pewno musimy powiedzieć Fadiemu prawdę. – Cichy głos Muty ibn Aziza brzmiał przynaglająco.

Abbud ibn Aziz patrzył na lśniące narzędzia chirurgiczne.

–Nie potrafisz myśleć o niczym innym? Trzy lata temu mówiłeś to samo.

–Okoliczności się zmieniły. Radykalnie. Mamy obowiązek mu powiedzieć.

–Absolutnie się z tym nie zgadzam. Tak samo jak wtedy – dodał Abbud ibn Aziz. – Jest akurat odwrotnie; mamy obowiązek trzymać prawdę w tajemnicy przed Fadim i Karimem al – Dżamilem.

–Twoja argumentacja jest teraz nielogiczna.

–Czyżby? W momencie śmierci siostry ponieśli niepowetowaną stratę. Mało cierpieli? Sara ibn Aszef była kwiatem Allana, skarbniczką honoru rodziny, piękną niewinną istotą, która powinna żyć szczęśliwie. Jej pamięć musi być świętością. Musimy izolować Fadięgo i Karima al – Dżamila od wszelkich zewnętrznych źródeł niepokoju.

–Źródło niepokoju?! – wrzasnął Muta ibn Aziz. – Tak nazywasz prawdę o ich siostrze?

–A ty jak byś to nazwał?

–Zupełną katastrofą, hańbą przekraczającą wszelkie...

–I chcesz być tym, który wyjawi Fadiemu tę straszną prawdę? Dlaczego? Co zamierzasz osiągnąć?

–Odpowiedziałem ci na to pytanie trzy lata temu: kłamstwo zniszczy nas

wszystkich – odparł Muta ibn Aziz. – Teraz planują zemstę na Jasonie Bourne.

–Nie widzę powodu, żeby ich powstrzymać. Bourne jest dla nas groźny, dla ciebie też. Byłeś tamtej nocy w Odessie, tak jak ja.

–Obsesja na punkcie pomszczenia śmierci siostry zaćmiewa im umysły. A jeśli się przeliczą?

–To tylko jeden człowiek. – Abbud ibn Aziz się roześmiał.

–Byłeś z Fadim w Odessie za pierwszym i drugim razem. Udało mu się zabić Bourne'a?

Abbud ibn Aziz ostro zareagował na lodowaty ton brata.

–Bourne został ciężko ranny – warknął. – Musiał uciekać przed Fadim do katakumb pod miastem. Bardzo wątpię, żeby przeżył. Ale to nie ma znaczenia. Jest unieszkodliwiony; nie może nam teraz zaszkodzić. Według woli Allaha. Co się miało stać, to się stało. Co ma się stać, to się stanie.

–A ja ci mówię, że dopóki Bourne żyje, obaj nie spoczną. Źródło niepokoju będzie nadal istniało. Natomiast jeśli im powiemy...

–Milcz! To wola Allaha!

Jeszcze nigdy w słowach Abbuda ibn Aziza skierowanych do młodszego brata nie było tyle jadu. Dzieliła ich śmierć Sary ibn Aszef. Obaj o tym myśleli, ale nigdy nie poruszali tego tematu. Muta ibn Aziz wiedział, że milczenie nie jest dobre, osłabia braterską więź. Był przekonany, że pewnego dnia to ich zniszczy.

Nie po raz pierwszy poczuł rozpacz. W takich chwilach wydawało mu się, że jest osaczony, że bez względu na to, w którą stronę się zwróci i co zrobi, on i jego brat pozostaną grzesznikami skazanymi na to, by smażyć się w ogniu piekielnym. *La ilaha Ul allah!* Oby Allah nie dopuścił do nas Ognia!

Jakby odgadując czarne myśli Muty i chcąc go jeszcze bardziej pognębić, Abbud powtórzył to, co mówił tamtej nocy, kiedy zginęła Sara ibn Aszef.

–W jej sprawie zachowamy swoje zdanie dla siebie – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Będziesz mnie słuchał bez szemrania, jak dotąd. Tak jak musisz. Nie jesteśmy oddzielnymi jednostkami, bracie, tylko ogniwami w rodzinnym łańcuchu. *La ilaha Ul allah!* Los jednego jest losem wszystkich.

Mężczyzna siedzący po turecku u szczytu niskiego drewnianego stołu, wypełnionego różnymi przedmiotami patrzył na Fadię złym okiem, bez wątplenia dlatego, że miał tylko jedno oko – lewe. Prawy poczerniał, oczodół zasłaniała biała przepaska z egipskiej bawełny.

Fadi zrzucił buty i przeszedł po betonowej podłodze. Wszystkie podłogi, ściany i sufity w Miram Shah były z betonu i wyglądały identycznie. Usiadł prostopadle do mężczyzny.

Wytrząsnął ze szklanego słoika garść ziaren kawy palonej kilka godzin temu. Wrzucił je do mosiężnego moździerza, wziął tłuczek i roztał je na drobny proszek. Na pierścieniu przenośnego palnika gazowego stał miedziany garnuszek. Fadi nalał do niego wodę z dzbanka i zapalił palnik. Pod garnuszkiem pojawił się krąg niebieskich płomieni.

–Nie widzieliśmy się jakiś czas – zaczął.

–Naprawdę spodziewasz się, że będę pił z tobą kawę? – zapytał prawdziwy Martin Lindros.

–Spodziewam się, że będziesz się zachowywał jak cywilizowany człowiek.

Lindros roześmiał się gorzko i dotknął palcem wskazującym przepaski na oku.

–Po tym?

–Weź daktyla. – Fadi podsunął mu owalny półmisek z wysokim stosem suszonych owoców. – Najlepiej smakują z masłem z koziego mleka.

Kiedy tylko woda się zagotowała, Fadi przechylił moździerz i wsypał kawę do garnuszka. Przysunął sobie miseczkę, której zawartość pachniała świeżo rozgniecionymi ziarnami kardamonu. Teraz skoncentrował się wyłącznie na mieszaniu kawy. Zanim zaczęła się pienić, zdjął garnuszek z palnika, wrzucił do naczynia kilka ziaren kardamonu i przelał kawę do małego dzbanka. Kawalek palmowego włókna wetknięty do dziobka zatrzymywał fusy podczas nalewania płynu. Fadi odstawił garnuszek na bok i napełnił *gahwah'arabijah* - arabską kawę – dwie maleńkie filiżanki bez uszek. Najpierw obsłużył Lindrosa, tak jak zachowałyby się każdy beduin w stosunku do honorowego gościa, choć jeszcze nigdy żaden beduin nie siedział po turecku w takim „namiocie” – rozległym, podziemnym, z betonu o grubości pół metra.

–Jak się miewa twój brat? Mam nadzieję, że patrząc moim okiem, zobaczy wszystko w innej perspektywie. Może przestanie być takim zagorzałym zwolennikiem zniszczenia Zachodu.

–Naprawdę chcesz rozmawiać o destrukcji, Martinie? W takim razie, pomówmy o agresywnym eksporcie amerykańskiej kultury przeżartej dekadencją zblazowanej populacji, która chce wszystkiego natychmiast i już nie rozumie znaczenia słowa „poświęcenie”. Pomówmy o amerykańskiej okupacji Bliskiego Wschodu, o rozmyślnym niszczeniu wiekowych tradycji.

–Więc do tych tradycji trzeba zaliczyć wysadzenie w powietrze przez talibów posągów o symbolice religijnej w Afganistanie. Kamienowanie kobiet, które popełniają cudzołóstwo, podczas gdy ich kochankowie nie ponoszą żadnej kary.

–Ja, saudyjski beduin, mam z talibami tyle wspólnego, ile ty. A co do cudzołożnic, to trzeba brać pod uwagę prawo islamu. My nie jesteśmy oddzielnymi jednostkami, Martinie, lecz członkami rodziny. Honor rodu spoczywa w rękach córek. Jeśli nasze siostry okrywają się hańbą, przynoszą wstyd wszystkim krewnym, którzy z tym żyją, dopóki winna kobieta chodzi po ziemi.

–I trzeba zabić własną żonę, siostrę, matkę? To nieludzkie.

–Dlatego, że to nie po waszemu? – Fadi skinął głową. – Pij. Lindros uniósł filiżankę do ust i wypił kawę jednym haustem.

–Musisz ją sączyć, Martinie. – Fadi ponownie napełnił jego filiżankę, potem wypił swoją kawę trzema małymi łykami, delektując się jej aromatem i smakiem. Wziął prawą ręką daktyla, zanurzył w wonnym maśle i włożył do ust. Przeżuł go wolno w zamyśleniu i wypluł długą, płaską pestkę. – Dobrze by ci zrobiło, gdybyś ich spróbował. Daktyle są doskonałe. I pożywne. Czy wiesz, że Mahomet nieodmiennie przerywał post jedzeniem datyli? Robimy tak samo, bo to nas zbliża do jego ideałów.

Lindros patrzył na niego, sztywny i milczący, jakby czuwał. Fadi wytarł rękę małym ręcznikiem.

–Mój ojciec robił kawę od rana do wieczora. To największy komplement, jaki mógłbym mu powiedzieć... każdemu beduinowi. To oznacza, że jest hojny. – Dolał sobie kawy. – Ale mój ojciec już nie może przyrządzać kawy. Nic już nie może robić, poza patrzeniem w przestrzeń. Moja matka mówi do niego, ale on nie odpowiada. Wiesz dlaczego, Martinie? – Znów opróżnił filiżankę trzema łykami. – Bo nazywa się Abu Sarif Hamid ibn Aszefal – Wahhib.

Jedyne oko Lindrosa lekko drgnęło.

–Zgadza się – potwierdził Fadi. – Hamid ibn Aszef. Człowiek, którego na twoje polecenie miał zabić Jason Bourne.

–Więc dlatego mnie uwięziłeś.

–Tak myślisz?

–To nie była moja operacja, durniu. Wtedy jeszcze nawet nie znałem Jasona Bourne'a. Prowadził go Alex Conklin, który nie żyje. – Lindros zaczął się śmiać.

Bez żadnego ostrzeżenia Fadi rzucił się przez stół i złapał więźnia za koszulę. Potrząsnął nim tak mocno, że Lindros aż zaszczekał zębami.

–Myślisz, że jesteś sprytny. Ale teraz zapłacicie za wszystkie grzechy. Ty i Bourne. – Chwycił Lindrosa za gardło, jakby chciał mu wyrwać tchawicę. Sprawiało mu wyraźną przyjemność, że tamten się dusi. – Bourne podobno jeszcze żyje, choć ledwo. Ale wiem, że mimo to poruszy niebo i ziemię, żeby cię znaleźć, zwłaszcza jeśli uważa, że ja jestem z tobą.

–Co... co zamierzasz zrobić? – wykrztusił z trudem Lindros.

–Dostarczyć mu informację, której potrzebuje. Że jesteś tutaj, Martinie. I kiedy się zjawi w Miram Shah, wypatroszę cię na jego oczach. A potem wezmę się do niego. – Przyniósł twarz do Lindrosa i wpatrzył się w jego lewe oko, jakby mógł zobaczyć tam skrywane tajemnice. – W końcu Bourne sam będzie chciał umrzeć. Ale zadbam o to, żeby długo konał. A przed śmiercią był świadkiem nuklearnej zagłady stolicy Ameryki.

CZĘŚĆ III

24

Trumna jest opuszczana do ziemi. Na uchwytach tworzą się niewyraźne refleksy, po tabliczce z inskrypcją przymocowanej do wieka płasają plamki światła przyprawiające o zawrót głowy. Na znak pastora trumna zawisa nieruchomo w powietrzu. Duchowny – zadbany i elegancki w europejskim garniturze – pochyla się tak bardzo nisko nad grobem... zaraz tam wpadnie. Ale tak się nie dzieje. Zamiast tego, w zdumiewającej eksplozji nadludzkiej siły odrywa wieko trumny.

–Co pastor robi? – pyta Bourne.

Duchowny odwraca się, przywołuje go gestem, i odrzuca na bok ciężkie mahoniowe wieko. Bourne widzi, że to wcale nie pastor. To Fadi.

–Chodź – mówi po arabsku Fadi. Zapala papierosa i wręcza Bourne'owi kartonik zapalek. – Zobacz.

Bourne daje krok naprzód, zagląda do otwartej trumny...

...i zastaje tam siebie siedzącego na tylnym siedzeniu samochodu. Wygląda przez okno i widzi znajomy krajobraz, ale nie potrafi go umiejscowić. Szarpie kierowcę za ramię.

–Dokąd jedziemy?

Kierowca się odwraca. Martin? Jego twarz wygląda dziwnie: jest zacieniona lub oszpecona. To ten Lindros, którego Bourne sprowadził z powrotem do kwatery głównej CIA.

–A jak myślisz? – pyta oszust i przyspiesza.

Bourne pochyla się i widzi jakąś postać przy drodze. Zbliżają się do niej bardzo szybko. To młoda kobieta, autostopowiczka, stoi z wysuniętym kciukiem. Sara. Są prawie przy niej, gdy daje krok prosto przed pędzący samochód.

Bourne próbuje krzyknąć ostrzegawczo, ale jest niemy. Czuje, że samochód gwałtownie hamuje i skręca. Widzi, jak ciało Sary wylatuje w powietrze; tryska krew. W furii sięga w kierunku kierowcy...

...i znajduje się w autobusie. Pasażerowie mają obojętne miny, całkowicie go ignorują. Bourne przechodzi do przodu środkiem między siedzeniami. Kierowca jest w porządnym garniturze. Doktor Sunderland, lekarz z Waszyngtonu, specjalista od amnezji.

–Dokąd jedziemy? – pyta go Bourne.

–Już panu mówiłem – przypomina lekarz.

Bourne widzi przez wielką przednią szybę plażę w Odessie. Jest tam Fadi. Pali papierosa i się uśmiecha. Czeka na niego.

–To wszystko było zaaranżowane – mówi doktor Sunderland. – Od samego początku.

Auto zwalnia. Fadi ma w ręku pistolet. Doktor Sunderland otwiera drzwi. Fadi wskakuje do środka, wycelowuje broń w Bourne'a i naciska spust...

Bourne ocknął się na odgłos wystrzału. Ktoś nad nim stał. Mężczyzna z ciemnym zarostem, głęboko osadzonymi oczami i niskim, niemal małpim czołem. Przez okno sączyło się ukośnie zamglone światło i padało na pociągłą, ponurą twarz

nieznajomego. Za nim widać było niebo w błękitne i białe pasy.

–A, pan generał porucznik Mykoła Petrowicz Tuz. Wreszcie się pan obudził. Doktor Korowin jestem. – Straszny rosyjski jeszcze bardziej zniekształcony alkoholem.

Bourne przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Łagodne kołysanie łóżka pod nim sprawiło, że na moment zamarło mu serce. Już tu był – znów stracił pamięć?

Potem wszystko wróciło. Rozejrzył się po maleńkiej izbie chorych i dotarło do niego, że płynie „Itkurskiem” jako generał porucznik Mykoła Petrowicz Tuz.

–Chciałbym się zobaczyć z moją asystentką – powiedział tak niewyraźnie, jakby miał w ustach watę.

–Proszę bardzo. – Doktor Korowin cofnął się o krok. – Jest tutaj. Jego miejsce zajęła Soraja Moore.

–Lepiej pan się czuje, generale? – zapytała lakonicznie.

–Musimy porozmawiać – szepnął Bourne. W jej oczach wyraźnie widział troskę. Odwróciła się do lekarza.

–Proszę nas zostawić samych – poleciła krótko.

–Jasne – odparł doktor Korowin. – Zawiadomię kapitana, że pan generał wraca do zdrowia.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Soraja usiadła na brzegu łóżka.

–Mamy Lenera z głowy – poinformowała cicho. – Kiedy go zidentyfikowałam jako zagranicznego szpiega, kapitan bardzo chętnie wyświadczył mi przysługę. Wręcz odetchnął z ulgą. Ani on, ani tym bardziej armator nie chcą rozgłosu, więc Lerner wylądował za burtą.

–Gdzie jesteśmy? – zapytał Bourne.

–Okolo czterdziestu minut drogi od Stambułu. – Soraja ścisnęła go delikatnie za ramię, gdy starał się usiąść. – Oboje przeoczyliśmy Lenera na pokładzie statku.

–Ja chyba przeoczyłem jeszcze coś, znacznie ważniejszego – wymamrotał Bourne. – Daj mi spodnie.

Wisiały starannie złożone na oparciu krzesła. Soraja podała je Bourne'owi.

–Musisz coś zjeść. Lekarz wpompował w ciebie mnóstwo płynów, kiedy cię reanimował. Powiedział, że za kilka godzin powinieneś się poczuć dużo lepiej.

–Za chwilę. – Bourne czuł tępy ból w ranie od noża i w miejscu, gdzie kopnął go Lerner. Miał obandażowany prawy biceps, ale rana po ciosie szpikulcem do lodu nie bolała. Zamknął oczy i znów zobaczył w wyobraźni Fadięgo, oszusta, Sarę i doktora Sunderlanda.

–Jasonie, co jest? Otworzył oczy.

–Sorajo, nie tylko doktor Sunderland majstrował w mojej głowie.

–Co masz na myśli?

Przetrzęsął kieszenie i znalazł kartonik zapalek. Fadi zapala papierosa i wręcza mu zapalki – widział ten obraz we śnie, ale to się zdarzyło w rzeczywistości. Bourne, pod wpływem wspomnień wszczepionych mu przez doktora Sunderlanda, wyprowadził Fadięgo z celi Tyfona. Na zewnątrz terrorysta zapalił papierosa

zapałkami. „W celi nic się nie zapali, więc pozwolili mi je zatrzymać”, powiedział. Potem wręczył kartonik Bourne'owi.

Dlaczego to zrobił? To był tak zwykły gest, że został ledwo zauważony i zarejestrowany w pamięci, zwłaszcza że potem tyle się wydarzyło. Fadi na to liczył.

–Kartonik zapalek, i co? – zapytała Soraja.

–Fadi wręczył mi go na zewnątrz kwatery głównej CIA. – Bourne otworzył skrzydełko. Gruby papier był mocno zniszczony, miał pozaginane rogi. Napis prawie zupełnie zniknął po przymusowej kąpieli Bourne'a w Morzu Czarnym.

Nietknięta pozostała właściwie tylko dolna część, skąd wrywało się zapałki. Bourne podważył paznokciem kciuka zszywki, które je trzymały. Pod spodem znalazł maleńki, podłużny, metalowo – ceramiczny przedmiot.

–Mój Boże, podłożył ci pluskwę. Bourne dokładnie obejrzał urządzenie.

–To nadajnik naprowadzający. – Wręczył go Sorai. – Wyrzuć za burtę.

Natychmiast.

Soraja wzięła nadajnik i wyszła z kajuty. Po chwili wróciła. Bourne spojrzał na nią.

–Teraz następna sprawa. Jest oczywiste, że wszystkich informacji z wewnątrz dostarczał Fadiemu Tim Hytner.

–Tim nie był kretem – odparła z naciskiem.

–Wiem, że się przyjaźniliście...

–Nie o to chodzi, Jasonie. To oszust udający Lindrosa pokazał mi udokumentowane dowody zdrady Tima.

Bourne wziął głęboki oddech, ujarzmił ból, który temu towarzyszył, i postawił nogi na podłodze.

–Więc bardzo możliwe, że Hytner jednak nie był zdrajcą. Soraja skinęła głową.

–Co oznacza, że w agencji prawdopodobnie nadal działa kret.

Siedzieli w Kaktus Cafe, w połowie drogi do pierwszej przecznicy na południe od Istiklal Caddesi – Alei Niepodległości – w eleganckiej, nowoczesnej dzielnicy Sztambułu, Beyoglu. Na ich stoliku stały małe talerze *meze* i filigranowe filiżanki mocnej tureckiej kawy. Wokół toczyły się rozmowy w różnych językach, co im bardzo odpowiadało.

Bourne zjadł swoje danie i przy trzeciej filiżance kawy zaczął się znów czuć jak człowiek. W końcu powiedział:

–Nie możemy ufać nikomu w CIA. Jeśli usiądziesz tutaj przy komputerze, będziesz mogła przejść przez firewalla Wartownik?

Soraja zaprzeczyła.

–Nawet Tim nie miał na to sposobu.

–W takim razie musisz wrócić do Waszyngtonu. Trzeba zidentyfikować kreta. Dopóki działa, wszystko w agencji jest zagrożone, łącznie z dochodzeniem w sprawie planu Dudźdzy. Fałszywy Lindros pracuje dla Fadiego. Może doprowadzić cię do kreta.

–Pójdę do Starego.

–Wykluczone. Nie mamy żadnego konkretnego dowodu. Byłoby tylko twoje słowo przeciwko słowu oszusta. Już podpadłaś, bo utrzymujesz ze mną kontakt. A Stary

uwielbia Lindrosa i całkowicie mu ufa. Dlatego plan Fadiego jest genialny. – Bourne pokręcił głową. – Nie, oskarżając Lindrosa, zajdziesz donikąd. Najlepiej zrobisz, jeśli będziesz miała otwarte oczy i uszy, a zamknięte usta. Nie chcę, żeby oszust się zorientował, że siedzisz mu na karku. Na pewno już jest podejrzliwy wobec ciebie. W końcu wysłał cię w teren po to, żebyś mnie kontrolowała. – Na posiniaczonej twarzy Bourne'a pojawił się ponury uśmiech. – Damy draniowi to, czego chce. Powiesz mu, że byłeś świadkiem mojej walki z Lernerem na promie i pozabijaliśmy się nawzajem.

–Dlatego kazałeś mi wyrzucić za burtę nadajnik naprowadzający. Bourne przytaknął.

–Fadi potwierdzi, że leży na dnie Morza Czarnego. Soraja się roześmiała.

–Nareszcie wiemy, dokąd zmierzamy.

Przecznicę od Kaktus Cafe była kawiarenka internetowa. Kiedy Soraja płaciła za czas połączenia, Bourne usiadł przed terminalem w głębi sali. Znalazł informacje o doktorze Allenie Sunderlandzie, zanim Soraja przysunęła sobie krzesło. Sunderland zdobył mnóstwo nagród i napisał kilka książek. Jedna ze stron wyświetlonych przez Bourne'a zawierała zdjęcie wybitnego specjalisty od leczenia amnezji.

–To nie ten człowiek, u którego byłem. – Bourne wpatrywał się w fotografię. – Fadi kogoś podstawił. Przekupił albo zmusił innego lekarza, żeby pomajstrował przy synapsach w moim mózgu, wprowadził neurotransmitery. Stłumiły pewne wspomnienia, ale przy okazji stworzyły fałszywe. Nowe wspomnienia miały mi pomóc zaakceptować oszusta podszywającego się pod Martina, doprowadzić mnie do śmierci.

–To straszne, Jasonie. Jakby ktoś wkradł się do twojej głowy. – Soraja położyła mu rękę na ramieniu. – Jak sobie z tym poradzisz?

–Sam nic nie zdziałam. Muszę znaleźć człowieka, który mi to zrobił. Wrócił myślami do rozmowy z fałszywym Sunderlandem. Na biurku stało zdjęcie pięknej blondynki. Psychiatra powiedział, że ta kobieta ma na imię Katia. Część przykrywkki? Bourne otworzył swój umysł, wsłuchał się w ton głosu Sunderlanda. Nie, lekarz mówił szczerze o tej kobiecie. Przynajmniej ona była kimś prawdziwym dla człowieka podającego się za Allena Sunderlanda.

I jego akcent. Bourne pamiętał, że rozpoznał rumuński. Wiedział więc tyle: mężczyzna jest lekarzem, specjalistą od rekonstrukcji pamięci, z pochodzenia Rumunem, mężem Katii. Wydawała się taka wyluzowana przed obiektywem – może to modelka? Bourne pomyślał, że to niewiele szczegółów, ale lepsza mała wiedza niż żadna.

–Teraz wróćmy do początku. – Przebiegł palcami po klawiaturze. Chwilę później wyświetliły się informacje o Abu Sarifie Hamidzie ibn Aszefie al – Wahhibie, założycielu Integrated Vertical Technologies. – Ożenił się trzydzieści trzy lata temu z Holly Cargill, najmłodszą córką Simona i Jacqui Cargillów, współwłaścicieli znanej kancelarii adwokackiej Cargill i Denison. Cargillowie należą do śmietanki towarzyskiej Londynu. Twierdzą że są potomkami Henryka VIII. – Palce Bourne'a pląsały po klawiszach, ekran pokazywał kolejne informacje. – Holly urodziła Hamidowi ibn Aszefowi troje dzieci. Pierwszy był Karim al – Dżamil ibn Hamid ibn Aszef al –

Wahhib. Potem jego młodszy brat Abu Gazi Nadir al – Dżamuh ibn Hamid ibn Aszef al – Wahhib. Nawiasem mówiąc, starszy z braci został prezesem IVT w tym samym roku, kiedy ty i ja byliśmy pierwszy raz w Odessie.

–Dwa tygodnie po tym, jak postrzeliłeś Hamida ibn Aszefa – zauważyła Soraja. – A co z trzecim dzieckiem?

–Zaraz zobaczymy. – Bourne przewinął stronę w dół. – Jest. Najmłodsze z rodzeństwa to córka. – Zatrzymał się, serce podeszło mu do gardła, zaczęło walić jak oszalałe. – Sara ibn Aszef – przeczytał zduszonym głosem. – Nie żyje.

–Nasza Sara – wydyszała mu do ucha Soraja.

–Na to wychodzi. – Nagle wszystko stało się jasne. – Mój Boże, Fadi to jeden z synów Hamida ibn Aszefa.

Soraja wyglądała na zaszokowaną.

–Przypuszczam, że młodszy, skoro Karim został prezesem IVT. Bourne przypomniał sobie brutalne starcie z terrorystą w falach przyboju Morza Czarnego. „Długo czekałem na tę chwilę”, powiedział wtedy Fadi. „Na to, żeby znów spojrzeć ci w twarz. Żeby dokonać zemsty”. Kiedy Bourne go zapytał, o co chodzi, Fadi warknął: „Tego nie mogłeś zapomnieć”. Mówił o śmierci Sary.

Bourne odchylił się na krześle do tyłu.

–Zabiłem ich siostrę. Dlatego wplekli mnie w swój plan destrukcji.

–Nie zbliżyliśmy się ani o krok do ustalenia tożsamości oszusta udającego Martina Lindrosa – zauważyła Soraja.

–Ani do odpowiedzi na pytanie, czy Martin żyje. – Bourne z powrotem skupił uwagę na ekranie. – Ale może uda nam się dowiedzieć czegoś o innym oszuście. – Wyświetlił stronę internetową firmy International Vertical Technologies. Była na niej lista personelu korporacji, łącznie z pracownikami Działu Badań i Rozwoju. Filie znajdowały się w kilkunastu krajach.

–Jeśli chcesz znaleźć człowieka podstawionego za doktora Sunderlanda, to szukasz igły w stogu siana.

–Niekoniecznie – mruknął Bourne. – Nie zapominaj, że to wybitny specjalista...

–Od przywracania pamięci.

–Zgadza się. – Bourne przypomniał sobie nagle inny fragment rozmowy z Sunderlandem. – I miniaturyzacji.

Natrafił na dziesięciu lekarzy zajmujących się pokrewnymi lub podobnymi dziedzinami. Sprawdził kolejno wszystkich. Żaden nie był tym, który poddał go terapii.

–I co teraz? – zapytała Soraja.

Bourne wyszedł ze strony IVT i przeszedł do materiałów prasowych opisujących historię korporacji. Po piętnastu minutach przeglądania informacji o fuzjach, przekształceniach, kwartalnych sprawozdaniach finansowych, zatrudnianiu personelu i zwolnieniach pracowników natknął się w końcu na wzmiankę o doktorze Costinie Veintropie, specjaliście w dziedzinach nanotechnologii biofarmaceutycznej, skaningowej mikroskopii siłowej i medycyny molekularnej.

–Wygląda na to, że doktora Veintropa wyrzucili z IVT w trybie natychmiastowym

za przypuszczalną kradzież własności intelektualnej.

–Nie powinni go wykreślić z listy „skazańców”? – zapytała Soraja.

–Wręcz przeciwnie. Pomyśl. Figurując tutaj, Veintrop ma zamkniętą drogę do laboratorium każdej legalnej firmy, każdego uniwersytetu. Był na szczycie, jest skończony.

–Taką sytuację mógł z powodzeniem stworzyć brat Fadiego. A potem... praca dla przywódcy Dudźdzy albo nic.

Bourne przytaknął.

–Ta teoria na pewno okaże się prawdziwa.

Wpisał nazwisko doktora Costina Veintropa i na ekranie pojawił się życiorys naukowca. Wszystko było bardzo interesujące, ale nie rozstrzygające. W przeciwieństwie do zdjęcia. Pokazywało doktora na uroczystości wręczenia jakichś nagród. Obok niego stała żona: wysoka, piękna blondynka, której fotografię Bourne widział w gabinecie Sunderlanda. Eksmodelka Perfect Ten. Nazywała się Katia Stiepanowa Wdowa.

Marlin Dorph, terenowy dowódca drużyn CIA Skorpion Pięć i Sześć, dostał wojskowy stopień kapitana, co bardzo mu się przydało, kiedy tuż przed świtem on i jego ludzie spotkali się z oddziałem marines pod miastem al – Gaida w prowincji Shabwah w Jemenie Południowym.

Dorph był odpowiednim człowiekiem do tego zadania. Znał Shabwah jak własną kieszeń. Krwawa historia tego regionu odcisnęła się na jego ciele piętnem wielu zwycięstw i porażek. Wbrew zaprzeczeniom jemeńskiego rządu, w Shabwahu wciąż przebywały zbrojne ugrupowania islamskich terrorystów. W czasach zimnej wojny Związek Radziecki, Niemcy Wschodnie i Kuba założyły w tym niegościnnym górzystym rejonie sieć obozów szkoleniowych. Al – Gaida, miejsce stacjonowania kubańskich instruktorów wojskowych, zyskała wówczas złą sławę jako ośrodek, gdzie szkolono i uzbrajano członków Ludowego Frontu Wyzwolenia Omanu. W pobliskim mieście Niemcy z NRD przygotowywali liderów Saudyjskiej Partii Komunistycznej i Bahrajńskiego Frontu Wyzwoleńczego do działań destabilizacyjnych, łącznie z manipulowaniem środkami masowego przekazu w celu szerzenia ideologii tych ugrupowań w macierzystych krajach, by w ten sposób zakłócić życie duchowe ich mieszkańców. Choć Rosjanie i ich sojusznicy opuścili Jemen Południowy w roku 1987, komórki terrorystyczne pozostały i uaktywniły się pod przywództwem zajadłej al – Kaidy.

–Ciągle nic?

Dorph odwrócił się i zobaczył kapitana Lowriego, dowódcę marines, którzy mieli towarzyszyć Skorpionom Pięć i Sześć w drodze do ośrodka jądrowego Dudźdzy. Lowrie był wysoki, jasnowłosy, wielki jak niedźwiedź, i wyglądał dwa razy groźniej.

Dorph nieraz widział bohaterstwo i śmierć takich jak kapitan w ogniu walki. Podniósł telefon satelitarny Thuraya.

–Czekam na potwierdzenie.

Spotkali się na nasłonecznionym płaskowyżu na wschód od al – Gaidy. Miasto otoczone górami i pustynią lśniło w świetle świtu, smagane niestrudzonym wiatrem.

Po głębokim błękitnie nieba płynęły wysokie poszarpane chmury. Pudełkowate, dziesięcio – i dwunastopiętrowe budynki otynkowane gliną miały podłużne okna, które nadawały ich fasadom wygląd starożytnych świątyń. Wydawało się, że czas stanął tutaj w miejscu, jakby świat nie poszedł naprzód.

Na płaskowyżu żołnierze dwóch formacji wojskowych milczeli spięci przed zbliżającą się akcją. Wiedzieli, o jaką stawkę toczy się gra; każdy był gotów poświęcić życie dla bezpieczeństwa swojego kraju.

Kiedy czekali, Dorph wyjął swój odbiornik GPS i pokazał dowódcy marines wstępną strefę docelową. Leżała niecałe sto kilometrów na południe – południowy zachód od ich obecnej pozycji.

Zadźwięczała thuraya. Dorph przyłożył ją do ucha i wysłuchał człowieka, którego uważał za Martina Lindrosa. Dostał potwierdzenie współrzędnych zaznaczonych w jego GPS – ie.

–Tak jest, panie dyrektorze – powiedział cicho do mikrofonu. – Przewidywany czas przybycia na miejsce; dwadzieścia minut. Może pan na nas liczyć, dyrektorze.

Wyłączył się i skinął Łownemu głową. Obaj wydali rozkazy swoim ludziom, którzy sprawnie zajęli miejsca w czterech helikopterach Chinook. Chwilę później rotory zaczęły się obracać, z każdą sekundą coraz szybciej. Machiny wojenne uniosły się po dwie jednocześnie, wzbijając tumany kurzu i piasku. Wirująca ku górze mgiełka częściowo przesłaniała helikoptery, dopóki nie wzniosły się na odpowiednią wysokość. Potem chinooki pochyliły się lekko do przodu i wystrzeliły przed siebie kursem południe – południowy zachód.

W Sali Wojennej, czterdzieści pięć metrów pod parterem Białego Domu, wrzało jak w ulu. Płaskie ekrany plazmowe pokazywały zdjęcia satelitarne Jemenu Południowego, różniące się liczbą szczegółów – od widoku ogólnego, poprzez topografię terenu, do charakterystycznych punktów orientacyjnych wokół al – Gaidy. Na innych wyświetlały się trójwymiarowe obrazy strefy docelowej i lecących tam czterech helikopterów Chinook.

Obecni byli mniej więcej ci sami ludzie, którzy podczas ataku na Starego: prezydent, władca wywiadu wojskowego Luther LaValle, dwaj generałowie niższej rangi, sekretarz obrony Halliday, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i Gundarsson z MAEA. Brakowało tylko Jona Muellera.

–Dziesięć minut do kontaktu – zakomunikował Stary. Miał słuchawkę z mikrofonem do utrzymywania zaszyfrowanej łączności radiowej z kapitanem Dorphem.

–Niech pan mi przypomni jeszcze raz, jak jest uzbrojony oddział szturmowy, dyrektorze – odezwał się sekretarz Halliday siedzący po lewej stronie prezydenta.

–Te chinooki zostały skonstruowane przez koncern McDonnell Douglas specjalnie dla nas – odparł spokojnie Stary. – Mają więcej wspólnego ze śmigłowcami szturmowymi Apache produkowanymi przez McD niż ze zwykłymi chinookami. Podobnie jak apache, są wyposażone w laserowe urządzenia do wyszukiwania, rozpoznawania i oznaczania celu. Opancerzenie naszych chinooków wytrzyma trafienia pociskami o kalibrze do 23 milimetrów. Uzbrojenie składa się z pocisków

przeciwczołgowych Hellfire, trzech trzydziestomilimetrowych karabinów maszynowych M230 i 12, 19 – rurowych wyrzutni M261 wystrzeliwujących rakiety Hydra 70. Rakiety mają głowice z zapalnikami uderzeniowymi lub zdalnie sterowanymi zapalnikami multiopcyjnymi.

Prezydent roześmiał się trochę za głośno.

–Tyle szczegółów powinno zadowolić nawet ciebie, Bud.

–Proszę wybaczyć mój niepokój, dyrektorze – naciskał Halliday – ale jestem trochę zdezorientowany. Nie wspomniał pan o poważnym zagrożeniu dla bezpieczeństwa CIA w waszej kwaterze głównej.

–Jakim zagrożeniu? – Prezydent wyglądał na zaskoczonego, potem poczerwieniał z gniewu. – O czym Bud mówi?

–Wirus komputerowy zaatakował nasz system – wyjaśnił gładko dyrektor CIA. Skąd on o tym wie, do cholery? – Informatycy zapewnili, że integralność głównego komputera nie została naruszona. Nie dopuścił do tego nasz firewall Wartownik. Teraz czyszczą system.

–Na pańskim miejscu, dyrektorze – nie ustępował sekretarz Halliday – nie bagatelizowałbym elektronicznego zagrożenia dla bezpieczeństwa agencji. Nie w momencie, kiedy chcą nam skoczyć do gardeł ci cholerni terroryści.

Jak zrobiłby każdy lojalny wasal, przesłuchanie kontynuował LaValle.

–Mówi pan, dyrektorze, że specjaliści usuwają wirusa. Ale to nie zmienia faktu, że na pańską agencję dokonano ataku elektronicznego.

–Nie pierwszy raz – odparł dyrektor CIA. – I na pewno nie ostatni.

–A jednak – ciągnął LaValle – atak z zewnątrz... Dyrektor utkwiał w nim groźne spojrzenie.

–To nie był atak z zewnątrz. Dzięki uwadze i dociekliwości mojego zastępcy, Martina Lindrosa, odkryliśmy elektroniczny trop, który prowadził do kreta... nieżyjącego Tima Hytnera. Tuż przed śmiercią wpuścił do systemu wirusa pod pozorem łamania szyfru Dudźdży. – Stary przeniósł spojrzenie na prezydenta. – Proszę, żebyśmy wrócili teraz do obecnej sytuacji. – Ile jeszcze nieudanych ataków tych dwóch gości będę musiał znieść, zanim prezydent położy temu kres? – zastanawiał się w duchu.

Atmosfera w Sali Wojennej była napięta. Na ekranach zmieniały się obrazy. Każdy z mężczyzn miał sucho w ustach, kiedy wpatrywał się w plazmę, która pokazywała cztery chinooki CIA lecące nad górzystym terenem. Grafika przypominała grę komputerową, ale w chwili rozpoczęcia walki na tym skończyłyby się wszelkie podobieństwa.

–Przelecieli nad najbardziej wysuniętym na zachód wadi – zameldował dyrektor CIA. – Teraz od ośrodka jądrowego Dudźdży dzieli ich już tylko niewielki łańcuch górski. Kierują się ku przełęczy na południowy zachód od ich obecnej pozycji. Wejdą do akcji dwójkami.

–Mamy mgłę radiacyjną – poinformował dyrektora CIA kapitan Marlin Dorph. Mówił o dziwnym zjawisku, występującym czasami o świcie lub nocą gdy powierzchnia Ziemi ochładza się na skutek wypromieniowania z niej ciepła i warstwa

stosunkowo wilgotnego powietrza zostaje uwięziona tuż nad poziomem gruntu przez bardziej suche powietrze powyżej.

–Widzicie cel? – zadźwięczał mu w uchu słaby, metaliczny głos dyrektora.

–Nie. Podejźmy bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć temu miejscu, ale dwa chinooki zostaną z tyłu jako osłona. – Odwrócił się do Lowriego, który przytaknął skinieniem głowy. – Norris, schodzimy niżej – zwrócił się do pilota helikoptera na ich lewym skrzydle.

Patrzył, jak towarzyszący im chinook nurkuje i rozprasza rotorami mgłę radiacyjną.

–Tam! – krzyknął Lowrie.

Dorph zobaczył sześciu uzbrojonych ludzi. Spojrzeli zaskoczeni w górę. Powiódł wzrokiem wzdłuż trasy ich marszu i zauważył skupisko niskich budynków, podobnych do bunkrów. Wyglądało to na typowy obóz szkoleniowy terrorystów, ale właśnie tak Dudźdża zakamuflowałaby swoją bazę.

Nisko lecący chinook otworzył ogień z karabinów maszynowych M230 – ziemię podziurawił grad pocisków kaliber 30. Mężczyźni padli, odpowiedzieli ogniem, rozbiegli się, znów strzelili i zostali skoszeni seriami.

–Atakujemy! – zawołał Dorph do mikrofonu. – Kompleks jest pół kilometra przed nami. – Chinook zaczął nurkować. Dorph usłyszał narastający hałas, gdy dwa helikoptery z tyłu wykonywały ten sam manewr. – Przygotować hellfire'y! – rozkazał. – Na mój sygnał każda maszyna odpala jedną sztukę. – Trafienia pod różnymi kątami spowodowałyby zawalenie się nawet najlepiej wzmocnionych ścian. Zobaczył, że pozostałe trzy maszyny kierują się na cel. – Na mój sygnał... – warknął. – Teraz!

Spod chinooków wystartowały cztery pociski rakietowe Hellfire. Trafiły w budynki i eksplodowały w kilkusekundowych odstępach. Kompleks zamienił się w kulę ognia. Fala uderzeniowa zatrzęsa helikopterami, nad celem uniosły się wielkie kłęby gęstego czarnego dymu.

Potem rozpętało się piekło.

Soraja Moore czekała w kolejce w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Atattirk na wejście do samolotu odlatującego do Waszyngtonu. Wyjęła komórkę. Odkąd rozstała się z Bourne'em, nie przestawała myśleć o sytuacji w kwaterze głównej CIA. Bourne miał rację: fałszywy Lindros zajął doskonale stanowisko. Ale po co zadał sobie tyle trudu, żeby przeniknąć do agencji? Żeby zdobyć informacje? Wątpliwe. Fadi był wystarczająco inteligentny, by wiedzieć, że jego człowiek nie zdoła przemycić danych poza szczelny system bezpieczeństwa CIA. Oszust mógł tam być tylko po to, żeby przeszkodzić Tyfonowi w powstrzymaniu Dudźdży. Dla Sorai oznaczało to plan ofensywny. Aktywną dezinformację. Bo gdyby udało się skierować personel agencji na fałszywy trop, Fadi i jego ludzie mogliby niepostrzeżenie dostać się do Stanów Zjednoczonych. To byłoby klasyczne odwrócenie uwagi, najstarsza sztuczka iluzjonisty. Ale często najskuteczniejsza.

Pamiętała słowa Bourne'a, żeby nie zgłaszać tego dyrektorowi CIA. W takim razie skontaktuje się z Anną Held. Mogła jej powiedzieć wszystko; Annę potajemnie porozumie się ze Starym. To skutecznie wyeliminuje kreta, ktokolwiek to jest.

Soraja posunęła się naprzód w kolejce. Ludzie wchodzili do samolotu. Rozważyła jeszcze raz swój pomysł, potem wybrała prywatny numer Annę. Telefon dzwonił i dzwonił. Soraja modliła się, żeby Annę odebrała. Bała się zostawić jakąkolwiek wiadomość. Po siódmym sygnale wreszcie usłyszała głos Annę.

–Dzięki Bogu. – Kolejka szybko się posuwała. – Tu Soraja. Posłuchaj, mam bardzo mało czasu. Jestem w drodze powrotnej do Waszyngtonu. Nic nie mów, dopóki nie skończę. Odkryłam, że ten Martin Lindros, którego Bourne sprowadził z powrotem z Etiopii, to oszust.

–Oszust?

–Właśnie tak.

–Niemożliwe!

–Wiem, że to brzmi idiotycznie.

–Sorajo, co się tam z tobą stało? Wierz mi, że Lindros jest tym, za kogo się podaje. Potwierdził to nawet skaner siatkówki.

–Daj mi skończyć. Ten człowiek pracuje dla Fadiego. Został podstawiony, żeby nas odciągnąć od tropu Dudźdży. Musisz to przekazać Staremu.

–Całkiem ci odbiło. Jeśli powiem Staremu, że Lindros to wtyczka terrorystów, zamknie mnie w domu wariatów.

Soraja była już prawie przy wejściu do samolotu. Czas się skończył.

–Annę, musisz mi uwierzyć. Znajdź sposób, żeby przekonać dyrektora.

–Bez dowodu wykluczone. Daj mi cokolwiek.

–Ale...

–Jakimi liniami przylatujesz i kiedy? Odbiorę cię z lotniska. Coś wymyślimy po drodze do kwatery głównej.

Soraja podała numer lotu i godzinę lądowania. Skinęła głową stewardesie przy wejściu i wręczyła kartę pokładową.

–Dzięki, Annę. Wiedziała, że mogę na ciebie liczyć.

Pociski raketowe Sidewinder nadleciały nie wiadomo skąd.

–Z prawej! – krzyknął Dorph, ale wewnątrz chinooka wyły alarmy. Zobaczył, że rakietą naprowadza się prosto na helikopter najbliższej ziemi. Chinook zamienił się w kulę ognia i natychmiast wpadł w chmurę dymu unoszącego się z ruin budynków. Drugi helikopter, który robił uniki, został trafiony w ogon. Rozpadła się cała tylna część maszyny; reszta przechyliła się i runęła spiralą ku szalejącemu w dole piekłu.

Dorph nie myślał już o trzecim helikopterze; musiał się skoncentrować na własnym. Dobrnął do pilota, kiedy chinook zrobił pierwszy unik.

–Siedzi nam na ogonie – zawołał pilot. Gwałtownie poruszał drążkiem sterowym i wykonywał manewry przyprawiające o mdłości. Skręcał raptownie, podrywał chinooka wysoko do góry, chwilę potem nurkował.

–Tak trzymaj – odpowiedział Dorph i odwrócił się do operatora uzbrojenia. – Ustaw jeden zapalnik multiopcjonalny na pięć sekund.

Operator wytrzeszczył oczy.

–Wybuch będzie bardzo blisko. Może nas dosięgnąć.

–I o to chodzi – odparł Dorph. – Mniej więcej.

Gdy operator wziął się do pracy, kapitan wyjrzał przez okno. Niecałe sto metrów od niego kolejny sidewinder znalazł cel i eksplodował w połowie długości helikoptera. Trzeci chinook spadł jak kamień. Zostali tylko oni.

–Zbliża się do nas – zameldował pilot. – Długo się tak nie utrzymam.

Mam nadzieję, że nie będziesz musiał, pomyślał Dorph. Klepnął pilota w ramię.

–Na mój sygnał odbij w lewo i zanurkuj bardzo stromo. Jasne?

–Tak jest.

–Trzymaj mocno ster – ostrzegł go Dorph. Słyszał już przeraźliwy gwizd ścigającego ich sidewindera. Mieli mało czasu.

Operator uzbrojenia skinął Dorphowi głową.

–Gotowe.

–Odpalaj!

Rakieta Hydra 70 wystartowała z krótkim świstem. Dorph policzył:

–Jeden, dwa. – Klepnął pilota w ramię. – Teraz!

Helikopter natychmiast zanurkował ostro w lewo. Ziemia zbliżała się szybko. Hydra eksplodowała. Wybuch rzucił wszystkich do przodu i w prawo. Dorph poczuł żar nawet przez pancerz chinooka. To była przynęta; sidewinder – pocisk raketowy powietrze – powietrze naprowadzany na cel przez czujnik ciepła – pomknął za nią, eksplodował i został rozerwany na kawałki.

Chinook drżał i przechylał się, kiedy pilot starał się go wyciągnąć z nurkowania, potem zakołysał się jak wahadło i wyprostował.

–Dobra robota. – Dorph ścisnął pilota za ramię. – Wszyscy cali? – Dostrzegł kątem oka potakiwania i uniesione kciuki. – Okej. Teraz polecimy za samolotem, który zestrzelił naszych chłopaków.

Kiedy Soraja pojechała na lotnisko, Bourne zaczął układać plan odszukania i przesłuchania Nesima Hatuna, człowieka, który wynajął Jewgienija Fejodowicza. Według słów Jewgienija Hatun działał w pobliskiej dzielnicy Sultanahmet. Bourne padał z nóg. Nie chciał o tym myśleć, ale rana zadana mu nożem przez Fadięgo pozbawiała go sił. Walka z Matthew Lernerem jeszcze pogorszyła sytuację. Ściganie Nesima Hatuna w tym stanie byłoby głupotą, może nawet samobójstwem.

Najpierw więc wyruszył na poszukiwania el achaba. Wiedział, że ci zielarze tradycyjnie grupują się w Maroku. Ale liczył na to, że skoro w różnorodnych tureckich mikroklimatach rośnie ponad jednaście tysięcy gatunków roślin, to w Stambule jest przynajmniej jedna apteka prowadzona przez marokańskiego eksperta w dziedzinie ziołolecznictwa.

Znalazł ją po czterdziestu pięciu minutach wędrówki i wypytywania przechodniów i właścicieli sklepów. Lokal przy ruchliwym rynku miał maleńką witrynę z wąskich, zakurzonych okien i był trochę zaniedbany.

W środku siedział na stołku el achab i ucierał tłuczkiem zioła w moździerz. Podniósł na Bourne'a łzawiące oczy krótkowidza.

Powietrze było gęste, niemal duszące, przesycone ostrymi, nieznanymi zapachami suszonych ziół, traw, szypulek, grzybów, liści, zarodników i płatków kwiatowych. Wzdłuż ścian ciągnęły się od podłogi do sufitu drewniane szufladki i

przegródki z zapasami ziół. Światło wpadające przez zakurzone szyby przyćmiewał aromatyczny pył nagromadzony przez lata ucierania ziół.

–Tak? – zapytał el achab po turecku z marokańskim akcentem. – Czym mogę służyć?

W odpowiedzi Bourne rozebrał się do pasa, odsłaniając zabandażowane rany, świeże siniaki i skaleczenia ze śladami zakrzepłej krwi.

El achab zagiął długi palec wskazujący. Był niski, wychudzony do granic możliwości i miał ciemną, szorstką skórę mieszkańca pustyni.

–Bliżej proszę. Bourne podszedł do niego. Zielarz mocno zamrugał.

–Czego pan sobie życzy?

–Być na chodzie – odparł Bourne marokańskim arabskim.

El achab wstał, podszedł do szuflady i wyjął garść czegoś, co wyglądało jak kozia sierść.

–*Huperzia serrata*. Rzadki mech z północnych Chin. – Usiadł na stołku, odstawił na bok moździerz z tłuczkiem i zaczął rwać suszony mech na małe kawałki. – Może pan wierzyć lub nie, ale to dla pana idealny środek. Zwalczy zapalenie, które pozbawia pana energii. A przy tym znacznie zwiększy bystrość umysłu.

Odwrócił się, zdjął z gorącej płyty czajnik i nalał trochę wrzątku do miedzianego dzbanka. Wrzucił do niego kłaczki mchu, dolał więcej wody, zakrył naczynie pokrywką i postawił obok moździerza z tłuczkiem.

Bourne zapiął z powrotem koszulę i usiadł na wolnym drewnianym stołku.

Czekali w kojącej ciszy, aż zaparzy się ziołowa „herbata”. El achab chłonał wzrokiem każdy rys twarzy Bourne' a.

–Kim pan jest?

–Nie wiem – odpowiedział Bourne.

–Może pewnego dnia będzie pan wiedział. – Napar był gotowy. Zielarz wziął długimi palcami dzbanek i nalał do szklanki dokładnie odmierzoną porcję. Gęsty, ciemny, nieprzezroczysty płyn wydierał bagienny odór. El achab podał Bourne'owi szklankę. – Proszę to wypić. Do dna. Duszkiem.

Smak był nie do opisanego. Mimo to Bourne połknął wszystko, do ostatniej kropli.

–W ciągu godziny poczuje się pan silniejszy, pański umysł się ożywi. Ten proces będzie trwał kilka dni – wyjaśnił zielarz. '

Bourne wstał, podziękował i zapłacił. Gdy znalazł się z powrotem na rynku, pierwsze kroki skierował do sklepu odzieżowego, gdzie kupił tradycyjny strój turecki i półbuty na cienkiej podeszwie. Właściciel wskazał mu drogę powrotną z Sultanahmetu do Istiklal Caddesi przez Złoty Róg. Bourne wszedł tam do sklepu z rekwizytami teatralnymi i wybrał sztuczną brodę. Wziął też małą puszkę kleju do charakteryzacji. Przykleił sobie brodę przed sklepowym lustrem.

Przerzucił inne rekwizyty, kupił to, czego jeszcze potrzebował, i wepchnął wszystko do małej, używanej, zniszczonej skórzanej torby. Podczas zakupów był wściekły. Nie mógł przestać myśleć o tym, co mu zrobili Veintrop i Fadi. Wróg wkradł się do jego głowy, wpływał na myśli i decyzje. Jak Fadi ulokował Veintropa w gabinecie lekarskim prawdziwego Sunderlanda?

Bourne wyjął komórkę, znalazł telefon Sunderlanda, wybrał numer kierunkowy, potem jedenastocyfrowy. O tej porze gabinet był nieczynny, ale nagrany głos spytał, czego rozmówca sobie życzy: umówić się na wizytę, dowiedzieć, w jakich godzinach przyjmuje doktor Sunderland czy otrzymać wskazówki, jak dojechać do przychodni z Waszyngtonu, Marylandu lub Wirginii. Bourne wybrał drugą opcję. Nagrany głos poinformował, że lekarz przyjmuje w poniedziałki, środy, czwartki i piątki od dziesiątej do osiemnastej. We wtorki gabinet nieczynny. Bourne widział się z „Sunderlandem” we wtorek. Kto go umówił na wizytę?

Spociał się, gdy serce zaczęło mu szybciej bić. Skąd ludzie Fadiego wiedzieli, że wyprowadzi „Cevika” z budynku CIA? Soraja zadzwoniła do Tima Hytnera, dlatego Bourne podejrzewał go o to, że jest kretem. Ale Hytner okazał się czysty. Kto miał dostęp do połączeń w sieci komórkowej CIA? Kto, poza kretem, mógł podsłuchiwać rozmowy? To musiała być ta sama osoba, która umówiła go na wizytę u Sunderlanda w dniu, kiedy lekarz nie przyjmował.

Annę Held!

O Chryste, pomyślał. Prawa ręka Starego. Niemożliwe. A jednak to było jedyne sensowne wyjaśnienie ostatnich wydarzeń. Kogo lepszego mógłby znaleźć Fadi, lub ktokolwiek inny, chcąc wiedzieć, co się dzieje w samym środku sieci CIA?

Przebiegł palcami po klawiaturze komórki. Musiał natychmiast ostrzec Soraję. Niestety włączyła się poczta głosowa. Soraja była już na pokładzie samolotu, w drodze do Waszyngtonu, ku katastrofie.

Zostawił jej wiadomość, że kretem wewnątrz CIA jest Annę Held.

Wejdz, Martinie. – Dyrektor CIA przywołał gestem Karima, który stał w progu jego sanktuarium. – Cieszę się, że Annę cię złapała.

Karim ruszył w długą drogę do fotela na wprost wielkiego biurka dyrektora. Marsz przypominał mu przymusowe przejście zdrajcy między dwuszeregiem beduinów rzucających w niego kamieniami. Jeśli skazaniec dotarł do końca żywy, czekała go szybka, miłosierna śmierć. Jeśli nie, zostawiano go na pustyni jako karmę dla sępów.

W całym budynku panowała dziwna atmosfera radości i żałoby po wiadomości, że ośrodek jądrowy Dudżdży w Jemenie Południowym przestał istnieć, choć podczas akcji zginęli ludzie. Dyrektor był w kontakcie z Dorphem. Tylko kapitan, jego drużyna Skorpion i towarzyszący mu marines przeżyli atak. Operacja pochłonęła wiele ofiar – przeciwnik stracił trzy chinooki pełne komandosów CIA i żołnierzy piechoty morskiej. Kompleksu strzegły dwa radzieckie migi uzbrojone w pociski rakietowe Sidewinder. Helikopter Dorpha zestrzelił oba po zniszczeniu celu. Karim usiadł. Zawsze miał napięte nerwy, ilekroć tu był.

–Panie dyrektorze, wiem, że zapłaciliśmy wysoką cenę, ale wydaje się pan dziwnie przygnębiony, biorąc pod uwagę sukces naszej operacji przeciwko Dudżdży.

–Żal mi moich ludzi, Martinie. – Stary chrząknął, jakby z bólu. – Nie mogę powiedzieć, że nie czuję ulgi... i satysfakcji, zwłaszcza że ostro mnie atakowano w Białym Domu. – Ściągnął krzaczaste brwi. – Ale mówiąc między nami, coś jest nie tak.

Karima ogarnął niepokój. Mimowolnie przesunął się na brzeg fotela.

–Nie rozumiem, panie dyrektorze. Dorph potwierdził, że w obiekt trafiły cztery rakiety wystrzelone pod różnymi kątami. Nie ma wątpliwości, że cel został całkowicie zniszczony. Dwa myśliwce przeciwnika również.

–To prawda – przyznał dyrektor. – Jednak...

Karim gorączkowo myślał, rozważał różne możliwości. Stary miał zwierzęcy instynkt. Utrzymał się tak długo na swoim stanowisku nie tylko dlatego, że nauczył się być dobrym politykiem. Karim wiedział, że zwykle uspokajanie go byłoby nierozważne. – Gdyby mógł pan sprecyzować...

Stary pokręcił głową.

–Nie potrafię.

–Nasze informacje wywiadowcze były dokładne. Dyrektor odchylił się do tyłu i potarł podbródek.

–Jedno pytanie nie daje mi spokoju: dlaczego migi odpaliły rakiety dopiero po zniszczeniu kompleksu?

–Może za późno wystartowały. – Karim wiedział, że stąpa po grząskim gruncie. – Słyszał pan meldunek Dorpha... była mgła radiacyjna.

–Nisko nad ziemią. Migi nadleciały z góry; mgła im nie przeszkadzała. A jeśli celowo czekały, aż ośrodek zostanie zniszczony?

Karimowi zaczęło dzwonić w uszach.

–To nie miałyby sensu, panie dyrektorze.

–Miałyby, gdyby obiekt był atrapą – odparł Stary.

Karim nie pozwoli dyrektorowi – ani nikomu innemu w CIA – iść tym tokiem rozumowania.

–Myślę, że może pan mieć rację. – Wstał. – Zaraz się tym zajmę. Stary spojrzał na niego przenikliwie spod krzaczastych brwi.

–Siadaj, Martinie.

W pokoju zapadła cisza. Nawet przytłumione odgłosy świętowania umilkły, gdy personel agencji wrócił do pracy.

–A jeśli Dudźdża chciała, żebyśmy uważali, że zniszczyliśmy jej ośrodek jądrowy? Oczywiście tak właśnie było. Karim starał się opanować nerwy.

–Sekretarzowi Hallidayowi sprzedałem wersję, że Tim Hytner był kretem – ciągnął uparcie dyrektor. – Co nie znaczy, że w to wierzę. Jeśli moje przeczucie co do dezinformacji jest słuszne, to są takie teorie: albo Hytner został wrobiony przez kreta, albo nie był jedynym zgniłym jabłkiem w koszyku.

–Tu są same znaki zapytania, panie dyrektorze.

–Więc je usuń, Martinie. Potraktuj to priorytetowo. Użyj wszystkich niezbędnych środków. – Stary położył dłonie na biurku i się podniósł. Miał bladą, niezdrową cerę.

–Bo jeśli Dudźdża nas wykołowała, to znaczy, że jej nie powstrzymaliśmy. Wręcz przeciwnie; jest bliska przeprowadzenia ataku.

Muta ibn Aziz przybył do Stambułu tuż po południu i natychmiast poszedł się zobaczyć z Nesimem Hatunem, który prowadził w dzielnicy Sultanahmet muzułmańską łaźnię turecką, *miraj hammam*. Mieściła się w starym, wielkim, pełnym zakamarków budynku w bocznej ulicy niecałe pięć przecznic od Hagia Sophia, wspaniałej świątyni zbudowanej w roku 532 n.e. przez Justyniana. Właśnie ze względu na lokalizację łaźnia zawsze miała dużą frekwencję i wyższe ceny niż inne hammamy w mniej uczęszczanych przez turystów częściach miasta. Istniała od wielu lat, długo przed narodzinami Hatuna.

Hatun szczylił się tym, że daje łańcówki właściwym osobom, żeby o jego firmie dobrze pisano we wszystkich najlepszych przewodnikach turystycznych. Interes zapewniał mu wygodne życie, zwłaszcza jak na tureckie standardy. Ale miliony przynosiła praca dla Fadiego.

Hatun, człowiek z niezaspokojonym apetytem, miał pulchne ciało i okrutną twarz szakala. W jego czarnych oczach można było wyraźnie wyczytać, że hoduje w duszy jadowitego węża, którego Fadi rozpoznał, wywabił i karmił. Spośród wielu żon Hatuna część nie żyła, inne zostały wydalone na wieś. Ale jego dwanaścioro dzieci, które kochał i darzył zaufaniem, z radością prowadziło dla niego hammam. Hatun, osobnik o sercu jak zaciśnięta pięść, tak wolał. Fadi też.

–*Merhaba, habibi!* – powitał Hatun Mutę ibn Aziza, kiedy ten przekroczył jego próg. Ucałował gościa w oba policzki i poprowadził przez ozdobione mozaikami publiczne pomieszczenia łaźni na tyły domu, gdzie na środku małego ogrodu rosła cenna palma daktylowa. Hatun przywiózł ją z oazy na Saharze, choć wtedy była zaledwie sadzonką, niewiele większą od palca wskazującego. Poświęcał jej więcej uwagi niż którejkolwiek ze swoich żon.

Usiedli na chłodnych kamiennych ławach w słońcu przenikającym do ogrodu.

Dwie córki Hatuna podały słodką herbatę i maleńkie ciasteczka. Potem jedna z nich przyniosła ozdobną *nargile* - tradycyjną fajkę wodną – którą się podzielili.

Te rytuały i czas, jaki zajmowało ich odprawianie, były nieodzowną częścią życia na Wschodzie. Służyły cementowaniu przyjaźni poprzez okazywanie sobie stosownej uprzejmości i szacunku. Jeszcze dziś istnieli tacy mężczyźni jak Nesim Hatun, którzy pielęgnowali dawne zwyczaje i dbali o to, by przez blask neonów wieku elektroniki przebijało światło płonącej lampy tradycji.

W końcu Hatun odsunął *nargile* na bok.

–Przebyłeś długą drogę, przyjacielu.

–Czasami, jak dobrze wiesz, najstarsze sposoby komunikowania się są najbezpieczniejsze.

Hatun skinął głową.

–Doskonale to rozumiem. Sam używam co dzień nowego telefonu komórkowego, ale mówię tylko ogólnikami.

–Nie mamy żadnych wiadomości od Jewgienija Fejodowicza. Hatun ściągnął brwi.

–Bourne przeżył wyprawę do Odessy?

–Tego nie wiemy. Ale milczenie Fejodowicza jest niepokojące. Co zupełnie zrozumiałe, Fadi nie jest zadowolony.

Hatun rozłożył ręce. Miał zaskakująco małe dłonie i palce delikatne jak dziewczynka.

–Ja też nie. Możesz być pewien, że osobiście porozmawiam sobie z Jewgienijem Fejodowiczem.

–Na razie musimy zakładać, że został zdemaskowany. Nesim Hatun się zastanowił.

–Bourne to podobno kameleon. Jeśli żyje i trafi do mnie, jak go rozpoznam?

–Fadi zranił go nożem w lewy bok. Ciężko. Będzie poturbowany. Jeśli się tu zjawi, to niedługo, może nawet jeszcze dziś.

Nesim Hatun wyczuł nerwowość posłańca. Przypuszczał, że wielki finał planu Fadiego jest bardzo blisko.

Wstali i przeszli przez prywatne pokoje, ciche i luksusowe jak ogród na zewnątrz.

–Zostanę tu do jutra. Jeśli do tego czasu Bourne się nie pokaże, to nie przyjdzie wcale. A jeśli nawet, to będzie już za późno.

Hatun skinął głową. Więc miał rację. Zbliży się chwila ataku Fadiego na Stany Zjednoczone.

Muta ibn Aziz wskazał na zewnątrz.

–Na końcu ogrodu jest parawan. Zaczekam za nim. Jeśli Bourne przyjdzie, będzie chciał się z tobą zobaczyć. Przyjmiesz go, ale w trakcie spotkania przyślę po ciebie któregoś z twoich synów i porozmawiamy.

–Żeby Bourne mógł nas podsłuchać. Rozumiem.

Muta ibn Aziz podszedł krok bliżej i zniżył głos do szeptu.

–Chcę, żeby wiedział, kim jestem, i że wracam do Fadiego. Nesim Hatun przytaknął.

–Będzie cię śledził.

–Właśnie.

Jon Mueller od razu się zorientował, dlaczego człowiek Lenera, Overton, wpadł w tarapaty. Śledząc Annę Held, bez trudu odkrył, że jest obserwowana. Istniała zasadnicza różnica między śledzeniem a obserwacją. Skoncentrował się nie na tym, żeby być cieniem Held, lecz na tym, żeby namierzyć ludzi chroniących ją przed inwigilacją. Dlatego trzymał się daleko z tyłu i pozostawał czujny. Początkowo nie używał lornetki, bo chciał widzieć bezpośrednio otoczenie Held w możliwie najszerszym zakresie. Lornetka znacznie zawężyła pole widzenia. Ale przydawała się, kiedy zidentyfikował człowieka obserwującego Held.

W rzeczywistości pilnowali jej trzech ludzie. Zmieniali się co osiem godzin. Nie zaskoczyło go to, że są w pogotowiu przez całą dobę. Po partackiej inwigilacji w wykonaniu Overtona z pewnością byli bardziej ostrożni. Mueller spodziewał się tego wszystkiego i wiedział, jak sobie z tym poradzić.

Przez dwadzieścia cztery godziny przyglądał się ochronie Held. Zapamiętywał ich zwyczaje, dziwactwa, upodobania, metody działania. Pod każdym względem różnili się trochę od siebie. Ochroniarz na nocnej zmianie musiał stale pić kawę, żeby nie stracić czujności. Ten na przedpołudniowej ciągle używał komórki. A facet na popołudniowej palił jak lokomotywa. Mueller wybrał ostatniego, bo wrodzona nerwowość mężczyzny czyniła go najbardziej bezbronnym.

Wiedział, że będzie miał tylko jedno podejście, więc musiał jak najlepiej wykorzystać okazję, która prędzej czy później na pewno się nadarzy. Kilka godzin wcześniej ukradł wóz techniczny z parkingu elektrowni Potomac Electric Power Company przy Pennsylvania Avenue. Prowadził go teraz, gdy Annę Held wsiadała do taksówki wezwanej przed kwaterę główną CIA.

Taksówka włączyła się do ruchu. Mueller cierpliwie czekał. Wkrótce usłyszał odgłos odpalania silnika. Od krawężnika po drugiej stronie ulicy odbił biały ford sedan. Facet na popołudniowej zmianie zajął pozycję dwa samochody za taksówką. Mueller pojechał za nim w gęstym ruchu.

Po dziesięciu minutach Held wysiadła z samochodu i poszła dalej pieszo. Mueller dobrze znał ten sposób działania. Była w drodze na spotkanie. Panował taki ruch, że popołudniowy dyżurny nie mógł jej obserwować z auta. Mueller wydedukował to wcześniej niż tamten, więc zjechał na bok i stanął na Siedemnastej ulicy w Northwest w strefie zakazu parkowania, wiedząc, że nikt się nie przyczepi do kierowcy wozu technicznego służb miejskich.

Wysiadł i pomaszerował szybko tam, gdzie przy krawężniku zatrzymał się popołudniowy dyżurny. Podeszedł i zastukał w boczną szybę od strony kierowcy. Kiedy się opuściła, zagadnął:

–Sie masz, stary. – Nie czekając na odpowiedź, zdzielił ochroniarza tuż poniżej lewego ucha.

Rozerwanie wiązki nerwów wyłączyło człowieka z akcji. Mueller posadził nieprzytomnego mężczyznę pionowo za kierownicą, potem wszedł na chodnik, nie spuszczając z oka idącej ulicą Held.

Annę i Karim przechadzali się po Galerii Corcoran przy Siedemnastej ulicy w

Northwest. Imponujące zbiory dzieł sztuki zgromadzono we wspaniałej budowli z białego marmuru z Georgii, którą Frank Lloyd Wright nazwał kiedyś najlepiej zaprojektowanym budynkiem w Waszyngtonie. Karim przystanął przed wielkim płótnem Roberta Bechtela, fotorealisty z San Francisco. Nie rozumiał, jaką wartość artystyczną ma ten obraz.

–Stary podejrzewa, że cel ataku był atrapą – mówił Karim. – A co za tym idzie, że wiadomości Dudźdży przechwytywane i rozszyfrowywane przez Tyfona są dezinformacjami.

Annę była zaszokowana.

–Skąd takie podejrzenia?

–Piloci migów popełnili fatalny błąd. Odpalili rakiety dopiero wtedy, gdy amerykańskie chinooki zrównały z ziemią opuszczony kompleks. Owszem, mieli taki rozkaz, ale powinni się zjawić na miejscu kilka minut później, niż to zrobili. Myśleli, że ukryją się przed chinookami we mgle, a tymczasem Amerykanie sprytnie rozproszyli ją rotorami. Teraz dyrektor chce, żebym poszukał przecieku wewnątrz agencji.

–Myślałam, że przekonałeś wszystkich, że kretem był Hytner.

–Okazuje się, że Starego nie.

–I co teraz zrobimy? – zapytała Annę.

–Przyspieszymy akcję.

Annę rozejrzała się dyskretnie, ale nerwowo.

–Bez obaw – uspokoił ją Karim. – Po tym, jak spaliliśmy Overtona, przydzieliłem ci ochronę. – Spojrzał na zegarek i ruszył do wyjścia. – Chodź. Za trzy godziny ląduje Soraja Moore.

Jon Mueller siedział za kierownicą wozu technicznego elektrowni jedną przecznicę od Corcoran. Był już pewien, że Annę Held ma spotkanie. To by zainteresowało Lernerę, ale nie jego. Kiedy ją sprzątnie, nie będzie ważne, z kim się widziała.

Gdy tylko zobaczył, że Held wychodzi frontowymi drzwiami, włączył się do ruchu. Na wprost były światła na skrzyżowaniu z Pennsylvania Avenue. Zmieniły się na żółte. Przed nim stanął jeden samochód. Ze zgrzytem skrzyni biegów i rykiem silnika, Mueller skręcił, ominął auto, zawadzając je bokiem, i przeciął skrzyżowanie na czerwonym świetle wśród przekleństw, wściekłych okrzyków i ryku klaksonów.

Wdepnął pedał gazu do podłogi i wziął kurs prosto na Annę Held.

Pocisk, który z impetem przebił boczną szybę kabiny, zadźwięczał jak daleki gong. Mueller nie zdążył pomyśleć, że to może być coś innego, bo kula trafiła go w bok głowy, wyszła drugą stroną i oderwała mu pół czaszki.

Sekundę wcześniej niż wóz techniczny elektrowni wymknął się spod kontroli, Karim chwycił Annę za ramię i wciągnął ją z powrotem na chodnik. Gdy pojazd Potomac Electric uderzył w dwa samochody przed sobą, Karim zaczął się szybko oddalać z Anną od miejsca tragicznego wypadku.

–Co się stało? – zapytała.

–Człowiek prowadzący wóz techniczny chciał zrobić z ciebie ofiarę pirata drogowego.

–Co?!

Mocno ścisnął ją za ramię, żeby się nie odwracała.

–Idziemy. Znikamy stąd.

Trzy przecznice dalej przy krawężniku stał z włączonym silnikiem czarny lincoln aviator z dyplomatyczną rejestracją. Karim jednym płynnym ruchem otworzył tylne drzwi i wepchnął Annę do środka. Wsiadł za nią, aviator ruszył.

–Wszystko w porządku? – zapytał.

–Jestem tylko trochę wstrząśnięta. Co się stało?

–Kazałem cię dyskretnie obserwować.

Z przodu siedzieli kierowca i jego pomagier. Obaj wyglądali na arabskich dyplomatów. O ile Annę się orientowała, byli nimi. Nic więcej nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Nie zapytała więc, dokąd jadą. W jej branży nadmiar informacji, podobnie jak zbytnia ciekawość, mogły kosztować człowieka życie.

–Poczytałem sobie o Lernerze, więc kiedy Stary powiedział, że wysłał go do Odessy, zacząłem podejrzewać, że ktoś jeszcze wyżej w łańcuchu pokarmowym wywiadu weźmie cię na celownik. Miałem rację. To był Jon Mueller z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Kumpel Lenera. Chodzili razem na dziwki. Interesujące, że Mueller jest na liście płac sekretarza obrony Hallidaya.

–Co oznacza, że Lerner prawdopodobnie też dla niego pracuje. Karim przytaknął, pochylił się i kazał kierowcy zwolnić, gdy rozległo się wycie syren wozów policyjnych, strażackich i ratownictwa medycznego, a potem ucichło w oddali.

–Wygląda na to, że Halliday zamierza rozszerzyć władzę Pentagonu. Przejąć CIA i zreorganizować ją po swojemu. Możemy wykorzystać ten chaos wywołany wojną międzyagencyjną.

Aviator wjechał do odległej północnej dzielnicy miasta. Ominął Rock Creek Park i skręcił na tyły dużego domu pogrzebowego, który prowadziła pakistańska rodzina.

Do rodziny należał też budynek. Kupiła go za pieniądze International Vertical Technologies, przysłane przez jedną z niezależnych firm, które Karim założył na Bahamach i Kajmanach po przejęciu IVT. Wnętrze zostało ogołocone i przerobione według planów dostarczonych przez Karima.

Na zapleczu zbudowano pomieszczenie przeładunkowe. I za takie uważali je dostawcy zaopatrujący dom pogrzebowy. Ale teraz, kiedy kierowca wprowadził aviatora do środka, betonowa tylna „ściana” wsunęła się w podłogę i odsłoniła pochylnię, po której samochód zjechał do rozległego podziemia, gdzie wszyscy wysiedli.

Pod ścianą najbliższej nich stały beczki i skrzynie zabrane z warsztatu karoseryjnego MN. Na lewo od zgromadzonych materiałów wybuchowych parkowała czarna limuzyna lincoln ze znajomymi tablicami rejestracyjnymi.

Annę przesunęła palcami po lśniącej karoserii. Odwróciła się do Dżamila.

–Skąd wzięłeś auto Starego?

–To wierna kopia, łącznie z opancerzeniem i kuloodpornymi szybami – wyjaśnił i otworzył tylne drzwi. – Różni się tylko tym.

W środku zapaliło się światło. Annę zajrzała do samochodu. Zobaczyła z

podziwem, że wszystko jest identyczne, nawet dywanowa wykładzina w szafirowym kolorze. Patrzyła, jak Karim odchyła róg wykładziny, który jeszcze nie został przyklejony. Podważył scyzorykiem panel podłogowy, żeby pokazać, co jest pod spodem.

Całą przestrzeń pod podłogą auta wypełniały ciasno upakowane prostokąty jasnoszarej substancji przypominającej glinę.

–Zgadza się – przytaknął Karim, gdy Annę gwałtownie wciągnęła powietrze. – To C – 4. Jest go tu wystarczająco dużo, żeby rozerwać na kawałki wzmocnione fundamenty kwatery głównej CIA.

Dzielnica, gdzie Nesim Hatun prowadził nieznane jeszcze Bourne'owi interesy, wzięła swoją nazwę od sułtana Ahmeda I, który w pierwszej dekadzie XVII wieku zbudował Błękitny Meczety w sercu miasta nazwanego przez XIX – wiecznych Europejczyków Stambułem. Tu było centrum rozległego niegdyś cesarstwa bizantyjskiego, które w okresie swojego rozkwitu rozciągało się od południowej Hiszpanii do Bułgarii i Egiptu.

Współczesny Sultanahmet ze swoją widowiskową architekturą nie stracił nic ze swej mocy wzbudzania podziwu. W samym środku dzielnicy wznosi się wzgórze nazywane Hipodromem, z Błękitnym Meczetem po jednej stronie i świątynią Hagia Sophia, zbudowaną wiek wcześniej, po drugiej. Pomiędzy nimi leży mały park. W dzisiejszych czasach życie towarzyskie dzielnicy koncentruje się w pobliżu Akbiyik Caddesi, Alei Białych Wąsów, której północny koniec wychodzi na pałac Topkapi. Wzdłuż tej szerokiej arterii ciągną się sklepy, bary, kawiarnie i restauracje. W środowie poranki czynny jest targ.

Bourne'a trudno byłoby rozpoznać w hałaśliwym tłumie wypełniającym Akbiyik Caddesi. Miał na sobie tradycyjny turecki strój, wygląd jego twarzy zmieniała broda.

Zatrzymał się przy wózku ulicznego sprzedawcy, żeby kupić *simit* – chleb sezamowy – i jasnożółty jogurt. Jedząc, przyglądał się otoczeniu. Podejrzani osobnicy załatwiali jakieś ciemne interesy, kupcy wykrzykiwali ceny swoich towarów, miejscowi się targowali, turyści byli systematycznie naciągani przez sprytnych Turków. Biznesmeni rozmawiali przez telefony, dzieci robiły sobie komórkami zdjęcia, nastolatki słuchały wgranej do nich hałaśliwej muzyki. Śmiech i łzy, uśmiechy zakochanych, gniewne okrzyki walczących. Blask wrzącego tygla ludzkich namiętności i życia rozświetlał aleję jak neon, przebijał przez kłęby aromatycznego dymu, unoszące się z koksowych palenisk, nad którymi brązowały skwierczące kebaby.

Bourne przełknął ostatni kęs chleba i skierował się prosto do sklepu z dywanami, gdzie wybrał dywanik modlitewny i przyjaźnie potargował się z właścicielem. Kiedy wyszedł, obaj byli zadowoleni z dokonanej transakcji.

Błękitny Meczety, dokąd wędrował teraz Bourne z dywanikiem modlitewnym pod pachą, otacza sześć minaretów. Powstały przez pomyłkę. Sułtan Ahmed I powiedział architektowi, że chce, żeby meczety miał złoty minaret. „Złoty” to po turecku *altin*, ale architekt źle usłyszał to słowo, wziął je za *alti* – co znaczy „sześć” – i tyle minaretów zbudował. Mimo to Ahmed I był zadowolony z rezultatu, bo w owym czasie żaden inny sułtan nie mógł poszczycić się meczetem z tak wieloma minaretami.

Jak przystoi na wspaniałą budowlę, meczety ma wiele drzwi. Większość odwiedzających świątynię wchodzi od północy, ale muzułmanie korzystają z wejścia od zachodu. Te drzwi wybrał też Bourne. W środku przystanął, zdjął buty i odstawił je na bok w plastikowej torbie, którą wręczył mu mały chłopiec. Nakrył głowę, potem umył w kamiennej umywalce stopy, twarz, szyję i przedramiona. Przeszedł dalej, rozłożył dywanik modlitewny na marmurowej podłodze, zasłanej wieloma innymi, i uklęknął.

Wnętrze meczetu zdobią – w iście bizantyjskim stylu – misterne malowidła, filigranowe rzeźby, metalowe lampy, ogromne błękitno – złote kolumny i cztery poziomy wspaniałych witrażowych okien, sięgających do sklepienia centralnej kopuły. Z tego wszystkiego emanuje wzruszająca i niezaprzeczalna moc.

Bourne odmawiał muzułmańską modlitwę, przyciskając czoło do dywanika. Modlił się absolutnie szczerze, czując wieki historii wyryte w kamieniu, marmurze, złocie i lazurycie, które posłużyły do zbudowania i ozdobienia meczetu. Duchowość miała wiele wcieleń, nazywano ją wieloma imionami, ale wszystkie przemawiały prosto do serca w języku starym jak sam czas.

Kiedy skończył, wstał i zrolował dywanik, ale ociągał się z wyjściem. Otaczała go niemal całkowita cisza. Szelest jedwabiu i bawełny, szmer odmawianych modlitw, szepty – wszystkie dźwięki i ludzkie głosy zbierały się pod wielką kopułą meczetu i wirowały jak ziarenka cukru w kawie, subtelnie zmieniające jej smak.

W istocie, gdy Bourne wydawał się pogrążony w świętej kontemplacji, dyskretnie obserwował wiernych kończących modły. Zauważył starszego mężczyznę z brodą przetykaną siwizną, który zwinął dywanik i ruszył wolno w stronę rzędu butów. Bourne dotarł do własnych w momencie, kiedy tamten wkładał swoje.

Mężczyzna z jednym uschniętym ramieniem spojrzał na Bourne'a, wsuwającego stopy do butów.

–Jest pan nowy – zagadnął po turecku. – Nigdy pana tutaj nie widziałem.

–Właśnie przyjechałem – wyjaśnił Bourne z uśmiechem pełnym szacunku.

–A co cię sprowadza do Stambułu, synu? Wyszli zachodnimi drzwiami.

–Szukam krewnego. Nazywa się Nesim Hatun.

–Często spotykane nazwisko – stwierdził starzec. – Wie pan o nim coś więcej?

–Tylko tyle, że prowadzi własny interes tutaj, w Sultanhmecie – odpowiedział

Bourne.

–W takim razie, chyba zdołam panu pomóc. – Starzec zmrużył oczy w słońcu. –

Jest tu pewien Nesim Hatun, który wraz z dwanaściorgiem dzieci prowadzi *miraj hammam* na Bayramfirini Sokak, ulicy niedaleko stąd. Łatwo tam trafić.

Na Bayramfirini Sokak – ulicy Świętecznego Pieca – położonej w połowie długości Akbiyik Caddesi, było trochę spokojniej niż na ruchliwych arteriach Stambułu. Mimo to ostre nawoływania kupców, zawodzenie wędrujących sprzedawców jedzenia, charakterystyczne piskliwe biadolenie i zachęty do targowania się wypełniały wąską ulicę niczym gęsta mgła. Bayramfirini Sokak, pochyła jak zbocze góry, opada do morza Marmara. Oprócz szeregu małych pensjonatów był tu hammam Nesima Hatuna, człowieka, który na polecenie Fadiego wynajął w Odessie Jewgienija Fejodowicza, by ten pomógł wciągnąć Bourne'a w zasadzkę na plaży.

Wyrzeźbione motywy bizantyjskie zdobiły grube, ciemne, drewniane drzwi łaźni. Po obu stronach wejścia stały ogromne kamienne dzbany, które kiedyś służyły za zbiorniki na naftę do lamp. Całość robiła imponujące wrażenie.

Bourne wetknął swoją skórzaną torbę za lewy dzban. Potem otworzył drzwi i wszedł do mrocznego wnętrza. Miejski hałas natychmiast ucichł; zapanowała cisza lasu otulonego śniegiem. Bourne odczekał chwilę, żeby przestało mu dzwonić w

uszach. Znajdował się w sześciokątnym pomieszczeniu. Z marmurowej fontanny na środku wdzięcznie tryskała woda. Z czterech stron żłobkowane kolumny podtrzymywały kamienne łuki, za nimi ciągnęły się zamknięte ogrody z bujną roślinnością i ciche korytarze oświetlone lampami.

Mógłby to być przedsionek meczetu lub średniowiecznego klasztoru. Jak we wszystkich ważnych budowlach muzułmańskich architektura odgrywała pierwszorzędną rolę. Ponieważ islam zabrania używania wizerunków Allaha i wszelkich żywych istot, rzemieślnicy musieli się skoncentrować na samym budynku i jego licznych ozdobach.

Hammam nieprzypadkowo przypominał meczet. Oba przybytki to symbole czci i wspólnoty. Ponieważ w islamie niezwykle istotna jest czystość ciała, hammam zajmuje w życiu muzułmanów wyjątkowe miejsce.

Bourne'a powitał *tellak* - masażysta – szczupły młody mężczyzna z twarzą wilka.

–Zależy mi bardzo na spotkaniu z Nesimem Hatunem. On i ja mamy wspólnego partnera w interesach, Jewgienija Fejodowicza.

Tellak nie zareagował na to ostatnie nazwisko.

–Zobaczę, czy ojciec jest wolny.

Soraja przeszła przez strefę bezpieczeństwa w Narodowym Porcie Lotniczym w Waszyngtonie i miała właśnie włączyć komórkę, gdy zobaczyła, że macha do niej Annę Held. Poczowała ulgę, kiedy się uściskały na powitanie.

–Cieszę się, że już jesteś z powrotem – powiedziała Annę. Soraja wyciągnęła szyję i się rozejrzała.

–Nikt cię nie śledził?

–Oczywiście, że nie. Sprawdzalam.

Soraja wyrównała krok z Annę, gdy ruszyły do wyjścia z terminalu. Miała napięte nerwy. Działać przeciwko wrogowi w terenie to jedno; wrócić do domu, gdzie czai się zmija, to zupełnie co innego. Zaczęła pracować nad swoimi emocjami jak każdy dobry aktor – pomyślała o tragedii, która wydarzyła się dawno temu: pewnego dnia jej psa Rangera przejechał samochód. Udało się, pomyślała, są łyzy.

Na twarzy Annę pojawił się wyraz troski.

–Co ci jest?

–Jason Bourne nie żyje.

–Co?! – Zaszokowana Annę stanęła jak wryta na środku ruchliwej hali. – Jak to?

–Stary wysłał za nim Lenera, w roli swojego osobistego zabójcy. Doszło do walki. Pozabijali się nawzajem. – Soraja pokręciła głową. – Wróciłam po to, żeby mieć na oku człowieka udającego Martina Lindrosa. Prędzej czy później musi popełnić błąd.

Annę przytrzymała ją na odległość wyciągniętego ramienia.

–Jesteś pewna twoich informacji o Lindrosie? Właśnie zorganizował atak na ośrodek jądrowy Dudźdży w Jemenie Południowym. Obiekt został całkowicie zniszczony.

Soraja poczerwieniała.

–Mój Boże, więc miałam rację! To dlatego Dudźdża zadała sobie tyle trudu, żeby przeniknąć do CIA. Jeśli operację zaplanował Lindros, to możesz być pewna, że cel

był fałszywy. Agencja się myli, jeśli uważa, że zlikwidowała zagrożenie.

–W takim razie, im prędzej wrócimy do kwatery głównej, tym lepiej.

Annę otoczyła Soraję ramieniem i wyprowadziła ją szybko przez automatyczne drzwi w wilgotny chłód waszyngtońskiej zimy. Łuna reflektorów oświetlających pomniki tworzyła majestatyczny wzór na niskich, ciemnych chmurach. Annę skierowała Soraję do służbowego pontiaca sedana, potem wsiadła za kierownicę.

Włączyły się do długiego rzędu samochodów, które wolno posuwały się w stronę wyjazdu. Na trasie do miasta Soraja pochyliła się lekko do przodu i zerknęła w boczne lusterko. Od dawna miała taki zwyczaj. Robiła to odruchowo, nawet gdy nie wykonywała zadania w terenie. Zauważyła z tyłu czarnego forda, zainteresowała się nim jednak dopiero przy drugim spojrzeniu w lusterko. Na prawym pasie, z tyłu był teraz tylko jeden samochód i utrzymywał ich tempo. Pomyślała, że jeszcze za wcześnie na wnioski, ale kiedy zerknęła w lusterko po raz trzeci i znów zobaczyła forda, nabrała przekonania, że są śledzone.

Odwróciła się do Annę – przyjaciółka też patrzyła w lusterko. Bez wątplenia widziała czarnego forda. Ale nie wspomniała o nim ani słowem i nie zrobiła żadnego manewru, żeby zgubić ogon. Soraja poczuła ucisk w żołądku. Próbowwała się uspokoić, powtarzając sobie, że Annę jest przecież asystentką Starego. Załatwia sprawy biurowe i nie ma pojęcia o pracy w terenie.

Odchrząknęła.

–Chyba jesteśmy śledzone.

Annę włączyła kierunkowskaz i zjechała na prawy pas.

–Lepiej zwolnię.

–Nie! Co ty robisz?

–Jeśli tamci też zwolnią, będziemy wiedziały...

–Musisz przyspieszyć – zawołała Soraja. – Uciec im jak najszybciej.

–Chcę zobaczyć, kto jest w tamtym samochodzie – nie ustępowała Annę. Zwolniła jeszcze bardziej i zbliżyła się do krawędzi jezdni.

–Oszalałaś?

Soraja sięgnęła do kierownicy, ale cofnęła się gwałtownie na widok kompaktowego pistoletu SmithWesson w ręku Annę.

–Co ty, do cholery, wyrabiasz?

Toczyły się po poboczu w kierunku metalowej bariery ochronnej.

–Po tym wszystkim, co od ciebie usłyszałam, wołałam nie wychodzić z kwatery głównej nieuzbrojona.

–Wiesz przynajmniej, jak się z tym obchodzić?

Czarny ford zjechał za nimi i zatrzymał się z tyłu. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni o ciemnej karnacji i ruszyli w stronę pontiaca.

–Co miesiąc ćwiczę strzelanie – oznajmiła Annę i przycisnęła lufę do skroni Sorai.

– Wsiadaj.

–Annę, co ty...?

–Rób, co mówię.

–W porządku. – Soraja odsunęła się i chwyciła za klamkę. Gdy zauważyła, że

Annę przeniosła wzrok na drzwi, zadała lewą ręką cios w górę i podbiła jej prawe ramię. Pistolet wypalił, pocisk przedziurawił dach pontiaca.

Soraja wbiła łokieć w policzek Annę. Na odgłos wystrzału dwaj mężczyźni puścili się biegiem. Soraja szybko sięgnęła ponad półleżącym tułowiem Annę do lewych drzwi i wypchnęła ją na zewnątrz.

W chwili, kiedy mężczyźni dobiegli z wyciągniętymi pistoletami do bagażnika pontiaca, Soraja wsunęła się za kierownicę, wrzuciła bieg i wdepnęła gaz. Jechała przez chwilę poboczem, potem znalazła lukę między mijającymi ją samochodami i wyskoczyła na jezdnię z piskiem dymiących opon. Zerknęła w lusterko. Mężczyźni zawrócili pędem do czarnego forda, podtrzymywali Annę Held; potem pomagali jej wsiąść na tylne siedzenie ich samochodu. Sorai zaczęły drżeć ręce na kierownicy.

Nesim Hatun siedział wygodnie na rzeźbionej drewnianej ławie, wymoszczonej miękkimi jedwabnymi poduszkami, pod szeleszczącymi liśćmi swojej ukochanej palmy. Wkładał do ust świeże daktyle, jednego po drugim, przeżuwał je dokładnie, połykał słodki miąższ i wypluwał białe podłużne pestki do płytkiej miski. Przy jego prawym łokciu stał ośmiokątny stolik, na którym była grawerowana srebrna taca z dzbankiem do herbaty i dwiema małymi szklankami.

Kiedy syn wprowadził w cień palmy daktylowej Bourne'a – który przed wejściem do tureckiej łaźni odkleił brodę – Hatun odwrócił głowę z wyrazem obojętności na swojej twarzy szakala. Ale z jego oczu jak czarne oliwki wзираła ciekawość.

–*Merhaba*, przyjacielu.

–*Merhaba*, Nesimie Hatunie. Nazywam się Abu Bakr. Hatun podrapał się w szpiczastą bródkę.

–Jak towarzysz naszego proroka Mahometa.

–Stokrotnie przepraszam za zakłócenie spokoju twojego wspaniałego ogrodu.

Nesim Hatun skinął głową w odpowiedzi, docenił dobre maniery gościa.

–Mój ogród to tylko nędzny skrawek ziemi. – Odprawił syna i gestem zaprosił Bourne'a. – Przyłącz się do mnie, przyjacielu.

Bourne rozwinął dywanik modlitewny – jedwabne nici zaśniły w złocistych promieniach słońca, przenikających między palmowymi liśćmi.

Hatun zsunął z jednej nogi półbut o wyglądzie rannego pantofla i postawił bosą stopę na dywaniku.

–Piękny okaz sztuki tkackiej. Dziękuję, przyjacielu, za tę nieoczekiwaną hojność.

–Dar zupełnie ciębie niegodny, Nesimie Hatunie.

–No cóż, Jewgienij Fejodowicz nigdy, mi nie ofiarował takiego prezentu. – Hatun podniósł wzrok na Bourne'a. – Jak się miewa nasz wspólny znajomy?

–Cóż, po ostatniej akcji nie najlepiej mu się wiedzie – odrzekł Bourne – raczej zabałaganiał sprawy.

Twarz Hatuna skamieniała.

–Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

–Pozwól zatem, że cię oświecę – powiedział cicho Bourne. – Jewgienij Fejodowicz zrobił dokładnie to, za co mu zapłaciłeś. Skąd wiem? Bo to ja zabrałem Bourne'a na plażę Otrada, ja wciągnąłem go w zasadzkę przygotowaną przez Fadięgo. Wynajął

mnie Jewgienij Fejodowicz.

–Problem w tym, Abu Bakrze, że Jewgienij Fejodowicz nigdy nie powierzyłby tego zadania Turkowi. – Hatun wypiął pierś.

–Oczywiście, że nie. Bourne nie zaufałby takiemu człowiekowi. Hatun przyjrzał się gościowi.

–Więc pozostaje pytanie: kim jesteś?

–Nazywam się Bogdan Iljanowicz. – Bourne przedstawił się nazwiskiem człowieka, którego zabił na plaży Otrada. Włożył wcześniej protezę kupioną w sklepie z rekwizytami teatralnymi w Beyoglu. Znacząco zmieniła kształty jego szczęki i policzków. Miał teraz niewielką szparę między przednimi zębami.

–Mówisz doskonale po turecku, jak na Ukraińca – stwierdził Hatun z pewną pogardą. – Domyślam się, że twój szef żąda drugiej połowy zapłaty.

–Jewgienij Fejodowicz nie jest w stanie niczego przyjąć. A jeśli chodzi o mnie, chcę to, co zarobiłem.

Wydawało się, że Nesima Hatuna ogarnęło jakieś nieokreślone uczucie. Nalał gorącej, słodkiej herbaty i podał Bourne'owi jedną filiżankę. Kiedy sączyli napój, zapytał:

–Może trzeba ci opatrzyć tę ranę w lewym boku? Bourne zerknął w dół na plamki krwi na swoim ubraniu.

–To draśnięcie. Nic wielkiego.

Nesim Hatun nie zdążył odpowiedzieć, bo pojawił się jego syn, który wcześniej przyprowadził Bourne'a, i dał ojcu znak. Hatun wstał.

–Przepraszam na chwilę. Muszę się zająć pewną niedokończoną sprawą. Zaraz wrócę. – Poszedł za synem łukowym przejściem i zniknął za filigranowym parawanem.

Bourne odczekał chwilę, podniósł się i zaczął przechadzać po ogrodzie, jakby go podziwiał. Przeszedł pod łukiem i przystanął obok parawanu. Usłyszał dwa przyciszone męskie głosy. Jeden należał do Nesima Hatuna. Drugi...

–...za pośrednictwem posłańca, Muto ibn Azizie – mówił Nesim Hatun. – Jak sam powiedziałaś, na końcowym etapie realizacji planu nie można ryzykować, że zostanie przechwycone jakieś połączenie przez telefon komórkowy A teraz dowiaduję się od ciebie, że coś takiego jednak się zdarzyło.

–Wiadomość była ważna dla nas obu – odparł Muta ibn Aziz. – Fadi skontaktował się ze swoim bratem. Jason Bourne nie żyje. – Podeszedł krok bliżej do Hatuna. – Twoja rola w tej sprawie jest więc zakończona. – Objął go i ucałował w oba policzki. – Wyjeżdżam dziś o ósmej wieczorem. Wracam prosto do Fadiego. Teraz, po śmierci Bourne'a, nic nas już nie powstrzyma. Finał się rozpoczął.

–*La ilaha Ul allah!* - wydyszał Hatun. – Chodź, mój przyjacielu, odprowadzę cię.

Bourne się odwrócił, poszedł cicho przez ogród, potem szybko bocznym korytarzem i wydostał się z hammamu.

Soraja nie zdejmowała nogi z gazu. Wiedziała, że jest w tarapatach. Zerkając w lusterko wsteczne, wyjęła i włączyła komórkę. Rozległ się cichy kurant. Ktoś się nagrał. Odsłuchiwała wiadomość Bourne'a.

Poczuła w ustach gorzki smak. Więc jednak kretem była Annę. A to suka! Jak mogła? Soraja walnęła pięścią w kierownicę. Niech ją szlag trafi.

Kiedy odkładała telefon, usłyszała zgrzyt metalu o metal, poczuła przyprawiające o mdłości szarpnięcie i z trudem udało jej się uniknąć kolizji z ciężarówką na sąsiednim pasie.

–Co za...?

Z boku uderzył ją lincoln aviator, wielki i groźny jak czołg M1 Abrams. Teraz był przed nią. Zahamował bez ostrzeżenia – walnęła w niego. Nie miał świateł stopu; mogły być celowo odłączone.

Skręciła ostro, zmieniła pas ruchu i zrównała się z limuzyną. Próbowwała zajrzeć do środka, żeby zobaczyć, kto prowadzi, ale samochód miał tak ciemne szyby, że nie dostrzegła nawet sylwetki.

Aviator znów się zbliżył i uderzył w drzwi pontiaca od strony pasażera. Soraja kilkakrotnie wcisnęła przyciski elektrycznego sterowania szybami, ale żaden mechanizm nie zadziałał. Zmieniła nogę na pedale gazu i kopnęła prawym obcasem w zmiażdżone drzwi. Ani drgnęły; też były zablokowane. Z nagłym lękiem wróciła do zwykłej pozycji za kierownicą. Waliło jej serce, w uszach pulsowało tętno.

Aviator wyrwał do przodu, przedarł się slalomem między samochodami i straciła go z oczu. Musiała opuścić autostradę. Zaczęła szukać wzrokiem znaków informujących o najbliższym zjeździe. Był trzy kilometry dalej. Pocąc się obficie, ustawiła się na prawym pasie.

Nagle z lewej strony znów pojawił się aviator. Uderzył mocno w pontiaca i wgniół drzwi kierowcy. Najwyraźniej celowo został z tyłu w gęstym ruchu, żeby znaleźć się za ściganym samochodem. Znów wcisnęła przycisk szyby, spróbowała poruszyć klamką, ale okno i drzwi były zamknięte na amen. Została uwięziona w pędzącym samochodzie.

Bourne wyciągnął zza dzbana swoją torbę, potem skręcił szybko i cicho za róg hammamu w poszukiwaniu ulicy, na którą wychodziły tylne drzwi przybytku Nesima Hatuna. Znalazł ją bez trudu i zobaczył mężczyznę opuszczającego łaźnię tym wyjściem.

Posłańca Mutę ibn Aziza, który miał go doprowadzić do Fadiego.

Idąc za nim, wyjął z torby puszkę kleju do charakteryzacji i przykleił sobie brodę. Znow wyglądał jak semita. Po chwili wyszedł za Mutą ibn Azizem z zaułka w zgiełk Sultanahmetu. Przez blisko czterdzieści minut dotrzymywał kroku swojej ofierze. Posłaniec nie przystawał ani się nie rozglądał. Było jasne, że wie, dokąd idzie. W zatłoczonym sercu dzielnicy, wśród potoków przechodniów zdążających we wszystkich możliwych kierunkach, Bourne musiał bardzo uważać, żeby nie stracić z oczu Muty ibn Aziza. Z drugiej strony, niestrudzone tłumy znacznie ułatwiały mu zachowanie anonimowości. Nawet gdyby jego cel obserwował odbicia w lśniących karoseriach pojazdów i szybach wystawowych, nie zauważyłby, że ma ogon. Zostawili Sultanahmet za sobą i znaleźli się w Eminonu.

W końcu na wprost wyłoniła się kopulasta bryła dworca kolejowego Sirkeci. Czyżby Muta ibn Aziz wybierał się do Fadiego pociągiem? Nie, minął główne wejście i poszedł szybko dalej, torując sobie drogę przez tłum.

Ominęli dużą grupę turystów, otaczających półkolem trzech *mevlevi*, wirujących derwiszów, których długie białe szaty powiewały wokół nich, gdy obracali się w ekstatycznym tańcu *setna* przy dźwiękach starodawnych islamskich hymnów. *Mevlevi* rozpylali w ruchu kropelki potu o zapachu szafranu i mirry. Powietrze wokół nich ożywiało nieznany mistycyzm, w mgnieniu oka pojawiał się inny świat i znow znikał.

Naprzeciwko dworca jest nabrzeże Adalar Iskelesi. Bourne dyskretnie przyłączył się do niemieckich turystów i obserwował, jak Muta ibn Aziz kupuje bilet w jedną stronę na Büyükadę. Więc wyrusza stąd, pomyślał Bourne. Najprawdopodobniej statkiem. Ale dokąd? To nie miało znaczenia, Bourne zamierzał towarzyszyć Mucie ibn Azizowi w drodze do Fadiego bez względu na środek transportu.

Na razie wydostanie się z powgniatanego pontiacu było najmniejszym z problemów Sorai. Największy stanowił aviator siedzący jej na ogonie. Mignął jej nad głową znak wskazujący najbliższy zjazd. Przygotowała się. Zobaczyła biegnącą w dół jezdnię z dwoma pasami ruchu i wybrała lewy. Aviator, trzymający się pół długości samochodu za nią, zrobił to samo. Przed nią na obu pasach były pojazdy, ale gdy szybko zerknęła w lusterko wsteczne, dostrzegła lukę, na którą liczyła. Teraz, gdyby tylko nadwerężone osie pontiacu nie odmówiły posłuszeństwa, jej manewr mógłby się udać.

Skręciła ostro. Pontiac przeskoczył na prawy pas. Zanim kierowca aviatora zdążył zareagować, Soraja wrzuciła wsteczny i wcisnęła gaz.

Wystrzeliła obok aviatora, który właśnie wjeżdżał na jej połowę jezdni. Tył pontiacu roztrzaskał tamtemu reflektor. Pędziła na wstecznym w górę zjazdu. Rozlegały się klaksony, krzyki i pisk opon, gdy samochody z tyłu uciekały jej z drogi.

Aviator też zaczął ostrzegawczo trąbić, zawrócił i ruszył w pościg. Niemal na szczycie zjazdu kierowca szarej toyoty spanikował i tak gwałtownie nadepnął na hamulec, że samochód obrócił się, stanął w poprzek jezdni i skutecznie zablokował aviatora.

Soraja wydostała się tyłem na pas awaryjny autostrady, wrzuciła jedynkę i wystartowała w kierunku Waszyngtonu.

–Można łatwo zepchnąć tę toyotę z drogi – powiedział kierowca aviatora.

–Nie zawracaj sobie tym głowy – mruknął mężczyzna na tylnym siedzeniu. – Tamta daleko nie ucieknie.

Choć byli dyplomatami z ambasady Arabii Saudyjskiej, należeli również do uśpionej komórki Karima w Waszyngtonie. Kiedy aviator wjechał do miasta, mężczyzna na tylnym siedzeniu włączył odbiornik GPS. Na ekranie natychmiast pojawiła się siatka ulic w śródmieściu i ruchomy punkt świetlny. Mężczyzna wybrał numer na swoim telefonie komórkowym.

–Wymknęła się nam – poinformował. – Ucieka pontiakiem, którego wyposażyliśmy w elektroniczne urządzenie naprowadzające.” Jedzie w twoim kierunku. Powinieneś ją mieć w swoim zasięgu za trzydzieści sekund.

Czekał cierpliwie na odpowiedź kierowcy czarnego forda, w końcu usłyszał:

–Namierzyłem cel. Kieruje się na północny wschód.

–Jedź za nią – polecił mężczyzna na tylnym siedzeniu aviatora. Wiesz, co robić.

Podczas rejsu promem na wyspę Büyükada Bourne zawarł znajomość z rodziną chińskich turystów. Rozmawiał z nimi w języku mandaryńskim, żartował z dziećmi, pokazywał ważne budynki w Stambule, który zostawiali za sobą, opowiadał o historii miasta. Cały czas miał na oku Mutę ibn Aziza.

Posłaniec Fadiego stał samotnie oparty o reling i patrzył ponad wodą w kierunku plamy lądu, który był celem ich podróży. Nie ruszał się z miejsca ani nie rozglądał.

Kiedy wreszcie się odwrócił i wszedł do środka, Bourne przeprosił Chińczyków i poszedł za nim. Muta ibn Aziz zamówił herbatę w pokładowym bufecie. Bourne zaczął oglądać widokówki i mapy na stojaku. Wybrał mapę Büyükady i okolic i zdążył dotrzeć do kasy tuż przed posłańcem. Odezwał się do kasjera po arabsku. Wąsaty mężczyzna miał na szyi złoty krzyżyk na łańcuszku. Pokręcił głową i odpowiedział po turecku. Bourne pokazał, że nie rozumie.

Muta ibn Aziz nachylił się do niego.

–Przepraszam, przyjacielu, ale brudny niewierny prosi o zapłatę. Bourne podsunął mu garść monet. Muta ibn Aziz odliczył potrzebną kwotę i wręczył kasjerowi. Bourne zaczekał, aż posłaniec zapłaci za herbatę, potem powiedział:

–Dziękuję, przyjacielu. Niestety turecki brzmi dla mnie jak chrząkanie wieprza.

Muta ibn Aziz się roześmiał.

–Dobre porównanie. – Wskazał kierunek i wyszli razem na pokład. Bourne doszedł za posłańcem do jego miejsca przy relingu. Słońce mocno grzało, dzięki czemu nie czuło się chłodu wiatru od morza Marmara. Zimowe, błękitne niebo było upstrzone pierzastymi chmurami.

–Chrześcijananie to świnię – zagadnął Muta ibn Aziz.

–A żydzi to mały – odparł Bourne.

–Pokój z tobą, bracie. Widzę, że czytaliście te same podręczniki szkolne.

–Dżihad na drodze do Boga, oto istota islamu. Nie potrzebowałem nauczyciela, żeby mi to wyjaśnił. Wydaje mi się, że urodziłem się z tą wiedzą.

–Jesteś wahhabitą, jak ja. – Muta ibn Aziz przyjrzał mu się z ukosa. – Tak jak dawniej zdołaliśmy razem z muzułmanami wyprzeć chrześcijańskich krzyżowców z Palestyny, tak teraz pokonamy współczesnych krzyżowców, którzy okupują nasze ziemie.

Bourne skinął głową.

–Nasze myśli biegną tym samym torem. Muta ibn Aziz wypił łyk herbaty.

–Czy te słuszne przekonania skłaniają cię do czynów, bracie? Czy są tylko kawiarnianą filozofią?

–Przelałem krew niewiernych w Sharm el – Sheikh i Gazie.

–Indywidualne działanie jest godne pochwały – przyznał Muta ibn Aziz. – Ale im większa organizacja, tym więcej szkód można wyrządzić wrogom.

–Otóż to. – Czas zarzucić przynętę, stwierdził w duchu Bourne. – Wciąż myślę o przyłączeniu się do Dudźdży, ale zawsze powstrzymuje mnie jedna rzecz.

Papierowy kubek z herbatą zawisnął w połowie drogi do ust Muty ibn Aziza.

–Co takiego?

Powoli, powoli, upomniał się Bourne.

–Nie wiem, czy mogę to wyjawić, bracie. Dopiero się poznaliśmy. Twoje intencje...

–Są takie same jak twoje – zareagował szybko Muta ibn Aziz. – Zapewniam cię.

Widząc jednak, że rozmówca się ociąga, wygląda na niezdecydowanego, dodał: – Czyż nie jest prawdą, że wyznajemy taką samą filozofię? Że mamy identyczny pogląd na świat, na jego przyszłość?

–W istocie. – Bourne zacisnął wargi. – Zatem dobrze. Ale ostrzegam, że jeśli nie wyjawisz prawdy o swoich intencjach, przysięgam, że dowiem się tego i wymierzę stosowną karę.

–*La ilaha ill allah*. W żadnym z wypowiedzianych przeze mnie słów nie ma ziarna kłamstwa.

–Chodziłem w Londynie do szkoły z przywódcą Dudźdży – zaczął Bourne.

–Nie wiem...

–Proszę, nie zamierzam wymieniać prawdziwego nazwiska Fadiego. Ale znając je, mam wiedzę o tej rodzinie, której inni nie posiadają.

Udawana ciekawość Muty ibn Aziza przerodziła się w autentyczną.”

–Dlaczego to cię powstrzymuje od zostania członkiem Dudźdży?

–No cóż, chodzi o ojca. A raczej, mówiąc konkretnie, o jego drugą żonę. To Angielka. Co gorsza, chrześcijanka. – Bourne pokręcił głową, jego zawzięta mina podkreślała ostry ton. – Prawdziwemu muzułmaninowi nie wolno być oddanym przyjacielem kogoś, kto nie wierzy w Boga i jego proroka. Mimo to ten mężczyzna poślubił niewierną, spółkował z nią. Owocem tego związku jest Fadi. Powiedz mi, bracie, jak mogę podążać za takim osobnikiem? Jak wierzyć jego słowom, skoro czai się w nim szatan?

Muta ibn Aziz był zaskoczony.

–A jednak Fadi zrobił bardzo wiele dla naszej sprawy.

–Trudno temu zaprzeczyć – przyznał Bourne. – Ale wydaje mi się, że skoro mowa o pochodzeniu, którego nie można zignorować ani się wyprzeć, to Fadi jest jak tygrys zabrany z dżungli, przeniesiony do nowego środowiska i udomowiony przez rodzinę zastępczą. Prędzej czy później tygrys usłyszy zew swojej prawdziwej natury, zwróci się przeciwko tym, którzy go adoptowali, i zada im śmiertelny cios. – Znów pokręcił głową, tym razem z doskonale udawanym smutkiem. – To błąd, próbować zmienić naturę tygrysa, bracie. Nie ma co do tego wątpliwości.

Muta ibn Aziz odwrócił głowę i popatrzył ponuro na zarys Büyükadady, która wyrastała z morza niczym Atlantyda lub wyspa dawno zapomnianego kalifa, zatrzymana w czasie. Chciał powiedzieć coś, co obaliłoby twierdzenie jego towarzysza podróży, ale nie mógł się na to zdobyć. To podwójnie przygnębiające, pomyślał, usłyszeć prawdę z ust tego człowieka.

Sorai kręciło się w głowie, nie tylko od szaleńczej ucieczki przed lincolnem aviatorem, lecz również z powodu zdrady Annę Held. Mroziło jej to krew w żyłach. Mój Boże, ile rzeczy agenci powiedzieli jej przez lata? Ile tajemnic zdradzili Dudźdzy?

Prowadziła nieprzytomnie swoją jeżdżącą trumnę. Barwy dnia wydawały się przesycone, wibrujące dziwnym pulsem, który powodował, że samochody, ulice, budynki, nawet chmury, sprawiały wrażenie obcych, groźnych, jadowitych. Soraja została uwięziona w koszmarze strasznej prawdy.

Skronie bolały ją od katastroficznych wizji, cała się trzęsła od gwałtownego przyływu adrenaliny.

Musiała odzyskać grunt pod nogami, żeby dojść do siebie i zastanowić się nad następnym krokiem. Potrzebowała sojusznika, tutaj, w Waszyngtonie. Natychmiast pomyślała o przyjaciółce Kim Lovett, ale niemal od razu zrezygnowała z jej pomocy. Po pierwsze, była w zbyt niebezpiecznej sytuacji, żeby angażować w to Kim. Po drugie, ludzie z CIA, a zwłaszcza Annę, wiedzieli o tej przyjaźni.

Potrzebowała kogoś nieznanego nikomu w agencji. Włączyła telefon i wybrała numer Derona. Modliła się, żeby już wrócił od ojca z Florydy, ale upadła na duchu, gdy usłyszała jego wiadomość nagrany w poczcie głosowej.

I co teraz? – zapytała siebie z rozpaczą. Musiała znaleźć bezpieczny port, i to już. Nagle, zanim wpadła w panikę, przypomniała sobie o Tyraniu. Oczywiście był zaledwie nastolatkiem, ale Deron ufał mu na tyle, że korzystał z jego ochrony. Poza tym to Tyrone powiedział jej, że jest śledzona. Ale nawet gdyby zgodził się pomóc, nawet gdyby zaryzykowała i zaufała mu, jak się z nim skontaktować, do diabła?

Nagle coś sobie przypomniała. Wspominał, że często kręci się na jakimś placu budowy. Gdzie? Wytężyła umysł.

„Na końcu Florydy stawiają zarąbiste wieżowce. Łażę tam, jak tylko mam okazję, i patrzę, jak to wszystko idzie”.

Po raz pierwszy naprawdę się rozejrzała, żeby zobaczyć, gdzie jest. Była w kwadrancie Northeast, dokładnie tam, gdzie potrzebowała.

Büyükada to największa z Wysp Książęcych, nazywanych tak dlatego, że w

dawnych czasach bizantyjscy władcy zsyłali na ten archipelag w pobliżu Stambułu księżęta, którzy im się narazili. Na Buyiikadzie przez trzy lata mieszkał Lew Trocki i napisał tam *Historię rewolucji rosyjskiej*.

Z powodu swej niechlubnej przeszłości wyspy przez lata pozostawały opuszczone, będąc jednym z wielu cmentarzysk krwawych dziejów imperium otomańskiego. Dziś Büyükada jest terenem rekreacyjnym dla bogatych, z malowniczymi krajobrazami, kwiatami, ocienionymi drzewami alejami i barokowo ozdobionymi willami w bizantyjskim stylu.

Bourne i Muta ibn Aziz zeszli z promu razem. Na nabrzeżu uściskali się, życząc sobie wzajemnie łaski i opieki Allaha.

–*La ilaha Ul allah* – powiedział Bourne.

–*La ilaha Ul allah* - odparł posłaniec Fadiego, zanim się rozstali. Bourne zaczekał, żeby zobaczyć, w którą stronę pójdzie Muta ibn Aziz, potem rozłożył mapę wyspy. Odwrócił lekko głowę i kątem oka obserwował swój cel. Muta ibn Aziz wypożyczył rower. Ponieważ na wyspie obowiązuje zakaz ruchu wszelkich pojazdów mechanicznych, pozostają trzy środki transportu: rower, zaprzęg konny i własne nogi. Ale wielkość wyspy zniechęca do chodzenia.

Bourne wrócił do studiowania mapy. Pamiętał, że posłaniec opuszcza Stambuł dziś o dwudziestej, ale dokąd się udaje i czym, nadal było zagadką.

Wszedł do wypożyczalni i wybrał rower z koszykiem z przodu. Taki pojazd nie dorównywał szybkością tamtemu, który wziął Muta ibn Aziz, ale Bourne musiał mieć bagażnik dla torby. Zapłacił z góry i popedałował za posłańcem w głąb wyspy.

Kiedy oddalił się od nabrzeża, przystanął w cieniu palmy i wygrzebał z torby transponder współpracujący z NET, „nanoelektroniczną etykietką”, którą przyczepiła mu w Waszyngtonie Soraja, żeby śledzić jego ruchy. Teraz on przeniósł NET na Mutę ibn Aziza, gdy się objęli na nabrzeżu. W takim miejscu bez samochodów dyskretna obserwacja posłańca na rowerze byłaby niemożliwa.

Bourne włączył transponder, wprowadził swoją pozycję i zobaczył na ekranie swoją lokalizację. Wcisnął inny przycisk i wkrótce namierzył sygnał. Wsiadł znów na rower i pojechał dalej, nie zwracając uwagi na ból w zranionym boku. Rozpędzał się, dopóki nie rozwinął odpowiednio dużej szybkości, mimo że droga przed nim wiała się stromo w górę.

Samochód Sorai toczył się wzdłuż południowego krańca rozległego placu budowy między Dziewiątą ulicą i Florida Avenue. Projekt zastąpienia zepsutych „zębów” dzielnicę wysokimi metalowo – szklanymi „implantami” posuwał się naprzód. Stalowe szkielety dwóch wieżowców mieszkalnych były prawie gotowe. Teren zapełniały ogromne żurawie z gracją przenoszące w powietrzu stalowe belki. Spychacze usuwały gruz, naczepy ciągników siodłowych rozładowywano obok rzędu biur w przyczepach mieszkalnych, do których biegły kable elektryczne.

Soraja wolno jechała wzdłuż placu. Wypatrywała Tyrone'a. Pamiętała, że to jego ulubione miejsce. Mówił, że przychodzi tu codziennie.

Silnik pontiaca zarzęził jak astmatyk, potem wszystko wróciło do normy. Od dziesięciu minut hałasy dochodzące spod maski były coraz częstsze i głośniejsze.

Soraja modliła się, żeby samochód nie stanął.

Dotarła do końca południowej granicy terenu budowy i skręciła na północ w kierunku Florida Avenue. Wypatrywała jakiegoś punktu obserwacyjnego, skąd Tyrone mógłby się przyglądać pracy, ukryty w cieniu i niewidoczny dla kilkuset robotników na placu. Znalazła kilka takich miejsc, ale teraz, rano, żadne nie znajdowało się w cieniu. Ani śladu Tyrone'a. Zdała sobie sprawę, że zanim go zlokalizuje, być może będzie musiała dojechać do północnego krańca terenu.

Od Florida Avenue dzieliło ją pięćset metrów, gdy usłyszała głośny szcęk. Zdezelowany pontiac szarpnął, potem się zatrząsł. Nie rozległ się ryk, lecz jęk. Silnik wyzionął ducha. Soraja zaklęła i walnęła otwartą dłonią w tablicę rozdzielczą, jakby samochód był starym telewizorem, który źle odbiera.

Odpięła pas bezpieczeństwa i wtedy zobaczyła czarnego forda. Wyjechał zza rogu i skierował się prosto na nią.

–Boże, pomóż mi – szepnęła do siebie.

Położyła się tyłem na siedzeniu, zwinęła w kłębek i kopnęła obiema nogami w boczną szybę. Oczywiście wzmacniane szkło trudno było roztrzaskać. Znów podciągnęła kolana pod brodę i uderzyła jeszcze raz. Trafiała podeszwami butów w szybę – bez skutku.

Popełniła błąd i wyjrzała zza tablicy rozdzielczej. Ford był już tak blisko, że zobaczyła w środku dwóch mężczyzn. Zsunęła się z powrotem na siedzenie i podjęła kolejną próbę wydostania się z pułapki. Po dwóch następnych kopnięciach szyba się rozprysła. Ale kawałki szkła trzymały się na środkowej warstwie folii.

Nagle szyba wyleciała z hukiem grzmotu. Na Soraję posypały się drobne odłamki. Ktoś wybił okno od zewnątrz. Potem jeden z pasażerów czarnego forda sięgnął do środka. Soraja rzuciła się na niego, ale gdy tylko chwyciła go za ramię, drugi mężczyzna poraził ją paralizatorem elektrycznym Taser.

Zwiotczała. Mężczyźni brutalnie wywlekli ją z pontiaca. Przez potworny szum w głowie usłyszała szybką wymianę zdań po arabsku. I wybuch śmiechu. Poczula na całym ciele ich ręce.

Potem jeden z nich przystawił jej pistolet do głowy.

Martin Lindros stał w celi bez okien, głęboko pod ziemią w kompleksie Dudźdzy w Miram Shah. Uniósł rękę do pustego prawego oczodołu. Nie zasypiał, dopóki organizm wytrzymał brak snu. Potem umysł zapadał się w ciemność, z której Martin miał nadzieję nigdy nie wrócić.

Oczywiście zawsze wracał i przypominał sobie z zimnym dreszczem sny o ogromnych krukach rozdziobujących jego ciało. Potem nie chciał już nigdy zamknąć oka. Przychodziły mu na myśl dzieła ukochanego Homera i wyobrażał sobie, że jest Polifemem, cyklopem, który rozrywał żeglarzy na kawałki, dopóki nie zginął z ręki Odyseusza. Z całego serca pragnął uśmiercić Fadięgo.

Drzwi celi otworzyły się z hałasem i do środka wkroczył przywódca Dudźdzy. Miał wściekłą minę. Podszedł bez słowa do Lindrosa i zadał mu potężny cios w bok głowy. Więzień upadł na betonową podłogę, ogłuszony i zaszokowany. Fadięgo kopnął.

– Bourne nie żyje. Słyszysz, Lindros? Nie żyje! – wrzasnął przerażająco. Miał lekko drżący głos, co świadczyło, że jest na krawędzi emocjonalnej otchłani. – Stało się coś nie do pomyślenia. Zostałem pozbawiony możliwości dokonania zemsty, którą tak starannie zaplanowałem. Wszystko się skończyło, ale nie tak, jak powinno.

Lindros doszedł do siebie i oparł się na łokciu.

– Nie można przewidzieć przyszłości.

Fadięgo przykucnął i niemal dotknął jego twarzy swoją.

– Niewierny, Allah zna przyszłość. Ukazuje ją tym, którzy na to zasługują.

– Żał mi cię, Fadi. Nie widzisz prawdy nawet wtedy, gdy masz ją przed oczami.

Twarz Fadięgo wykrzywił grymas furii. Terrorysta złapał Lindrosa i rzucił go na podłogę celi. Zacisnął palce na gardle ofiary.

– Nie udało mi się zabić Jasona Bourne'a gołymi rękami, ale wykończę cię zamiast niego. – Oczy wychodziły mu na wierzch z wściekłości, trzymał szyję Lindrosa w śmiertelnym uścisku.

Lindros miotał się i wierzgał, ale nie miał siły ani oparcia, żeby zrzucić z siebie Fadięgo lub oderwać jego ręce od swojego gardła.

Przewracał jedynym okiem i zaczynał tracić przytomność, gdy w otwartych drzwiach celi pojawił się Abbud ibn Aziz.

– Fadi...

– Wynoś się stąd! – krzyknął Fadi. – Daj mi spokój! Mimo to Abbud ibn Aziz wszedł do środka.

– Chodzi o Veintropa.

Fadięgo kipiał z wściekłości. Zawładnął nim bez reszty Pustynny Wiatr – żądza mordy.

– Fadi – nie ustępował Abbud ibn Aziz. – Jesteś pilnie potrzebny. Przywódca puścił Lindrosa, wstał i odwrócił się do swojego zastępcy.

– Do czego? Mów natychmiast, bo cię też zabiję.

– Veintrop skończył.

– Wszystkie zabezpieczenia są na swoim miejscu?

– Tak – odparł Abbud ibn Aziz. – Urządzenie jądrowe jest gotowe do transportu.

Tyrone przeżuwał olbrzymiego hamburgera i obserwował okiem inżyniera samouka transport masywnej stalowej belki, gdy zauważył atak na mocno poobijanego pontiaca. Dwaj faceci w gładkich garniturach biznesmenów wyskoczyli z czarnego forda, który podjechał czołowo do pontiaca. Zagadali coś do siebie, ale w hałasie budowy Tyrone nie mógł rozróżnić słów.

Wstał ze skrzyni, swojej prowizorycznej ławki, i ruszył w ich kierunku. Jeden z biznesmenów trzymał broń. Nie pistolet ani nóż, lecz paralizator Taser.

Drugi mężczyzna uderzył w boczną szybę pontiaca od strony kierowcy. Tyrone rozpoznał tego człowieka. Widział go przed warsztatem karoseryjnym MN. Ci ludzie wkroczyli na jego teren.

Wyrzucił hamburgera i przyspieszył. Pontiac wyglądał tak, jakby uderzył w niego walec. Jeden z facetów wybił szybę i sięgnął do środka. Potem gość z taserem włożył przez otwór prawą rękę i użył paralizatora przeciwko osobie w pontiacu. Po chwili obaj mężczyźni zaczęli wyciągać na zewnątrz obezwładnionego kierowcę.

Tyrone był już wystarczająco blisko, by się zorientować, że ofiarą jest kobieta. Postawili ją na nogi i odwrócili tak, że zobaczył jej twarz. Oblał się zimnym potem. Panna Szpieg! Zaczął biec.

W ciągłym hałasie budowy faceci nie słyszeli go, dopóki nie znalazł się prawie przy nich. Jeden przestał przyciskać pistolet do głowy Panny S i wycelował w intruza. Tyrone zatrzymał się gwałtownie i podniósł ręce do góry. Starał się nie patrzeć na Pannę S. Miała zwieszoną głowę i ledwo trzymała się na nogach. Zdrowo jej dołożyli.

–Spieprzaj stąd – warknął gość ze spluwą. – W tył zwrot i spadaj. Tyrone zrobił przerażoną minę.

–Dobrze, proszę pana – wymamrotał potulnie.

Kiedy zaczął się odwracać, opuścił ręce wzdłuż boków. Do jego prawej dłoni zsunął się nóż sprężynowy. Otworzył go, wykonał błyskawiczny obrót i wbił ostrze po rękojeść między żebra biznesmena, tak jak go uczono walczyć z bliskiej odległości w czasie ulicznych wojen o terytorium.

Mężczyzna upuścił pistolet. Przewrócił oczami i zwiotczał. Drugi sięgnął po tasera, ale musiał pilnować Panny S. Odrzucił ją do tyłu na powgniatanego pontiaca, w momencie gdy pięść Tyrone'a zmiażdżyła mu nos. Trysnęła krew. Tyrone wbił mu kolano w krocze, potem złapał go z dwóch stron za głowę i walnął nią w boczne lustro pontiaca.

Kiedy mężczyzna runął na ziemię, Tyrone wymierzył mu potężnego kopniaka w bok i złamał kilka żeber. Schylił się i zabrał swój nóż sprężynowy. Potem wziął na ramię Pannę S, zaniósł ją do forda z pracującym silnikiem i ostrożnie położył na tylnym siedzeniu. Gdy tylko wsunął się za kierownicę, jeszcze raz popatrzył na plac budowy. Na szczęście pontiac zasłaniał robotnikom widok. Nie widzieli zajścia.

Splunął przez okno w kierunku leżących facetów, wrzucił bieg i odjechał. Uważał, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Tylko tego by teraz brakowało, żeby zatrzymał go jakiś glina.

Pedałując krętą trasą pod górę, Bourne mijał jedną drewnianą willę za drugą.

Zbudowali je w XIX wieku greccy i armeńscy bankierzy. Dziś właścicielami tych domów są miliarderzy ze Stambułu, którzy podobnie jak ich otomańscy przodkowie prowadzą interesy na całym świecie.

Bourne jechał tropem Muty ibn Aziza i myślał o bracie Fadiego, Karimie, który zabrał Martinowi Lindrosowi twarz, prawe oko i tożsamość. Wydawałoby się, że jego ostatniego można by podejrzewać o bezpośrednie zaangażowanie w plan Dudźdzy. W końcu był głową rodziny, stanął na czele Integrated Vertical Technologies, kiedy ojca unieruchomił pocisk wystrzelony przez Bourne'a. Należał do elitarnego grona najzamożniejszych biznesmenów, jak właściciele tych współczesnych pałaców dookoła.

Bourne dopiero teraz zrozumiał obsesyjne pragnienie obu braci, by pomścić zabójstwo ich siostry. Sara była błyszczącą gwiazdą rodu, skarbniczką honoru Hamida ibn Aszefa al – Wahhiba, tradycji istniejącej od trzech tysięcy lat na bezkresnych przestrzeniach Półwyspu Arabskiego, Synaju, Palestyny. Ich przodkowie wycofywali się z pustyni, ponosili porażkę za porażką, otrząsali się po sromotnej klęsce i wracali, by odebrać swoim wrogom Półwysep Arabski. Patriarcha rodu Muhammad ibn Abd al – Wahhabi był jednym z wielkich reformatorów islamu. W połowie XVIII wieku połączył siły z Muhammadem ibn Saudem, by utworzyć nowe państwo. Sto pięćdziesiąt lat później obie rodziny zajęły Rijad i narodziła się współczesna Arabia Saudyjska.

Choć człowiekowi z Zachodu trudno było to pojąć, Sara ibn Aszef uosabiała wszystkie muzułmańskie wartości. Oczywiście bracia poruszyliby niebo i ziemię, żeby unicestwić jej zabójcę. Dlatego poświęcili tyle czasu, by całkowicie zniszczyć Bourne'a – najpierw psychicznie, potem fizycznie. Nie wystarczyłoby im znalezienie i wpakowanie mu kuli w tył głowy. Chcieli go złapać i zabić gołymi rękami. Nic innego nie dałoby im satysfakcji.

Bourne wiedział, że na wieść o jego śmierci obaj bracia wpadną w szał. W takim stanie mogli łatwiej popełnić błąd. Tym lepiej dla niego.

Musiał podać Sorai nazwisko człowieka udającego Martina Lindrosa. Wyjął komórkę i wybrał kolejno odpowiednie numery. Kiedy telefonował, uzmysłowił sobie, że nie ma od Sorai żadnej wiadomości. Zerknął na zegarek. Powinna już wylądować w Waszyngtonie, chyba że samolot miał duże opóźnienie.

Znów nie odbierała połączenia. Zaczął się niepokoić. Ze względów bezpieczeństwa nie zostawił następnej wiadomości. W końcu powinien być martwy. Modlił się, żeby Soraja nie wpadła w ręce wroga. Ale na wypadek gdyby stało się najgorsze, musiał się zabezpieczyć przed Karimem, który bez wątpienia sprawdziłby w jej komórce wszystkie połączenia. Zanotował sobie w pamięci, żeby zadzwonić do Sorai za godzinę. Będzie wtedy tuż po dziewiętnastej. Nieco później Muta ibn Aziz miał wyruszyć z Büyükyady do miejsca pobytu Fadiego.

„Finał się rozpoczął”, powiedział Hatunowi posłaniec. Bourne poczuł na plecach zimny dreszcz. Zostało mało czasu na znalezienie Fadiego i przeszkodzenie mu w zdetonowaniu bomby jądrowej.

Z mapy, którą kupił na promie, wynikało, że na wyspie są dwa wzgórza oddzielone

doliną. Wspiął się teraz na południowe wzniesienie, Yule Tepe, z XII – wiecznym klasztorem Świętego Jerzego na szczycie. Na górze zbrocza droga zamieniła się w ścieżkę. Palmy ustąpiły miejsca gęstym, sosnowym zagajnikom, mrocznym, tajemniczym, odludnym. Wille zostały z tyłu.

Obiekt klasztorny składał się z szeregu kaplic na trzech poziomach i kilku przybudówek. Punkt na wyświetlaczu, pokazujący pozycję Muty ibn Aziza, od kilku minut nie zmieniał położenia. Szlak stał się zbyt kamienisty i nierówny dla roweru. Bourne zeskoczył z siodła, wziął z koszyka torbę i dalej poszedł pieszo.

Nie widział żadnych turystów, obsługi, nikogo. Ale robiło się późno, zapadał zmierzch. Okrążył rozpadającą się główną budowlę i zapuścił się wyżej. Według transpondera Muta ibn Aziz był w niedużym budynku na wprost. Przez szyby w oknach przeświecał blask lampy.

Kiedy Bourne się zbliżył, punkt na ekranie zaczął się przemieszczać. Bourne skulił się za wysoką sosną; posłaniec Fadiego wyszedł na dwór ze staromodną lampą naftową i skierował się między dwoma ogromnymi bryłami skalnymi do gęstego sosnowego lasu.

Bourne szybko zbadał teren i upewnił się, że nikt nie obserwuje budynku. Potem wśliznął się przez zniszczone drewniane drzwi do chłodnego wnętrza. Ciemność rozjaśniały lampy naftowe. Na mapie budynek był oznaczony jako dawny zakład karny dla umyślowo chorych przestępców. Puste wnętrze wskazywało, że teraz nie jest używany. Ale pozostały wyraźne ślady jego ponurej przeszłości. Z kamiennej podłogi wystawały żelazne kółka, które służyły pewnie do unieruchamiania więźniów, gdy stawiali się agresywni. Otwarte drzwi na lewo prowadziły do małego pomieszczenia, z brezentem i różnymi narzędziami na podłodze.

Bourne wrócił do głównej sali. Pod rzędem okien wychodzących na las od północy stał długi stół jadalny z ciemnego drewna. Na blacie, w kręgu światła lampy, leżał rozłożony arkusz grubego papieru. Bourne podszedł i zobaczył, że to mapa z naniesionym planem lotu. Przestudiował ją zafascynowany. Trasa biegła na południowy wschód niemal przez całą długość Turcji, nad najbardziej wysuniętym na południe krańcem Armenii i Azerbejdżanu, Morzem Kaspijskim, częścią Iranu i ukośnie wszerz Afganistanu, aż do miejsca lądowania w górzystym regionie tuż za granicą tego kraju, w zachodnim Pakistanie, gdzie roiło się od terrorystów.

Zatem Muta ibn Aziz nie zamierzał opuścić Büyükkady na pokładzie statku. Musiał mieć do dyspozycji prywatny odrzutowiec, pozwolenie na wejście w irańską przestrzeń powietrzną i tyle paliwa, by przelecieć trzy i pół tysiąca kilometrów bez międzylądowania na tankowanie.

Bourne popatrzył przez okno na sosnowy las, w którym zniknął Muta ibn Aziz. Zastanawiał się, gdzie w tej masie drzew może być ukryty pas startowy odpowiedni dla odrzutowca. Nagle usłyszał hałas. Kiedy się odwracał, poczuł ból z tyłu głowy. Zdał sobie sprawę, że upada. Potem ogarnęła go ciemność.

Annę jeszcze nie widziała Dżamila w takim stanie. Był wściekły na CIA. I na nią. Nie uderzył jej ani nie zwymyślał. Zrobił coś dużo gorszego: zaczął ją ignorować.

Kiedy zabierała się do swojej pracy, czuła rozpacz. A myślała, że ma to już za sobą. Bycie kochanką wymaga odpowiedniego nastawienia. Trzeba się do tego przyzwyczaić jak do tępego bólu zęba. Nauczyć się spędzać bez ukochanego urodziny, walentynki, Boże Narodzenie, rocznicę poznania, pierwszego razu w łóżku, wspólnego śniadania zjedzonego z dziecięcym zachwytem. Kochanka jest pozbawiona tego wszystkiego.

Annę początkowo nie mogła znieść tej osobliwej samotności. Próbowwała do niego dzwonić, kiedy nie mógł być z nią w dzień – i w nocy! – gdy najbardziej go pragnęła. W końcu wytłumaczył jej delikatnie, ale stanowczo, że nie może tego robić. Kiedy nie jest z nią fizycznie, ma zapominać o jego istnieniu. Jak mam to robić? – lamentowała w duchu, ale na zewnątrz się uśmiechała i kiwała głową na znak zgody. Wiedziała, że to bardzo ważne, żeby uwierzył, że zrozumiała. Instykt ostrzegał ją, że jeśli tak się nie stanie, on odejdzie na zawsze. A ona z pewnością tego nie przeżyje.

Więc udawała, żeby przetrwać. I stopniowo zaczęła sobie z tym radzić. Oczywiście nie zapominała o jego istnieniu, to było niemożliwe. Ale doszła do tego, że patrzyła na ich wspólne chwile jak na film, który od czasu do czasu ogląda. Potem nosiła te obrazy w pamięci i odtwarzała je w czasie rozłąki. W ten sposób mogła funkcjonować mniej lub bardziej normalnie. Ponieważ w głębi duszy, gdzie rzadko miała odwagę zaglądać, wiedziała, że nie potrafi bez niego żyć.

A teraz się nie odzywał, bo pozwoliła Sorai uciec. W drodze na spotkania ze Starym i z powrotem mijał jej biurko, jakby nie istniała. Nie zwracał uwagi na opuchnięty lewy policzek, gdzie Soraja uderzyła ją łokciem. Stało się najgorsze, ta jedna rzecz, której się obawiała, odkąd zakochała się w nim szaleńczo, nieprzytomnie, bez pamięci. Zawiodła go.

Zastanawiała się, czy znalazł jakiegoś haka na sekretarza obrony Hallidaya. Przez chwilę była pewna, że tak, ale potem Stary poprosił ją, żeby go umówiła z Lutherem LaValle'em, władcą wywiadu wojskowego, nie z sekretarzem Hallidayem. Co on wykombinował?

Nie wiedziała też nic o losie Sorai. Złapali ją? Zabili? Nie miała pojęcia, bo Dżamil odciął ją od wszelkich informacji. I od siebie. Nie mogła już przylgnąć do jego ciała, gorącego jak pustynny wiatr. Podejrzewała, że Soraja żyje. Gdyby organizacja Dżamila złapała agentkę, on na pewno wybaczyłby swojej kochance. Poczwała chłód. Gdyby ujawniono, że całe życie Annę Held to kłamstwo, zostałaby skazana za zdradę.

Część jej umysłu zaprzętały codzienne zajęcia. Słuchała Starego, gdy ją wzywał do gabinetu, wprowadzała do komputera notatki służbowe i drukowała je do podpisu. W imieniu dyrektora wykonywała telefony i planowała mu rozkład dnia z precyzją stratega opracowującego kampanię wojskową. Strzegła jego linii telefonicznych jak zawsze. Ale inna część jej umysłu próbowała gorączkowo znaleźć sposób naprawienia fatalnego błędu, który popełniła.

Pragnęła odzyskać Dżamila. Potrzebowała go. Odkupienie mogło mieć wiele form, ale nie dla niego. Był beduinem, myślał jak człowiek pustyni. Wygnanie albo śmierć, do tego ograniczał się wybór. Wiedziała, że musi odszukać Soraję i zabić ją osobiście. Tylko krew ofiary mogła sprawić, że Dżamil wróci.

Bourne się ocknął. Spróbował się poruszyć, ale był skrępowany linami przywiązanymi do dwóch żelaznych kółek w podłodze zakładu dla obłąkanych. Obok niego kucał biały mężczyzna z zapadniętymi policzkami i oczami jasnymi jak lód. Był w kurtce lotniczej i czapce ze srebrnym emblematem w kształcie dwóch skrzydeł.

Pilot odrzutowca. Bourne poznał po wyglądzie, że to jeden z tych lotników, co to uważają się za podniebnych kowbojów.

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

–Co tu kombinowałeś? – zapytał po arabsku, stosownie do przebrania Bourne'a. Mówił bardzo kiepsko w tym języku. – Sprawdzales mój plan lotu? Szpiegowałeś mnie? – Pokręcił głową z celową przesadą jak niania nad niesfornym dzieckiem. – To zabronione. Dotarło? – Po chwili dodał po angielsku: – Za – bro – nio – ne. – Zacisnął wargi i pokazał Bourne'owi to, co trzymał w ręku: transponder. – Co to jest, do cholery, parszywy zasrańcu? No? Kto cię nasłał? – Wyjął nóż i zbliżył długie ostrze do twarzy Bourne'a. – Gadaj, bo cię wypatroszę jak gęś na Boże Narodzenie! Kumaszu, co to Boże Narodzenie? No?

Bourne patrzył na niego, jakby nie rozumiał. Otworzył usta i wypowiedział bardzo cicho kilka słów.

–Co? – Pilot przysunął się bliżej. – Co tam mamrociesz?

Bourne siłą mięśni brzucha wyrzucił do góry nogi, wykonał nimi nożycowy ruch, skrzyżował kostki za szyją pilota, złączył łydki i przewrócił go na bok. Mężczyzna tak mocno uderzył głową w marmurową podłogę, że pękła mu kość policzkowa i natychmiast stracił przytomność.

Bourne wykręcił szyję i zobaczył za swoją głową nóż, który upadł na podłogę po drugiej stronie żelaznych kółek. Zwinął się w kłębek i zaczął kołysać w przód i w tył, by nabrać rozpędu. Kiedy uznał, że wystarczająco się rozhuśtał, buchnął się z całej siły do tyłu. Choć nadgarstki miał przywiązane do kółek, zdołał zrobić w powietrzu przewrót w tył i wylądować na kolanach po drugiej stronie żelaznych pierścieni.

Wyciągnął jedną nogę, zahaczył nóż wierzchem buta i kopnął tak, że rękojeść uderzyła w kółko, do którego miał przywiązany prawy nadgarstek. Opuścił pierścień w dół niemal równoległe do podłogi i chwycił nóż. Przyłożył krawędź ostrza do liny i zaczął ją przecinać.

Zadanie nie było łatwe, pracował w niewygodnej pozycji. Nie mógł naciskać noża tak mocno, jak by chciał, więc szło mu strasznie wolno. Z miejsca, w którym klęczał, nie widział ekranu transpondera, więc nie miał pojęcia, gdzie jest Muta ibn Aziz. Ale posłaniec mógł wrócić w każdej chwili.

W końcu udało się przeciąć linę. Szybko oswobodził lewy nadgarstek. Rzucił się do transpondera i spojrział na wyświetlacz. Punkt na ekranie wskazywał, że Muta ibn Aziz jest jeszcze daleko.

Bourne przetoczył pilota, rozebrał go i włożył jego ubranie, sztuka po sztuce,

choć koszula okazała się za mała, a spodnie za duże. Potem przysunął swoją torbę i wyjął z niej kilka rzeczy kupionych w sklepie z rekwizytami teatralnymi w Stambule. Ustawił na podłodze prostokątne lustro tak, żeby widzieć swoją twarz, i wyjął z ust protezę. Potem zaczął się przeistaczać w pilota.

Przyciął i przeczesał włosy, zmienił odcień skóry i dodał dwa sztuczne elementy twarzy, by wydłużyć sobie szczękę. Nie miał kolorowych szkieł kontaktowych, ale w ciemności nocy ta charakterystyka powinna wystarczyć. Na szczęście mógł zsunąć czapkę lotnika nisko na oczy.

Znów zerknął na transponder, potem przejrzał portfel i dokumenty pilota. Gość nazywał się Walter B. Darwin. Był Amerykaninem mieszkającym poza Stanami Zjednoczonymi i legitymował się trzema paszportami różnych krajów, podobnie jak Bourne. Na jednym ramieniu miał wojskowy tatuaż, na drugim słowa: JA TEŻ CIĘ PIEPRZĘ. Dlaczego transportował po świecie terrorystów, trudno zgadnąć. Nie, żeby to miało teraz znaczenie. Lotnicza kariera Waltera Darwina właśnie się skończyła. Bourne zawlókł jego nagie ciało do tylnego pomieszczenia i przykrył zakurczonym brezentem.

Wrócił do głównej sali, podszedł do stołu i zabrał mapę z planem lotu. Była dziewiętnastej czterdzieści. Nie spuszczając z oka punktu na ekranie transpondera, wetknął mapę do torby, wziął jedną z lamp naftowych i poszedł poszukać pasa startowego.

Annę wiedziała, że Soraja jest zbyt sprytna, żeby zbliżyć się do swojego mieszkania. Udając Kim Lovett, przyjaciółkę Sorai z Urzędu Śledczego Pożarnictwa, zadzwoniła do matki i siostry Tima Hytnera. Żadna z nich nie miała kontaktu z Sorają od czasu, gdy złożyła im wizytę, by zawiadomić o śmierci Tima. Gdyby Soraja zjawiała się u nich teraz, bez wątplenia ostrzegłaby je przed niejaką Anną Held. Ale na pewno chciałyby porozmawiać ze swoją najlepszą przyjaciółką. Annę już miała zadzwonić do samej Kim Lovett, gdy wpadła na lepszy pomysł. Po wyjściu wieczorem z pracy pojechała taksówką prosto do siedziby FIU u zbiegu Vermont Avenue i Jedenastej ulicy.

Znalazła drogę do laboratorium Kim.

–Nazywam się Annę Held – powiedziała, gdy tylko przekroczyła progi pracowni. Jestem koleżanką Sorai z pracy.

Kim wstała od dwóch metalowych kuwet pełnych popiołu, zwęglonych kawałków kości i na wpół spalonych ubrań. Przeciągnęła się jak kotka, zdjęła lateksowe rękawiczki i mocno uściśnęła dłoń Annę.

–Co panią sprowadza do tego ponurego miejsca? – zapytała.

–Chodzi o Soraję.

Kim natychmiast się zaniepokoiła.

–Coś się stało?

–Właśnie staram się tego dowiedzieć. Pomyślałam, że może odzywała się do pani.

Kim pokręciła głową.

–Ale to normalna. – Zastanowiła się. – Zaraz, zaraz... tydzień czy dwa tygodnie temu pytał o nią pewien detektyw z policji. Poznali się tutaj, w moim laboratorium.

Prowadził śledztwo i chciał, żeby z nim współpracowała, ale odmówiła. Choć odniosłam wrażenie, że interesował się nianie tylko z przyczyn zawodowych.

–Pamięta pani dzień i jego nazwisko? Kim podała datę.

–A co do nazwiska, to gdzieś je zapisałam... – Przerzuciła jedną z kilku stert dokumentów na blacie. – O, jest. – Wyciągnęła urwany skrawek papieru. – Detektyw William Overton.

Jaki ten świat mały, pomyślała Annę, kiedy wyszła z budynku FIU. I pełen zbiegów okoliczności. Gliniarz, który ją śledził, inwigilował również Soraję. Teraz oczywiście już nie żył, ale mimo to może naprowadziłby ją na trop Sorai.

Wyjęła komórkę i szybko znalazła numer komendy policji, w której pracował detektyw William Overton, adres i nazwisko przełożonego. Pojechała tam, wylegitymowała się i powiedziała dyżurnemu sierżantowi, że musi się zobaczyć w pilnej sprawie z kapitanem Morrellem. Kiedy podoficer zaczął marudzić, czego się spodziewała, wymieniła nazwisko Starego. Sierżant podniósł słuchawkę telefonu. Pięć minut później młody mundurowy eskortował ją do narożnego gabinetu kapitana Morrella.

Komendant odprawił podwładnego, zaproponował Annę, żeby usiadła, i zamknął drzwi.

–Czym mogę służyć, panno Held? – Był drobny, miał przerzedzone włosy, szczeciniaste wąsy i oczy, które widziały zbyt wiele śmierci. – Podoficer dyżurny wspomniał, że to coś pilnego.

Annę przeszła od razu do rzeczy.

–CIA bada okoliczności zaginięcia detektywa Overtona.

–Billa? Mojego Billa Overtona? – Kapitan Morrell wyglądał na zaskoczonego. – Dlaczego...?

–To sprawa bezpieczeństwa narodowego. – Annę użyła niezawodnego uniwersalnego wyrażenia, które w dzisiejszych czasach działa na każdego. – Chciałabym zobaczyć wszystkie jego notatki służbowe z ostatniego miesiąca, jak również rzeczy osobiste.

–Jasne, oczywiście. – Morrell wstał. – Śledztwo jest w toku, więc wszystko mamy tutaj.

–Będziemy pana informowali na bieżąco o postępach naszego dochodzenia, kapitanie – zapewniła Annę.

–Świetnie. – Otworzył drzwi na korytarz. – Ritchie! – krzyknął. Zjawił się młody mundurowy. – Udostępnij pannie Held rzeczy Overtona.

–Tak jest. – Zwrócił się do Annę: – Proszę ze mną, szanowna pani. „Szanowna pani?” Boże. Poczwała się staro.

Poprowadził ją w głąb korytarza i metalowymi schodami w dół do pomieszczenia w podziemiu, ogrodzonego stalową siatką od podłogi do sufitu. Otworzył kluczem wejście i poszedł pierwszy między metalowymi półkami. Wypełniały je kartony z naklejonymi drukowanymi nalepkami, ustawione w porządku alfabetycznym.

Zdjął dwa pudła i zaniósł je do stołu pod tylną ścianą.

–Rzeczy służbowe. Wskazał karton na lewo. – W tym drugim są osobiste. –

Popatrzyl na nią wyczekująco jak szczenię. – Mogę w czymś pomóc?

–Nie, dziękuję – odparła z uśmiechem Annę. – Poradzę sobie.

–Dobrze, w takim razie, zostawię panią. W razie czego, będę w sąsiednim pokoju.

Annę przełożyła wszystko z pudła po lewej stronie do siatkowego korytka. Notatki służbowe Overtona odłożyła na bok. Gdy tylko się upewniła, że w korytku nie ma nic cennego dla niej, zajęła się notesami. Przeglądała każdy dokładnie i metodycznie, zwracając szczególną uwagę na wpisy pod datą, którą podała Kim Lovett, i po dniu, kiedy Overton poznał w FIU Soraję. Nic nie znalazła.

–Same pierdoły! – mruknęła i sięgnęła do kartonu z rzeczami osobistymi Overtona. Zawartość okazała się bardziej żalosna, niż Annę się spodziewała: tani grzebień i szczotka z cienką warstwą pozostałych na niej włosów; dwa opakowania miętówek, jedno otwarte; niebieska koszula garniturowa poplamiona jakimś sosem; obrzydliwy poliestrowy krawat w niebieskie i czerwone paski; zdjęcie głupkowato uśmiechniętego młodzieńca w stroju do futbolu amerykańskiego, zapewne syna Overtona; pudełko rodzynek w czekoladzie i drugie z okrągłymi czekoladkami posypanymi cukrem, oba nieodpakowane. To wszystko. – *Merde!*

Gwałtownym ruchem zgarnęła ze stołu nędzne pozostałości po egzystencji Overtona. Już miała się odwrócić, gdy zauważyła, że z kieszeni niebieskiej koszuli wystaje coś białego. Pochyliła się i wyciągnęła to palcami. Trzymała w ręku kartkę w linię, złożoną na czworo. Rozłożyła papier i zobaczyła treść nagryzmołoną niebieskim długopisem.

„S. Moore – 8 12 NE (spr.)”

Annę poczuła przyspieszone bicie serca. Czegoś takiego szukała. „S. Moore” to bez wątpienia Soraja, a „(spr.)” mogło oznaczać „sprawdzić”. Oczywiście wiedziała, że Ósma ulica nie przecina Dwunastej – ani w Northeast, ani w żadnym innym kwadrancie miasta. Mimo to było jasne, że Overton śledził Soraję w tamtej okolicy. Po co ona się kręciła po Northeast, do cholery? Cokolwiek tam robiła, trzymała to w tajemnicy przed agencją.

Annę, patrzyła na notatkę, którą zrobił dla siebie Overton, i próbowała ją rozgryźć. Nagle doznała olśnienia i się roześmiała. Dwunasta litera alfabetu to L. Ósma ulica i L Street, Northeast.

Jeśli Soraja żyła, to było bardziej niż prawdopodobne, że jest właśnie tam.

Kiedy Bourne przemknął się między dwiema skalnymi bryłami, zobaczył w świetle lampy ścieżkę, którą poszedł Muta ibn Aziz. Biegła z kilometr na zachód, potem skręcała ostro na północny wschód. Wspiął się na lekkie wzniesienie. Za szczytem ścieżka opadała niemal prosto na północ do płytkiej doliny. Dalej wyrastał spory płaskowyż.

Bourne cały czas zbliżał się do ibn Aziza, który od minuty stał w miejscu. Sosnowy las wciąż był gęsty, aromatyczne podłoże z brązowych igieł tłumilo kroki.

Nagle las po prostu się skończył. Najwyraźniej wycięto go po to, by zrobić lądowisko dla odrzutowca – teraz stał na końcu pasa startowego z ubitej ziemi.

U stóp składanych schodków czekał Muta ibn Aziz. Bourne zszedł ze ścieżki i skierował się prosto do samolotu Citation Sovereign. Czarne jak smoła niebo było

usiane gwiazdami, które błyszcząły chłodnym blaskiem niczym diamenty na aksamitnej palce u jubilera. Na wykarczowanym wzgórzu wiała morska bryza przesycona zapachem minerałów.

–Pora startować – powiedział Muta ibn Aziz. – Wszystko w porządku?

Bourne przytaknął. Poślaniec wcisnął przycisk na małym czarnym przedmiocie w jego dłoni i na lądowisku zapłonęły światła. Bourne wspiął się za nim po schodkach do odrzutowca i złożył je, gdy tylko znalazł się w środku. Przeszedł wzdłuż kabiny pasażerskiej do kokpitu. Znał samoloty Citation. Sovereign miał zasięg ponad czterech i pół tysiąca kilometrów i maksymalnie osiągał prędkość ośmiuset dwudziestu sześciu kilometrów na godzinę.

Bourne usiadł w fotelu pilota, przesunął włączniki i obrócił pokrętła. Skomplikowana kontrola przedstartowa wykazała, że wszystko jest w porządku.

Zwolnił hamulce i pchnął przepustnice do przodu. Sovereign zareagował natychmiast. Rozpędzili się na pasie startowym. Potem wzlcieli pod atramentowe, rozgwieżdżone niebo. Pięli się coraz wyżej, zostawiając za sobą Złoty Róg, wrota do Azji.

Dlaczego to robią? – odezwał się Martin Lindros doskonałym rosyjskim. Leżąc płasko na plecach w izbie chorych w Miram Shah, patrzył w górę na posiniaczoną twarz Katii Stiepanowej Wdowy, olśniewającej młodej żony doktora Veintropa.

–Dlaczego co robią? – zapytała tępo, gdy nieporadnie zajmowała się otarciami na jego szyi. Kiedy mąż kazał jej zrezygnować z kariery modelki, zaczęła się uczyć pielęgniarstwa.

–Lekarze tutaj: twój mąż, Senarz, Andursky. Dlaczego świadczą swoje usługi Fadiemu? – Mówiąc o Andurskim, chirurgu plastycznym, który zmienił Karimowi twarz, Lindros zastanawiał się: dlaczego on się mną nie zajmuje, zamiast tej niezdarnej amatorki? I niemal natychmiast znalazł odpowiedź: nie jest już potrzebny ani Fadiemu, ani jego bratu.

–Są tylko ludźmi – odparła Katia. – Mają swoje słabości. Fadi je odkrywa i wykorzystuje. Senarz lubi pieniądze, Andursky chłopców.

–A Veintrop? Skrzywiła się.

–Ach, mój mąż. Uważa, że jest szlachetny, że musi pracować dla Dudźdzy, bo Fadi trzyma go w szachu moim bezpieczeństwem. Oczywiście sam się oszukuje. W rzeczywistości chodzi o jego urażoną dumę. Brat Fadiego wywalił go z IVT pod fałszywymi zarzutami. A mój mąż jest pracoholikiem. To jego słabość.

Odchyliła się na siedząco do tyłu i złożyła ręce na kolanach.

–I co teraz?

–Zawsze istnieje jakieś rozwiązanie. Tylko trzeba je dostrzec. – Lindros zerknął na dwóch strażników tuż za progiem izby chorych. Rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. – Nie chcesz się stąd wydostać?

–A co z Costinem?

–Zakończył swoją pracę dla Fadiego. Taka inteligentna kobieta jak ty powinna wiedzieć, że stał się zbędny.

–To nieprawda! – krzyknęła.

–Katiu, wszyscy mamy skłonność do oszukiwania się. Dlatego wpadamy w tarapaty. Nie myślisz perspektywicznie.

Siedziała nieruchomo i patrzyła na niego z dziwnym wzrokiem.

–Wszyscy potrafimy się też zmieniać – dodał. – A nawet musimy, żeby żyć dalej, żeby przetrwać.

Odwróciła na chwilę wzrok, jak to robią ludzie, kiedy się boją podjąć decyzję i potrzebują otuchy.

–Kto ci to zrobił, Katiu? – zapytał łagodnie Lindros. Spojrzała z powrotem na niego z lękiem w oczach.

–Fadi. I jego ludzie. Nakłonili Costina, żeby skończył urządzenie jądrowe.

–To nie ma sensu – skwitował Lindros. – Jeśli Veintrop wiedział, że jesteś w rękach Fadiego, to mu powinno wystarczyć, nie sądzisz?

Kobieta zagryzła wargi i skoncentrowała się na swoim zajęciu. Po chwili wstała.

–Katiu, dlaczego mi nie odpowiedziałaś? Wyszła z izby chorych. Nie obejrzała się. Annę Held stała w chłodnym deszczu na rogu Ósmej ulicy i L Street w Northeast.

Miała wrażenie, że kompaktowy pistolet SmithWesson w prawej kieszeni jej trenca to jakaś straszliwa deformacja, którą właśnie u niej zdiagnozowano.

Wiedziała, że zaryzykuje wszystko, byle tylko nie czuła się odtrącona. Jedyne, co mogła zrobić, to udowodnić, że znów jest coś warta. Jeśli zastrzeli Soraję, Dżamil na pewno przyjmie ją z powrotem.

Postawiła kołnierz, żeby się ochronić przed zacinającym deszczem, i zaczęła iść. Powinna się bać tej okolicy, którą policja wołała omijać, ale była dziwnie spokojna. Choć może to wcale nie dziwne. Nie miała nic do stracenia.

Skręciła za róg w Siódmą ulicę. Czego szuka? Jakie wskazówki powiedzą jej, czy słusznie wydedukowała, że Soraja zaszyła się właśnie tutaj? Przejechał samochód, potem drugi. Twarze – czarne, latynoskie, wrogie, obce – patrzyły na nią złym wzrokiem. Jeden kierowca wyszczerzył do niej zęby i obscenicznie poruszył językiem. Włożyła prawą rękę do kieszeni i zacisnęła palce na chwycie broni.

Szła i patrzyła na mijane domy – zaniedbane, zniszczone, naznaczone ubóstwem, obojętnością i płomieniami. Maleńkie podwórka od frontu wypełniał gruz i zawały rupiecie, jakby na tej ulicy mieszkali handlarze starzyzną, wystawiający na sprzedaż swoje nędzne towary. Powietrze cuchnęło gnijącymi odpadkami i moczem, klęską i rozpaczą. Tu i tam biegały wychudłe psy i szczerzyły na Annę żółte zęby.

Czuła się jak tonący, który kurczowo trzyma się jedynej rzeczy, aby nie pójść na dno. Od ściskania chwytu broni spocila jej się dłoń. Pomyślała przelotnie, że wreszcie nadszedł dzień, kiedy wykorzysta umiejętności nabyte podczas wielogodzinnych ćwiczeń na strzelnicy. Usłyszała gruby, rzeczowy głos instruktora, korygował jej postawę lub sposób trzymania broni, gdy przeładowywała służbowego smithwessona.

Pomyślała o swojej siostrze Joyce. Przypomniła sobie smutek ich wspólnego dzieciństwa. Ale przecież były też radości, gdy sypiały w jednym łóżku, opowiadały sobie historie o duchach i czekały, która pierwsza wrzaśnie ze strachu. Annę czuła się teraz jak duch sunący przez świat, gdzie dawniej żyła. Przecięła jezdnię i minęła plac zarośnięty, mimo zimy, chwastami do pasa. Opony, zniszczone jak twarz starego człowieka, puste plastikowe butelki, strzykawki, zużyte prezerwatywy, wyrzucone telefony komórkowe, jedna czerwona skarpetka z dziurą w miejscu na duży palec. I odcięta kończyna.

Annę aż podskoczyła z walącym sercem. To tylko ręka lalki. Ale tętno nie spadło. Patrzyła z ponurą fascynacją na odcięte ramię, leżące wśród zwiędłych chwastów. Było jak przerwana przyszłość Joyce. Annę zadała sobie pytanie, jaka jest właściwie różnica między przyszłością Joyce a jej własną terażniejszością? Dawno nie płakała. Teraz miała wrażenie, że już zapomniła, jak to się robi.

Dzień zamienił się w ciemną noc, lodowaty deszcz w mokrą mgłę. Wilgoć zastygała na włosach i dłoniach. Od czasu do czasu rozlegało się wycie syreny, potem milkło w niespokojnej ciszy.

Usłyszała za sobą warkot silnika. Przystanęła z walącym sercem i czekała, aż samochód ją minie. Nie przejechał obok. Ruszyła dalej, tym razem szybszym krokiem. Autowyloniło się z mgły i dostosowało prędkość do jej tempa.

Natychmiast zmieniła kierunek i z ręką zaciśniętą na chwycie smithwessaona zawróciła w stronę samochodu. Zatrzymał się. Szyba kierowcy opuściła się i odsłoniła pociągłą, zniszczoną twarz koloru starego skózanego buta. Brodę pokrywał siwy zarost.

– Chyba się pani zgubiła – zagadnął kierowca głosem zachrypniętym od nikotyny. – Kursy bez taksometru. Uchylił czapki baseballowej. – Może pani potrzebuje transportu? Bo jakaś banda przy następnej przecznicy już się oblizuje na myśl o takiej pięknej kobiecie.

– Poradzę sobie – odparła Annę, ale nagły strach sprawił, że zabrzmiało to niepewnie.

Taksjarsz popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Jak pani uważa.

Kiedy wrzucił bieg, Annę zawołała:

– Niech pan zaczeka! – Przesunęła dłonią po wilgotnym czole. Czowała się tak, jakby miała wysoką gorączkę. Kogo chciała oszukać? Nie potrafiłaby strzelić do Sorai, a tym bardziej jej zabić.

Chwyła za klamkę tylnych drzwi, wśliznęła się do taksówki i podała kierowcy adres. Zdecydowała nie wracać do kwatery głównej CIA. Nie chciała spotkać ani Dżamila, ani Starego. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie spojrzeć im w oczy.

Taksjarsz przyglądał się jej przez ramię.

– O co chodzi? – zapytała trochę zbyt defensywnie. Mężczyzna odchrząknął.

– Cholernie fajna z pani babka.

Postanowiła być wyrozumiała, wyjęła plik banknotów i pomachała mu pieniędzmi przed nosem.

– Zawiezie mnie pan, czy nie? Taksjarsz oblizał wargi i wrzucił bieg.

Kiedy samochód ruszył, pochyliła się do przodu.

– Na wszelki wypadek – dodała – uprzedzam, że mam broń. Siwy kierowca łypnął na nią okiem.

– Ja też, siostrze.

Dyrektor CIA spotkał się z Lutherem LaValle'em w Thistle, modnej restauracji na rogu ulic Dziewiętnastej i Q w Northwest. Kazał Annę zarezerwować stolik na środku, bo chciał, żeby podczas jego rozmowy z LaValle'em otaczali ich hałaśliwi goście lokalu.

Władca wywiadu wojskowego już siedział przy stoliku, kiedy Stary wszedł z gęstej zimowej mgły w zgiełk restauracji. W granatowym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i pułkowym krawacie w czerwono – niebieskie paski, z emaliowaną spinką w kształcie amerykańskiej flagi, LaValle wyglądał nie na miejscu wśród mężczyzn i kobiet młodego pokolenia.

Boksyerski tors LaValle'a rozsadał marynarkę jak każdemu przesadnie napakowanemu mięśniakowi. Przypominał Bruce'a Bannera w trakcie transformacji w Hulka. Wstał z bladym uśmiechem od swojej szkockiej z wodą i krótko uściśnął wyciągniętą dłoń dyrektora CIA.

Stary usadowił się naprzeciwko niego.

–Miło, że tak szybko znalazł pan dla mnie czas, Luther. LaValle rozłożył wielkie, niezgrabne ręce.

–Co pan pije?

–Oban – zwrócił się Stary do kelnera, który pojawił się obok niego. – Podwójną, z jedną kostką lodu, ale dużą.

Kelner skinął głową i zniknął w tłumie.

–Duże kostki lodu są najlepsze do alkoholu – powiedział dyrektor do swojego towarzysza. – Dłużej się rozpuszczają.

Władca wywiadu wojskowego się nie odezwał. Patrzył wyczekująco na Starego. Kiedy podano szkocką, obaj unieśli szklanki i wypili łyk mocnego trunku.

–Straszne korki dzisiaj – stwierdził dyrektor.

–Przez tę mgłę – odparł zdawkowo LaValle.

–Kiedy ostatni raz spotkaliśmy się tak jak teraz?

–Wie pan, nie pamiętam.

Wydawało się, że obaj mówią do młodej pary przy sąsiednim stoliku. Obojętne słowa ulatywały i znikaly bez żadnych konsekwencji. Wrócił kelner z menu. Wybrali dania i znów siedzieli pozostawieni samym sobie.

Dyrektor CIA wyjął z cienkiego neseseru akta i położył je na stoliku. Oparł na nich dłonie.

–Przypuszczam, że słyszał pan o wozie technicznym, który narobił bałaganu przed Corcoran?

LaValle wzruszył ramionami.

–Wie pan, ile wypadków drogowych jest co dzień w Waszyngtonie?

–Ten się różni od innych – odparł Stary. – Kierowca próbował przejechać kogoś z moich ludzi.

LaValle pociągnął łyczek szkockiej z wodą. Wojskowy, a pije jak dama, pomyślał Stary.

–Kogo?

–Annę Held, moją asystentkę. Był z nią Martin Lindros. Uratował jej życie.

LaValle schylił się i wyciągnął własne akta. Na okładce było godło Pentagonu. Bez słowa otworzył teczkę, odwrócił ją i podsunął dyrektorowi. Stary zaczął czytać.

–Ktoś w waszej kwaterze głównej regularnie wysyła i odbiera podejrzone wiadomości – wyjaśnił La Valle.

Stary doznał szoku.

–Odkąd to Pentagon monitoruje łączność CIA? To poważne naruszenie umowy międzyagencyjnej, do cholery.

–Ja wydałem taki rozkaz, za zgodą prezydenta. Uznaliśmy to za konieczne. Kiedy sekretarz Halliday dowiedział się o krecie wewnątrz CIA...

–Od swojej wtyczki, Matthew Lenera – uniósł się dyrektor. – Halliday nie ma prawa wtykać nosa w moje sprawy. Nie mówiąc już o tym, że wprowadzacie prezydenta w błąd...

–Chodzi nam tylko o dobro agencji.

Na twarzy Starego pojawiło się oburzenie.

–Sugeruje pan, że ja już nie wiem, co jest dobre dla CIA? LaValle wskazał palcem fragment tekstu.

–Niech pan spojrzy tutaj. Sygnał elektroniczny jest przesyłany tajnymi kanałami telekomunikacyjnymi agencji. To szyfr. Nie udało nam się go złamać. Nie wiemy też, kto się nim porozumiewa. Ale z dat jasno wynika, że to nie Hytaer, którego zidentyfikowaliście jako kreta. Wtedy już nie żył.

Stary odsunął na bok akta Pentagonu i otworzył swoje.

–Zajmę się tym przeciekiem. – Pomyślał, że ci idioci pewnie przechwycili tajną łączność Tyfona z jednym z jego głęboko zakonspirowanych pracowników operacyjnych za granicą. Było oczywiste, że wydział Martina nie korzystałby z głównych kanałów CIA. – A pan niech się zajmie sekretarzem obrony.

–Słucham? – Po raz pierwszy, odkąd razem usiedli, LaValle wyglądał na zaskoczonego.

–Chodzi mi o ten wóz techniczny, którego kierowca próbował przejechać Annę Held.

–Powiem szczerze: sekretarz Halliday podzielił się ze mną swoimi podejrzeniami, że to ona jest kretem wewnątrz...

Podano zakąski: wielkie różowe krewetki zanurzone w krwistoczerwonym sosie koktajlowym.

Zanim LaValle zdążył wziąć widelczyk, dyrektor podał mu kartkę, którą wyluskał z akt przygotowanych przez Martina.

–Kierowcą wozu technicznego był nieżyjący już obecnie Jon Mueller. – Odczekał chwilę. – Znał pan Muellera, prawda? Pracował w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ale został wyszkolony przez NSA. Kumplował się z Matthew Lernerem. Chodzili razem na dziwki i gorzałę. Obaj byli na usługi Hallidaya.

–Ma pan na to niezbity dowód? – zapytał beznamiętnie LaValle.

–Zna pan odpowiedź. Ale zebrałem już tyle, że mogę wszcząć śledztwo. Nieudokumentowane kwoty na koncie bankowym Muellera, lamborghini Lenera, na które na pewno nie byłoby go stać z pensji, wypadki do Las Vegas, gdzie obaj szastali forszą. Arogancja rodzi głupotę; to prawda stara jak świat. – Zabrał z powrotem kartkę. – Zapewniam pana, że kiedy dochodzeniem zajmie się Senat, w zarzuconą sieć wpadnie nie tylko Halliday, ale też ludzie z jego najbliższego otoczenia. – Skrzyżował ramiona. – Cóż, nie podoba mi się perspektywa skandalu na taką skalę. To by tylko pomogło naszym wrogom za granicą. – Uniósł krewetkę. – Ale tym razem sekretarz posunął się za daleko. Uważa, że może robić, co chce, nawet usankcjonować zabójstwo, wykorzystując do tego pracowników rządowych. – Umilkł, żeby jego słowa dotarły do LaValle'a. Kiedy władca wywiadu wojskowego podniósł na niego wzrok, Stary dodał: – Muszę zająć zdecydowane stanowisko w tej sprawie. Nie mogę akceptować niebezpiecznego, bezprawnego działania. Myślę, że pan też nie.

Muta ibn Aziz siedział zamyślony i patrzył na rozgwieżdżone granatowoczarne niebo za szybą odrzutowca. Pod nim rozciągała się gładka powierzchnia Morza Kaspijskiego, którą od czasu do czasu przesłaniały pasma chmur o barwie mewich

skrzydeł.

Został odsunięty na boczny tor, wykonywał dla Dudźdży poniżające zadanie chłopca na posyłki, podczas gdy jego brat pławił się w blasku przychylności Fadiego. A wszystko przez tamtą jedną chwilę w Odessie, przez kłamstwo, które powiedzieli Fadiemu i Karimowi. Abbud kazał mu milczeć dla dobra przywódcy, ale teraz, kiedy Muta spojrzął na tę sytuację z dystansu, zdał sobie sprawę, że brat go oszukał. Abbud się upierał, żeby zataić prawdę o śmierci Sary ibn Ashef, bo chodziło mu o własne dobro, o umocnienie swojej pozycji w Dudźdży.

Muta się ocknął i zobaczył ciemną plamę ładu. Zerknął na zegarek. Wszystko zgodnie z planem. Wstał, przeciągnął się i zawahał. Pomyślał o człowieku za sterami samolotu. Wiedział, że to nie jest prawdziwy pilot; nie dał znaku rozpoznawczego, gdy wyłonił się z lasu. Więc kto to jest? Z pewnością agent CIA; najprawdopodobniej Bourne. Ale przecież trzy godziny temu dostał na komórkę wiadomość, że Jason Bourne nie żyje. Dowodami były słowa naocznego świadka i elektroniczne urządzenie naprowadzające, które leżało teraz na dnie Morza Czarnego.

A jeśli świadek skłamał? Jeśli Bourne odkrył nadajnik i wrzucił go do morza? Kim innym mógłby być ten pilot, jeśli nie Jasonem Bourne'em, kameleonem?

Poszedł przejściem między siedzeniami do kokpitu. Pilot koncentrował swoją uwagę na równych rzędach wskaźników przed sobą.

–Zbliżamy się do irańskiej przestrzeni powietrznej – powiedział Muta. – Tu jest kod, który trzeba podać przez radio.

Bourne przytaknął.

Muta stał na lekko rozstawionych nogach i patrzył na tył głowy pilota. Wyciągnął korowina TK.

–Podaj kod – polecił.

Bourne go zignorował i wleciał w irańską przestrzeń powietrzną. Muta ibn Aziz dał krok naprzód i przystawił lufę korowina do podstawy czaszki Bourne'a.

–Podaj przez radio kod, ale już.

–Bo co? – zapytał Bourne. – Zastrzelisz mnie? Potrafisz pilotować sovereigna?

Muta oczywiście nie potrafił, dlatego wszedł na pokład z oszustem. W tym momencie odezwało się radio.

Zniekształcony przez elektronikę głos odezwał się w języku perskim:

–*Salam alejkum. Esmetan chi st?* Bourne wziął mikrofon.

–*Salam alejkum.*

–*Esmetan chi st?* – powtórzył pytanie głos. Jak się nazywasz?

–Oszalałeś? – wtrącił się Muta. – Podaj mu natychmiast kod.

–*Esmetan chi st!* – przynaglił głos w radiu. Już nie pytał, lecz rozkazywał. –

Esmetan chi st!

–Podaj kod, do cholery! – Muta trząśł się z wściekłości i przerażenia. – Bo nas zestrzelą!

Bourne tak nagle przechylił sovereigna ostro w lewo, że Muta ibn Aziz został rzucony przez kokpit na boczną przegrodę. Kiedy starał się odzyskać równowagę, Bourne zanurkował odrzutowcem i jednocześnie skręcił w prawo. Muta ibn Aziz przewrócił się do tyłu i uderzył głową w krawędź otworu wejściowego.

Bourne zerknął za siebie. Poślaniec Fadiego był nieprzytomny.

Radar pokazywał dwa myśliwce, zbliżające się szybko od ogona. Nerwowe władze irańskie nie zwlekały z uruchomieniem obrony powietrznej. Bourne zatoczył sovereignem łuk, żeby się przyjrzeć samolotom. Irańczycy wysłali za nim parę chińskich J – 6, kopie starych migów – 19 z połowy lat pięćdziesiątych XX wieku. Fabryka w Czengtu przestała je produkować ponad dziesięć lat temu. Owszem, były przestarzałe, ale uzbrojone, a sovereign nie. Bourne musiał coś zrobić, żeby zniwelować ich przewagę.

Irańscy piloci spodziewali się, że intruz podkuli ogon i ucieknie. Zamiast tego, Bourne opuścił dziób sovereigna, skierował się prosto na nich i gwałtownie przyspieszył. Wyraźnie przestraszeni Irańczycy nie reagowali do ostatniej chwili, wreszcie śmignęli na boki, żeby zejść straceńcowi z drogi.

Bourne błyskawicznie przyciągnął do siebie wolant i wzbił się pionowo w górę. Zrobił beczkę i znalazł się za nimi. Zawrócili, zakreślając na niebie dwa liście koniczyny, i wzięli go na cel z obu stron.

Otworzyli ogień. Zanurkował pod krzyżujące się serie i ostrzał natychmiast ustał. Wybrał myśliwiec z prawej, bo był trochę bliżej, i skręcił ostro ku niemu. Pozwolił Irańczykowi przelecieć pod sobą, żeby lotnik pomyślał, że pilot sovereigna popełnił błąd taktyczny. Robiąc uniki przed pociskami z karabinu maszynowego, czekał, aż J – 6 wejdzie mu na ogon, potem znów poderwał dziób. Irańczyk przewidział ten manewr i bez chwili wahania wzbił się stromo tuż za sovereignem. Wiedział, co Bourne teraz zamierza: zanurkować. Bourne tak zrobił, ale też skręcił ostro w prawo. J – 6 poszedł w jego ślady. Silniki sovereigna pracowały pełną mocą. Samolot zaczął drżeć. Bourne zacieśnił skręt i zwiększył kąt nurkowania.

Stary J – 6 za jego plecami trząsał się i szarpał. Z lewego skrzydła wystrzeliła garść nitów. Płat wgniótł się jak od ciosu niewidzialną pięścią i oderwał od kadłuba. Dwie części myśliwca rozpadły się i runęły, koziółkując, ku ziemi.

Drugi J – 6 podjął pościg – pociski podziurawiły poszycie sovereigna. Bourne wziął kurs na Afganistan i po kilku sekundach przekroczył granicę.

Irański myśliwiec nie rezygnował. Leciał dalej z hukiem silnika i terkotem karabinów maszynowych.

Na południe od miejsca, gdzie Bourne wszedł w afgańską przestrzeń powietrzną, ciągnął się łańcuch górski, który zaczynał się w północnym Iranie. Pasma nie było wysokie, wznosiło się znacząco dopiero od aktualnej pozycji Bourne'a na północny zachód od Kuh – e Markhowreh. Bourne skierował się według kompasu na wschód – południowy wschód i opadł ku najwyższemu szczytom.

J – 6 dygotał i wył, gdy wychodził z nurkowania. Po tym, co spotkało jego kolegę, irański pilot wołał się tak nie zbliżać do sovereigna. Ale trzymał się za samolotem

Bourne'a. Leciał trochę powyżej i od czasu do czasu strzelał krótkimi seriami w silniki.

Próbował zapędzić uciekiniera do wąskiej doliny między dwoma urwistymi zboczami górskimi na wprost. Liczył na to, że w ciasnej przestrzeni sovereign nie będzie mógł wykorzystać swojej doskonałej zwrotności, znajdzie się w pułapce i stanie łatwym celem.

Góry, które wyrosły po obu stronach, zasłoniły światło. Masywne skalne ściany uciekały w tył. Obie maszyny mknęły teraz kanionem. Sovereign był tam, gdzie chciał pilot myśliwca. Irańczyk otworzył ogień na dobre, wiedząc, że jego ofiara ma ograniczone pole manewru.

Bourne poczuł kilka następnych trafień w sovereigna. Gdyby J – 6 podziurawił mu któryś silnik, byłoby po nim. Spadłby na ziemię, zanim zdążyłby zareagować. Przechylił samolot na prawe skrzydło i uciekł z linii ognia, ale unik pomógł tylko chwilowo. Musiał znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, bo groziło mu zestrzelenie.

Na lewo zobaczył poszarpaną rozpadlinę w niemal pionowym zboczu góry. Od razu skierował ku niej samolot. Prawie natychmiast dostrzegł niebezpieczeństwo: skalną iglicę dzielącą szczelinę na pół.

Wąwóz zwęził się tak, że ścigający Bourne'a J – 6 też leciał w bocznym przechyle. Bourne manewrował lekko, by utrzymać samolot między skalną iglicą i myśliwcem.

Irański pilot wiedział, że obaj zamierzają przelecieć przez rozpadlinę. Tak się skupił na zestrzeleniu sovereigna, że kiedy jego ofiara w ostatniej chwili skręciła lekko w prawo, by zmieścić się w szczelinie, nie zdążył zareagować. Widok skalnej iglicy, która nagle pojawiła się przerażająco blisko, sparaliżował pilota. Myśliwiec uderzył w przeszkodę i eksplodował. Z kuli ognia uniósł się pod niebo słup czarnego dymu. J – 6 i jego pilot zamienili się w deszcz rozżarzonych do białości szczątków i zniknęli, jakby sprawiła to ręka iluzjonisty.

Soraję obudził płacz małego dziecka. Spróbowała się poruszyć i jęknęła, gdy poczuła ból w mięśniach. Na odgłos, który z siebie wydała, niemowlę zaczęło wrzeszczeć. Rozejrzała się. Była w brudnym, słabo oświetlonym pokoju. W powietrzu unosił się zapach gotowania i stłoczonych ludzkich ciał. Na obdrapanej ścianie na wprost niej wisiał krzywo tani obrazek Chrystusa na krzyżu. Gdzie ona jest?

–Hej! – zawołała.

Po chwili zjawił się Tyrone. Na lewym ręku trzymał niemowlę. Miało zmarszczoną ze złości buzię; wyglądała jak pięść.

–Sie ma. Jak żyjesz?

–Jak po piętnastu rundach z Lennoksem Lewisem. – Soraja znów spróbowała usiąść, tym razem bardziej zdecydowanie. – Jestem twoją dłużniczką.

–Kiedyś ci to przypomnę. – Wyszczrzył zęby i wszedł po pokoju.

–Co się stało z facetami z czarnego forda? Nie przyjechali za tobą...?

–Są sztywni, dziewczyno. Już ci gówno zrobią, masz to jak w banku.

Piszczące niemowlę odwróciło główkę i spojrzało Sorai prosto w oczy z tak niewinną miną, jaką mają tylko małe dzieci. Wrzaski dziewczynki zamieniły się w łkanie.

–Chodź. – Soraja wyciągnęła ręce. Tyrone przekazał jej niemowlę. Natychmiast położyło główkę na jej piersi i zagadało po swojemu. – Ona jest głodna.

Tyrone wyszedł z pokoju i wrócił po chwili z butelką. Wytrząsnął kilka kropel mleka na wewnętrzną stronę nadgarstka, żeby sprawdzić temperaturę płynu.

–W porzo – stwierdził i dał butelkę Sorai. Przyglądała mu się przez chwilę.

–Co?

Przyłożyła smoczek butelki do ust dziecka.

–Nie przypuszczałam, że zajmujesz się domem.

–Ani że mam dzieciaka, co?

–To twoje maleństwo?

–Gdzie tam! Mojej siory. – Odwrócił się. – Aiszo! – W drzwiach przez jakiś czas nikt się nie pojawiał, ale Tyrone musiał wyczuć ruch, bo zawołał: – No chodź tu.

Soraja zobaczyła ruchomy cień, potem w progu stanęła szczupła dziewczynka z dużymi oczami koloru kawy.

–Nie bój się. – Głos Tyrone'a złagodniał. – To Panna Szpieg. Aisza się skrzywiła.

–Szpieg? Jest groźna? Roześmiał się.

–Gdzie tam. Zobacz, jak trzyma Darlonnę. Nie ugryziesz jej, Panno Szpieg?

–Nie, jeśli będziesz do mnie mówiła Soraja, Aiszo. – Uśmiechnęła się do małej, całkiem ładnej dziewczynki. – Zgoda?

Aisza patrzyła na nią i okręcała warkoczyk wokół cienkiego palca wskazującego. Tyrone znów chciał ją upomnieć, gdy Soraja go ubiegła.

–Aisza to piękne imię. Ile masz lat?

–Sześć – odpowiedziała bardzo cicho dziewczynka. – Co znaczy twoje imię? Bo moje znaczy „cała i zdrowa”.

Soraja się roześmiała.

–Wiem, po arabsku. „Soraja” to słowo z języka perskiego. Znaczy „księżniczka”.

Aisza otworzyła szerzej oczy i zrobiła kilka kroków w głąb pokoju.

–Jesteś prawdziwą księżniczką?

Soraja, starając się powstrzymać śmiech, odparła z przesadną powagą:

–Nie, nie prawdziwą.

–Ona jest księżniczką. – Tyrone zdołał uniknąć zaciekawionego spojrzenia Sorai.
– Tylko nie pozwala o tym mówić.

–Dlaczego? – Zaintrygowane dziecko przydreptało do nich.

–Bo źli ludzie chcą jej zrobić krzywdę – wyjaśnił Tyrone. Dziewczynka podniosła na niego wzrok.

–Tacy jak ci, co ich zastrzeliłeś, tatusiu?

W ciszy, która zapadła, Soraja usłyszała nagle hałasy na ulicy: gardłowy ryk silników motocyklowych, ogłuszającą muzykę hip – hopową, gwar ożywionych rozmów.

–Idź się pobawić z ciocią Libby – powiedział Tyrone do córeczki. Aisza zerknęła po raz ostatni na Soraję i wybiegła z pokoju. Tyrone odwrócił się do agentki, ale zanim się odezwał, zdjął jeden but i rzucił nim mocno, z wprawą, w kąt. Soraja obejrzała się i zobaczyła dużego szczura, leżącego na boku. Obcas buta prawie go

zgilotyował. Tyrone zawiązał gryzonia w starą gazetę, wytarł but i wyniósł stworzenie z pokoju.

Po powrocie wyjaśnił:

–Z matką Aiszy to stara sprawa. Dostała ołowiem z przejeżdżającej bryki. Była z dwoma swoimi kuzynami. Wkurzyli jakichś gangsterów z okolicy. Zrobili przekręt z prochami. – Spochmurniał., – Nie mogłem tego tak zostawić.

–Jasne – mruknęła Soraja. – Nie wyobrażam sobie, żebyś odpuścił. Niemowlę opróżniło butelkę i zasnęło. Leżało na rękach Sorai i oddychało równo i głęboko.

Tyrone zamilkł, nagle onieśmielony. Soraja przechyliła głowę.

–O co chodzi?

–Mam dla ciebie ważne wieści, przynajmniej tak mi się zdaje. – Usiadł na brzegu łóżka. – To długa historia, ale postaram się streszczać.

Opowiedział o warsztacie karoseryjnym MN, o tym, jak razem z DJ Tankiem kręcili się po okolicy, bo chcieli mieć nową bazę dla swojej grupy; o uzbrojonych ludziach, których tam widzieli pewnej nocy, to tym, jak się zakradli obaj do środka po odjeździe „dziwnych gości”, a potem znaleźli „wybuchowy plastik i inne takie gówno”. Wspomniał też, jak natknął się na parę – mężczyznę i kobietę – ćwiartującą zwłoki jakiegoś faceta...

–Mój Boże – przerwała mu Soraja. – Pamiętasz, jak wyglądali? Podał jej przerażająco dokładne rysopisy fałszywego Lindrosa i Anne Held. Jak mało wiemy o ludziach, pomyślała gorzko Soraja. Jak łatwo nas oszukują.

–Dobra. – Westchnęła głęboko. – Co dalej?

–Podpalili budynek. Spłonął, kurde, doszczętnie. Soraja się zastanowiła.

–Więc materiały wybuchowe musiały już być gdzie indziej.

–Zgadza się – przytaknął Tyrone. – I jeszcze coś. Chodzi o tych dwóch zasrańców, co ich z ciebie zdjąłem na winklej Dziewiątej i Florydy. Poznałem jednego z nich. Stał wtedy w nocy na czujce przed warsztatem.

Na ostatnim etapie walki powietrznej Muta ibn Aziz zaczął się wiercić. Teraz się podnosił. Bourne nie mógł zostawić sterów, żeby unieszkodliwić terrorystę, więc musiał znaleźć inny sposób.

Sovereign zbliżał się do końca skalnej rozpadliny. Kiedy Muta ibn Aziz znów przystawił mu lufę do prawego ucha, Bourne skierował samolot w stronę górskiego szczytu na krańcu szczeliny.

–Co ty robisz? – zaniepokoił się Muta.

–Odłóż broń – warknął Bourne i skoncentrował się na szczycie wyrastającym przed nimi.

Muta patrzył przez szybę jak zahipnotyzowany.

–Wydostań nas stąd.

Bourne trzymał kurs prosto na szczyt.

–Zabijesz nas obu. – Muta oblizwał nerwowo wargi. Natychmiast cofnął pistolet od głowy Bourne'a. – Dobra, dobra! Tylko...

Byli przerażająco blisko góry.

–Rzuć pistolet przez kokpit – rozkazał Bourne.

–Już za późno! – wrzasnął Muta ibn Aziz. – Nie uda nam się! Mimo wszystko z odrazą cisnął broń po podłodze.

Bourne szarpnął do siebie wolant. Sovereign wzbił się z szumem wysoko do góry. Szczyt zbliżał się zatrważająco szybko. Był tuż – tuż. W ostatniej chwili Bourne zobaczył z prawej strony przełęcz. Wyglądała tak, jakby ręka Boga sięgnęła w dół i oderwała pół górskiego szczytu. Skręcił precyzyjnie; jeszcze trochę i mijana grań odłamałaby koniec prawego skrzydła. Przeszli tuż nad szczytem i – nadal się wznosząc – wydostali z rozpadliny potem wystrzelili pod błękitne niebo.

Muta rzucił się na czworakach po pistolet. Bourne był na to przygotowany. Włączył wcześniej autopilota. Odpiął się, skoczył terrorystę na plecy i zadał mu potężny cios w nerkę. Muta rozpląszczył się ze stłumionym wrzaskiem na podłodze.

Bourne szybko chwycił broń i związał terrorystę zwojem drutu, który znalazł w schowku mechanika pokładowego. Przeciągnął Mutę z powrotem przez kokpit, wrócił na fotel, wyłączył autopilota i skorygował kurs trochę bardziej na południe. Byli teraz w połowie trasy nad Afganistanem i kierowali się do Miram Shah – miejsca tuż za wschodnią granicą w Pakistanie, zaznaczonego na mapie poprzedniego pilota.

Muta ibn Aziz sypnął wiązką beduińskich przekleństw.

–Miałem rację. Sfabrykowałeś historię o swojej śmierci – wycedził. Bourne wyszczerzył do niego zęby.

–Będziemy wymieniali prawdziwe nazwiska wszystkich? W takim razie, zacznijmy od Abu Gaziego Nadira al – Dżamuha ibn Hamida ibn Aszefa al – Wahhiba. Ale Fadi jest dużo krótsze i na temat.

–Skąd wiesz...?

–A jego brat, Karim, zajął miejsce Martina Lindrosa. Muta aż oniemiał z szoku; oczy mu pociemniały.

–Była jeszcze siostra, Sara ibn Aszef. – Bourne obserwował z ponurą satysfakcją

minę posłańca. – Tak, o tym też wiem.

Twarz Muty spopieliała.

–Powiedziała ci, jak się nazywa?

Bourne natychmiast zrozumiał.

–Byłeś w Odessie tamtej nocy, kiedy mieliśmy umówione spotkanie z naszym kontaktem. Strzeliłem do Sary ibn Aszef, gdy wbiegła na plac. Ledwo zdołaliśmy ująć z życiem z zasadzki.

–Zabrałeś Sarę ibn Aszef ze sobą – powiedział Muta ibn Aziz.

–Jeszcze żyła – dodał Bourne.

–Mówiła coś?

Muta zadał to pytanie tak szybko, jakby rozpaczliwie potrzebował odpowiedzi. Dlaczego? Bourne zastanawiał się, czy jest coś, o czym nie wie. Czegoś nie dostrzega?

Ujawnił już Mucie całą swoją wiedzę. Ale musiał utrzymać przeciwnika w przekonaniu, że jest dużo lepiej zorientowany. Zdecydował, że na chwilę zamilknie.

To podziałało na terrorystę. Stał się nerwowy.

–Wymieniła moje nazwisko, tak?

–Po co miałyby to robić? – zapytał Bourne obojętnym tonem.

–Wymieniła? – Muta dostał białej gorączki, miotał się na wszystkie strony, nadaremnie próbując się uwolnić. – Co jeszcze powiedziała?

–Nie pamiętam.

–Musisz pamiętać.

Miał Mutę ibn Aziza na haczyku. Pozostało go wyciągnąć.

–Pewien lekarz stwierdził, że opis czegoś, co zapomniałem, nawet fragmentaryczny, może mi to przypomnieć.

Zbliżali się do granicy. Bourne zaczął stopniowo schodzić ku grzbietom łańcucha górskiego, gdzie miało swoje kryjówki wiele z najniebezpieczniejszych komórek terrorystycznych na świecie.

Muta popatrzył na niego z niedowierzaniem.

–Powiedzmy sobie wprost. Chcesz, żebym ci pomógł. – Roześmiał się ponuro. – Nic z tego.

–Nie ma sprawy. – Bourne skupił całą swoją uwagę na szczegółach topograficznych, które zaczęły się pojawiać. – To ty mnie wypytywałeś. Mnie jest wszystko jedno.

Grymasy na twarzy Muty zdradzały skrajne emocje. Facet był pod jakąś straszną presją. Bourne zastanawiał się, co jest grane. Nie dawał po sobie poznać, że go to obchodzi, ale czuł, że musi podnieść stawkę.

–Sześć minut do lądowania, może trochę mniej. Lepiej się przygotuj. – Zerknął na Mutę ibn Aziza i się roześmiał. – Zapomniałem, że już jesteś przypięty.

I wtedy Muta pękł:

–To nie był wypadek.

–Niestety – powiedział Karim. – LaValle miał rację.

Dyrektor CIA się zachnął. Najwyraźniej nie chciał usłyszeć więcej złych

wiadomości.

–Tyfon rutynowo korzysta z kanałów telekomunikacyjnych agencji...

–Zgadza się, panie dyrektorze. Ale zadałem sobie trud i wszystko sprawdziłem.

Znalazłem trzy połączenia, za które nie biorę odpowiedzialności.

Siedzieli obok siebie w szóstej ławce po prawej stronie w kościele metodystów przy Szesnastej ulicy w Northwest. Na oparciu za ich plecami była tabliczka: W TEJ ŁAWCE SIEDZIeli OBOK SIEBIE PREZYDENT FRANKLIN D. ROOVELT I PREMIER WINSTON CHURCHILL PODCZAS NABOŻEŃSTWA BOŻONARODZENIOWEGO W ROKU 1941. Co oznaczało, że to nabożeństwo odbyło się zaledwie trzy tygodnie po japońskim ataku na Pearl Harbor – w naprawdę ciężkich chwilach dla Ameryki. Co do Wielkiej Brytanii, to po bolesnej klęsce zyskała ważnego sojusznika. Dlatego to miejsce miało wielkie znaczenie dla Starego. Tu się modlił, oddawał refleksjom i nabierał wewnętrznej siły do podejmowania mrocznych i trudnych decyzji, których często od niego żądano.

Kiedy patrzył na dossier wręczone mu przez zastępcę, nie miał cienia wątpliwości, że czeka go jeszcze jeden karkołomny wyczyn.

Westchnął i otworzył akta. Przerazająca prawda była w nich wypisana czarno na białym. Mimo to podniósł głowę i zapytał niepewnie:

–Annę?

–Niestety, panie dyrektorze. – Karim starał się wyglądać na tak załamane jak Stary. Wiadomość mocno wstrząsnęła przełożonym. – Te trzy połączenia były z jej PDA, niezalegalizowanego przez agencję, o którego istnieniu nie wiedzieliśmy aż do teraz. I wygląda na to, że zdołała też zamienić i spreparować informacje, by rzucić podejrzenie na Tima Hytnera.

Dyrektor CIA długo milczał. Rozmawiali przyciszonymi głosami ze względu na zdumiewająco dobrą akustykę w kościele, ale kiedy Stary znów się odezwał, rozmówca musiał się pochylić, żeby go usłyszeć.

–Co to były za połączenia?

–Zostały zaszyfrowane – odparł Karim. – Moi najlepsi ludzie pracują nad odczytaniem treści.

Stary skinął w zamyśleniu głową.

–Dobra robota, Martinie. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Dzisiaj, w tym momencie, wyglądał dokładnie na swoje lata lub nawet starzej. Straszliwa zdrada Annę przygasila w nim iskrę życia. Siedział zgarbiony, z głową wciśniętą w ramiona, jakby spodziewał się następnych ciosów.

–Panie dyrektorze – odezwał się cicho Karim. – Musimy natychmiast zareagować.

Stary przytaknął, ale patrzył w przestrzeń, pogrążony w rozmyślaniach i wspomnieniach, których jego towarzysz nie potrafił odgadnąć.

–Uważam, że powinniśmy to załatwić dyskretnie – ciągnął Karim. – Tylko we dwóch. Co pan na to?

Stary spojrział na zastępcę wilgotnymi oczami.

–Tak, dyskretnie rozwiązanie, jak najbardziej – odparł szeptem. Przy słowie „rozwiązanie” załamał mu się głos.

Karim wstał.

–Idziemy?

Dyrektor podniósł na niego przerażony wzrok.

–Teraz?

–Tak byłoby najlepiej. Dla wszystkich. – Pomógł zdruzgotanemu szefowi stanąć na nogi. – Nie ma jej w kwaterze głównej. Pewnie jest w domu.

Potem wręczył dyrektorowi pistolet.

Po kilku godzinach Katia wróciła do izby chorych, żeby obejrzeć opuchliznę na szyi Lindrosa. Przyklęknęła obok niskiego łóżka, na którym leżał. Przesunęła palcami po miejscu, które opatrywała, i łzy napłynęły jej do oczu.

–Nie jestem w tym dobra – szepnęła jakby do siebie. – W niczym nie jestem dobra.

Lindros patrzył na nią i przypominał sobie koniec ich ostatniej rozmowy. Zastanawiał się, czy powinien coś powiedzieć, czy trzymać język za zębami, żeby jej bardziej nie zrazić.

Po długim, pełnym napięcia milczeniu Katia znów się odezwała:

–Myślałam o tym, co mówiłeś. – Ich spojrzenia wreszcie się spotkały. Jej oczy miały zdumiewający niebieskoszary odcień jak niebo tuż przed burzą. – I teraz uważam, że Costin chciał, żeby Fadi zrobił mi krzywdę. Dlaczego? Bo się bał, że od niego odejdę? Bo zależało mu, żebym zobaczyła, jaki niebezpieczny jest świat? Nie wiem. Ale nie musiał... – Uniosła rękę do policzka i skrzywiła się, gdy go dotknęła delikatnymi palcami. – Nie musiał posuwać się tak daleko.

–Nie, nie musiał – przyznał Lindros. – Nie powinien. Przytaknęła.

–Więc mi pomóż – ciągnął Lindros. – Inaczej żadne z nas nie wyjdzie stąd żywe.

–Nie... nie wiem, czy potrafię.

–Więc ja pomogę tobie. – Lindros usiadł. – Może zdołasz się zmienić. Ale musisz tego chcieć. Tak bardzo, żeby zaryzykować wszystko.

–Wszystko. – Posłała mu uśmiech tak pełen skruchy, że omal nie pękło mu serce. – Urodziłam się w biedzie. Dorastałam, nie mając nic. A potem, dzięki przypadkowemu spotkaniu, dostałam wszystko. Przynajmniej tak mi mówiono i przez jakiś czas w to wierzyłam. Ale pod pewnym względem nowe życie było gorsze od dawnego. Costin obiecał, że mnie uwolni od strachu i nędzy. Więc wyszłam za niego. Ale jego świat okazał się fałszywy i niebezpieczny. Pomyślałam wtedy: Gdzie jest moje miejsce? Nigdzie.

Poruszony Lindros położył na chwilę dłoń na jej ręce.

–Oboje zostaliśmy wyrzuceni poza nawias.

Katia odwróciła lekko głowę, żeby zerknąć na strażników.

–Wiesz, jak stąd wyjść?

–Tak, ale musimy połączyć siły. – Zobaczył w jej oczach strach, lecz również iskierkę nadziei.

–Co mam robić? – zapytała w końcu.

Annę była w trakcie pakowania, gdy usłyszała przed domem odgłos potężnego silnika samochodowego. Kiedy podniosła głowę, umilkł. Zamierzała wrócić do

pakowania, ale instynkt – lub paranoiczny obłąd – kazał jej podejść do okna sypialni na pierwszym piętrze i wyrzucić na ulicę.

W dole zobaczyła czarną opancerzoną limuzynę dyrektora CIA. Wsiadł z niej Stary, a za nim Dżamil. Serce jej zamarło. Co się dzieje? Po co tu przyjechali? Czyżby Soraja zdołała jednak dotrzeć do dyrektora, powiedziała mu o zdradzie? Ale nie, jest przecież Dżamil. Nie dopuściłby Sorai w pobliże kwatery głównej CIA, a tym bardziej do Starego.

Ale jeśli...?

Wiedziona już wyłącznie instynktem, podeszła do komody, wysunęła drugą szufladę i wygrzebała z niej smithwesson, którego włożyła do stałej skrytki po powrocie z Northeast.

Na dźwięk dzwonka na dole aż podskoczyła, mimo że się go spodziewała. Wetknęła pistolet z tyłu za pasek, i zeszła po lśniących drewnianych schodach. Przez romby żółtej półprzezroczystej szyby w drzwiach frontowych zobaczyła sylwetki dwóch mężczyzn, tak ważnych dla niej przez całe dorosłe życie.

Wolno wypuściła powietrze z płuc, chwyciła za mosiężną klamkę, przywołała na twarz uśmiech i otworzyła drzwi.

–Cześć, Annę. – Stary niemal jak lustro odbijał jej własny sztuczny uśmiech. – Przepraszam, że nachodzimy cię w domu, ale wynikło coś... pilnego... – zająknął się.

–Nic nie szkodzi – odparła Annę. – Przyda mi się towarzystwo. Cofnęła się i wpuściła ich do małego holu z marmurową posadzką.

Na owalnym stoliku z delikatnymi koźlimi nóżkami stał smukły wazon z bukietem cieplarnianych lili, ozdobiony emalią. Wprowadziła gości do salonu z kanapami pokrytymi jedwabiem, ustawionymi po obu stronach kominka z białego kamienia, poprzecinanego czerwonymi żyłkami. Nad paleniskiem biegł drewniany gzyms. Annę zaproponowała, żeby usiedli, ale wyglądało na to, że wolą stać. Nie zdjęli płaszczy.

Nie śmiała spojrzeć na Dżamila z obawy przed tym, co mogłaby wyczytać z jego twarzy. Patrzyła na Starego. Był blady i miał obwisłe policzki. Zastanawiała się, kiedy tak się postarzał. Jak ten czas mija niepostrzeżenie... Odnosiła wrażenie że zaledwie wczoraj była rozhukaną dziewczyną z londyńskiego college'u i miała przed sobą długie lata świetlanej przyszłości.

–Na pewno napije się pan herbaty – powiedziała do twarzy mumii. – I mam pana ulubione ciasteczka imbirowe. – Ale jej próba zachowania pozorów normalności spełzała na niczym.

–Nie, dziękuję, Annę – odparł dyrektor. – Nie będziemy cię fatygowali. – Sprawiał teraz wrażenie naprawdę cierpiącego, jakby zmagał się z objawami kamicy nerkowej albo choroby nowotworowej. Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcz dossier zwinięte w rulon. Rozpostarł je na krawędzi miękkiego oparcia jednej z kanap. – Niestety mamy nieprzyjemną sprawę! – Przesuwał palcem wskazującym po wydruku komputerowym jak po kamieniu runicznym. – My wiemy, Annę.

Poczuła się tak, jakby zadano jej śmiertelny cios. Ledwo mogła złapać oddech. Mimo to, zapytała zupełnie spokojnie:

–Co wiecie?

–Wszystko. O tobie. – Stary jeszcze nie mógł się zdobyć na to, żeby patrzeć jej w oczy. – Komunikowałaś się z wrogiem.

–Co?! Nie...

Dyrektor podniósł w końcu głowę i przeszył ją twardym wzrokiem. Znała to przerażające spojrzenie; widywała je skierowane na innych, których Stary wykreślał ze swojej listy. Potem ginął po nich wszelki ślad.

–Sama też jesteś wrogiem. – W jego głosie zabrzmiała wściekłość i nienawiść.

Annę wiedziała, że Stary nikim bardziej nie pogardza niż zdrajcami. Odruchowo spojrziała na Dżamila. Co on sobie myśli? Dlaczego jej nie broni? I nagle, patrząc na jego twarz bez wyrazu, wszystko zrozumiała – uwiódł ją swoim wyglądem i filozofią, a potem wykorzystał. Była mięsem armatnim, spisany na straty jak wszyscy w jego organizacji.

Najbardziej irytowało ją to, że okazała się potwornie naiwna; powinna go przejrzeć już na początku. Ale była taka pewna siebie, taka zdecydowana zbuntować się przeciwko wybrednej starej arystokracji, z której się wywodziła. Zorientował się, jak ona bardzo chce dopiec swoim rodzicom. Robił użytek z jej zapału... i ciała. Dopuściła się dla niego zdrady; teraz tyle ludzi straci życie dlatego, że dała się wciągnąć w spisek. Mój Boże, mój Boże!

Odwróciła się do Dżamila.

–Pieprzenie mnie było najmniej ważne, tak?

Już nie usłyszała odpowiedzi, jeśli w ogóle Karim zamierzał jej udzielić. Dyrektor wyciągnął pistolet i wpakował asystentce trzy kule w głowę. Mimo swojego wieku wciąż dobrze strzelał.

Niewidzące oczy Annę patrzyły na Dżamila.

–Niech ją szlag. – Stary się odwrócił. Jego głos ociekał jadem. – Niech ją wszyscy diabli wezmą.

–Zajmę się usunięciem ciała – powiedział Karim. – Przygotuję też odpowiednią wersję zdarzeń. I sam zadzwonię do jej rodziców.

–Nie – odparł posępnie Stary. – To moje zadanie.

Karim podszedł do martwej kochanki – leżała skulona w kałuży krwi. Popatrzył na nią. O czym myślał? Że musi pójść na górę i otworzyć drugą szufladę komody. Potem odwrócił ciało czubkiem buta i przekonał się, że szczęście nadal mu sprzyja. Wcale nie musi iść do jej sypialni. Odmówił cichą modlitwę dziękczynną do Allaha.

Włożył lateksowe rękawiczki i wyciągnął z za paska Annę smithwesson. Zwrócił uwagę na fakt, że miała dość przytomności umysłu, by się uzbroić. Przyglądał się przez chwilę twarzy kochanki i próbował znaleźć w sobie choć odrobinę uczucia do tej niewiernej. Nic z tego nie wyszło. Jego serce biło w tym samym rytmie, co zawsze. Nie mógł powiedzieć, że będzie mu brakowało Annę. Spełniła swoje zadanie. Pomogła mu nawet poćwiartować zwłoki Overtona. Co po prostu znaczyło, że dobrze wybrał. Była narzędziem, które przystosował do użycia przeciwko swoim wrogom, niczym więcej.

Stał okrakiem nad ciałem Annę.

–Panie dyrektorze, musi pan coś zobaczyć.

Stary wziął głęboki oddech. Wytarł oczy mokre od łez.

–Co takiego, Martinie? – zapytał i odwrócił się przodem do zastępcy. Karim strzelił mu prosto w serce z pistoletu Annę.

„To nie był wypadek”.

Bourne koncentrował się bardziej, niż musiał na przygotowaniach do lądowania i zdołał zignorować tę sensację. Przelatywali nad Zawar Kili, główną kryjówką al – Kaidy do czasu, gdy lotnictwo amerykańskie zbombardowało ją w listopadzie 2001 roku. W końcu zapytał:

–O czym mówisz?

–O śmierci Sary ibn Aszef. – Muta ibn Aziz ciężko dyszał; był przerażony i jednocześnie wyzwolony. Jakże pragnął wyjawić komuś tę straszną tajemnicę! Rosła wokół jego serca niczym skorupa z wydzielin ostrygi, warstwa za warstwą, aż stała się szpetnym ciężarem.

–Oczywiście, że to nie był wypadek. – Bourne zachowywał stoicki spokój: musiał sprowokować Mutę ibn Aziza do dalszych zwierzeń. – Wiem to najlepiej, bo sam ją postrzeliłem.

–Nie ty. – Muta ibn Aziz zaczął nerwowo przygryzać dolną wargę. – Ty i twoja partnerka nie trafilibyście z tak dużej odległości; Sarę postrzelił mój brat Abbud ibn Aziz i ja.

Teraz Bourne odwrócił się do niego, ale z bardzo sceptyczną miną.

–Zmyślasz.

Terrorysta wyglądał na urażonego.

–A niby po co miałbym to robić?

–Słuchaj, ciągle mieszasz mi w głowie. Napuściłeś na mnie Fadięgo. – Bourne zmarszczył brwi. – Spotkaliśmy się już kiedyś? Znamy się? Ty i twój brat macie coś do mnie?

–Nie, nie, i nie. – Muta stawał się coraz bardziej poirytowany, tak jak chciał Bourne. – Prawda jest taka, że... trudno mi to powiedzieć...

Odwrócił się na chwilę. Bourne uważnie nasłuchiwał, co będzie dalej. Zbliżał się do Miram Shah i miejsca lądowania zaznaczonego przez pilota. Leżało pośrodku wąskiej doliny – kiedy Bourne ją zobaczył, bardziej trafne wydało mu się określenie „wąwóz” – między dwiema górami tuż za niebezpieczną zachodnią granicą Pakistanu.

Pogodne niebo miało barwę głębokiego błękitu. O tej porze dnia słoneczny blask nie oślepiał. Szarobrunatne góry w Pięciorzeczu – z wapienia, ciemnego rogowca i łupków ilastych – wyglądały na nagie, jałowe, pozbawione życia. Bourne odruchowo badał wzrokiem okolicę. Przyglądał się pobrużdżonym zboczom na południu i zachodzie w poszukiwaniu otworów jaskiń, wypatrywał bunkrów na wschodnim krańcu wąwozu i wśród nierównych wzgórz na północy, które przecinał mocno zacieniony, kamienisty jar. Ale nie widział żadnego śladu ośrodka jądrowego Dudźdży, niczego stworzonego ludzką ręką, nawet chaty czy obozowiska.

Podchodził trochę za szybko. Zmniejszył prędkość sovereigna i zobaczył przed sobą pas startowy. W przeciwieństwie do tamtego, z którego uniósł się w powietrze,

ten był asfaltowy. Nadal nie dostrzegł żadnych oznak życia, a tym bardziej nowoczesnego kompleksu laboratoriów. Trafił do niewłaściwego miejsca? Czy to jeszcze jedna z wielu sztuczek Fadiego? Pułapka?

Już za późno, żeby się tym martwić. Podwozie wysunięte, klapy opuszczone. Zredukował prędkość do zielonej strefy.

–Jesteś za nisko – zaniepokoił się nagle Muta ibn Aziz. – Za wcześnie uderzysz kołami w nawierzchnię. Wznies się! Na litość boską, daj wyżej!

Bourne zostawił już za sobą jedną ósmą długości pasa startowego. W końcu podwozie nie dotknęło asfaltu. Wylądowali i toczyli się po ziemi. Bourne wyłączył silniki i dużą część obwodów zasilania wewnętrznego. Wtedy zobaczył z prawej strony ruchome cienie.

Zdażył się tylko domyślić, że Muta ibn Aziz podał przez telefon jego tożsamość ludziom w Miram Shah. Prawy bok samolotu eksplodował z hukiem do środka. Sovereign zatrzęsł się i jak ranny słoń opadł na kolana, gdy stracił przednie koła.

Fruwające szczątki posiekały niemal wszystko w kokpicie. Wskaźniki zostały roztrzaskane, dźwignie urwane. Z rozprutych wnęk sufitowych zwisały kable. Związany Muta ibn Aziz leżał teraz pod dużym fragmentem kadłuba. Bourne, przypięty do fotela po przeciwnej stronie kokpitu, przeżył masakrę z mnóstwem drobnych skaleczeń, siniaków i niewielkim wstrząsem, jak mu się wydawało w oszołomieniu.

Instynkt kazał mu się ocknąć, sięgnąć w górę i odpiąć uprząż. Chwiejnie dotarł do Muty ibn Aziza po szkłe zgrzytającym pod stopami. Dusił się powietrzem, pełnym ostrych opiłków metalu, skrawków fiberglasu i swądu stopionego plastiku.

Widząc, że Muta oddycha, odciągnął na bok pogięty, osmalony i jeszcze gorący złom. Ale kiedy przyklęknął, zobaczył, że w brzuchu Muty tkwi kawał metalu wielkości ostrza miecza.

Przyjrzał się terroryście, potem uderzył go mocno w policzek. Muta zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Z trudem skupił wzrok na Bournie.

–Nie zmyślałem – odezwał się cienkim, piskliwym głosem. Z ust ciekła mu krew i spływała po brodzie. Zbierała się w zgłębieniu szyi. Była ciemna i miała zapach miedzi.

–Umierasz. – Bourne patrzył mu prosto w oczy. – Powiedz mi, co się wydarzyło, kiedy zginęła Sara ibn Aszef?

Na twarzy Muty wolno pojawił się uśmiech.

–Więc jednak chcesz wiedzieć. – Z przedziurawionych płuc wydobywał się przy oddychaniu odgłos przypominający wycie prehistorycznej bestii. – Prawda jest dla ciebie ważna.

–Mów! – krzyknął Bourne.

Złapał Mutę ibn Aziza za koszulę i dźwignął do góry, usiłując wytrząsnąć z niego odpowiedź. Ale w tym momencie do wraka samolotu wpadli terroryści z Dudźdży. Odciągnęli go od posłańca Fadiego, który wykasływał z siebie resztki życia.

Zapanował chaos – bieganina, zgłębienie arabskich głosów, krótkie rozkazy i jeszcze krótsze odpowiedzi Wywlekli półprzytomnego pilota po zakrwawionej podłodze na

pustkowie Miram Shah.

CZEŚĆ IV

33

Soraja Moore, w towarzystwie dobrze uzbrojonego Tyrone'a, który stał obok niej na czujce, zadzwoniła do kwatery głównej CIA z automatu telefonicznego na rogu Siódmej ulicy w Northeast, nie ze swojej komórki. Kiedy Peter Marks usłyszał, że to ona, zniżył głos do szeptu.

–Jezu Chryste, co ty zmalowałaś, do cholery?

–Nic, Peter – zjeżyła się.

–To dlaczego wszystkie wydziały dostały rozkaz, żeby natychmiast bezpośrednio zameldować dyrektorowi Lindrosowi, gdybyś się pokazała, zadzwoniła lub skontaktowała z nami w jakikolwiek inny sposób?

–Bo Lindros to nie Lindros.

–Tylko oszust, tak?

Te słowa podniosły Soraję na duchu.

–Więc już wiesz...

–Słuchaj, Martin Lindros zwołał zebranie i powiedział nam, że puściły ci nerwy, zupełnie straciłaś nad sobą kontrolę. Z powodu śmierci Bourne'a, tak? W każdym razie poinformował nas, że wysuwasz pod jego adresem chore oskarżenia.

O mój Boże, pomyślała Soraja. Nastawił wszystkich w agencji przeciwko mnie.

Wyczuwała podejrzliwość Marksa, ale dzielnie brnęła dalej.

–Okłamał was, Peter. Prawda jest zbyt skomplikowana, żeby ją teraz wyjaśniać, ale musisz mi zaufać. Terroryci zamierzają wysadzić w powietrze kwaterę główną agencji. – Wiedziała, że sprawia wrażenie rozgorączkowanej, nawet trochę szalonej. – Proszę cię, błagam. Idź do Starego, ostrzeż go, że to ma się zdarzyć w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

–Stary i Annę są w Białym Domu na spotkaniu z prezydentem. Wicedyrektor Lindros przypuszcza, że trochę tam posiedzą.

–Więc skontaktuj się z szefem któregoś wydziału, a jeszcze lepiej, ze wszystkimi. Aby nie z Lindrosem.

–Sorajo, przyjedź tutaj. Poddaj się. Na pewno ci pomożemy.

–Nie jestem stuknięta – odparła, choć zaczynała się tak czuć.

–W takim fazie nie mamy o czym gadać.

Katia odwróciła się do dwóch strażników za progiem izby chorych i odpięta swoimi delikatnymi palcami dwa górne guziki bluzki. Nigdy nie nosiła stanika. Miała piękne piersi, i wiedziała o tym.

Strażnicy grali w tę samą grę, co zawsze, której zasad nigdy nie mogła pojąć. Oczywiście nie wykładali pieniędzy; to byłby hazard, zakazany przez islam. Wyglądało na to, że chodzi o refleks.

Żeby nie myśleć o obecnej sytuacji, zaczęła sobie przypominać swoje dawne życie, z którego Costin kazał jej zrezygnować. Kiedy strażnicy zdali sobie sprawę z obecności Katii, stanęła bokiem do nich i lekko wypięła biust jak do zdjęć w czasach, gdy była modelką.

Potem wolno, rozbijając, odwróciła się przodem. Nie odrywali wzroku od jej

ciała.

Czuła ból w mostku, gdzie specjalnie uderzył ją Lindros. Rozchyliła bluzkę tak szeroko, żeby zauważyli świeżego, jasnoczerwonego siniaka.

–Spójrzcie – powiedziała zupełnie niepotrzebnie. – Zobaczcie, co ten drań mi zrobił.

Widok tak podziałał na strażników, że natychmiast wpadli do izby chorych. Lindros leżał na wznak z zamkniętymi oczami; miał krew na twarzy i ledwo oddychał.

Wyższy z dwóch strażników odwrócił się do Katii stojącej tuż za nim.

–A co ty jemu zrobiłaś?

W tym momencie Lindros podkurczył prawą nogę, otworzył oko i z całej siły kopnął niższego strażnika piętą w krocze. Zaskoczony mężczyzna stęknął, skulił się i upadł.

Jego kolega nie zdążył zareagować, gdy dostał od Lindrosa w krtań knykciami mocno zaciśniętej dłoni. Zakaszał, wytrzeszczył oczy i sięgnął do pasa po pistolet. Katia, tak jak ją poinstruował Lindros, kopnęła go w tył lewego kolana. Kiedy poleciał do przodu, zderzył się boleśnie z pięścią Lindrosa.

Przez następne pięć minut oboje rozbierali strażników, potem ich związali i zakneblowali. Lindros zaciągnął jednego, potem drugiego do schowka gospodarczego i upchnął ich tam jak rupiecie. Włożyli ubrania strażników, Katia niższego, Lindros wyższego.

Kiedy byli przebrani, uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy. Starła mu z policzka krew z jego przekłutego palca.

–I jak? – zapytał.

–Do wolności jeszcze daleko.

–Masz rację. – Lindros zebrał broń krótką i karabiny samoczynne strażników. – Umiesz się z tym obchodzić?

–Wiem, jak nacisnąć spust.

–Tyle musi wystarczyć.

Wziął ją za rękę i wybiegli razem z izby chorych.

Terroryści nie potraktowali Bourne'a tak brutalnie, jak się spodziewał. Nie znęcali się nad nim. Wszyscy byli Saudyjczykami. Poznał to nie tylko po ich wyglądzie, ale też po arabskim dialekcie, którym mówili.

Na pasie startowym podnieśli go do pionu i siłą zaprowadzili do miejsca, gdzie czekały dwa opancerzone wojskowe pojazdy terenowe. Były doskonale zamaskowane. Nic dziwnego, że nie zauważył ich z powietrza.

Skierowali go do większego z dwóch pojazdów, który z bliska wyglądał jak ruchome centrum dowodzenia. Tylne drzwi otworzyły się z hałasem – wyłoniły się dwa potężne ramiona, dźwignęły go do góry i wciągnęły do środka. Drzwi natychmiast się zatrzasnęły.

W atramentowej ciemności rozległ się znajomy głos z doskonałym brytyjskim akcentem:

–Cześć, Jason.

Zapaliły się czerwone światła. Bourne zamrugał, gdy jego wzrok przyzwyczajał się

do blasku. W dziwnej iluminacji zobaczył baterie sprzętu elektronicznego, który cicho wyświetlał tajemnicze odczyty niczym komunikaty z innej planety. Po jednej stronie siedział zgarbiony przy aparaturze młody brodaty Saudyjczyk. Miał na uszach duże słuchawki. Od czasu do czasu zapisywał zdanie lub dwa z nasłuchu.

Na lewo od brodacza, blisko Bourne'a, stał wielki, muskularny mężczyzna. To on wciągnął jeńca do ruchomego centrum dowodzenia. Teraz patrzył na Amerykanina obojętnie. Miał ogoloną głowę i umięśnione ramiona, skrzyżowane na masywnej piersi. Przypominał eunucha strzegącego haremu sułtana.

W rzeczywistości ochraniał trzeciego pasażera pojazdu, który zajmował miejsce przed konsolą dowodzenia. Obrócił się w fotelu, gdy tylko Bourne znalazł się w środku. Uśmiech od ucha do ucha nie przystawał do jego majestatycznego zachowania.

–Musimy przestać spotykać się w ten sposób, Jasonie. – Zacisnął rubinowoczerwone wargi. – Albo i nie, może to kismet, że zawsze wpadamy na siebie w najbardziej odpowiednim momencie.

–A niech mnie – zawołał Bourne, kiedy rozpoznał szczupłego, ciemnokookiego mężczyznę z haczykowatym nosem. – Fejd al – Saud!

Szef saudyjskiej tajnej policji poderwał się z fotela i podbiegł uściskać Bourne'a. Ucałował go soczyście w oba policzki.

–Przyjacielu, dzięki Allahowi, że żyjesz! Nie mieliśmy pojęcia, że jesteś w samolocie. Skąd mogliśmy wiedzieć? To odrzutowiec Fadiego! – Pogroził Bourne'owi palcem i dodał z udawanym gniewem: – Nigdy mi nie mówisz, co kombinujesz.

Bourne i Fejd al – Saud znali się już od jakiegoś czasu. Kiedyś współpracowali ze sobą na Islandii.

–Słyszałem pogłoskę, że macie coś na Fadiego, ale zaprzeczacie. Fejd al – Saud szybko spoważniał.

–Fadi jest Saudyjczykiem. To nasz problem.

–Chodzi ci o to, że stawia Saudyjczyków w kłopotliwej sytuacji? – spytał Bourne. – Obawiam się, że stał się problemem dla wszystkich. Opowiedział przyjacielowi o Fadim i o tym, co przywódca Dudźdży razem z bratem, Karimem al – Dżamilem, zaplanowali, łącznie z infiltracją CIA. – Może ci się wydawać, że namierzyłeś główny obóz Dudźdży – ciągnął – ale zapewniam cię, że tu go nie ma. W tej okolicy znajduje się za to ośrodek jądrowy, wzbogacający uran i produkujący broń nuklearną, którą zamierzają zdetonować w Stanach.

Fejd al – Saud skinął głową.

–Teraz to wszystko zaczyna mieć sens. – Obrócił się i wyświetlił pilotażową mapę taktyczną rejonu, żeby zorientować Bourne'a. Potem przełączył się na serię zbliżeń z satelity IKONOS. – Te zdjęcia zostały zrobione w zeszłym tygodniu w dwuminutowych odstępach – wyjaśnił. – Na pierwszym z nich widać Miram Shah takie, jakie znamy: opuszczone, wymarłe. Ale tu, na drugim zdjęciu, są dwa dżipy. Jadą mniej więcej na północny zachód. A co mamy na zdjęciu trzecim? Miram Shah jest znów opuszczone, wymarłe. Żadnych ludzi, pojazdów. Gdzie się podziali w ciągu dwóch minut? Nie mogli odjechać poza zasięg IKONOS – a. – Odchylił się w fotelu. –

Biorąc pod uwagę twoje informacje, jaki stąd wniosek?

–Ośrodek jądrowy Dudźdży jest pod ziemią – Odpowiedział Bourne.

–Otóż to. Monitorujemy łączność terrorystów. Dotąd nie mieliśmy pojęcia, skąd wychodzą sygnały. Okazuje się, że spod skał i piasku. Co ciekawe, z wnętrza kompleksu. Od trzech godzin, odkąd tutaj stoimy, nie kontaktował się z nimi nikt z zewnątrz.

–Ilu was jest? – spytał Bourne.

–Razem ze mną dwunastu. Jak zauważyłeś, sami musimy udawać członków Dudźdży. To północny Waziristan, część Terytoriów Plemiennych, najbardziej konserwatywna z zachodnich prowincji Pakistanu. Miejscowi Pasztunowie są głęboko religijni i etnicznie związani z talibami, dlatego chętnie widzą tu al – Kaidę i Dudźdżę. Nie mogłem wziąć ze sobą więcej ludzi, bo nie uniknąłbym niewygodnych pytań.

W tym momencie mężczyzna w słuchawkach wyrwał z notesu kartkę, na której gorączkowo gryzmolił. Wręczył ją szefowi.

–Coś w skale lub może ołowiana osłona ośrodka jądrowego zakłóca monitoring. – Fejd al – Saud szybko przebiegł wzrokiem tekst i podał notatkę Bourne'owi. – Spójrz na to.

Bourne przeczytał arabską transkrypcję:

–(?) *zniknęli. Oboje. Strażników znaleźliśmy w schowku (?)*.

–*Kiedy to się stało?*

–(?) *dwadzieścia minut temu. (?) nie potrafią dokładnie powiedzieć.*

–*Zmobilizuj (?) możesz. Wyślij (?) do wejścia. Znajdźcie ich.*

–*A potem?*

–*Zabijcie.*

Lindros i Katia pędzili przez współczesne katakumby pod Miram Shah. Z głośników na ścianach kompleksu dochodziło wycie alarmu. Włączył się, gdy mieli w polu widzenia wejście. Lindros natychmiast zmienił kierunek. Biegli teraz w głąb podziemi.

Ze strzępów podsłuchanych rozmów i własnych obserwacji Lindros wydedukował wcześniej, że obiekt Dudźdży ma dwa poziomy. Na górnym mieściły się kwatery mieszkalne, kuchnie, centrum łączności i tym podobne pomieszczenia. Była tu też izba chorych. Ale sala operacyjna, gdzie doktor Andursky wyjął Lindrosowi prawe oko i zmienił wygląd twarzy Karima, znajdowała się poniżej. Podobnie jak olbrzymie laboratorium z wirówkami, w którym uzyskiwano jeszcze większe stężenie wzbogaconego uranu, i pracownia syntezy jądrowej wyposażona w podwójne ściany.

–Wiedzą, że zniknęliśmy – powiedziała Katia. – I co teraz?

–Plan B – rzucił Lindros. – Musimy się dostać do centrum łączności.

–Jeszcze bardziej oddalimy się od wejścia – zauważyła Katia. – Nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Skreśli sprintem za róg. Na wprost ciągnął się długi korytarz, który przecinał kompleks. Wszystko w tym obiekcie było wielkie – pomieszczenia, korytarze, klatki schodowe, windy. W każdym miejscu człowiek czuł się mały jak mrówka. Ośrodek

sprawił przerażające wrażenie, jakby nie został zbudowany dla ludzi, lecz dla armii maszyn.

–Żeby uciec, trzeba najpierw przeżyć – odparł Lindros. – Musimy zawiadomić moich ludzi, gdzie jesteście.

Choć był zdenerwowany, zwolnił do szybkiego marszu i kazał Katii zrobić to samo. Nie podobał mu się ten długi, szeroki korytarz przed nimi. Gdyby natknęli się tu na kogoś, nie mieliby się gdzie ukryć ani dokąd uciec.

Jego najgorsze obawy potwierdziły się, gdy na końcu tunelu stanęli dwaj mężczyźni. Zobaczyli swoje ofiary i sięgnęli po broń. Jeden ruszył naprzód, drugi został z tyłu. Pierwszy wycelował w uciekinierów karabin samoczynny.

–Muszę jakoś ostrzec wszystkich w kwaterze głównej CIA – powiedziała Soraja.

–Sama słyszałaś, że masz u nich przesrane – odparł Tyrone. – Oleją cię, żebyś nie wiesz co zrobiła.

–Trzeba próbować. Tyrone przytaknął.

–Fakt. No to spadamy.

I „spadli”, do trafiki, gdzie stary, siwy Salwadorczyk związał ręcznie gówniany kubański tytoń, który sam hodował, i sprzedawał chętnym przez Internet po promocyjnych cenach jako Partagasy, Montecristo i Corony. Jak się okazało, sklep należał do Tyrone'a, więc lwią część zysków trafiała do jego kieszeni. Lokal przy Dziewiątej w Northeast przypominał szczurzą norę, ale interes przynajmniej był legalny.

W każdym razie dzisiaj przez brudne szyby sklepika widzieli mniej lub bardziej wyraźnie czarnego forda, którego Tyrone ukradł dwóm Arabom, kiedy ich uziemił obok placu budowy. Zaparkował go dokładnie na wprost trafiki, gdzie teraz oboje siedzieli i czekali.

Razem wpadli na ten pomysł. Soraja nie mogła już zwyczajnie wejść do kwatery głównej CIA ani nawet zadzwonić tam bez obawy, że ją wytropią, dlatego musiała zadziałać inaczej.

–Znam się na brykach, dziewczyno – powiedział jej wcześniej Tyrone – a ta jest wypasiona, jak trzeba. Zastrący już wiedzą, że ich dwaj kołesie nie wrócą do domu. Myślisz, że sobie odpuszczą taki wózek? Nie ma szans. Przyjadą tu po niego i po ciebie. Zjawią się w Northeast na bank. – Uśmiechnął się, szeroko i ładnie. – A jak się tu pokażą, obsiądziemy ich jak muchy gówno.

Plan był ryzykowny, ale dobry, Soraja musiała to przyznać. Poza tym, nie potrafiła wymyślić żadnej alternatywy, która nie groziłaby jej uwięzieniem w areszcie CIA lub – co bardziej prawdopodobne – śmiercią.

–Fadi kogoś więzi – powiedział Fejd al – Saud.

–Jedną z tych osób może być mój przyjaciel – odparł Bourne. – Martin Lindros.

–A, tak. – Szef saudyjskich sił bezpieczeństwa skinął głową. – Człowiek, pod którego podszywa się brat Fadiego, Karim. Więc może jeszcze żyje. A drugą?

–Nie mam pojęcia.

–W każdym razie musimy się pospieszyć, jeśli chcemy ich uratować. – Fejd al – Saud zmarszczył brwi. – Ale jeszcze nie wiemy, jak tam wejść.

–Te samochody na zdjęciu satelitarnym musiały pojechać do jakiegoś miejsca w promieniu tysiąca metrów od naszej obecnej pozycji. – Bourne wskazał ekran. – Możesz to wydrukować?

–Oczywiście. – Fejd al – Saud wpisał polecenie na klawiaturze komputera. Rozległ się cichy warkot i po chwili drukarka wypuła kartkę z mapą. Szef sił bezpieczeństwa wręczył ją przyjacielowi.

Bourne wyszedł z ruchomego centrum dowodzenia, za nim Fejd al – Saud i zwalisty ochroniarz, którego szef sił bezpieczeństwa przedstawił jako Abdullaha.

Bourne stanął po południowo – wschodniej stronie pasa startowego i porównał topografię z mapą satelitarną.

Fejd al – Saud oparł pięści na biodrach.

–Problem w tym, że tutaj nic nie ma. Jak tylko przyjechaliśmy, wysłałem na zwiady trzech ludzi. Po godzinie wrócili z niczym.

–A jednak tamte pojazdy musiały się gdzieś podziać – mruknął zamyślony Bourne.

Ruszył prosto przed siebie i wszedł na pas startowy. Na prawo od niego znajdował się wrak sovereigna. Na lewo zaczynał się pas. Bourne wyobraził sobie samolot podchodzący za szybko do lądowania.

Natychmiast przypomniały mu się słowa Muty ibn Aziza: „Jesteś za nisko. Za wcześnie uderzysz kołami w nawierzchnię”. Dlaczego tak się zaniepokoił? Najgorsze, co mogło się zdarzyć, to lądowanie na początku asfaltu. Dlaczego Muta ibn Aziz tak się tym przejął? Co go to w ogóle obchodziło?

Bourne skierował się w lewo, tam gdzie zaczynał się asfalt. Nie odrywał wzroku od nawierzchni. Doszedł do krańca pasa – miejsca, które Muta ibn Aziz koniecznie chciał ominąć. Czego się obawiał? Kiedy odrzutowiec usiadł na ziemi, wystąpiło duże tarcie, wytworzyło się ciepło i powstał nacisk. Które z tych trzech zjawisk go niepokoiło?

Bourne przykucnął i przesunął palcami po nawierzchni. Wyglądała jak asfalt, i taka była w dotyku. Z jedną istotną różnicą.

–Dotknij – zwrócił się do przyjaciela. – W takim słońcu asfalt powinien parzyć.

Fejd al – Saud położył dłoń na pasie startowym.

–Nie jest nawet gorący.

–Czyli... ż? to nie asfalt – podsumował Bourne.

–A czego mogła użyć Dudźdża? Bourne wstał.

–Nie zapominaj, że mają dostęp do technologii firmy IVT. Poszedł wzdłuż pasa. W miejscu, gdzie ślady opon wskazywały punkt zetknięcia sovereigna z ziemią, znów przykucnął. Oparł rękę na podłożu i natychmiast ją cofnął.

–Paczy? – zapytał Fejd al – Saud.

–Tu jest asfalt.

–Więc co położyli tam?

–Nie wiem, ale człowiek, z którym przyleciałem, posłaniec Fadiego, nie chciał, żebym tam wylądował.

Bourne wrócił na kraniec pasa startowego i przeszedł całą jego szerokość. Gorączkowo układał plan. Musieli się dostać do podziemnego kompleksu, dopaść

Fadiego, zanim jego ludzie znajdą więźniów. Jeśli była jakakolwiek szansa, że jedną z tych osób jest Lindros...

Jeszcze raz przyjrzał się topografii na zdjęciu satelitarnym i porównał ją z tym, co widział z samolotu. Ośrodek wzbogacający uran potrzebowałby wody – całego mnóstwa. Bourne pomyślał o kamienistym, mocno zacienionym jarze. Zauważył go z powietrza i dobrze zapamiętał.

Jego plan mógł się powieść, ale Bourne wiedział, że pomysł nie spodoba się Fejdowi al – Saudowi. A jeśli nie zdoła przekonać przyjaciela, nic z tego nie wyjdzie. To, co zamierzał, mogło się nie udać nawet przy współpracy szefa sił bezpieczeństwa, nie widział jednak innego wyjścia.

Gdy dotarł do bocznej krawędzi pasa startowego, znów przykucnął i przyjrzał się jej z bliska. Potem zwrócił się do Abdullaha:

–Może mi pan pomóc?

Obaj chwycili brzeg nawierzchni i zaczęli ją odciągać, co wymagało ogromnego wysiłku.

–To pas materiału ładowniczego – wyjaśnił Bourne.

Fejd al – Saud podszedł do nich i się pochylił. Popatrzył na warstwę nawierzchniową, która miała około centymetra grubości i kolor oraz fakturę asfaltu. Ale nim nie była. Nie wiedzieli dokładnie, co to jest. Zresztą, nieważne. O wiele bardziej interesowało ich to, co zobaczyli pod spodem, i czemu przyglądali się w skupieniu z poczuciem triumfu.

W podłożu był metalowy wąż wielkości drzwi garażu dla dwóch samochodów.

bo tu robicie?! – krzyknął z przejęciem pierwszy terrorysta. Był bardzo czujny.

–Zostaliśmy wysłani...

–Odwróćcie się do światła! Nie jesteście naszymi ludźmi! Rzućcie broń! Już!

Lindros od razu podniósł ręce. Wolał nie lekceważyć zagrożenia, jakim był

wycelowany w niego karabin samoczynny.

–Nie strzelaj! – powiedział po arabsku. – Nie strzelaj! – Do Katii mruknął: – Idź

przede mną. Rób dokładnie to, co mówię. I na litość boską, cokolwiek się stanie,

trzymaj ręce w górze.

Ruszyli w kierunku stojącego w półprzysiadzie mężczyzny. Lindros obserwował go kątem oka, patrząc jednocześnie na jego towarzysza w głębi korytarza.

–Stać! – rozkazał terrorysta, gdy znaleźli się kilka kroków od niego. – Plecami do mnie!

Katia posłuchała. Kiedy się odwracała, Lindros błyskawicznie wyciągnął butelkę alkoholu, którą zabrał z izby chorych, otworzył ją i chlusnął terroryście w twarz.

–Na ziemię! – wrzasnął.

Przeskoczył nad padającą Katią i rzucił się na skulonego terrorystę. Wyrwał mu karabin samoczynny, nacisnął spust i zasypał korytarz gradem pocisków. Kilka trafiło drugiego przeciwnika w ramię i nogę. Zatoczył się do tyłu na ścianę.

Odpowiedział ogniem, ale niecelnie. Lindros położył go trupem krótką, precyzyjną serią.

–Chodź! – zawołał do Katii.

Walnął kolbą w podstawę czaszki terrorystę, który wciąż trzymał się za twarz, potem brutalnie go zrewidował w poszukiwaniu dodatkowej broni. Znalazł pistolet i nóż z szerokim ostrzem. Pobiegł korytarzem, Katia za nim. Chwycił karabin samoczynny zabitego Araba i wręczył Katii.

Skierowali się do centrum łączności, które – według słów Katii – było w lewo za rogiem na końcu korytarza.

W środku zastali dwóch ludzi, zajętych przy sprzęcie. Lindros zaszedł z tyłu mężczyznę po prawej stronie, opasał mu szyję ramieniem, szarpnął głowę do góry i podciął gardło. Drugi łącznościowiec odwrócił się i zerwał z miejsca. Nóż rzucony przez Lindrosa trafił go w pierś. Terrorysta wydał z siebie krótki bulgot i wygiął się do tyłu. Jego płuca już wypełniały się krwią. Gdy osunął się martwy na podłogę, Lindros usiadł na jego miejscu i zaczął manipulować przy nadajniku.

–Nie jęcz i nie stój tak. Pilnuj drzwi – rozkazał Katii. – Wal do wszystkiego, co się rusza, i nie zdejmuj palca ze spustu, dopóki nie przestanie!

W słuchawce Fejda al – Sauda rozległ się trzask. Wcisnął ją głębiej do ucha. Po chwili skinął głową.

–Rozumiem. – Odwrócił się do Bourne'a. – Musimy natychmiast wracać do centrum dowodzenia.

Trzej mężczyźni szybko pokonali kilkaset metrów dzielących ich od pojazdu. Łącznościowiec w środku gestykułował gorączkowo. Na ich widok zerwał z głowy słuchawki i przycisnął jedną do lewego ucha, żeby słyszeć jednocześnie ich i to, co

odbierał.

–Łapiemy sygnał z wnętrza kompleksu – zameldował po arabsku. – Ten mężczyzna mówi, że nazywa się Martin Lindros i...

Bourne rzucił się naprzód, wyrwał mu słuchawki z ręki i włożył na głowę.

–Martin? – odezwał się do mikrofonu. – Martin, tu Bourne.

–Jason... żyjesz?

–A jakże!

–Fadi myśli... trupem.

–Tak jak chciałem.

–...teraz jesteś?

–Tutaj, nad tobą.

–...Boże. Jestem tu z kobietą imieniem Katia.

–Katia Veintrop?

Rozległo się krótkie szczeknięcie, które mogło być śmiechem. Fadi, podsłuchujący rozmowę przez pomocniczy system łączności, dał znak Abbudowi ibn Azizowi. Słuchał dalej. Serce waliło mu jak młotem. Bourne żyje! I jest tutaj! O, słodka zemsto. Co może być lepszego?

–Powinienem był się domyślić.

–Martin, jaka... sytuacja?

–...z akcji kilku przeciwników. Jesteśmy dobrze uzbrojeni. Jak dotąd, wszystko gra.

Fadi zobaczył, że Abbud ibn Aziz już wysyła swoich ludzi do centrum łączności.

–Martinie, posłuchaj... wchodzę po ciebie.

–Na razie musimy znaleźć sobie bezpieczniejsze miejsce.

–...bra, ale...maj się, dopóki nie wejdem.

–Tak jest.

–Martinie, kwatera główna nie... bez ciebie. Maddy ciągle pyta... o niej nie zapomniałeś. Chyba nie, co?

–O Maddy? Jak mógłbym zapomnieć!

–Jasne. Trzymaj się. Cześć.

Fadi dotknął bezprzewodowej słuchawki z mikrofonem w prawym uchu, przez którą utrzymywał łączność z dowódcami drużyn.

–Teraz znamy los sovereigna – powiedział do Abbuda ibn Aziza. – Obecność Bourne'a tutaj wyjaśnia wiadomość, którą dostałem od naszych ludzi w Rijadzie. W północnym Iranie wystartowały dwa myśliwce, gdy sovereign nie podał kodu zezwolenia na przelot. Oba zaginęły bez śladu. – Fadi wyszedł na korytarz. – To wszystko oznacza, że Bourne opanował samolot. Musimy zakładać, że zabił Mutę ibn Aziza i pilota. – Objął swojego towarzysza. – Odwagi, przyjacielu. Twój brat zginął śmiercią męczennika, tak jak wszyscy pragniemy umrzeć. Jest bohaterem.

Abbud ibn Aziz przytaknął z powagą.

–Będzie mi go brakowało. – Ucałował Fadięgo w oba policzki. – Uruchomiłem plan rezerwowy. Kiedy samolot się nie zameldował, osobiście załadowałem urządzenie jądrowe do helikoptera. Drugi odrzutowiec czeka w pogotowiu w Mazar – i Szarif.

Wysłałem sygnał twojemu bratu. Teraz, kiedy nie możesz polecieć bezpośrednio stąd, musisz natychmiast wyruszyć w drogę. Mamy dokładnie dwanaście godzin do czasu zdetonowania przez Karima al – Dżamila ładunków C – 4.

–To prawda. Ale nie mogę zignorować faktu, że Bourne żyje. Jest tutaj!

–Ruszaj. Zajmę się nim. Masz dużo ważniejszy cel... Fadi się wściekł.

–Wyobrażasz sobie, że pozwolę, żeby morderca, który z zimną krwią zabił moją siostrę, uniknął zemsty? Bourne musi zginąć z mojej ręki, rozumiesz?

–Tak, oczywiście.

Abbud ibn Aziz poczuł gwałtowny niepokój. Potwierdziły się jego najgorsze obawy: Fadi podzielił siebie między misję Dudźdży i prywatną zemstę. To, że on, Abbud ibn Aziz, jest w samym środku tego pogmatwanego biegu zdarzeń, od jakiegoś czasu powodowało zamęt w jego głowie. Winił za to Mutę ibn Aziza, wciąż słyszał głos brata, karcący go za kłamstwo na temat śmierci Sary ibn Aszef.

On sam nie czuł wewnętrznego rozdarcia. Jego brak reakcji na prawdopodobną śmierć brata był spowodowany obecnym kryzysem. Powtarzał sobie, że ma obowiązek czuwać nad tym, by Fadi koncentrował się wyłącznie na finałowej rozgrywce, nuklearnej karcie, którą Dudźdża – i tylko Dudźdża, spośród wszystkich ugrupowań terrorystycznych – była w stanie zagrać. Wszyscy poświęcili temu jednemu celowi niewyobrażalną ilość czasu, pieniędzy i energii, użyli niezliczonych znajomości. To niedopuszczalne, żeby teraz akcja się nie powiodła przez obsesyjną żądzę Fadięgo, by dokonać prywatnej zemsty.

Zatrzymał ich nagły odgłos strzałów z broni automatycznej wewnątrz kompleksu.

–Lindros! – Fadi wysłuchał meldunku przez słuchawkę w uchu. Straciliśmy następnych sześciu ludzi. – Wściekle zazgrzytał zębami. – Zajmij się nim i żoną Veintropa.

Ale zamiast zawrócić, Abbud ibn Aziz pobiegł w kierunku pochylni wjazdowej. Skoro nie mógł wyperswadować Fadiemu tego szaleństwa, musiał zlikwidować przyczynę obsesji – znaleźć i zabić Jasona Bourne'a.

–No i są – powiedział Tyrone.

On i Soraja przyglądali się, jak biały chevy drugi raz przejeżdża obok aviatora. Zaparkował na drugiego przed rogiem odległej przecznicy. Wysiedli dwaj mężczyźni. W oczach Tyrone'a wyglądali niemal tak samo jak Arabowie, których zadźgał. Choć ci byli młodszy. Ale nosili porządne amerykańskie ubrania.

Jeden został z tyłu i zaczął dłubać wykałaczką w zębach, drugi podszedł do aviatora. Wyjął z kieszeni cieką metalową listewkę. Stał bardzo blisko czarnego pojazdu i wsunął ją między szybę a dolną krawędź okna w drzwiach kierowcy. Po kilku szybkich pchnięciach listewką odryglował zamek. Jednym płynnym ruchem otworzył drzwi i wszedł za kierownicę.

–Dobra – rzucił Tyrone. – Czas się wziąć do roboty.

–Ktoś idzie – ostrzegła Katia.

Lindros podbiegł, chwycił ją za rękę i wypadł z centrum łączności. Usłyszał za sobą krzyki.

–Uciekaj – przynaglił. – Zaczekaj na mnie za rogiem.

–Co ty robisz? Dlaczego stajesz?

–Jason dał mi zaszyfrowany sygnał. Po pierwsze, zorientował się, że nasza rozmowa jest podsłuchiwana. Po drugie, że ma jakiś plan. Muszę mu umożliwić wejście tutaj.

Skinęła głową, wytrzeszczając ze strachu oczy. Kiedy zniknęła, Lindros się odwrócił i zobaczył pierwszego terrorystę. Stłumił w sobie chęć otwarcia ognia i cierpliwie czekał. Gdy w korytarzu pojawiła się cała grupa, skradająca się do centrum łączności, nacisnął spust i skosił ich serią.

Nie czekając, aż zjawią się następni, odwrócił się i popędził za Katią. Odetchnęła z ulgą na jego widok.

–Dokąd teraz? – zapytała, kiedy biegli w kierunku betonowych, schodów.

–Jak najdalej od miejsca, gdzie nas szukają – wysapał Lindros. Zbiegli poziom niżej, gdzie mieściły się pracownie i sale zabiegowe.

Lindros zauważył, że każde laboratorium ma podwójne ściany. Pracownie jądrowe były oddzielone od sal operacyjnych dwiema parami grubych drzwi.

–Tu znajdziemy kryjówkę.

Właz był dobrze schowany, więc rygiel nie był potrzebny.

Bourne Stał samotnie na krawędzi otworu. Fejd al – Saud oczywiście gorączkowo protestował, ale w końcu zgodził się z przyjacielem. Szczerze mówiąc, Bourne nie widział innego wyjścia. Frontalny atak saudyjskich komandosów byłby samobójstwem. Ale jego plan mógł się powieść.

Właz był idealnie gładki. Nie miał żadnych uchwytów ani innych widocznych urządzeń do otwierania i zamykania. Pewnie służyły do tego elektryczne siłowniki, zdalnie sterowane z wjeżdżających i wyjeżdżających pojazdów. A zatem gdzieś w pobliżu włazu musi być odbiornik sygnału z pilota.

Bourne szybko znalazł puszkę połączeniową z odbiornikiem. Zdjął z niej osłonę, prześledził obwody i zwarł odpowiednie kable na krótko. Okazało się, że właz jest unoszony i opuszczany hydraulicznie. Otworzył się cicho do góry i odsłonił betonową pochylnię, poplamioną olejem. Był pewien, że tutaj zniknęły samochody sfotografowane przez satelitę IKONOS. Zdjął z ramienia karabin samoczynny, odbezpieczył i ruszył w dół.

Blask odbitego światła dziennego wkrótce przygasał; zapanował półmrok. Bourne wiedział, że nie ma dobrego sposobu na wejście. Zakładając, że Fadi podsłuchiwał jego rozmowę z Martinem, należało się spodziewać, że gdzieś niedaleko końca pochylni została zastawiona pułapka.

Usłyszał strzały i domyślił się, że Lindros odciąga przeciwnika. Padł na beton, zwinął się w kłębek i stoczył na dół.

Przywarł do ściany, uniósł karabin i zbadał wzrokiem słabo oświetlony korytarz przed sobą. Nie zauważył nikogo, żadnego ruchu. Nie zaskoczyło go to, ale stał się ostrożniejszy.

Zaczął się posuwać w półprzysiadzie wzdłuż ściany. Słabe żarówki w niszach po obu stronach korytarza dawały dość światła, by mógł się zorientować w rozkładzie tej części obiektu.

Na prawo było wejście do podziemnego parkingu. Rozróżnił niewyraźne kształty pojazdów terenowych, które stały w równych rzędach, po wojskowemu. Na wprost korytarz zwężał się lekko. Wyglądało na to, że biegnie przez środek kompleksu.

Szedł dalej. Nagle dostrzegł kątem oka błysk metalu, jakby broni. Szybko obrócił się w prawo i dał nura na parking.

Podłogę natychmiast posiekał grad pocisków, odłamki betonu trafiły go w policzek. Ktoś otworzył ogień z głębi parkingu! Rozbłysły reflektory, oślepiły Bourne'a i unieruchomiły. Rozległ się głęboki, gardłowy ryk silnika i jedna z terenówek wystartowała z piskiem opon prosto na niego.

Bourne pobiegł prosto na pędzący samochód, wybił się do góry i wylądował na masce. Wykorzystał impet pojazdu i własną siłę, gdy został rzucony na przednią szybę – szkło się rozprysło od uderzenia. Bourne wgramolił się do środka i znalazł na siedzeniu obok mężczyzny uderzająco podobnego do Muty ibn Aziza – to mógł być tylko Abbud.

Terrorysta trzymał odbezpieczoną broń, ale Bourne złapał za kierownicę i szarpnął mocno w prawo. Siła odśrodkowa rzuciła go na kierowcę. Huknął strzał i ogłuszył ich obu, ale pocisk utkwiał w słupku drzwi. Abbud ibn Aziz jeszcze dwukrotnie nacisnął spust, zanim samochód uderzył w betonową ścianę.

Bourne przygotował się na kolizję. Poleciał do przodu i z powrotem na oparcie. Siedzący obok niego Abbud ibn Aziz walnął twarzą w górną część kierownicy i wyszedł z wypadku z rozciętym czołem i pękniętą kością nad prawym okiem.

Bourne wyrwał mu broń z bezwładnych palców i zdzielił go w policzek. Wiedział, że ma mało czasu, ale był zdecydowany wyjaśnić do końca tajemnicę śmierci Sary ibn Aszef.

–Co się wydarzyło tamtej nocy w Odessie, Abbudzie?

Celowo opuścił nazwisko terrorysty, co oznaczało pogardę. Abbud ibn Aziz siedział ze zwieszoną głową. Krwawił z kilku ran.

–O co ci chodzi?

–Zastrzeleń Sarę ibn Aszef.

–Oszalałeś?

–Wiem to od Muty. Powiedział mi. Ty zabiłeś siostrę Fadięgo, nie ja. Wielu nieszczęść można byłoby uniknąć, gdybyś tylko ujawnił prawdę.

–Prawdę? – Abbud splunął krwią. – Na pustyni nie ma czegoś takiego jak prawda. Wszystko się stale zmienia, jak położenie piasku.

–Dlaczego skłamałeś?

Zaczął kaszleć, z ust ciekła mu krew.

–Powiedz, dlaczego zataiłeś prawdę o śmierci Sary ibn Aszef? – naciskał Bourne.

Abbud ibn Aziz znów splunął i omal się nie udławił własną krwią. Kiedy trochę doszedł do siebie, wymamrotał:

–Dlaczego mam ci cokolwiek mówić?

–To jest twój koniec, Abbudzie. Umierasz. Śmierć w wypadku samochodowym nie zapewni ci miejsca w niebie. Ale jeśli ja cię zabiję, zginiesz jak męczennik, w blasku chwały.

Abbud odwrócił wzrok, jakby w ten sposób mógł uniknąć swojego losu.

–Musiałem okłamać Fadięgo. Prawda by go zniszczyła.

–Czas ucieka. – Bourne przystawił mu nóż do gardła. – Teraz już tylko ja mogę ci pomóc. Za chwilę będzie za późno. Stracisz szansę na *szahadę*.

–Co ty, niewierny, wiesz o *szahadzie*?

–Wiem, że bez *dżihadu* nie może być męczeństwa. A *dżihad* to globalna walka za prawdę. Jeśli nie wyjawisz prawdy, nie będziesz godny *dżihadu* i *szahady*. Bez mojej pomocy nie dasz świadectwa prawdzie, jaką jest Allah. Dlatego twoja święta wojna w

imię Allaha, całe twoje istnienie, będzie bez znaczenia.

Abbud ibn Aziz poczuł, że oczy pieką go od łez. Tak, teraz potrzebował swojego wroga. Allah postawił go przed ostatnim straszliwym wyborem: wyznać prawdę lub być potępionym na wieczność. W tym momencie zrozumiał, że Muta ibn Aziz miał słuszność. Pogrzebały go ruchome piaski prawdy. Gdyby tylko od razu ją wyznał... A teraz, żeby godnie umrzeć, żeby być czystym w oczach Allaha i w imię wszystkiego, co uważa za święte, będzie musiał zdradzić Fadięgo.

Zamknął na chwilę oczy i zrezygnował z oporu. Potem spojrzał w górę na Bourne'a.

–To ja zastrzeliłem Sarę ibn Aszef, nie mój brat. Musiałem to zrobić. Sześć dni przed jej śmiercią odkryłem, że ma romans. Wziąłem ją na bok na rozmowę. Nie zadała sobie trudu, żeby zaprzeczyć. Przypomniałem, że prawo pustyni nakazuje, żeby popełniła samobójstwo. Wyśmiała mnie. Powiedziałem jej, że jeśli sama odbierze sobie życie, uwolni swoich braci od przymusu zrobienia tego za nią. Kazała mi zejść sobie z oczu. – Abbud urwał na chwilę. Wspomnienie tamtej konfrontacji wyraźnie pozbawiło go resztek sił. Ale zebrał się w sobie. – Spieszyła się na spotkanie z kochankiem. Zignorowała mnie. Nadal zdradzała własną rodzinę. Byłem zaszokowany, ale nie zaskoczony. Już nie pamiętam, ile razy mi zarzucała, że wypaczamy islam, przekręcamy święte słowa Allaha, by forsować naszą sprawę, usprawiedliwiać to, że... Jak ona się wyraziła...? A tak, że siejemy śmierć. Odwróciła się plecami do pustyni, do dziedzictwa beduinów. Przynosiła swojej rodzinie tylko wstyd i poniżenie. Zastrzeliłem Sarę ibn Aszef. Jestem z tego dumny. To było zabójstwo ze szlachetnych pobudek.

Bourne'owi robiło się od tego niedobrze. Dość usłyszał. Bez słowa przeciągnął ostrzem noża po gardle Abbuda ibn Aziza i wysunął się z samochodu, gdy przednie siedzenie zalała krew.

W chwili gdy Abbud ibn Aziz postąpił wbrew rozkazom, Fadi wyciągnął pistolet i wycelował mu w plecy. Gdyby nie grad pocisków, bez wahania zastrzeliłby swojego zastępcę. Uważał, że nic nie usprawiedliwia niesubordynacji. Rozkazy należy wykonywać bez namysłu i zadawania pytań. To nie ONZ; nie wszyscy mają prawo głosu.

Kiedy biegł do centrum łączności, te myśli tłukły mu się po głowie, wywoływały echa, których nie chciał słyszeć. Jego zdaniem bracia Azizowie od jakiegoś czasu dziwnie się zachowywali. Zawsze wdawali się w utarczki słowne ze sobą. Ostatnio jednak klócili się za zamkniętymi drzwiami. Potem żaden z nich nie chciał o tym mówić, ale Fadi zauważył, że tarcia między braćmi zaczyna przeszkadzać im w pracy. Dlatego w tym ważnym momencie wysłał Mutę ibn Aziza do Stambułu. Musiał rozdzielić Azizów, dać obu czas na to, żeby ochłonęli i nie odnosili się do siebie z wrogością. Teraz Muta nie żył, a Abbud nie wykonał rozkazu. Fadi nie mógł więc już polegać na żadnym z braci.

Zobaczył rzeź, gdy tylko skręcił za róg do centrum łączności. Ponury i wściekły przeszedł między ciałami, unosząc wysoko nogi jak stremowany koń arabski. Sprawdził, czy ktoś żyje. Wszyscy martwi, osiem trupów. A zatem Lindros zdobył

więcej broni.

Klnąc pod nosem, już miał wrócić do pochylni wjazdowej, kiedy zatrzeszczała jego słuchawka.

–Zlokalizowaliśmy zbiegów – zameldował jeden z jego ludzi. Fadi stężał.

–Gdzie są?

–Na dolnym poziomie. Kierują się do laboratoriów uranowych. Po bombę, pomyślał Fadi.

–Mamy wkroczyć?

–Obserwujcie ich, ale w żadnym wypadku nie nawiązujcie z nimi walki, jasne?

–Tak jest.

Wiadomość sprawiła, że zapomniał o zemście. Gdyby Lindros znalazł bombę jądrową i helikopter, miałby wszystko, Tyle pracy, czasu, poświęcenia i przelanej krwi poszłoby na marne.

Pobiegł korytarzem, skręcił w lewo, potem jeszcze raz. Zobaczył przed sobą otwarte drzwi windy towarowej. Wszedł szybko do środka i wcisnął dolny przycisk na panelu. Drzwi się zasunęły i zaczął zjeżdżać na niższą kondygnację.

W pewnej chwili, gdy posuwali się szybko naprzód wzdłuż laboratoriów na dolnym poziomie, Lindros zorientował się, że są śledzeni. Oczywiście popsuło mu to szyki, ale też napełniło go obawą. Dlaczego ci obserwatorzy nie wkraczają, jak poprzednia grupa?

Zauważył w biegu, że Katia płacze. Przemoc i śmierć, które widziała, wstrząsnęłyby każdym, zwłaszcza cywilem nieobeznanym z niewolą i walką. Mimo to dotrzymywała mu kroku.

Nagle skręciła w stronę otwartych drzwi, pochyliła się i zwymiotowała. Lindros otoczył ją ramieniem i przytrzymał, opierając kolbę karabinu na drugim biodrze. W tym samym momencie zerknął w głąb sali operacyjnej, do której weszli. To tutaj doktor Andursky wyjął mu prawe oko i przeistoczył Karima w przerażającego sobowtóra dowódcy Tyfona. Kiedy skończył makabryczną pracę, przyprowadził Lindrosa, żeby mu pokazać swoje dzieło, i żeby fałszywy Martin Lindros wypytał prawdziwego o rzeczy, dzięki którym łatwiej można było oszukać agentów CIA i Jasona Bourne'a. Właśnie wtedy Lindros wymyślił pewien szyfr w nadziei, że dotrze do Jasona.

Sala najpierw wydała mu się pusta, ale potem zobaczył za dwoma stołami operacyjnymi szczerzą twarz skulonego ze strachu doktora Andursky'ego.

Soraja, z ramionami oplecionymi mocno wokół twardego pasa Tyrone'a, siedziała z tyłu na jego czerwonym kawasaki ninja ZX – 12R. Jechali Piątą ulicą przez Northeast za odzyskanym przez właścicieli czarnym fordem aviatorem i białym chevy. Skręcili na północny zachód we Florida Avenue.

Soraja widziała, że Tyrone jest doskonałym kierowcą i zna cały Waszyngton, nie tylko swoją dzielnicę. Lawirował w gęstym ruchu i utrzymywał bezpieczny, dość duży dystans. W jednym momencie był trzy długości samochodu za ich ofiarami, w następnym pięć. Ale Soraja ani przez chwilę nie obawiała się, że zgubią śledzone cele.

Wjechali Florida Avenue do kwadrantu Northwest, skręcili w prawo w Sherman Avenue i skierowali się na północ. Na skrzyżowaniu z Park Road odbili lekko w prawo w New Hampshire, potem niemal natychmiast w przeciwną stronę w Spring Road, która doprowadziła ich do Szesnastej ulicy, gdzie pojechali w lewo.

Znów podróżowali na północ, mniej więcej równolegle do wschodniego skraju Rock Creek Park. Oba samochody minęły północno – wschodni kraniec parku i wjechały do pomieszczenia przeładunkowego dużego domu pogrzebowego. Tyrone wyłączył silnik kawasaki. Gdy zsiadli z motoru, zobaczyli, że wewnętrzna ściana z prawej strony pomieszczenia zaczyna się opuszczać.

Na murze znajdowała się kamera systemu bezpieczeństwa. Obracała się wolno tam i z powrotem, omiatając obiektywem cały teren.

Dwa pojazdy przejechały przez otwór i stoczyły się powoli po betonowej pochylni. Przyglądając się kamerze, Soraja wyliczyła, że jeśli pójdą za samochodami, natychmiast znajdą się w obiektywie. Kamera odwracała się teraz od nich, ale bardzo wolno. Betonowa ściana wysuwała się do góry ze szczeliny w podłodze.

Powoli podchodzili coraz bliżej. Kiedy ściana była podniesiona do połowy, Soraja klepnęła Tyrone'a w plecy. Wystartowali sprintem w kierunku malejącego otworu i wskoczyli do środka w ostatniej chwili. Wylądowali na betonowej pochylni.

Ściana zamknęła się za nimi i otoczyła ich przesycona spalinami ciemność.

Fejd al – Saud stał na południowo – zachodnim końcu kamienistego jaru. Ładunki wybuchowe zostały już podłożone. Wydawało się to niewiarygodne, ale Dudźdża dowierciła się do podziemnej rzeki. Jego ludzie odkryli trzy wielkie rury. Wewnątrz kompleksu musiały być zawory regulujące dopływ wody. Zamierzali je zniszczyć.

Cofnął się kilkaset metrów i zobaczył, że jego zdyscyplinowani podkomendni otoczyli jar. Uniósł rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę dwóch saperów.

W upale i zupełnym bezruchu wrócił myślami do chwili, gdy Jason Bourne przedstawił mu swój plan. Najpierw podszedł do tego z niedowierzaniem. Powiedział Bourne'owi, że to szaleństwo. „Zrobimy po staremu”, oświadczył. „Przeprowadzimy frontalny atak”.

„Wyślesz swoich ludzi na pewną śmierć”, odparł Bourne. „Jestem przekonany, że Fadi podsłuchiwał moją rozmowę z Lindrosem; czyli wcześniej monitorował też łączność między tobą i twoimi zwiadowcami”.

„Ale co z tobą?”, zapytał Fejd al – Saud. „Jeśli wejdiesz tam sam, terroryści położą cię trupem, jak tylko się pokażesz”.

„I tu się mylisz”, odparł Bourne. „Fadi chce mnie zabić osobiście. Inne rozwiązanie jest dla niego nie do przyjęcia. Poza tym ma słaby punkt. Błędnie uważa, że przeniknął do mojego umysłu. Spodziewa się dywersji. Lindros jej dokona, żeby dać mu fałszywe poczucie satysfakcji. Fadi będzie pewien, że przejrzał moją taktykę i sytuacja jest pod kontrolą”.

„Wtedy wkroczymy”, dokończył Fejd al – Saud ze zrozumieniem. „Masz rację. Ten plan jest tak nieszablony, że to się po prostu może udać”.

Zerknął na zegarek. Teraz, kiedy się w to zaangażował, chciał już zacząć. Ale Bourne nalegał, żeby ściśle trzymali się ustaleń. „Musisz mi dać piętnaście minut na

to, co mam zrobić”.

Zostało dziewięćdziesiąt sekund.

Fejd al – Saud popatrzył na kamieniste dno jaru, które w rzeczywistości okazało się wyschniętym korytem rzeki, tak jak mówił Bourne. Dno zapadało się wolno pod ziemię, do wody płynącej niegdyś, dawno temu, na powierzchni. Podziemna rzeka zaopatrywała ośrodek jądrowy Dudźdży w niezbędną bieżącą wodę. Ludzie Fejda al – Sauda rozmieścili ładunki wybuchowe na końcu koryta, przy kompleksie. Eksplozja miała służyć dwóm celom: zatopieniu lub wymyciu na zewnątrz terrorystów i zabezpieczeniu pojemników ze wzbogaconym uranem do czasu, aż obiekt przejmą amerykańscy i saudyjscy eksperci.

Piętnaście sekund. Fejd al – Saud wolno powiódł wzrokiem po swoich ludziach. Byli po odprawie; wiedzieli, o jaką stawkę toczy się gra, i co mają robić.

Opuścił rękę. Włączyli zapalniki. Dwa wybuchy nastąpiły w odstępie kilku sekund, ale w uszach Fejda al – Sauda i jego podkomendnych zabrzmiały jak jeden długi grzmot. Poczuli podmuch, posypał się grad skalnych odłamków, a potem rozległ się odgłos, na który wszyscy czekali: huk wody pędzącej drogą, którą wyżłobiła sobie w podłożu.

Na dole w obiekcie Dudźdży potężne eksplozje wywołały taki efekt jak trzęsienie ziemi. W sali operacyjnej wszystko na półkach spadło na podłogę. Drzwi szafek otworzyły się gwałtownie i zawartość wysypała się na zewnątrz. Posadzkę zalały płyny, zaścieliły kawałki szkła, pogiętego plastiku i narzędzia chirurgiczne.

Katia, trzymając się Lindrosa i framugi drzwi, wytarła usta.

–Chodźmy! Musimy się stąd wydostać!

Tak, mieli już bardzo mało czasu na dotarcie do bezpiecznego miejsca, gdzie mogliby przeczekać najgorsze.

A jednak Lindros nie mógł się ruszyć. Stał ze wzrokiem utkwionym w twarzy Andursky'ego. Ileż to razy podczas rekonwalescencji po brutalnym zabiegu marzył o zabiciu doktora. Ale nie o zwykłym morderstwie. Mój Boże! Wymyślał najróżniejsze metody unicestwienia oprawcy. Bywały dni, kiedy tylko te fantazje chroniły go przed obłędem. Mimo to co jakiś czas śniły mu się kruki dziobiące Andursky'ego, odrywające ciało od kości, odsłaniające szkielet, by piasek niesiony wiatrem stał z niego wszelkie ślady życia. Sen był tak wyrazisty, tak szczegółowy, że czasami Lindros nie mógł się pozbyć wrażenia, iż przekroczył próg szaleństwa.

Choć zdawał sobie sprawę, że musi się pospieszyć, jeśli chce ocaleć, wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki Andursky żyje.

–Idź sama – powiedział do Katii. – Postaraj się dotrzeć jak najbliżej laboratoriów jądrowych i ukryj się w pierwszym napotkanym otworze wentylacyjnym.

–Chodź ze mną. – Katia pociągnęła go za ramię. – Pójdziemy razem.

–Nie, mam tu coś do załatwienia.

–Obiecałeś, że mi pomożesz.

Odwrócił się i spojrzał na nią swoim jedynym okiem.

–Pomagam ci. Ale zrozum, jeśli nie zrobię tego, co muszę, będę żywym trupem.

Wzdrygnęła się.

–Więc zostanę z tobą.

Cały obiekt zatrząsł się mocno i jęknął jak z bólu. Lindros usłyszał gdzieś w pobliżu hałas walącej się ściany.

–Nie – odparł ostrym tonem. – To nie jest wyjście. Uniosła karabin.

–A ja mówię, że jest.

Lindros uległ. Co innego mógł zrobić? Czas uciekał. W oddali rozległ się huk, narastał, zbliżał się z każdą sekundą. Woda! – pomyślał Lindros. Dobry Boże, Jason zatapia kompleks!

Bez słowa ruszył w głąb sali operacyjnej. Katia trzymała się kilka kroków za nim z karabinem gotowym do strzału. Od kilku minut, odkąd opuścili centrum łączności, przyglądała się uważnie Lindrosowi, żeby wiedzieć, jak się posługiwać bronią.

Lindros zbliżał się do doktora Andursky'ego. Chirurg przez cały czas pozostawał w tej samej pozycji, skulony za stołem operacyjnym, na którym wyjął Lindrosowi oko. Wpatrywał się w Martina jak królik zahipnotyzowany widokiem sowy, spadającej cicho z półmroku, by pochwycić go w potężne szpony.

Idąc przez salę operacyjną, Lindros starał się nie oddychać nosem, żeby nie czuć mdłego, słodkawego zapachu środków znieczulających. Znów musiał walczyć z koszmarem bezradności i przerażenia, który niemal go sparaliżował, kiedy po przebudzeniu odkrył, co mu wydarto.

Ale teraz miał przed sobą Andursky'ego, zaciskał palce na jego ciele, zdierał mu skórę z piersi.

–Cześć, doktorze – powiedział.

–Nie, proszę, nie. Ja nie chciałem. Zmusili mnie.

–Ach tak. Sprowadzali ci małych chłopców, a potem zmusili cię do wydłubania mi oka? Nalegali, żebyś to zrobił, bo inaczej co? Przestaną cię obsługiwać?

–Martin! – zawołała Katia z oczami rozszerzonymi strachem. – Nie mamy już czasu. Choć wreszcie! Na miłość boską, proszę!

–Tak, tak, posłuchaj jej. Miej litość. – Andursky chlipał i trząsł się niemal jak ściany wokół nich. – Nie rozumiesz tego. Jestem słaby.

–A ja z każdym oddechem staję się silniejszy – odparł Lindros i przyciągnął do siebie chirurga jak kochankę. Ale to zbliżenie miało się skończyć inaczej.

Lindros wykrzesał z siebie ogromną siłę i wcisnął Andursky'emu kciuki w oczy.

Chirurg wrzasnął i szarpnął się, rozpaczliwie próbując się wyrwać. Ale Lindros trzymał go w stalowym uścisku śmierci. Wkładał w to każdą cząstkę swego jestestwa. W ekstatycznym transie czuł pod opuszkami palców miękką, sprężystą tkankę gałek ocznych. Nabrał powietrza, wypuścił je i wolno, nieubłaganie coraz głębiej wpychał kciuki w oczodoły Andursky'ego.

Chirurg znów wrzasnął. Przeraźliwy, nieludzki krzyk ucichł nagle, gdy palce Lindrosa weszły do końca. Andursky podskoczył lekko, jego Układ nerwowy drgnął resztką energii, która pozostała w ciele. Potem chirurg znieruchomiał i uwolniony przez Lindrosa osunął się na podłogę, jakby cały jego szkielet się rozplynął.

Fadi usłyszał krzyki bólu w kompleksie, Który zaprojektował i pomógł zbudować. Zobaczył pęknięcia w zbrojonym betonie przypominające błyskawice na niebie. Potem w korytarzach rozległ się gardłowy ryk, i już wiedział, że do środka wdarła się woda, tysiące litrów zalewają laboratoria. Nie potrafił myśleć o niczym innym poza urządzeniem jądrowym.

Gnał naprzód korytarzem. Minął windę i odepchnął na bok strażników, którzy patrzyli na niego, oczekując instrukcji. Wysłał ich do frontowego wejścia, żeby znaleźli Bourne'a, potem o nich zapomniał. I tak wszyscy byli mięsem armatnim. Jakie to miało znaczenie, że zginą? Tam, skąd pochodzili, czekali następni, mnóstwo młodych ludzi, gotowych pójść za nim wszędzie, umrzeć za niego, zostać męczennikami za sprawę, za marzenie, że kiedyś będą żyli w sprawiedliwym świecie – bez niewiernych.

Brutalny radykalizm, do którego zmusili go wrogowie, był jego dewizą przez całe dorosłe życie. Powtarzał ją sobie kilka razy dziennie, choć nigdy nie przyszło mu do głowy, że musi usprawiedliwiać przed samym sobą swoje decyzje i czyny. Bezgranicznie wierzył, że jego umysłem, sercem i ręką kieruje Allah. Do tej chwili w ogóle nie brał pod uwagę tego, że ich plan może się nie powieść. Teraz ta myśl przesłoniła wszystko, nawet obsesyjną żądzę pomśzczenia kalectwa ojca i śmierci siostry.

Zbiegł po schodach. Na dolnym poziomie woda sięgnęła mu do łydek. Wyciągnął glocka 36, sprawdził magazynek czterdziestki piątki – pełny. Woda omywała mu nogi, podnosiła się z każdym jego krokiem. Miał wrażenie, że wchodzi w przyływ morza. To uczucie przywołało wspomnienie spotkania z Bourne'em pod moło w Odessie. Jakże pragnął go tam wykończyć. Był pewien, że gdyby nie ten cholerny pies, dokonałby zemsty.

Ale wiedział, że to nie pora na rozpamiętywanie przyczyny niepowodzenia. I nie należał do ludzi, którzy się zastanawiają, co by było, gdyby. Pragmatyzm nakazywał mu dotrzeć do helikoptera z ważnym ładunkiem. Na nieszczęście, tajne wyjście na zamaskowane lądowisko znajdowało się na samym końcu dolnego poziomu. Ulokowano je tam celowo, żeby było jak najbliżej laboratoriów jądrowych, gdzie zamierzał być Fadi, gdyby kiedykolwiek wykryto i zaatakowano obiekt.

Nie spodziewał się jednak, że oddział szturmowy odkryje podziemną rzekę. Na dodatek w części kompleksu, do której się kierował, najszybciej przybywało wody. Ale po dotarciu do celu byłby bezpieczny, bo całe lądowisko otaczały szerokie odpływy. Ta myśl zaprzętała go w momencie, gdy mijał biegiem otwarte drzwi sali operacyjnej i zobaczył Katię. Co zabawne, miała w rękach jeden z jego własnych karabinów samoczynnych. Ale to nie żona Veintropa przykuła jego uwagę. Zatrzymał go widok Martina Lindrosa. Więzień stał z zakrwawionymi rękami nad zwłokami człowieka, który go okaleczył, doktora Andursky'ego.

W ciemności pod domem pogrzebowym rozbrzmiewał chóralny arabski zaśpiew. Ludzie Karima modlili się pochyleni w kierunku Mekki. Od podnóża betonowego zjazdu sięgały w górę smugi światła. Przypominały palce ręki. Tyrone był w

sportowych butach, ale Soraja zdjęła swoje, żeby nie hałasować.

Zeszli ostrożnie do końca pochylni i zajrzeli do podziemia. Soraja zobaczyła dwa samochody, które śledzili: białego chevy i czarnego aviatora. Za nimi stała lśniąca czarna limuzyna. Po lewej stronie aviatora klęczeli na małych dywanikach modlitewnych czterej mężczyźni z czołami przy ziemi. Na prawo były przeszklone drzwi. Soraja wyciągnęła szyję, ale nie mogła dostrzec, co jest za szybą.

Czekali. Wreszcie modlitwa dobiegła końca. Mężczyźni wstali, zwinęli dywaniki i odłożyli na bok. Potem grupa się rozdzieliła. Dwaj Arabowie wspięli się po spiralnych schodach z nierdzewnej stali do domu pogrzebowego. Pozostała para włożyła lateksowe rękawiczki, otworzyła drzwi aviatora i zaczęła go badać tak gruntownie i drobiazgowo jak zespół zawodowych kryminologów.

Soraja, ciekawa tego, co jest za przeszklonymi drzwiami, dała znak Tyrone'owi, żeby został na miejscu i osłaniał ją w razie potrzeby. Skinął głową, wyciągnął tani pistolet z chwytem owiniętym czarną taśmą izolacyjną i cofnął się w mrok. Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich kilku godzin jego obecność dodała Sorai otuchy. Potrafił sobie radzić i znał miasto dużo lepiej niż ona.

Obserwowała mężczyzn badających aviatora i czekała, aż obaj odwrócą się tyłem do pochylni. Kiedy to zrobili, przebiegła cicho do drzwi. Przekręciła gałkę, otworzyła je i wśliznęła się do środka.

Natychmiast owionęło ją zimno z chłodni, gdzie trzymano zwłoki. Przed sobą miała krótki, szeroki korytarz z sześcioma otwartymi wejściami. Zajrzała do pierwszego pomieszczenia i rozpoznała trupy dwóch ludzi, którzy ją zaatakowali przy placu budowy. Zgodnie z tradycją ascetycznego saudyjskiego islamu ciała ułożono na gołych drewnianych płytach i ubrano w najprostsze szaty. Nie zamierzano balsamować zwłok.

Poczuła przyspieszone bicie serca. Ci martwi mężczyźni byli jej pierwszym niezbitym dowodem na to, że Karim współpracuje z terrorystami Dudźdży usadowionymi w Waszyngtonie. Jak wszyscy mogli przeoczyć, że tuż pod ich nosem działa uśpiona komórka Dudźdży? Supernowoczesny sprzęt monitorujący to dobra rzecz, ale nawet najlepsze urządzenia elektroniczne nie mogą wyłapać każdego podejrzanego osobnika, który przedostaje się na terytorium Ameryki.

Drugie i trzecie pomieszczenie były puste, ale w czwartym natknęła się na mężczyznę z ciemną karnacją – pochylał się nad stołem do balsamowania. Miał lateksowe rękawiczki i wpompowywał do leżącego ciała różowy płyn. Co jakiś czas przerywał, odkładał sondę i nagniał palcami blade zwłoki, by wymusić równomierne krążenie płynu balsamującego w żyłach i tętnicach nieboszczyka.

Kiedy balsamista przesunął się od prawej strony stołu do lewej, Soraja zobaczyła głowę, a potem twarz zmarłego. Gdy tylko otrząsnęła się z szoku i zdołała przetworzyć obraz, przygryzła wargę, żeby nie krzyknąć.

Nie, pomyślała. Niedowierzenie i panika walczyły o zawładnięcie jej umysłem. To niemożliwe.

A jednak...

W domu pogrzebowym prowadzonym przez Dudźdżę leżały zwłoki dyrektora CIA.

Stary miał w piersi otwór po pocisku wystrzelonym w jego serce.

Kiedy tylko Bourne zapamiętał plan kompleksu przymocowany do ściany, wybiegł z parkingu. Natychmiast zobaczył grupę uzbrojonych terrorystów – biegli w jego kierunku, otworzyli ogień. Dał nura z powrotem i wskoczył do najmniejszego pojazdu. Na szczęście, tak jak w pozostałych, kluczyk tkwił w stacyjce; nie trzeba było tracić czasu na odpalanie silnika na krótko.

Bourne wypadł na korytarz i wcisnął gaź do podłogi. Pojazd pomknął przed siebie jak strzała. Uderzył w grupę terrorystów, po jednych przejechał, innych odrzucił na boki. Bourne pędził wzdłuż centralnej osi obiektu, dopóki nie dotarł do windy towarowej.

Gdy rozsunęły się drzwi, wjechał do środka i zmiażdżył czterech następnych ludzi. Wyskoczył z samochodu i wcisnął dolny przycisk w windzie. Kiedy wielka kabina ruszyła w dół, chwycił jeden z karabinów samoczynnych.

Winda dotarła do celu i zatrzymała się, ale drzwi pozostały zamknięte. Z korytarza na zewnątrz przeciekała do środka woda. Bourne otworzył panel na bocznej ścianie kabiny i wcisnął ręczne sterowanie. Nie zadziało.

Wdrapał się na dach pojazdu, zebrał w sobie i walnął kilka razy kolbą karabinu w mały kwadratowy właz w suficie windy. Pokrywa w końcu ustąpiła. Odepchnął ją, zarzucił broń na plecy i podciągnął się do góry. Na dachu kabiny przykleknął obok podłużnej skrzynki rozdzielczej i otworzył ją z trzaskiem. W środku znalazł obwód sterujący drzwiami. Połączył jego przewody ze źródłem zasilania mechanizmu windy. Drzwi się rozsunęły i do środka wtargnęła woda.

Wrócił za kierownicę pojazdu, wrzucił bieg i wyjechał z piskiem opon na podtopioną dolną kondygnację. Skierował się w stronę laboratoriów jądrowych i przyspieszył. Poziom wody rósł. Lada chwila mógł być zalany silnik. A gdyby samochód stanął, Bourne straciłby całą przewagę.

Ale chwilę później i tak musiał zahamować. Zobaczył przed sobą Fadięgo, który stał na środku korytarza i blokował mu drogę. Terrorysta opasywał potężnym lewym ramieniem szyję Martina Lindrosa i zasłaniał się schwytanym mężczyzną jak tarczą. Prawą ręką przyciskał mu do skroni lufę glocka 36.

–Tu się kończy mój pościg za tobą, Bourne! – krzyknął Fadięgo przez huk napływającej wody i hałas silnika. – Wyłącz zapłon! Z samochodu! Już!

Bourne wykonał polecenia. Teraz, z mniejszej odległości, zauważył w prawym uchu Fadięgo bezprzewodową słuchawkę z mikrofonem. Istotnie, terrorysta monitorował łączność.

–Rzuć broń! A teraz trzymaj ręce tak, żebym je widział, i podejdź do mnie. Bardzo wolno.

Bourne ruszył przez wodę. Nie odrywał wzroku od okaleczonej twarzy Martina. Lindros patrzył na niego z wyrazem dumy w swoim jedynym oku. Bourne wyczuł, że przyjaciel zamierza zrobić jakiś ruch, i chciał go przed tym ostrzec; miał własny plan rozprawienia się z Fadięm. Ale Lindros zawsze pragnął zostać bohaterem.

W jego rękę błysnął skalpel. Wbił go Fadięmu w udo. Padł strzał z glocka. Pistolet był wycelowany w głowę Martina, ale ciałem Fadięgo wstrząsnął spazm bólu i szoku,

dlatego pocisk przeszedł po szczęce Lindrosa. Mimo to, trafienie z czterdziestki piątki rzuciło Martina przez otwarte drzwi do sali operacyjnej.

Bourne skoczył. Uderzył Fadięgo barkiem w splot słoneczny, gdy terrorysta wrywał ostrze z mięśnia. Obaj runęli do wody po kolana. Bourne dosięgnął glocka i wykręcił go do góry, więc broń wypaliła w powietrze. Fadi dźgnął skalpelem w kierunku lewego boku przeciwnika.

Bourne był na to przygotowany. Podbił prawą rękę Fadięgo z pistoletem tak, że ostrze ześlizgnęło się po szerokiej lufie. Fadi zdał sobie sprawę, że glock jest w wodzie bezużyteczny, wypuścił go z dłoni, złapał Bourne'a za koszulę i przewrócił na plecy. Przydusił go prawym łokciem, przytrzymał mu głowę pod wodą i zadał skalpelem kilka ciosów w dół.

Bourne wiercił się i wił, robiąc uniki przed ostrzem. Jednocześnie wynurzył ręce i z całej siły trzasnął Fadięgo otwartymi dłońmi w uszy. Terrorysta wygiął się do tyłu i złapał za prawe ucho. Uderzenie Bourne'a wbiło mu słuchawkę tak głęboko, że rozerwała błonę bębenkową.

Fadi zgubił skalpel i stracił równowagę. Bourne wyczuł to, obrócił się na biodro i kopnął go „nożycami”. Odrzucił Fadięgo na tyle daleko, że zdążył się podnieść z wody.

Sięgnął po terrorystę. Nagle usłyszał w głębi korytarza potworny ryk. Fadi starał się otrząsnąć po ciosie, krwawił z prawego ucha. Bourne poczuł na wierzchu dłoni ukłucie wężowatego ostrza noża Fadięgo.

Zerwał z siebie skórzany pas i owinął go wokół knykci, by móc się bronić przed dźgnięciami Fadięgo. Ale warstwy skóry zaczęły się rozpadać od cięć. Bourne mógł lada chwila zostać bez środka obrony.

Ryk zamienił się w wycie. Co to jest? Fadi zorientował się, że ma przewagę, i zaczął atakować bardziej precyzyjnie. Desperacja dawała mu nadludzką siłę. Bourne musiał się cofać w kierunku sali operacyjnej.

Kątem oka dostrzegł niewyraźny ruch. Ktoś wyskoczył za próg sali. Kobieta. Katia. Po twarzy spływały jej łzy. Ręce miała czerwone... od krwi Martina. To ona próbowała uciec razem z Lindrosem. Ale Fadi ich znalazł. Dlaczego Martin nie doprowadził jej w bezpiecznie miejsce, tak jak kazał Bourne? Teraz już za późno.

–Zobacz, co mu zrobili! – zaszlochała Katia. Bourne zauważył w jej dłoni błysk metalu.

Kobieta brnęła korytarzem w jego stronę. Rozległ się przeraźliwy ryk. Katia się obejrzała. Bourne spojrział tam, gdzie ona, i zobaczył ścianę wody. Wypełniała korytarz od podłogi do sufitu i pędziła prosto na nich.

Nóż Fadięgo przeciął ostatnią warstwę prowizorycznej gardy. Kawałki skózanego pasa odpadły i odsłoniły pokaleczone knykcie Bourne'a.

–Wracaj! – krzyknął do Katii. – Schowaj się!

Nie posłuchała go. Ale woda sięgała jej już do pasa, a silny prąd hamował każdy krok. Fadi spróbował zadać śmiertelne pchnięcie. Bourne kopnął go i pozbawił równowagi. Ostrze obróciło się na płask. Bourne odbił je posiniaczonym przedramieniem do góry i od siebie.

Katia zdała sobie sprawę, że utknęła – rzuciła Bourne'owi metalowy przedmiot.

Wyciągnął rękę i złapał narzędzie chirurgiczne za środkową część. Nóż amputacyjny Collinsa miał dwadzieścia dwa centymetry długości. Bourne obrócił go jednym płynnym ruchem i zatopił zakrzywione ostrze w gardle Fadiego. Potem pociągnął nóż w dół przez obojczyk do piersi.

Fadi patrzył na niego z otwartymi ustami. W chwili śmierci był sparaliżowany, bezradny, bezbronny. Zatrzymany w czasie. Wyraz szklistych oczu mówił, że Fadi usiłuje coś zrozumieć. To też mu się nie udało.

Ruchoma ściana wody była już prawie przy nich. Bourne wgramolił się na rozplątany tors terrorysty. Zacisnął palce na kracie otworu wentylacyjnego i podciągnął pod sam sufit. Potem sięgnął w dół po Katię. Nigdy się nie dowiedział, czy była w stanie dołączyć do niego. Stała i patrzyła w przestrzeń, kiedy ją wołał.

Już miał po nią zejść, gdy woda uderzyła go z siłą pięści olbrzymia i pozbawiła tchu. Wyjął niczym demon żyjący na szczycie Ras Daszanu, wyrwała spod niego trupa Fadiego i zabrała ze sobą Katię. Ryczący, spieniony żywioł zalewał kompleks Dudźdży jak biblijny potop, zatapiając i zmywając do czysta wszystko na swojej drodze.

W dzielnym sercu Fejda al – Sauda rosło przeświadczenie, że pewnego dnia – choć nieprędko, może nawet nie za jego życia – walkę z ludźmi, którzy chcą podpalić świat, by zniszczyć jego kraj, uda się wygrać. Zwycięstwo będzie wymagało wielkiego poświęcenia, przekonania, żelaznej woli i niekonwencjonalnych sojuszy z niewiernymi, takimi jak Jason Bourne, którzy rozumieją Arabów i to, czego są świadkami. Przede wszystkim potrzebna będzie cierpliwość i wytrwałość, gdy pojawią się nieuniknione komplikacje. Ale takie dni jak ten wynagrodzą wszystko.

Po zdetonowaniu drugiej partii ładunków C – 4, by odwrócić bieg podziemnej rzeki, jego ludzie dostali się do obiektu Dudźdży przez dziurę po eksplozji. Fejd al – Saud stał na krawędzi zamaskowanego lądowiska dla helikoptera. Wyglądało jak płaskie dno studni. Nad jego głową szyb w skale rozszerzał się blisko wylotu, zasłoniętego specjalnie zaprojektowanym materiałem kamuflującym.

Poziom wody w końcu opadł, odprowadziły ją wielkie kanały odpływowe na dolnej kondygnacji kompleksu.

Bezpośrednio przed Fejdem al – Saudem, na podwyższonej platformie, nieuszkodzonej przez powódź, stał helikopter – na pewno miał zabrać stąd Fadiego i urządzenie jądrowe. Jeden z komandosów pilnował pilota.

Choć Fejd al – Saud był bardzo ciekaw, jak poszło Bourne'owi, miał zrozumiałą niechęć do przekazania tej maszyny pod opiekę kogoś innego.

Poza tym, sam fakt, że helikopter został na miejscu, zamiast odlecieć z Fadim na pokładzie, świadczył o zwycięstwie Bourne'a. Mimo to, Fejd al – Saud wysłał podkomendnych na poszukiwania przyjaciela. Bardzo chciał dzielić z nim tryumfalną chwilę.

Ale zamiast Bourne'a przyprowadzili mu starszego mężczyznę z wysokim, szerokim czołem, wydatnym nosem i w okularach w drucianej oprawce z jednym pękniętym szkłem.

–Poleciałem wam znaleźć Jasona Bourne'a, a wy kogo mi przyprowadzacie? – Fejd al – Saud zamaskował niezadowoleniem niepokój. Gdzie Jason? Leży ranny gdzieś w zalanych wodą czeluściach tego piekła? Czy w ogóle żyje?

–Ten człowiek nazywa się Costin Veintrop – poinformował go dowódca drużyny.

Gdy mężczyzna usłyszał swoje nazwisko podczas szybkiej wymiany zdań po arabsku, uściślił:

–Jestem doktor Costin Veintrop. – Potem dodał coś w tym języku tak nieudolnie, że nikt go nie zrozumiał.

–Po angielsku, proszę – powiedział Fejd al – Saud z nienagannym brytyjskim akcentem.

Veintropowi wyraźnie ulżyło.

–Dzięki Bogu, że się zjawiliście. Moją żonę i mnie uwięziono tutaj. Fejd al – Saud patrzył na niego niemy jak sfinks.

Veintrop odchrząknął.

–Proszę mnie puścić. Muszę znaleźć żonę.

–Podaje się pan za doktora Costina Veintropa. Twierdzi pan, że został wraz z

żoną tutaj uwięziony. – Rosnąca obawa Fejda al – Sauda o los przyjaciela sprawiała, że był coraz bardziej rozdrażniony. – Wiem, kogo tutaj uwięziono. Na pewno nie was.

Wystraszony Veintrop odwrócił się do komandosa, który go przyprowadził.

–Moja żona Katia jest w obiekcie. Nie widzieliście jej? Dowódca drużyny, wzorując się na swoim szefie, patrzył na Veintropa w milczeniu.

–O Boże – jęknął Veintrop po rumuńsku. – O mój Boże jedyny. Całkowicie obojętny Fejd al – Saud spojrział na niego z pogardą, potem odwrócił się na odgłos ruchu za sobą.

–Jason!

Na widok przyjaciela pobiegł do wejścia na lądowisko. Bourne'owi towarzyszyła druga drużyna ludzi Fejda al – Sauda. Podtrzymywali wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, ze zmasakrowaną twarzą i głową.

–Na Allana! – krzyknął Fejd al – Saud. – Fadi żyje czy nie?

–Nie – odparł Bourne.

–Kto to jest, Jasonie?

–Mój przyjaciel Martin Lindros.

–O nie! – Szef sił bezpieczeństwa natychmiast wezwał lekarza swojego oddziału. – Jasonie, w helikopterze jest urządzenie jądrowe. To nie do wiary, ale mieści się w wąskim czarnym neseserze. Jak Fadi tego dokonał?

Bourne popatrzył nienawistnie na Veintropa.

–Witaj, doktorze Sunderland. A może powinienem powiedzieć: Costinie Veintrop?

Mężczyzna się wzdrygnął. Fejd al – Saud uniósł brwi.

–Znasz go?

–Już się raz spotkaliśmy – wyjaśnił Bourne. – Doktor jest wybitnym naukowcem. Ma kilka specjalności. Jedną z nich jest miniaturyzacja.

–Więc to on skonstruował bombę jądrową, która mieści się w neseserze. – Fejd al – Saud miał gniewną minę. – Twierdzi, że on i jego żona byli tu więźniami.

–Właśnie tak – upierał się przy swoim Veintrop. – Nie rozumiecie, że...

–Teraz już wszystko jasne – wszedł mu w słowo Bourne. – A co do twojej żony...

Veintrop gwałtownie wciągnął powietrze.

–Gdzie ona jest? Wiecie? Chcę się widzieć ze swoją Katią!

–Katia nie żyje – powiedział Bourne otwarcie, niemal brutalnie. Nie miał współczucia dla człowieka, który w zмовie z Fadim i Karimem próbował go zniszczyć psychicznie. – Ocalała mnie. Staralem się ją uratować, ale utonęła.

Veintrop zbladł.

–To kłamstwo! – niemal krzyknął. – Macie ją!

Bourne złapał go i zaciągnął tam, skąd przyszedł. Saudyjscy komandoski układali w rzędzie ciała znalezione po przejściu powodzi. Obok Fadiego leżała Katia z głową wygiętą pod nienaturalnym kątem.

Veintrop aż jęknął z bólu. Bourne patrzył, jak doktor osuwa się na kolana. Żal mu było młodej pięknej kobiety, która poświęciła życie, żeby mógł zabić Fadiego. Wydawało się, że pragnęła śmierci przywódcy terrorystów tak samo jak Bourne.

Przeniósł wzrok na Fadiego. Miał wrażenie, że wciąż otwarte oczy wroga patrzą

na niego z nienawistną furią. Wyjął komórkę, przykucnął obok Fadiego i zrobił kilka zdjęć jego twarzy. Potem wstał i zawlókł Veintropa z powrotem na lądowisko śmigłowca.

–Pilot jest w helikopterze? – zapytał Fejda al – Sauda. Szef sił bezpieczeństwa przytaknął.

–Pod strażą. – Wyciągnął rękę. – A tu mam neseser.

–I na pewno jest w nim to urządzenie? – odezwał się Veintrop. Fejd al – Sand spojrzał na swojego eksperta, który skinął głową.

–W środku znajduje się bomba jądrowa.

–Na waszym miejscu sprawdziłbym jeszcze raz – zasugerował dziwnym tonem Veintrop. – Może nie widzieliście całej zawartości.

Szef sił bezpieczeństwa zerknął na Bourne'a. Przyjaciel przytaknął.

–Otwórz to – polecił Fejd al – Saud podwładnemu. Mężczyzna ostrożnie położył neseser na betonie i uniósł wieko.

–Z lewej strony – poinstruował Veintrop. – Nie, bliżej tylnej ścianki. Saudyjszyk wyciągnął szyję i odruchowo się cofnął.

–Zegar sterujący jest uruchomiony.

–Włączył się, kiedy otworzyliście neseser bez użycia kodu. Bourne rozpoznał w głosie Veintropa nutę tryumfu.

–Ile mamy czasu? – zapytał Fejd al – Saud.

–Cztery minuty i trzydzieści siedem sekund.

–Ja zrobiłem ten obwód – pochwalił się Veintrop. – Mogę zatrzymać odliczanie. – Popatrzył po twarzach mężczyzn. – W zamian chcę być wolny. Żadnych oskarżeń. Żadnych negocjacji. Nowe życie, całkowicie opłacone.

–To wszystko? – Bourne uderzył go tak mocno, że Veintrop odbił się od ściany. Bourne go złapał. – Nóż – zażądał.

Fejd al – Saud wiedział, co będzie teraz potrzebne. Bourne natychmiast wbił Veintropowi ostrze tuż powyżej rzepki w kolanie.

Veintrop wrzasnął.

–Coś ty zrobił? – wykrztusił. Potem zaczął spazmatycznie łkać.

–Ja? Co ty zrobiłeś, doktorze? – Bourne przykucnął obok naukowca, trzymając zakrwawiony nóż na poziomie jego wzroku. – Masz niecałe cztery minuty na wyłączenie zegara.

Veintrop ścisnął zranioną nogę i kołysał się w tył i w przód.

–A co... z moimi warunkami?

–Oto moje warunki. – Bourne machnął ostrzem i Veintrop znów wrzasnął.

–Dobrze! Dobrze! Bourne spojrzał w górę.

–Postawcie przed nim otwarty neseser. – Kiedy to zrobiono, powiedział: – Do dzieła, doktorze. Ale pamiętaj, że śledzę każdy twój ruch.

Fejd al – Saud odetchnął z ulgą.

Bourne przyglądał się, jak Veintrop majstruje przy timerze. Według zegarka Bourne'a trwało to dwie minuty. Kiedy doktor skończył, odchylił się na siedząco do tyłu i objął ranne kolano.

Fejd al – Saud dał znak swojemu człowiekowi, żeby sprawdził, co zrobił Veintrop.

–Przewody przecięte – zameldował mężczyzna. – Zegar sterujący nie działa. Nie ma szans, żeby nastąpiła eksplozja.

Veintrop znów zaczął się bezmyślnie kołysać.

–Potrzebuję środka przeciwbólowego – odezwał się tępo.

Fejd al – Saud wezwał lekarza, potem ruszył, żeby zabrać neseser. Bourne ubiegł przyjaciela.

–Będzie mi to potrzebne, żeby dotrzeć do Karima. Szef sił bezpieczeństwa zmarszczył brwi.

–Nie rozumiem.

–Polecę do Waszyngtonu trasą, którą pokonałby Fadi – odparł Bourne tonem nieznośnym sprzeciwu.

Mimo to Fejd al – Saud zapytał:

–Uważasz, że to rozsądne, Jasonie?

–Obawiam się, że w obecnej sytuacji trzeba sobie darować rozsądek – odparł Bourne. – Karim ulokował się na takim stanowisku w CIA, że jest prawie nietykalny. Muszę pójść inną drogą.

–Więc pewnie masz jakiś plan.

–Jak zawsze, przyjacielu.

–W porządku. Mój lekarz zajmie się Lindrosem. •

–Nie – zaprotestował Bourne. – Zabieram Martina ze sobą. Fejd al – Saud znów usłyszał twardy ton w głosie Bourne'a.

–W takim razie lekarz będzie wam towarzyszył.

–Dziękuję – odparł Bourne.

Fejd al – Saud pomógł przyjacielowi wsadzić Martina Lindrosa do śmigłowca. Kiedy Bourne wydawał instrukcje pilotowi Fadiemu, szef sił bezpieczeństwa odesłał swojego człowieka z helikoptera i przyklęknął, żeby pomóc lekarzowi ułożyć rannego jak najwygodniej.

–Ile czasu mu zostało? – zapytał cicho, bo widział, że Lindros umiera. Lekarz wzruszył ramionami.

–Okolo godziny.

Bourne skończył rozmowę z pilotem, który usiadł w swoim fotelu.

–Mam do ciebie kilka prośb. Fejd al – Saud wstał.

–Dla ciebie wszystko, przyjacielu.

–Po pierwsze, potrzebuję telefonu. Mój nie działa.

Jeden z komandosów wręczył szefowi bezpieczeństwa komórkę. Bourne przełożył do niej chip z własnym spisem telefonów.

–Dzięki. Teraz chciałbym, żebyś się skontaktował ze swoimi znajomymi w amerykańskim rządzie i powiedział im, że na pokładzie samolotu, którym będę leciał, są przedstawiciele saudyjskiej misji dyplomatycznej. Jak tylko porozumiem się z pilotem, prześlę ci plan lotu. Nie chcę mieć żadnych problemów z kontrolą paszportową i celną.

–Załatwione.

–Potem zadzwoń do CIA i powtórz to samo. Tylko podaj im czas lądowania o czterdzieści minut późniejszy od tego, który ci przekażę, kiedy pilot sprawdzi prognozę pogody.

–Mój telefon do CIA zaalarmuje oszusta...

–Owszem – przytaknął Bourne.

Na twarzy Fejda al – Sauda pojawił się wyraz niepokoju.

–Podejmujesz bardzo niebezpieczną grę, Jasonie.

Po wygłoszeniu tego ostrzeżenia serdecznie uściskał przyjaciela.

–Allah dał ci skrzydła. Oby cię chronił w czasie misji.

Ucałował Bourne'a w oba policzki i wyszedł z helikoptera. Pilot włączył mechanizm chowający kamuflaż lądowiska. Kiedy się upewnił, że cały personel naziemny jest poza zasięgiem rotora, uruchomił silnik.

Bourne przyklęknął obok Lindrosa i wziął go za rękę. Martin zatrzepotał powieką i otworzył oko. Popatrzył na Bourne'a i uśmiechnął się poharatanymi ustami. Potem mocniej ścisnął jego dłoń.

Bourne'owi łzy napłynęły do oczu. Z trudem je powstrzymał.

–Fadi nie żyje, Martinie – powiedział w narastającym hałasie. – Twoje pragnienie się spełniło. Jesteś bohaterem.

Karim umyślnie spóźnił się na zebranie zarządu agencji. Chciał, żeby szefowie wszystkich siedmiu wydziałów siedzieli już przy stole, kiedy wejdzie. Salę konferencyjną celowo umieszczono w sąsiedztwie pokoi biurowych dyrektora CIA. Była nawet połączona wewnętrznymi drzwiami z gabinetem Starego. Karim z rozmysłem wszedł nimi do sali. Zamierzał po raz kolejny uświadomić Siódemce, bez konieczności przypominania im o tym, jak wysoko stoi w hierarchii agencji.

–Dyrektor przeprasza za swoją nieobecność – powiedział energicznie, zajmując miejsce Starego przy stole. – Zawiadomił mnie za pośrednictwem Annę, która mu towarzyszy, że jest jeszcze na zamkniętym spotkaniu z prezydentem i szefami Połączonych Sztabów. – Otworzył grube akta. Prawdziwe było tylko pięć pierwszych stron, jeśli można by nazwać prawdziwymi informacje celowo przemycane do CIA przez terrorystów. – Teraz, po wyeliminowaniu zagrożenia ze strony Dudźdży, kiedy to ugrupowanie jest już w rozsypce, czas przejść do innych spraw.

–Chwileczkę, Martinie – rozległ się mocny głos Roba Barta, szefa Wydziału Operacyjnego. – Jeśli wolno, zanim zamkniemy ten rozdział, powinniśmy się zastanowić, jak znaleźć samego Fadięgo.

Karim odchylił się do tyłu i zaczął obracać w palcach długopis. Wiedział, że najgorszą rzeczą, jaką mógłby zrobić, byłoby pominięcie tej kwestii. Spotkanie przed kilkoma dniami dowiodło, że Batt mu nie ufa. Nie zamierzał wzbudzać jego podejrzeń.

–Oczywiście – odparł. – Przedyskutujmy tę kwestię.

–Zgadzam się z Robem – powiedział Dick Symes, szef Wydziału Wywiadowczego.

– Jestem za tym, żeby przydzielić do poszukiwań znaczącą część personelu.

Pozostali szefowie zgromadzeni wokół stołu przytaknęli. W obliczu takiej jednorodności Karim oznajmił:

–Pod nieobecność Starego oczywiście zdecyduje większość. Ale chciałbym zwrócić uwagę na kilka rzeczy. Po pierwsze, po zlikwidowaniu najważniejszej bazy operacyjnej Dudźdży nie mamy pojęcia, czy Fadi jeszcze żyje. Jeśli był wewnątrz lub w pobliżu obiektu w Jemenie Południowym, to bez wątpienia zginął wraz z innymi. Po drugie, jeśli przebywał gdzie indziej, nie wiadomo, gdzie może być teraz. Z pewnością się ukrywa. Proponuję poczekać i zobaczyć, czego się dowiemy o siatce Dudźdży. Niech terroryści myślą, że zajęliśmy się czymś innym. Jeśli Fadi żyje, w końcu się ruszy, i wtedy go namierzemy. – Popatrzył po twarzach zebranych. Nie zobaczył zmarszczonych brwi, kręcenia głowami, wymiany ukradkowych spojrzeń między członkami Siódemki. – Po trzecie, i może najważniejsze, musimy zrobić porządek na własnym podwórku – ciągnął. – Mogę potwierdzić pogłoski, że Stary jest atakowany przez sekretarza obrony Hallidaya i jego sługusa w Pentagonie, Luthera LaValle'a. Halliday wiedział o naszym krecie i wirusie komputerowym. Okazało się, że nieżyjący Matthew Lerner też był człowiekiem sekretarza obrony. – Ostatnie słowa wywołały poruszenie wokół stołu. Karim uniósł otwarte dłonie. – Nikomu z nas nie podobala się próba zreorganizowania agencji przez Lernerem. Teraz wiemy, dlaczego te zmiany nam nie pasowały... były dyktowane przez Hallidaya i jego pomocników w NSA.

–No, cóż. Lerner nie żyje. Bez względu na to, jakie tajne wpływy miał tu sekretarz

obrony, to już przeszłość. I teraz, po usunięciu kreta, możemy swobodnie zrobić to, co powinno być zrobione lata temu. Musimy przekształcić CIA w agencję przygotowaną lepiej niż wszystkie inne do prowadzenia wojny ze światowym terroryzmem. – Dlatego proponuję zatrudnić Arabów i muzułmanów, mających rzadko spotykane kwalifikacje, zwolnionych z różnych agencji po 11 września. Żeby wygrać tę nową wojnę, trzeba rozumieć terrorystów, którzy tworzą zlepek naszych wrogów. Musimy przestać mylić Arabów z muzułmanami, Saudyjczyków z Syryjczykami, Azerów z Afgańczykami, sunnitów z szyitami.

–Trudno się z tym nie zgodzić – przyznał Symes.

–Możemy jeszcze przegłosować sugestię Roba – dodał gładko Karim.

Wszyscy spojrzeli na szefa Wydziału Operacyjnego.

–To nie będzie konieczne – powiedział Batt. – Wycofuję sugestię i popieram propozycję Martina.

Bourne siedział na podłodze helikoptera na wprost saudyjskiego chirurga i jego dużej czarnej torby. Między nimi leżało zakrwawione ciało Lindrosa. Lekarz wciąż podawał Martinowi dożylnie środki przeciwbólowe.

–Mogę zrobić tylko jedno: starać się, żeby jak najmniej cierpiał – powiedział, kiedy oddalali się od Miram Shah.

Bourne patrzył na zmasakrowaną twarz Martina i próbował wyczarować w wyobraźni poprzedni wygląd przyjaciela. Nie całkiem mu się to udawało. Pocisk kaliber 45 wystrzelony z pistoletu Fadiego trafił Lindrosa w prawą stronę głowy, rozerwał oczodół i łuk brwiowy. Lekarz zdołał zatamować krwawienie, ale strzał padł z bliska, więc spowodował tak rozległe obrażenia, że nastąpiło zaburzenie funkcji ważnych narządów. Według lekarza wszelkie próby ratowania Martinowi życia były skazane na niepowodzenie.

Martin spał teraz niespokojnie. Patrząc na niego, Bourne czuł jednocześnie wściekłość i rozpacz. Dlaczego to Martina spotkało? Dlaczego nie zdołał go ocalić? Bourne wiedział, że jego cierpienie wynika z bezsilności. To samo przeżywał wtedy, gdy ostatni raz widział Marie. Nie znosił bezradności. Załaziła mu za skórę, wdzierając się w jego psychikę jak świerzb, drwiący głos, którego nie mógł uciszyć.

Westchnął głośno. Byli już ponad górami, więc otworzył komórkę i znów spróbował się połączyć z Sorają. Telefon dzwonił – dobry znak. Ale wciąż nie odbierała – zły znak. Tym razem zostawił w poczcie głosowej krótką wiadomość, nawiązującą do Odessy. Informację mogła rozszyfrować tylko Soraja.

Potem zadzwonił na komórkę do Derona. Chłopak jeszcze siedział na Florydzie.

–Jest problem, który tylko ty zdołasz rozwiązać – powiedział bez wstępów.

–Wal.

Rozmowa skrótami była dla nich typowa.

–Potrzebuję pełny zestaw.

–Załatwi się. Gdzie jesteś?

–Osiem godzin lotu od Waszyngtonu.

–Dobra. Tyrone ma moje klucze. Wszystko skompletuje. Które lotnisko, Dulles czy Reagan?

– Ani jedno, ani drugie. Łądujemy osiemnaście kilometrów na południe od Annandale – odparł Bourne i podał Deronowi współrzędne miejsca w Wirginii, które przekazał pilot. – To wschodni kraniec terenu należącego do firmy Sistain Labs. – Sistain była filią IVT. – Dzięki, Deronie.

– Nie ma sprawy, człowieku. Szkoda tylko, że nie będę mógł tam być osobiście. Kiedy Bourne się wyłączył, Martin się poruszył.

– Jason.

Słyszając jękliwy szept Lindrosa, Bourne przysunął głowę do twarzy przyjaciela.

– Jestem tutaj, Martinie.

– Człowiek, który zajął moje miejsce...

– To Karim, brat Fadiego, wiem. Rozgryzłem wszystko. Zaczęło się od mojego zadania w Odessie, które dał mi Conklin. Byłem z Sorają na spotkaniu z jej kontaktem. Pojawiła się młoda kobieta. Biegła w naszym kierunku. To była Sara ibn Aszef, siostra Karima i Fadiego. Strzeliłem do niej, ale nie trafiłem, tak jak myślałem. Zabił ją jeden z ludzi Fadiego. Zrobił to, bo miała romans.

Jedyne oko Martina, zaczerwienione, wciąż z iskrą życia, wpatrywało się w Bourne'a.

– Musisz... dopaść... Karima, Jasonie. – Lindros rzeził, miał szybki, urywany oddech, z ust ciekła mu różowa flegma i krew. – To wielki spryciarz... szachista... pajak siedzący w... środku... Jezu... sieci. – Szeroko otwarte oko mrugało, gdy Martinem wstrząsały spazmy bólu. – Fadi... Fadi był tylko... fasadą, punktem... zbiórki. Naprawdę... niebezpieczny... jest Karim.

– Dobrze, rozumiem, teraz odpocznij – powiedział Bourne.

– Nie, nie... – Lindros wydawał się dziwnie rozgorączkowany. Promieniowała z niego energia małej gwiazdy, Bourne był skąpany w jej blasku. – Będę miał... mnóstwo czasu... na odpoczynek, kiedy... umrę.

Znów zaczął krwawić. Lekarz pochylił się i wytarł krew tamponem z gazy, który wkrótce przesiąknął.

– Bo Karimowi nie chodzi... po prostu o Amerykę, Jasonie. Jego celem jest CIA. Nienawidzi nas... wszystkich... każdą cząstką swojego... jestestwa. Dlatego... dlatego... był gotów... zaryzykować... wszystko, swoje... życie i duszę... żeby... przeniknąć... do środka.

– Co zamierza zrobić? Martinie, co on chce zrobić?

– Zniszczyć agencję. – Lindros spojrzał w górę na Bourne'a. – Szkoda, że nie wiem więcej. Chryste, Jasonie, ale spieprzyłem sprawę.

– To nie twoja wina, Martinie. – Bourne miał surową minę. – Jeśli będziesz robił sobie wyrzuty, to się na ciebie strasznie pogniewam.

Lindros spróbował się roześmiać, ale tylko zachrypiał żałośnie.

– Chyba nie teraz? Bourne wytarł mu usta.

Jak gdyby zabrakło prądu, nikłe światło w twarzy Lindrosa zgasło. Pojawiło się okno ciemnego, zimnego pokoju. Martin zaczął się trząść.

– Jasonie, posłuchaj, kiedy... to wszystko... się skończy, pošlij Moirze tuzin czerwonych róż. Znajdziesz jej adres w... moim telefonie komórkowym w domu.

Skremuj moje zwłoki. Zanieś prochy do galerii Cloisters w Nowym Jorku.

Bourne poczuł, że pieką go oczy.

–Oczywiście. Zrobię wszystko, co zechcesz.

–Cieszę się, że... po mnie przyszedłeś.

–Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Martinie. Jedyńm przyjacielem.

–Więc to smutne dla... nas obu. – Lindros znów spróbował się uśmiechnąć, ale zrezygnował, wyczerpany. – Wiesz... jak było... między nami, Jasonie... co nas połączyło. Ty... nie możesz sobie przypomnieć... twojej przeszłości, a... ja nie chcę... pamiętać... mojej.

Bourne wiedział, że nadszedł już czas. Jedyne oko Martina jeszcze przed chwilą przyglądało mu się z powagą i inteligencją, teraz było utkwione w przestrzeni. Patrzyło na coś, co Bourne wiele razy wyczuwał, ale nigdy tego nie widział.

Soraja, przerażona i jak zahipnotyzowana patrzyła na balsamowane zwłoki Starego. Czuła się tak, jakby miała przed sobą martwego ojca. Wiadomo, że kiedyś musi umrzeć, ale gdy przychodzi ten dzień, trudno to ogarnąć umysłem. Stary wydawał się jej – jak wszystkim w CIA – niezniszczalny i niewyciężony. Tak długo był ich moralnym kompasem, wsparciem, źródłem potężnej energii, że teraz, kiedy odszedł, poczuła się naga i straszliwie bezbronna.

Gdy szok minął, wpadła w panikę. Skoro Stary nie żyje, to kto kieruje agencją? Oczywiście jest zarząd składający się z szefów wydziałów, ale wszyscy wiedzą, że na następcę dyrektora został namaszczony Martin Lindros.

Co oznaczało, że na czele CIA stoi fałszywy Lindros. Boże drogi! On zamierza rozwalić agencję – to od początku było częścią planu. Co za gratka dla Fadiego i Dudźdzy, móc zniszczyć najskuteczniejszą amerykańską agencję wywiadowczą tuż przed zdetonowaniem bomby jądrowej na amerykańskiej ziemi.

W mgnieniu oka wszystko zrozumiała. Ładunki C – 4, które widział Tyrone, mają trafić do kwatery głównej CIA. Ale jak, u diabła, Dudźdża chce przemycić materiały wybuchowe przez kordon bezpieczeństwa? Fadi z pewnością wymyślił jakiś sposób. Być może teraz, po dokonaniu zamachu stanu przez fałszywego Lindrosa, będzie to łatwiejsze.

Soraja nagle się ocknęła i wróciła do chwili obecnej. Ze względu na zabójstwo Starego musi się dostać do kwatery głównej CIA, ujawnić prawdę szefom wydziałów, nie patrząc na własne bezpieczeństwo. Ale jak? Fałszywy Lindros każe ją zatrzymać, kiedy tylko ochrona zobaczy jej identyfikator. A nie było żadnej możliwości, żeby zakraść się do budynku niepostrzeżenie.

Kiedy helikopter schodził przez chmury ku prywatnemu lądowisku w Mazar – i Szarif, Bourne siedział ze zwieszoną głową obok Martina Lindrosa. W jego umyśle roiło się od wspomnień – jedne były jasne, inne niezrozumiałe, bo miał luki w pamięci. Relacje i związki z różnymi ludźmi okazały się dla niego sprawą najwyższej wagi. Klucz numer jeden przepadł. Bourne dopiero teraz, po fakcie, uświadomił sobie, ile Martin dla niego znaczył. Amnezja mogła być przyczyną wielu stanów jego umysłu, łącznie z szaleństwem – lub jego pozorami, co sprowadzało się mniej więcej do tego samego.

Po śmierci Conklina z raje zabójcy znajomość z Martinem była jego linią ratunkową. Teraz Martin nie żył. Bourne nie miał już także Marie, do której mógłby wrócić. Gdyby stres stał się zbyt silny, co uchroniłoby go przed obłędem?

Kiedy helikopter usiadł na asfalcie, Bourne wziął neseser.

– Idziesz z nami – powiedział do pilota. – Będę jeszcze potrzebował twojej pomocy.

Pilot wstał i razem podnieśli ciało Lindrosa. Z trudem wynieśli je z helikoptera. Na asfalcie czekał inny sovereign, zatankowany i gotowy do startu. Obaj mężczyźni przetransportowali do niego zwłoki. Bourne porozmawiał z pilotem odrzutowca, potem kazał pilotowi helikoptera odstawić saudyjskiego lekarza z powrotem do Miram Shah. Ostrzegł go, że ludzie Fejda al – Sauda będą monitorowali jego lot i łączność.

Dziesięć minut później samolot z dwoma mężczyznami i ciałem na pokładzie potoczył się po pasie startowym. Sovereign rozpędził się i unióś się ku ciemnoszarym chmurom zwiastującym burzę.

Po telefonie Sorai Peter Marks nie mógł się skoncentrować na pracy.

Szyfrogramy Dudźdży wydawały mu się wiadomościami z Marsa. Udając, że boli go głowa, przekazał je w końcu koledze.

Przez jakiś czas siedział zadumany przy biurku i analizował wszystkie aspekty tego telefonu i swojej reakcji. Nie mógł się od tego uwolnić. Najpierw musiał się uporać z własnym gniewem. Jak ona śmiała wciągać go w swoje kłopoty, których sama sobie narobiła? Omal nie podniósł słuchawki telefonu i nie wybrał numeru wewnętrznego Lindrosa, żeby zameldować, że się odezwała.

Ale kiedy sięgał do aparatu, coś go powstrzymało. Na pierwszy rzut oka opowieść Sorai wydawała się tak nieprawdopodobna, że nawet nie warto było się nad nią zastanawiać. Po pierwsze, wszyscy wiedzieli, że zagrożenie nuklearne ze strony Dudźdży zostało zlikwidowane. Po drugie, sam Lindros uprzedził agentów, że Sorai pomieszało się w głowie z powodu śmierci Jasona Bourne'a. Przez telefon rzeczywiście mówiła jak stuknięta.

Ale powiedziała, że budynek kwatery głównej CIA jest w niebezpieczeństwie. Po latach szkolenia zlekceważenie takiego ostrzeżenia byłoby z jego strony niedbalstwem. Znów omal nie zadzwonił do Lindrosa. Tym razem jednak powstrzymała go luka w rozumowaniu. Dlaczego jedna część opowieści miałaby być prawdziwa, a druga zmyślona? Nie wierzył, żeby komukolwiek – a zwłaszcza Sorai – aż tak pomieszało się w głowie.

A zatem wrócił do punktu wyjścia. Co zrobić z tymi informacjami? Zabębnił palcami w blat biurka. Oczywiście mógł nic nie zrobić, po prostu zapomnieć o rozmowie z Sorają. Ale gdyby w kwaterze głównej stało się coś złego, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Zakładając oczywiście, że uszedłby z życiem.

Przed podjęciem ostatecznej decyzji, chwycił słuchawkę telefonu i zadzwonił do kolegi w Białym Domu.

– Cześć, Ken, mówi Peter – powiedział. – Mam ważną wiadomość dla naszego dyrektora. Mógłbyś go jakoś zawiadomić? Jest u prezydenta.

– Nie ma go tutaj, Peter. Prezydent siedzi na spotkaniu z szefami Połączonych

Sztabów.

Peterowi na moment zamarło serce.

–Kiedy dyrektor wyszedł?

–Zaczekaj, sprawdzę – odparł Ken i po chwili zapytał: – Na pewno masz dobre informacje? Waszego dyrektora w ogóle tu dziś nie było i nie jest umówiony z prezydentem ani z nikim innym w Białym Domu.

–Dzięki, Ken – wymamrotał Peter zduszonym głosem. – Chyba zaszła jakaś pomyłka.

O mój Boże, pomyślał. Soraja jest równie normalna jak ja. Wyrzął przez otwarte drzwi swojego boksu. Zobaczył tylko narożnik biura Lindrosa. Jeśli to nie Lindros, to kto, do cholery, rządzi Tyfonem?

Chwycił komórkę. Kiedy tylko opanował drżenie rąk, wybrał numer Sorai.

Tyrone czekał cierpliwie na Soraję, kiedy wychyliła głowę zza przeszklonych drzwi. W tym samym momencie poczuła wibracje komórki. Tyrone dał znak i przebiegła cicho w mrok u podnóża pochylni.

–Ci dwaj zasrańcy mają fajrant – powiedział zniżonym głosem. – Są teraz na górze ze swoimi kolesiami.

–Lepiej chodźmy stąd – szepnęła.

Ale zanim zdążyła ruszyć w górę pochylni, złapał ją za ramię.

–Jeszcze tu nie skończyliśmy, dziewczyno. – Wskazał w głąb podziemia. – Widzisz, co stoi za aviatorem?

–Co to jest? – Wyciągnęła szyję. – Limuzyna?

–Z rządową rejestracją – uściślił Tyrone.

–Rządowe tablice?

–Konkretnie CIA. – Zauważył jej przenikliwe spojrzenie i wyjaśnił: – Deron mnie nauczył, jak je rozpoznać. – Machnął głową. – Sama sprawdź.

Soraja zakradła się za aviatora. Natychmiast zobaczyła długą lśniąca limuzynę i jej tablice rejestracyjne. Omal nie krzyknęła. To był służbowy samochód Starego. Od razu zrozumiała, dlaczego zadają sobie trud balsamowania zwłok dyrektora. Ciało musi być elastyczne i nie może cuchnąć.

Komórka znów zabuczała. Soraja wyjęła ją i spojrzała na wyświetlacz. Peter Marks. Czego on chce, do cholery? Cofnęła się ostrożnie.

–Zabili dyrektora CIA. To jego limuzyna – poinformowała Tyrone'a.

–Dobra, ale po co im ta bryka?

–Może zabili go w tym samochodzie?

–Może. – Tyrone podrapał się w podbródek. – Ale przyuważyłem, że coś kombinowali w środku.

Komórka zadzwęczała po raz trzeci. Tym razem dzwonił Bourne. Chciała mu koniecznie opowiedzieć, co się dzieje, ale nie mogła teraz ryzykować dłuższej rozmowy.

–Musimy się stąd wynosić, Tyrone, i to już.

–Może ty – odparł, patrząc na limuzynę. – Bo ja zostanę tu jeszcze chwilę.

–To zbyt niebezpieczne – zaprotestowała. – Wychodzimy razem. Tyrone uniósł pistolet.

–Nie dyryguj mną. Mówiłem ci, co robiłem. Masz wybór. Soraja pokręciła głową.

–Nie zostawię cię tutaj. Nie chcę, żebyś był wplątany w tę aferę bardziej, niż jesteś.

–Skasowałem dla ciebie dwóch gości, dziewczyno. Jak mogę wpaść w jeszcze większe tarapaty?

Musiła przyznać mu rację.

–Nie rozumiem, po co w ogóle się w to mieszałeś. Wyszczrzył zęby, bo wiedział, że już z nią wygrał.

–Pytasz, co z tego mam? Chłopaki z naszej dzielnicy, Derona i mojej, robią coś tylko z dwóch powodów: dla szmalu albo po to, żeby komuś dopieprzyć. A najlepiej

jedno i drugie. Od jakiegoś czasu przyglądam się Deronowi. Wyciąga się z gówna, stara się zwalczyć swoje gorsze, ja”. No i fajnie, ale zawsze myślałem: to on, nie ty. A teraz widzę, że ja też mam szansę na lepszą przyszłość.

–I na to, że cię zastrzelą. Tyrone wzruszył ramionami.

–Nie większą niż co dzień w naszej dzielnicy. Wyjął PDA.

–Myślałam, że używasz wyłącznie „jednorazowych” komórek.

–Tylko jedna osoba wie o moim EGO. Ta, która mi to dała.

–EGO?

–Zgadza się. Elektroniczny Gadżet Osobisty. Popatrzył na wyświetlacz i najwyraźniej przeczytał maila.

–Jasna cholera! – Potem podniósł wzrok. – Na co jeszcze czekamy? Spadamy, cholera.

Wspięli się z powrotem po pochylni do panela z włącznikami oświetlenia i elektrycznego otwierania drzwi.

–Dlaczego się rozmyśliłeś? Tyrone zrobił zde gustowaną minę.

–Deron kazał mi natychmiast ruszyć stąd dupę. Wraca twój człowiek, Bourne.

Peter Marks, zaczajony w korytarzu blisko windy, zwrócił na siebie uwagę Roba Batta, kiedy Siódemka wyszła z sali konferencyjnej. Marks pracował w wydziale Batta, zanim Martin Lindros wziął go do Tyfona. Mówiąc metaforycznie, wyrósł na metodologii szefa Wydziału Operacyjnego i wciąż uważał go za swojego guru.

Batt natychmiast zareagował. Odłączył się od grupy i skręcił za róg, gdzie stał Marks.

–Co tu robisz, Peter?

–Czekam na pana. – Rozejrzał się nerwowo. – Musimy porozmawiać.

–Nie możemy tego odłożyć?

–Nie, szefie.

Batt zmarszczył brwi.

–Dobra. Chodźmy do mnie.

–Najlepiej byłoby wyjść na zewnątrz.

Szef Wydziału Operacyjnego zerknął na Marksa z zaciekawieniem i wzruszył ramionami.

Zjechali windą do holu i wyszli frontowymi drzwiami. We wschodniej części terenu był różany ogród. Marks poprowadził tam Batta. Kiedy oddalili się od budynku na bezpieczną odległość, powtórzył mu słowo w słowo to, co usłyszał od Sorai Moore.

–Ja też w to nie wierzyłem, szefie – dodał, widząc minę Batta. – Ale potem zadzwoniłem do kumpla w Białym Domu. Starego tam nie ma i w ogóle dziś u nich nie był.

Batt potarł zarost na policzku.

–Więc gdzie on, do diabła, jest?

–No właśnie, szefie. – Marks, już wcześniej spięty, stawał się coraz bardziej zdenerwowany. – Ostatnie czterdzieści minut spędziłem przy telefonie. Nikt nie wie, gdzie Stary się podział.

–A Anne?

–Też zniknęła.

–Jezu Chryste.

Marks znów się rozejrzył.

–Tak, to wszystko wydaje się nieprawdopodobne, ale uważam, że powinniśmy potraktować opowieść Sorai serio.

–Rzeczywiście, to nieprawdopodobne, Peter. Powiem więcej: to chore. Nie mów mi, że wierzysz w tę historyjkę... – Battowi zabrakło słów. Pokręcił głową. – Gdzie ona jest, do cholery?

–Tego nie wiem. Dzwoniłem do niej kilka razy na komórkę, ale nie odezwała się do mnie. Boi się, że Lindros ją znajdzie.

–Wcale się, cholera, nie dziwię. Musimy tu jak najszybciej sprowadzić Soraję i wybić jej z głowy te pierdoły, zanim zasieje panikę w agencji.

–Jeśli ona się myli, to gdzie jest Stary i Annę? Batt ruszył do wyjścia z ogrodu.

–Dowiem się – rzucił przez ramię.

–A co z Sorają?

–Jak do ciebie zadzwoni, daj do zrozumienia, że jesteś po jej stronie. Ściągnij ją do kwatery jak najszybciej.

Kiedy szef Wydziału Operacyjnego zniknął w budynku, zadzwieczył telefon. Marks sprawdził, kto dzwoni, potem wcisnął przycisk.

–Cześć, Sorajo. Posłuchaj, myślałem o tym, co mówiłaś, i skontaktowałem się z Białym Domem. Stary i Annę zniknęli.

–To oczywiste – odparła Soraja. – Właśnie widziałam Starego. Leży w pewnym domu pogrzebowym z dziurą po pocisku w piersi.

Karim siedział w towarzystwie Siódemki w sali konferencyjnej sąsiadującej z gabinetem dyrektora. Słuchali informacji saudyjskiej służby bezpieczeństwa o zajęciu ośrodka jądrowego Dudżdży w Miram Shah. W przeciwieństwie do innych, wiadomość zdezorientowała i zaniepokoiła Karima. Czy to jakaś sztuczka jego brata w odpowiedzi na podwyższone pogotowie antyterrorystyczne, czy doszło do katastrofy?

Mógł się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób. Wyszedł z sali konferencyjnej. W drodze do windy dostrzegł kątem oka Petera Marksa. Już po raz drugi zauważył Marksa tu, gdzie nie powinien być. W jego głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Zamiast wejść do windy z kilkoma szefami wydziałów, skręcił w lewo. Zza rogu, gdzie się zatrzymał, widział drzwi sali konferencyjnej. Kiedy pojawił się Batt, Marks podszedł do niego. Rozmawiali przez chwilę. Batt, początkowo obojętny, skinął głową i obaj wrócili do sali. Zamknęli za sobą drzwi.

Karim natychmiast ruszył do gabinetu dyrektora CIA; szybko minął młodego człowieka z Wydziału Sygnałów i Kodów, zastępcę Annę.

Usiadł za biurkiem Starego i przesunął włącznik. Z sali konferencyjnej dobiegły dwa głosy.

–...od Sorai – mówił Marks. – Twierdzi, że widziała zwłoki dyrektora z dziurą po pocisku w piersi w domu pogrzebowym.

–Co ta kobieta kombinuje? Rozmawiałem z Martinem. Pozostaje w ciągłym

kontakcie ze Starym.

–A gdzie jest dyrektor?

–Złatwia jakąś sprawę osobistą, razem z Anną – wyjaśnił Batt takim tonem, jakby ziewał.

–Soraja miała też wiadomość od Bourne'a.

–On nie żyje.

–Żyje. Odkrył prawdziwy ośrodek jądrowy Dudźdży. W Miram Shah, na granicy...

–Wiem, gdzie leży Miram Shah, Peter – warknął Batt. – Co to znów za pierdoły?

–Powiedziała, że to wszystko może potwierdzić Fejd al – Saud.

–Jeszcze tylko tego brakuje, żebym się płaszczył przed szefem saudyjskiej służby bezpieczeństwa i prosił o zweryfikowanie naszych własnych informacji wywiadowczych.

–Mówiła też, że Bourne zabił Fadięgo. Jason leci tutaj jego odrzutowcem.

Rozmowa trwała dalej, ale Karim już dość usłyszał. Czuł się tak, jakby go oblażyły mrówki. Miał ochotę wrzeszczeć, rozerwać się na kawałki.

Wypadł z gabinetu i zjechał windą do holu. Nie wziął z podziemnego parkingu samochodu służbowego, bo musiałby to pokwitować. Wyszedł pośpiesznie frontowymi drzwiami i opuścił teren kwatery głównej.

Dawno zapadła ciemność. Nisko nad miastem wisiały groźne chmury. Wydawało się, że pochłaniają całe światło metropolii. Cienie miały wysokość pomników.

Na rogu ulic Dwudziestej Pierwszej i Constitution Karim wezwał taksówkę. Zatrzymała się przed nim po siedmiu minutach dręczącego oczekiwania. Wsiadł.

Trzydzieści minut później wysiadł przed wypożyczalnią samochodów Avis i poszedł dalej pieszo. Kiedy taksówka zniknęła, zawrócił, wszedł do biura Avis i wypożyczył auto na fałszywy dowód tożsamości. Zapłacił gotówką, wziął jeden z modeli GM, zapytał o drogę na lotnisko Dulles i odjechał.

W rzeczywistości wcale się tam nie wybierał. Celem jego podróży było prywatne lądowisko firmy Sustain Labs na południe od Annandale.

Sovereign przechylił się nisko nad zatoką Occoquan i skręcił na północ w kierunku lądowiska na półwyspie w kształcie pięści. Pilot, trzymając się oświetlonej drogi lądowania, posadził samolot z cichym szumem podwozia. Kiedy kołowali, wytracając na każdym metrze prędkość, Bourne zobaczył Tyrone'a, który czekał przy swoim kawasaki z czarną skórzaną walizką o sztywnych bokach przypasaną do pleców. Zerknął na zegarek. Przylecieli punktualnie, co oznaczało, że ma około trzydziestu pięciu minut na przygotowanie się do spotkania z Karimem.

W czasie podróży rozmawiał kilka razy z Sorają. Przekazywali sobie wzajemnie wiadomości, złe i dobre. Fadi nie żył, zagrożenie nuklearne ze strony Dudźdży zostało zlikwidowane, ale Karim zabił Starego i umocnił swoją pozycję w CIA. Teraz planował zniszczyć kwaterę główną agencji, koordynując zamach z detonacją bomby jądrowej. Soraja miała w budynku jednego sojusznika – agenta Tyfona Petera Marksa, ale on nie był z natury buntownikiem. Nie wiedziała, czy nagnie dla niej regulamin.

Co do śmierci Starego, Bourne miał mieszane uczucia. Został zmuszony do tego,

by czuć się jak syn marnotrawny, który po powrocie do domu jest narażony na gniew mściwego ojca. Dyrektor CIA nieraz wydawał swoim ludziom rozkaz zabicia krnąbrnego agenta. Ale też nigdy nie rozumiał Bourne'a i dlatego trochę się go bał. Jason nigdy nie pasował do schematu CIA – wciągnięto go do agencji, gdzie nie tolerowano indywidualistów. Nie prosił o to, żeby do niej należeć.

Wrócił myślami do Karima.

Sovereign zatrzymał się na asfalcie; silniki umilkły. Bourne wziął ze sobą pilota, przeszedł między siedzeniami w kabinie pasażerskiej, otworzył drzwi i opuścił schodki dla Tyrone'a, który podjechał do odrzutowca.

Tyrone wspiął się do samolotu i postawił czarną skórzaną walizkę u stóp Jasona.

–Cześć. Dzięki – rzucił lakonicznie Bourne.

–Ciemno tu jak cholera. Nic nie widzę.

–I o to chodzi.

Tyrone przyjrzał mu się uważnie.

–Wyglądasz jak jakiś pieprzony Arab.

Bourne się roześmiał. Wziął walizkę, zaniósł ją na siedzenie na wprost i otworzył. Tyrone zobaczył pilota, ciemnoskórego, brodatego Araba, który przyglądał mu się na wpół wyzywająco, na wpół bojaźliwie.

–Co to za typ?

–Terrorysta – wyjaśnił po prostu Bourne. Przerwał wyjmowanie rzeczy z walizki i ocenił sytuację. – Chcesz się przekonać?

Tym razem Tyrone się roześmiał.

–Skasowałem takich dwóch dla Panny Szpieg.

–To znaczy?

Ciemne oczy Tyrone'a zabłyśły.

–Wiem, że jesteś blisko z Deronem, ale nie pogrywaj ze mną.

–Wcale nie pogrywam. Przepraszam, ale mam mało czasu. – Bourne zapalił lampkę nad jednym z siedzeń i wyświetlił w komórce zdjęcia twarzy Fadiego, które zrobił. Potem zaczął otwierać małe słoiki, puszki, tuby i opakowania z kilkoma protezami o dziwnych kształtach. – Mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, o kim mówiłeś?

Tyrone wahał się przez chwilę i badał wzrokiem Bourne'a, żeby sprawdzić, czy facet rzeczywiście nie żartuje. Uznał, że nie.

–O Sorai.

Bourne, zerkając na zdjęcia Fadiego, włożył do ust protezę i na próbę poruszył żuchwą.

–Więc jestem ci winien podziękowania.

–Ty, co się, kurde, stało z twoim głosem, człowieku?

–Jak widzisz, przeistaczam się w kogoś innego – odparł Bourne, kontynuując transformację. Znalazł w walizce gęstą brodę i przyciął ją nożyczkami tak, żeby wyglądała identycznie z zarostem Fadiego. Przykleił ją i przyjrzał się sobie w powiększającym lusterku, które wyjął z walizki. Wręczył Tyrone'owi swoją komórkę. – Zrób mi przysługę, dobrze? Jak bardzo jestem podobny do tego faceta na zdjęciach?

Tyrone zamrugał, jakby nie wierzył własnym oczom. Potem popatrzył kolejno na

zdjęcia. Przed wyświetleniem każdego następnego porównywał twarze Fadięgo i Bourne'a.

–Ja cię chrzanię – wymamrotał w końcu. – Jak ty to robisz, człowieku?

–To dar – odparł zupełnie poważnie Bourne. – A teraz posłuchaj. Chciałbym, żebyś mi wyświadczył jeszcze jedną przysługę. – Zerknął na zegarek. – Za jedenaście minut zjawi się tutaj ten sukinsyn, którego chce dorwać Soraja. Musisz stąd zniknąć i coś mi załatwić. Bardzo ważnego. W kabinie obok jest mój przyjaciel, Martin Lindros. Nie żyje. Skontaktuj się z jakimś domem pogrzebowym. Jego zwłoki mają być skremowane. Dobra? Zrobisz to dla mnie?

–Wezmę gościa na swój motor, pasuje? Bourne skinął głową.

–Tylko traktuj go z szacunkiem, proszę? Ruszaj. I nie wchodź od frontu.

–Nigdy tak nie wchodzę. Bourne się roześmiał.

–Zobaczymy się po drugiej stronie. Tyrone spojrział na niego ze zdziwieniem.

–Po drugiej stronie czego?

Wjeżdżając do Wirginii, Karim zadzwonił do Abda al – Malika w domu pogrzebowym.

–Przyślij mi natychmiast trzech ludzi do Sustain Labs.

–Nie zostanie nam nikt w rezerwie. <

–Rób, co mówię – odparł krótko Karim.

–Moment. – Nastąpiła chwila ciszy. – Już są w drodze.

–Ciało dyrektora CIA przygotowane?

–Będzie gotowe za czterdzieści minut, może trochę więcej. To nie jest zwykłe balsamowanie.

–Jak on wygląda? To teraz najważniejsze.

–Oczywiście. Ma różowe policzki. – Abd al – Malik mruknął z zadowoleniem. – Może mi pan wierzyć, że ochrona będzie przekonana, że dyrektor żyje.

–Dobrze. Jak tylko skończycie, wsadźcie go do limuzyny. Musimy przyspieszyć akcję. Fadi chce, żeby budynek CIA został zniszczony jak najszybciej. Zadzwon do mnie, jak zajmiecie umówioną pozycję.

–Wszystko będzie zrobione – odpowiedział Abd al – Malik.

Karim w to nie wątpił. Abd al – Malik, najbardziej skuteczny członek jego uspionej komórki terrorystycznej w Waszyngtonie – i jej przywódca – jeszcze nigdy nie zawiódł.

Ruch był nieduży. Do głównej bramy Sustain Labs po zachodniej stronie terenu firmy Karim dotarł w ciągu trzydziestu ośmiu minut. Dzisiaj, w niedzielę, nikt się tutaj nie kręcił. W czasie podróży musiał się dwa razy pohamować – raz, kiedy zajechał mu drogę małolat w tuningowanym samochodzie, które Amerykanie nazywają *muscle cars*, a potem, gdy kierowca ciężarówki z tyłu popędzał go ostrym klaksonem. W obu wypadkach wyciągnął glocka i był gotów nacisnąć spust, ale się powstrzymał.

Chciał zabić Bourne'a, nie tych biednych głupców. Rządziła nim wściekłość – Pustynny Wiatr powodujący gwałtowne reakcje na bodźce. Ale nie był na pustyni, wśród beduinów, którzy woleli z nim nie zadzierać.

Bourne. Zawsze Bourne. Bourne zastrzelił niewinną Sarę, dumę rodziny. Karim wybaczał siostrze jej bezbożne poglądy, niewyjaśnione nieobecności, chęć bycia niezależną. Składał to wszystko na karb angielskiej krwi, płynącej również w jego żyłach. On panował nad swoimi zachodnimi genami i dlatego wziął się do reedukacji siostry w duchu pustyni, saudyjskiego etosu, ich prawdziwego dziedzictwa.

Teraz Bourne zabił Fadego, symboliczną postać. Fadi był bardzo uzależniony od planów i funduszy swojego starszego brata, a Karim liczył na to, że młodszy brat zawsze będzie go chronił. Wybaczał Fadiemu porywczosć i brutalność, bo takie cechy charakteru powinien mieć przywódca, który przyciąga do siebie wiernych płomienną retoryką i prowokacyjnymi czynami.

Oboje już nie żyli – niewinna kobieta i dowódca, jedno opoka siły moralnej, drugie – fizycznej. Z trojga dzieci Abu Sarifa Hamida ibn Aszefa al – Wahhiba został tylko on. Żywy, ale samotny. Pozostała mu jedynie pamięć o Fadim i Sarze ibn Aszef. Te same wspomnienia nosił w sobie jego ojciec – kaleki, sparaliżowany, bezradny,

przykuty do łóżka, potrzebujący specjalnej upręży, by usiąść w wózku inwalidzkim, którego nie cierpiał.

Przysiągł sobie, że to koniec Bourne'a. Koniec wszystkich niewiernych.

Pojechał długą krętą drogą wewnętrzną, która wiła się między niskimi, smukłymi budynkami laboratoriów z zielonego szkła i czarnej cegły. Kiedy pokonał ostatni zakręt w lewo, zobaczył lądowisko. Tuż za nieruchomym sovereignem ciągnęło się szerokie półkole szaroniebieskiej wody, sąsiadujące z zatoką Occoquan.

Gdy zbliżył się do płyty lotniska, zwolnił i przyjrzał się uważnie otoczeniu. Odrzutowiec stał samotnie na asfalcie przy końcu pasa startowego. W zasięgu wzroku nie było ani jednego pojazdu. Na zimnych wodach zatoki Belmont nie unosiły się żadne łodzie. W powietrzu nie krążyły helikoptery. Ale Fadi nie żył, a na jego miejscu w samolocie siedział Bourne.

Karim oczywiście wiedział, że nikogo tu nie będzie. W przeciwieństwie do niego, Bourne nie miał wsparcia. Zatrzymał samochód poza polem widzenia z odrzutowca, zapalił papierosa i czekał. Wkrótce pojawił się czarny ford i zaparkował obok.

Karim wysiadł i wydał swoim ludziom instrukcje. Powiedział, czego mogą się spodziewać i co mają robić. Potem oparł się z papierosem o przedni błotnik samochodu i patrzył, jak ford wjeżdża na płytę lotniska.

Kiedy dotarł do samolotu, drzwi otworzyły się do środka i opuszczono schodki. Dwaj z trzech mężczyzn wysiedli i wspięli się do sovereigna.

Karim wypluł niedopałek i rozgniół go obcasem. Potem wsiadł do wypożyczonego samochodu i ruszył z powrotem drogą wewnętrzną do laboratorium usytuowanego dziwnie na uboczu na północnym krańcu terenu przy wysypisku odpadów.

–Mogę ci pomóc, Sorajo – powiedział przez komórkę Peter Marks. – Ale powinniśmy się spotkać.

–Po co? Musisz być moimi oczami i uszami w kwaterze głównej. Chcę, żebyś śledził oszusta.

–Nie wiem, gdzie jest Lindros – odparł Peter. – Nie ma go ani w jego biurze, ani nigdzie indziej w budynku. Nie odmeldował się u asystenta. – Usłyszał, że Soraja wciągnęła gwałtownie powietrze. – O co chodzi?

–Dobra – powiedziała po chwili. – Spotkamy się, ale ja wybiorę miejsce.

–Jak chcesz.

Podawała mu adres domu pogrzebowego na północno – wschodnim skraju Rock Creek Park.

–Bądź tam jak najszybciej – dodała.

Marks wziął służbowy samochód i pokonał trasę do miejsca spotkania w rekordowym czasie. Zaparkował z tyłu domu pogrzebowego w bezpiecznej odległości po drugiej stronie ulicy. Siedział i czekał, tak jak poleciła Soraja. Przed wyjściem z kwatery głównej CIA zastanawiał się, czy nie poprosić Roba Batta o pozwolenie na zabranie ze sobą kilku agentów, ale czas naglił i wolał nie tracić cennych minut na przekonywanie szefa, żeby przydzielił mu ludzi.

Kiedy Soraja zastukała w szybę od strony pasażera, aż podskoczył. Był tak

zamyślony, że jej nie zauważył. Zdenerwował się podwójnie, bo w terenie miała nad nim znaczącą przewagę. On od początku swojej kariery pracował za biurkiem i przypuszczał, że to jest prawdziwy powód, dla którego nie chciał nikogo wziąć ze sobą. Musiał coś udowodnić swojemu guru.

Odblokował drzwi i Soraja wsiadła. Nie wyglądała na obłąkaną.

–Chciałam, żebyś przyjechał tutaj, bo w tym domu pogrzebowym są zwłoki Starego – powiedziała lekko zdyszana.

Słuchał tych słów jak we śnie. Kiedy otwierała drzwi i przez moment go nie widziała, zacisnęła dłoń na chwycie swojego pistoletu. Teraz, też jak we śnie, przystawił jej lufę do głowy i oznajmił:

–Przykro mi, Sorajo, ale wracasz ze mną do kwatery głównej.

Dwaj terroryści, którzy weszli do sovereigna, zamrugali w półmroku. Wyglądali na zaszokowanych, kiedy rozpoznali przywódcę.

–Fadi – powiedział wyższy z nich. – Gdzie Jason Bourne?

–Nie żyje – odparł Bourne. – Zabiłem go w Miram Shah.

–Ale Karim al – Dżamil mówił, że ten niewierny sukinsyn będzie na pokładzie. Bourne uniósł neseser z urządzeniem jądrowym.

–Jak widzicie, mylił się. Nastąpiła zmiana w planie. Muszę się zobaczyć z bratem.

–Oczywiście, Fadi.

Nie przeszukali samolotu, nie zobaczyli związanego i zakneblowanego pilota.

Kiedy prowadzili Bourne'a do czarnego forda, wyższy mężczyzna poinformował:

–Twój brat jest niedaleko.

Wsiedli wszyscy do samochodu, Bourne z tyłu. Odwracał głowę od lamp wzdłuż pasa startowego, jedyne źródła światła. Dopóki ukrywał twarz w półmroku, był bezpieczny. Ci ludzie reagowali na znajomy głos, znajomą mowę ciała. Jedno i drugie jest najpotężniejszą bronią naśladowcy. Trzeba przekonać umysł, nie oko.

Kierowca zjechał z płyty lotniska, zatoczył łuk na północ i zatrzymał się obok budynku z czarnej cegły, który stał w pewnej odległości od innych. Kiedy otworzyli wielkie wrota z blachy falistej i wprowadzili Bourne'a do środka, zobaczył dół do spustu żuźla.

Rozległe wnętrze było puste. Nie przedzielały go żadne ściany. Plamy oleju na betonowej podłodze wskazywały, że to hangar lotniczy. Przez drzwi i kwadratowe okna wysoko pod sufitem wpadało światło, ale szybko rozpraszało się w ogromnej przestrzeni, ginęło między szerokimi pasami mroku.

–Karimie al – Dżamilu – zawołał wyższy mężczyzna. – W samolocie był twój brat, nie Jason Bourne. Jest tu z nami i ma urządzenie.

Z mroku wyłoniła się postać.

–Mój brat nie żyje – powiedział Karim. Mężczyźni za plecami Bourne'a stężeli.

–Nigdzie z tobą nie pojedę – warknęła Soraja.

Marks już miał odpowiedzieć, gdy ściana w głębi pomieszczenia przeładunkowego w domu pogrzebowym wsunęła się w podłogę.

–Co za cholera? – wymamrotał.

Soraja wykorzystała jego zaskoczenie i wyskoczyła z samochodu. Marks chciał ją

gonić, ale zobaczył, że na ulicę wyjeżdża auto dyrektora CIA. Zapomniał o Sorai. Wrzucił bieg i ruszył za limuzyną. Stary miał załatwić jakąś sprawę osobistą. Co on tu robi?

Kiedy odjeżdżał, usłyszał krzyk Sorai, żeby zawrócił. Zignorował wołanie. Nic dziwnego, że tak zareagowała; była pewna, że Stary nie żyje.

Limuzyna zatrzymała się na czerwonym świetle. Stanął na pasie obok i opuścił szybę.

–Hej! – zawołał. – Peter Marks, CIA! Otworzyć okno! – Kierowca nie zareagował, więc Marks przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów w pozycję parkowania, wysiadł i zastukał w szybę. Wyciągnął legitymację służbową. – Otwierać, do cholery!

Szyba się opuściła. Natychmiast zauważył Starego – siedział wyprostowany z tyłu. Kierowca nagle wycelował agentowi w twarz lugera P – 08 i nacisnął spust.

Od huku pękły Marksowi błony bębenkowe. Poleciał do tyłu z rozpostartymi rękami. Nie żył, zanim upadł na chodnik.

Szyba limuzyny zasunęła się z powrotem, światło zmieniło się na zielone i samochód szybko odjechał.

Karim przyglądał się uważnie Bourne'owi.

–To niemożliwe. Mój brat. Mówiono mi, że nie żyjesz. Bourne uniósł neseser.

–A jednak – odparł głosem Fadiego. – Przybywam we wcieleniu zagłady.

–Strzeżcie się, niewierni!

–Właśnie tak. – Choć Bourne wiedział, że patrzy na Karima, widok sobowtóra jego najlepszego przyjaciela działał mu na nerwy. – Znów jesteśmy razem, bracie!

Martin ostrzegał go, że to Karim jest naprawdę niebezpieczny. „Szachista”, powiedział o nim, „pająk siedzący w środku sieci”. Bourne nie miał złudzeń – w momencie, gdy Karim zapyta go o jakąś osobistą sprawę, maskarada będzie skończona.

I nie trwała aż tak długo.

Karim przywołał go gestem.

–Chodź do światła, bracie, żebyśmy mogli ci się przyjrzeć po tylu miesiącach.

Bourne dał krok naprzód i jego twarz zaalało światło. Karim stał prawie bez ruchu. Tylko lekko kiwał głową, jakby dostał porażenia”.

–Jesteś takim samym kameleonem, jakim był Fadi.

–Bracie, przywożem urządzenie. Jak możesz mnie z kimś mylić?

–Podśluchałem agenta CIA, który mówił...

–Chyba nie Petera Marksa? – Bourne strzelił w ciemno, bo tylko to mu pozostało. Marks był jedynym człowiekiem w agencji, z jakim kontaktowała się Soraja.

Znów zdezorientowany Karim zmarszczył brwi.

–A co z nim?

–Powtarzał dezinformacje, którymi nakarmiliśmy agentkę Moore. Karim wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu; z jego oczu zniknął cień wątpliwości.

–Zła odpowiedź. CIA uważa, że mój brat zginął w czasie ataku na fałszywy obiekt Dudżdży w Jemenie Południowym. Ale ty byś tego nie wiedział, prawda, Bourne?

Dał znak. Stojący z tyłu trzech mężczyźni chwycili i unieruchomili fałszywego

przywódcę. Nie odrywając wzroku od twarzy Bourne'a, Karim podszedł do niego i wyrwał mu z ręki neseser.

Soraja biegła do miejsca, gdzie na krawężniku leżał rozkrzyżowany Peter Marks, gdy usłyszała za sobą gardłowy ryk silnika zbliżającego się motocykla. Wyciągnęła pistolet, obejrzała się i zobaczyła Tyrone'a na kawasaki. Właśnie zostawił w domu pogrzebowym ciało Lindrosa.

Zwolnił, żeby ją zabrać, potem przyspieszył.

–Widziałeś, co się stało? Zabili Petera.

–Musimy ich dorwać. – Tyrone przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle. – Poskładałaś sobie wszystko do kupy: materiał wybuchowy C – 4, replikę bryki twojego bossa, jego samego na stole do balsamowania, i co tam jeszcze miałaś?

–Właśnie tak chcą się dostać do środka! – odparła Soraja. – Ochrona tylko zerknie na Starego na tylnym siedzeniu i wpuści auto na podziemny parking.

–A tam są fundamenty budynku.

Tyrone pochylił się nisko nad kierownicą kawasaki i odkręcił gaz.

–Nie możemy strzelać do limuzyny i ryzykować, że C – 4 eksploduje i zabije Bóg wie ile postronnych osób – powiedziała Soraja.

–I nie możemy pozwolić, żeby dojechała do kwatery głównej CIA – dodał Tyrone. – Więc co zrobimy?

Odpowiedź nadeszła sama, gdy szyba w tylnych drzwiach limuzyny opuściła się i ktoś otworzył do nich ogień.

Bourne stał i nawet nie próbował drgnąć. Starał się usunąć z głowy obraz zmasakrowanej twarzy Martina Lindrosa, ale zdał sobie sprawę, że wcale nie chce. Martin był z nim, mówił do niego, żądał kary za to, co mu zrobiono. Bourne czuł, słyszał przyjaciela.

Cierpliwości, szepnął w duchu.

Skoncentrował się i ustalił dokładną pozycję każdego z trzech mężczyzn. Potem powiedział:

–Żałuję jednego... że nie dokończyłem tego, co zacząłem w Odessie. Twój ojciec wciąż żyje.

–Egzystencja na wózku inwalidzkim to nie życie – warknął Karim. – Ilekroć jestem w obecności ojca, przysięgam sobie na nowo, że zapłacisz mi za to, co mu zrobiłeś.

–Szkoda, że nie może cię dziś zobaczyć – odparł Bourne. – Wzięłby pistolet i strzelił do ciebie bez wahania. Gdyby tylko był w stanie.

–Znam cię lepiej, niż myślisz, Bourne. – Karim stał zaledwie krok od niego. – Spójrz na siebie. Dla wszystkich ty jesteś Fadim, a ja Lindrosem. Żyjemy w naszym własnym świecie, zamknięci w kręgu zemsty. Czy nie tak rozumiesz? Czy nie tak to zaplanowałaś? Czy nie dlatego nadałaś sobie wygląd mojego brata? – Przełożył neseser z jednej ręki do drugiej. – Również dlatego próbujesz mnie rozdrażnić. Zirytowanego człowieka łatwiej pokonać, czy nie tak mówi tao Bourne'a? – Roześmiał się. – Ale w rzeczywistości tą swoją ostatnią sztuczką kameleona wyświadczyłeś mi ogromną przysługę. Myślisz, że cię zastrzelę, tu i teraz. Jakże się mylisz! Dlaczego? Bo po zdetonowaniu bomby jądrowej i zniszczeniu kwatery głównej CIA zabiorę cię w

ruiny budynku. I tam zabiję. W ten sposób, dzięki zlikwidowaniu Fadiego, najbardziej znanego terrorysty na świecie, Martin Lindros zostanie bohaterem narodowym. I teraz, kiedy usunąłem dyrektora CIA, komu twoim zdaniem wdzięczny prezydent powierzy to stanowisko? – Znów się roześmiał. – Będę kierował agencją, Bourne. Przekształcę ją po swojemu. Czy to nie ironia losu?

Na wzmiankę o tym, co czeka kwaterę główną CIA, Bourne poczuł, że odzywa się w nim przynaglający głos Martina. Jeszcze nie, pomyślał. Jeszcze nie.

–Za ironię losu uważam to, co spotkało Sarę ibn Aszef – odparł.

W oczach Karima błysnęła wściekłość. Uderzył Bourne'a na odlew w twarz.

–Ty, zabójca mojej siostry, nie jesteś godny wymawiać jej imienia!

–Nie zabiłem Sary – powiedział Bourne wolno i wyraźnie. Karim plunął mu w twarz.

–Nie mógłbym jej zastrzelić. Soraja i ja byliśmy za daleko. Oboje mieliśmy glocki 21. Sara ibn Aszef została trafiona na drugim końcu placu. Jak dobrze wiesz, glock jest celny na odległość do dwudziestu pięciu metrów. Twoja siostra znajdowała się co najmniej pięćdziesiąt metrów od nas, kiedy dostała śmiertelny postrzał. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy; wszystko stało się zbyt szybko.

Z twarzą jak maska, Karim znów uderzył Bourne'a. Bourne spodziewał się ciosu i strząsnął go z siebie.

–Ale Muta ibn Aziz odświeży mi pamięć. On i jego brat stali tamtej nocy w odpowiednim miejscu. I w odpowiedniej odległości.

Karim chwycił Bourne'a za gardło.

–Śmiesz drwić ze śmierci mojej siostry? – Trząsnął się z gniewu. – Bracia Azizowie byli dla nas jak rodzina. Sama insynuacja...

–Właśnie dlatego, że byli jak rodzina, Abbud ibn Aziz zastrzelił twoją siostrę.

–Zabiję cię za to! – wrzasnął Karim i zaczął dusić Bourne'a. – Pożałujesz, że się urodziłeś!

Tyrone zygzakował kawasaki po jezdni w pościgu za limuzyną. Słyszał gwizdzące obok nich pociski. Wiedział, co to znaczy być pod ostrzałem; znał cierpienie po stracie ukochanej osoby, zabitej z przejeżdżającego samochodu. Jego jedyną obroną była wiedza. Rozpoznawał amunicję tak, jak jego grupa znanych raperów i gwiazdy porno. Znał charakterystykę każdego kalibru, naboju Parabellum i pocisków z wgłębieniem wierzchołkowym. W magazynku swojego walthera PPK miał te ostatnie, ale dodatkowo ponacinane. Kiedy trafiały w miękki cel – na przykład ludzkie ciało – całkowicie się rozrywały. Ofiara czuła się tak, jakby została postrzelona z karabinu maszynowego M – 80. Nie trzeba dodawać, że obrażenia wewnętrzne były bardzo rozległe.

Człowiek w limuzynie używał amunicji kaliber 45, ale jego broń miała ograniczony zasięg i kiepsko celował. Mimo to Tyrone wiedział, że musi przerwać ostrzał.

–Spójrz na wprost – powiedziała mu do ucha Soraja przynaglającym tonem. – Widzisz ten budynek z czarnego szkła sześć przecznic przed nami? To kwatera główna CIA.

Tyrone dodał gazu i zbliżył się szybko do lewego boku limuzyny. Znaleźli się w

zasięgu lugera, ale mała odległość miała też swoją zaletę.

Soraja jednym ruchem wyciągnęła walthera PPK/E, wycelowała i nacisnęła spust. Wydrążony pocisk trafił terrorystę w twarz. Z otwartego okna eksplodowała krew przemieszana z kawałkami kości.

–Zabili Sarę ibn Aszef i zataili swój współudział – zdołał wykrztusić Bourne. – Zrobili to, żeby chronić ciebie i Fadię. Ponieważ wasza słodka, niewinna siostra miała namiętny romans.

–Łżesz!

Bourne ledwo mógł oddychać, ale musiał mówić dalej. Wiedział, że psychologia jest jego najlepszą bronią przeciwko takiemu człowiekowi jak Karim; jedyną, która może mu przynieść zwycięstwo.

–Nienawidziła tego, czym się staliście, ty i Fadi. Podała decyzję. Odwróciła się plecami do dziedzictwa beduinów.

–Zamknij się! – wrzasnął Karim. – To najpodlejsze kłamstwa!

Ale Bourne wyczuł, że Karim daremnie próbuje przekonać samego siebie. W końcu poskładał razem wszystkie fragmenty sprawy Sary i to go zabijało.

–Sara ibn Aszef była moralnym rdzeniem naszej rodziny, który zniszczyłeś! Jej zabójstwo popchnęło mojego brata i mnie na tę drogę! Sprowadziłeś na siebie śmierć!

Bourne był gotowy do wykonania ruchu. Cofnął się i walnął mocno piętą w podbicie mężczyzny bezpośrednio za sobą. Obrócił się i wyrwał z uścisku terrorysty po swojej prawej stronie. Wbił łokieć w splot słoneczny tego z lewej i zadał mu cios kantem dłoni w szyję.

Usłyszał trzask kręgu. Mężczyzna upadł. Terrorysta za Bourne'em zdążył opasać go mocno ramionami. Bourne zgiął się w pół i przerzucił napastnika przez plecy prosto na Karima.

Mężczyzna z lewej wciąż był schylony i próbował złapać oddech. Bourne porwał broń, która upadła na podłogę, i zdzielił go kolbą w głowę. Terrorysta rzucony na Karima wyciągnął spluwę. Bourne strzelił – Arab osunął się na beton.

Został Karim. Klęczał z neseserem tuż przed sobą. W zaczerwienionych oczach miał wyraz obłędu. Bourne'owi aż ciarki przeszły po plecach. Widział raz czy dwa człowieka balansującego na krawędzi szaleństwa i wiedział, że Karim jest teraz zdolny do wszystkiego.

Kiedy o tym myślał, Karim wyjął mały prostokątny przedmiot z nierdzewnej stali. Bourne natychmiast rozpoznał nadajnik sygnału do zapalnika.

Karim uniósł wysoko urządzenie i położył kciuk na czarnym przycisku.

–Znam cię, Bourne. Dlatego mam nad tobą władzę. Nie zastrzelisz mnie, dopóki mogę zdetonować dwadzieścia kilo C – 4 na podziemnym parkingu pod kwaterą główną CIA.

Nie było czasu do namysłu. Bourne usłyszał w głowie upiorny szept Martina. Wycelował lugera w Karima i strzelił mu w gardło. Pocisk przeszedł przez miękką tkankę i przebił kręgosłup. Ból niemal sparaliżował ofiarę. Karim usiadł ciężko na podłodze. Patrzył z niedowierzaniem na Bourne'a. Próbował poruszyć palcami, ale

nie zdołał.

W jego oczach gasło życie. Odnalazł wzrokiem knykcie jednego z zabitych. Bourne się zorientował, co terrorysta chce zrobić, i rzucił się ku niemu. Ale Karim ostatkiem sił przewrócił się na bok.

Nadajnik uderzył w kostki palców nieruchomej ręki.

Mógł wreszcie puścić swoją ofiarę. Głos Martina w jego głowie w końcu zamilkł. Bourne popatrzył w dół na prawe oko Karima – wydarte Lindrosowi – i pomyślał o swoim martwym przyjacielu. Wkrótce wyśle Moirze tuzin czerwonych róż i zabierze prochy Martina do Cloisters w Nowym Jorku.

Coś go gnębiło. Dlaczego Karim nie spróbował zdetonować bomby jądrowej, kiedy miał szansę? Dlaczego wybrał limuzynę, której wybuch spowodowałby dużo mniejsze straty?

Odwrócił się i zobaczył neseser leżący na betonowej podłodze. Zamki były otwarte. Czy Karim zrobił to w próżnej nadziei, że włączy timer? Bourne schylił się i już miał zatrzaskać zamknięcia, gdy nagle wstrząsnął nim dziwny dreszcz.

Uniósł wieko nesesera. Zajrzał do środka, poszukał wzrokiem zegara sterującego i zobaczył, że istotnie mechanizm jest nieczynny. Dioda LED nie świeciła się, przewody były odłączone. Więc co...?

Włożył rękę pod gąszcz kabli, przyjrzał się bliżej i zauważył coś, co go zmroziło. Kiedy Karim zwolnił zamki, uruchomił drugi timer. Dodatkowy zegar sterujący, który zainstalował Veintrop, ale celowo nie ujawnił im tego.

Bourne ukucnął. Po plecach spływał mu pot. Wyglądało na to, że Dudźdża – i doktor – jednak dokonają zemsty.

Cztery minuty i jedna sekunda. Tyle czasu zostało Bourne'owi według odczytu z dodatkowego timera.

Zamknął oczy i przywołał w wyobraźni widok raje Veintropa manipulujących przy zegarze sterującym. Widział każdy ruch doktora, obrót nadgarstka, każde zgięcie palca. Nie potrzebował żadnych narzędzi. Było sześć przewodów: czerwony, biały, czarny, żółty, niebieski i zielony.

Bourne pamiętał, w jakiej kolejności Veintrop je odłączał od głównego timera. Dwa razy ponownie przyłączał czarny przewód – najpierw tam, gdzie dochodziła końcówka białego, potem do konektora czerwonego.

Bourne nie miał problemu z przypomnieniem sobie, co robił Veintrop. Kłopot polegał na tym, że timery różniły się od siebie, choć do dodatkowego zegara sterującego – podobnie jak do głównego – biegła inna wiązka sześciu kolorowych przewodów zasilających. W rezultacie żadne złącze nie było w tym samym miejscu.

Bourne wyjął komórkę i wybrał numer Fejda al – Sauda w nadziei, że uda mu się wydobyć z Veintropa informację, jak unieruchomić dodatkowy zegar sterujący. Saudyjczyk się nie zgłaszał. W sumie nic dziwnego. W górzystym rejonie Miram Shah telefony komórkowe rzadko działały. Ale warto było spróbować.

3.01

Veintrop zaczął od niebieskiego przewodu, potem przeszedł do zielonego, Bourne chwycił ten pierwszy, żeby go odłączyć, ale się zawahał. Zadał sobie pytanie: dlaczego dodatkowy timer miałby być unieruchamiany w ten sam sposób? Veintrop skonstruował pomysłową pułapkę. Dodatkowy zegar sterujący włączyłby się tylko wtedy, gdy przestałby działać główny. Dlatego montowanie dwóch takich samych systemów byłoby bez sensu.

Bourne cofnął ręce od dodatkowego timera.

2.01

Tu nie chodziło o to, jak zatrzymać zegar sterujący, lecz jak pracował szatański umysł Veintropa. Unieruchomienie głównego timera oznaczałoby, że ktoś wiedział, w jakiej kolejności odłączyć przewody. W wypadku dodatkowego zegara sterującego tę kolejność można byłoby odwrócić lub nawet poprzestawiać na tyle sposobów, że znalezienie prawidłowej kombinacji okazałoby się praktycznie niemożliwe, bo wcześniej nastąpiłaby detonacja bomby jądrowej.

1.19

Czas na spekulacje minął. Bourne musiał podjąć decyzję. Postanowił odwrócić kolejność. Chwycił czerwony przewód i już miał go odłączyć, gdy jego bystre oko coś dostrzegło. Pochylił się niżej i przyjrzał uważnie dodatkowemu timerowi. Odsunął na bok kolorowe przewody i odkrył, że ten zegar sterujący jest połączony z całym urządzeniem zupełnie inaczej niż główny.

0.49

Bourne wyjął z zagłębienia główny timer, żeby sprawdzić, co jest pod spodem. Potem usunął zapalnik połączony z mechanizmem pojedynczym przewodem. Teraz

widział dobrze dodatkowy zegar sterujący – był umieszczony bezpośrednio na zapalniku. Problem polegał na tym, że nie mógł dojrzeć, gdzie łączą się obie rzeczy.

0.27

Odgiał przewody bardzo ostrożnie, żeby żadnego nie odłączyć. Podważył paznokciem prawą krawędź dodatkowego timera, uniósł go i oddalił od zapalnika. Nic.

0.18

Wsunął paznokiec pod lewą krawędź. Ani drgnęła. Pociągnął mocniej do góry. Ustąpiła wolno. Pod spodem zobaczył przewód, zwinięty jak małeńki wąż. Dotknął go palcem, potem lekko poruszył. Przewód się rozwinął. Nie był połączony z zapalnikiem! Bourne nie wierzył własnym oczom.

0.10

Usłyszał głos doktora Veintropa: „Byłem więźniem. Nie rozumiecie, że...” Bourne nie pozwolił mu wtedy dokończyć. Znowu pojawił się problem, jak rozwiązać zagadkę sposobu myślenia Veintropa. Naukowiec lubił gry umysłowe – dowodziły tego jego badania. Jeśli Fadi przetrzymywał doktora wbrew jego woli, wykorzystywał przeciwko niemu Katię, Veintrop mógł próbować zemścić się na terroryście.

Bourne uniósł główny zegar sterujący i obejrzał zwisający z niego przewód. Izolacja była nienaruszona, ale odsłonięty kawałek miedzianego drutu na końcu wydawał się luźny. Kilkucentymetrowy odcinek został Bourne'owi w palcach. Przewód okazał się atrapą. Bourne cofnął ręce od urządzenia, usiadł i patrzył, jak timer wyświetla ostatnie sekundy odliczania. Serce waliło mu boleśnie w piersi. Jeśli się pomylił...

0.00

Nie. Nic się nie wydarzyło. Nie nastąpiła detonacja, nie doszło do nuklearnej zagłady. Panowała cisza. Veintrop zemścił się na swoich prześladowcach. Pod nosem Fadiego potajemnie rozbroił bombę.

Bourne zaczął się śmiać. Naukowiec został zmuszony do prawidłowego zainstalowania głównego zegara sterującego, ale przy montażu dodatkowego jakimś cudem udało mu się sprytnie oszukać innych specjalistów Dudźdzy i samego Fadiego. Bourne zamknął neseser, wziął go i wstał. Wciąż się śmiejąc, wyszedł z budynku.

42

W następstwie eksplozji C – 4 Soraja odzyskała swoje uprawnienia agentki CIA. Okoliczne budynki, solidne gmachy rządowe, ucierpiały tylko powierzchownie. Ale ulica została bardzo zniszczona. Wyglądała katastrofalnie. Wybuch zrobił w jezdni ogromną dziurę. Płonące szczątki limuzyny spadły na jej dno jak meteory. Na szczęście o tej porze, późnym wieczorem w pobliżu nie było żadnych przechodniów.

Miejsce zdarzenia otoczono kordonem. Na zamkniętym terenie roilo się od samochodów policyjnych, wozów strażackich, karetek pogotowia oraz personelu służb ratowniczych i technicznych. Na obszarze dwóch i pół kilometra kwadratowego nie było prądu, a w najbliższej okolicy wody, ponieważ popękały rury.

Przyjechali już Rob Batt i Dick Reilly, szef Wydziału Bezpieczeństwa, by przejąć sprawę. Batt zauważył Soraję, gdy rozmawiała z kapitanem policji, teoretycznie kierującym śledztwem, i skinął jej głową, żeby została.

–Przez ten cały urzędowy syf jestem spięty jak ksiądz, co złapał trypra – poskarżył się Tyrone.

Soraja się roześmiała.

–Bez obaw. Jestem tu po to, żeby cię chronić. Tyrone parsknął drwiąco, ale został blisko Panny Szpieg.

W hałasie sprzętu, pojazdów i nawoływań robotników mieli wrażenie, że są uwięzieni w sieci dźwięku.

Nad nimi wisiał helikopter reporterski. Wkrótce dołączył do niego drugi. Z hukiem przeleciały odrzutowce sił powietrznych, uzbrojone i gotowe do walki. Wykonały

pętle i zniknęły w oddali.

Nowy Jork spowijała mgła, gdy Bourne przekroczył rankiem bramę Cloisters. Przy piersi trzymał brązową urnę z prochami Martina Lindrosa. Wysłał Moirze tuzin róż. Kiedy potem zadzwoniła do niego, dowiedział się, że w ten sposób Martin chciał się z nią pożegnać.

Bourne nigdy nie spotkał Moiry. Przyjaciół wspomnieli o niej tylko raz, kiedy obaj nieźle się wstawili.

Teraz ją zobaczył – szczupłą, zgrabną postać we mgle, z ciemnymi, kręconymi włosami. Stała tam, gdzie się umówili: pod drzewem, które rozpościerało gałęzie na kamiennych blokach ściany budynku. Powiedziała, że wróciła z zagranicznej podróży służbowej zaledwie kilka godzin przed telefonem Bourne'a. Wyglądało na to, że wyplakała się w samotności.

Nie uroniła już ani jednej łzy. Skinęła mu głową i podeszli razem do południowej balustrady. Pod nimi rosły drzewa. Na prawo płynęła wolno matowa rzeka Hudson. Przypominała skórę węża, którą gad zaraz zrzuci.

–Każde z nas znało go z innej strony – zaczęła Moira ostrożnie, jakby się obawiała powiedzieć zbyt wiele o swoim związku z Martinem.

–Jeśli w ogóle można kogoś znać – odparł Bourne.

Miała podpuchnięte oczy. Na pewno płakała przez kilka ostatnich dni. W jej wyrazistych, ostrych rysach i szeroko rozstawionych piwnych oczach widać było inteligencję. Tchnął z niej niezwykle spokojny, mądrej i doświadczonej kobiety. Martin dobrze wybrał, pomyślał Bourne.

Otworzył urnę. Foliową torebkę w środku wypełniał węglowy pył, esencja życia. Moira rozerwała folię długimi, szczupłymi palcami. Oboje unieśli urnę nad balustradę i przechylili. Patrzyli, jak szary proch stapia się z mgłą.

Moira wpatrzyła się w niewyraźne kształty w dole.

–Najważniejsze, że oboje go kochaliśmy.

Bourne pomyślał, że to doskonała mowa pogrzebowa – taka, która przyniesie spokój ducha im trojgu.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-06

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/